

ROBERT JORDAN

**WICHRY
CIENIA**



PATRICK 2009

Robert Jordan

Wichry cienia

Crossroads Of Twilight

Przełożyła Ewa Wojtczak

Wydanie oryginalne: 2002

Wydanie polskie: 2004

TMN

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1 Zapadające ciemności](#)

[Rozdział 2 Przedmiot negocjacji](#)

[Rozdział 3 Sekrety](#)

[Rozdział 4 Pogawędka z Siuan](#)

[Rozdział 5 Niespodzianki](#)

[Rozdział 6 W nocy](#)

[Rozdział 7 Znak](#)

[Rozdział 8 Jedna odpowiedź](#)

[Rozdział 9 Ozdoby](#)

[Rozdział 10 Burza narasta](#)

[Rozdział 11 Kiedy zakładać klejnoty](#)

[Rozdział 12 W So Habor](#)

[Rozdział 13 To, co trzeba zrobić](#)

[Rozdział 14 Pęczek róż](#)

[Rozdział 15 Coś migocze](#)

[Rozdział 16 Co potrafi różdżka przysięc](#)

[Epilog Odpowiedź](#)

[Glosariusz](#)

A w dniach, kiedy ruszy Gon Czarnego i kiedy prawica się zachwieje, lewica zaś zbłądzi, zdarzy się, że ludzkość przyjdzie na Rozstaje Zmierzchu i wszystko, co jest, wszystko, co było i wszystko, co będzie, zrównoważy się na czubku miecza. I zerwą się wtedy wichry Cienia.

z Proroctw Smoka;
tłumaczenie dokonane prawdopodobnie
przez Jaina Charina (znanego jako Jain Farstrider),
wkrótce przed jego zniknięciem

*Dla Harriet.
Kiedyś, teraz i zawsze*

Rozdział 1

Zapadające ciemności

Wieczne słońce przybrało postać krwawej kuli usadowionej na wierzchołkach drzew. Ostatnie promienie obrzucały ponurym światłem obozowisko – szeroko rozstawione rzędy palików dla koni, płótno bud wozów, furmanki na wysokich kołach, wszelkiego rozmiaru i typu namioty oraz połacie śniegu rozdeptane aż do błota. Nie była to ani ta pora dnia, ani ten rodzaj miejsca, w którym Elenia chciałaby siedzieć na końskim grzbiecie. Zapach gotowanej wołowiny unoszący się z nad dużych kociołków z czarnego żelaza wystarczył, by zaburczało jej w brzuchu. Chłodne powietrze mroziło oddech i sugerowało nadejście jeszcze zimniejszej nocy, wiatr wręcz do żywego ciała przez najlepszy czerwony płaszcz kobiety, mimo grubego podszycia z białego futra o długim włosiu. Futro śnieżnego lisa miało być cieplejsze niż inne, niestety Elenia nigdy nie doświadczyła praktycznego potwierdzenia tej obietnicy.

Zaciskając jedną, odzianą w rękawiczkę, dłonią poły płaszcz, jechała powoli i bardzo starała się nie drżeć, co zresztą zupełnie jej się nie udawało. Biorąc pod uwagę późną godzinę, bardziej niż prawdopodobne wydawało się, że Elenia spędzi tutaj noc, jednak jak dotąd nie miała żadnego pomysłu, gdzie położyć się do snu. Niewątpliwie będzie spała w namiocie jakiegoś pomniejszego przedstawiciela arystokracji, który niechętnie wyruszy poszukać sobie innego miejsca spoczynku, usiłując nie okazywać niezadowolenia z powodu wykwaterowania. Jednakże Arymilla lubiła trzymać Elenię do ostatniej chwili w niepewności, zarówno w kwestii noclegu, jak i we wszystkich innych. Jedną niepewność szybko zastępowała następna. Najwyraźniej Arymilla usiłowała ją zdenerwować. A może sądziła, że Elenia Sarand lubi trwać w takim stanie? Tak czy owak, myliła się.

Eskorta Elenii składała się wcześniej jedynie z czterech mężczyzn noszących na płaszczach godło przedstawiające dwa Złote Dzikie, no i oczywiście ze służącej o imieniu Janny, która kulila się na siodle tak szczelnie okutana płaszczem, że przypominała wielki kłębek zielonej wełny. Poza tym Elenia nie widziała w obozie nawet jednego człowieka, który bez cienia wątpliwości pozostawałby lojalny wobec Dynastii Sarand. Tu i ówdzie taka czy inna grupka osób gromadziła się wokół ognisk, z dumą prezentując Czerwonego Lisa Domu Anshar, Elenię minęła także podwójna kolumna jeźdźców noszących Skrzydlaty Młot Dynastii Baryn; kierowali się bardzo powoli w przeciwnym kierunku. Przypatrzyła się zaciętym minom i surowym twarzom za kratami hełmów. Mężczyźni wyglądali na znużonych. Gdy Morgase zasiadła na tronie, Karind i Lir pożałowały swej opieszałości. Tym razem obie powiodą Anshar i Baryn tam, gdzie dostrzegą dla swoich Domów korzyść, a Arymillę opuszczą równie szybko i ochoczo, jak się do niej przyłączyły. Kiedy nadejdzie pora.

Większość mężczyzn brnących przez rozdeptany do błota śnieg albo zerkających z nadzieją w obrzydliwe kociołki stanowili farmerzy i wieśniacy, powoływani pod sztandar danego lorda lub lady. Niektórzy nosili symbol jakiegoś Domu na zniszczonym płaszczu lub połatanym kaftanie. Prawie niemożliwe wydawało się oddzielenie tych domniemanych żołnierzy od kowali, grotarzy i innych rzemieślników, szczególnie że niemal wszyscy nosili przy pasie miecz lub topór. O Światłości, nawet spora ilość kobiet posiadała noże tak wielkie, że można je było nazwać krótkimi mieczami, toteż prawie nie sposób było odróżnić żony wziętego do wojska farmera od kobiety pracującej jako woźnica. Wszystkie nosiły stroje z tej samej grubej wełny, miały identycznie szorstkie dłonie i równie zmęczone twarze. Zresztą te szczegóły w gruncie rzeczy nie miały znaczenia. Zimowe obleżenie okazało się straszliwą pomyłką – zbrojni zaczęli najprawdopodobniej głodować znacznie wcześniej niż miasto – jednak dla Elenii stanowiło nie lada okazję. Czekwała na

możliwość ataku. Naciągnęła kaptur jedynie na tyle, aby chronił ją przed wiatrem, nie przesłaniając przy tym twarzy i kiwała głową łaskawie każdemu, nawet najmarniejszemu prostakowi, który spojrzał w jej kierunku. Ignorowała zaskoczone spojrzenia posyłane w odpowiedzi na jej łaskawość.

Większość zapamięta jej uprzejmość, a także Złote Dziki, które nosiła jej eskorta, toteż będą wiedzieli, że Elenia Sarand zwróciła na nich uwagę. Na takiej podstawie konstruuje się fundamenty władzy. Głowa Dynastii, podobnie jak królowa, stoi wszak na wierzchołku swego rodzaju wieży, a wieżę ową tworzą ludzie. Po prawdzie, osoby na samym dole to cegielki z najpodlejszej gliny, jednak jeśli ci najpodlejsi i najprostszy zjednoczą się i zbuntują przeciwko władcy, cała „wieża” runie. O tej drobnej kwestii Arymilla najwyraźniej zapomniała, o ile w ogóle kiedykolwiek zdawała sobie z niej sprawę. Elenia wątpiła, czy Arymilla rozmawiała choć raz z kimś stojącym niżej w hierarchii społecznej od zarządcy albo osobistego służącego. Elenia nie uważała takiego dystansu za podejście... rozważne, toteż starała się zamienić kilka słów z ludźmi przy każdym ognisku, może nawet co jakiś czas uściskać czyjąś niezbyt czystą dłoń, przypominać sobie osoby, które spotkała wcześniej bądź też przynajmniej udawać, że je pamięta. A co do Arymilli – krótko mówiąc, kobiecie brakowało podstawowych cech dobrej władczyni i po prostu nie nadawała się na królową.

Obóz zajmował obszar rozleglejszy niż niejedno miasto, a właściwie składał się z setki różnego rozmiaru mniejszych obozowisk, Elenia mogła więc swobodnie i bez przeszkód jeździć po terenie, nie martwiąc się zbyt, że może zbłądzić w pobliże zewnętrznych granic. Tak czy owak, zachowywała ostrożność. Wartownicy na czatach odnosili się do niej grzecznie, o ile nie byli zupełnymi głupcami, tym niemniej bez wątpienia przede wszystkim wypełniali otrzymane rozkazy. Elenia z zasady aprobowwała ludzi wykonujących wyznaczone zadania, wołała wszakże unikać kłopotliwych incydentów. Szczególnie biorąc pod uwagę prawdopodobne konsekwencje w przypadku, gdyby Arymilla naprawdę zaczęła ją podejrzewać o próbę odejścia. Została już raz zmuszona do przespania jednej zimnej nocy w brudnym namiocie jakiegoś żołnierza, schronieniu ledwie wartym swej nazwy, pełnym robactwa i niedokładnie połatanych dziur. W dodatku nie było przy niej Janny, która powinna jej pomóc w ubieraniu i przytulić się do niej pod cienkimi kocami, dzięki czemu obu im byłoby nieco cieplej. No cóż, Elenia uważała Arymillę po prostu za osobę tępą, która niczego nie rozumie. O Światłości, pomyśleć, że musi tak rozważnie stąpać wokół tej... tej głupiej kobiety! Na tę myśl otuliła się szczelniej płaszczem i usiłowała udawać, że jej drżenie stanowi jedynie reakcję na wiatr. Och, miała inne rzeczy na głowie. Ważniejsze rzeczy. Kiwnęła głową wpatrzonemu w nią szeroko otwartymi oczyma młokosowi, który nosił na głowie ciemną szarfę zawiniętą w kształt turbana, a chłopak cofnął się, jakby go obrzuciła piorunującym spojrzeniem. Durny wieśniak!

Rozdrażniła ją kolejna myśl, gdyż nagle uprzytomniła sobie, że zaledwie kilka mil stąd ta młoda gaska Elayne siedzi sobie wygodnie w ciepłym komfortowym Królewskim Pałacu, obsługiwana przez dziesiątki dobrze wyszkolonych służących i prawdopodobnie nie zastanawia się nad niczym poważniejszym niż kreacja, w której wystąpi podczas wieczornej kolacji przygotowanej przez pałacowych kucharzy. Plotka głosiła, że dziewczyna jest w ciąży; prawdopodobnie zaszła w nią z jakimś Gwardzistą. Tak mogło być. Elayne nigdy nie posiadała poczucia przyzwoitości, podobnie jak jej matka. Opiekowała się nią Dyelin, kobieta o bystrym umyśle, niebezpieczna mimo żalostnego braku ambicji. A tej Dyelin zaś najpewniej doradzała jakaś Aes Sedai. Niezależnie od tych wszystkich pogłosek, w otoczeniu Elayne bez wątpienia przebywała co najmniej jedna prawdziwa Aes Sedai.

Z miasta docierało tak dużo bzdurnych informacji i nonsensów, że oddzielenie od nich prawdy stało się naprawdę trudne. Podobno przedstawicielki Ludu Morza umieją wycinać w powietrzu

dziury?! Cóż za absurd! Tym niemniej Biała Wieża wyraźnie przejawiała zainteresowanie tronem i pragnęła na nim usadzić jedną ze swoich. A niby dlaczego nie? Tar Valon wydawało się podchodzić pragmatycznie do tego typu spraw, z historii zaś jawnie wynikało, że osoba, która zasiadła na Tronie Lwa, wkrótce okazywała się protegowaną Wieży. Aes Sedai nie zamierzały zrywać swoich związków z Andorem, szczególnie w czasach, gdy w Białej Wieży doszło do rozdarcia. Elenia była tego równie pewna, jak własnego imienia. Właściwie, jeśli chociaż połowa rzeczy, które słyszała na temat sytuacji Wieży, była zgodna z prawdą, następna Królowa Andoru może spróbować zażądać, czego tylko zapragnie w zamian za utrzymanie tego związku w nienaruszalnym stanie. Tak czy inaczej, nikt nie umieści na jej głowie Różanego Wieńca przed latem (najwcześniej), a do tej pory mnóstwo się może zmienić. W każdym razie bardzo wiele.

Elenia objeżdżała właśnie obóz po raz drugi, kiedy dostrzegła przed sobą kolejną małą grupkę amazonek przemierzających się powoli wśród rozproszonych ognisk w ostatnim świetle dnia. Na ich widok nachmurzyła się i ostro ściągnęła cugle. Kobiety szelnie okryły się płaszczami, twarze zaś schowały głęboko w kapturach. Jedne miały na sobie ciemnoniebieskie jedwabie obszywane czarnym futrem, inne proste, szare wełny, jednak duże, srebrne Potrójne Klucze naszyte na płaszczach czterech zbrojnych jawnie określały ich przynależność. Elenia potrafiłaby wskazać mnóstwo osób, które spotkałaby chętniej od Naean Arawn. W każdym razie, skoro Arymilla nie zabroniła im wprost spotykać się bez jej udziału (na tę myśl Elenia zazgrzytała zębami tak mocno i głośno, że aż wyraźnie usłyszała ten dźwięk i poczuła ból), najmądrzejszym posunięciem wydawało się przybranie neutralnej miny i zamarkowanie uprzejmości. Chociaż nie dostrzegała żadnych korzyści płynących z takiego spotkania.

Niestety, Naean zauważyła ją, zanim Elenia zdążyła się odwrócić i odjechać, szybko przemówiła do swojej eskorty i – podczas gdy zbrojni oraz służąca nadal kłaniali się w siodłach – uderzyła boki konia obcasami i popędziła ku Elenii cwałem; kopyta czarnego wałacha wysyłały w powietrze śnieżne grudy. O Światłości, niech ta idiotka szelnie! Z drugiej strony może warto było poznać powody, które skłoniły Naean do takiej nierozwagi. W każdym razie niebezpiecznie byłoby ich nie znać. Tyle że dopytywanie się niosło z sobą także pewne zagrożenie.

– Zostańcie tutaj i pamiętajcie, że niczego nie widzieliście – warknęła Elenia do własnej wątłej świty, po czym, nie czekając na odpowiedź ludzi, kopnęła piętami boki Wiatru Świtu i wyjechała naprzeciw Naean.

Nie potrzebowała ze strony otoczenia wyszukanych ukłonów i uprzejmych dygnięć – za każdym razem, gdy się odwróci... Wystarczyła jej minimalna przyzwoitość i szacunek, a jej ludzie o tym wiedzieli i zawsze trwali w oczekiwaniu na jej rozkazy. Za to o wszystkich innych musiała się martwić, niech szelnie!

Gdy długonogi gniadosz skoczył naprzód, Elenia wypuściła z rąk poły płaszcza, który popłynął za nią niczym szkarłatny sztandar Sarandów. Nie chwyciła okrycia ponownie, pędząc na oczach farmerów i Światłość jedna wie, na czyich jeszcze, więc wiatr szarpał także suknią do jazdy konnej, dając jej kolejny powód do rozdrażnienia.

Naean miała przynajmniej na tyle poczucia przyzwoitości, że zwolniła, toteż obie kobiety spotkały się mniej więcej w połowie drogi, obok dwóch ciężko obciążonych wozów, których puste dyszle leżały w błocie. Najbliższe ognisko paliło się prawie dwadzieścia kroków stąd, jeszcze dalej znajdowały się najbliższe namioty, których klapy wejściowe z powodu zimna szelnie zasnurowano. Ludzie przy ogniu koncentrowali się zresztą na dużym, żelaznym naczyniu parującym nad płomieniami i chociaż dochodzący stamtąd odór przyprawiał Elenię o mdłości i chęć wymiotów, wiatr niosący ów smród równocześnie nie dopuszczał do siedzących tam osób słów, które wymienia

dwie kobiety. A powinny to być słowa ważne.

Dzięki częściowo skrytej pod obszytym czarnym futrem kapturem twarzy tak bladej jak kość słoniowa, niektórzy mogliby uważać Naeana za piękność – nawet mimo jej surowej miny, nieco wykrzywionych ust i zimnych niczym niebieski lód oczu. Wyprostowana i na pozór całkiem spokojna Naeana wydawała się podchodzić do wszelkich przeszłych zdarzeń z zupełną obojętnością. Jej oddech, wydobywający się z ust w postaci białej mgły, był mocny i równomierny.

– Wiesz, gdzie dzisiaj śpimy, Elenio? – spytała chłodno.

Jej towarzyszka w żaden sposób nie zamierzała się powstrzymać przed piorunującym spojrzeniem.

– Czy po to przybyłaś? – odparowała. Ryzykowała niezadowolenie Arymilli z powodu takiego głupiego pytania?! Elenię zdenerwowała myśl o ryzyku związanym z niezadowoleniem Arymilli, którego z całych sił starała się uniknąć, więc prawie warknęła na drugą kobietę: – Wiesz tyle samo co ja, Naeana.

Szarpnąwszy cugle, już odwracała swego wierzchowca, gdy jej towarzyszka odezwała się ponownie, z lekką złością w głosie.

– Nie udawaj przy mnie naiwnej, Elenio. I nie mów mi, że nie jesteś równie gotowa jak ja do ucieczki z tej pułapki. No! Możemy przynajmniej markować grzeczność?

Elenia zatrzymała Wiatr Świtu w połowie odwrotu od Naeana i ze swego obszytego futrem kaptura popatrzyła bokiem na drugą kobietę. W ten sposób z ukrycia mogła także obserwować ludzi tłoczących się wokół najbliższego ogniska. Nigdzie nie dostrzegła symboli któregośkolwiek z Domów, osoby te mogły zatem służyć komukolwiek. Co jakiś czas ten czy ów, chroniąc nagie ręce pod pachami, spojrzał ku dwóm amazonkom, jednak naprawdę chyba interesowała ich jedynie bliskość dającego ciepło ognia. Może jeszcze obchodziła ich gotująca się wołowina i czas potrzebny na przyrządzenie mięsa do postaci jadalnej. Zresztą wyglądali na takich, którzy zjedzą wszystko.

– Sądysz, że możesz stąd uciec? – spytała cicho. Grzeczność jej odpowiadała, lecz nie za cenę pozostawania tutaj dłużej, niż było to absolutnie konieczne. Jeśli Naeana widziała wszakże drogę wyjścia... – W jaki sposób? Zobowiązanie, które podpisałaś dla poparcia Domu Marne, do tej pory widziała już połowa Andoru. Poza tym, chyba nie sądzisz, że Arymilla pozwoli ci po prostu odjechać.

Naeana wzdrygnęła się, a Elenia nie mogła się powstrzymać przed lekkim uśmieszkiem. Jej rozmówczyni wcale nie była zatem tak obojętna, jak udawała. A jednak gdy odpowiedziała, udało jej się zachować spokojny ton.

– Elenio, widziałam wczoraj Jarida, który nawet z oddali wyglądał jak chmura gradowa. Pędził tak szybko, że bałam się, iż on i wierzchowiec skręcą sobie karki. Jeśli znam twój męża, już zamyśla nad planem wyciągnięcia cię z oblężenia. Splunąłby dla ciebie Czarnemu w oko. – To było prawdą. Jarid z pewnością by tak postąpił. – Chciałabym, żeby w swoich planach wziął pod uwagę również moją osobę. Na pewno się ze mną w tej kwestii zgodzisz.

– Mój mąż podpisał to samo zobowiązanie, które ty podpisałaś, Naeana, a jest wszak człowiekiem honorowym.

Był wręcz zbyt honorowy, choć Elenia jeszcze przed ślubem korzystała z jego porad. Zobowiązanie podpisał, ponieważ sama je napisała i mu podsunęła, zresztą nie miała wtedy wyboru. Teraz zaś odstąpiłby od niego (choć niechętnie), gdyby Elenia była na tyle szalona, żeby go o to poprosić. Tyle że... w obecnej chwili miała niejakie trudności z poinformowaniem go, czego pragnie. Arymilla bardzo się starała nie dopuszczać do siebie małżonków na dystans bliższy niż mila. Elenia panowała nad wszystkim – na tyle, na ile mogła w tych okolicznościach – musiała się jednak

skontaktować z Jaridem, choćby właśnie po to, by go powstrzymać przed „wyciągnięciem jej z obłączenia”. Splunąć Czarnemu w oko? Jarid mógłby zniszczyć ich oboje, szczerze wierząc, że swoim zachowaniem jej pomaga. Może podjąłby to ryzyko, nawet gdyby wiedział, co jego akcja dla nich oznacza.

Wielkiego wysiłku wymagało ukrycie frustracji i furii, która nagle zawładnęła jej ciałem, jednak Elenia przykryła gniew i inne emocje uśmiechem. Szczyciła się, że potrafi w każdej sytuacji przywołać na twarz uśmiech. W jej aktualnej minie było nieco zaskoczenia. I trochę pogardy.

– Niczego nie planuję, Naean, podobnie jak Jarid, jestem tego pewna. Gdybym wszakże miała jakieś plany, dlaczego miałabym włączyć w nie twoją osobę?

– Ponieważ jeśli nie weźmiesz mnie w nich pod uwagę – odparła otwarcie Naean Arawn – Arymilla może się o nich dowiedzieć. Pewnie jest głupia i niewiele zauważa poza własną osobą, lecz na pewno więcej pojmie, jeśli ktoś wskaże jej kierunek, w którym powinna zerknąć. I może wtedy będziesz musiała dzielić namiot ze swoim... hmm... ukochanym w każdą noc, że nie wspomnę o ochronie ze strony jego zbrojnych.

Kiedy Elenia uświadomiła sobie, kogo Naean ma na myśli, jej uśmiech zgasł, a głos stał się lodowaty, dopasowując się do lodowej kuli, która nagle wypełniła jej żołądek.

– Zachowuj ostrożność, gdy coś mówisz, w przeciwnym razie Arymilla poprosi swojego Tarabonianina, żeby zabawił się z tobą w kotka i myszkę. Wierz mi, że to akurat mogę ci zagwarantować.

Wydawało się niemożliwe, żeby twarz Naean mogła się stać jeszcze bledsza, a jednak się stała. Kobieta straszliwie zakołysała się w siodle i złapała Elenię za rękę, może obawiając się, że spadnie. Poryw wiatru szarpnął połami jej płaszcza, lecz Naean pozwoliła im trzepotać. Zimne oczy otworzyła teraz szeroko. Nijak nie starała się ukryć strachu. Może wypadki zaszły za daleko i nie potrafiła już maskować lęku. Jej głos zabrzmiał teraz chrypliwie. Kobieta wyraźnie panikowała.

– Wiem, że ty i Jarid coś planujecie, Elenio. Wiem o tym! Proszę, weź mnie z sobą, a... a rękę, że Dom Arawn cię wesprze. Natychmiast, kiedy uwolnię się od Arymilli.

Och, naprawdę była wstrząśnięta, że coś takiego zaproponowała.

– Chcesz przyciągnąć jeszcze większą uwagę? – warknęła na nią Elenia, uwalniając się od jej uścisku. Wiatr Świtu i czarny wałach Naean tańczyły nerwowo, wyczuwając nastrój obu amazonek i Elenia mocno ściągnęła cugle, starając się zapanować nad gnioszkiem. Dwaj spośród mężczyzn przy ognisku pospiesznie spuścili głowy. Bez wątplenia uważali, że widzą dwie arystokratki sprzeczące się w zapadającym zmierzchu i nie chcieli, by któraś odreagowała na nich swoją wściekłość. Tak, musiało właśnie o to chodzić. Pewnie lubią plotkować, z pewnością jednak wolą się nie wplątywać w takie kłótnie.

– Nie mam żadnych planów związanych z... ucieczką. Kompletnie żadnych – zapewniła Elenia spokojniejszym tonem drugą kobietę. Zaciśnęła poły płaszcza, po czym powoli odwróciła głowę i sprawdziła wozy oraz najbliższe namioty. Jeśli Naean aż tak się przestraszyła... Gdyby w powietrzu niespodziewanie pojawiło się wycięcie, otwór... Nie było wprawdzie w pobliżu żadnego, przez które ktoś mógłby podsłuchać ich rozmowę, tym niemniej Elenia wciąż mówiła cicho. – Oczywiście istnieje możliwość, że sytuacja się zmieni. Któż może przewidzieć, co się zdarzy? Jeśli tak się stanie, obiecuję ci na Światłość i na moją nadzieję odrodzenia, że nie odejdę stąd bez ciebie. – Na twarzy Naean pojawiło się zaskoczenie, ale i nadzieja. Elenia stwierdziła, że czas na przedstawienie haczyka. – Tyle że... wolałabym mieć w swoim posiadaniu list napisany twoją ręką, podpisany przez ciebie i z twoją pieczęcią... list, w którym jawnie z własnej i nieprzymuszonej woli odżegnujesz się od poparcia dla Domu Marne, a także przysięgasz, że Dynastia Arawn pomoże mi w zdobyciu tronu.

Na Światłość i na twoją nadzieję odrodzenia. Tak wygląda mój warunek.

Naean wykonała nagły ruch głową, a następnie dotknęła językiem wargi. Przesunęła wokół siebie wzrokiem, jakby szukała skądś pomocy lub drogi wyjścia. Karosz nadal parskał i tańczył w miejscu, jego pani – choć prawdopodobnie nieświadomie – ścisnęła wodze mocniej, starając się nie dopuścić do ucieczki konia. Tak, przestraszyła się, z pewnością się przestraszyła, nie tak bardzo wszakże, by nie wiedziała, czego żąda od niej Elenia. W historii Andoru istniało wiele przykładów takich umów i przysiąg. Póki nic nie znajdowało się na piśmie, pozostawało tysiąc możliwości, ale istnienie listu całkowicie zmieniało stan rzeczy. Gdyby Naean przekazała Elenii swoje oświadczenie, wszystko stałoby się jasne. Elenia zyskałaby ogromną przewagę nad Naean, szczególnie że publikacja pisma równałaby się zgubie tamtej, chyba że Elenia zachowa się głupio i przyzna, iż wywarła na Naean presję. Po takiej rewelacji Naean mogłaby udawać, że nic się nie zdarzyło, obie jednak wiedziały, że wówczas nawet Dom, wśród którego członków rządu dochodziło do rozmaitych antagonizmów niż między członkami Dynastii Arawn... Dom, w którym znacznie mniej kuzynów, ciotek i wujów gotowych było zaszkodzić każdemu innemu krewniakowi w mgnieniu oka... nawet taki Dom po prostu by się rozpadł. Mniejsze Dynastie zaś, choć od pokoleń związane z Arawnami, natychmiast poszukałyby ochrony gdzieś indziej. W ciągu kilku lat, a może i wcześniej, Naean stałaby się Głową pomniejszej, zdyskredytowanej grupki. Och tak, historia zna wiele podobnych przypadków.

– Już wystarczająco długo gawędzimy na osobności. – Elenia zebrała wodze. – Wołałabym nie wzbudzać plotek. Może znajdziemy lepszą okazję do rozmowy, zanim Arymilla obejmie tron. – „Cóż za nieprzyjemna myśl!”. – Być może.

Druga kobieta westchnęła głośno i ciężko, jakby usiłowała pozbyć się z ciała całego powietrza, Elenia wszakże zawracała już – ani szybko, ani wolno – swojego konia, wyraźnie zamierzając odjechać.

– Zaczekaj! – powstrzymała ją Naean z natarczywością w głosie.

Elenia obejrzała się przez ramię, po czym zastygła w miejscu. Czekwała. Nie powiedziała ani słowa. Uważała, że wyjaśniły już sobie wszystko, co trzeba było wyjaśnić. Pozostała co najwyżej jeszcze tylko jedna kwestia – pytanie, czy Naean jest aż tak zdesperowana, że dobrowolnie odda się w ręce Elenii Sarand. Powinno się udać. Naean nie miała nikogo takiego jak Jarid, mężczyzny chętnego jej pomóc. W gruncie rzeczy, wszyscy przedstawiciele Domu Arawn, którzy choćby zasugerowali, że Naean potrzebuje pomocy, prawdopodobnie szybko trafiali do więzienia. Naean karała ich w ten sposób za podważanie jej samodzielności i władzy. Bez Elenii Naean może się zestarzeć w niewoli.

Tyle że jeśli napisze i przekaże pismo, znajdzie się w niewoli zupełnie innego rodzaju. Elenia, mając w ręku pismo Naean, pozwoli tamtej niemal na każdy przejaw kompletnej wolności. Naean była dość bystra, więc to rozumiała. Albo po prostu przestraszyła się wzmianki o Tarabonianinie.

– Dam ci dokument najszybciej, jak zdołam – dodała zrezygnowanym tonem.

– Niecierpliwie na niego czekam – mruknęła Elenia, prawie nie starając się ukryć satysfakcji. O mało nie dorzuciła: „Ale nie zwlekaj z tym zbyt długo”, na szczęście się powstrzymała. Może pokonała w tej chwili Naean, wiedziała jednak, że pokonany wróg wciąż może w każdej chwili wyjąć nóż, zwłaszcza jeżeli druga strona posunie się zbyt daleko. Poza tym Elenia bała się gróźb Naean równie mocno, jak tamta bała się jej pogroźek. A może nawet bardziej. Na szczęście Naean do tej pory nie odkryła tego faktu.

Po powrocie do swoich zbrojnych Elenia zauważyła, że jej nastrój jest w tym momencie pogodniejszy, niż był od czasu... Hmm... Na pewno nie była tak zadowolona od czasu, gdy jej

„wybawcy” okazali się ludźmi Arymilli. Może nawet od czasu uwięzienia przez Dyelin w Aringill, chociaż tam Elenia ani na chwilę nie straciła nadziei. Trzymano ją wówczas w domu gubernatora, siedzibie całkiem wygodnej, nawet jeżeli musiała dzielić apartament z Naean. Bez problemu kontaktowała się wtedy z Jaridem i myślała o możliwości najazdu wraz z Gwardią Królowej. Tak wielu Gwardzistów dopiero co przybyło z Cairhien, że nie mieli... pewności... komu są winni lojalność.

Jednym słowem to cudownie przypadkowe spotkanie z Naean podniosło ją na duchu tak bardzo, że uśmiechnęła się do Janny i obiecała jej sporo nowych sukienek, kiedy tylko wkroczą do Caemlyn. Za swoje przyrzeczenie otrzymała odpowiedni, sugerujący wdzięczność uśmiech tej kobiety o pulchnych policzkach. Elenia zawsze kupowała swojej służącej nowe sukienki, ilekroć czuła się wyjątkowo dobrze. Doskonały humor okazywał się dostatecznym powodem do zakupów. W ten sposób zapewniała sobie zarówno lojalność, jak i dyskrecję, a Janny rzeczywiście od dwudziestu lat pozostawała jej wierna.

Słońce miało obecnie kształt czerwonej obręczy doskonale widocznej nad drzewami. Nadeszła pora znaleźć Arymillę, która powie Elenii, gdzie ma spędzić dzisiejszą noc. Oby Światłość dała jej przyzwoite łóżko w ciepłym, lecz niezbyt zadymionym namiocie, a wcześniej odpowiedni posiłek. W tym momencie Elenia nie mogła prosić o więcej. Nawet ta myśl jednakże nie popsuka jej humoru, nie tylko więc kiwała głową mijanym grupkom mężczyzn i kobiet, lecz nawet uśmiechała się do tego czy owej. Jeszcze chwila i zacznie do nich machać! Wszystkie sprawy wyglądały znacznie lepiej niż do tej pory. Nie pozbyła się po prostu Naean jako rywalki do tronu, lecz podporządkowała ją sobie, uzależniła od siebie albo prawie uzależniła... Dzisiejsze zdarzenie może wystarczyć – na pewno wystarczy! – by przekonać Karind i Lir. Sporo osób chętnie zaakceptuje na tronie kogoś spoza Dynastii Trakand. Na przykład Ellorien. Wszak Morgase ją wychłostała! Ellorien nigdy nie poparłaby Trakandów. Przypuszczalnie także Aemlyn, Arathelle i Abelle, gdyż one również miały do Domu Trakand pretensje, które Elenia z rozkoszą wykorzysta. Może powinna również pomyśleć o wsparciu Pelivara czy Luana. Tak, tak, musi jeszcze dokładniej zbadać grunt. I nie lekceważyć posiadanej przez tę hałaśliwą dziewczuchę, Elayne, przewagi w postaci Caemlyn. W sensie historycznym, samo utrzymanie się w Caemlyn wystarczało dla zdobycia poparcia co najmniej czterech czy pięciu Domów.

Kluczową sprawą była oczywiście synchronizacja w czasie, w przeciwnym razie wszelkie korzyści trafią się Arymilli, jednak Elenia oczyma wyobraźni już widziała siebie na Tronie Lwa, podczas gdy Głowy wszystkich Domów klękały przed nią, przysięgając jej lenniczą wierność. Miała już w pamięci listę Główn Dynastii, które należy zastąpić innymi osobami. Nikt, kto jej się sprzeciwił, nie będzie później sprawiał kłopotów, Elenia na to nie pozwoli. Może dojdzie do serii nieszczęśliwych wypadków. Szkoda, że sama nie może wybrać następców tamtych ludzi, jednak wypadki zdarzą się prawdopodobnie niewiarygodnie często.

Jej radosne dumania przerwał chudy osobnik, który nagle zjawił się obok niej na krępym siwku. Oczy mężczyzny błyszczały niezdrowo w gasnącym świetle. Z jakiegoś powodu Nasin nosił w swoich cienkich białych włosach gałązki zielonej jedliny, które sprawiały, że wyglądał, jak gdyby niedawno wspinał się po drzewach. Z kolei jego kaftan i płaszcz z czerwonego jedwabiu przyozdobiono tak jaskrawymi haftami przedstawiającymi kwiaty, że obie części stroju mogłyby uchodzić za illiańskie kobierce. Jednym słowem mężczyzna prezentował się groteskowo. Był jednakże Głową najpotężniejszego Domu w Andorze. I wydawał się kompletnie szalony.

– Elenia, mój ukochany skarb – ryknął, opryskując się śliną. – Jakże słodki stanowisz widok dla moich oczu. Przy tobie miód wydaje się zatęchły, a róże bezbarwne.

Elenia bez zastanowienia pospiesznie skierowała Wiatr Świtu w tył i na prawo, stając za brązową klaczą Janny, która odgrodziła ją od Nasina.

– Nie jestem twoją narzeczoną, Nasinie – warknęła, sapiąc ze złości, że musiała wypowiedzieć takie stwierdzenie na głos, wobec wszystkich. – Jestem mężatką, stary głupcze! Czekać! – dodała, gwałtownie machnąwszy ręką.

Rozkaz i gest przeznaczone były dla jej zbrojnych, którzy położyli już dłonie na rękojeściach mieczy i przeszywali Nasina przepelnionymi nienawiścią spojrzeniami. Mężczyźni towarzyszyło około trzydziestu lub czterdziestu osobników z Mieczem i Gwiazdą Domu Caeren. Ludzie ci z pewnością nie zawahaliby się posiekać na kawałki każdego, kogo uważali za zagrożenie dla Głowy ich Dynastii. Niektórzy już na wpół wysunęli ostrza z pochew. Nie skrzywdziliby oczywiście Elenii. Gdyby ją chociaż posiniaczyli, Nasin powywieszałby ich co do jednego. O Światłości, nie wiedziała, śmiać się z tego czy płakać.

– Nadal boisz się tego młodego przygłupa, Jarida? – spytał Nasin, kierując ku niej swego wierzchowca. – Ten człowiek nie ma żadnego prawa dalej ci się naprzykrzać. Został zwyciężony i powinien się pogodzić z przegraną. Wyzwę go! – Jedną ręką, której straszliwą kościstość jawnie podkreślała bardzo obcisła, czerwona rękawiczka, opadła na rękojeść miecza, którego mężczyzna nie wyciągał z pochwy prawdopodobnie od dobrych dwudziestu lat. – Potnę go jak psa za to, że cię przeraża!

Elenia poruszyła zwinnie Wiatrem Świtu, Nasin sunął jednak za nią, toteż oboje objechali Janny, która wymamrotała przeprosiny pod adresem Nasina i udawała, że pragnie zjechać mu z drogi, lecz nie potrafi zapanować nad swoją klaczą. Elenia z wdzięczności dodała w myślach subtelny haft do sukienek, które zamierzała kupić służącej. Chociaż Nasin nie wydawał się szczególnie rozgarnięty, w każdej chwili mógł przejść od słodkich słówek i dworskiej miłości do obłapiania jej niczym tawernianej dziewczyny. Tego Elenia nie potrafiłaby znieść, nie znowu i na pewno nie publicznie. Krążąc, zmusiła się do zatroskanego uśmiechu, choć po prawdzie uśmiech wymagał od niej więcej wysiłku niż troska. Jeśli ten stary dureń zmusi Jarida do zabicia go, stanie się coś strasznego, a ich plan zostanie całkowicie zrujnowany!

– Wiesz, że nie mogę pozwolić, aby mężczyźni o mnie walczyli, Nasinie. – Przemawiała nerwowo i niespokojnie, ale nie próbowała panować nad tonem. Uważała, że ma w tym momencie prawo zarówno do nerwowości, jak i do niepokoju. – Jak mogłabym kochać człowieka, który ma krew na rękach?

Groteskowy osobnik zmarszczył czoło i długi nos, toteż Elenia zaczęła się zastanawiać, czy nie posunęła się za daleko. Bez dwóch zdań, był szalony jak postrzałek, lecz nie do końca, nie zawsze i nie w każdej sprawie.

– Nie miałem pojęcia, że jesteś taka... wrażliwa – oświadczył wreszcie. Nie zatrzymał się, nadal usiłując objechać Janny. Rysy jego pomarszczonej twarzy nagle się rozpuściły. – Chociaż powinienem był przypuszczać. Od tej chwili będę o tym pamiętał. Pozwolę Jaridowi żyć. Póki nie będzie cię niepokoił.

Niespodziewanie popatrzył na służącą wzrokiem człowieka, który widzi kogoś po raz pierwszy i jego twarz skrzywiła się w pełnym irytacji grymasie, on sam zaś podniósł wysoko rękę i zacisnął ją w pięść. Pulchna kobieta wyraźnie nastawiła się na cios i nawet się nie poruszyła. Elenia zazgrzytała zębami. Kupi jej sukienkę nie dość, że haftowaną, to jeszcze z jedwabiu. Zdecydowanie niewłaściwy strój dla służącej, lecz Janny z pewnością na taki zasłużyła.

– Lordzie Nasin, wszędzie cię szukam – rozległ się kokieteryjny kobiecy głos i mężczyzna zatrzymał konia.

Kiedy z półmroku wyłoniła się Arymilla wraz ze swoją świtą, Elenia najpierw westchnęła z ulgą, po chwili jednak musiała zdławić napływającą furię spowodowaną tymże uczuciem ulgi. W przesadnie wyszukanej, haftowanej sukni z zielonego jedwabiu, obszytej koronką przy kołnierzu i na mankietach, Arymilla wyglądała pulchnie, niemal korpulentnie. Jej uśmiech był bezmyślny, a brązowe oczy jak zwykle zbyt szeroko otwarte – zawsze tak spoglądała, udając zainteresowanie, nawet gdy wokół nie znajdowało się zupełnie nic ciekawego. Wyraźnie nie posiadała dość rozumu, by wychwycić wszystkie niuanse danej sytuacji, nie sposób było jej wszakże odmówić sprytu, dzięki któremu zdawała sobie sprawę z istnienia kwestii, które powinny ją zainteresować. Na wszelki wypadek wolała zatem nigdy nie dawać nikomu do zrozumienia, że coś przegapiła. Tak naprawdę ważne były dla niej zresztą jedynie własne wygody i odpowiedni dochód, który jej je zapewni, toteż jedynym powodem dla objęcia tronu wydawał jej się królewski skarbiec, którego zawartość gwarantowała wspanialsze korzyści niż pieniądze dostępne każdej Głowie Dynastii. Jej świta była większa niż Nasina, chociaż zaledwie w połowie stanowili ją zbrojni jej Domu z godłem Czterech Księżyców, resztę zaś tworzyli przeważnie wazelinarze i faworyci, pomniejsi lordowie, lady mniej znaczących Domów i inne osoby skłonne przypochlebiać się Arymilli, byleby tylko znaleźć się blisko władzy. A Arymilla uwielbiała wszelkiej maści lizusów. Towarzyszyła jej także Naean, która czekała obok głównej grupy wraz ze swoimi zbrojnymi i służącą. Rozglądała się wokół spokojnie i znów wyglądała na całkowicie opanowaną. Chociaż trzymała się wyraźnie z dala od Jaqą Lounalta, szczupłego mężczyzny w jednej z tych groteskowych, taraboniańskich zasłon skrywającej jego ogromne wąsy oraz stożkowej czapce, która podwyższała kaptur jego płaszczu do śmiesznej wysokości. Lounalt zbyt często się uśmiechał. Zdecydowanie nie wyglądał na osobnika, który przy użyciu zaledwie kilku sznurów potrafi zmusić każdego do błagania o litość.

– Arymillo – odezwał się Nasin zmieszonym tonem. Spojrzał z marsową miną na swoją pięść, dziwiąc się, że ją podniósł, po czym szybko opuścił rękę na łęk siodła, a swej niemądrej rozmówczyni posłał promienny uśmiech. – Arymillo, moja droga – dodał ciepło.

Elenii nigdy nie traktował z tego rodzaju ciepłem. Można by mniemać, że uważał Arymillę Marne za swoją córkę i to w dodatku tę najbardziej ulubioną. Kiedyś Elenia słyszała zresztą jego długą opowieść o związku z kobietą, jego ostatnią żoną, która była jakoby matką Arymilli. Z tego jednak, co wiedziała, Arymilla nigdy nie spotkała Miedelle Caeren. Tym niemniej, mimo ojcowskich uśmiechów, które posyłał teraz Arymilli, Lord Nasin przeszukiwał równocześnie wzrokiem ledwie widoczny w mroku tłumek stojących za nią konnych.

Nagle jego twarz złagodniała, gdyż dostrzegł Sylvase, swoją wnuczkę i spadkobierczynię, krzepką, opanowaną młodą kobietę, która odpowiedziała na jego spojrzenie bez uśmiechu, po czym naciągnęła mocniej na głowę ciemny, obsyty futrem kaptur. Ta dziewczyna nigdy się nie uśmiechała, nie marszczyła brwi ani nie pokazywała żadnych innych emocji (w każdym razie Elenii nie udało się nigdy żadnych dostrzec), stale tylko zachowując tępą, krowią minę. Najwyraźniej jej umysł też przywodził na myśl krowi mózdzek. Arymilla trzymała Sylvase bliżej siebie niż Elenię czy Naean i również takie postępowanie zapewniało jej poparcie Nasina. Ten mężczyzna może być szalony, lecz także – niezawodnie – chytry.

– Mam nadzieję, że dobrze się opiekujesz moją małą Sylvase, Arymillo – mruknął Nasin. – Wszędzie krążą obecnie łowcy posagów, a dzięki tobie moja ukochana dziewczynka pozostanie bez wątpienia bezpieczna.

– Oczywiście, że dobrze się nią opiekuję – odparła Arymilla, niemal całkowicie skupiona na swojej przekarmionej i przyciężkawej klaczy, którą czule głaskała. Jej ton był słodki jak miód i obrzydliwie dziecinny. – Wiesz, że ze wszystkich sił zadbam o jej bezpieczeństwo. – Uśmiechnąwszy

się tym swoim gapiowatym uśmiechem, zaczęła poprawiać Nasinowi płaszcz na ramionach i wygładzać mu go z wyrazem twarzy osoby układającej szal na ramionach ukochanego inwalidy. – Jest tu dla ciebie o wiele za zimno. Wiem, czego potrzebujesz, mój drogi, a mianowicie ciepłego namiotu i nieco gorącego wina z przyprawami. Będę szczęśliwa, jeśli przykażę mojej służącej, aby je dla ciebie przygotowała. Arlene, będziesz towarzyszyć Lordowi Nasinowi do jego namiotu i zagrzejesz mu mocno przyprawione wino.

Szczupła kobieta z jej świty gwałtownie drgnęła, po czym ruszyła powoli naprzód. Gdy odrzuciła kaptur prostego niebieskiego płaszczka, oczom Elenii ukazała się ładna twarzyczka z drżącym uśmiechem. Nieoczekiwanie wszyscy pochlebcy i faworyci zaczęli się szczerzej otaczać płaszczami albo naciągać mocniej rękawiczki, patrząc wszędzie, byle nie na służącą Arymilli. Szczególnie kobiety starały się na nią nie spoglądać. Równie dobrze Arymilla mogłaby przecież wybrać jedną z nich, o czym doskonale wiedziały. Co osobliwe, Sylvase nie odwróciła wzroku. Nie sposób było wprawdzie zobaczyć jej skrytej pod kapturem twarzy, jednak bez dwóch zdań otwarcie spoglądała za smukłą Arlene.

Nasin wyszczerzył zęby, przez co jeszcze bardziej niż zwykle przypominał lubieżnego capa.

– Tak, tak, chętnie się napiję wina grzanego z korzeniami. Arlene, zgadza się? Chodź, Arlene, sympatyczna dziewczyno. Nie zmarzłaś chyba za bardzo, co? – Służąca zapiszczała, kiedy zarzucił jej na ramiona połę swego płaszczka i przeniósł dziewczynę na swoje siodło. – Obiecuję, że się ogrzejesz w moim namiocie.

Nie rozglądając się dłużej, odjechał stępa, chichocząc i szepcząc coś do ucha młodej kobiecie, którą trzymał pod pachą. Jego zbrojni podążyli za nim. Rozległo się skrzywienie skóry i powolny, przytłumiony stukot kopyt w miękkim śniegu. Jeden z mężczyzn zaśmiał się, jakby jego towarzysz powiedział coś zabawnego.

Elenia z oburzeniem potrząsnęła głową. Podsunięcie Nasinowi ładnej kobiety i oderwanie w ten sposób jego uwagi to jedna rzecz (kobieta nie musiała nawet być tak ładna, jako że starego capa interesowała każda, którą mógłby przyprzeć do muru), ale wykorzystanie w tym celu własnej służącej było naprawdę wstrętne. Chociaż nie tak wstrętne jak sam Nasin.

– Arymillo, przyrzekłaś, że będziesz go trzymać z daleka ode mnie – oświadczyła niskim, napiętym głosem Elenia. Ten lubieżny starzec niespełna rozumu może na razie zapomniał o jej istnieniu, jednak na pewno sobie o niej przypomni następnym razem, gdy ją zobaczy. – Przyrzekłaś, że stale będzie czymś zajęty.

Twarz Arymilli zmarkotniała, a ona sama rozdrażnionym gestem poprawiła rękawiczki do jazdy konnej. Widocznie nie dostała czegoś, co dostać chciała. A to był dla niej wielki grzech.

– Jeśli obawiasz się swoich wielbicieli, powinnaś trzymać się blisko mnie, zamiast włóczyć się samotnie po obozowisku. Moja wina, że przyciągasz mężczyzn? Poza tym, właśnie cię uratowałam i nie usłyszałam za to ani słowa podziękowania.

Elenia zacisnęła zęby tak mocno, że aż rozboleły ją szczęki. Doprowadzało ją do szału już samo udawanie, że z własnej woli popiera tę kobietę. Miała wybór: napisać do Jarida albo znieść przedłużony miesiąc miodowy ze swoim „narzeczonym”. O Światłości, mogłaby dokonać tego wyboru, gdyby nie pewność, że Nasin od razu zamknie ją w jakiejś odległej od świata rezydencji, gdzie – kiedy Elenia w końcu przyzwyczai się do jego szurania – sam w końcu zapomni, że ją w niej umieścił. Potem zaś po prostu ją tam zostawi! Arymilla wszakże kazała jej grać tę komedię. Nalegała zresztą również na wiele innych rzeczy, czasem trudnych do zniesienia, które jednak Elenia musiała ścierpieć. Jeszcze przez jakiś czas. Być może za kilka dni, gdy sprawy się wyjaśnią, pan Lounalt zacznie zwracać baczniejszą uwagę na samą Arymillę.

Elenii udało się przywołać na oblicze przepraszący uśmiech i zmusiła się do pochylenia szyi, jakby sama należała do tych podlizujących się Arymilli i patrzących na nią chciwie pijawek. Zapewne płaszcząc się przed Arymillą, potwierdziła właśnie sensowność ich zachowań. Skoro nawet Elenia Sarand się płaszczyła, i oni mieli do tego prawo. Czując na sobie ich spojrzenia, zaczęła odnosić wrażenie, że jest brudna i zapragnęła natychmiast wziąć kąpiel. A na myśl, że postępuje w ten sposób na oczach Naeana, miała ochotę wrzasnąć.

– Arymillo, oferuję ci całą wdzięczność, jaką w sobie znajduję. – No cóż, właściwie nie kłamała, gdyż „wszelka wdzięczność”, jaką w sobie znajdowała, równała się praktycznie pragnieniu uduszenia tej kobiety. Czy też raczej pragnieniu długiego i bardzo powolnego jej duszenia... Zanim się jednak zmusiła do wypowiedzenia kolejnego zdania, potrzebowała głębokiego wdechu. – Proszę, przebac mi moje spóźnienie. – Po tych słowach wypełniła ją prawdziwa gorycz. – Z powodu Nasina jestem straszliwie zakłopotana. Wiesz, jak Jarid zareaguje, jeśli dowie się o zachowaniu starego lorda.

Na końcu tego zdania jej ton stał się ostry, tym niemniej jej głupia rozmówczyni po prostu... zachichotała. Zachichotała!

– Oczywiście, że ci przebaczam, Elenio – odparła Arymilla ze śmiechem. Jej twarz się rozjaśniła. – Musisz go tylko o wszystkim poinformować, zgadza się? Jarid jest trochę w gorącej wodzie kąpany, nieprawdaż? Powinnaś do niego napisać i powiadomić go o swoim zadowoleniu... Jesteś przecież zadowolona z obecnej sytuacji, prawda? Możesz podyktować list mojemu sekretarzowi. Nie cierpię plamić sobie palców atramentem, wiesz?

– Na pewno jestem zadowolona, Arymillo. Jakże mogłabym nie być tej sytuacji rada?

Tym razem uśmiech przyszedł jej bez wysiłku. Ta kobieta wyraźnie uważała się za bystrą. Skorzystanie z usług jej sekretarza wykluczało wprawdzie możliwość użycia atramentu sympatycznego, Elenia mogła wszakże przekazać Jaridowi całkiem otwarcie prośbę, dzięki której małżonek bez konsultacji z nią nie wykona żadnego ryzykownego ruchu. A ta idiotka pomyśli, że Elenia okazuje jej po prostu posłuszeństwo!

Kiwając głową, jawnie dumna z siebie Arymilla zebrała cugle. Członkowie świty poszli w jej ślady. Gdyby Arymilla Marne nasadziła sobie na głowę garnek i nazwała go kapeluszem, zapewne od razu zrobiliby to samo.

– Robi się późno – oświadczyła. – Ja zaś chcę jutro wyruszyć wczesnym rankiem. Kucharz Aedelle Baryn przygotował dla nas doskonały posiłek. Elenio, ty i Naean pojedziecie ze mną.

Chciała chyba, żeby poczuły się zaszczycone tym zaproszeniem, toteż musiały udać, że rzeczywiście sprawiła im przyjemność. Podjechały do Arymilli i ustawiły konie po obu stronach jej klaczy.

– No i oczywiście, ty, Sylvase. Chodź, Sylvase, moja droga.

Wnuczka Nasina nieco się zbliżyła, jednakże nie podjechała aż do tej trójki, lecz zatrzymała się nieco z tyłu, w otoczeniu pochlebców depreczających po piętach Arymilli, która nie zaprosiła ich do najbliższej sobie grupy. Mimo kapryśnego, lodowatego wiatru szarpiącego płaszczami, kilka kobiet i dwóch czy trzech mężczyzn bez powodzenia próbowało wciągnąć Sylvase w rozmowę. Dziewczyna jednakże rzadko wypowiadała więcej niż dwa słowa naraz. Tym niemniej, ponieważ w pobliżu nie było żadnej Głowy Domu, której mogliby się przypocholebiać, służalcy zaczęli kadzić spadkobierczyni Wysokiego Tronu. Wielu spośród tych mężczyzn zapewne zamyślało ożenek z jakąś dobrą partią. Inni zaś prawdopodobnie starali się pilnować Sylvase albo przynajmniej sprawdzali, czy nie spróbuje się ona skontaktować z kimś ze swojej Dynastii. Pełnili zatem rolę strażników, a przynajmniej szpiegów. Tę grupkę ludzi ekscytowało każde otarcie się o władzę czy autorytet. Elenia

zresztą również miała własne plany w związku z Sylvasse.

Arymilla potrafiła długo i bezsensownie paplać, więc w trakcie jazdy w gasnącym wieczornym świetle mówiła niemal bez przerwy, przeskakując z tematu na temat – począwszy od potencjalnych potraw, które zaproponuje na kolację siostra Lir aż po plany jej koronacji. Elenia słuchała nieuważnie i wyłącznie po to, by mruknąć z aprobatą w miejscach, które wydawały jej się odpowiednie. Skoro ta nierozgarnięta kobieta pragnie ogłosić amnestię dla stawiających jej opór osób, proszę bardzo, niech sobie ogłasza! Elenia Sarand na pewno nie wytknie jej głupoty takiego posunięcia. Wystarczająco bolesne było wdzięczenie się do niej... bez przysłuchiwania się jej gadaniu. W pewnym momencie jednak Arymilla powiedziała coś, co uderzyło Elenię w ucho niczym obuch.

– Tobie i Naean nie przeszkodzi chyba konieczność przespania się w jednym łóżku, prawda? Niestety, najwyraźniej nie mamy tutaj zbyt wiele przyzwoitych namiotów.

Trajkotała dalej, Elenia wszakże przez moment nie słyszała ani słowa. Odnosiła wrażenie, że mózg wypełnił jej śnieżny puch. Obróciła nieznacznie głowę i napotkała wstrząśnięte spojrzenie Naean. Niemożliwe, ażeby Arymilla dowiedziała się o ich przypadkowym spotkaniu, naprawdę niemożliwe, nie tak szybko... A gdyby się dowiedziała, czy dawałaby im okazję do wspólnego spiskowania? Zamyślała pułapkę? Wyznaczy szpiegów, którzy będą podsłuchiwać ich rozmowy? Zrobi to służąca Naean albo... albo Janny? Świat zdawał się wirować przed oczyma Elenii. Widziała teraz niemal wyłącznie migające czarne i srebrne plamki. Zaczęła się obawiać, że zemdleje.

Nagle zrozumiała, że Arymilla zwróciła się do niej wprost i z nachmurzoną miną czekała teraz na odpowiedź. Jawnie się niecierpliwiła. Elenia szaleńczo szukała w głowie odpowiedniej riposty. Tak, wiedziała już chyba, co powinna powiedzieć.

– Złocony powóz, Arymillo? – Cóż za śmieszna myśl. Równie dobrze Arymilla mogłaby jechać wozem Druciarza! – Ach, cudownie! Miewasz takie wspaniałe pomysły!

Zadowolony uśmiech Arymilli nieco uspokoił Elenię i pozwolił jej odetchnąć. Jakaż ta kobieta jest głupia! Po prostu bezmyślna. Och, być może w obozowisku rzeczywiście brakowało odpowiednich namiotów. Najprawdopodobniej Arymilla przestała się po prostu ich obu obawiać. Uważała, że je oswoiła. Elenia wyszczerzyła zęby, odpowiadając na uśmiech tamtej. Porzuciła jednakże myśl o namowie Tarabonianina do „zabawienia” tej kobiety choćby przez godzinkę. Ze względu na podpis Jarida na przysiędze istniał tylko jeden sposób oczyszczenia drogi do tronu. Wszystko przemyślała i była gotowa ruszać. Zadawała sobie tylko jedno pytanie: Które pierwsze powinno umrzeć – Arymilla czy Nasin.

Noc zapadła nad Caemlyn, zimno się pogłębiło, ostry wiatr straszliwie zacinał. Tu i ówdzie wylewające się z wyższego okna światło dowodziło, że ludzie przebywający w pomieszczeniu wciąż czuwają, większość okiennic jednakże zamknięto, wiszący zaś nisko na niebie wąski sierp księżyca wydawał się jedynie podkreślać otaczające ciemności. Szarobury był nawet śnieg pokrywający szczyty dachów i leżący przed wejściowymi drzwiami budynków, zmieciony i ubity przez dzienny ruch uliczny.

Spowity od stóp do głów w ciemny płaszcz samotny mężczyzna przemierzający wielkimi krokami rozmokły i powtórnie zmrożony śnieg pozostały na kamieniach brukowych nawierzchni z równym spokojem reagował na nazwisko „Daved Hanlon”, jak na nazwisko „Doilin Mellar”; żadne z tych dwóch nie znaczyło dla niego bowiem dużo więcej niż płaszcz, który zmieniał na inny, ilekroć potrzebował zmiany. Przez te lata nosił wiele nazwisk. Gdyby mógł żyć zgodnie ze swoimi

pragnieniami, siedziałby przed ogniem trzaskającym w kominku Królewskiego Pałacu i spędzał czas z kubkiem w dłoni, dzbanem brandy na stole i chętną dziewczyną na kolanach, niestety musiał postępować zgodnie z życzeniami innych osób. Przynajmniej drogi były lepsze tutaj, w Nowym Mieście. Lepsze, co nie znaczy dobre, gdyż na tej zamarznętej ziemi każdy nieostrożny krok mógł się zakończyć upadkiem, a jednak mężczyźni znacznie łatwiej chodziło się teraz i tutaj niż wcześniej, na stromych wzgórzach Wewnętrznego Miasta. Otaczająca go ciemność również mu dzisiejszego wieczoru odpowiadała.

Gdy wyruszał, na ulicach kręciło się już mało osób, a wraz z zapadnięciem mroku liczba ta jeszcze bardziej się zmniejszyła. Mądrzy ludzie pozostają na noc w swoich domach. Czasami, w gęstszym cieniu czaiły się jakieś przyćmione sylwetki, jednak gapie, przyjrząwszy się krótko Hanlonowi, uciekali przed nim za róg albo wycofywali się w alejki, tłumiąc przekleństwa, ilekroć zabrnęli w śnieżną zaspę, której najprawdopodobniej ani razu nie tknęło słońce. Hanlon był niezbyt zwalisty i niewiele wyższy niż przeciętny mężczyzna, a swój miecz i napierśnik ukrył pod długim do kostek płaszczem, tym niemniej rabusie szukali u potencjalnych ofiar oznak słabości lub niezdecydowania, on zaś poruszał się z oczywistą pewnością siebie, wyraźnie nie obawiając się ukrytych w mroku rozbójników. W zachowaniu tej postawy pomagał mu długi sztylet schowany pod rękawicą prawej ręki.

Idąc, Hanlon mimowolnie wypatrywał patroli Gwardzistów, chociaż w sumie żadnych się nie spodziewał. Gdyby żołnierze kręcili się w pobliżu, rozmaite osiłki i miejskie rzezimieszki poszukałyby sobie innego „terenu łowieckiego”. Hanlon mógłby oczywiście jednym słowem odprawić wścibskich Gwardzistów, preferował wszakże brak świadków i nie miał ochoty odpowiadać na pytanie, dlaczego odszedł tak daleko od pałacu. Widząc w przejściu przed sobą dwie szczelnie okutane płaszczami kobiety, zawahał się, jednak obie odeszły, nawet na niego nie spojrzawszy, więc odetchnął z ulgą. Bardzo mało kobiet ryzykowało wyjście o tak późnej porze bez towarzystwa mężczyzny z mieczem lub pałą, toteż – chociaż Hanlon nie dostrzegł twarzy tych niewiast – mógłby postawić konia z rzędem, że ma do czynienia z parą Aes Sedai. Albo z innymi spośród dziwnych kobiet, które zajmowały większość pałacowych łóżek.

Na myśl o tej gromadce przybrał marsową minę i poczuł mrowienie między łopatkami – jak parzenie pokrzyw. Denerwowało go wiele rzeczy, które działy się w pałacu. Przedstawicielki Ludu Morza nie podobały mu się i to nie tylko dlatego, że chodziły po korytarzach, uwodzicielsko kołysząc biodrami, a potem zniecka wyciągały na skuszonego ich widokiem mężczyznę nóż. Odkąd uświadomił sobie, że one i Aes Sedai patrzą na siebie jak obce koty w klatce, przestał nawet myśleć o poklepaniu którejs z nich po tyłku. Szczególnie że – choć wydawało się to niemożliwe – kobiety z Ludu Morza kojarzyły mu się z większymi kotami. To znaczy... Jednym słowem... Były w pewnym sensie gorsze od siostr. Z rozmaitych plotek Hanlon wiedział, że Aes Sedai nie mają zmarszczek. Tym niemniej niektóre przedstawicielki Ludu Morza, choć wyglądały naprawdę staro, bez wątpienia potrafiły przenosić Moc, on zaś odniósł niepokojące wrażenie, że przenosić umieją wszystkie. I fakt ten nie miał dla niego zupełnie sensu. Może Atha'an Miere posiadały jakiś szczególny system, lecz o tych z grupki zwanej przez Falion Rodziną mówiło się osobliwie. Podobno jeśli przy stoliku siedziały trzy umiejące przenosić Moc kobiety, a nie były one Aes Sedai, siostry zjawiały się, zanim tamte zdążyły skończyć dzban wina, przeganiały je i nie pozwalały im ponownie nawiązać rozmowy. Później natomiast w ogóle starały się nie dopuszczać ich do siebie. Taka była prawda. Tyle że w pałacu mieszkała ponad setka różnych kobiet – wiele z nich spotykało się na osobności i obchodziło Aes Sedai z dala, nawet nie marszcząc czoła. Do dziś, w każdym razie... Tak czy inaczej, siostry wyglądały na nieco zaniepokojone. Otoczenie Hanlona obfitowało w zbyt wiele osobliwości, których

mężczyzna miał powoli dość. Kiedy Aes Sedai dziwnie się zachowują, nadchodzi pora, aby człowiek zaczął się martwić o swoją skórę.

Z przekleństwem na ustach Hanlon otrząsnął się z zadumy. Przypomniawszy sobie, że musi się pilnować, zwłaszcza w nocy; powinien się koncentrować na terażniejszości, a nie oddawać próżnym rojeniom. Na szczęście nie zatrzymał się ani nawet nie zwolnił marszu. Po kilku kolejnych krokach uśmiechnął się nieznacznie i sprawdził kciukiem ostrość sztyletu. W dole ulicy wiatr wiał z dziwnym poszeptem, przy wierzchołkach dachów gwizdał, a w krótkich momentach ciszy do uszu Hanlona docierało ledwie słyszalne skrzywienie butów, które towarzyszyło mu, niemal odkąd opuścił pałac.

Przy następnym skrzyżowaniu skręcił w prawo, idąc tym samym równym, niespiesznym krokiem, po czym nagle przylgnął plecami do wrót stajni, którą znalazł tuż za zakrętem. Wielkie drzwi stajni były zamknięte i prawdopodobnie zabarykadowane od środka, chociaż zapach koni i końskiego łajna ciągle wisiał w lodowatym powietrzu. Gospoda po drugiej stronie ulicy była również zamknięta na cztery spusty, okna za okiennicami wyglądały na kompletnie ciemne, a oprócz wycia wiatru słychać tu było jedynie zgrzytliwe odgłosy huśtającego się szyldu, którego Hanlon nie potrafił dostrzec w mroku nocy. Wokół nie było żywej duszy.

Po chwili znów zaskrzybiały buty – osobnik śledzący Hanlona wyraźnie przyspieszył, prawdopodobnie pragnąc nie tracić z oczu swej ofiary na zbyt długi czas. Ostrzeżony tym odgłosem Hanlon spojrzał we właściwym kierunku i chwilę później zauważył czyjąś skrytą pod kapturem głowę wyłaniającą się zza rogu z pewną dozą ostrożności, choć oczywiście niewystarczająco ostrożnie. Hanlon wyciągnął ku kapturowi lewą rękę, zamierzając złapać za gardło natręta, a równocześnie prawą wykonał szybkie, wyszkolone pchnięcie sztyletem. Na wpół spodziewał się znaleźć pod płaszczem mężczyzny pancerz lub kolczugę, był więc przygotowany na stal lub drucianą siatkę, jednak ostrze łatwo weszło w ciało w okolicach mostka. Hanlon nie wiedział, czy trafił w płuca przeciwnika, krew wszakże trysnęła z rany, a szpieg wydał ostatnie tchnienie bez jednego nawet krzyku. Tyle że Hanlon nie mógł sobie pozwolić dzisiejszego wieczoru na zwłokę. Obecnie wprawdzie nie dostrzegał w zasięgu wzroku żadnych Gwardzistów, lecz mogli się przecież pojawić w każdej chwili. Z tego też względu pospiesznie wyszarpnął sztylet, po czym trzasnął głową mężczyzny o kamienną ścianę stajni dostatecznie mocno, by pękła czaszka, a następnie wbił ponownie ostrze aż po rękojeść. Poczul, że czubeczek sztyletu otarł się o kręgosłup ofiary.

Hanlon oddychał równomiernie, gdyż zabijanie było już dla niego wyłącznie koniecznością i od dawna nie przyprawiało go o ekscytację. Tym niemniej szybko opuścił trupa na śnieg przy ścianie, kucnął obok niego, wytarł ostrze w ciemny płaszcz zabitego, a jednocześnie drugą rękę wsunął mu pod pachę i wyszarpnął swoją rękawicę ze stalowym wierzchem. Pozostał w kuckach, lecz co rusz obracał głowę to w lewo, to w prawo, obserwując oba końce ulicy. Równocześnie obmacał twarz swojej ofiary. Zarost na brodzie, który wyczuł pod palcami, powiedział mu, że rzeczywiście miał do czynienia z mężczyzną, ale nic więcej. Zresztą, mężczyzna, kobieta czy dziecko – Hanlon nie widział różnicy. Znał wszak głupców, którzy nie obawiali się dzieci, toteż rozmawiali przy nich i zachowywali się w taki sposób, jakby te niedorosłe istoty w ogóle nie miały oczu ani języka i nie mogły przekazać, co usłyszały bądź zobaczyły. A jednak żałował, że nie dotyka wąsów, bulwiastego nosa czy czegokolwiek charakterystycznego, dzięki czemu przypomniawszy sobie bądź też skojarzył, kim może być zamordowany właśnie mężczyzna. Ścisnąc jego rękaw, odkrył grubą wełnę, ani wysokiej jakości, ani szczególnie szorstką, pod nią zaś żyłaste przedramię, które mogłoby należeć do urzędnika, woźnicy lub lokaja; krótko mówiąc – podobnie jak płaszcz – należało do jakiegoś mężczyzny. Obszukał ciało, przetrząsnął kieszenie płaszcza szpiega, znajdując z nich jedynie

drewniany grzebień i szpulkę szpagatu, które odrzucił. Przy pasie mężczyzny jego ręka się zatrzymała. Wisiała tam skórzana pochewka. Była pusta. Żaden człowiek na ziemi nie zdążyłby wyciągnąć sztyletu, gdy ostrze Hanlona znajdowało drogę do jego płuc. Oczywiście, samotne wyjście w nocy było wystarczającym powodem do noszenia obnażonego noża czy sztyletu w dłoni, najczęściej jednak osobnik z ostrzem w ręku zamierzał dźgnąć kogoś w plecy albo podciąć mu gardło.

Myśli te przemknęły jednakże przez głowę Hanlona dosłownie w sekundę. Nie marnując więcej czasu na próżne rozważania, odciął mężczyźni sakiewkę wiszącą na sznurkach. Ciężar monet, które wysypał sobie z niej na dłoń i pospiesznie wepchnął do własnej kieszeni, uświadomił mu, że nie są ze złota, prawdopodobnie nawet nie ze srebra, jednak odcinając sakiewkę i zabierając choćby najmniej wartościowe monety, sugerował, że zabity padł ofiarą napaści rabusiów. W końcu się wyprostował, naciągnął zdjętą rękawicę, wsunął swoje ostrze w pochwę i ruszył wielkimi krokami po rozmiękłym śniegu pokrywającym chodnik. Popatrywał uważnie na boki, sztylet zaś trzymał blisko biodra, pod płaszczem. Odprężył się dopiero, kiedy wyszedł na ulicę odległą od alejki, w której zostawił zamordowanego, a i wówczas nie rozluźnił się w pełni.

Większość osób, którym opowie o tym morderstwie, przełknie historyjkę o próbie napaści i zabójstwie w obronie własnej. Większość, lecz na pewno nie osobnik, który wysłał mordercę. Tak, skoro zabójca przeszedł za Hanlonem całą tę drogę od pałacu aż do opuszczonej stajni i gospody, na pewno został przez kogoś wysłany, ale przez kogo? Raczej nie wysłały go przedstawicielki Ludu Morza. Gdyby pragnęły śmierci Hanlona, zabiłyby go osobiście. Chociaż członkinie Rodziny denerwowały go samym swym istnieniem, wyglądały na osoby spokojne i rzadko wypuszczały się poza pałac. Co prawda ludzie, którzy starali się nie przyciągać niczyjej uwagi, najchętniej właśnie wynajmowali nocnego zabójcę z nożem, Hanlon wszakże nie zamienił z żadną z tych kobiet więcej niż trzech słów i z pewnością nie próbował żadnej dotykać. Najbardziej podejrzane wydawały mu się Aes Sedai, ale był pewien, iż żadnym swoim gestem czy też czynem nie wzbudził ich podejrzeń. Tym niemniej, każda z nich mogła mieć własne powody do pozbycia się go. Z Aes Sedai nigdy nic nie wiadomo. A Birgitte Trahelion? Była głupią dziewczuchą, która uważała się za legendarną bohaterkę. Kimkolwiek jednak była, mogła się obawiać Hanlona i traktować go jako zagrożenie dla swojej pozycji. Patrząc na nią i widząc, jak się wdzięcznie kręci po korytarzach w tych swoich spodniach, można by ją uznać za prostytutkę, lecz Hanlon dostrzegał także jej spostrzegawczość i chłodne oko. Wiedział, że Birgitte bez mrugnięcia tymże okiem potrafiłaby wynająć płatnego mordercę, który podciąłby Hanlonowi gardło. Istniała jeszcze inna, ostatnia możliwość. I w dodatku ta martwiła go najbardziej. Podejrzewał też niestety własnych panów, gdyż nie zawsze wydawali mu się godni zaufania. Dzisiejszej nocy wyszedł, ponieważ wezwała go Lady Shiaine Avarhin, osoba, która obecnie wydawała mu rozkazy. Czyżby przypadkowo akurat wtedy ruszył za nim zabójca z nożem w ręku? Hanlon nie wierzył w tego typu zbiegi okoliczności, niezależnie od tego, co ludzie mówili o Randzie al'Thorze.

Szybko odrzucił myśl o powrocie do pałacu. Miał wprawdzie ukryte złoto, więc mógłby przekupić kogoś i łatwiej niż ktokolwiek inny wyjść przez bramę miejską albo po prostu rozkazać otwarcie którejś i opuścić Caemlyn. Niestety takie posunięcie równałoby się dla niego spędzeniu reszty życia na ciągłym oglądaniu się za siebie i podejrzewaniu każdego, kto się do niego zbliży na długość ramienia, że został wysłany, aby go zabić. Po prawdzie, jego życie wcale tak bardzo nie różniłoby się wtedy od aktualnego. Tyle że nie przestawałaby mu towarzyszyć pewność, iż prędzej czy później ktoś mu wrzuci truciznę do zupy albo wbije nóż między żebra. Poza tym, najbardziej podejrzana wydawała mu się Birgitte, ta nierządnicą o lodowatym spojrzeniu. Albo któraś Aes Sedai. A może jednak czymś obraził jedną z przedstawicielek Rodziny. Tak czy owak, ostrożność

zawsze popłaca. Zacisnął palce na rękojęści sztyletu. Nieźle mu się obecnie żyło, wygodnie i wśród licznych kobiet, które jako Kapitan Gwardzistów mógł nakłonić do uległości w wielu kwestiach. Niektóre przerażał, na innych po prostu robiła wrażenie jego osoba. Tym niemniej uważał, że życie w ruchu jest zawsze bardziej pożądane od śmierci tu i teraz.

Znalezienie właściwej ulicy nie było łatwe, jeszcze trudniejsze zaś okazało się odszukanie właściwego domu – w mroku bowiem jedna wąska boczna ulica wyglądała identycznie jak wszystkie inne – jednakże rozglądał się bacznie, toteż w końcu trafił przed frontowe drzwi wysokiego, zaciemnionego budynku, który mógłby należeć do bogatych, ale dyskretnych kupców. Mógłby do takich należeć, lecz nie należał, o czym Hanlon wiedział bez najmniejszych wątpliwości. Zastukał do drzwi. Avarhin była niewielką Dynastią, niektórzy twierdzili, że wygasła, choć Shaiine posiadała sporo pieniędzy i jedną córkę.

Jedna część drzwi otworzyła się powoli. Hanlon podniósł rękę i przesłonił oczy przed nagłym blaskiem światła. Ma się rozumieć, podniósł lewą rękę. W prawej trzymał sztylet, ponieważ wciąż pozostawał w napięciu i gotowości. Patrząc z ukosa przez palce, rozpoznał stojącą w drzwiach kobietę w prostej, ciemnej sukience służącej. Jej widok ani o włos go wszakże nie uspokoił.

– Daj mi całusa, Falion – powiedział, przestępując próg.

Łypnął uważnie na boki, po czym wyciągnął ku dziewczynie rękę. Nadal oczywiście lewą rękę.

Służąca o pociągłej twarzy odsunęła jego dłoń, po czym zatrzasnęła za nim drzwi.

– Shaiine zamknęła się z gościem na górze, we frontowym salonie – oświadczyła spokojnie. – Kucharka natomiast śpi w swojej sypialni. Nikogo innego nie ma w domu. Powieś swój płaszcz na stojaku. Dam znać mojej pani, że przybyłeś, może jednak będziesz musiał poczekać.

Hanlon przybrał spokojniejszą minę, przestał się nerwowo rozglądać i opuścił rękę. Falion cechowała się wiecznie młodą twarzą i wielką urodą, zimnym spojrzeniem i jeszcze zimniejszym zachowaniem; posiadała też umiejętność naginania prawdy. Nie należała zatem do typu kobiet, które pragnął pieścić, podobno wszakże ukarał ją jeden z Wybranych, a Hanlon miał stanowić dla niej część kary, co zmieniało postać rzeczy. Do pewnego stopnia. Wykorzystanie kobiety, która nie ma wyboru, nigdy nie sprawiało mu problemów. A Falion wyboru na pewno nie miała. Strój służącej symbolizował prostą prawdę. Nieszczęsna kobieta sama wykonywała pracę czterech czy pięciu osób: służących, pomywaczek i dziewczek, które obracają różny, sypiała rzadko i płaszczyła się przed Shaiine, gdy ta choćby zmarszczyła brwi. Ręce miała szorstkie i czerwone od częstego prania i szorowania podłóg. Tym niemniej Falion bez wątplenia przeżyje wyznaczoną jej karę, a Hanlon nie chciał sobie robić z niej osobistego wroga, szczególnie skoro była Aes Sedai. W każdym razie nie teraz, kiedy jego sytuacja może się radykalnie zmienić i to zanim Hanlon zyska okazję zatopienia noża w sercu tej kobiety. Tyle że osiągnięcie kompromisu z nią nie było łatwe. Falion prezentowała praktyczne podejście do całej sprawy. Na oczach wszystkich Hanlon miętosił jej ciało – zawsze, gdy tylko ją zobaczył – a jeśli miał dość czasu, zabierał ją na górę, do jej małego pokoiku na podstrzeszu. Tam odgarniali pościel, gnietli ją, a następnie siadali na wąskim łóżku i wymieniali informacje. Chociaż na jej prośbę zrobił jej kilka siniaków – na wypadek gdyby Shaiine postanowiła ją sprawdzić – miał wszakże nadzieję, że Falion zapamięta, iż Hanlon bił ją na jej własną prośbę...

– Gdzie są pozostali? – spytał, zdejmując płaszcz i wieszając go na stojaku wyrzeźbionym w kształt lamparta. Odgłos jego butów na kaflach podłogowych odbijał się od wysokiego sufitu frontowego korytarza. Korytarz był wielki, zdobiony otynkowanymi gzymsami i licznymi bogatymi ściennymi draperiami zawieszonymi na rzeźbionych i wypolerowanych do lekkiego połysku panelach, dobrze oświetlony stojącymi lampami z odblasznicami i równie intensywnie złocony jak sam Królewski Pałac, jednak niech Hanlon szeptem, jeśli wewnątrz było choć trochę cieplej niż na

dworze. Na widok sztyletu, który trzymał w dłoni, Falion uniosła brwi, więc mężczyzna schował broń do pochwy, posyłając kobiecie spięty uśmiech. Potrafił szybciej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać, ponownie wyjąć zarówno sztylet, jak i miecz. – Ulice są w nocy pełne złodziei – wyjaśnił.

Mimo chłodu zdjął rękawice i schował je za pas, do którego miał także przytwierdzony miecz. Nie przestał wszakże podejrzewać, że grozi mu tu niebezpieczeństwo. Niestety, w najgorszym razie za całą ochronę będzie musiał mu wystarczyć napierśnik.

– Nie wiem, dokąd poszła Marillin – rzuciła Falion przez ramię. Już obrócona, unosiła spódnicę i zaczynała wchodzić na stopnie. – Wyruszyła przed zachodem słońca. Murellin wziął fajkę i poszedł do stajni. Możemy pomówić, kiedy poinformuję Shiaine o twoim przybyciu.

Obserwując wchodzącą po schodach Falion, Hanlon odchrząknął. Murellina, zwalistego mężczyznę, za którym nie przepadał i którego wolał nie mieć za plecami, wyganiano do stajni za domem, ilekroć pragnął zapalić fajkę, ponieważ Shiaine nie lubiła ostrego zapachu tytoniu, w którym Murellin gustował. A ponieważ mężczyzna zwykle zabierał z sobą mniejszy lub większy dzban z piwem, najprawdopodobniej nie wróci zbyt szybko. Bardziej martwiła Hanlona Marillin. Również była Aes Sedai, najwidoczniej tak jak Falion podlegała rozkazom Shiaine, tyle że akurat z nią Hanlon nie zawarł żadnego porozumienia. Nie pokłócili się wprawdzie nigdy, lecz on z zasady nie ufał siostronom – ani z Czarnych Ajah, ani z żadnych innych. Dokąd się udała Marillin? Co zamierzała zrobić? To, czego człowiek nie wie, może go zabić, a Marillin Gemalphin spędzała naprawdę zbyt dużo wolnego czasu na zajęciach, o których Hanlon nie miał najmniejszego pojęcia. Ogólnie rzecz biorąc, powoli dochodził do wniosku, że w Caemlyn działo się zbyt wiele rzeczy, o których nic nie wiedział. Jeśli pragnie przeżyć, powinien poznać wszystkie sekrety.

Po zniknięciu Falion wyszedł z lodowatego korytarza prosto do kuchni na tyłach domu. Pomieszczenie o ceglanych ścianach było oczywiście puste – kiedy kucharkę odsyłano na noc, wołała nie wystawiać nosa ze swojego pokoju w suterenie – a czarny, żelazny piec i piekarniki zupełnie zimne, jednak niewielki płomień migoczący na długim kamiennym palenisku nieco ogrzewał kuchnię, dzięki czemu należała do nielicznych ciepłych pomieszczeń w budynku. Ciepłych przynajmniej w porównaniu z tymi całkowicie pozbawionymi jakiegokolwiek ogrzewania. Shiaine była skąpa, chyba że chodziło jej o własne wygody. W tym pomieszczeniu ogień płonął jedynie na wypadek, gdyby nocą lady zachciało się wina grzanego z korzeniami albo mleka podgrzanego z żółtkiem.

Od przybycia do Caemlyn Hanlon przebywał w tym domu ponad pół tuzina razy, toteż wiedział, w których szafkach znajdują się przyprawy i w którym pokoju obok kuchni zawsze stoi beczka z winem. Wino zawsze było doskonałe! Na trunku Shiaine nigdy nie oszczędzała, mimo iż sama rzadko piła. Tak czy inaczej, do powrotu Falion mężczyzna zdążył postawić na rozległym kuchennym stole słoiczek z miodem, miseczkę z imbirem i goździkami oraz dzban pełen wina. Poruszył pogrzebaczem ogień. Shiaine mówiła: „Przyjdź natychmiast” i naprawdę miała na myśli „natychmiast”, ale jeśli kazała mu czekać, może przyjąć go dopiero o świcie. Jej wezwania za każdym razem kosztowały go kilka godzin snu, niech ta kobieta szczerze!

– Kim jest ów gość? – zapytał.

– Nie podał imienia, przynajmniej nie mnie – odparła Falion, podstawiając krzesło pod otwarte drzwi do korytarza. Z kuchni uciekało w ten sposób nieco ciepła, lecz kobieta pragnęła usłyszeć ewentualne wołanie Shiaine. A może chciała uniemożliwić swej pani podsłuchiwanie. – Szczupły mężczyzna, wysoki i surowy, o wyglądzie żołnierza. Chyba oficer, może szlachcic, sądząc po manierach, a wnosząc z akcentu prawdopodobnie Andoranin. Wydaje się inteligentny i ostrożny. Ubranie ma całkiem proste, chociaż kosztowne. Nie nosi żadnych pierścieni ani brosz. – Marszcząc

brwi, spojrziała na stół, po czym podeszła do jednego z wysokich otwartych kredensów stojących obok prowadzących na korytarz drzwi i wzięła z półki drugi cynowy kielich. Dla siebie! Hanlonowi nigdy nie przysłoby do głowy postawić dwa naczynia. Był wystarczająco zły, że musi osobiście przyprawiać sobie wino. Aes Sedai czy nie Aes Sedai, Falion była wszak tylko służącą. Teraz usiadła przy stole i podsunęła Hanlonowi miseczkę z przyprawami, jakby oczekiwała, że sam się obsłuży. – Shiaine miała jednak wczoraj dwóch gości – kontynuowała. – Obaj prezentowali się znacznie mniej porządnie niż ten dzisiejszy. Jeden przybył rano. Miał Złote Dziki Sarandów na mankietach rękawic. Prawdopodobnie sądził, że nikt nie zauważy tego drobnego wzorku, o ile w ogóle się zastanawiał nad tą kwestią. Pulchny, jasnowłosa mężczyzna w średnim wieku, który patrzył na wszystko z góry. Wino skomplementował tonem zaskoczenia, że w takim domu znajduje przyzwoity napitek. Chciał, ażeby Shiaine zbiła mnie za niedostateczne okazanie mu szacunku. – Falion przemawiała spokojnie, wręcz zimnym, wyważonym głosem. Jej głos ożywiał się tylko wtedy, gdy Shiaine ją karała. Hanlon słyszał kilka razy krzyk służącej. – Powiedziałabym, że to osobnik z okolicy, który rzadko zagląda do Caemlyn, uważa jednak, że świetnie wie, jak należy się zachowywać w mieście. Z cech charakterystycznych zapamiętałam kurzajkę na jego podbródku i małą bliznę w kształcie półksiężyca przy lewym oku. Po południu z kolei przybył mężczyzna niski i ciemny. Miał ostry nos i bystre oczy. Nie dostrzegłam żadnych szram ani innych znaków szczególnych, jedynie pierścień z kwadratowym granatem na palcu lewej dłoni. Mężczyzna był oszczędny w słowach i w mojej obecności bardzo się starał nie powiedzieć niczego ważnego. Zauważyłam, że nosił sztylet z godłem Domu Marne, czyli Czterema Księżycami, na gałce rękojeści.

Hanlon założył ręce na piersi i oparł się o bok paleniska. Zachował kamienne oblicze, choć miał wielką ochotę się skrzywić. Był przekonany o istnieniu planu posadzenia Elayne na tronie, choć dalsza przyszłość zdawała mu się tajemnicą. Jako królowa Elayne była mu obiecana. Zresztą i tak zamierzał ją wziąć – z koroną czy bez korony, nieważne, korona stanowiła jedynie coś w rodzaju dodatku albo przyprawy. Wykorzystanie długonogiej Elayne sprawiłoby mu czystą przyjemność, nawet gdyby była córką farmera, szczególnie po tym, jak ośmieszyła go dziś na oczach tych wszystkich kobiet! Jednak transakcje z Sarandami i Dynastią Marne oznaczały prawdopodobieństwo, że Elayne może umrzeć bez korony i tronu. Czyżby, wbrew obietnicom, że Hanlon zabawi się z królową, wybrano go raczej do... zabicia jej w jakimś wybranym momencie, w którym jej śmierć przyniosłaby określony skutek dla Shiaine? Czy raczej dla Wybranego, który wydawał jej rozkazy. Wybrany nazywał się Moridin i Hanlon, zanim przyszedł do tego domu, nigdy tego imienia nie słyszał. Fakt ten nie niepokoił go. Jeśli ktoś miał dość odwagi, by nazywać siebie jednym z Wybranych, on nie zamierzał takiej decyzji kwestionować. Nie był wszak głupi. Drażniła go jednak myśl, że sam bierze udział w tej sprawie tylko jako płatny morderca. Że wybrano go ze względu na jego sztylet. A jeśli komuś chodziło tylko o jego sztylet, życie Hanlona bez wątpienia nie było dla tej osoby zbyt wiele warte. Płatnego zabójcy może się przecież w każdej chwili pozbyć inny płatny zabójca...

– Widziałaś, jak przekazywali sobie złoto? – spytał. – A może coś jeszcze słyszałaś?

– Powiedziałabym ci – odparła piskliwie. – A zgodnie z naszą umową, teraz moja kolej zadać pytanie.

Zdołał ukryć rozdrażnienie i popatrzył na nią wyczekująco. Ta durna kobieta stale wypytywała o mieszkające w pałacu Aes Sedai albo o przedstawicielki Rodziny czy Ludu Morza. W dodatku zadawała strasznie głupie pytania. Kto był komu przyjazny, a kto komu nie? Kto z kim rozmawiał na osobności, a kto kogo unikał? Czy Hanlon słyszał te rozmowy? Jak gdyby nie miał nic do roboty poza czajaniem się po korytarzach i szpiegowaniem interesujących ją kobiet! Nigdy jej nie okłamywał –

istniało zbyt duże ryzyko, że Falion pozna prawdę, nawet tkwiąc tutaj, w tym domu, jako służąca (ostatecznie wszak Falion była Aes Sedai) – lecz coraz trudniej było mu opowiadać inne rzeczy niż te, które już jej wcześniej powiedział, a Falion pozostawała nieugięta w kwestii informacji; twierdziła, że jeśli Hanlon oczekuje od niej jakichś wiadomości, powinien się odwzajemnić w ten sam sposób. Dziś na szczęście miał kilka smacznych kąsków, które mógł jej zaoferować: opowie co nieco o odejściu przedstawicielek Ludu Morza i o ich nerwowości. Wspomni, że kręcą się niespokojnie przez większą część dnia po pałacu, jakby obsiadły je pszczoły... A Falion będzie się musiała tą historyjką zadowolić. Hanlon potrzebował bowiem ważnych informacji, nie zaś cholernych plotek.

Zanim wszakże Falion zdążyła zadać pytanie, otworzyły się drzwi prowadzące na dwór. Murellin był na tyle potężnym mężczyzną, że niemal wypełnił swoją sylwetką wejście, jednak lodowate zimno i tak wtargnęło do domu, a podmuch wiatru przyprawił mały ogień o taniec i wysłał w komin iskry. Powietrze wirowało, póki duży mężczyzna nie zamknął za sobą drzwi. Sam Murellin nie dał żadnego sygnału, że odczuwa chłód, tyle że jego brązowy płaszcz wyglądał na podwójnie gruby. Poza tym mężczyzna nie tylko miał gabaryty wołu, ale i takowy rozum. Głośno postawił wysoki drewniany dzban na stole, po czym wsunął kciuki za swój szeroki pas i z urazą przypatrzył się Hanlonowi.

– Popijasz sobie z moją babą? – zahuczał.

Hanlon wzdygnął się. Nie z powodu strachu przed Murellinem czy z powodu kobiety siedzącej po drugiej stronie stołu. Zaskoczyła go raczej Aes Sedai, która natychmiast zerwała się z krzesła. Wzięła dzban z winem, wsypała doń imbir i goździki, dodała łyżkę miodu i zawirowała naczyniem z wyraźnym zamiarem zamieszania jego zawartości. Następnie przez fałdę spódnicy chwyciła pogrzebacz, wyjęła go z ognia i włożyła do trunku, nie sprawdzivszy uprzednio, czy jest już wystarczająco gorący. Ani razu nie zerknęła przy tym w kierunku Murellina.

– Twoją babą? – powtórzył ostrożnie Hanlon.

Wielki mężczyzna odpowiedział mu uśmiechem.

– Jest prawie moja – wyjaśnił. – Lady uznała, że skoro ty nie jesteś zainteresowany, mogę się nią zająć. Tak czy inaczej, Fally i ja rozgrzewamy się czasem w nocy.

Nadal uśmiechnięty Murellin obszedł stół, jednak zanim dotarł do kobiety, rozległ się krzyk, który odbił się echem po korytarzu. Olbrzym zatrzymał się, westchnął, a jego szeroki uśmiech znikł.

– Falion! – zawołał z oddali ostry głos Shiaine. – Sprowadź mi tu Hanlona, i to szybko!

Służąca postawiła dzban na stole na tyle gwałtownie, że nieco napitku się wylało, po czym ruszyła do drzwi, nie czekając, aż Shiaine coś jeszcze doda. Kiedy jej pani coś poleciła, kobieta natychmiast wykonywała jej polecenia.

Hanlon również podskoczył, choć z innej przyczyny. Podbiegł do Falion i chwycił ją za ramię. Była już na pierwszym schodku. Rzucił szybkie spojrzenie za siebie i zauważył, że drzwi do kuchni zostały zamknięte. Może jednak Murellin odczuwał czasem zimno. Niemniej jednak Hanlon zadał kobiecie pytanie niemal szeptem:

– O co w tym wszystkim chodzi?

– To nie jest twoja sprawa – odwarknęła lakonicznie Falion. – Masz może coś, od czego by ten wielkolud zasnął? Wiesz, jakiś środek, który mogę mu wsypać do piwa albo do wina. Murellin wypije wszystko, niezależnie od smaku...

– Jeśli Shiaine uzna, że nie słucham jej rozkazów, to będzie moja cholerna sprawa. A ty, jeśli masz w głowie wszystkie przeklęte klepki, powinnaś mi przyznać w tej kwestii rację.

Przechyliła głowę i zagapiła się na niego zimno niczym ryba.

– Chodzi mi o to, że akurat ta sprawa nie ma z tobą nic wspólnego. Shiaine uważa, że póki tu jesteś, należę do ciebie. Widzisz, pewne szczegóły ostatnio uległy zmianie. – Nagle coś niewidocznego chwyciło go mocno za przegub i oderwało jego rękę od jej ramienia. W tym samym momencie coś innego przyłgnęło do jego gardła i ścisnęło przez długą chwilę, aż Hanlon nie mógł złapać oddechu. Na próżno wymachiwał lewą ręką, szukając po omacku sztyletu. Falion podjęła chłodnym tonem: – Sądziłam, że pewne inne kwestie również powinny się odpowiednio zmienić, jednak Shiaine nie myśli logicznie. Twierdzi, że kiedy Wielki Pan Moridin uzna moją karę za niewystarczającą, po prostu ją wydłuży. To właśnie Moridin dał mnie Lady Shiaine. Murellin sprawdza, czy zrozumiałam ich groźbę. Jego zachowanie ma mi uświadomić, że jestem tylko suką lady, póki moja pani nie postanowi inaczej. – Nagle wzięła głęboki wdech, a nacisk na przegubie i gardle Hanlona osłabł. Powietrze nigdy nie smakowało mu tak słodko. – Możesz zdobyć to, o co proszę? – spytała cicho i tak spokojnie, jakby przed minutą wcale nie próbowała go zabić cholerną Jedyną Mocą. Na samą myśl, że dotykała go Moc, po skórze mężczyzny przemknęły ciarki.

– Mogę... – zaczął ochryple i przerwał, ażeby przełknąć grudę, którą czuł w gardle. Odnosił wrażenie, że wymknął się właśnie spod pętli kata. – Mogę zdobyć dla ciebie środek, od którego twój prześladowca zaśnie i nigdy już się nie obudzi.

Postanowił, że gdy tylko będzie bezpieczny, natychmiast wypatroszy tę kobietę jak kaczkę.

Falion parsknęła kpiąco.

– Dla Shiaine byłabym wtedy pierwsza na liście podejrzanych. Zamiast sprzeciwiać się mojej pani, równie dobrze mogę sobie od razu podciąć żyły. Wystarczy, żeby Murellin przesypiał nocę. Zostaw myślenie mnie, a oboje w ten sposób tylko zyskamy. – Oparła dłoń na rzeźbionym słupku przy schodach i spojrzała w górę. – Chodź. Gdy ona mówi: „szybko”, ma na myśli słówko „szybko”, a nie jakieś inne.

Hanlon żałował, że nie może tej kobiety powiesić jak czekającą na nóż gęs.

Kiedy szedł za nią, obcasy jego butów głucho stuknęły na stopniach. Odgłos odbijał się echem od ścian korytarza i Hanlona uderzyła myśl, że przecież nie usłyszał odejścia rzekomego gościa Lady Shiaine. No, chyba że w domu istniało jakieś tajne wyjście, o którym nie wiedział; znał jedynie drzwi frontowe i te w kuchni, a także jeszcze jedno na tyłach, do których docierało się przez kuchnię. Mniemał zatem, że powinien był spotkać owego żołnierza. Może jeszcze nagle się na niego natknie. Ukradkiem wyjął sztylet z pochwy.

Zgodnie z jego oczekiwaniami frontowy salon ogrzewał cudowny płomień płonący w dużym kominku z marmuru poprzecinanego niebieskimi żyłkami. Na wyposażenie pokoju połakomiłby się niejeden rabuś, gdyż pomieszczenie naprawdę warte było złupienia. Na bocznych stolikach o połączonych krawędziach stały naczynia z porcelany Ludu Morza, a za gobeliny i dywany można by otrzymać niezłą sumkę. Z tym wyjątkiem, że jeden z dywanów był w chwili obecnej prawdopodobnie kompletnie bezwartościowy. Niemal w samym środku salonu leżał na nim bowiem przykryty kocem trup. Hanlon postawiłby każde pieniądze na to, że facet nieźle poplamiał dywan własną krwią.

Shiaine siedziała w rzeźbionym fotelu. Była ładną kobietą ubraną w szatę z niebieskiego jedwabiu przetykanego złotym haftem. Jej talię spinał ozdobny pas z tkanego złota, na szczupłej szyi wisały ciężkie, złote naszyjniki. Lśniące, kasztanowe włosy sięgały poniżej ramion, mimo iż lady schowała je w siatce z zawilej koronki. Na pierwszy rzut oka Shiaine wyglądała delikatnie, miała wszakże w twarzy coś z lisicy, a uśmiech nigdy nie docierał do jej dużych brązowych oczu. W tym momencie wycierała obszytą koronką chusteczką ostrze sztyletu, którego gałkę rękojeści pokryto łzami ognia.

– Falion, idź powiedzieć Murellinowi, niech odbierze ode mnie... tobolek, którego się później

pozbędzie – poleciała zupełnie opanowanym tonem.

Oblicze służącej pozostało wprawdzie gładkie niczym wypolerowany marmur, tym niemniej kobieta wykonała pospieszne, niezbyt uprzejme dygnięcie, po czym biegiem uciekła z pokoju.

Przyglądając się Shaiine i jej sztyletowi kątem oka, Hanlon podszedł do przykrytych zwłok, pochylił się i podniósł róg koca. Szkliste, niebieskie oczy wзираły z twarzy, która wydawała się niemal żywa. Umarli zawsze wyglądali jakoś miękko, ten zaś wręcz przeciwnie. Widocznie nie był ani tak ostrożny, ani tak inteligentny, jak uważała Falion. Hanlon opuścił koc i wyprostował się.

– Powiedział coś, co ci się nie spodobało, moja pani? – spytał łagodnie. – Kim był?

– Powiedział kilka rzeczy, które mi się nie spodobały. – Trzymała sztylet w powietrzu, bacznie studiując jego ostrze, a gdy się upewniła, że jest czyste, wsunęła broń do przyozdobionej złotem pochwy przy talii. – Powiedz mi, czy dziecko Elayne jest twoje.

– Nie wiem, kto je spłodził – odparł kwaśnym tonem. – Dlaczego o nie pytasz, moja pani? Sądzisz, że jako ojciec zmięknęłbym? Ostatniej dziewczę, która twierdziła, że ją zapłodniłem, wepchnąłem głowę do wody w studni, ażeby jej się mózg trochę ochłodził. W tej wodzie wydała ostatnie swoje tchnienie. – Na tacy zajmującej jeden z bocznych stolików stał srebrny dzban z wysoką szyjką i dwa grawerowane srebrne puchary na wino. – Jest bezpieczne? – spytał, zaglądając do pucharów. W obu na dnie znajdowało się nieco wina, a jednak jakaś dosypka w którymś z nich zmieniła nieżyjącego już mężczyznę w łatwą zdobycz.

– Catrelle Mosenain, córka sprzedawcy wyrobów żelaznych z Maerone – powiedziała kobieta tak spokojnie, jakby oboje mieli prawo znać wszystkie szczegóły tej sprawy. Słyszając to nazwisko, zaskoczony Hanlon o mało się nie wzdrygnął. – Rozbiłeś jej głowę kamieniem, zanim wrzuciłeś ją do studni, bez wątpienia pragnąc jej oszczędzić cierpienia podczas tonięcia. – Skąd znała imię dziewczuchy, nie mówiąc o kamieniu? Sam Hanlon nawet nie pamiętał imienia tej pannicy. – Nie, nie, na pewno nie zmięknęłbyś, jednak nie chciałabym usłyszeć, że nie powiadomiwszy mnie, całowałeś się z Lady Elayne. Nie podoba mi się nawet myśl o czymś takim.

Nagle obrzuciła nienawistnym spojrzeniem pokrławioną chusteczkę, którą trzymała w ręce, po czym uniosła się z miejsca, wdzięcznym krokiem podeszła do kominka i wrzuciła krwawy strzęp w płomień.

Stała chwilę przy ogniu, grzejąc się w jego ciepłe i ani na moment nie patrząc w kierunku mężczyzny.

– Potrafisz zorganizować ucieczkę kilku seanchańskich kobiet? – spytała nagle. – Najlepiej, aby były wśród nich zarówno te zwane *sul'dam*, jak i te, które nazywa się *damane*. – Zająknęła się nieco na obu obcych słowach. – Jeśli jednak nie dasz rady, niech ucieknie przynajmniej kilka *sul'dam*. One potrafią uwolnić pozostałe.

– Być może. – Na krew i cholerne popioły, ta kobieta zachowywała się dzisiaj wieczoru jeszcze dziwniej niż Falion! – Nie będzie to łatwe, moja pani. Wszystkie są pilnie strzeżone.

– Nie pytałam, czy to jest łatwe – odcięła się, patrząc w płomień. – Umiałbyś odsunąć strażę od magazynów z jedzeniem? Ucieszyłoby mnie, gdyby parę całkowicie się spaliło. Jestem zmęczona tymi nieudanymi próbami.

– Czegoś takiego nie mogę zrobić – szepnął. – Chyba że każesz mi się natychmiast później ukryć. Istnieją archiwa rozkazów, toteż musiałbym się ujawnić. Zresztą spalenie magazynów niewiele by nam dało, skoro przez te cholerne bramy codziennie przybywają kolejne przekłete wozy wypełnione wiktuałami.

Po prawdzie, bramy wcale nie martwiły Hanlona. Może drażniły, gdy pomyślał o szczegółach, na pewno jednak nie martwiły. Podejrzewał, że pałac jako ostatnie miejsce w Caemlyn doświadczy

głodu, tyle że on sam przeżył już w życiu kilka obłążeń (w dodatku z każdej strony) i nie miał ochoty nawet rozpatrywać dodatkowych niedogodności. Lady Shiaine wszakże wyraźnie na niego naciskała.

– Następną odpowiedź, o którą nie prosiłam – mruknęła. Potrząsnęła głową, nadal przypatrując się płomieniom, nie mężczyźnie. – Lecz może coś da się w tej kwestii zrobić. Jak blisko jesteś... zdobycia sympatii Elayne? – zakończyła, pytając afektowanym tonem.

– Bliżej niż tego dnia, w którym przybyłem do pałacu – odwarknął, obrzucając piorunującym spojrzeniem plecy kobiety. Nigdy nie próbował obrażać tych, których Wybrani wyznaczali na jego panów, jednak ta kobieta jawnie go testowała. A mógłby wszak złamać jej smukłą szyję niczym gałązkę! Starając się zapanować nad pragnieniem uduszenia Lady Shiaine, musiał czymś zająć ręce, napełnił więc jeden z pucharów i trzymał go w dłoni, choć oczywiście nie zamierzał pić znajdującego się w nim wina. Ma się rozumieć, trzymał naczynie w lewej dłoni... Obecność jednego trupa w pokoju bynajmniej nie oznaczała, że Shiaine nie pragnie podwoić liczby martwych osób, popełniając kolejne morderstwo. – Teraz wszakże muszę trochę zwolnić swoje do niej umizgi. Nie jest to osoba, którą mógłbym przycisnąć do ściany i zacząć całować...

– Zapewne nie – odparowała stłumionym głosem kobieta. – Nie jesteś przyzwyczajony do takich istot jak ona.

Roześmiała się.

Śmiała się?! Śmiała się z niego?! Z całych sił walczył z sobą, gdyż miał ochotę odrzucić na bok puchar z winem i udusić tę dziwkę o twarzy lisicy.

Nagle Lady Shiaine odwróciła się do niego i Hanlon zamrugał, widząc, jak przypadkowym gestem wsunęła sztylet do pochewki. A przecież nie wiedział, że znów wyjęła tę swoją przekłętą broń! Bezwiednie wypił łyk wina, zaś gdy w następnej sekundzie uprzytomnił sobie, co zrobił, o mało się nie zakrztusił.

– Chciałbyś zobaczyć Caemlyn złupione i ograbione? – spytała.

– Jasne, że chciałbym. O ile będę miał wiernego towarzysza za plecami i łatwą możliwość wyjścia za mury. – Pomyślał, że wino, które wypił, na pewno nie jest zatrute. Dwa puchary na stole sugerowały, że Shiaine piła trunek wraz z gościem i nawet jeżeli Hanlon trafił akurat na naczynie zabitego, trucizny nie zostało w nim zapewne dość, by przyprawić o mdłości małą myszkę. – Czy tego właśnie pragniesz? Wykonuję przecież wszystkie twoje rozkazy. – Dokładnie rzecz ujmując, wykonywał wszystkie, przy których dostrzegał dla siebie szansę przeżycia, oraz oczywiście wszystkie, które wydali Wybrani. Niewykonanie rozkazów Wybranych równało się głupocie, a kończyło śmiercią. – Czasami jednak dobrze jest wiedzieć coś więcej. Znajomość powodów oraz kontekstu danego polecenia może niejednokrotnie pomóc w jego wypełnieniu. Jeśli powiesz mi zatem, czego szukasz tu, w Caemlyn, może zdołam przyspieszyć bieg zdarzeń.

– Pewnie. – Shiaine uśmiechnęła się szeroko, lecz jej oczy pozostały zimne niczym rzeczne kamienie. – Najpierw jednak zdradź mi, skąd na twojej rękawicy świeża krew.

Odpowiedział jej uśmiechem.

– Pewien rzezimieszek miał pecha, że na mnie trafił, moja pani.

Może Shiaine wysłała tego człowieka, a może nie, tym niemniej Hanlon dopisał gardło lady do spisu tych, które zamierza w niedalekiej przyszłości podciąć. Na liście potencjalnych ofiar mógłby też umieścić głowę Marillin Gemalphin. Ostatecznie, do opowieści o przeszłych zdarzeniach wystarczy wszak jeden świadek.

Rozdział 2

Przedmiot negocjacji

Poranne słońce tkwiło na horyzoncie, pozostawiając bliższą stronę Tar Valon nadal pogrążoną w cieniu, jednakże dzięki pokrywającej wszystkie powierzchnie śnieżnej czapie wokół było jasno i połyskliwe. Miasto, okolone długimi murami z białego kamienia, których wieże obwieszono sztandarami, wydawało się wręcz świecić, tyle że dla dosiadającej dereszowatego wałacha Egwene z tej odległości na brzegu rzeki mogło się znajdować jeszcze dalej, niż było w istocie. Erinin rozciągała się w tym miejscu do nieco ponad dwóch mil, a jej przecinające wyspę dopływy: Alindrelle Erinin i Osendrelle Erinin miały szerokość niemal mili każdy, toteż Tar Valon wyglądało na wysepkę pośrodku wielkiego jeziora, nieosiągalną mimo potężnych mostów, które zbudowano bardzo wysoko ponad wodą, dzięki czemu bez trudu przepływały pod nimi wszelkie statki. Sama Biała Wieża, ogromna budowla w odcieniu białych kości, która wznosiła się z centrum miasta niemożliwie wysoko, napełniła serce kobiety tęsknotą za domem. Egwene nie tęskniła już bowiem za Dwoma Rzekami, lecz właśnie za Białą Wieżą. To Wieża uosabiała teraz jej dom. Spojrzenie dziewczyny przyciągnął nagle pióropusz dymu, cienka, czarna linia wznosząca się znad odległego brzegu za miastem. Na jej widok Egwene aż się skrzywiła. Daishar tupał kopytem w śniegu, jednak wystarczyło poklepać wierzchowca po szyi i natychmiast się uspokajał. Trudniej byłoby uspokoić jego amazonkę. Tęsknota stanowiła bowiem najdrobniejszą cząstkę jej zdenerwowania. Naprawdę maleńką – w porównaniu z całą resztą.

Egwene z westchnieniem położyła wodze na wysokim łuku siodła i podniosła długą lunetę w mosiężnej oprawie. Płaszcz spadł, ześlizgując się z jednego ramienia, jednak dziewczyna zignorowała zimno, które zmieniało jej oddech w parę. Jedną ręką w rękawiczce przykryła przednią soczewkę, chroniąc obraz przed blaskiem słońca. Miejskie mury od razu się przybliżyły i patrząca skupiła się na krętych odnogach Północnej Przystani, które zasilały główne nurty. Po otaczających port blankach przemierzali się zdecydowanym krokiem ludzie, Egwene wszakże z powodu oddalenia nie bardzo odróżniała mężczyzn od kobiet. A jednak cieszyła się, że nie nosi swej stuły ozdobionej pasami w kolorach wszystkich siedmiu Ajah, twarz zaś skryła głęboko w kapturze – na wypadek gdyby ktoś w mieście miał dokładniejszą lunetę niż ona. Szerokie ujście sztucznie utworzonego portu blokował solidny stalowy łańcuch mocno napięty i zawieszony kilka stóp nad wodą. Łańcuch czasem się huśtał, szczególnie gdy wodę poruszały ptaki polujące na wyskakujące nad powierzchnię ryby. Podniesienie jednego, długiego na krok ogniwa wymagałoby dwóch mężczyzn. Pod tą barierą może prześlizgnęłaby się łódź wiosłowa, tyle że żadna jednostka pływająca – duża czy mała – nie zdoła wpłynąć do portu bez zezwolenia Białej Wieży. Zadaniem łańcucha była oczywiście ochrona przed wrogami.

– Oni tam są, Matko – mruknął Lord Gareth i Egwene opuściła lunetę.

Jej generał był zwalistym mężczyzną w prostym pancerzu, na który narzucił zwyczajny brązowy płaszcz: bez złocen i haftów. Twarz za przętami hełmu miał uczciwą i ogorzałą, a ostatnie lata dodały jej dziwnego kojącego spokoju. Wystarczyło popatrzeć na Garetha Bryne'a i wiedziało się, że gdyby otworzyła się przed nim Szczelina Zagłady, zdławiłby strach i kontynuował to, co do niego należało. A inni poszliby w jego ślady. Na kolejnych polach bitew udowodnił, że potrafi poprowadzić ludzi do zwycięstwa. Takiego człowieka potrzebowała Egwene. Teraz podążyła wzrokiem za jego dłonią w rękawicy. Wskazywał nią w górę rzeki.

W pobliżu wzniesienia dostrzegła pięć, sześć... nie, siedem rzecznych statków, które kierowały

się w dół Erinin. Były to duże jednostki, jakie zwykle widuje się na rzekach: trójmasztowce o napiętych, trójkątnych żaglach. Posuwały się prędko, przecinając niebieskozielone wody. Egwene nie miała wątpliwości, że ich kapitanowie pałają chęcią jak najszybszego dotarcia do Tar Valon! Erinin była w tym miejscu wystarczająco głęboka, toteż statki mogły płynąć zaledwie o odległość strzału od któregoś z brzegów, jednak te żeglowały po samym środku rzeki, niemal w jednym rzędzie, co wymagało od sterników nie lada umiejętności i opanowania wiatru. Prawie przyklejeni do punktów obserwacyjnych na wierzchołkach masztów marynarze przyglądali się brzegom i przeszukiwali wzrokiem wodę, wypatrując ewentualnych mielizn.

W gruncie rzeczy nie mieli się czego obawiać... z wyjątkiem wystrzelonych z łuków strzał. Sama Egwene – z miejsca, w którym się znajdowała – umiałaby podpalić każdy z tych statków lub po prostu podziurawić ich kadłuby i pozwolić im zatonać. Byłaby to dla niej kwestia chwili. Wówczas zapewne zatonełaby większość tychże marynarzy. Prąd był tu silny, woda lodowata, a brzeg odległy, nawet dla najdoskonalszych pływaków. Egwene musiałaby zresztą w takim przypadku użyć Jedynej Mocy, wtedy zaś już jedna śmierć oznaczałaby wykorzystanie Mocy jako broni, a Egwene przecież starała się żyć w taki sposób, jakby już była związana Trzema Przysięgami. Czyli że właśnie Przysięgi chroniły teraz te statki zarówno przed nią, jak i przed każdą inną siostrą. Każda Aes Sedai składała wszak przysięgę przy użyciu Różdżki Przysięg, że nie wykorzysta tych splotów (mało tego, że w ogóle ich nie utka), póki nie będzie całkowicie przekonana, iż zagraża jej jednoznaczne niebezpieczeństwo ze strony kogoś lub czegoś... w tym wypadku zatem ze strony tych statków. Taka sytuacja na pewno nie będzie miała tu miejsca, choćby Egwene dostrzegli kapitanowie czy członkowie załóg.

Gdy rzeczne statki zbliżyły się jeszcze bardziej, do uszu dziewczyny dotarły krzyki osłabione i ściszone przez odległość oraz wodę. Obserwatorzy na masztach zaczęli wskazywać ją i Garetha, jednak Egwene szybko pojęła, że biorą ją za zwyczajną Aes Sedai ze Strażnikiem. Kapitanowie w każdym razie wyraźnie nie zamierzali dopuszczać do siebie myśli, że mają do czynienia z kimś wyjątkowym. Moment później statki dodatkowo zwiększyły prędkość, gdyż wiosłarze zaczęli nieco szybciej machać wiosłami. Stojąca na tylnym pokładzie pierwszego statku kobieta, prawdopodobnie jego kapitan, wyraziście poruszała rękoma, prawdopodobnie skłaniając swoich ludzi do maksymalnego wysiłku, a kilku marynarzy biegało po pokładzie w tę i z powrotem, zaciskając bądź poluzowując liny zmieniające kąt ustawienia żagli, mimo iż w opinii Egwene niczego tą szamotaniną nie osiągaliby. Zauważyła wszakże na pokładach statków mężczyzn, którzy na pewno nie należeli do załóg; większość z nich tłoczyła się przy balustradach. Niektórzy patrzyli przez lunety, inni jawnie coś odmierzali lub obliczali dystans dzielący ich od bezpiecznego portu.

Egwene znów pomyślała o utkaniu płomienia, świetlnej gwiazdy, która z głośnym hukiem rozbłysłaby nad statkami. Wówczas bez wątpienia ktoś z pokładu – w miarę inteligentny – pojąłby, że swoje bezpieczeństwo nie zawdzięczają ani osiągniętej prędkości, ani odległości, lecz jedynie ograniczeniom związanym z Trzema Przysięgami. Tak, tak, wszyscy oni powinni się dowiedzieć, że są bezpieczni tylko dzięki dobrej woli Aes Sedai! Oddychając ciężko, potrząsnęła głową i skarciła się w myślach. Ten prosty splot przyciągnąłby wszak równocześnie uwagę osób w mieście i na pewno wzbudził większe zainteresowanie niż zjawienie się pojedynczej siostry. Aes Sedai często chodziły na brzeg rzeki, aby popatrzeć na Tar Valon i na Wieżę. Nawet gdyby jedyną reakcją na wykonane przez Egwene błyski było coś w rodzaju „kontrpokazu”; rywalizację taką – raz rozpoczętą – trudno byłoby zakończyć. A wówczas niezwykle szybko sytuacja mogła się wymknąć spod czyjejkolwiek kontroli. Tego zaś w ubiegłych pięciu dniach Egwene obawiała się i tak zbyt wiele razy.

– Odkąd przybyliśmy, kapitan portu nie wpuszcza na raz więcej niż osiem czy dziewięć statków – zauważył Gareth, kiedy przepłynęła obok nich pierwsza jednostka. – Najwidoczniej wszakże ich kapitanowie wypracowali jakąś kolejność. Następna grupa pojawi się wkrótce i dotrze do miasta w momencie mniej więcej zgodnym z przewidywaniami Gwardii Wieży. Gwardziści wezmą ich po prostu za potencjalnych rekrutów. Jimar Chubain nie jest głupi, więc będzie się miał przede mną na baczności. Z tego, co wiem, w porcie czeka więcej jego Gwardzistów niż w każdym innym miejscu miasta, oprócz wież przy mostach. Ta sytuacja się jednak zmieni. Strumień statków zaczyna się o pierwszym świcie i nie ustaje aż do zapadnięcia zmroku, zarówno tutaj, jak i w Południowej Przystani. W tej grupie moim zdaniem jest mniej żołnierzy niż w większości innych. Każdy plan wydaje się wspaniały, Matko, póki nie nadejdzie ten właściwy dzień. Wtedy będziesz musiała dostosować się do okoliczności albo odjechać.

Egwene sapnęła z irytacji. Na tych siedmiu statkach płynęło prawdopodobnie dwustu lub więcej pasażerów. Niektórzy byli zapewne kupcami, dostawcami bądź też zupełnie przypadkowymi podróżnymi, lecz poranne słońce odbijało się również od licznych hełmów, napierśników i metalowych krążków naszytych na skórzanych kurtach. Ile takich statków i okrętów przybywało każdego dnia? Niezależnie od rzeczywistej konkretnej liczby, bez wątplenia było ich wiele: do miasta wpływał stały strumień mężczyzn chętnych zasilić szeregi Gwardii Kapitana Naczelnego Chubaina.

– Dlaczego ludzie stale pchają się tam, gdzie mogą zabijać lub... sami zginąć? – mruknęła rozdrażnionym tonem.

Lord Gareth popatrzył na nią spokojnie. Na swoim koniu, dużym gniadym wałachu z białą strzałką na nosie, siedział nieruchomo niczym posąg. Czasami rozmyślała nad uczuciami, jakie do tego człowieka żywiła Siuan, czasem zaś miała ochotę czymś go zaskoczyć, ot tak, choćby po to, aby zobaczyć, czy potrafi nim wstrząsnąć.

Na nieszczęście, znała odpowiedzi na to i inne pytania, równie dobrze jak Gareth Bryne. Przynajmniej na pytania dotyczące potencjalnych rekrutów. Och, istnieje dość mężczyzn, którzy przybywają na wojnę w celu wsparcia jakiejś sprawy lub obrony swoich racji i tego, co ich zdaniem warte jest obrony. Inni z kolei szukają przygody, jakkolwiek rozumieją ten termin. Nie sposób też pominąć milczeniem faktu, że noszący pikę czy włócznię mężczyzna może codziennie zarobić sumkę dwukrotnie wyższą niż płaca u farmera, a o połowę większą od tej, którą zdobywają rekruci kawalerzyści; kuszników i łuczników należało umieścić pośrodku tej „listy płac”. Wszak niejedyn człowiek, który pracuje dla innego, marzy często o swoim interesie, takim jak własna farma albo sklep, o czymś choćby małym, co później rozwiną jego synowie. A każdy z pewnością słyszał tysiące opowieści czy to o biedakach, którzy przesłużywszy w wojsku pięć lub dziesięć lat, wracali do domu z ilością złota wystarczającą im na dalsze życie w komforcie, czy to o zwykłych żołnierzach, którzy zostawali generałami bądź też lordami. Gareth nie miał wątpliwości, że dla wielu biedaków widok czubeczka piki jest bardziej ekscytujący i atrakcyjny niż obserwacja zadu konia ciągnącego pług, który w dodatku należy do pracodawcy farmera. Nawet jeśli tym biedakom groziło, że zginą na wojnie, zamiast dorobić się pieniędzy czy zyskać sławę. Egwene uważała podejście Garetha za nieco cyniczne, choć podejrzewała, iż większość mężczyzn na wpływających do Tar Valon statkach postrzega sprawę dość podobnie. W ten sposób wszakże sama Egwene zdobyła własną armię. Na każdego osobnika, który pragnął dopomóc usunięciu z Tronu Amyrlin uzurpatorki, nawet na każdego, który bez cienia wątpliwości wiedział, kim jest Elaida, dziesięciu, jeśli nie stu mężczyzn przyłączało się dla zapłaty.

Zauważyła, że niektóre osoby na statkach podnoszą ręce i pokazują pełniącym na murach portu

straż wartownikom, że nie posiadają broni.

– Nie – oświadczyła, a Lord Gareth westchnął.

– Matko, póki porty pozostaną otwarte, Tar Valon będzie jadało lepiej niż my, Gwardia Wieży zaś zamiast słabnąć z głodu, będzie rosła i stawała się coraz silniejsza. – Jego głos pozostał opanowany, lecz wypowiedane słowa bynajmniej nie brzmiały pocieszająco. – Bardzo wątpię, czy Elaida pozwoli Chubainowi wyprowadzić ludzi i zaatakować nas, choć bardzo tego żałuję. Każdy kolejny dzień czekania zwiększa nasze rozdrażnienie i mocniej nas wyczerpuje. I wiele kosztuje. A przecież w końcu dojdzie do walki, prędzej czy później. Od początku twierdziłem, że atak kiedyś nastąpi. Moje przekonanie się nie zmieniło, choć doszło do wielu innych zmian. Gdyby siostry wprowadziły mnie i moich ludzi do Tar Valon, mógłbym przejąć miasto. Nie byłaby to czysta, ładna akcja. Takie nigdy się nie udają. Ale potrafię je dla ciebie przejąć, wierz mi. A im szybciej zadziałamy, tym mniej ludzi umrze.

Egwene poczuła ucisk w żołądku – tak bolesny, że zaczęła tracić oddech. Ostrożnie, stopniowo, rozpoczęła rozluźniające ćwiczenia nowicjuszek. Medytowała i ćwiczyła. Z wolna spłynął na nią spokój, który ogarnął najpierw jej ciało, potem zaś i wnętrze...

Zbyt wielu już ludzi stało się świadkami formowania bram i przemieszczania się za ich pomocą poprzez Podróżowanie, a tacy jak Gareth byli w pewnym sensie najgorsi ze wszystkich. Profesja tego mężczyzny wiązała się z wojną – był naprawdę doskonałym dowódcą. Gdyby odkrył, że przez bramę można przeprowadzić sporą grupkę osób, natychmiast zauważyłby spore korzyści dla siebie i dla swego fachu. Wysokie i grube mury Tar Valon, niemal niemożliwe do pokonania nawet przy użyciu katapulty oblężniczej (chyba że dzięki zastosowaniu Mocy), dla armii, która potrafiła Podróżować, stałyby się cienkie i słabe niczym papier. Może Gareth Bryne jeszcze nie dostrzegł takiej możliwości, inne osoby rozważały już jednak taki pomysł. Asha'mani na przykład... podobno. Wojna zawsze jest paskudna, teraz wszakże może się stać jeszcze brzydsza.

– Nie – powtórzyła. – Wiem, że zanim rozwiążemy tę sytuację, ludzie będą umierać. – Niech Światłość jej dopomoże, oczyma wyobraźni już widziała ginących ludzi. Jeszcze więcej ich wszak zginie, jeśli ona, Egwene, podejmie niewłaściwe decyzje. I to nie tylko tutaj. – Tyle że muszę utrzymać Białą Wieżę... aż do Tarmon Gai'don. To ona ma stać pomiędzy światem i Asha'manami. A Wieża zginie, jeśli siostry zaczną się nawzajem zabijać na ulicach Tar Valon. – Raz już się coś takiego zdarzyło i Egwene nie pozwoli na powtórkę tamtej tragedii. – Wraz ze śmiercią Białej Wieży umrze nadzieja. Nie powinnam ci więcej tego powtarzać.

Daishar nieoczekiwanie parsknął, podrzucił głowę i wykonał nagły ruch do przodu, jakby wyczuł irytację swojej pani, jednak Egwene ściągnęła mocno cugle i zapanowała nad koniem. Wsunęła lunetę do wiszącego u siodła futerału z tłoczzonej skóry. Nurkujące ptaki przerwały nagle połów i zerwały się w powietrze, gdyż chroniący Północną Przystań gruby łańcuch zaczął niespodziewanie opadać. Zanim pierwszy statek dotrze do portowego ujścia, łańcuch znajdzie się już głęboko pod powierzchnią wody. Jak długo ona sama płynęła do Tar Valon mniej więcej identyczną trasą? Prawie już zapomniała, tak przynajmniej jej się zdawało. Minęło naprawdę sporo lat. Była teraz niemal inną kobietą – inną niż wtedy, gdy wysiadła na ląd i spotkała się z Mistrzynią Nowicjuszek.

Gareth w jednej chwili skrzywił się i potrząsnął głową. Ale przecież on nigdy się nie poddawał, prawda?

– Musisz zachować przy życiu Białą Wieżę, Matko, jednak moje zadanie polega na zdobyciu jej dla ciebie. Chyba że sytuacja uległa zmianie i zdarzyło się coś, o czym nie wiem. Potrafię dostrzec szepczące i oglądające się przez ramię siostry, nawet jeżeli nie mam pojęcia, jak brzmi temat ich

rozmowy. Jeśli nadal będziesz pragnęła przejąć Wieżę, dojdzie do ataku. Zaufaj mi, lepiej wcześniej niż zbyt późno.

Nagle ranek wydał jej się ciemniejszy. Odniosła wrażenie, że słońce przesłoniły chmury. Uprzytomniła sobie, że cokolwiek zrobi, jakkolwiek postąpi, ludzie będą umierać, stopy trupów będą rosły niczym drwa zbierane na opał... Na pewno wszakże musiała utrzymać przy życiu Białą Wieżę, co do tego nie miała wątpliwości. Po prostu musiała to zrobić! Jeśli nie istnieje dobry wybór, trzeba wybrać działanie, które wydaje się najmniej niewłaściwe.

– Widziałam już tutaj wystarczająco dużo – oświadczyła cicho.

Po raz ostatni zerknęła na wąską linię dymu za miastem, po czym zawróciła Daishara ku drzewom oddalonym sto kroków od rzeki, gdzie jej eskorta czekała wśród wiecznie zielonych mahoniowców i po zimowemu nagich buków i brzoź.

Dwustu przedstawicieli lekkiej kawalerii, w napierśnikach ze specjalnie wyprawionej skóry lub kaftanach obszytych metalowymi krążkami, na pewno przyciągnęłoby uwagę, ukazując się na brzegu rzeki, lecz Gareth przekonał Egwene o konieczności pobytu w tym miejscu mężczyzn z wąskimi lancami i krótkimi łukami. Bez wątpienia ów pióropusz dymu na drugim brzegu wznosił się ze spalonych wozów albo zapasów. Z pozoru były to drobne kłopoty, niemniej jednak do podpaień dochodziło każdej nocy. Najpierw zdarzało się jedno, potem dwa lub trzy, w końcu wszyscy po przebudzeniu rzucali się najpierw do okien i szukali dymu. Polowanie na sprawców na razie nie przynosiło żadnych rezultatów. Ścigającym przeszkadzały nagłe śnieżyce, dzikie, mroźne wiatry nocne, a czasem fakt, że ślady znikwały zupełnie nieoczekiwanie i śnieg za ostatnimi kopytami robił się równie gładki jak świeżo spadły. Osobliwe znikanie tropów oraz pozostałości splotów jawnie wskazywały na pomoc Aes Sedai, więc nie było sensu ryzykować, że może ludzie Elaidy – mężczyźni i siostry – przebywają także po tej stronie rzeki. Niewiele rzeczy mogłoby się spodobać Elaidzie bardziej niż schwytanie Egwene al’Vere.

Ta dwusetka oczywiście nie stanowiła całej eskorty Amyrlin. Oprócz Sheriam, swej Opiekunki, Egwene wyjechała tego ranka jeszcze z sześcioma innymi Aes Sedai, a wobec faktu, że siostry posiadające Strażników, zabrały ich z sobą, towarzyszyło im ośmiu mężczyzn w mieniących się kolorami płaszczach, które schwytane przez wiatr falowały, powodując u patrzących wręcz lekki zawrót głowy; płaszcze te nierzadko także zdawały się częściowo skrywać jeźdźców i konie, pozornie zlewając ich sylwetki z pniami drzew lub innymi elementami otoczenia. Świadomi niebezpieczeństw – przynajmniej zagrożenia za strony ewentualnych rzezimieszków – Strażnicy rozglądali się bacznie po zagajniku, jakby nie dostrzegali tam uzbrojonych kawalerzystów. Bezpieczeństwo połączonych z nimi więzią Aes Sedai interesowało ich najbardziej, a w sprawie ich ochrony każdy ufał wyłącznie sobie samemu. Sarin, czarnobrody mężczyzna, niezbyt wysoki, lecz mocno zbudowany, trzymał się tak blisko Nisao, że prawie przesłaniał tę drobną Żółtą. Jori z kolei zdawał się górować nad Morvrin, chociaż wcale nie był od niej wyższy; właściwie był bardzo niski – nawet jak na Cairhienianina – tyle że równie potężnej budowy jak Sarin. Trzej Strażnicy Myrelle zaś, czy też raczej trzej, do których ośmielała się przyznawać, skupili się wokół niej tak ściśle, że nie mogła ruszyć konia, jeśli nie chciała zepchnąć któregoś z drogi. Setagana Anaiyi, szczupły, ciemny i tak ładny, jak ona była nijaka, sam zdołał ją niemal otoczyć, a Tervail – osobnik o wydatnym nosie i pokiereszowanej twarzy – stał blisko swojej Aes Sedai imieniem Beonin. Carlinya nie miała Strażnika, co nie było niezwykle w przypadku Białych, jednak obserwowała mężczyzn z głębin obszytego futrem kaptura takim wzrokiem, jakby zamierzała wybrać dla siebie jednego z nich.

Jeszcze niezbyt dawno temu Egwene długo by się wahała, zanim zdecydowałaby się pokazać z tymi sześcioma kobietami. Wszystkie one, a także Sheriam, przysięgły jej wierność lenniczą i z

różnych powodów żadna z nich nie chciała ujawnić tego faktu; mało tego, niktych zdaniem nie powinien tej przysięgi nawet podejrzewać. Dzięki tej siódemce Egwene mogła wpływać na zdarzenia, oczywiście do pewnego stopnia, podczas gdy cały świat uważał ją jedynie za marionetkę, za zbyt młodą Zasiadającą na Tronie Amyrlin, której nikt nie słucha i którą Komnata Wieży potrafi skłonić dosłownie do wszystkiego. Komnata pozbyła się tej iluzji, kiedy Egwene postanowiła wypowiedzieć wojnę Elaidzie, w końcu pokazując Zasiadającym swoją prawdziwą władzę. Od tamtej pory jednakże zarówno Komnata Wieży, jak i Ajah martwiły się każdym następnym ruchem Egwene i stale się zastanawiały, czy będą im odpowiadać konsekwencje owego ruchu. Zasiadające były bardzo zaskoczone, gdy Egwene przyjęła ich propozycję utworzenia swego rodzaju rady – dzięki swej mądrości i doświadczeniu miało jej doradzać grono złożone z jednej siostry reprezentującej każdą Ajah. A może sądziły, że udane wypowiedzenie wojny przewróciło jej w głowie. Rzecz jasna, Amyrlin po prostu kazała Morvrin, Anaiyi i pozostałym upewnić się, że ma do czynienia z siostrami wybranymi, które cieszą się w swoich Ajah dostatecznym szacunkiem. Egwene uprzejmie wysłuchiwała ich porad, choć nie zawsze postępowała zgodnie z nimi lub wracała do nich dopiero po kilku tygodniach, obecnie wszakże nie było już potrzeby organizować ukradkowych zebrań lub potajemnie przekazywać sobie informacji.

Patrzyła akurat na Białą Wieżę i dumiała, gdy pojawiła się nowo przybyła Zasiadająca.

Sheriam, w płaszczu przewiązanym w pasie charakterystyczną dla jej urzędu wąską, niebieską stułą, wykonała z wysokości swojego siodła bardzo formalny ukłon. Ta kobieta o ognistych włosach potrafiła się czasami zachowywać niewiarygodnie oficjalnie.

– Matko, Zasiadająca Delana pragnie z tobą pomówić – oświadczyła, jakby Egwene sama nie potrafiła dostrzec korpulentnej Szarej siostry nadjeżdżającej na klaczy o maści pstrej i prawie tak ciemnej jak wierzchowiec Sheriam, zwierzę o czarnych pęcinach. – Twierdzi, że sprawa jest ważna.

Nieco szorstki ton Opiekunki oznaczał najpewniej, że Delana nie wyjaśniła jej szczegółów tejże sprawy. Sheriam nie lubiła takiego traktowania. Nierzadko bywała bardzo zazdrosna o swoją pozycję.

– Na osobności, Matko, jeśli można – dodała Delana, odrzucając ciemny kaptur, spod którego wyłoniły się włosy prawie w kolorze srebra.

Głos – jak na kobietę – miała głęboki i wyraźnie ponaglała Egwene, jednoznacznie sugerując pilną potrzebę rozmowy.

Jej przybycie nieco zdumiało Amyrlin. Delana często popierała ją w Komnacie Wieży, kiedy Zasiadające długo debatowały nad jakąś szczególną decyzją i usiłowały ustalić, czy decyzja ta ma rzeczywiście związek z wojną przeciwko Elaidzie. Komnata powinna popierać rozkazy Egwene, jednak nawet te Zasiadające, które, ogólnie rzecz biorąc, sprzyjały wojnie, częstokroć potrafiły się całymi godzinami kłócić o jakiś niewiele istotny fakt. Wszystkie chciały się pozbyć Elaidy, a jednak gdy Komnata miała podjąć jakąś konkretną decyzję, potrafiły się tylko spierać. I – prawdę mówiąc – poparcie Delany nie zawsze spotykało się z pozytywnym przyjęciem pozostałych Zasiadających. Jednego dnia traktowały ją zresztą jak zwyczajną Szarą negocjatorkę, która szuka konsensusu, nazajutrz zaś dzięki jej przenikliwie wyłożonym argumentom Egwene zyskiwała pomoc od każdej Zasiadającej, która je usłyszała. Delanie zdarzało się też posuwać za daleko. Co najmniej trzykrotnie już próbowała skłonić Komnatę do jednoznacznej deklaracji, że Elaida należy do Czarnych Ajah i za każdym razem jedyną reakcją Zasiadających była nieprzyjemna cisza trwająca aż do momentu, w którym ktoś oznajmiał, że należy tę kwestię odroczyć. Niewiele sióstr miało ochotę dyskutować otwarcie problemy związane z istnieniem Czarnych Ajah. A Delana potrafiła roztrząsać każdy temat – od punktu, skąd znaleźć odpowiednie stroje dla dziewięciuset osiemdziesięciu siedmiu nowicjuszek

aż po pytanie, czy Elaida ma tajne zwolenniczki wśród sióstr (kolejny temat, przy którym większości Zasiadającym przechodziły po plecach ciarki). Egwene zastanowiła się, dlaczego Delana wyjechała samotnie o tak wczesnej porze. Wcześniej nigdy nie zbliżyła się do niej bez towarzystwa jednej czy dwóch innych Zasiadających. Amyrlin poszukała odpowiedzi na swoje pytanie u samej Delany. Jednak nie znalazła jej ani w jasnoniebieskich oczach Zasiadającej, ani w gładkiej, typowej dla Aes Sedai twarzy.

– Wybierzmy się na krótką przejażdżkę – podsunęła Egwene. – Zyskamy trochę prywatności. – Popatrzyła na Sheriam, która już otwierała usta. – Zostań z resztą, proszę cię – poleciła. W zielonych oczach Opiekunki pojawiło się coś na kształt gniewu. Sheriam dobrze wypełniała swoją rolę, bywała jednak przesadnie gorliwa i zbyt jawnie okazywała niezadowolenie, jeśli Amyrlin wykluczała ją z jakiegoś spotkania. Zdenerwowana czy nie, po krótkim wahaniu pokornie pochyliła głowę i posłuchała polecenia Egwene. Opiekunka nie zawsze wiedziała, która z sióstr dowodzi, tym razem jednak udało jej się ocenić właściwie.

Od rzeki Erinin teren się podnosił, choć nie łagodnie, jak na wzgórzach, ale niemal pionowo – aż do monstrualnego szczytu, który górował na zachodzie, tak potężnego, że wydawał się niemal kpić z własnej nazwy. Smocza Góra prezentowałaby się okazale nawet wśród wysokich wierzchołków Grzbietu Świata, a tutaj, na stosunkowo płaskim obszarze wokół Tar Valon, jej zwieńczony śnieżną czapą czubek wydawał się sięgać niebios, szczególnie gdy – tak jak w chwili obecnej – znad ząbkowanego szczytu unosiła się cienka nitka dymu. Widoczna na takiej wysokości nikła smużka z bliska okazałaby się prawdopodobnie czymś zupełnie innym. Tyle że mało komu udawało się wspiąć choćby do połowy Smoczej Góry, czyli do miejsca, gdzie kończyły się drzewa, a nikt chyba nie dotarł do samego wierzchołka ani nawet w jego pobliże, chociaż mawiano, że jej zbocza zasypane są kośćmi śmiałków, którzy próbowali wejść. Nikt wszakże nie widział, po co w ogóle zdobywać ten szczyt. Czasami wieczorem jego długi cień sięgał do samego miasta. Mieszkający w tym rejonie ludzie przyzwyczaili się do przesłaniającej niebo Smoczej Góry, tak samo jak przyzwyczaili się do Białej Wieży górującej ponad miejskimi murami i widocznej na szereg mil. Góra i Wieża stanowiły po prostu niezmiennie elementy tego świata, które zawsze tu były i nigdy stąd nie znikną, mieszkańców krainy wszakże interesowały własne zbiory i własne rzemiosło, nie zaś wierzchołki czy Aes Sedai.

W małych siołach składających się z dziesięciu, dwunastu pokrytych strzechą lub łupkiem kamiennych domów albo w sporadycznie zdarzających się tu wioskach zaludnionych mniej więcej przez setkę rodzin, dzieci bawiące się w śniegu bądź też noszące ze studni wypełnione wodą wiadra zatrzymywały się i otwierały buzie, patrząc ze zdumieniem na żołnierzy jadących ubitymi traktami, które pełniły rolę dróg, o ile nie zasypał ich śnieg. Żołnierze nie wieźli żadnych sztandarów, chociaż niektórzy mieli wyhaftowany na płaszczach lub kaftanach z długim rękawem Płomień Tar Valon, charakterystyczne wielobarwne odzienie Strażników sugerowało zaś, iż przynajmniej kilka spośród kobiet to Aes Sedai. Nawet tak blisko miasta siostry stanowiły ostatnio niezwykle widok, pod wpływem którego każdemu malcowi błyszczały oczy. Zresztą prawdopodobnie nawet żołnierze wydawali się niektórym z nich istotami nie z tego świata. Większą część terenu dokoła Tar Valon zajmowały produkujące jedzenie dla miasta farmy, czyli otoczone kamiennym murem pola skrywające stare, rozpadające się domy, wysokie, kamienne lub ceglane stodoły, niewielkie połacie zarośli, zagajników i kęp drzew pośrodku. Grupki farmerskich dzieci często biegały w bliskiej odległości od domostw, niczym zające skacząc przez śnieg i rzadko się zbliżając do traktów. Zimowe prace domowe trzymały większość dorosłych we wnętrzach, ci zaś, którzy grubo ubrani wyszli na dwór, ledwie podnosili głowy, by ogarnąć szybkim spojrzeniem żołnierzy, Strażników czy Aes Sedai. Wkrótce przyjdzie wiosna, pora orki i siewu, na co Aes Sedai nigdy nie miały wpływu. I

prawdopodobnie nadal nie będą miały, jeśli Światłość pozwoli.

Skoro nie spodziewali się ataku, nie zachowywali też jakiejś szczególnej ostrożności. Lord Gareth rozmieścił żołnierzy na przedzie, po bokach i na tyłach, a główną część grupy poprowadził tuż za Strażnikami, którzy niemal deptali po piętach Sheriam i przedstawicielkom „rady”. Wszyscy razem tworzyli duży, nierówny krąg wokół Egwene, która – gdyby nie rozglądała się na boki zbyt dokładnie – mogłaby niemal wyobrazić sobie, że jedzie traktem sama z Delaną. Albo gdyby zapatrzyła się w dal. Amyrlin nie przymuszała do rozmowy Zasiadającej w imię Szarych ani nie zamierzała na nią naciskać. Czekala ich długa jazda z powrotem do obozu, a tutaj, w miejscu, w którym ktoś mógłby dostrzec splot, nie wolno im było tkać bram; z tego też względu Egwene miała dość sporo czasu na wysłuchanie sprawy, z którą przybyła Delana. Dlatego na razie tylko się rozglądała, porównując mijane farmy z tymi, które zapamiętała z Dwu Rzek.

Może im się przypatrywała, gdyż niedawno sobie uświadomiła, że Dwie Rzeki przestały być jej domem. Uznanie tej prawdy nie kojarzyło jej się ze zdradą, tym niemniej uważała, że powinna pamiętać rodzinną miejscowość. Jeśli się zapomni, skąd się przyszło, można zapomnieć, kim się jest. Chociaż czasami córka karczmarza z Pola Emonda wydawała jej się kimś innym, zupełnie obcą osobą. Egwene czuła, że niektóre z tych farm przeniesione blisko Pola Emonda wyglądałyby zdecydowanie dziwnie, nie potrafiła jednakże wypunktować uzasadniających jej stwierdzenie szczegółów. Cóż, te tutaj różniły się nieco kształtem, a ich dachy opadały pod innym kątem i częściej były kryte łupkiem niż strzechą. O ile Amyrlin dobrze widziała szczegóły przez śnieg, który pokrywał większość tych dachów. W Dwu Rzekach było oczywiście teraz mniej strzech niż niegdyś, a więcej kamienia i cegły. Egwene zobaczyła to już... w *Tel'aran'rhiod*. Zmiany następowały zresztą tak powoli, że trudno je było zauważyć czy doświadczyć związanych z nimi wygód, tym niemniej następowały. Nic nie pozostaje wszak takie samo, nawet gdy człowiek jest pewien niezmienności tego czegoś. Ani gdy ma na nią nadzieję lub jej pragnie.

– Niektórzy sądzą, że zamierzasz go do siebie przywiązać jako swojego Strażnika – zagaiła nagle Delana spokojnym głosem. Może po prostu zaczynała zwyczajną pogawędkę, gdyż całą uwagę wydawała się skupiać na poprawianiu kaptura swego płaszcza i wygładzaniu go dłońmi w zielonych rękawiczkach. Była niezłą amazonką, prowadziła swoją klacz dobrze i wręcz bez wysiłku, jakby w ogóle zapominała o istnieniu zwierzęcia. – Niektórzy może uważają, że już to zrobiłaś. Sama przez jakiś czas nie miałam żadnego, toteż wiem, że dla poczucia komfortu wystarczy pamiętać, że się kogoś takiego ma i że jest on w pobliżu. O ile wybierzesz właściwego. – Egwene podniosła jedynie brwi, dumna, że nie odwarknęła tej kobiecie. Był to absolutnie ostatni temat, jakiego w tym momencie oczekiwała, Delana zaś dodała tonem wyjaśnienia: – Lord Gareth spędza z tobą dużo czasu. Jest nieco starszy niż większość, ale Zielone często wybierają na pierwszego Strażnika doświadczoną mężczyznę. Wiem, że nigdy właściwie nie wskazałaś żadnej Ajah, często wszakże myślę o tobie jako o Zielonej. Zastanawiam się, czy Siuan ulży, jeśli połączysz się z Lordem Garethem więzią, czy też może raczej wytrąci ją ten fakt z równowagi. Czasem zdaje mi się, że zareaguje spokojnie, innym razem, że nerwowo. Ich związek, jeśli można tak nazwać łączący ich układ, jest bardzo szczególny, jednakże Siuan jawnie poczyni sobie bez żadnego skrepowania.

– Musisz o to spytać samą Siuan. – Uśmiezek Egwene był nieco złośliwy. Podobnie zresztą jej ton. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego Gareth Bryne ofiarował jej swoją lojalność, według niej wszakże Komnata Wieży miała ważniejsze zajęcia, niż plotkować niczym wiejskie baby. – Delano, możesz oświadczyć wszystkim zainteresowanym, że nikogo nie zamierzam z sobą wiązać. Lord Gareth spędza ze mną czas... jak zauważyłaś... ponieważ jestem Zasiadającą na Tronie Amyrlin, a on pełni funkcję mojego generała. O tym również możesz wszystkim przypomnieć.

Więc Delana myślała o niej jako o Zielonej. Tę właśnie Ajah wybrałaby w istocie, chociaż po prawdzie pragnęła mieć tylko jednego Strażnika. I tylko jeden mężczyzna pasowałby jej do tej roli. Ale Gawyn znajdował się albo gdzieś w Tar Valon, albo w drodze do Caemlyn, więc – tak czy tak – zbyt szybko się nie zobaczą. Egwene poklepała niespodziewanie szyję Daishara i przez chwilę walczyła z sobą, starając się, by jej uśmiech nie przemienił się w piorunujące spojrzenie. Pomyślała, że miło było zapomnieć choć na chwilę o Komnacie i jej sprawach. Dzięki kontaktom z Zasiadającymi rozumiała teraz powody, dla których Suan – gdy była Amyrlin – miała często skrzywione oblicze i wyglądała jak osoba cierpliwie znosząca straszliwy ból zęba.

– Nie powiedziałabym, że temat ten stał się podstawą do szerokiej dyskusji – mruknęła Delana. – To znaczy... jak do tej pory. Tym niemniej jest pewne zainteresowanie wokół ciebie. Parę osób zastanawia się, czy posiadasz Strażnika i kto nim jest. Wątpię, czy Garetha Bryne uznałyby za mądry wybór. – Obróciła się w siodle i spojrzała za siebie. Egwene pomyślała, że kobieta popatrzyła zapewne na Lorda Garetha, jednak moment później Zasiadająca ponownie na nią zerknęła i oznajmiła bardzo cicho: – Oczywiście nie wybrałaś sobie Sheriam na Opiekunkę, musisz jednak wiedzieć, że Ajah przydzieliły także tej grupce sióstr zadanie obserwowania ciebie. – Jej pstrokata siwa kłacz była niższa od Daishara, więc kobieta zmuszona była spoglądać na Amyrlin nieco z dołu, co usiłowała robić bez wysiłku. Nagle w wodnistych niebieskich oczach Delany pojawiły się ostre błyski. – Niektórzy sądzą, że doradza ci Suan... że dobrze ci doradza... Wnoszą to z twojej decyzji wypowiedzenia wojny Elaidzie. Suan wszakże czuje się chyba urażona z powodu zmiany... okoliczności, nieprawdaż? Z tego też względu Sheriam wygląda im zatem obecnie na najbardziej prawdopodobną doradczynię. W każdym razie Ajah przesyłają małe ostrzeżenie na wypadek, gdybyś zdecydowała się zaskoczyć je jakąś swoją kolejną decyzją.

– Dziękuję za ostrzeżenie – odparła grzecznie Egwene.

Doradczyni?! Udowodniła już chyba przecież Komnacie, że nie zamierza pełnić roli marionetki, a jednak większość Zasiadających wyraźnie się upierała przy opinii, że ktoś musi kierować poczynaniami Amyrlin. Przynajmniej sprawdziły się jej podejrzenia związane z „radą”. Miała nadzieję, że żadna z przedstawicielek tejże rady o jej podejrzeniach nie wie.

– Jeszcze z innego powodu powinnaś zachować ostrożność – kontynuowała Delana spokojnym, niedbałym głosem, sprzecznym z intensywnością jej spojrzenia. Dla tej kobiety wyraźnie omawiane przez nią sprawy były niezwykle ważne, choć nie chciała się przed Egwene zdradzić ze swoimi emocjami. – Możesz być pewna, że każda porada, której ci udzieli któraś z nich, będzie pochodziła wprost od przywódczyni jej Ajah, a jak wiesz, przywódczyni danych Ajah i ich Zasiadające nie zawsze się spotykają oko w oko. Zbyt dokładnie ich słuchając, możesz zdrzeć z Komnatą. Pamiętaj, że nie każda decyzja dotyczy wojny, choć pewnie zapragniesz nakłonić niektóre z Aes Sedai do postępowania zgodnie z twoim pomysłem.

– Cóрко, Amyrlin powinna wysłuchać każdej strony przed podjęciem decyzji – wyrecytowała Egwene. – Jednak zapamiętam twoje ostrzeżenie, kiedy będą mi doradzać.

Czy ta Delana naprawdę uważa ją za jakąś głupią dziewczuchę? A może próbowała ją rozgniewać? Gniew prowadził do pospiesznych decyzji i nierozważnych słów, które czasami trudno było cofnąć. Egwene nie potrafiła się domyślić, o co Delanie naprawdę chodzi, ale skoro Zasiadającym nie powiódł się jeden rodzaj manipulacji wobec niej, zapewne próbowały innego. Odkąd Egwene została wyniesiona na Tron Amyrlin, zyskała wielką praktykę w niepoddawaniu się manipulacji. Wziąwszy kilka głębokich, regularnych wdechów, starała się przez chwilę odzyskać równowagę i spokój. Udało jej się. W tej kwestii od pewnego czasu również miała już spore doświadczenie.

Szara zadarła głowę i patrzyła na Amyrlin. Jej widoczna w kapturze twarz wydawała się uosobieniem łagodności. Natomiast gniew w jasnoniebieskich oczach jarzył się jeszcze mocniej. Oczy wydawały się teraz ciąć niczym ostre sztylety.

– Mogłabyś, Matko, spytać, co sądzą na temat negocjacji z Elaidą.

Egwene o mało się nie uśmiechnęła. Zatem Delana z absolutną premedytacją wprowadziła pauzę w ich rozmowę. Widocznie nie lubiła określenia „Córka”, szczególnie jeśli tytułowała ją tak kobieta młodsza niż większość nowicjuszek. Młodsza niż większość tych pochodzących z Wieży, nie wspominając o najnowszych. Chociaż w sumie Delana również wydawała się zbyt młoda jak na Zasiadającą. I tak samo jak ona, Egwene, córka karczmarza, nie umiała panować nad temperamentem.

– A dlaczego miałabym je o to pytać?

– Ponieważ temat ten pojawił się w Komnacie przed kilkoma dniami. Nie była to propozycja, po prostu o takiej możliwości wspomniały bardzo cicho Varilin, Takima i Magła. A Faiselle i Saroiya okazały zainteresowanie słowami tamtych.

Nawet jeśli Egwene pozostawała dotąd opanowana, teraz rozszalała się w jej wnętrzu prawdziwa wściekłość, nad którą nie potrafiła zapanować. Tych pięć kobiet zasiadało w Komnacie jeszcze przed rozłamem w Wieży, lecz – co ważniejsze – podzieliły się między dwie główne frakcje walczące o kontrolę Komnaty. Część poszła za Romandą, część za Lelaine, te dwie z kolei zawzięcie walczyłyby z sobą, nawet gdyby obu groziło zatonięcie. No i obie trzymały swoje zwolenniczki żelazną ręką.

Amyrlin mogłaby uwierzyć, że niektóre spośród tych Aes Sedai przeraziły się ostatnimi wydarzeniami... Ale nie Romanda lub Lelaine. Od trzech czy czterech dni rozmowy o Elaidzie bądź na temat przejęcia Wieży niemalże ucichły, przytłoczone pełnymi niepokojem dyskusjami nad tym niemożliwie potężnym i niewyobrażalnie długim wybuchem Jedynej Mocy. Prawie każda siostra chciała wiedzieć, co ów wybuch spowodowało i prawie każda lękała się potencjalnej odpowiedzi na to pytanie. Zaledwie wczoraj Egwene potrafiła przekonać Komnatę, że dla małej grupy bezpieczne jest przemieszczenie się przy użyciu bramy, czyli Podróżowanie do miejsca erupcji (wspomnienia wszystkich były na tyle silne, że każda siostra umiałaby wskazać punkt w przestrzeni, w którym do wybuchu doszło), a większość sióstr wyraźnie nadal wstrzymywała oddech, czekając na powrót Akarrin i jej towarzyszek. Każda Ajah wystawiła przedstawicielkę, tym niemniej grupką dowodziła Akarrin.

Ani Lelaine, ani Romanda nie wydawały się jednakże zainteresowane tą kwestią. Obie twierdziły, że potężne przenoszenie Mocy, choć gwałtowne i bardzo długie, miało miejsce w znacznej odległości od Tar Valon i na szczęście nikomu nie wyrządziło najmniejszej nawet krzywdy. Jeśli Moc przenosił któryś z Przeklętych – co uznawały za pewnik – szansa poznania szczegółów działania tej osoby równała się niemal zeru, a możliwość sprzeciwu czy przeciwdziałania ze strony Aes Sedai wydawała się jeszcze mniejsza. Marnowanie czasu i energii z tak niemożliwego powodu uznawały za nonsens, skoro siostry miały do wykonania ważniejsze zadania. Obie to właśnie zgodnie oświadczyły, przy okazji zgrzytając zębami, gdyż zrozumiały, iż pozostają w jakiejś sprawie zgodne. Zgodziły się też, że Elaidzie trzeba odebrać Laskę i Stułę – Romanda wypowiedziała to zdanie prawie z taką samą gorliwością co Lelaine. Jeżeli fakt, że Elaida zepchnęła z Tronu Amyrlin jedną z Błękitnych Ajah, rozwścieczył Lelaine, proklamacja Elaidy w sprawie planowanego rozwiązania Błękitnych Ajah doprowadziła ją niemal do ataku wściekłości. A teraz pozwalały sobie na rozmowę o negocjacjach...? Nie, to nie miało najmniejszego sensu.

Egwene bez dwóch zdań nie chciała wzbudzać podejrzeń u Delany czy kogokolwiek innego. Nikt wszak nie miał nawet brać pod uwagę faktu, że Sheriam i kobiety z „rady” są kimś więcej niż

tylko grupką „wartowniczek” wyznaczonych do śledzenia poczynań młodzianki Amyrlin. Tym niemniej przywołała je wszystkie ostrym tonem. Siostry były wystarczająco inteligentne, toteż potrafiły dotrzymać sekretów wymagających dyskrecji, zwłaszcza że za ujawnienie choć części tych tajemnic ich własne Ajah srodze by je ukarały. Teraz podjechały niespiesznie i powoli ustawiły się wokół Egwene. Ich twarze wyglądały identycznie – jak typowe dla Aes Sedai maski spokoju i cierpliwości. Amyrlin kazała Delanie powtórzyć wcześniejsze słowa. Mimo swej pierwotnej prośby o rozmowę na osobności Szara niby odmówiła, lecz sekundę później nakreśliła krótko swoje podejrzenia. I w tym momencie zakończył się okres spokoju i cierpliwości.

– To szaleństwo – oznajmiła Sheriam, zanim któraś z pozostałych zdołała choćby otworzyć usta. W jej głosie pobrzmiwał gniew i prawdopodobnie lekki przestach. Może i była przestraszona. Jej imię znajdowało się wszak na liście kandydatek do ujarznienia. – Żadna z nich nie wierzy chyba naprawdę w możliwość negocjacji.

– Też tak sądziłam – wtrąciła oschle Anaiya. Jej prosta twarz bardziej pasowała do żony farmera niż do siostry z Błękitnych Ajah. Anaiya ubierała się także bardzo prosto, przynajmniej publicznie, choć wybierała dobre wełny. Tym niemniej potrafiła panować nad swoim gniadym wałachem równie łatwo jak Delana nad swoją klaczą. Niewiele też kwestii mogło zburzyć jej spokój. Oczywiście, wśród Zasiadających omawiających temat negocjacji nie było żadnej Błękitnej. Anaiya nie wyglądała na bojowniczkę, jednak dla Błękitnych rozpoczęła się przecież prawdziwa wojna na śmierć i życie. – Elaida idealnie rozjaśniła sytuację.

– Elaida postępuje w sposób irracjonalny – stwierdziła Carlinya. Szarpnęła głową, zrzucając kaptur na ramiona, a następnie potrząsnęła krótkimi ciemnymi lokami. Rozdrażniona, ponownie nałożyła kaptur na głowę. Carlinya rzadko okazywała jakiegokolwiek emocje, teraz wszakże jej blade policzki były prawie tak intensywnie rumiane jak lico Sheriam. – Nie może prawdopodobnie uwierzyć – dodała gorącym, zdenerwowanym głosem – że nie wracamy do niej, pełzając przy tym w pokornej pozie. Jak Saroiya może sądzić, że Elaida zaakceptuje coś mniej znaczącego od takiej pokory?

– Elaida wymaga czołobitności i pokory – przyznała Morvrin uszczypliwym tonem. Również jej zazwyczaj łagodną, okrągłą twarz wykrzywiła teraz kwaśna mina, a pulchne ręce kobiety mocno trzymały wodze. Obrzuciła grupkę zrywających się z brzoźowego zagajnika srok tak twardym i gniewnym spojrzeniem, że ptaki powinny pospadać na ziemię. – Takima lubi czasem dźwięk własnego głosu. Po prostu czuje potrzebę przemawiania, bo pragnie słuchać samej siebie.

– Faiselle podobnie – dorzuciła ponuro Myrelle, przeszywając nienawistnym wzrokiem Delanę, jak gdyby to ona była wszystkiemu winna. Ta kobieta o oliwkowej skórze była znana ze swego trudnego usposobienia, nawet wśród Zielonych. – Nigdy nie spodziewałabym się, że usłyszę od niej tego rodzaju wypowiedź. Dotąd nie zdarzało jej się zachowywać tak głupio.

– Nie mogę uwierzyć, że Magła myślała poważnie – upierała się Nisao, spoglądając po kolei na każdą z sióstr. – Coś takiego nie wydaje mi się po prostu możliwe. Przynajmniej, choć wolałabym tego nie mówić, Romanda trzyma Magię tak krótko, że tamta aż piszczy, ilekroć Romanda kichnie. A Romanda przecież wygnałaby Elaidę bez wahania, zastanawiając się jedynie, czy nie należy jej uprzednio wychłostać.

Wyraz twarzy Delany pozostał obojętny, lecz prawdopodobnie Zasiadająca tłumiała zadowolony z siebie uśmiech. Najwyraźniej dokładnie na taką reakcję miała nadzieję.

– Romanda trzyma Saroiyę i Varilin równie twardą ręką, a Takima i Faiselle niemal się nie ruszają bez pozwolenia Lelaine, tym niemniej powiedziały to, co powiedziały. Myślę jednak, Matko, że twoje doradczynie wyrażają uczucia większości sióstr. – Wyglądając rękawiczki, posłała

Amyrlin spojrzenie z ukosa. – Jeśli bardzo się postarasz, może zdołasz zdusić tę sprawę w zarodku. Wydaje mi się, że otrzymasz od Ajah potrzebne poparcie. I, ma się rozumieć, także moje, w Komnacie. Moje i nie tylko moje. Wystarczy, by ukręcić sprawie łeb.

Jak gdyby Egwene potrzebowała poparcia dla zrealizowania własnego celu. Może Delana próbowała jej się jedynie przypodobać. Albo zasugerować, że jedyną jej troską jest pomoc dla młodej Amyrlin.

Beonin jechała wcześniej w milczeniu, zaciskając płaszcz i wpatrując się w punkt między uszami swojej kasztanowatej klaczy, nagle wszakże potrząsnęła głową. Jej wielkie, szaroniebieskie oczy zwykle nadawały jej obliczu wyraz zaskoczenia, teraz jednak kobieta łypała nimi spod kaptura gorąco i gniewnie to na jedną, to na drugą siostrę, łącznie z Egwene.

– Dlaczego negocjacje są w waszej opinii niemożliwe? – spytała. Sheriam zamrugła, gapiąc się na nią w zdumieniu, a Morvrin otworzyła usta z nachmurzoną miną, jednak Beonin pograżała się dalej, kierując teraz swoją złość na Delanę. – My, ty i ja – oświadczyła z silniejszym niż zwykle taraboniańskim akcentem – jesteśmy Szarymi. Jesteśmy negocjatorkami, pośredniczkami. Elaida wysoko stawia poprzeczkę, ale często taka sytuacja zdarza się na początku negocjacji. Uważam, że potrafimy doprowadzić do ponownego zjednoczenia Białej Wieży i możemy zagwarantować wszystkim bezpieczeństwo... Jeśli tylko porozmawiamy.

– Zadaniem nas, Szarych, jest również osądzanie – odwarknęła jej Delana. – A Elaidę już osądziłyśmy. – Fakt ten niecałkowicie zgadzał się z prawdą, Delanę wyraźnie jednak bardziej niż kogokolwiek innego zaskoczył wybuch Beonin. Jej głos ociekał kwasem. – Może ty chciałabyś pertraktować, czy powinnaś się dać wychłostać. Ja po prostu nie zamierzam i sędzę, że niewiele znajdziesz sojuszniczek w tej kwestii.

– Sytuacja uległa zmianie – upierała się Beonin. Wyciągnęła rękę do Egwene, prawie błagalnym gestem. – Gdyby Elaida nad wszystkim nie panowała, nie wydałaby oświadczenia, że interesuje się sprawą Smoka Odrodzonego. Tak uważam. Widziany przez nas płomień *saidara* to ostrzeżenie. Przekłęci najprawdopodobniej wyruszają, a Biała Wieża musi się...

– Wystarczy – przerwała Amyrlin. – Jesteś gotowa do otwartych negocjacji z Elaidą? To znaczy... – poprawiła się – ...z Zasiadającymi, które nadal przebywają w Wieży?

Elaida nigdy nie lubiła negocjować.

– Tak – przyznała żarliwie Beonin. – Całość spraw można załatwić w sposób satysfakcjonujący nas wszystkie. Wiem, że tak.

– Udzielam ci zatem na te negocjacje swojego pozwolenia.

Po tych słowach Egwene siostry – wszystkie z wyjątkiem Beonin – zaczęły się szaleńczo przekrzykiwać. Większość usiłowała wyperswadować Amyrlin pomysł negocjacji, odwieść ją od niego, nazywać istnym szaleństwem. Anaiya krzyczała równie głośno jak Sheriam, gestykulując przy tym gwałtownie, a oczy Delany powiększyły się z przerażenia i o mało nie wyskoczyły z orbit. Niektórzy męscy członkowie eskorty zaczęli się przyglądać siostrom takim wzrokiem, jakim obrzucali mijane farmy, wśród Strażników zaś wybuchło prawdziwe poruszenie; i bez więzi wiedzieli, że ich Aes Sedai są czymś wstrząśnięte, na szczęście nie ruszali się z miejsc. Mądrzy Strażnicy nie wściubiają nosów w nie swoje sprawy i trzymają się z dala, gdy Aes Sedai zaczynają podnosić głos.

Egwene zignorowała krzyki i wymachiwania rękami swoich towarzyszek. Rozważała każdą możliwość, która dawała szansę na zakończenie walki i ponowne zjednoczenie Białej Wieży. Przegadała wiele godzin z Siuan, która miała więcej niż ktokolwiek inny powodów, ażeby pragnąć detronizacji Elaidy. Jeśliby taki gest mógł uratować Wieżę, Egwene poddałaby się nawet władzy

Elaidy i puściła w niepamięć fakt, że kobieta ta bezprawnie zasiadła na Tronie Amyrlin. Słyszając tę sugestię, Siuan o mało nie dostała apopleksji, jednak zgodziła się, choć niechętnie, że utrzymanie Wieży w całości to kwestia najważniejsza i absolutnie priorytetowa.

Beonin błyskała teraz tak pięknym uśmiechem, że okrucieństwem wydawało się zdławienie jej rozradowanej miny.

– Zbliżysz się do Varilin i innych sióstr, których imiona poda ci Delana – poleciła Egwene, nieznacznie podnosząc głos, chciała mieć bowiem pewność, że wszystkie Aes Sedai ją usłyszą. – I dzięki nim spróbujesz się dostać do Białej Wieży. Jest jeden warunek, od którego nie odstępę. Elaida ma się podać do dymisji i udać na wygnanie. – Powiedziała to, ponieważ wiedziała, że Elaida nigdy nie przyjąłaby z powrotem sióstr, które się przeciwko niej zbuntowały. Amyrlin nie mogła decydować o zachowaniu i postępowaniu poszczególnych Ajah, więc uzurpatorka oznajmiła, iż siostry, które uciekły z Wieży, przestają być członkiniami czy to swoich, czy to innych Ajah. Według niej, te Aes Sedai powinny błagać o ponowne przyjęcie do swoich Ajah, oczywiście po odbyciu pokuty pod jej osobistą kontrolą. Elaida nie zamierzała ponownie scalać Wieży i jej rządu jedynie jeszcze bardziej pogłębiały rozłam. – Tylko taki stan rzeczy mogę przyjąć, Beonin. I pozostanę w tej sprawie nieugięta. Rozumiesz mnie?

Szara przewróciła oczyma. Spadłaby z konia, gdyby Morvrin w odpowiednim momencie jej nie złapała. Przez moment szeptała coś mdlejącej do ucha, równocześnie starając się utrzymać Beonin w pionie, w końcu trzasnęła ją w twarz, w dodatku wcale nielekką. Wszystkie pozostałe siostry wpatrywały się w Egwene wzrokiem, jakim obrzuca się obcą osobę, widzianą po raz pierwszy w życiu. Nawet Delana, która prawdopodobnie od początku rozmowy podejrzewała, że właśnie do czegoś takiego dojdzie. Od chwili zaśląbnięcia Szarej wszystkie siostry siedziały na koniach nieruchomo i w milczeniu. Na rozkaz Lorda Garetha żołnierze otoczyli je jeszcze ściślej kręgiem. Niektórzy popatrywali na nie, większość z niepokojem widocznym na ich twarzach nawet za przętami hełmów.

– Pora wracać do obozu – oznajmiła Amyrlin. Wypowiedziała te słowa spokojnie. Stanie się to, co się musi stać. Być może jej poddanie się Elaidzie uzdrowiłoby Wieżę, ale szansa na taki ruch była niewielka i Egwene właściwie nie brała go pod uwagę. Teraz może dojść do walk między Aes Sedai na ulicach Tar Valon, chyba że Egwene znajdzie sposób przeprowadzenia swojego planu z sukcesem. – Mamy do wykonania zadanie – dodała, zbierając cugle – a nie zostało nam dużo czasu.

Modliła się, ażeby tego czasu wystarczyło.

Rozdział 3

Sekrety

Kiedy Delana się upewniła, że posiane przez nią trujące nasienie dobrze się zakorzeniło w umysłach sióstr, mruknęła, że wolałaby nie być widziana wśród powracającej wraz z Egwene do obozu świty, po czym popędziła swoją klacz do szybkiego kłusa i ruszyła przez śnieg. Pozostałe kobiety jechały powoli w nieprzyjemnej, ciężającej im ciszy. Słysząc było jedynie chrzęst brodzących w śniegu końskich kopyt. Strażnicy trzymali się w odpowiedniej odległości za swoimi Aes Sedai, eskortujący zaś całą grupę żołnierze znów popatrywali wyłącznie na farmy i zarośla, z rzadka jedynie obrzucając Aes Sedai szybkimi spojrzeniami. Tak przynajmniej wydawało się Amyrlin. Wiedziała wszak, że mężczyźni nie potrafią trzymać języka za zębami. Gdy któremuś kazało się zachować coś w tajemnicy, postępował dokładnie odwrotnie i tym bardziej plotkował, oczywiście rozmawiając jedynie z najbliższymi przyjaciółmi, którym mógł zaufać, tyle że ci bez skrupułów przekazywali zasłyszaną historię każdemu, kto chciał ich wysłuchać. Może Strażnicy różnili się w tej kwestii od reszty mężczyzn – tak twierdziły w każdym razie Aes Sedai... to znaczy te spośród Aes Sedai, które posiadały Strażników – żołnierze jednakże bez wątpienia rozpoviedzą o sprzeczce sióstr, które w dodatku odesłały Delanę jak niepyszną. Egwene musiała przyznać, że Szara bardzo starannie zaplanowała całą sprawę. Jeśli wieść się rozejdzie, nikt jej nie obarczy winą. Prawda zazwyczaj wychodzi w końcu na jaw, do tej pory wszakże pierwotne wydarzenie obrasta zwykle pogłoskami, spekulacjami i kompletnymi kłamstwami, toteż większość osób już w tę prawdę nie wierzy.

– Ufam, że nie muszę pytać, czy któraś z was słyszała o tej sprawie wcześniej – rzuciła Amyrlin, z pozom całkiem od niechcienia. Studiowała przy tym okolicę, jakby nie przywiązywała wagi do odpowiedzi, tym niemniej ogarnęło ją zadowolenie, gdy wszystkie Aes Sedai niemal z oburzeniem zaprzeczyły. Łącznie z Beonin, która masowała sponiewieraną szczękę i przesywała pełnym nienawiści wzrokiem Morvrin. Egwene wierzyła w ich zaprzeczenia, tak jak wierzyła w ich zapewnienia i przysięgi. Aes Sedai nie wolno było przecież składać niezgodnych z prawdą przysięg, chyba że wstąpiły w szeregi Czarnych Ajah... Ta ewentualność oczywiście ją dręczyła i stanowiła wytłumaczenie dla przesadnej ostrożności, a poza tym Amyrlin wiedziała, że każdy lojalny człowiek może czasem popełnić jakiś straszny czyn, jeśli sądzi, że obróci dzięki niemu sprawę na lepsze. A osoby przymuszone do przysięg bywały biegłe w dostrzeganiu w tych przysięgach luk i wyrw, które znacząco zwiększały pole manewru. – Prawdziwe pytanie brzmi – podjęła po chwili – po co naprawdę Delana tu przybyła? Czego szuka?

Egwene nie musiała niczego wyjaśniać, nie tym doświadczonym w Grze Domów kobietom. Jeśli Delana pragnęła jedynie nie dopuścić do negocjacji z Elaidą, nie wskazując przy tym na siebie jako na inicjatorkę tego pomysłu, mogła w dowolnej chwili po prostu porozmawiać o tej sprawie z Amyrlin w cztery oczy. Zasiadające nie potrzebowały żadnego usprawiedliwienia, jeżeli zapragnęły na osobności pomówić ze swoją władczynią. Delana mogła też skorzystać z pomocy Halimy, która większość nocy przesyiała na sienniku w namiocie Egwene, chociaż była sekretarką Szarej siostry. Amyrlin cierpiała bowiem na straszliwe migreny i w niektóre noce jedynie masaże Halimy mogły uśmierzyć jej ból, tylko dzięki nim mogła wtedy zasnąć. Zresztą wystarczyłaby pewnie anonimowa notatka i Egwene wkroczyłaby do Komnaty z edyktem zabraniającym negocjacji. Najdrażliwszy nawet dyskutant musiałby przyznać, że rozmowa na temat zakończenia wojny zawsze dotyka tematu... wojny. Delana jednak wyraźnie chciała w jakiś sposób poinformować Sheriam i inne Aes Sedai o swoim udziale w tej sprawie. Jej „plotkarstwo” na pewno było więc wymierzone w inny cel.

– Pragnie doprowadzić do konfliktu między przywódczyniami Ajah i Zasiadającymi – stwierdziła Carlinya zimnym jak śnieg głosem. – A może nawet do konfliktu między poszczególnymi Ajah. – Z pozoru przypadkowym ruchem poprawiła płaszcz: śnieżnobiały, wyszukanie haftowany i obszyty gęstym, czarnym futrem. Przemawiała tak obojętnie, że wydawała się negocjować cenę szpulki z nicią. – Nie mam pojęcia, po co Delana tego chce, ale takie właśnie będą skutki, o ile nie zachowamy rozwagi. Tyle że ona nie powinna zdawać sobie sprawy ani z naszej rozwagi, ani nawet z tego, że mamy jakieś powody do ostrożności, ponieważ jej celem może być jedna z nas lub nawet kilka.

– Pierwsza odpowiedź, która przychodzi człowiekowi do głowy, nie zawsze jest właściwa, Carlino – powiedziała Morvrin. – Masz zbyt mało przesłanek, aby ocenić działanie Delany, jej cel czy podejście do ostrożności. – Korpulentna Brązowa wierzyła bardziej w zdrowy rozsądek niż w logikę, tak w każdym razie teraz sugerowała, w gruncie rzeczy wszakże mieszała jedno z drugim, wybierając pragmatyczne rozwiązania i, wbrew swojemu stwierdzeniu, podejrzanie szybkie lub łatwe odpowiedzi. Co zresztą czasem nie okazywało się wbrew pozorom całkiem rozsądne. – Może Delana próbuje doprowadzić niektóre spośród Zasiadających do wahania w kwestii jakiegoś zagadnienia, które jest dla niej ważne. A może ma nadzieję, że Elaida opowie się jako Czarna Ajah. Pomijając skutki, Delana może mieć na celu coś, czego w ogóle nie podejrzewamy. Zasiadające potrafią reagować w sposób równie małostkowy jak inni ludzie. Wszystkim nam zaś wiadomo, że Delana może żywić urazę do jednej z wymienionych przez nią Aes Sedai i to od czasów, kiedy sama była nowicjuską i właśnie one ją nauczały. Sądzę, że lepiej skoncentrować się na potencjalnych skutkach naszej z nią rozmowy, niż martwić się, dlaczego nie wiemy więcej.

Jej ton był tak spokojny jak jej twarz o szerokich szczękach, choć chłodny spokój słuchającej Carlinyi na moment wyraźnie się otarł o zimną pogardę. Racjonalność tej kobiety nie zakładała ustępstw dla ludzkich słabostek. Ani dla wypowiedzi osób, które się z nią nie zgadzały.

Anaiya roześmiała się z czymś przywodzącym na myśl prawie matczyne rozbawienie. Odgłos przestraszył jej gniadosza i koń odtańczył dobre parę kroków, zanim jego pani zdołała go uspokoić i skłonić do powolnego stępa. Samej Egwene Anaiya skojarzyła się z ciepłą farmerką, którą rozśmieszyły błazeństwa innych kobiet z jej wsi. Większość sióstr bez wahania zignorowała ten śmiech.

– Nie dąsaj się, Carlino – powiedziała ciepło Anaiya. – Bardzo prawdopodobne, że masz rację. Tak, tak, Morvrin, Carlinya najprawdopodobniej wcale się nie myli. Sądzę, że w każdym razie powinniśmy brać pod uwagę możliwość, że Delanie chodzi o skłócenie nas.

Ani jej ton, ani słowa bynajmniej nie brzmiały zabawnie. Żadnej Błękitnej nie rozśmieszały przeszkody w detronizacji Elaidy.

Myrelle gwałtownie pokiwała głową, zgadzając się z poprzedniczką, w sekundę później jednak szybko zamrugała zaskoczona pytaniem Nisao.

– Możesz sobie pozwolić na powstrzymanie Delany, Matko? – Niewysoka Żółta nie odzywała się zbyt często publicznie. – Niezależnie od tego, co ta Zasiadająca próbuje zrobić... Nawet jeśli w ogóle zdołamy ustalić, o co jej chodzi – dodała szybko, machając ręką w stronę Morvrin, która już otwierała usta, by znów coś powiedzieć. Nisao wyglądała przy pozostałych kobietach jak dziecko, wyraźnie wszakże potrafiła w odpowiednim momencie wykonać nie znoszący sprzeciwu gest. Ostatecznie należała przecież do Żółtych i cechowała się typową dla tej Ajah pewnością siebie, toteż w większości sytuacji nikomu nie ustępowała i nie wycofywała się z raz obranego stanowiska. – Mam na myśli rozmowy w sprawie negocjacji z przebywającymi w Wieży Zasiadającymi.

Na chwilę wszystkie Aes Sedai rozdziawiły usta i zapatrzyły się na nią. Nawet Beonin.

– A dlaczego miałybyśmy na nie pozwolić i im sprzyjać? – spytała w końcu Anaiya groźnym tonem. – Nie przebyłyśmy całej tej drogi w celu odbycia pogawędki z Elaidą.

Teraz wyglądała jak farmerka, która trzyma za plecami tasak i zamierza go użyć.

Nisao zadarła na nią głowę i lekceważąco prychnęła.

– Nie twierdzę, że któraś z nas pragnie pozwolić na negocjacje. Pytałam jedynie, czy odważymy się do nich nie dopuścić.

– Ledwie dostrzegam różnicę – oświadczyła Sheriam lodowatym głosem. Jej twarz była bardzo blada.

Egwene pomyślała gniewnie, że Opiekunka Kronik prawdopodobnie się czegoś obawia.

– Pomyśl zatem przez moment, a ją zobaczysz – odburknęła kąśliwie Nisao. Kąśliwie i ostro, tak jak ostry jest czubeczek noża. – W chwili obecnej rozmowa o negocjacjach ogranicza się do pięciu Zasiadających i wydaje się bardzo spokojna, ale czyż taką pozostanie? Kiedy rozejdzie się plotka, że zaproponowano i odrzucono perspektywę rozmów, ile minie czasu, zanim w sytuację wkroczy rozpacz? Och, nie przerywajcie mi, wysłuchajcie mnie do końca! Wyruszyłyśmy wszystkie przepelnione słuszną furią i domagające się sprawiedliwości, a jednak tkwimy tu na brzegu rzeki i gapimy się na mury Tar Valon, podczas gdy Elaida spokojnie siedzi sobie w Wieży. Jesteśmy tutaj już prawie dwa tygodnie i nie zdziwiłabym się, gdyby okres naszego pobytu przeciągnął się na dwa lata albo i lat dwadzieścia. Im dłużej będziemy bezproduktywnie czekać, tym więcej sióstr zacznie usprawiedliwiać zbrodnie uzurpatorki. A wtedy coraz więcej z nich będzie uważało, że to my musimy doprowadzić do ponownego zjednoczenia Wieży, nie bacząc na koszty. Chcecie czekać, aż poszczególne siostry jedna po drugiej zaczną się wyslizgiwać do Elaidy? Osobiście nie wyobrażam sobie, że będę stać na brzegu rzeki, przeciwstawiając się tej kobiecie jedynie w towarzystwie Błękitnych Ajah i pozostałych z was. Negocjacje przynajmniej pokażą wszystkim wokół, że coś się dzieje!

– Nikt nie zamierza wracać do Elaidy – zaprotestowała gorąco Anaiya, przesuując się w siodle, tym niemniej jej zmartwiona mina, uniesione brwi i ton jawnie zaprzeczały pewności jej słów. Prawdopodobnie brała jednak pod uwagę taką ewentualność.

Wieża pociągała każdą Aes Sedai. Istniała spora szansa, że nawet Czarne siostry tęskniły za całą i na powrót zjednoczoną Wieżą. Wieża niby stała tak blisko, w odległości zaledwie kilku mil, niemniej jednak pozostawała dla nich nieosiągalna.

– Rozmową mogłybyśmy zyskać na czasie, Matko – mruknęła niechętnie Morvrin, a nikt nie potrafił przemawiać z taką niechęcią w głosie jak ona. Przez jej marsową minę przebijała zaduma i nie było w niej ani źdźbła zadowolenia. – Jeszcze parę tygodni i może Lord Gareth znajdzie statki, których potrzebuje do zablokowania portów. Wtedy sytuacja kompletnie się odmieni i stanie dla nas korzystna. Kiedy odetniemy Tar Valon od dostaw pożywienia i odbierzemy siostrom możliwość ucieczki, zamorzemy miasto głodem w przeciągu miesiąca.

Egwene bardzo się starała zachować kamienne oblicze, co kosztowało ją nieco wysiłku. Tak naprawdę nie miała najmniejszej nadziei na zdobycie statków czy okrętów, które mogłyby zablokować port, chociaż żadna z pozostałych Aes Sedai o tym nie wiedziała. Gareth wyjaśnił tylko jej tę kwestię, lecz za to już na długo przed opuszczeniem Murandy. Początkowo w trakcie marszu na północ wzdłuż Erinin rzeczywiście planował zakup jednostek pływających, które pragnął wykorzystać do przewiezienia zapasów. A po dotarciu do Tar Valon chciał te statki zatopić w ujściu portu. Użycie bram, dzięki którym dotarli do Tar Valon, zniweczyło jego plany. Wiadomość o oblężeniu opuściła miasto wraz z pierwszymi statkami wypływającymi po przybyciu armii, teraz zaś zarówno na północy, jak i na południu – wszędzie, gdzie Gareth wysłał jeźdźców – kapitanowie

statków woleli odsyłać swoje towary na brzeg małymi łodziami, podczas gdy główne jednostki tkwiły zakotwiczone pośrodku rzeki. Żaden kapitan nie miał ochoty ryzykować odebrania mu statku. Lord Gareth zdawał raport tylko Egwene, a jego oficerowie składali wszystkie sprawozdania jedynie jemu, żadna siostra nie zdołałaby się zatem niczego dowiedzieć, nawet gdyby zdecydowała się na rozmowę z jednym czy drugim żołnierzem.

Na szczęście nawet Aes Sedai poszukujące Strażników rzadko rozmawiały z żołnierzami, gdyż ogólnie rzecz ujmując, uważały ich za złodziejską gromadkę niepiśmiennych mężczyzn, którzy kąpią się rzadko i jedynie przypadkowo, kiedy akurat przechodzą w bród jakiś strumień. Jednym słowem, żołnierze nie należeli do osobników, z którymi Aes Sedai spędzały dobrowolnie czas. Dzięki wszystkim tym niuansom łatwiej było zachować w grupie wszelkie sekrety, a niektóre były naprawdę istotne. Swoich tajemnic Egwene wołała nie przekazywać czasami nawet osobom, które pozornie znajdowały się po jej stronie. Może sama nie pamiętała, skąd wzięło się w niej takie rozważne podejście, jednak nauczyła się go jeszcze jako córka karczmarza, czyli w tym okresie życia, które dawno temu kazano jej porzucić. Teraz żyła w innym świecie i ten świat rządził się regułami zupełnie odmiennymi od zasad Pola Emonda. Tam fałszywy krok znaczył wezwanie przed Koło Kobiet, tu natomiast mógł się skończyć śmiercią albo czymś... gorszym. I to nie tylko dla niej samej.

– Pozostające w Wieży Zasiadające powinny być chętne do rozmowy – Carlinya z westchnieniem przerwała rozmyślenia Amyrlin. – Muszą wiedzieć, że im dłużej trwa oblężenie, tym bardziej rosną szanse Lorda Garetha na znalezienie statków. Chociaż nie wiem, jak długo potrwają rozmowy, gdy Zasiadające już pojną, że nie zamierzamy się poddać.

– Elaida będzie nalegała na deklarację poddania – szepnęła Myrelle. Chyba nie miała zamiaru polemizować z poprzedniczką, po prostu mówiła do siebie.

W tym samym momencie Sheriam zadrżała i otuliła się dokładniej płaszczem, jak gdyby nie chciała dopuścić do siebie zimna.

Tylko Beonin wyglądała na szczęśliwą. Siedziała w siodle ożywiona i wyprostowana. Jej włosy w odcieniu ciemnego miodu stanowiły piękną oprawę dla szerokiego uśmiechu błyskającego spod kaptura. Wyraźnie wszakże nie chciała naciskać na swoje towarzyszki. W powszechnym mniemaniu była świetną negocjatorką, więc doskonale wiedziała, kiedy trzeba działać, a kiedy czekać.

– Powiedziałam, że możecie zacząć – wtrąciła Egwene. Nie, wcale nie chciała tego szczególnie podkreślać, uważała jednak, że kobieta, która postanowiła żyć zgodnie z Trzema Przysięgami, powinna wypełniać wszystkie swoje zobowiązania. Och, nie mogła się wręcz doczekać Różdżki Przysięg. Jakże pragnęła trzymać ją już w dłoniach. Od tamtej pory jej sytuacja na pewno stanie się znacznie łatwiejsza. – Po prostu zanim coś powiecie, dobrze się zastanówcie, o czym mówicie i z kim rozmawiacie. Zachowajcie ostrożność. Niech w Wieży myślą, że wyrosły nam skrzydła i na nich tu przyleciałyśmy. Nawet jeśli podejrzewają, że odkryłyśmy na nowo Podróżowanie, nie będą miały co do tego pewności, póki ktoś im tego faktu nie potwierdzi. Ich niepewność jest dla nas lepsza. Ten jeden sekret zachowajcie wszystkie i nie zdradźcie się z nim przed nikim. Tak jak nie zdradzacie obecności naszych szpiegów w Wieży.

Myrelle i Anaiya wykonały w tym momencie nagły ruch, a Carlinya natychmiast rozejrzała się wokół, jawnie czymś przestraszona, chociaż ani Strażnicy, ani żołnierze nie znajdowali się na tyle blisko, żeby usłyszeć ich rozmowę. No, chyba że któraś z nich zaczęłaby krzyczeć. Morvrin z kolei przybrała jeszcze bardziej cierpką minę. Nawet Nisao wyglądała na nieco zdenerwowaną, chociaż nie miała nic wspólnego z decyzją potajemnego wysłania do Wieży sióstr, które jakoby odpowiedziały na wezwanie Elaidy. Komnatę na pewno uszczęśliwiło odkrycie, że dziesięć

przebywających w Wieży sióstr na wszelkie możliwe sposoby próbuje osłabić Elaidę, nawet jeśli ich działalność nie przyniosła do tej pory żadnych oczywistych rezultatów. Z drugiej strony Zasiadającym bez wątpienia nie spodobałby się fakt, że zadanie owych sióstr aż do chwili obecnej stanowiło sekret, ponieważ kobiety te obawiały się, że niektóre spośród Zasiadających są w rzeczywistości Czarnymi Ajah. Z tych samych powodów Sheriam i pozostałe nie chciały ujawnić Zasiadającym treści przysięgi, którą złożyły Egwene. Ujawnienie akurat tej przysięgi mogłoby się dla nich bowiem źle skończyć. Komnata wprawdzie nie ukarała jeszcze żadnej chłostą, lecz wobec irytacji, z jaką większość Zasiadających zareagowała na wieść o ewentualnym przejęciu przez Egwene kontroli nad wojną, doprawdy chyba nikogo nie zaskoczyłoby, gdyby skwapliwie skorzystały z szansy pokazania, iż nadal posiadają jakąś władzę, a równocześnie w przekonujący sposób wyraziły swoje niezadowolenie.

Beonin prawdopodobnie jako jedyna wcześniej sprzeciwiła się tej decyzji – przynajmniej zanim stało się oczywiste, że inne ową decyzję popierają – teraz jednakże również ona z drzeniem wciągnęła oddech i zmarszczyła brwi. W jej przypadku zresztą niejaką rolę mogło też odegrać nagłe uświadomienie, czego się właśnie podjęła. Wszak samo znalezienie w Wieży osoby chętnej do mówienia mogło człowieka zniechęcić do czekającego zadania. Przebywające wewnątrz Tar Valon „oczy i uszy” potrafiły zaoferować jedynie pogłoski na temat zdarzeń w Wieży, a prawdziwe nowiny docierały do buntowniczek wyłącznie w postaci fragmentarycznej i pochodziły od sióstr, które odważyły się wejść do *Tel'aran'rhiod*, ażeby ujrzeć tam w przelocie odbite mignięcia świata jawy. Tak czy owak, ostatnia z tych informacji twierdziła, że Elaida rządzi za pomocą edyktów i zgodnie z własnymi kaprysami, którym nawet Komnata nie ośmiela się przeciwstawić. Teraz twarz Beonin osobiście poszarzała i kobieta zaczęła wyglądać jeszcze bardziej niezdrowo niż Nisao. Anaiya i pozostałe popatrywały wzrokiem ponurym jak śmierć.

Młodą Amyrlin ogarnęła fala przygnębienia. Te Aes Sedai należały do najsilniejszych spośród przeciwniczek Elaidy – nawet powolna Beonin, która zawsze wolała rozmowę niż działanie. No cóż, Szare słynęły z przekonania, że każdy problem można rozwiązać poprzez odpowiedniej długości pogawędkę. Powinny kiedyś spróbować przekonać w ten sposób jakiegoś trolloka albo choćby... rozbójnika. Ciekawe, co udałoby im się wtedy osiągnąć! Bez Sheriam i reszty sióstr opór wobec Elaidy rozwiałby się niczym dym, zanim grupa zdążyłaby się scalić w jedną całość. Może zresztą wcale nie miały szans. Tak czy inaczej, w tej chwili Elaida wciąż zupełnie niezagrożona rządziła z Wieży i to po wszystkim, co one przeszły, po wszystkim, co zrobiły... Nawet Anaiya prawdopodobnie dostrzegала już przed sobą widmo katastrofy.

Nie! Nie! Egwene wzięła głęboki wdech, rozciągnęła ramiona i wyprostowała się w siodle. To ona była legalną Amyrlin, niezależnie od poglądów, które w tej kwestii żywiły przedstawicielki Komnaty, gdy sadzały ją na tronie. Była legalną Amyrlin i musiała doprowadzić do rebelii przeciwko Elaidzie, utrzymując dzięki niej nadzieję na uzdrowienie Wieży. Jeśli dla osiągnięcia tych celów musiała pozorować chęć do negocjacji, cóż... nie będzie pierwszą Aes Sedai udającą, że dąży do jednego efektu, ażeby osiągnąć zupełnie przeciwny. Egwene zrobiłaby wszystko, co trzeba, dla podtrzymania rebelii i detronizacji Elaidy. Wszystko, co trzeba!

– Przeciągnij rozmowy najdłużej, jak zdołasz – poleciła Beonin. – Możesz mówić na każdy dowolny temat, póki zatrzymasz dla siebie nasze tajemnice. Każ też ciągle mówić tamtym, ale na nic się nie zgadzaj.

Szara negocjatorka poruszyła się niespokojnie w siodle. Wyglądała gorzej niż Anaiya. Tak, zdecydowanie wyglądała na chorą. Jeszcze chwila i zacznie wymiotować.

Kiedy dostrzegły obóz, słońce znajdowało się już prawie w połowie drogi ku południowemu

szczytowi. Eskorta konnych w lekkich zbrojach oderwała się tu i skierowała ku rzece, zostawiając Egwene i siostry. Ostatnią milę miały przejechać przez śnieg jedynie w towarzystwie swoich Strażników, którzy trzymali się tuż za nimi. Lord Gareth zatrzymał się na moment, jakby jeszcze raz chciał powiedzieć z Amyrlin, w końcu jednak obrócił gnadosza na wschód i ruszył za swoją kawalerią. Po chwili przyspieszył do kłusa, starając się dogonić jeźdźców, którzy zniknęli właśnie za gęstym zagajnikiem. Nigdy nie inicjował kłótni ani nawet dyskusji, jeśli ktoś trzeci mógł usłyszeć, szczególnie że – tak jak wszyscy – uważał Beonin i inne tutejsze Aes Sedai jedynie za wyznaczone przez Ajah „psy” szpiegujące Egwene. Amyrlin odczuwała czasem smutek i żal, że nie może się z tym mężczyzną podzielić prawdą, wyznawała jednakże zasadę, że im mniej osób zna daną tajemnicę, tym większe jest prawdopodobieństwo, że pozostanie ona tajemnicą.

Obóz składał się z licznych namiotów w najrozmaitszym kształcie, rozmiarze, kolorze i stanie uszkodzeń. Zajmował niemal całe rozległe, okolone drzewami pastwisko, położone w połowie drogi między Tar Valon i Smoczą Górą. Po bokach stały paliki dla licznych koni oraz rzędy wozów i furmanek, wśród których trudno było znaleźć dwa podobne do siebie pojazdy. Dym wznosił się z kominów w kilku miejscach parę mil za linią drzew, lecz miejscowi farmerzy trzymali się z daleka od obozowiska, chyba że przybywali sprzedawać siostrom jajka, mleko czy masło lub gdy potrzebowali Uzdrowienia po jakimś wypadku. Egwene nigdzie nie dostrzegła śladów armii, którą przywiodła z tak daleka. Gareth skoncentrował siły wzdłuż rzeki: część żołnierzy zajmowała miejskie mosty po obu brzegach, reszta zaś przebywała w obozie nazywanym przez generała rezerwowym, a umieszczonym w punkcie, z którego można by popędzić mężczyzn do pomocy w odparciu jakiegoś zbrojnego wypadu z miasta, gdyby przypadkiem Lord Bryne mylił się co do Kapitana Naczelnego Chubaina. Gareth wyjaśnił Egwene, że zawsze należy brać pod uwagę możliwość, iż nasze założenia są niewłaściwe. Nikt oczywiście nie sprzeciwił się jego wyborowi lokalizacji, w każdym razie nie w kwestiach ogólnych. Szczegóły bowiem większość sióstr krytykowała, jednak utrzymanie miejskich mostów stanowiło jedyną drogę do oblężenia Tar Valon. Dokładnie mówiąc – jedyną drogę lądową. Sporo zaś Aes Sedai cieszyło się, że nie musi patrzeć na żołnierzy, a nawet o nich myśleć.

Na widok zbliżających się Amyrlin i reszty grupy z obozu wyjechali trzej Strażnicy w mieniących się barwami płaszczach. Pierwszy z nich był znacznie wyższy od drugiego, niezwykle niskiego, toteż można by odnieść wrażenie, że ten roślejszy siedzi na jakimś wyjątkowym siodle. Cała trójka ukloniła się Egwene i siostrom, po czym każdy skinął głową trzymającym się za plecami kobiet Strażnikom. Wszyscy trzej mieli groźny wygląd ludzi tak pewnych siebie, że nawet nie muszą nikogo przekonywać, jak bardzo są niebezpieczni, gdyż fakt ten ich zdaniem powinien być oczywisty. Zgodnie z początkiem starego powiedzenia Aes Sedai: „Spokojny Strażnik i odpoczywający na wzgórzu lew...”. Reszta powiedzenia zaginęła, obecnie wystarczało wszakże samo porównanie. W aktualnych okolicznościach siostry nie czuły się szczególnie bezpiecznie w obozie zaludnionym masą Aes Sedai, więc Strażnicy, niczym ostrożne lwy, patrolowali cały teren – po kilka mil w każdym kierunku.

Anaiya i inne Aes Sedai, wszystkie z wyjątkiem Sheriam, rozproszyły się natychmiast po dotarciu grupy do pierwszego rzędu namiotów za wozami. Każda szukała przywódczyni swojej Ajah, rzekomo w celu zdania jej raportu z przejażdżki Zasiadającej na Tronie Amyrlin i Lorda Garetha nad rzekę, w istocie zaś – co ważniejsze – pragnęły przekazać przywódczyniom nowinę: że kilka Zasiadających zastanawia się nad negocjacjami z Elaidą, a Egwene podjęła jednoznaczną decyzję i wyznaczyła konkretne zadania. Byłoby im łatwiej, gdyby mogły podać imiona tych Zasiadających, jednak nawet przysięgi wierności nie powinny skłaniać do ich ujawnienia. Myrelle o mało nie

odgryzła sobie języka, kiedy Amyrlin zasugerowała konieczność zachowania sekretu. Praca i kierowanie innymi bez uprzedniego szkolenia nie stanowi najlepszej metody nauki, toteż Egwene uświadomiła sobie, jakże wiele jeszcze niuansów związanych ze stanowiskiem Amyrlin musi poznać. Musiała się uczyć, a równocześnie działać i rządzić.

– Wybacz mi, proszę, Matko – pożegnała się Sheriam, gdy ostatnia z grupy, Beonin, odjechała, znikając między namiotami wraz ze swoim Strażnikiem o zoranej bliznami twarzy – ale na moim biurku piętrzą się stosy rozmaitych papierzysek.

Brak entuzjazmu w jej głosie był zrozumiały. Stała Opiekunka łączyła się z nigdy nie malejącymi stertami sprawozdań, które trzeba było przejrzeć i posortować, oraz z licznymi, wymagającymi przygotowania dokumentami. Poza tym do zadań Sheriam należała również administracja obozowiska, wiążąca się z kolejną górą papierów. A przecież Sheriam nie przestała być także Mistrzynią Nowicjuszek.

Gdy tylko Amyrlin pozwoliła jej się oddalić, Opiekunka przyspieszyła do kłusa swego pstrokatego wierzchowca o czarnych pęcinach, rozpędzając przy okazji grupkę robotników w prostych kaftanach i szalach otaczających głowy – mężczyzn noszących na plecach duże kosze. Jeden upadł płasko na twarz na częściowo zamrożoną ziemię, która służyła za ulicę. Strażnik Sheriam, Arinvar, szczupły Cairhienianin o posiwiałych skroniach, poczekał chwilę przy nieszczęśniku. Dopiero kiedy się upewnił, że robotnik wstaje, uderzył obcasami ciemnego gniadosza i ruszył za Opiekunką, pozostawiając mężczyznę jego przekleństwu, z których większość stanowiła wyraźnie odpowiedź na dowcipy współtowarzyszy niedoli. Wszyscy w obozie wszak wiedzieli, że jeśli Aes Sedai wybierze kierunek, lepiej nie stawać jej na drodze.

Wzrok Egwene przyciągnęły produkty, które wysypały się z kosza na ulicę. Widok ich przyprawił ją o dreszcz, gdyż jedzenie roilo się od wołków zbożowych i innych robaków. Było ich tak wiele, jakby to one, te liczne poruszające się czarne kropki, stanowiły posiłek tutejszych ludzi. Mężczyźni stale musieli wynosić zepsute pożywienie i wyrzucać je na kupy gnoju. Nie było sensu przesiewać produktów zaatakowanych przez szkodniki – tylko osoba naprawdę głodująca mogłaby je zjeść – jednak codziennie wynoszono zbyt wiele koszy z ziarnem i jedzeniem. Połowę beczek z soloną wieprzowiną i wołowiną otwierano przedwcześnie, ponieważ śmierdziały. Trzeba je było zakopać i nic nie można było na to marnotrawstwo poradzić. Sytuacja nie była nowa dla służących i robotników, przynajmniej dla tych, którzy mieli za sobą doświadczenie obozowego życia. A pozostali również zazwyczaj znali szczegóły od innych. Robactwo mogło się znaleźć wszędzie, jako że niektórzy kupcy próbowali zwiększyć swój dochód, sprzedając gnijące mięso wraz z dobrym. Dla Aes Sedai jednakże szkodniki stanowiły powód do wielkiego zmartwienia. Każda beczka z mięsem, każdy worek z ziarnem, mąką lub innymi produktami natychmiast po nabyciu był przecież poddawany Przechowywaniu, którego splot – aż do usunięcia – powinien jedzenie chronić. Tym niemniej mięso nadal gniło, robactwo zaś się mnożyło. Wyglądało na to, że sam *saidar* zawodzi. W rozmowach na ten temat siostry gorzko żartowały sobie, wspominając o złośliwej działalności Czarnych Ajah.

Amyrlin przypatrzyła się robotnikom i zwróciła uwagę na jednego z nich – należącego do grupy śmiejących się z ubrudzonego ziemią mężczyzny i lekko go poszturchujących. Nieszczęśnik złagodził już nieco język, choć wciąż jeszcze przeklinał; rzucił nawet Egwene groźne spojrzenie, jakby ją winił za swój upadek. Nie widząc jej na wpół skrytej pod kapturem twarzy ani stuły Amyrlin, którą uprzednio złożyła i schowała do woreczka przy pasie, mężczyźni wyraźnie brali ją za jedną z Przyjętych, z których nie wszystkie nosiły odpowiednie stroje, czyli suknie, albo może za nieznanego im gościa. Do obozu wślizgiwały się nierzadko różne kobiety – jedne w pięknych jedwabiach, inne w wytartych wełnach; wiele z nich skrywało twarze aż do końca wizyty. Mężczyźni uważali zapewne,

że kwaśna mina okazana jednej z takich obcych lub Przyjętej jest bezpieczniejsza niż grymas wobec Aes Sedai. Egwene czuła się dziwnie, gdy wszyscy w zasięgu wzroku nie podrywali się na jej widok i nie kłaniali jej się uprzejmie.

Usiadła tego dnia w siodle jeszcze przed pierwszym światłem, toteż miała wielką ochotę z niego zeskoczyć. Wprawdzie gorąca kąpiel nie była w tych warunkach możliwa – wodę trzeba było przynosić ze studni wykopanej pół mili na zachód od obozowiska, więc większość siostr, z wyjątkiem tych najbardziej wybrednych lub najbardziej skupionych na sobie, ograniczała mycie – Amyrlin pragnęła wszakże poczuć pod nogami twardej teren. A jeszcze lepiej położyć stopy na podnóżku. Poza tym niedopuszczanie do siebie zimna, umiejętność dostępna dla większości Aes Sedai, mocno się różniło od ogrzania rąk nad cudownie ciepłym koszem z prawdziwymi płonącymi węglami.

Wiedziała, że również na jej biurku będzie bez wątpienia czekał stos papierów. Ubiegłej nocy poleciła Sheriam przygotować dla niej raporty w sprawie stanu napraw wozów i zapasów paszy dla koni. Sprawozdania będą na pewno suche i nudne, ale dzięki temu, iż Egwene codziennie sprawdzała inną dziedzinę obozowego życia, potrafiła przynajmniej porównać prawdziwe fakty z przekazami ludzi i ich życzeniami. Stale otrzymywała też meldunki od „oczu i uszu”. Z fascynacją czytała to, co Ajah zdecydowały się przekazać Zasiadającej na Tronie Amyrlin, zwłaszcza gdy zestawiała zawarte w raportach informacje z tymi, które Siuan i Leane otrzymały od swoich agentów. Nie dostrzegała jawnych sprzeczności, choć jej zainteresowanie budziły dane, które Ajah postanowiły zatrzymać dla siebie.

Zarówno wygoda, jak i obowiązek ciągnęły ją zatem do gabinetu (w gruncie rzeczy był to tylko inny namiot, jednak wszyscy szumnie go nazywali gabinetem Amyrlin), z drugiej strony miała jedyną okazję rozejrzeć się po obozowisku anonimowo i na spokojnie, bez rozgardiaszu, który zawsze powodowało jej oficjalne przejście. Otuliła głowę szczelniej kapturem, jeszcze bardziej ukrywając oblicze i lekko dotknęła obcasami boków Daishara.

Mijała niewielu konnych, głównie Strażników, chociaż czasem przeszedł jakiś prowadzący konia stajenny. Mimo iż ze względu na głęboki po kostki rozmokły śnieg nie jechała zbyt szybko, nikt najwyraźniej nie rozpoznawał ani jej, ani wierzchowca. W przeciwieństwie do prawie pustych ulic, drewniane kładki – zaledwie kilka desek z surowego drewna przybitych do połączonych z sobą grubszych kłód – aż się nieznacznie ugiwały pod ciężarem przechodzących osób. Garstka mężczyzn wyróżniających się wśród strumieni kobiet niczym rodzynki w tanim ciastku przemieszczała się dwukrotnie szybciej niż reszta. Wykluczając Strażników, mężczyźni woleli jak najszybciej załatwić swoje interesy z Aes Sedai i odejść stąd jak najdalej. Niemal wszystkie kobiety zasłaniały twarze, z kapturem buchała para ich oddechów, Egwene jednak bez trudu odróżniała siostry od gości, czy ich płaszcze były proste, haftowane, czy też obszyte futrem. Przed Aes Sedai rozstępowały się tłumy. Tyle że tego zimnego późnego ranka niewiele siostr chodziło po obozie. Większość siedziała w swoich wygodnych namiotach. Samotnie lub we dwie czy trzy czytały coś, pisały listy albo wypytywały przybyłe kobiety o nowe wiadomości. A później decydowały – zachować zdobyte informacje dla siebie czy może podzielić się nimi z resztą swej Ajah lub z innymi siostrami.

Ludzie uważali świat Aes Sedai za monolit, wspaniały, jednolity, wielki i solidny – tak w każdym razie postrzegano siostry, zanim powszechna stała się wiedza o obecnym rozłamie w Wieży. Tym niemniej nikt nigdy nie ukrywał, że poszczególne Ajah na co dzień trzymają się z dala od siebie i spotykają z sobą jedynie w Komnacie Wieży, a wszystkie siostry razem bardziej przypominają stowarzyszenie pustelniczek, które rzadko mówią jedna do drugiej – z wyjątkiem kilku najbliższych przyjaciółek – więcej niż trzy słowa ponad konieczne. Chyba że wraz z drugą siostrą biorą udział w

jakimś projekcie. Egwene była pewna, że obojętnie jakie zmiany dokonają się w Wieży, to jedno nigdy się nie zmieni. Nie było sensu udawać, iż światek Aes Sedai jest absolutnie niezmienny, Amyrlin przyrównywała go raczej do wielkiej rzeki nieprzerwanie płynącej naprzód, głęboko skrywającej potężne prądy i zmieniającej kurs w tempie tak powolnym, że prawie niedostrzegalnym. Mówiąc obrazowo, Egwene pospiesznie zbudowała na tej rzece kilka tam, kierując strumień raz w jedną, raz w drugą stronę, „naginając” go do własnych celów, wiedziała jednak, że owe tamy są strukturami tymczasowymi i prowizorycznymi. Prędzej czy później, te głębokie prądy pokonają jej tamy. Mogła się tylko modlić, ażeby przetrwały wystarczająco długo. Modlić się, obserwować je i odpowiednio szybko podierać w słabszych miejscach.

Bardzo sporadycznie w tłumie pojawiała się jedna z Przyjętych – kobieta z pasami w siedmiu kolorach widocznymi na kapturze białego płaszcza – najwięcej jednak Amyrlin widywała nowicjuszek w niczym nie upięszonych sukniach ze zwykłej, białej wełny. Tylko zresztą garść spośród przebywających w obozie dwudziestu jeden Przyjętych rzeczywiście posiadała pasiaste płaszcze, a suknie z kolorowymi lamówkami zachowywały na zajęcia, podczas których uczyły inne siostry. Wszystkie one jednak starały się wciąż przekonywać nowicjuszek do ciągłego noszenia białych strojów, nawet jeśli dana dziewczyna miała tylko jedną taką szatę. Przyjęte jawnie usiłowały się poruszać łabędzim krokiem – ślizgały się, naśladując Aes Sedai, a jednej czy drugiej udawało się iść prawie naturalnie, mimo nierównych desek pod stopami – nowicjuszek natomiast pędziły niemal tak prędko jak nieliczni tutejsi mężczyźni, gnając z różnych powodów lub spiesząc się na zajęcia, które odbywały w sześcio – lub siedmioosobowych grupach.

Aes Sedai nie miały tak wielu nowicjuszek do wyszkolenia od bardzo długiego czasu, przynajmniej od okresu Wojny z Trollokami, przed którą i samych Aes Sedai było znacznie więcej, toteż efektem znalezienia się w pobliżu tysiąca uczennic było kompletne zakłopotanie. W końcu Aes Sedai podzieliły nowicjuszek na grupy siostrzane, które nazwały „Familiami”. Nazwa nie istniała oficjalnie, pozostawała jednakże w użyciu, a Aes Sedai nadal psioczyły, że muszą przyjmować wszystkie kobiety, które o to poproszą. Teraz każda nowicjuszka wiedziała, gdzie i kiedy powinna przebywać, siostry natomiast mogły to sprawdzić. No i spadła ilość ucieczek, którymi zawsze kłopotowały się Aes Sedai. Spośród tych wszystkich nowicjuszek nawet kilkaset może otrzymać prawo noszenia szala. Żadna siostra nie chciała stracić uczennic, w każdym razie nie wcześniej, niż zapadnie decyzja odesłania danej kobiety. Nowicjuszek nadal uciekały – na przykład, kiedy sobie uprzytomniły, że szkolenie jest trudniejsze, niż się spodziewały, a droga do szala Aes Sedai dłuższa, poza tym jednak Familie uprościły wszystko, ucieczka zaś wielu kobietom przestała się wydawać tak atrakcyjna, skoro miały tu wsparcie u pięciu czy sześciu – jak je nazywały – Krewnych.

Tuż przed dużym, kwadratowym namiotem, który służył jako Komnata Wieży, Egwene skierowała Daishara w boczną uliczkę. Alejka przed jasnobrazowym, płóciennym namiotem była pusta – do Komnaty nie zbliżał się nikt, kto nie miał w niej czegoś do załatwienia – tym niemniej mocno połatane boczne zasłony pozostawały zaciągnięte, dzięki czemu nie ujawniano szczegółów odbywających się w Komnacie spotkań, Amyrlin więc nie wiedziała, kto może za chwilę stamtąd wyjść. Każda Zasiadająca natychmiast rozpoznałaby Daishara, Egwene zaś niektórych Zasiadających pragnęła unikać bardziej niż innych. Nie miała ochoty spotkać na przykład Lelaine i Romandy, które buntowały się przeciwko jej władzy tak odruchowo, jak sprzeciwiały się jedna drugiej. Nie chciałyby się też zetknąć z żadną z tych sióstr, które wywołały temat negocjacji. Egwene nie wierzyła, że po prostu pragnęły poprawić sobie humory, w takim razie przecież nie musiałyby rozmawiać szeptem. Mimo to wołała pozostawać wobec nich uprzejma, niezależnie od tego, jak często żałowała, że nie może którejs z ich ukarać. Nikt nie mógł zarzucić Amyrlin braku

grzeczności... Tak czy owak, wołała tych Zasiadających unikać.

Słabe, srebrzyste światło błysnęło nagle tuż przed nią, za wysoką, płócienną ścianą otaczającą jedno z dwóch obozowych miejsc Podróżowania, a w chwilę później rozchyliły się klapy namiotu i wyszły zeń dwie siostry. Dość umiejętności, ażeby samodzielnie utkać bramę, nie miała żadna z nich – ani Phaedrine, ani Shemari – lecz wspólnym wysiłkiem zapewne skonstruowały w powietrzu wystarczająco duży do przejścia otwór. Kobiety pochylały ku sobie głowy i wyraźnie pozostawały pogrążone w głębokiej rozmowie, choć Egwene zdziwiło własne spostrzeżenie, że obie właśnie zapinają płaszcze. Przejeżdżając obok nich i tak zresztą odwróciła wzrok. Obie Brązowe nauczały ją jeszcze tak niedawno temu, w jej nowicjacie, a Phaedrine nadal wydawała się zaskoczona, że Egwene została Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Ta chuda jak czapla istota jawnie aż się paliła do pomocy Egwene w rządzeniu. Z kolei Shemari, kobieta energiczna, o kwadratowej szczęce i wyglądzie bardziej typowym raczej dla Zielonej niż dla bibliotekarki, zawsze zachowywała się absolutnie odpowiednio. Aż za bardzo... Jej głębokie ukłony, pasujące bardziej nowicjuszkom, niosły w sobie co najmniej sugestię szyderstwa, choć oblicze Brązowej pozostawało gładkie i łagodne. Wszyscy wiedzieli, że kłania się młodej Amyrlin, nawet gdy ją zobaczy w odległości stu kroków.

Egwene zadała sobie pytanie, skąd obie siostry wracają. Może po prostu zapragnęły posiedzieć gdzieś w ciepłym wnętrzu albo przynajmniej w pomieszczeniu cieplejszym niż teren obozu. Nikt oczywiście nie rejestrował wyjść i powrotów Aes Sedai, nie robiły tego nawet Ajah. Postępowaniem sióstr rządziły zwyczaje, które zresztą równocześnie mocno zniechęcały kogokolwiek do zadawania bezpośrednich pytań o rodzaje zajęć i cele wycieczek Aes Sedai. Phaedrine i Shemari postanowiły najprawdopodobniej osobiście skonfrontować niektóre informacje zasłyszane od swoich „oczu i uszu”. A może chciały przejrzeć jakąś książkę w którejś z bibliotek Wieży. Należały wszak do Brązowych. Egwene nie mogła jednak zapomnieć o komentarzu Nisao na temat sióstr wyslizgujących się do Elaidy. Istniała wprawdzie możliwość wynajęcia przewoźnika z łodzią i przeprawienia się do miasta poprzez otwarte dla wszystkich tuziny małych śluz, tyle że Podróżowanie przez bramę było oczywiście znacznie szybsze i dużo mniej ryzykowne niż droga nad rzekę, poszukiwanie łodzi i późniejsza wodna przeprawa. A przecież wizyta w Wieży jednej tylko siostry i jej opowieść o bramach oraz odkrytym na nowo Podróżowaniu nie tylko równałaby się zdradzie, lecz także oznaczałaby utratę największej posiadanej przez Egwene i jej towarzyszkę przewagi! Amyrlin nie mogła wszakże w żaden sposób czegoś takiego powstrzymać. Mogła jedynie zachęcać siostry do dalszego sprzeciwu wobec Elaidy i utrzymywać je w stanie buntu. A także przekonywać je, że niedługo ta trudna sytuacja się zmieni. Gdybyż tylko istniał sposób doprowadzenia „trudnej sytuacji” do szybkiego końca.

W pewnej odległości od miejsca Podróżowania Egwene ściągnęła wodze konia i zmarszczyła brwi, patrząc na długą ścianę namiotu, jeszcze bardziej połataną niż ściany Komnaty. Alejką sunęła bowiem łabędzim krokiem jakaś Aes Sedai. Twarz skrywała wprawdzie pod kapturem, a ubrana była w prosty, granatowy płaszcz, jednak nowicjuszki i inne osoby uskakiwały jej z drogi, czego nigdy nie czyniły wobec – powiedzmy – przedstawicielkę stanu kupieckiego. Siostra zatrzymała się przed namiotem, wpatrzyła weń na długi moment, po czym rozgarnęła lekkie klapy i weszła do środka z niechęcią tak wyraźną, jakby ją wykrzyczała. Sama Amyrlin nigdy do tego namiotu nie wchodziła. Czowała z niego bicie przenoszonego *saidara*, choć niezbyt silnie. Niezbędna ilość Mocy była zaskakująco mała. Pomyślała, że szybka wizyta Zasiadającej na Tronie Amyrlin w środku nie powinna przyciągnąć zbyt wielkiej uwagi. A Egwene bardzo zapragnęła zobaczyć, co się dzieje w tym wnętrzu.

Przed wejściem do namiotu zeskoczyła z wałacha i natychmiast napotkała na pewną błąhą przeszkodę. Nie miała gdzie przywiązać Daishara. Amyrlin zawsze miała kogoś do pomocy – kogoś, kto przybiegał przytrzymać jej strzemień podczas wsiadania albo zajmował się koniem, kiedy z niego zsiadła, teraz wszakże stała bezradnie z wodzami wierzchowca w dłoniach, grupki nowicjuszek zaś krzątały się w pobliżu, rzucając jej co najwyżej szybkie spojrzenie i jawnie ją lekceważąc niczym którąś z przyjezdnych. Do tej pory każda nowicjuszka знаła już z widzenia wszystkie Przyjęte, lecz jedynie nieliczne widziały z bliska Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Egwene nie zyskała jeszcze nawet wiecznie młodego oblicza, które mogłoby zasugerować tym kobietom, że jest Aes Sedai. Przybrała więc tylko smutny, zrezygnowany uśmiech, po czym włożyła dłoń w rękawiczkę do woreczka u pasa. Stała powie tym nowicjuszkom, z kim mają do czynienia i wówczas Egwene będzie mogła polecić jednej z nich, by pottrzymała przez kilka minut wodze konia. Chyba że uznają jej zachowanie za żart w złym stylu. Wcześniej niektóre nowicjuszki z Pola Emonda czasem próbowały ściągnąć jej stulę z szyi, starając się ją uchronić przed kłopotami. Nie, nie, ten okres minął już na pewno bezpowrotnie.

Nagle wejściowa kłapa namiotu się odchyliła i w wejściu pojawiła się Leane, spinając ciemnozielony płaszcz srebrną szpilką w kształcie ryby. Płaszcz był jedwabny i bogato haftowany srebrem oraz złotem, podobnie jak gorset jej sukni do jazdy konnej. Grzbiety czerwonych rękawiczek kobiety również zostały przyozdobione haftem. Odkąd Leane dołączyła do Zielonych Ajah, zaczęła przykładać ogromną uwagę do swoich strojów. Na widok Egwene jej oczy na moment się rozszerzyły, jednak twarz o miedzianej cerze natychmiast się wygładziła. Rozejrzawszy się i oceniwszy sytuację jednym spojrzeniem, Leane wyciągnęła rękę, zamierzając zatrzymać jakąś nowicjuskę, która wydawała się przybyć tu sama. A nowicjuszki wszak zwykle chodziły na zajęcia w otoczeniu tak zwanych Krewnych.

– Jak brzmi twoje imię, dziecko? – Zielonej bez wątpienia nie można było zarzucić braku energii w działaniu. O ile oczywiście miała na jakieś działanie ochotę. Wielu mężczyzn miękło, gdy czasami odzywała się do nich spokojnym, rozmarzonym tonem, którego jednakże nigdy nie marnowała na kobiety. – Przysłała cię tu któraś z sióstr?

Nowicjuszka, kobieta niemal w średnim wieku, o jasnych oczach i nieskazitelnej cerze, jawnie nigdy nie wystawianej na słońce podczas – na przykład – całodziennej pracy w polu, na moment bezwiednie otworzyła usta, potem wszakże otrząsnęła się z zaskoczenia, chwyciła białe spódnice w dłonie w mitenkach i wykonała poprawny, wyćwiczony ukłon. Twarzy wysokiej jak większość mężczyzn, lecz smukłej, pełnej gracji i pięknej Leane także brakowało wprawdzie typowych dla Aes Sedai cech wiecznej młodości, należała ona jednak do dwóch najlepiej znanych w obozie sióstr. Nowicjuszki wskazywały ją sobie w strachu – tę Aes Sedai, która niegdyś pełniła funkcję Opiekunki, potem została ujarzmiona, a następnie Uzdrawiona, dzięki czemu znowu mogła przenosić Moc, choć może nie z taką siłą jak przedtem. I później zmieniła jedną Ajah na inną! Nawet najbardziej niedawno przybyłe kobiety w bieli już się dowiedziały, iż coś takiego po prostu nigdy wcześniej się nie zdarzyło, historię Leane zaś znały na nieszczęście w szczegółach. Na nieszczęście – ponieważ trudniej było obecnie zapanować nad nowicjuszkami, skoro siostrom odpadła groźba w postaci kary ujarzmienia, po którym na zawsze straci swoją siłę.

– Nazywam się Letice Murow, Aes Sedai – odparła kobieta pełnym szacunku tonem z melodyjnym murandiańskim akcentem. Egwene wydało się, że nowicjuszka chciała powiedzieć coś więcej, może dodać do imienia swój tytuł, ale według jednej z pierwszych lekcji, którą otrzymywała każda kobieta po przyłączeniu się do Wieży, należało zapomnieć o tym, kim się kiedyś było. To była twarda lekcja, szczególnie dla posiadających tytuły arystokratek. – Idę odwiedzić moją siostrę. Nie

spędziłam z nią nawet minuty, odkąd opuściłyśmy Murandy. – Prawdziwe krewne zawsze umieszczano w innych Familiach, podobnie jak kobiety, które znały się przed wpisem do księgi nowicjuszek. Takie podejście zachęcało do nawiązywania nowych przyjaźni i ograniczało nieuniknione napięcia, które często powstają wśród przyjaciół czy przedstawicieli tej samej rodziny, gdy jedna z osób uczy się szybciej niż druga lub odkrywa, że posiada więcej talentu. – Także skończyła już szkolenie i aż do popołudnia...

– Twoja siostra będzie musiała jeszcze chwilę poczekać, dziecko – przerwała nieszczęśnicy Leane. – Teraz przytrzymasz konia Amyrlin.

Letice wzdygnęła się i zagapiła na Egwene, która w końcu zdołała wyjąć z woreczka stułę. Amyrlin wręczyła jej wodze Daishara, opuściła kaptur i ułożyła na ramionach długi wąski pas materiału. O Światłości, lekka jak pióro w woreczku, stuła miała prawdziwy ciężar, kiedy dotykała szyi Egwene. Siuan twierdziła, że czasami można wyczuć, iż jakaś kobieta nosiła kiedyś stułę stanowiącą wieczne przypomnienie o odpowiedzialności i obowiązku, a młodzianka Amyrlin natychmiast uwierzyła jej na słowo. Murandianka otworzyła usta jeszcze szerzej niż uprzednio i jeszcze później niż na widok Leane przypomniała sobie o ukłonie. Bez wątpienia słyszała, że Zasiadająca na Tronie Amyrlin jest młoda, zapewne jednak nie spodziewała się zobaczyć istoty aż tak młodej!

– Dziękuję ci, dziecko – powiedziała gładko Egwene. Minęło już sporo czasu, odkąd przestała się czuć dziwnie, kiedy nazywała dzieckiem kobietę o dziesięć lat od siebie starszą. Z czasem do wszystkiego można się przyzwyczaić i wszystko się zmienia. – Nie potrwa to długo. Leane, poproś kogoś, ażeby posłał po stajennego dla Daishara, dobrze? Skoro już zsiadłam, zostanę trochę w okolicy, a Letice powinna się przecież jak najszybciej spotkać ze swoją siostrą.

– Dopilnuję tego, Matko.

Leane wykonała płynne dygnięcie, po czym spokojnie się oddaliła, wyraźnie sugerując, że ona i Amyrlin spotkały się tutaj przez zupełny przypadek. Egwene ufała tej Zielonej znacznie bardziej niż Anaiyi czy nawet Sheriam. Nie miała przed Leane żadnych sekretów, w każdym razie nie miała ich więcej niż przed Siuan. Jednakże ich przyjaźń stanowiła kolejny sekret, którego nie zamierzały nikomu ujawniać. Po pierwsze Leane posiadała szpiegów w samym Tar Valon, a może nawet w Wieży; ich sprawozdania trafiały prosto do Egwene, w dodatku Amyrlin otrzymywała je potajemnie i na osobności. Po drugie Leane ceniono za to, że tak dobrze przystosowała się do swojego „zredukowanego” stanu i każda siostra witała ją z zadowoleniem, choćby tylko dlatego, że Zielona stanowiła żywy dowód na pokonanie ujarzmienia – czyli czegoś, czego Aes Sedai do tej pory obawiały się najbardziej ze wszystkiego na świecie. Witały ją zatem z otwartymi ramionami, a ponieważ miała obecnie pozycję niższą od co najmniej połowy sióstr w obozie, często rozmawiały w jej obecności o sprawach, o których ich zdaniem nigdy nie powinna się dowiedzieć Amyrlin. Z tego też względu Egwene posłała jedynie krótkie spojrzenie odchodzącej Leane. Nowicjuszkę Letice natomiast obdarzyła uśmiechem (w odpowiedzi kobieta poczerwieniała i wykonała następny głęboki ukłon), po czym weszła do namiotu, zdejmując rękawiczki i chowając je za paskiem.

Wewnątrz, pod ścianami, wśród niskich, drewnianych skrzyń znajdowało się osiem stojących lamp z odblaśnicami. Jedna lampa miała stare złocenia, pozostałe były z pomalowanego metalu, wszakże nie dało się znaleźć wśród nich dwu identycznych. Tak czy inaczej, dostarczały jasnego światła, choć oczywiście nie tak jasnego jak słońce na zewnątrz. Rozstawione stoły, które wyglądały na pochodzące z siedmiu różnych farmerskich kuchni, ustawiono w rzędzie pośrodku płóciennej podłogi namiotu. Ławy stojące przy trzech najdalszych stołach zajmowało pół tuzina nowicjuszek. Płaszczki kobiet leżały złożone obok nich, a każdą z nich samych otaczała poświata Jedynej Mocy.

Między stołami niespokojnie krążyła Tiana, Mistrzynie Nowicjuszek, a także – co zadziwiające – Sharina Melloy, jedna z nowicjuszek, która przyłączyła się do nich w Murandy.

No cóż, dokładnie rzecz biorąc, Sharina nie kręciła się wraz z Tianą, raczej stała i spokojnie się rozglądała. Poza tym, może Egwene wcale nie powinna się dziwić, że ją tu widzi. Sharina była bowiem dostojną babcią o siwych włosach gładko zaczesanych i spiętych w ścisły, staranny kok, która mocną ręką kierowała naprawdę sporą Familiją, a równocześnie traktowała wszystkie nowicjuszki tak czule jak adoptowane córki i cioteczne wnuczki. To ona organizowała nowo przybyłe kobiety w mniejsze grupy – zupełnie sama i wyraźnie zde gustowana nieporadnością innych osób zajmujących się tworzeniem Familii. Większość Aes Sedai gniewnie zaciskała usta, kiedy ktoś im o tym przypominał, chociaż dość szybko zaakceptowały tę formę organizacji i udział Shariny, ilekroć sobie uświadomiły, o ileż łatwiejsze jest teraz śledzenie nowicjuszek i utrzymanie porządku podczas szkolenia. Tiana kontrolowała pracę nowicjuszek bardzo drobiazgowo, toteż Amyrlin uznała za oczywiste, że Mistrzynie Nowicjuszek usiłuje w ten sposób zignorować obecność Shariny. Niska i drobna Tiana, kobieta o dużych, brązowych oczach i dołeczku w policzku, nie tylko dzięki twarzy pozbawionej oznak starości wyglądała niezwykle młodo, zwłaszcza na tle pomarszczonych policzków i obszernych bioder wysokiej nowicjuszki.

Z kolei Kairen i Ashmanaille, dwie Aes Sedai przenoszące Moc przy stole najbliższym od wejścia, posiadały dodatkową widownię w postaci pary Zasiadających: Janyi Frende – Zasiadającej w imię Brązowych i Sality Toranes – Zasiadającej Żółtych. Aes Sedai i nowicjuszki oddawały się dokładnie identycznemu zadaniu. Przed każdą kobietą tkwiła gęsta sieć utkana z Ziemi, Ognia i Powietrza, która otaczała niewielką miskę, puchar lub podobne naczynie wykonane przez jednego z obozowych kowali, których niezwykle intrygowało pytanie, do czego siostry potrzebują takich metalowych przedmiotów i dlaczego każą im je wykonać w taki sposób, ażeby przypominały wyroby srebrne. Drugi splot, utkanych razem Ziemi i Ognia, przenikał każdą sieć i dotykał naczyń, które powoli bielą. Każde bielą bardzo, bardzo powoli...

Umiejętność konstruowania splotów udoskonalano dzięki praktyce, lecz z Pięciu Mocy najważniejsza była siła władania Ziemią i oprócz samej Egwene tylko dziewięć sióstr w obozie – wraz z dwiema Przyjętymi i prawie dwoma tuzinami nowicjuszek – posiadały w ogóle tę siłę w stopniu wystarczającym do tkania. Niewiele spośród sióstr chciało się wszakże poświęcać temu zajęciu. Ashmanaille, tak szczupła, że wydawała się wyższa, niż była w rzeczywistości, stukała palcami w blat stołu po obu stronach stojącego przed nią prostego, metalowego pucharu i, marszcząc brwi, wpatrywała się niecierpliwie w powoli podnoszącą się krawędź bieli. Niebieskie oczy Kairen wyglądały na tak zimne, że – patrząc w nie – odnosiło się wrażenie, iż kobieta samym wzrokiem potrafi roztrzaskać wysoki puchar, nad którym pracowała. Naczynie miało zaledwie maleńką obręcz bieli przy dnie. Prawdopodobnie to właśnie wchodzącą Kairen widziała przed chwilą Egwene.

Najwyraźniej jednak nie wszystkie kobiety podchodziły do swojego zajęcia bez entuzjazmu. Janya, szczupła kobieta w jasnobrązowych jedwabkach, z brązowym, zakończonym frędzlami szalem ułożonym na ramionach, studiowała pracę Kairen i Ashmanaille z gorliwością osoby, która żałuje, iż sama nie może się poświęcić temu zadaniu. Janya chciała zawsze wszystko wiedzieć, zawsze pragnęła poznać tajniki i powody każdej czynności, stale też wypytywała, w jaki sposób osiągnięto taki, a nie inny rezultat. Niezmiernie rozczarowało ją odkrycie, iż nie potrafi się nauczyć tworzyć *ter'angreali*, do tej pory bowiem tylko trzy siostry oprócz Elayne to umiały, choć i im nie zawsze wychodziło. Janya nadal zresztą usiłowała osiągnąć tę sprawność, chociaż testy wykazały, że cierpi niestety na brak wymaganej siły władania Ziemią.

Jako pierwsza zauważyła Egwene Salita – Zasiadająca o okrągłej twarzy i karnacji prawie tak

ciemnej jak węgiel drzewny. Przypatrzyła się spokojnie Amyrlin, a później żółte frędzle jej szala zakołysały się nieznacznie, gdy wykonywała bardzo staranny ukłon, przepisowy co do cała. Wychowana w Salidarze Salita stanowiła przykład niepokojącego wzorca – zbyt wiele Zasiadających było za młodych na takie stanowisko. Salita była Aes Sedai zaledwie od trzydziestu pięciu lat, kiedyś zaś tę pozycję rzadko osiągała kobieta, która nosiła szal krócej niż sto lat lub więcej. To Suan dostrzegła ów wzorzec i uważała go za niepokojący, chociaż właściwie nie potrafiła uzasadnić swojej opinii. Zresztą Suan niepokoiły wszelkie wzorce, których nie potrafiła zrozumieć. A jednak Salita popierała wojnę przeciwko Elaidzie i często w Komnacie wspierała samą Egwene. Choć nie zawsze i nie w każdej sprawie.

– Matko – odezwała się chłodno.

Janya ostro podniosła głowę i natychmiast cała się rozpromieniła w uśmiechu. Ona również udzieliła poparcia wojnie, zresztą jako jedyna, która była Zasiadającą jeszcze przed rozłamem w Wieży, z wyjątkiem może Lelaine i Lyrelle, dwóch Błękitnych, tyle że ich pomocy Egwene nie zawsze mogła być pewna, a poparcie Janyi niezmiennie pozostawało niezachwiane. Jak zwykle, tak i teraz kobieta eksplodowała potokiem słów.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję, Matko. Jesteś doprawdy zadziwiająca. Wiem, że nie powinno nas już zaskakiwać, gdy proponujesz coś, co nikomu innemu jeszcze nigdy nie przyszło do głowy. Czasami sędzę, że za bardzo skostniałyśmy w naszych zasadach i jesteśmy zbyt pewne tego, co można, a czego nie można robić... Ale dowiedzieć się, jak stworzyć *cuendillary*... Ach!

Przerwała na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu, a Salita od razu wykorzystała ciszę i gładko w nią wtargnęła. Ta kobieta nie miała żadnych oporów.

– Nadal twierdzą, że jest to niewłaściwe – oświadczyła stanowczo. – Przyznaję, iż twoje odkrycie trzeba uznać za wspaniałe, Matko, tyle że w mojej opinii Aes Sedai nie powinny tworzyć rzeczy na... sprzedaż. – Salita dodała do swoich słów pogardę osoby, która żyła wyłącznie z dochodów swej posiadłości w Łzie, nawet się nie zastanawiając, skąd się wzięły i w jaki sposób urosły. Nastawienie takie nie było oczywiście niezwykle, chociaż większość sióstr żyła przez cały rok za hojny zasiłek z Wieży. Tak było w każdym razie przed rozłamem w Wieży. – W dodatku – kontynuowała – prawie połowa sióstr, które się tą sprawą zajęły, to Żółte. Codziennie otrzymuję skargi... My przynajmniej zajmujemy się ważniejszą pracą niż produkcja... błyskotek. – Po tych słowach otrzymała srogie spojrzenie od Szarej Ashmanaille i lodowate od Błękitnej Kairen, jednakże obie niewypowiedziane opinie zignorowała. Salita należała do tych Żółtych, które wyraźnie uważały swoją Ajah za najważniejszą, pozostałe zaś za podrzędne, choć czasem niezbędne grupki.

– A nowicjuszeki wcale nie powinny tkać tak złożonych splotów – dorzuciła Tiana, przyłączając się do nich. Mistrzynie Nowicjuszek nigdy nie można było zarzucić nieśmiałości, gdyż Tiana zawsze odważnie i głośno wygłaszała swoje poglądy zarówno wobec Zasiadających, jak i wobec Amyrlin. Teraz też nie kryła się ze swoim niezadowoleniem. Najwidoczniej nie zauważała, że ponura mina pogłębia jej dołeczek w policzku i nadaje twarzy nadąsany wyraz. – Naprawdę mamy do czynienia z wybitnym odkryciem i osobiście nie widzę żadnych przeciwwskazań do handlu, lecz niektóre z tych dziewcząt ledwie potrafią bezbłędnie i całkowicie zmienić kolor naraz trzech kul ognia. Pozwalając im na posługiwanie się tymi splotami, tylko jeszcze bardziej utrudnimy sprawę. Nie powstrzymamy ich przed próbami ze splotem, z którym na pewno sobie nie poradzą, a Światłość jedna wie, że już jest nam wystarczająco ciężko. Mogą się nawet poranić...

– Nonsens, nonsens! – krzyknęła Janya, intensywnie machając smukłą ręką, jakby słowa, które usiłowała odeprzeć, zmieniły się w konkretne przedmioty. – Każda wybrana dziewczyna może wykonać równocześnie trzy kule ognia, a wymaga to jednak nieco więcej Mocy niż zmiana barwy.

Nowicjuszkom nie zagraża najmniejsze niebezpieczeństwo, póki znajdują się pod nadzorem siostry, a pod czyimś nadzorem pozostają wszak stale. Widziałam listę. Poza tym sprzedaż kul, które wytwarzamy w jeden dzień, wystarcza na opłacenie tygodniowej albo i dłuższej działalności armii, same siostry zaś nie zdołają wyprodukować tylu sztuk. – Popatrzyła przez zmrużone oczy na Tianę. Nie przestawała mówić jak nakręcona, tym niemniej wydawała się przemawiać przynajmniej o połowę wolniej niż zwykle. – Będziemy musiały starannie się zająć sprzedażą. Przedstawicielki Ludu Morza mają nienasycony apetyt, jeśli chodzi o *cuendillary*, a mnóstwo ich statków nadal cumuje w Illian i Łzie. Ich arystokracja również tego pragnie... Chociaż najbardziej nawet żarłoczne apetyty mają swoje ograniczenia. Nadal nie potrafię zdecydować, czy lepiej pojawić się od razu z całym asortymentem, czy też raczej oferować go partiami. Prędzej czy później także cena za coś takiego jak *cuendillary* zacznie spadać. – Nagle zamrugnęła i zerknęła najpierw na Tianę, potem, przechyliwszy głowę, na Salitę. – Rozumiecie moje podejście, nieprawdaż?

Salita odpowiedziała gniewnym spojrzeniem, po czym podciągnęła szal na ramionach. Tiana z kolei rozłożyła ręce gestem rozdrażnienia. Egwene zachowała spokój. Tym razem nie czuła wstydu, gdy wysłuchiwała pochwały za jedno z jej rzekomych odkryć. W przeciwieństwie do prawie wszystkich innych oprócz Podróżowania, akurat to należało właśnie do niej, chociaż poddała jej ten pomysł Moghedien przed swą ucieczką. Ale poddała jej tylko sam pomysł, gdyż nie miała pojęcia, jak wprowadzić go w życie – w każdym razie nie wspomniała o zastosowaniu praktycznym, niezależnie od nacisków Egwene, a Amyrlin umiała naprawdę twardo naciskać... Moghedien była osobą znaną ze swej chciwości, a *cuendillary* już w Wieku Legend wydawały się wysoce cenionym luksusem. Kobieta wskazała zatem tylko możliwość, natomiast reszta należała do Egwene. Tak czy owak, niezależnie od tego, kto się sprzeciwia i obojętnie jak bardzo, produkcja *cuendillarów* będzie kontynuowana ze względu na stałą potrzebę pieniędzy. Chociaż zdaniem Amyrlin im szybciej zostaną te przedmioty sprzedane, tym lepiej.

Stojąca na tyłach namiotu Sharina klasnęła niespodziewanie w dłonie i uwaga wszystkich kobiet natychmiast skupiła się na niej. Kairen i Ashmanaille także obróciły głowy, Błękitna nawet wypuściła sploty, aż jej puchar z metalicznym stukotem podskoczył na blacie stołu. Najwyraźniej niektóre siostry się nudziły. Zadanie można było w dowolnej chwili powtórzyć, jednak znalezienie dokładnego punktu okazywało się zwykle bardzo trudne, a kilka spośród sióstr wykorzystywało każdą okazję, ażeby zrobić jeszcze coś innego podczas godziny, którą musiały spędzać codziennie w namiocie. Godziny lub dłużej – aż do czasu zakończenia pracy nad jedną pozycją. Wprawdzie powinny pracować nad rozwojem swoich umiejętności, niewiele jednak bardzo szybko osiągało jakikolwiek postęp.

– Bodewhin, Nicola, na następny kurs – poleciała Sharina. Nie powiedziała tego głośno, ale jej głos miał w sobie siłę, dzięki której kobieta mogłaby uciąć paplaninę także w znacznie mniej spokojnym namiocie. – Został wam czas zaledwie na umycie rąk i twarzy. No, dalej, pospieszcie się. Nie chcecie chyba otrzymać nagany.

Bodewhin, zwana Bode, ruszała się z wielką ochotą. Wypuściła *saidar* i umieściła swoją na wpół ukończoną bransoletkę z *cuendillara* w jednej ze skrzyń ustawionych pod ścianą (ktoś inny zapewne dokończy za nią pracę), po czym wzięła płaszcz. Pucółowata i ładna Bode nosiła ciemne włosy splecione w długi warkocz, chociaż Egwene nie była pewna, czy dziewczyna otrzymała na tę fryzurę pozwolenie od Koła Kobiet. Teraz jednak tamten świat był daleko za nimi. Kiedy dziewczyna pospiesznie opuszczała namiot, nakładała równocześnie rękawiczki, nie podnosząc znad nich wzroku i ani na moment nie zerkając w kierunku Egwene. Prawdopodobnie wciąż nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jako nowicjuszka nie może sobie w dowolnej chwili pogawędzić z Zasiadającą na Tronie

Amyrlin, mimo iż razem dorastały.

Egwene też chętnie porozmawiała by z Bode i paroma innymi dziewczętami, jednakże jako władczyni również nauczyła się kilku zasad. Mówiąc w trzech punktach: Amyrlin ma mnóstwo obowiązków, bardzo niewielu przyjaciół i nikogo nie faworyzuje. Zresztą wszelka choćby sugestia, że Egwene okazuje specjalne względy dziewczętom z Dwu Rzek, zaszkodziłaby także im samym i utrudniłaby im życie wśród pozostałych nowicjuszek. „A i moich układów z Komnatą by nie polepszyła” – pomyślała z lekką drwiną Amyrlin. Szkoda, że dziewczęta z Dwu Rzeki tych drobiazgów nie pojmowały.

Druga nowicjuszka, nazwana Nicolą, nie wstała z ławki i nie przerwała przenoszenia Mocy, popatrzyła tylko na Sharinę czarnymi oczyma.

– Osiągnęłabym najlepsze wyniki w tej pracy, gdyby mi kiedyś pozwolono naprawdę poćwiczyć – mruknęła posępnym tonem. – Zauważyłam, że radzę sobie coraz lepiej, wiem, że tak jest. Słyszałaś na pewno, że potrafię już Głosić Przepowiednie – dodała, jakby pierwsze miało coś wspólnego z drugim. – Tiano Sedai, powiedz jej, że mogę pozostać trochę dłużej. Zdążyłabym ukończyć tę miskę przed moimi następnymi zajęciami, a jestem przekonana, że Adine Sedai nie będzie miała nic przeciwko mojemu krótkiemu spóźnieniu.

Egwene oceniła, że jeśli dziewczyna ma wkrótce następne zajęcia, jej spóźnienia nie sposób byłoby określić przymiotnikiem „krótkie”. Aby skończyć miskę, musiałaby jej poświęcić drugą godzinę, gdyż pobielała dopiero połowa jej naczynia.

Tiana otworzyła usta, lecz zanim zdołała wypowiedzieć choćby słowo, Sharina podniosła palec, a po sekundzie drugi. Gest ten miał w sobie prawdopodobnie jakieś szczególne znaczenie, ponieważ Nicola zbladła i natychmiast wypuściła sploty, a następnie zerwała się tak prędko, że zakołysała ławką, za co otrzymała ostre spojrzenia od dwóch innych nowicjuszek, z którymi ją dzieliła. Obie pochyliły się zresztą od razu nad stołem i wróciły do pracy, Nicola zaś niemal biegiem ruszyła do skrzyni, do której wrzuciła na w pół skończoną miskę, po czym równie prędko zabrała swój płaszcz. Ku zaskoczeniu Egwene w tym samym momencie ze swojego miejsca na dywanie za stołami zerwała się na równe nogi ubrana w krótki, brązowy kaftan i szerokie spodnie kobieta, której Amyrlin wcześniej nie dostrzegła. Błyskając ku wszystkim ostrymi jak sztylety niebieskimi oczyma, Areina wybiegła za Nicolą. Obie były identycznie skonfundowane i tak samo niezadowolone. Ich widok przyprawił Egwene o niepokój.

– Nie wiedziałam, że przyjaciółki mogą przychodzić popatrzeć – zauważyła. – Czy Nicola nadal sprawia problemy?

Nicola i Areina usiłowały szantażować ją, Myrelle i Nisao, lecz nie o to Amyrlin w tym momencie chodziło. Ta kwestia bowiem nadal pozostawała jednym z sekretów.

– Lepiej, że ta dziewczyna przyjaźni się z Areiną niż z którymś ze stajennych – odparła Tiana, prychnąwszy. – Mamy już dwie ciężarne, a dziesięć innych podejrzewało siebie o stan błogosławiony. Nicola potrzebuje wielu przyjaciółek, gdyż mężczyźni łatwo ją oszukują.

Przerwała, kiedy do namiotu weszły pospiesznie dwie kolejne ubrane w biel nowicjuszki. Obie zapiszczały i zatrzymały się, odkryły bowiem, że o mało nie wpadły na Aes Sedai. Szybko dygnęły, po czym uciekły przed kolejnym gestem Tiany na tył namiotu, gdzie ułożyły płaszcze na ławce, a następnie przyniosły ze skrzyni częściowo pobielały puchar i prawie białą czarę.

Sharina przypatrywała im się, jak zasiadają do pracy, potem wzięła własny płaszcz i zarzuciła go sobie na ramiona. W końcu ruszyła do wyjścia.

– Wybacz mi, Tiano Sedai – oświadczyła z ukłonem, zaledwie w połowie odpowiednim do obecnej sytuacji – kazano mi dziś pomagać przy południowym posiłku i nie chciałabym zadzierać z

kucharzami.

Jej ciemne oczy spoczęły na krótką chwilę na Egwene, sekundę później kobieta w zadumie pokiwała głową.

– Idź zatem – poleciła jej ostro Mistrzynie Nowicjuszek. – Nie chciałabym usłyszeć, że cię wychłostano z powodu spóźnienia.

Nie obróciwszy się nawet o cal, Sharina ponownie się ukloniła – ani zbyt pospiesznie, ani zbyt długo – Tianie, Zasiadającym i Amyrlin, rzucając każdej spojrzenie przenikliwe, lecz zbyt krótkie, by mogło kogoś urazić. Kiedy kłapa namiotu opadła za nią, Mistrzynie Nowicjuszek wydeła z rozdrażnieniem policzki.

– Nicola powoduje mniej kłopotów niż niektóre – mruknęła niewesoło.

Janya potrząsnęła głową.

– Sharina nie sprawia żadnych problemów, Tiano. – Mówiła tak prędko jak zawsze, ale bardzo cicho, więc jej głos nie niósł się na tyły namiotu. W towarzystwie nowicjuszek Aes Sedai nigdy się nie spierały. Szczególnie kiedy daną sprzeczkę praktycznie wywołała jakaś nowicjuszka. – Lepiej niż wiele Przyjętych zna już reguły i nigdy ich nie narusza. Nigdy też się nie uchyla od najpośledniejszych nawet obowiązków i zgłasza się pierwsza, ilekroć trzeba pomóc którejś z nowicjuszek. Jest po prostu sobą i nikogo nie udaje. O Światłości, nie możesz przecież pozwolić byle nowicjuszcze, aby cię onieśmielała. – Tiana zeszywniała, przybrała gniewną minę i właśnie miała się odciąć lub wytłumaczyć, jednakże gdy Janya zaczęła mówić, naprawdę niełatwo było wejść jej w słowo. – Z kolei Nicola rzeczywiście daje nam popalić, Matko, jako że powoduje najrozmaitsze rodzaje problemów – ciągnęła Brązowa. – Odkąd tylko odkryliśmy, że potrafi Głosić Przepowiednie, robi to dwa lub trzy razy dziennie, chyba po prostu dla potwierdzenia własnej umiejętności. A może raczej pragnie wciąż słyszeć pochwały z ust Areiny. Nicola jest całkiem inteligentna, toteż na pewno jej nie umknęło, że wszyscy zdają sobie sprawę, iż mogłaby nie pamiętać słów wypowiedzianych podczas Głoszenia Przepowiedni. Z tego też chyba względu zawsze wtedy towarzyszy jej Areina, która słucha, zapamiętuje i pomaga Nicoli w interpretacji. Niektóre przepowiednie mogłyby zresztą wymyślić wszystkie osoby w obozie... nawet osoby niezbyt bystre i łatwowiernej natury... Chodzi mi zwłaszcza o bitwy z Seanchanami albo Asha'manami, uwięzienie Zasiadającej na Tronie Amyrlin, opowieść o Smoku Odrodzonym, który wykonuje naraz dziewięć niemożliwych rzeczy... Wizje te mogą sugerować Tarmon Gai'don albo zwyczajną niestrawność. Inne natomiast „przepowiednie” przypadkiem tylko wskazują, że powinniśmy pozwolić Nicoli na szybszą naukę. Dziewczyna jest wprost chciwa wiedzy. Myślę, że nawet większość innych nowicjuszek przestała jej już wierzyć.

– I wtyka wszędzie swój nos – wtrąciła Salita, korzystając z chwili ciszy. – Ona i ta jej towarzyszka. Obie. – Jej twarz pozostała pozbawiona wyrazu i chłodna, lecz kobieta przesunęła szal, udając, że skupia swoją uwagę jedynie na nim. Tym niemniej zaczęła mówić nieco szybciej, może obawiając się, że Brązowa ponownie przejmie inicjatywę. – Wiecznie starają się podsłuchiwać siostry i przyłapałam kiedyś Nicolę na próbie zerkania na jedno z miejsc Podróżowania. Tłumaczyła mi się, że pragnęła tylko zobaczyć, jak otwiera się brama, sądzę jednak, że zamierzała się sama nauczyć tkąć. Niecierpliwość mogę zrozumieć, ale oszustwa tolerować nie będę. Przestałam już wierzyć, że Nicola zdobędzie kiedykolwiek szal i szczerze się zaczęłam zastanawiać, czy nie powinniśmy jej odesłać, zanim będzie za późno. Księga nowicjuszek pozostaje otwarta dla każdej – kończyła, patrząc na Egwene z kamiennym obliczem – nie możemy wszakże tak straszliwie obniżać naszych standardów.

Tiana przeszła ją nienawistnym spojrzeniem i wydeła usta, co znowu uwydatniło jej dołeczek

w policzku. Można niemal było zapomnieć, że ta kobieta nosi szal od ponad trzydziestu lat i uznać ją za zwyczajną nowicjuszkę.

– Póki jestem Mistrzynią Nowicjuszek, ja podejmuję decyzję w sprawie odesłania którejkolwiek z dziewcząt – oświadczyła ostro. – A nie zamierzam tracić dziewczyny o potencjale Nicoli. – Egwene także czuła, że pewnego dnia Nicola zyska wielką siłę we władaniu Mocą. – Albo Shariny – dodała Tiana z grymasem, wygładzając rozdrażnionym gestem swoje spódnice. Sharina posiadała rzeczywiście szczególnie wyjątkowy potencjał. Chyba żadna nowicjuszka nie miała takiego. Z wyjątkiem Nynaeve. A i przed Nynaeve bywał niezwykle rzadki. Niektóre Aes Sedai sądziły, że Sharina ma szansę osiąść doprawdy niesamowitą siłę w Mocy, chociaż do tej pory takie stwierdzenia pozostawały jedynie w sferze spekulacji. – Jeśli Nicola cię martwi, Matko, osobiście się nią zajmę.

– Byłam po prostu ciekawa – odparła ostrożnie Amyrlin, przelitykając sugestię, że młodą kobietę i jej przyjaciółkę należy dokładnie obserwować.

Nie miała ochoty rozmawiać o Nicoli. Zbyt łatwo mogła utknąć między wyborem kłamstwa lub decyzją ujawnienia spraw, których nie ośmieliłaby się narażać. Szkoda, że nie pozwoliła Siuan po cichu pozbyć się tych dwóch dziewcząt.

Na tę myśl bezwiednie szarpnęła głową. Czy aż tak daleko się zmieniła od czasów Pola Emonda? Wiedziała wszak, że prędzej czy później będzie musiała wydać rozkaz zabicia ludzi w bitwie, sądziła także, że potrafiłaby wygłosić wyrok skazujący na śmierć w przypadku zaistnienia ważnej potrzeby. Na przykład – gdy śmierć jednej osoby może pomóc w zachowaniu przy życiu tysięcy lub choćby setek innych ludzi. Czyż taki rozkaz nie jest wówczas właściwy? Jednakże ze strony Nicoli i Areiny groziło im jedynie niebezpieczeństwo ujawnienia sekretów, które mogłyby zaszkodzić jej, Egwene al’Vere. Och, Myrelle i innym wystarczy chłosta, która na pewno nie jest przyjemna. Skrępowanie, nawet największe, nie stanowiło dostatecznego powodu dla zabójstwa.

Nagle Amyrlin uświadomiła sobie, że marszczy brwi, a Tiana i dwie Zasiadające przypatrują jej się z uwagą. Janya nawet nie starała się ukrywać swojej ciekawości za maską spokoju. Szukając usprawiedliwienia dla swojej marsowej miny, Egwene przesunęła wzrok ku stołowi, przy którym znów pracowały Kairen i Ashmanaille. Czara Ashmanaille nieco bardziej pobieliała, lecz Kairen bez trudu dogoniła towarzyszkę. Właściwie przegoniła, gdyż jej puchar był dwukrotnie wyższy od czary tamtej.

– Rozwijasz swoje umiejętności, Kairen – powiedziała z aprobatą dziewczynie.

Błękitna podniosła na nią wzrok i wzięła głęboki wdech. Jej owalna twarz wokół lodowatych niebieskich oczu stanowiła uosobienie chłodnego spokoju.

– Nie trzeba wielu umiejętności do tego zadania, Matko. Wystarczy utkać splot i czekać.

Ostatni wyraz wymówiła nieco uszczypliwym tonem, zaś przed słowem „Matko” chyba lekko się zawahała. Kairen została wysłana z Salidaru w bardzo ważnej misji, Wieża na wygnaniu rozpadła się prawie na jej oczach, choć nie z jej powodu, gdyż kobieta nie popełniła żadnego błędu. Kiedy wróciła do nich w Murandy, odkryła zupełnie inny stan rzeczy i odwrócony porządek, a dziewczyna, którą zapamiętała jako nowicjuszkę, nosiła teraz stułę Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Ostatnio Kairen spędzała sporo czasu z Lelaine.

– Kairen rzeczywiście się rozwija... – przyznała Janya, po czym popatrzyła na Błękitną siostrę z uniesionym czołem i dorzuciła ostro: – w niektórych sprawach. – Gdy Egwene wybrano na Amyrlin, Janya była prawdopodobnie równie pewna jak inne Zasiadające, że Komnata potrzebowała marionetkowej przywódczyni, tym niemniej najwyraźniej zaakceptowała fakt, iż Egwene nosi teraz stułę i zasługuje na wszelki szacunek. – Oczywiście wątpię, Matko, czy dogoni Leane, o ile się

bardziej nie przyłoży. W gruncie rzeczy, lepsza od niej jest chyba młoda Bodewhin. Osobiście nie chciałabym zostać prześcignięta przez nowicjuszkę, przypuszczam jednak, że nie każdy ma w tej kwestii identyczne poglądy.

Po tych słowach na policzkach Kairen rozkwitły rumieńce, a kobieta spuściła oczy na puchar.

Tiana prychnęła.

– Dobra dziewczyna z tej Bodewhin, ale spędza więcej czasu na chichotaniu i zabawach z innymi nowicjuszkami, niż pracując nad sobą i swoimi talentami. O ile Shari... – Zrobiła szybki, ostry wdech. – O ile ktoś jej nie pilnuje. Wczoraj, wraz z Althyn Conly próbowały zajmować się dwoma przedmiotami naraz, ot tak, dla zabawy. Chciały się dowiedzieć, co się zdarzy i połączyły przedmioty w jedną stałą bryłę. Ma się rozumieć, że w takiej postaci przedmiot nie nadaje się już na sprzedaż, no chyba że znajdziemy kogoś, kto pragnie posiadać puchary częściowo z metalu, częściowo zaś z *cuendillara*. A Światłość jedna wie, co mogłoby się stać dziewczynom podczas takiego zadania. Nie wyglądały na skaleczone, nie wiadomo jednak, co się zdarzy następnym razem!

– Dopilnujcie, ażeby nie było następnego razu – poleciła Egwene nieobecny tonem, skupiona na pucharze Kairen. Linia bieli nieprzerwanie się wznosiła. Kiedy Leane tknęła ten splot, czarny metal białł w kolor *cuendillara* w takim tempie, jakby kobieta wrzuciła metalowy przedmiot do mleka, w którym szybko zatonął. Dla samej Amyrlin zmiana następowała w mgnieniu oka, na jej oczach czerń po prostu zmieniała się w biel. Leane może na razie była lepsza, lecz nawet ona nie uczyła się tak szybko. Ile czasu potrzebowała Kairen, by osiągnąć odpowiednią umiejętność? Kilka dni? Kilka tygodni? Tak czy owak, musiała każdą umiejętność rozwinąć w pełni, w przeciwnym razie bowiem może dojść do katastrofy – tragedii kobiet i mężczyzn, którzy umrą w walkach na ulicach Tar Valon. A może także skutek byłby katastrofalny dla Wieży. Egwene nieoczekiwanie poczuła zadowolenie, że zaaprobowała sugestię Beonin. Wyjaśniwszy Kairen, dlaczego musi się bardziej starać, zachęciła ją do wysiłku, choć ta sprawa łączyła się także z kolejnym sekretem, który również należało zachować – aż nadejdzie czas wyjawienia go światu.

Rozdział 4

Pogawędka z Suan

Gdy Egwene wyszła z namiotu, Daishara oczywiście nie było, jednak siedmiobarwna, pasiasta stuła zwisająca z otwarcia jej kaptura działała na tłum lepiej niż twarz Aes Sedai. Ludzie szybko rozstępowali się przed Amyrlin. Egwene przechodziła wśród kobiet falujących w ukłonach, a czasem i kłaniających się mężczyźn – Strażników lub rzemieślników, którzy otrzymali do wykonania zadanie od którejś z sióstr. Niektóre nowicjuszki piszczały na widok stuły Zasiadającej na Tronie Amyrlin, a całe ich Familie umykały jej pospiesznie z drogi, dygając nisko na zabłoconej ulicy. Odkąd Egwene została zmuszona zalecić ukaranie kilku kobiet z Dwu Rzek, wśród nowicjuszek krążyły pogłoski o surowości obecnej Amyrlin – surowości przywodzącej na myśl rządu Sereille Bagand – toteż najlepiej było jej nie denerwować i nie narażać się na gwałtowny wybuch jej złego humoru. Cóż, większość z nich nie znała się dostatecznie na historii, by mieć dokładniejsze wyobrażenie o Sereille, tym niemniej imię tej Zasiadającej na Tronie Amyrlin od stu lat stanowiło symbol srogości i rządów żelaznej ręki w Wieży, a Przyjęte chętnie nauczały o niej nowicjuszki, a jeszcze chętniej straszyły je jej osobą. Dobrze, że kaptur Egwene skrywał twarz Amyrlin, bo gdy przedstawicielki dziesiątej z kolei Familii nowicjuszek uskoczyły jej z drogi niczym przestraszone zające, zazgrzytała zębami na ten widok tak mocno, że każdy obserwator jej oblicza znalazłby w nim potwierdzenie dla pogłosek, jakoby Egwene żuła kawałki żelaza i wypluwała opiłki. Amyrlin na moment ogarnęło straszliwe podejrzenie, że za kilkaset lat Przyjęte będą jej imieniem przerażać nieszczęsne nowicjuszki – tak jak teraz używały imienia Sereille. Oczywiście, jeśli uda jej się załatwić wcześniej taki drobiazg jak scalenie i umocnienie Białej Wieży! Zapanowała szybko nad sobą i przekonała się w myślach, że drażniące ją sprawy muszą w obecnej sytuacji poczekać.

„W przeciwnym razie – pomyślała – za moment zacznę wypluwać opiłki, nawet nie żując żelaza”.

Tłumy znacząco się przerzedziły w pobliżu gabinetu Amyrlin, czyli zwyczajnego spiczastego, płóciennego namiotu o połatanych brązowych ścianach. Tak jak i Komnata, gabinet stanowił miejsce, do którego nikt nie przychodził bez konkretnego interesu czy wezwania. Nikogo ot tak, po prostu nie zapraszano ani do Komnaty Wieży, ani do gabinetu Amyrlin. Najbardziej nawet niewinne z zaproszeń do jednej z tych dwóch instytucji zawsze równało się wezwaniu, dzięki czemu zresztą Egwene mogła nazwać swój oficjalny namiot swego rodzaju azylem. Rozchyliła lekkie kłapy wejściowe, weszła i z ulgą zdjęła płaszcz. Dwa kosze z płonącymi węglami rozkosznie rozgrzewały namiot – było więc tu ciepło, szczególnie w porównaniu z panującym na dworze zimmem – i wydzielały nieco dymu. W powietrzu unosił się słodki zapach suszonych ziół, którymi posypano rozjarzony żar.

– Wnosząc z zachowania tych głupich dziewcząt, można by mnie uznać... – warknęła, lecz szybko przerwała.

Nie zaskoczył ją widok Suan stojącej za pulpitem do pisania w prostej, choć ładnie skrojonej sukni z niebieskiej wełny. Kobieta przyciskała do piersi wykonaną z tłoczonej skóry teczkę na papiery. Większość sióstr (na przykład Delana) wyraźnie nadal sądziła, że zadania Suan ograniczały się do pouczenia nowej Amyrlin w sprawach protokołu i wypełniania różnych jej poleceń, co – ich zdaniem – była władczyni na pewno robiła niechętnie, tym niemniej Suan zawsze zjawiała się szybko i z pogodną miną; fakt ten do tej pory przechodził prawdopodobnie niezauważony. Suan rzeczywiście była ostrą i surową Amyrlin, chociaż teraz w jej srogość nie uwierzyłby nikt, kto jej wtedy nie znał. Nowicjuszki wskazywały ją sobie równie często, jak wskazywały Leane, chociaż z

lekkim powątpiewaniem, czy Siuan naprawdę jest osobą, o której opowiadały im siostry. Ładna, choć niezupełnie piękna, o delikatnych ustach i ciemnych, połyskujących włosach do ramion, wyglądała nawet na młodszą od Leane i zaledwie kilka lat starszą od Egwene. Gdyby nie ułożony na ramionach szal przyozdobiony niebieskimi frędzlami, można by ją wziąć za jedną z Przyjętych. Siuan starała się zresztą nigdy nie wychodzić bez tego szala, chciała wszak uniknąć krępujących pomyłek. Jej oczy nie zmieniły się ani trochę bardziej niż jej charakter i wciąż przywodziły na myśl dwa lodowate, niebieskie szydła, które Siuan potrafiła wycelować w każdą zaskoczoną jej widokiem kobietę.

Co do drugiej przybyłej... Egwene chętnie widziała w swoim gabinecie Halimę, tym niemniej teraz nie spodziewała się zobaczyć jej wyciągniętej na jasnych poduszkach, które ułożono przy jednej ze ścian namiotu; głowę kobieta wsparła na ręce. Podczas gdy Siuan była tego typu ładną, młodą kobietą (to znaczy... pozornie młodą), która przyprawiała zarówno mężczyzn, jak i kobiety o uśmiech, piękną Halimę należało nazwać po prostu oszałamiającą. Miała duże, zielone oczy, idealne rysy twarzy i pełne, jędrne piersi, a na jej widok mężczyźni przełykali ślinę, inne kobiety zaś marszczyły brwi. Egwene wprawdzie nie reagowała w ten sposób, wierzyła wszakże w zasłyszane opowieści o kobietach patrzących z zazdrością, jak Halima samym swoim istnieniem przyciąga męskie spojrzenia. Halima nie mogła nic poradzić ani na tę reakcję, ani na swój wygląd. Ale nawet jeśli Delana powierzyła jej stanowisko swojej sekretarki wyłącznie z dobrego serca – gdyż Halima była marnie wykształconą chłopką ze wsi, która pisała listy z niezdarnością charakterystyczną raczej dla małego dziecka – Szara siostra zwykle przydzielała Halimie mnóstwo pseudo zajęć, które zajmowały kobiecie cały dzień. Z tego też względu Halima rzadko się zjawiała u Egwene przed porą snu, a i wtedy jedynie z powodu bólów głowy Amyrlin. Nisao nie potrafiła nic pomóc na te migreny, mimo iż korzystała z najnowszych metod Uzdrawiania, masaże Halimy natomiast działały cuda, nawet jeśli wcześniej Egwene wyła z bólu.

– Powiedziałam jej, Matko, że nie będziesz miała dzisiejszego ranka czasu jej przyjąć – zagaiła ostrym tonem Siuan, stale posyłając wściekłe spojrzenia wspartej na poduszkach kobiecie, a jednocześnie wolną ręką odbierając od Amyrlin płaszcz – lecz równie dobrze zamiast mówić, mogłabym grać na piszczałce. – Powiesiwszy płaszcz na rustykalnym stojaku, parsknęła pogardliwie. – Może gdybym nosiła spodnie i miała wąsy, zwróciłaby na mnie uwagę.

Siuan najwyraźniej wierzyła we wszystkie pogłoski o domniemanym wpływie Halimy na co przystojniejszych rzemieślników i żołnierzy.

Dziwne, lecz Halimę wydawała się śmieszyć własna reputacja. Może nawet sprawiała jej przyjemność. Tak czy inaczej, teraz roześmiała się niskim, gardłowym śmiechem, po czym rozciągnęła się na poduszkach niczym kot. Miała nieszczęsne upodobanie do głębokich dekoltów, nieszczęsne, a w tej aurze również niewiarygodne. Jej biust niemal wychodził nad suknię uszytą z zielonego jedwabiu z niebieskimi wstawkami. Jedwab nie był oczywiście typowym materiałem na strój sekretarki, jednak dobroczynność Delany miała najwidoczniej wielki zasięg... albo Delana była swojej pracownicy winna jakiś dług.

– Dzisiaj rano wyglądałaś, Matko, na zmartwioną – mruknęła zielonooka kobieta – i wysliznęłaś się tak wcześnie na swoją jazdę, starając się mnie nie zbudzić. Sądziłam, że może chciałabyś pogawędzić. Nie miałabyś tak często migren, gdybyś omawiała częściej swoje troski. Wiesz na pewno, że zawsze możesz ze mną rozmawiać. – Przypatrując się Siuan, która spoglądała gdzieś w bok z pogardliwą miną, Halima znowu nisko się zaśmiała. – I wiesz, że w zamian niczego od ciebie nie chcę, w przeciwieństwie do niektórych.

Była Amyrlin znów parsknęła i umyślnie zajęła się układaniem teczek na pulpicie, wsuwając ją

między kamienny kałamarz i słoiczek z piaskiem. Nawet przez chwilę bezmyślnie bawiła się bibułą.

Egwene zrobiła wielki wysiłek, usiłując zapanować nad westchnieniem. Właśnie! Halima nie chciała niczego poza siennikiem w jej namiocie, dzięki czemu mogła być pod ręką na wypadek jednego z jej ataków bólu. A przecież sypianie tutaj bez wątplenia utrudniało wypełnianie zadań wyznaczonych przez Delanę. Poza tym Egwene lubiła proste maniery Halimy i jej otwarty sposób bycia. Łatwo i przyjemnie było czasem pogawędzić z nią i zapomnieć choć na chwilę o obowiązkach Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Takiego odprężenia nie doświadczała przy nikim, nawet przy Suan. Wcześniej zbyt mocno walczyła o to, by rozpoznawano ją jako Aes Sedai i jako Amyrlin, toteż przed Suan nie potrafiła się otworzyć. Każde odstępstwo od roli Amyrlin ułatwiało każde następne odstępstwo... i kolejne, a później jeszcze następne. Nie mogła sobie na to pozwolić, bo w końcu rzeczywiście wszyscy będą ją uważać za marionetkę. Zatem otwarcie rozmawiała jedynie z Halimą i starannie pielęgnowała tę cenną znajomość – cenną nie tylko ze względu na masaże, które uśmierzały jej ból głowy. Jednak ku swojemu rozdrażnieniu czuła, że wszystkie inne kobiety w obozie podzielają podejście Suan, może z wyjątkiem Delany. Szara siostra wydawała się jednak zbyt pruderyjna, ażeby zatrudnić prawdziwą latawicę, niezależnie do swego dobrego serca czy potencjalnych zobowiązań. W każdym razie teraz niewielkie znaczenie miała kwestia zasad i zachowania Halimy; może kobieta przyciągała mężczyzn, może się za nimi uganiała, a może nawet doprowadzała ich do zguby – nie było to jednak w tym momencie ważne.

– Niestety, Halimo, naprawdę mam mnóstwo pracy – odparła, zdejmując rękawiczki. Niemal codziennie czekały ją całe stosy spraw do załatwienia. Na biurku nie zauważyła wprawdzie jeszcze żadnego raportu Sheriam, jednakże na pewno wkrótce go dostanie, wraz z kilkoma petycjami, które zdaniem Opiekunki zasługują na uwagę Amyrlin. Zaledwie z kilkoma, no, może dziesięcioma lub dwunastoma apelacjami o wyrównanie krzywd. I będzie musiała rozpatrzyć każde odwołanie i do każdego się ustosunkować jako Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Nie można było wykonać żadnego zadania, jeśli się nie przestudiowało całej sprawy, nie zadało pytań i nie przemyślało odpowiedzi. Nie wystarczyło przekazać decyzji bez uzasadnienia. – Ale chyba możesz zjeść ze mną obiad. – O ile skończy pracę do pory obiadowej, w przeciwnym razie znów będzie coś przygryzała podczas czytania przy biurku. A przecież powoli zbliżało się już południe! – Wtedy będziemy mogli pomówić.

Halima natychmiast się podniosła. Oczy jej się zaiskrzyły, pełne wargi zacisnęły. Gniewna mina zniknęła wprawdzie równie szybko, jak się pojawiła, lecz w oczach coś się jeszcze tliło. Gdyby kobieta była kotką, wygięłaby teraz grzbiet w łuk i nastroszyła ogon...

W końcu stanęła wdzięcznie na warstwach dywanów i wygładziła sukienkę na biodrach.

– Dobrze zatem. Skoro jesteś pewna, że nie chcesz, nie zostanę.

Niesamowity był fakt, że Egwene w tym samym momencie poczuła w głowie, gdzieś za oczyma naciągające tępe tętnienie, które groziło przemianą w znajomy oślepiający ból głowy. Niemniej jednak powtórzyła, że czeka ją dziś dużo pracy. Halima wahała się jeszcze moment, jej usta znów się zacisnęły, ręce chwyciły mocno fałdy spódnicy, po czym kobieta zdjęła ze stojaka na ubrania swój jedwabny płaszcz obszyty futrem i opuściła namiot dumnym krokiem, nie dbając o zarzucenie odzienia na ramiona. Amyrlin pomyślała, że jeśli przyjaciółka nie zacznie nosić grubszych strojów, niechybnie się w końcu przy tej pogodzie przeziębii.

– Ta przeklęta chłopka prędzej czy później wpakuje się w jakieś kłopoty – szepnęła Suan, jeszcze zanim lekkie klapy wejściowe przestały się kołysać. Groźnie patrząc w to miejsce, szarpnęła szal i przesunęła go wyżej na ramionach. – Nieustannie się kręci wokół ciebie i bez wahania przy każdej okazji potrafi mi odszczeknąć. Mnie czy komuś innemu. Słyszano, jak wrzeszczała na Delanę.

Znasz jakąś sekretarkę, która wrzeszczy na swojego pracodawcę, w dodatku gdy ów jest Aes Sedai?! Aes Sedai i Zasiadająca! Nigdy nie pojmę powodów, dla których Delana ją znosi.

– To pewnie sprawa Delany.

Kwestionowanie działań innej siostry było równie zabronione, jak mieszanie się w jej posunięcia. Wprawdzie nie w sensie prawnym, a jedynie zgodnie z obyczajami, niektóre zwyczaje miały jednak moc większą niż prawo. Egwene pomyślała, że chyba nie musi przypominać o tym Siuan.

Potarła skronie, po czym ostrożnie zasiadła na krześle za pulpitem o pochyłym blacie, jednak krzesło znów się zachwiało. Było składane, dzięki czemu łatwo się je przewoziło, ale z tego powodu jego nogi same się czasem składały i żaden stolarz mimo licznych prób nie potrafił tego defektu naprawić. Pulpit do czytania również był składany, na szczęście trzymał się mocniej. Egwene żałowała, że nie wykorzystwała okazji i nie nabyła w Murandy nowego krzesła, tyle że stale miała wiele wydatków i pieniędzy nie wystarczało na wszystko. Tym bardziej że posiadała już jedno krzesło... Nie pożałowała przynajmniej na dwie stojące lampy i na lampkę na biurko. Wszystkie trzy były z prostego, pomalowanego na czerwono metalu, lecz z dobrymi odblasznicami, bez baniek. Dobre światło niestety nie łagodziło jej migren, chociaż oczywiście znacznie lepiej czytało się przy lampach niż przy łożowych świecach i latarniach.

Jeśli do Siuan dotarło upomnienie młodej Amyrlin, nie wzięła go sobie do serca.

– Chodzi o coś więcej niż tylko o temperament – podjęła. – Raz czy drugi odniosłam wrażenie, że ta kobieta za chwilę mnie uderzy. Przypuszczam, że ma dość rozumu, aby się powstrzymać przed taką napaścią, jednak niestety spotyka się i kontaktuje nie tylko z Aes Sedai. Jestem wprost przekonana, że to ona złamała kołodziejowi rękę. W jakiś sposób. Człowiek ten twierdzi wprawdzie, że sam upadł, ale podczas rozmowy odwraca wzrok i wykrzywia usta w grymasie, podejrzewam więc, że kłamie. Żaden mężczyzna nie lubi się przyznawać, że kobieta tak mocno wygięła mu łokieć, aż go złamała, nieprawdaż?

– Przestań, Siuan – odrzekła znużonym głosem Egwene. – Kołodziej prawdopodobnie pozwalał sobie wobec Halimy na zbyt wiele.

Wierzyła, że tak właśnie było. W żadnym razie nie umiała sobie wyobrazić tej kobiety łamiącej komuś rękę. Cokolwiek powiedzieć o ciele Halimy, na pewno nie można go było nazwać umięśnionym.

Zamiast otworzyć pozostawioną na pulpicie przez Siuan teczkę z tłoczonych skóry, położyła dłonie po obu jej stronach, dzięki czemu powstrzymywała się przed ciągłym dotykiem nimi skroni. Sądziła, że jeśli zignoruje ból, migrena może nie rozwinie się w atak. Poza tym, dla odmiany, miała informację, którą chciała się podzielić z Siuan.

– Wydaje mi się, że niektóre Zasiadające wspominają o negocjacjach z Elaidą – zaczęła.

Siuan zachowała obojętne oblicze. Usadowiła się na jednym z dwóch rachitycznych, trójnożnych stołków przed biurkiem i wysłuchiwała z uwagą całej opowieści Egwene; tylko jej palce się poruszały, lekko gładząc fałdy spódnicy. Gdy Amyrlin skończyła, Siuan zacisnęła dłonie w pięści i wyrzuciła z siebie stek przekleństw, ostrych nawet jak na nią. Między innymi oświadczyła, że pragnie wszystkie te Zasiadające zadusić na śmierć, wrzucając je w stos wyciętych przed tygodniem rybich jelit, aby w nich utonęły. Takie stwierdzenia wypowiedane przez kobietę o młodej, ładnej twarzy brzmiały jeszcze groźniej.

– Zdaje mi się, że podjęłaś dobrą decyzję, okazując tej sprawie pozorne zainteresowanie – mruknęła, gdy zabrakło jej obelg. – Raz rozpoczęte negocjacje będą się przeciągać w nieskończoność, a ty w ten sposób zyskasz czas na konkretne działanie. Postępowanie Beonin nie

powinno mnie zaskoczyć. Jest ambitna, chociaż zawsze podejrzewałam, że przy pierwszej okazji zechce wrócić do Elaidy, o ile Sheriam i inne nad nią nie zapanują. – Siuan ożywiła się i mówiła coraz szybciej. Teraz skupiła wzrok na Egwene, jakby pragnęła dodać wagi swoim słowom. – Żałuję, że Varilin i reszta tak mnie rozczarowały, Matko. Pomijając Błękitne, sześć Zasiadających reprezentujących pięć Ajah uciekło z Wieży, gdy Elaida dokonała zamachu – przy ostatnim słowie nieco wykrzywiła usta – tutaj zaś mamy po jednej z każdej z pięciu Ajah. Ubiegłej nocy w *Tel'aran'rhiod* odwiedziłam Wieżę...

– Mam nadzieję, że zachowałeś ostrożność – wtrąciła ostro Amyrlin.

Siuan czasami postępowała tak nierozważnie, że wydawała się nie pojmować znaczenia słowa „ostrożność”. Wiele siostr aż się paliło do skorzystania z jednego z niewielu pozostających w ich posiadaniu *ter'angreali* snu; za ich pomocą udawały się zazwyczaj właśnie do Wieży. Na razie Siuan nie otrzymała dosłownego zakazu korzystania z nich, choć może Egwene powinna jak najszybciej o taki zakaz wystąpić. Tyle że jeśli Komnata nie przydzieli jej nawet jednej nocy, Siuan mogłaby na zawsze stracić swoje dobre imię. Niestety Siuan nie była lubiana – nie tylko przez te siostry, które obwiniły ją za rozpad Wieży (po powrocie nie została przyjęta zbyt ciepło, chłodniej choćby niż Leane) – ale także przez te liczne Aes Sedai, które pamiętały jej surowe nauki, kiedy jako jedna z nielicznych potrafiła używać *ter'angreali* snu. Siuan straszliwie nie lubiła głupców i nie miała dla nich tolerancji, a głupio zachowuje się wszak każdy, kto po raz pierwszy czy drugi wchodzi do *Tel'aran'rhiod*. Z tych wszystkich względów obecnie, jeżeli chciała odwiedzić Świat Snów, korzystała z „kolejki” Leane. Gdyby podczas takiej wizyty w *Tel'aran'rhiod* zobaczyła ją tam jakaś inna siostra, Siuan najprawdopodobniej otrzymałaby całkowity zakaz wstępu. Co gorsza Komnata mogłaby próbować odszukać osobę, która pożyczyła jej *ter'angreal* snu, a to skończyłoby się najpewniej zdemaskowaniem Leane.

– W *Tel'aran'rhiod* – wyjaśniła Siuan, pospiesznym machnięciem ręki lekceważąc uwagę Amyrlin – jestem inną kobietą w innej sukience. Przebieram się za każdym zakrętem. – Egwene ucieszyło jej zapewnienie, chociaż słowa Siuan sugerowały również wyraźnie jakiś brak kontroli. Poza tym nie była pewna, czy może wierzyć Siuan, jako że wiara we własne zdolności tej kobiety okazywała się czasami zdecydowanie przesadna. – Ważne jest jednak coś innego. Ubiegłej nocy widziałam część listy Zasiadających i zdołałam odczytać większość imion, zanim lista się przemieniła w rejestr win z piwniczki. – Takie przemiany bez przerwy się zdarzały w *Tel'aran'rhiod*, gdzie nic na długo nie pozostawało w tym samym stanie, szczególnie jeśli nie stanowiło odbicia czegoś trwałego ze świata jawy. – Wyniesiono Andayę Forae z Szarych, Rinę Hafden z Zielonych oraz Juilaine Madome z Brązowych. Żadna nie nosi szala dłużej niż siedemdziesiąt lat... w najlepszym razie. Elaida ma ten sam problem, którego doświadczamy my, Matko.

– Rozumiem – odparła powoli Amyrlin, po czym przyłapała się na tym, że znów sobie masuje jedną skroń. Tętnienie za oczyma nie ustawało. Wręcz przeciwnie, rosło w siłę. Zawsze tak było. Aż do zmroku będzie żałowała, że odesłała Halimę. Stanowczym ruchem opuściła rękę, przesunęła leżącą przed nią skórzaną teczkę o pół cala w lewo, potem z powrotem, na poprzednie miejsce. – A co z pozostałymi? Miały wszak do zastąpienia sześć Zasiadających.

– Przyjęto Neheran Ferane z Białych – odrzekła Siuan – i Suanę Dragand z Żółtych. Obie działały już przedtem w Komnacie. Jak wspomniałam, zdołałam odczytać część listy, lecz niestety nie całość. – Dla podkreślenia swoich słów wyprostowała plecy i wysunęła podbródek. – Wyniesienie jednej czy dwóch byłoby wystarczająco niezwykle. Coś takiego się zdarza, choć nieczęsto, ale jedenaście... Może nawet dwanaście, lecz na pewno nie mniej niż jedenaście... pomiędzy nami i

Wieża. Nie wierzę w zbiegi okoliczności, nie w tak wielkie. Gdy wszyscy sprzedawcy kupują ryby w tej samej cenie, możesz się założyć, że poprzedniej nocy pili w tej samej gospodzie.

– Nie musisz mnie o tym przekonywać, Siuan. – Egwene westchnęła, rozsiadła się wygodniej, bezwiednie chwytając nogę od krzesła, które zawsze usiłowało się złożyć, ilekroć kręciła się na siedzeniu. Bez dwóch zdań działo się coś dziwnego, lecz co dokładnie te zdarzenia oznaczały? Czy ktoś mógł wpływać na wybór Zasiadających w każdej z Ajah? Przynajmniej w każdej z wyjątkiem Błękitnych, które wprawdzie również wybrały nową Zasiadającą, chociaż akurat Moria była Aes Sedai już dobrze ponad sto lat. Może także Czerwonych nie zaatakowały Czarne Ajah; właściwie nikt nie wiedział, jakich zmian (jeśli w ogóle) dokonały Czerwone wśród swoich Zasiadających. Być może za zmiany odpowiedzialne były Czarne, cóż jednak mogły nimi zyskać...? No chyba że wszystkie te zbyt młode Zasiadające były Czarnymi! Coś takiego z kolei wydawało się Amyrlin niemożliwe. I nielogiczne. Gdyby bowiem Czarne Ajah posiadały tak ogromne wpływy, w Komnacie od dawna zasiadali by sami Sprzymierzeńcy Ciemności. A jednak, odrzucając możliwość tak licznych zbiegów okoliczności, należało uznać, że ktoś musi stać za wszystkimi tymi decyzjami. Samo rozmyślanie nad ewentualnościami i przypadkami niemożliwymi pogłębiało i wyostrzało tępy ból, który tętnił w głowie Egwene. – Jeśli ostatecznie okaże się, że rzeczywiście mamy do czynienia ze zbiegiem okoliczności, Siuan, będziesz żałowała, że kiedykolwiek rozpatrywałaś tę sytuację jako łamigłówkę, którą trzeba rozwiązać. – Mówiąc to, zmusiła się do uśmiechu, ażeby zdanie nie zabrzmiało zbyt napastliwie. Amyrlin musiała przecież ostrożnie dobierać słowa. – Na razie jednak przekonałaś mnie, że mamy przed sobą zagadkę. Chcę zatem, abyś spróbowała ją rozwikłać. Ustal, kto jest odpowiedzialny za te zmiany i co stara się za ich pomocą osiągnąć. Póki się tego nie dowiemy, nie pojmiemy nic.

– Czy tylko tego pragniesz? – spytała Siuan cierpko. – I na kiedy mam zdobyć odpowiedzi na te pytania? Jeszcze przed kolacją? A może wystarczy późnym wieczorem?

– W końcu będziemy musiały zadziałać. Tak sędzę – odburknęła Egwene. Na widok speszzonej miny swej rozmówczyni wzięła głęboki wdech. Nie było sensu wyładowywać na drugiej kobiecie spowodowanych bólem głowy gniewu i frustracji. Słowa Amyrlin posiadały moc, lecz nierzadko miały też swoje konsekwencje. Egwene powinna o tym pamiętać. – Wierzę w twoje umiejętności – dodała łagodniejszym tonem. – Wiem, że postarasz się jak najszybciej odkryć prawdę.

Zasmucona czy speszona, Siuan najwyraźniej rozumiała, że wybuch Amyrlin spowodowany jest czymś więcej niż zwyczajnym sarkazmem. Mimo młodzieńczego wyglądu dawna władczyni miała za sobą lata praktyki w interpretowaniu ludzkich twarzy.

– Mam wyjść i poszukać Halimy? – zapytała, na wpół wstając. Brak zjadliwego tonu przy wypowiedzeniu imienia nielubianej kobiety świadczył o szczerzej trosce Siuan. – To nie zajmie mi nawet minutki.

– Jeśli będę ją wzywać przy każdym ataku migreny, nigdy nie przezwyciężę tego bólu – odparła Egwene, otwierając teczkę. – No dobrze, co masz dla mnie dzisiaj?

Tym niemniej przytrzymała rękę na papierach, starając się nie podnosić jej i nie pocierać nią skroni.

Jednym z porannych zadań Siuan było przekazywanie informacji, które Ajah zdobyły poprzez sieci swoich „oczu i uszu”, a którymi skłonne się były podzielić, oraz spraw, o jakich poszczególne siostry pragnęły opowiedzieć Amyrlin przez swoje Ajah. Proces przesiewu wiadomości zdawał się zaiste osobliwy, w sumie jednak Egwene otrzymywała niemal rzeczywisty obraz otaczającego ją świata, zwłaszcza wraz z nowinami i komentarzami dodanymi przez samą Siuan. Dawna Amyrlin zdołała zachować własnych agentów, których zorganizowała jeszcze jako władczyni, szczególnie że

– mimo wysiłków Komnaty – nie zdradziła nikomu, kim są, więc w ostatecznym rozrachunku ani Komnata, ani nikt nie był w stanie zakwestionować jej prawa do nich. Później zaś oświadczyła, że te „oczy i uszy” należą się prawnie nowej Amyrlin i dlatego obecnie ludzie ci pomagali Egwene. Och, nie było końca roztrząsania tej sprawy, a i teraz jeszcze czasem powracała w rozmowach, nikt jednak nie potrafił zaprzeczyć faktom.

Jak zwykle, pierwsze sprawozdanie pochodziło nie od Ajah czy Suan, lecz od Leane, która płynnym, eleganckim pismem spisała je na cienkich arkuszach papieru. Egwene nie potrafiła wskazać żadnych charakterystycznych szczegółów pisma tamtej, ale każdy, kto je widział, nie miał najmniejszych wątpliwości, że dany dokument napisała kobieta. Otrzymane od Leane stronicie natychmiast po przeczytaniu przysuwała do płomienia stojącej na biurku lampy i spalała tak pieczołowicie, że niemal parzyła sobie palce. Potem zgniatała popiół. Trudno im było – jej i Leane – udawać publicznie prawie obce sobie osoby, jednak gdyby któryś z raportów Leane trafił w niepowołane ręce, sytuacja wyglądałaby tragicznie.

Bardzo niewiele sióstr miało świadomość, że Leane posiada „oczy i uszy” we wnętrzu Tar Valon. Może była jedyną siostrą, która miała tam swoich szpiegów. Jedną z przywar ludzkości jest umiejętność dostrzegania, co dzieje się na końcu ulicy i równoczesne ignorowanie zdarzeń rozgrywających się niemal u naszych stóp. A Światłość wie, że Aes Sedai mają tyleż samo ludzkich wad, co wszyscy inni przedstawiciele rodzaju ludzkiego. Dziś niestety Leane nie miała zbyt wiele do przekazania.

Jej agenci z miasta narzekali na brudne ulice, na które po zmroku wypuszczali się jedynie najodważniejsi mieszkańcy; a i w świetle dziennym nie było tam bezpiecznie. Kiedyś niemal nie znano w Tar Valon zbrodni, teraz jednak Gwardia Wieży zniknęła z ulic, żołnierze patrolowali bowiem porty i wieże przy mostach. Z raportu wynikało jednoznacznie, że przedstawicielki Białej Wieży pobierały jeszcze opłaty celne i kupowały zapasy (jedno i drugie przez pośredników), poza tym chyba całkowicie odcięły się od miasta. Wielkie drzwi, przez które kiedyś mieszkańcy mogli wchodzić do Wieży, pozostawały obecnie zamknięte na głucho i zakazane. Od początku oblężenia, a może i wcześniej, nikt nie widywał sióstr poza Wieżą, przynajmniej w każdym razie nikt nie rozpoznawał jako Aes Sedai żadnej z widzianych na ulicach kobiet. Leane wszystkie te fakty dawała Egwene do zrozumienia już w poprzednich sprawozdaniach. Jednakże czytając ostatnią stronę, Amyrlin uniosła brwi. Po mieście krążyły pogłoski, że Gareth Bryne znalazł tajną drogę do miasta, dzięki której pewnego dnia może pokonać miejskie mury Tar Valon i wraz z całą armią zjawić się nagle na ulicach.

– Leane przekazałaby, gdyby ktoś choć słowem zasugerował, że może chodzić o konstruowanie bram – wtrąciła szybko Suan, widząc minę Egwene. Przeczytała już oczywiście wcześniej wszystkie te sprawozdania, więc wiedziała, co przyciągnęło uwagę Amyrlin na ostatniej stronie. Patrząc na Egwene, Suan tak bardzo się zapomniiała, że zaczęła się wiercić na chwiejnym stołku i o mało nie spadła z niego na dywany. Nie przestała jednak mówić. – I możesz być pewna, że Gareth nie dopuści do rozprzestrzenienia się jakichkolwiek informacji – kontynuowała, wciąż poprawiając się na krześle. – Żaden z jego żołnierzy nie jest głupcem i na pewno żaden nie zdezerteruje do miasta, zresztą nawet w takim przypadku umieliby utrzymać język za zębami. Ludzie mawiają, że Gareth atakuje tam, gdzie nikt się go nie spodziewa i gdzie wcale nie powinno go być. Z drugiej strony, tak często postępuje w sposób nieprzewidywalny, że wielu spodziewa się po nim dziwnego zachowania. I tyle.

Kryjąc uśmiech, Amyrlin przytrzymała przy płomieniu pismo, w którym Leane wzmiankowała o Lordzie Garcie i przez chwilę się przyglądała, jak papier płonie i czernieje. Jeszcze kilka miesięcy

temu Siuan nie wysławiałaoby tego mężczyzny, już prędzej wypowiedziałaby jakiś cierpki komentarz pod jego adresem. I nazwałaby go „Garethem cholernym Bryne'em”, a nie po prostu Garethem. Wcześniej Egwene obserwowała jej zachowanie w tych rzadkich dniach, gdy generał zjawiał się w obozie Aes Sedai. Wpatrywała się wtedy w niego, a gdy na nią spojrział, natychmiast uciekała. Siuan! Tak, tak, Siuan uciekała na widok mężczyzny! Siuan była Aes Sedai od ponad dwudziestu lat, w tym przez dziesięć pełniła funkcję Zasiadającej na Tronie Amyrlin, lecz nie miała większego pojęcia o miłości niż kaczka o strzyżeniu owiec. Zupełnie nie wiedziała, co robić.

Egwene rozkruszyła popiół i otrzepała ręce z paprochów. Jej uśmiech powoli zniknął. Nie miała prawa oceniać Siuan. Sama była zakochana, lecz nie wiedziała, gdzie przebywa obecnie Gawyn i co by zrobiła, poznawszy miejsce jego pobytu. Gawyn miał obowiązki wobec Andoru, ona zaś wobec Wieży. Mogła pokonać dzielącą ich przepaść tylko w jeden sposób – uczynić go swoim Strażnikiem, jednakże tym samym być może przyczyniłaby się do śmierci mężczyzny. Lepiej pozwolić Gawynowi odejść i całkowicie o nim zapomnieć. Niestety okazywało się to równie trudne, jak zapomnienie własnego imienia. Szczególnie że miała poczucie, iż potrafi go połączyć więzią jako Strażnika. Wiedziała, że potrafi! Nie mogła tego oczywiście zrobić, nie mając pojęcia, gdzie znajduje się Gawyn, nie mogąc położyć na jego ciele swoich dłoni i dotknąć jego czoła. Mężczyźni byli... kłopotliwi!

Powstrzymała się przed przyciśnięciem palców do skroni, zdawała sobie zresztą sprawę, że ich ucisk i tak nie złagodzi pulsującego bólu. Wyrzuciła z umysłu myśli o Gawynie. Wyrzuciła go z głowy najdalej, jak umiała. Zastanowiła się, czy czuje przedsmak emocji towarzyszących kobiecie posiadającej Strażnika, ponieważ myśl o Gawynie nigdy tak naprawdę nie opuszczała jej umysłu, zawsze czaiła się gdzieś z tyłu jej głowy. Czaiła się, czekając na okazję wtargnięcia głębiej i ogarnięcia całej świadomości. I rzeczywiście czasem się wdzierała – w najbardziej niedogodnym momencie.

Egwene powtórzyła sobie, że w chwili obecnej musi się skoncentrować na swoich zajęciach Amyrlin, po czym podniosła następny arkusz papieru.

Wnosząc z informacji „oczu i uszu”, świat bardzo się zmieniał. Z ziem okupowanych przez Seanchan docierało niewiele wiadomości i wszystkie były dziwaczne lub przerażające. Amyrlin otrzymywała wymyślne opisy seanchańskich zwierząt, które stanowiły dowód wykorzystywania przez tę nację Pomiotu Cienia, czytała przerażające opowieści o kobietach poddawanych testom mającym na celu ustalenie, czy można je wziąć na smycz jako *damane*, a także przygnębiające historie o coraz powszechniejszej... akceptacji. Seanchanie nie wydawali się gorszymi władcami niż wielu przed nimi, a lepszymi niż niektórzy (choć nie dla kobiet z umiejętnością przenoszenia Mocy) i wyraźnie coraz więcej osób rezygnowało z planów jakiegokolwiek sprzeciwu – natychmiast, gdy sobie uprzytomniły, że Seanchanie pozwolą im dalej żyć własnym życiem. Wieści z Arad Doman też nie były najlepsze, właściwie docierały stamtąd głównie pogłoski, o czym donosiły w swoich raportach siostry; pogłoski te jednakże sporo mówiły o stanie tego kraju. Król Alsalam nie żył. A może żył, lecz zaczął przenosić Moc i oszalał... Rodel Ituralde, Wielki Kapitan, również albo nie zginął, albo przejął tron, albo najechał Saldaeę. Wszyscy członkowie Rady Kupców zmarli, uciekli z kraju lub wywołali wojnę domową, spierając się o wybór następnego władcy. Któraś z tych plotek mogła być prawdziwa. Bądź też żadna. Ajah przyzwyczyły się do kontrolowania wszystkiego, teraz zaś trzecią część ich świata spowijało coś na kształt gęstej mgły, w której można było dostrzec jedynie maleńkie szczeliny. Jeśli któraś z Ajah posiadała pełniejszy obraz, nie raczyła się z innymi podzielić swoimi informacjami.

Zresztą poszczególne Ajah przywiązywały wagę do innych spraw, inne kwestie uważały za

nadrzędne, pozostałe natomiast ignorowały. Zielone, na przykład, wykazywały wyjątkowe zainteresowanie opowieściami o armiach Ziem Granicznych znajdujących się niestety w pobliżu Nowego Braem, czyli setki lig od granicy Ugoru, której miały strzec. Sprawozdania Zielonych mówiły o mieszkańcach Ziem Granicznych i tylko o nich, sugerując, że coś należy zrobić i to właśnie teraz. A jednak nie wyjaśniały tej kwestii dokładniej i niczego nie proponowały, choć poprzez pospieszne pismo dokumentów wypełnionych ścieśnionymi, długimi literami przebijała wyraźna frustracja.

Egwene otrzymała od Elayne prawdziwe wiadomości na temat tej sytuacji, na razie jednak chętnie pozwalała się Zielonym denerwować i zgrzytać zębami, zwłaszcza odkąd Siuan ujawniła, dlaczego nie starały się owej sytuacji naprawić. Według przebywającego w Nowym Braem agenta Siuan, mieszkańcy Ziem Granicznych mieli bowiem towarzystwo w postaci pięćdziesięciu albo i stu siostr... a może nawet dwustu. Nie sposób było zyskać pewności co do liczby Aes Sedai, która mogła być w dodatku, rzecz jasna, mocno zawyżona, Zielone wszakże na pewno zdawały sobie sprawę z ich obecności tamże, mimo iż nie wspomniały o nich w żadnym raporcie, który wysłały Amyrlin. Zresztą żadna Ajah nie wspomniała o tych siostrach w swoich sprawozdaniach. A przecież istniała pewna mała, lecz niezwykle istotna różnica między dwiema siostrami a całą ich dwusetką. Tyle że prawdopodobnie nikt nie miał pewności, kim te Aes Sedai są i po co się znalazły na tych terenach. Niewielu zapewne dociekało szczegółów, gdyż nikt nie chciał się narażać na zarzut wścibiania nosa w nie swoje sprawy. Dziwne, że nawet w momencie grożącym wojną między Aes Sedai siostry powstrzymywały się przed przesadną ciekawością. Takie jednak były ich zwyczaje, za co Egwene nierzadko była losowi wdzięczna.

– Przynajmniej nie sugerują, że wysłały kogoś do Caemlyn – mruknęła Egwene, po czym gwałtownie zamrugnęła, gdyż ból za oczyma wyostrzył się wraz z jej wysiłkiem odcyfrowania zwartego pisma.

Siuan drwiąco parsknęła.

– Dlaczego miałyby to sugerować? Z tego, co wiedzą, Elayne pozwala sobą kierować Merilille i Vandene, więc są przekonane, iż – tak czy owak – będą miały na tronie Aes Sedai i to w dodatku przedstawicielkę Zielonych Ajah. Poza tym, póki Asha’mani trzymają się z dala od Caemlyn, nikt nie chce ryzykować podburzania ich. W obecnym stanie rzeczy równie dobrze mogłybyśmy wyjmować z rzeki gołymi rękoma wodne osy. Nawet Zielone znają stopień niebezpieczeństwa. A wiesz przecież, że nic nie odwiedzie konkretnej siostry, Zielonej czy innej, od wizyty w Caemlyn. Spokojnych odwiedzin, mających na celu spotkanie z którymś z własnych agentów. Albo od wyprawy do szwaczki po sukienkę, do sklepu w celu nabycia siodła czy też Światłość jedna wie, po co jeszcze.

– Nawet Zielone?! – spytała Amyrlin opryskliwym tonem. Wszyscy wiedzieli, że Brązowe często Podróżują, podobnie Białe, choć te czasem demonstracyjnie się wypierały swoich wycieczek. Jednak gdy ktoś wrzucał do jednego worka także Zielone, Egwene mimowolnie się wzdrygała. Pewnie w głębi duszy rzeczywiście uważała siebie za Zieloną lub za niedoszlą, a równocześnie eks-Zieloną, co nie było zbyt mądre. „Amyrlin jest władczynią wszystkich Ajah i żadnej w szczególności” – przypominała sobie, poprawiając na ramionach stulę, której siedem pasów reprezentowało siedem Ajah. Zresztą Egwene przecież nigdy do żadnej Ajah nie należała. Tym niemniej odczuwała... nie, nie słabość do Zielonych... raczej miała silne poczucie, że wiele ją z Zielonymi siostrami łączy. – Obecności jak dużej liczby siostr nie potrafiłabyś w ten sposób wytłumaczyć, Siuan? Nawet te najślabsze, jeśli połączą siły, mogą Podróżować, gdzie tylko zechcą, a ja żałuję, że nie wiem, dokąd się udają.

Przez chwilę Siuan marszczyła w zadumie brwi.

– Zbyt wiele to chyba około dwudziestki – odparła w końcu. – Może nawet kilka mniej. Tyle że ich liczba zmienia się każdego dnia. Nikt ich w gruncie rzeczy nie śledzi, nikt nie liczy. Żadna siostra nie zniosłaby takiej kontroli. – Pochyliła się do przodu, tym razem starając się zachować równowagę, gdy nierówne nogi stołka zaczęły się przechylać. – Do tej pory świetnie manipulowałam sprawami, Matko, nie możesz wszakże tak postępować bez końca. W pewnej chwili Komnata odkryje, co się naprawdę dzieje w Caemlyn. Może Zasiadające zaakceptowałyby utrzymanie w sekrecie istnienia seanchańskich więźniów, uznając tę kwestię za problem Vandene lub Merilille, ale wiedzą już, że w mieście przebywają przedstawicielki Ludu Morza, a prędzej czy później odkryją także zawartą z nimi umowę. Dowiedzą się też o Rodzinie, nawet jeśli nie poznają twoich planów związanych z Kuzynkami. – Sivan znów parsknęła, choć słabiej niż poprzednio. Sama nie była pewna, co sądzi o pomysłach Aes Sedai wycofujących się do Rodziny. Tak czy inaczej, pomysł ten podobał jej się mniej niż innym siostram. – Moje „oczy i uszy” jeszcze wprawdzie niczego nie doniosły, ktoś jednak na pewno już tak... Nie możesz zwlekać zbyt długo, w przeciwnym razie otoczy nas coś w rodzaju lawicy drapieżnych szczupaków.

– Któregoś dnia – szepnęła Amyrlin – będę musiała pojechać i zobaczyć te szczupaki, o których stale wspominasz. – Podniosła rękę, widząc, że Sivan otwiera usta. – Pewnego dnia. Porozumienie z przedstawicielkami Ludu Morza spowoduje problemy – zwierzyła się – chociaż kiedy Ajah usłyszą wzmianki o umowie, nie uświadomią sobie tak od razu znaczenia informacji, która właśnie dotarła do ich uszu. Siostry nauczają w Caemlyn członkinie Atha’an Miere? „To niesłychane” – powiedzą, ale czy któraś będzie wypytywać o szczegóły albo wtrącać się, wbrew wszelkim zwyczajom? Jestem pewna, że zaczną zrędzić, może kwestia stanie nawet w Komnacie, jednak zanim odkryją, o jaką umowę chodzi, przedstawię mój plan dla Rodziny.

– Myślisz, że nie będą sobie ostrzyły nań zębów?

Sivan poprawiła szal, niemal nie dbając o ukrycie niedowierzania. Właściwie wcale go nie kryła.

– Dojdzie do dyskusji – przyznała rozsądnie Egwene, choć wiedziała, że użyła znaczącego niedopowiedzenia. Wiadomość o jej planie, szczególnie gdyby Aes Sedai poznały go w całości, spowodowałyby raczej prawdziwy zgiełk. Może nawet znalazłyby się o krok od zamieszek... Tyle że Wieża od tysiąca lat... co najmniej od tysiąca lat... słabła, a Egwene planowała ją wzmocnić. – Zamierzam wszakże działać powoli. Aes Sedai może niechętnie rozmawiają o wieku, Sivan, lecz dość szybko odkrywają, iż przysięga przy użyciu Różdżki Przysięg skraca nasze życie przynajmniej o połowę. A nikt nie chce umierać, póki nie musi.

– O ile dadzą się przekonać, że jedna z żyjących Kuzynek rzeczywiście liczy sobie sześćset lat.

Amyrlin dosłyszała w głosie Sivan niechęć i westchnęła z irytacją. Twierdzenia przedstawicielek Rodziny na temat własnej długowieczności stanowiły kolejną kwestię, co do której jej rozmówczyni nie była przekonana. Egwene ceniła rady Sivan, ceniła fakt, że dawna władczyni mówi nie tylko to, co jej młoda rozmówczyni pragnie usłyszeć, czasami jednak denerwowała ją równie mocno jak Romanda czy Lelaine.

– Jeśli zajdzie potrzeba, Sivan – oświadczyła rozdrażniona – po prostu pozwolę siostram pomówić z kilkoma kobietami, które są sto albo więcej lat starsze od każdej z nich. Może spróbują je zlekceważyć, nazywając dzikuskami i zarzucając im kłamstwo, ale taka na przykład Reanne Corly potrafi udowodnić swój pobyt w Wieży i podać dokładne lata, w jakich w niej przebywała. Podobnie inne. Jeśli mi się poszczęści, jeszcze zanim siostry się dowiedzą o umowie z Atha’an Miere, zdołam je przekonać do możliwości uwolnienia się od Trzech Przysięg, dzięki czemu będą mogły w dowolnej chwili wycofać się do Rodziny. A kiedy zaakceptują choćby jedną wolną od

Przysięg siostrę, nietrudno mi będzie przekonać wszystkie Aes Sedai, że powinny wypuścić przedstawicielki Ludu Morza. Reszta tej umowy to naprawdę błahostka. Jak stale powtarzasz, załatwienie spraw w Komnacie wymaga umiejętności i wprawnej ręki, ja wszakże dodałabym jeszcze posiadanie szczęścia. No cóż, postaram się postępować umiejętnie, z wprawą i zręcznie... najbardziej jak potrafię, a co do szczęścia, w tej chwili jest chyba po mojej stronie.

Siuan skrzywiła się, wydała kilka „achów” i „ochów”, tym niemniej musiała się w końcu zgodzić z Egwene. Przyznała nawet, że młoda Amyrlin osiągnie zamierzony cel, zwłaszcza jeśli trafi na odpowiedni moment i będzie jej towarzyszyć szczęście. Nie przekonała się wprawdzie do przedstawicielek Rodziny ani do porozumienia z Atha'an Miere, jednak propozycja Egwene była tak bezprecedensowa, że może rzeczywiście sporą część swego planu Amyrlin zdoła przekazać Komnacie, zanim Zasiadające zrozumieją cały kontekst i konsekwencje owego projektu. Egwene byłaby skłonna się tym zadowolić. Prawie zawsze, gdy przedkładano Komnacie jakiś plan, spotykał się on ze sprzeciwem tak wielu Zasiadających, że zdobycie konsensusu wymagało od występującego z wnioskiem – oględnie mówiąc – ciężkiej pracy i sporo czasu. A wiadomo, że Komnata nie zatwierdzi żadnego planu bez zgody większości, zwykle zaś bez zgody przeważającej większości. Siuan odnosiła wrażenie, że podczas wielu układów z Komnatą trzeba było przekonać Zasiadające do zrobienia czegoś, czego za żadne skarby zrobić nie chcieli. W tym przypadku nie będzie inaczej.

Podczas gdy Zielone koncentrowały się na mieszkańcach Ziemi Granicznych, Szare skierowały obecnie swe oczy na południe. Każdą Ajah fascynowały sprawozdania z Illian i Łzy, mówiące o wielkiej ilości dzikusów wśród Ludu Morza, co siostry uważały za interesujące, o ile było zgodne z prawdą. Wiele Aes Sedai miało jednak spore wątpliwości, czy raporty przedstawiają prawdę, w przeciwnym razie bowiem na pewno wiedziałyby o tym fakcie wcześniej. Ostatecznie wszak, jak można coś takiego ukryć? Nikt nie wspomniał, że siostry często akceptują jakiś stan rzeczy, postrzegając go powierzchownie i nie zaglądając w głąb. Szare jednak interesowały się bardziej nieustannymi groźbami Seanchan wobec Illian i ostatnio wszczętym oblężeniem Kamienia Łzy. Wojny i niebezpieczeństwo konfrontacji zbrojnej zawsze niemal hipnotyzowały Szare Ajah, które poświęciły swe życie rozstrzygnięciu konfliktów. Lubiły też oczywiście w ten sposób rozciągać swoje wpływy; zawsze ilekroć Szare zapobiegły jakiejś wojnie za pomocą traktatu, zwiększały wpływy wszystkich Aes Sedai, chociaż najbardziej ze wszystkich Ajah wzrastały ich wpływy. Z Seanchanami chyba jednak nie sposób było negocjować, przynajmniej będąc Aes Sedai, a oburzenie i frustracja Szarych uwidaczniały się w lakonicznych opowieściach o przedarciu się seanchańskich grup przez granicę i wzrastających siłach, które zbierał Lord Gregorin, Illiański Zarządca Smoka Odrodzonego. Zresztą jego tytuł sam w sobie już stanowił interesującą kwestię. Łza miała własnego Zarządcę Smoka Odrodzonego, Wysokiego Lorda Darlina Sisnerę, którego ludzi oblegali w Kamieniu ci panowie wielkich rodów, którzy nie chcieli zaakceptować Randa al'Thora. Było to w dodatku bardzo dziwne oblężenie. Kamień Łzy posiadał własne doki i wrogowie Darlina nie mogli odciąć zapasów, nawet gdy przejęli już pozostałą część miasta, więc najwyraźniej postanowili w pewnym momencie usiąść i poczekać. A może po prostu nie wiedzieli, co dalej robić. Tylko Aielom udało się kiedyś zdobyć szturmem Kamień, a nikt nigdy nie potrafił wziąć twierdzy głodem. Wcześniej Szare pokładały w Łzie pewne nadzieje...

Przeczytawszy dół stronicy, Egwene podniosła głowę, po czym pospiesznie odłożyła kartkę i przeszła do kolejnej. Tak, Szare wcześniej żywiły spore nadzieje. Najwyraźniej którąś z Szarych siostr rozpoznało, kiedy opuszczała Kamień Łzy, podążając na spotkanie z Wysokim Lordem Tedosianem i Wysoką Lady Estandą, dwojgiem najslawniejszych arystokratów spośród oblegających.

– Merana – sapnęła Amyrlin. – Mówią, Siuan, że to była Merana Ambrey.

Bezwiednie znów pomasowała sobie skroń. Ból, który czuła w głowie, gdzieś za oczyma, jeszcze nieco się wzmógł.

– Może zrobi coś dobrego. – Siuan wstała ze swego miejsca, przeszła przez dywany, aż dotarła do małego, ustawionego przy ścianie namiotu stołu, na którym stało na tacy kilka różnych kielichów i filiżanek, a także dwa dzbany. W srebrnym dzbanie znajdowało się przyprawione wino, natomiast w ceramicznym, emaliowanym na niebiesko – herbata. Oba dzbany przyniesiono o świcie, jeszcze przed wyjazdem Egwene, toteż jeden i drugi płyn od dawna były zimne. Nikt się nie spodziewał, że Amyrlin pojedzie aż nad rzekę. – Póki Tedosian i pozostali nie odkryją, dla kogo naprawdę pracuje. – Szal zsunął się Siuan z jednego ramienia, gdy kobieta objęła dłońmi boki ceramicznego dzbana. Poświata *saidara* otoczyła ją na moment, Siuan bowiem przenosiła Ogień, ogrzewając zawartość naczynia. – Jeśli się dowiedzą o jej układach ze Smokiem Odrodzonym, przestaną wierzyć, że Merina prowadzi negocjacje w dobrej wierze. – W końcu dawna władczyni napełniła herbatą filiżankę z polerowanej cyny, osłodziła napój sporą ilością miodu ze słoika, w końcu dobrze wymieszała i przyniosła Egwene filiżankę. – Może ulży ci w twojej migrenie. To wywar z mieszanki jakichś ziół, którą odkryła Chesa, na szczęście miód zabija nieprzyjemną gorycz.

Amyrlin ostrożnie wypila łyk i z drzeniem odstawiła filiżankę. Jeśli napój tak ostro smakował z miodem, nie miała ochoty nawet sobie wyobrazić jego smaku bez słodkiego dodatku. Chyba już wolała ból głowy.

– Siuan, jak możesz z takim spokojem przyjmować tę nowinę? Zjawienie się Merany w Łzie stanowi pierwszy prawdziwy dowód, jaki zdobyliśmy. Na pewno nie chodzi tu o zwyczajny zbieg okoliczności.

Na początku krążyły jedynie szept – informacje od „oczu i uszu” Ajah czy Siuan. W Cairhien przebywały Aes Sedai, które podobno swobodnie wchodziły do Pałacu Słońca i równie łatwo z niego wychodziły, choć przebywał w nim wówczas Smok Odrodzony. Potem szept stały się głośniejsze, lecz bardziej niespokojne, choć mniej zdecydowane. Kręcące się po Cairhien „oczy i uszy” nie chciały o tej sprawie rozmawiać. Nikt nie miał ochoty powtarzać tego, co przekazali mu agenci. Tak czy owak, w Cairhien znajdowały się Aes Sedai, które jakoby służyły Smokowi Odrodzonemu. Do Wieży dotarły imiona tych sióstr. Niektóre z tychże kobiet były wcześniej w Salidarze, gdzie należały do pierwszych stawiających opór Elaidzie sióstr, inne natomiast podobno zachowywały wobec uzurpatorki lojalność. Nikt nie wspomniał głośno o Przymusie, lecz Egwene wiedziała, że wiele osób o nim pomyślało.

– Nie ma sensu rwać sobie włosów z głowy tylko dlatego, że wiatr nie wieje w kierunku, w którym pragniesz, by wiał – odparła Siuan, ponownie siadając na stołku. Zaczęła zakładać nogę na nogę, jednak pospiesznie postawiła obie stopy na dywanie, gdyż stołek znów się niebezpiecznie przechylił. Kobieta szepnęła coś pod nosem, po czym podrzuciła szal samym ruchem ramion. I po raz kolejny musiała z tego powodu walczyć o równowagę na chwiejnym siedzisku. – Trzeba ustawić żagle, jeśli się chce dobrze wykorzystać podmuchy wiatru. Należy przemyśleć wszystko na zimno i ustalić sposób powrotu na brzeg. Jeśli nie zdołasz niczego wymyślić, utoniesz. – Czasami Siuan używała porównań przywodzących na myśl jej pochodzenie: urodziła się wszak w rodzinie rybackiej, a jej ojciec posiadał łódź. – Sądzę, Matko, że musisz wypić więcej niż jeden łyk tej mikstury, jeśli ma ona zadziałać.

Egwene z grymasem odsunęła filiżankę nieco dalej od siebie. Smak, który czuła teraz w ustach, był co najmniej tak paskudny jak ból głowy.

– Siuan, skoro widzisz sposób wykorzystania tej sytuacji, podziel się nim ze mną. Nie mam

najmniejszego pojęcia, jak można użyć faktu, że Przymuszone siostry stoją obecnie po stronie Randa. Wolałabym nawet nie brać pod uwagę takiej możliwości.

Ani ewentualności, że Rand al'Thor zna taki odpychający splot, ani tym bardziej możliwości, że mógł go na kogoś narzucić. Znała ten splot – był to kolejny mały prezent od Moghedien – i bardzo żałowała, że nie może o nim zapomnieć.

– W obecnym przypadku nie chodzi o wykorzystanie sytuacji, lecz raczej o rozpracowanie skutków. Rand będzie musiał sobie z tą sprawą poradzić i może czeka go jakaś lekcja, ty jednakże nie chcesz, by siostry teraz się za nim udały, te opowieści z Cairhien zaś zmuszają wszystkich do ostrożności. – Siuan przemawiała zupełnie opanowanym tonem, choć chaotyczność jej słów i fakt, że wierciła się na stołku, sugerował bez wątpienia wewnętrzne wzburzenie kobiety. Tej kwestii najprawdopodobniej żadna Aes Sedai nie potrafiłaby omawiać z całkowitym spokojem. – Równocześnie po przemyśleniu sobie sprawy wszyscy rozumieją nonsens opowieści dających do zrozumienia, że Rand podporządkował się Elaidzie. Elaida mogłaby wysłać siostry, ażeby go pilnowały, jednak nie przyjęto by sióstr, które pragną zdetronizować uzurpatorkę. Zrozumienie tego faktu na pewno dało do myślenia osobom, które zaczęły podejrzewać Randa o podległość wobec Elaidy. Jeśli zaś same rozważały podporządkowanie się jej, mają teraz o jeden powód mniej, ażeby to zrobić.

– A co z Cadsuane? – spytała Egwene. Ze wszystkich docierających z Cairhien imion właśnie to najbardziej zaszokowało siostry. Cadsuane Melaidhrin była postacią niemal legendarną, a legend na jej temat krążyło tyleż negatywnych, co pozytywnych. Niektóre Aes Sedai, usłyszawszy jej nazwisko w tym kontekście, były przekonane, że doszło do pomyłki. Szczególnie że w ich opinii Cadsuane bez dwóch zdań do dawna już nie żyła. Inne natomiast od razu zaczęły jej życzyć śmierci. – Jesteś pewna, że została w Cairhien po zniknięciu Randa?

– Kazałam moim ludziom jej pilnować, gdy tylko usłyszałam jej imię – odrzekła Siuan. Głos kobiety przestał już brzmieć spokojnie. – Nie wiem, czy Cadsuane przystąpiła do Sprzymierzeńców Ciemności, tylko ją o to podejrzewam... mogę ci jednak zagwarantować, że przebywała w Pałacu Słońca tydzień po zniknięciu al'Thora.

Egwene zamknęła oczy i przycisnęła palce do powiek. Niewiele to pomagało przy pulsującej w jej głowie igle. Być może Rand miał towarzystwo w postaci jakiejś Czarnej siostry – teraz lub wcześniej. Może użył Przymusu wobec Aes Sedai. Używanie Przymusu wobec kogokolwiek było wystarczająco złym uczynkiem, a cóż dopiero użycie go wobec Aes Sedai; taki czyn nie dość, że znacznie gorszy, wydawał się w dodatku bardziej złowieszczy. Aes Sedai były wszak dziesięć, a może i sto razy silniejsze od zwykłych, bezbronnych osób. Amyrlin wiedziała, że w końcu będą się musiały zająć Randem. Jakoś. Wprawdzie z nim niegdyś dorastała, nie mogła sobie jednak pozwolić, aby ten szczegół w jakiś sposób na nią wpłynął. Teraz al'Thor był Smokiem Odrodzonym, nadzieją całego świata, a równocześnie być może największym jednostkowym zagrożeniem, wobec którego stawał ów świat. Być może? Nawet Seanchanie nie umieliby dokonać takich szkód jak Smok Odrodzony! Egwene naprawdę zamierzała jakoś wykorzystać fakt, że Randa otaczały Przymuszone siostry. Zasiadająca na Tronie Amyrlin rzeczywiście była kimś innym niż tamta córka karczmarza.

Popatrzyła wilkiem na cynową filiżankę z tak zwaną herbatką, po czym podniosła naczynie i wypila łyk paskudnego płynu. O mało się nie zadławiła i nie opluła. Ale może czując wstrętny smak, przynajmniej zapomni o straszliwym bólu głowy.

Kiedy gwałtownie odstawiła filiżankę, wywołując ostre brzęknięcie metalu o drewno, do namiotu weszła Anaiya. Jej usta wykrzywiły się w podkówkę, a od marsowej miny zmarszczyła jej się cała zazwyczaj gładka twarz.

– Wróciła Akarrin i inne, Matko – oświadczyła. – Moria kazała mi cię poinformować, że zwołała posiedzenie Komnaty, która wysłucha ich sprawozdania.

– A mnie to samo poleciły Escaralde i Malind – dorzuciła Morvrin, wchodząc do namiotu za Anaiją wraz z Myrelle. Zielona Myrelle uosabiała jednocześnie pogodę i furję, o ile takie skrzyżowanie było w ogóle możliwe, gdyż jej spokojną oliwkową twarz rozpałały błyszczące ciemnym żarem oczy, Morvrin natomiast miała tak nachmurzoną minę, że przy niej Anaiya wyglądała prawie na zadowoloną. – Wysyłają nowicjuszek i Przyjęte na poszukiwanie wszystkich Zasiadających – powiedziała Brązowa Morvrin. – Nie mamy najmniejszego pojęcia, czego się dowiedziała Akarrin, moim zdaniem wszakże Escaralde i pozostałe zamierzają, wykorzystując te informacje, skłonić Komnatę do jakiejś decyzji.

Przyglądając się ciemnym fusom unoszącym się w resztkach herbaty pozostałej na dnie cynowej filiżanki, Egwene westchnęła. Ona również będzie musiała wziąć udział w tym posiedzeniu. W dodatku będzie musiała stawić Zasiadającym czoło z potworną migreną i tym okropnym smakiem w ustach. Może powinna nazwać ten dzień pokutą za to, co zamierzała uczynić Komnacie.

Rozdział 5

Niespodzianki

Zwyczajowo informowano Amyrlin o posiedzeniach Komnaty, nigdzie wszakże nie zapisano, że zebrane powinny na nią poczekać z rozpoczęciem sesji, co oznaczało prawdopodobnie, że Egwene zostało niewiele czasu. Chciała zerwać się na równe nogi i pomaszerować wprost do dużego, kwadratowego namiotu, od razu – zanim Moria i dwie inne siostry zdążą przygotować zaplanowaną niespodziankę. Niespodzianki w Komnacie rzadko bywały dobre. I im później się Amyrlin o nich dowiadywała, tym gorsze się w ostatecznym rozrachunku okazywały. Tym niemniej protokoły, które należały do prawa, nie zaś do zwyczajów, nakazywały zezwolić Zasiadającej na Tronie Amyrlin na uczestnictwo w zebraniu Komnaty, z tego też względu Egwene pozostała na swoim miejscu, a Siuan posłała po Sheriam, która jako Opiekunka Kronik oficjalnie oznajmiła wejście władczyni do siedziby Komnaty. Siuan wyjaśniła kiedyś Egwene, że ten rytuał w gruncie rzeczy stosowano w celu ostrzeżenia Zasiadających o obecności Amyrlin, gdyż zawsze istniały kwestie, które Zasiadające pragnęły przedyskutować bez jej udziału i wiedzy. Siuan bynajmniej nie powiedziała tego wszystkiego żartobliwym tonem.

W każdym razie nie było sensu iść do Komnaty, póki Egwene nie będzie mogła wejść na zebranie. Panując nad niecierpliwością, podparła głowę na rękach i pomasowała sobie skronie, równocześnie usiłując przeczytać kolejne sprawozdania od przedstawicielek Ajah. Mimo wypicia ohydnej „herbaty”, a może właśnie z jej powodu, ból pogorszył się tak znacząco, że słowa migotały Amyrlin na stronicach, ilekroć zamrugała. A obecność Anaiyi i dwóch innych kobiet bynajmniej nie pomagała jej w skupieniu.

Anaiya natychmiast po odejściu Siuan zrzuciła płaszcz i zajęła zwolniony przez tamtą stołek (który dziwnym trafem pod nią wcale się nie chwiał ani nie przechylał), po czym zaczęła spekulować, czego szuka Moria i Zasiadające. Nie była lekkomyślną młodką, więc – biorąc pod uwagę okoliczności – jej próby wyglądały na dość wymuszone. Wymuszone, ale nie mniej przez to denerwujące.

– Przerażeni ludzie robią głupie rzeczy, Matko, nawet Aes Sedai – mruknęła, kładąc ręce na kolanach – lecz przynajmniej możesz być pewna, że Moria pozostanie twarda w sprawie Elaidy, w każdym razie na dłuższą metę. Moria obarcza Elaidę odpowiedzialnością za śmierć każdej siostry zmarłej po zdetronizowaniu Siuan. Pragnęłaby wychłostać uzurpatorkę za każdą taką śmierć i dopiero później oddać w ręce kata. Jest naprawdę twarda, w pewnym sensie nawet twardsza niż Lelaine, tak czy inaczej twarda. Nie będzie miała skrupułów wobec niektórych koniecznych spraw, przed którymi Lelaine mogłaby się wzdragać. Bardzo się obawiam, że Moria zechce naciskać na przeprowadzenie jak najszybszego ataku na miasto. Jeśli Przekłęci przemieszczają się tak otwarcie i na taką wielką skalę, wtedy lepsza jest Wieża „zraniona”, lecz kompletna, niż Wieża podzielona. W każdym razie boję się, że taki może być pogląd Morii. Koniec końców, jakkolwiek bardzo pragniemy uniknąć sytuacji, w której siostry zaczną się nawzajem zabijać, taka wojna nie byłaby czymś precedensowym. Biała Wieża trwa już od bardzo długiego czasu i uleczyła się przez te lata z niejednych ran. Z tej także ją wyleczymy.

Głos Anaiyi pasował do jej twarzy: ciepłej, cierplivej i pokrzepiającej, jednak uwagi te wypowiedane głośno skojarzyły się Egwene ze zgrzytliwym odgłosem przesuwania paznokci po listwie. O Światłości, z tego, co Anaiya mówiła, przebijał prawdziwy strach przed Morią, a równocześnie kobieta zdawała się pozostawać w zgodzie z sentymentami. Wydawała się rozważna i

tak opanowana, że niemal nie sposób jej było wyprowadzić z równowagi i zawsze zważała na wypowiedane słowa. Skoro taka siostra popierała szturm... Ile Aes Sedai wyznawało podobne do niej poglądy?

Myrelle jak zwykle zachowywała się spontanicznie. Była nieprzewidywalna i zapalcząca – te dwa określenia najdokładniej opisywały jej temperament. Nie uznawała cierpliwości, nawet gdy wymagała tego sytuacja. Teraz kroczyła w tę i z powrotem po namiocie, zdenerwowana niewielką przestrzenią. Jej ciemnozielone spódnice poruszały się. Czasami kobieta kopnęła jedną z jasnych poduszek ułożonych pod ścianą, po czym zakręcała i rozpoczynała kolejną rundkę.

– Jeśli Moria jest tak przestraszona, że domaga się ataku, musi być naprawdę śmiertelnie przerażona. Wieża w obecnym stanie nie zdoła samotnie stawić czoła Przeklętym czy komukolwiek innemu. Ciebie powinna interesować Malind. Stale wskazuje, że lada dzień może nadejść Tarmon Gai'don. Słyszałam, jak mówiła, że ten potężny przepływ mocy, który odczułyśmy, równie dobrze może stanowić spektakularny wstęp do Ostatniej Bitwy. Dodała też, że celem następnego uderzenia może się stać Tar Valon. Jakiż lepszy cel może sobie znaleźć Cień, jeśli zechce z nami skończyć? Malind nigdy nie bała się dokonywać trudnych wyborów, toteż kiedy dostrzeże konieczność, potrafi się również wycofać. Natychmiast opuściłaby zarówno Tar Valon, jak i Wieżę, jeśli by uważała, że w ten sposób oszczędzi przynajmniej kilkoro z nas na Tarmon Gai'don. Sądzę, że podczas posiedzenia zaproponuje zakończenie oblężenia i ucieczkę gdzieś, gdzie Przekłęci nie zdołają nas odnaleźć, póki nie będziemy gotowe oddać ciosu. Jeśli Malind przedstawi tę kwestię Komnacie w odpowiedni sposób, może nawet przekona do swojego punktu widzenia większość Zasiadających.

Wystarczyła sama ta myśl i słowa na kartach jeszcze gwałtowniej zatańczyły przed oczyma Egwene.

Morvrin, na której okrągłej twarzy próżno by szukać łagodności, przycisnęła pięści do wydatnych bioder i odparowała sugestie poprzedniczki lakoniczną odpowiedzią.

– Niewiele wiemy o owym potężnym przepływie Mocy, nie możemy więc żywić przekonania, że miałyśmy do czynienia z działaniami Przeklętych.

Dodała jeszcze, że: „Nie możemy mieć pewności, co powie Malind, póki tego nie usłyszymy”, że: „Może powie to, a może coś zupełnie innego” oraz że: „Przypuszczenia to nie dowody”. Morvrin wyznawała bowiem pogląd, iż nie uwierzy w nadejście ranka, jeśli sama nie zobaczy na niebie słońca. Jej mocny głos jak zwykle brzmiał rzeczowo. Morvrin nigdy nie wyciągała pochopnych wniosków.

Koncentracja na ich rozmowie bynajmniej nie uśmierzała bólu głowy Amyrlin. W sumie Morvrin nie sprzeciwiała się sugestiom Myrelle, starała się jedynie zachować otwarty umysł. W trakcie kwestii spornej „otwarty umysł” powinien znaleźć najlepsze i najbardziej logiczne rozwiązanie.

Egwene zamknęła zawierającą raporty teczkę z tłoczonej skóry; dało się słyszeć głośnie plaśnięcie. Z powodu wstrętnego smaku na języku i ostrego tętnienia w głowie – że nie wspomni o nieustannym gadaniu wypełniających jej namiot kobiet! – Amyrlin i tak nie mogła się skupić na czytaniu. Trzy siostry popatrzyły na nią zaskoczone. Od dawna przypominała im o swojej przywódczej roli, nigdy jednak nie traciła nad sobą panowania. Istniały oczywiście przysięgi, którym Aes Sedai powinny dotrzymywać wierności, jednakże młodej kobiecie, która zbyt dosłownie ujawnia swoje nastroje, łatwo można zarzucić niepotrzebne dąsy i zlekceważyć jej poglądy, nie traktując jej poważnie. Myśl ta jeszcze bardziej rozgniewała Egwene, a złość jeszcze bardziej pogłębiła migrenę, która...

– Odczekałam wystarczająco długi czas – oświadczyła, starając się przemawiać spokojnym

głosem.

Przyszło jej nagle do głowy, że może Sheriam sądzi, iż miały się spotkać przed Komnatą.

Wzięła płaszcz i pospiesznie wyszła z namiotu na zimne powietrze, równocześnie narzucając ciepłe okrycie na ramiona. Morvrin i jej dwie towarzyszki zawahały się zaledwie na moment, po czym ruszyły za nią. Towarzysząc Amyrlin do Komnaty, wyglądały nieco jak jej świta, lecz wszystkim trzem przypuszczalnie polecono ją obserwować. Zresztą Egwene podejrzewała, iż nawet Morvrin chętnie posłucha zarówno przyniesionych przez Akarrin wieści, jak i podjętych wobec tych nowin decyzji Morii i reszty Zasiadających.

Miała nadzieję, że nie będzie musiała się zmierzyć z niczym szczególnie trudnym, z żadnym z problemów, których obawiały się Anaiya i Myrelle. W razie konieczności Amyrlin zawsze zostaje podjęcie próby zastosowania Prawa Wojny, może nawet osiągnie wtedy sukces... tyle że rządzenie poprzez edykty łączyło się z licznymi niedogodnościami. Kiedy ludzie są zmuszani do słuchania kogoś, zawsze znajdą sposób wymigania się od obowiązków, a im bardziej się im narzuca posłuszeństwo, tym częściej się wykręcają. Jest to naturalna kolej rzeczy, równowaga, przed którą nie można uciec. Co gorsza, Egwene już się dowiedziała, jak się czuje osoba, która samym swoim głosem wyzwala w innych ludziach zdenerwowanie. Taka osoba łatwo się też przyzwyczaja do ludzkiego poważania, zaczyna traktować reakcje wszystkich jako naturalny stan rzeczy, a kiedy sytuacja się zmienia, bywa bardzo zaskoczona. Zresztą z powodu łomotania w głowie (tętnienie zmieniło się już w łomot, choć jeszcze nie tak straszliwy, jakiego doświadczała czasami wcześniej) w każdej chwili bezwiednie mogła warknąć na kogoś, kto krzywo na nią spojrzy; nawet jeśli ten ktoś po prostu przełknie zniewagę, pozostanie mu w ustach – mówiąc metaforycznie – gorzki smak.

Słońce znajdowało się dokładnie nad jej głową i miało obecnie postać złotej kuli błyszczącej na błękitnym niebie upstrzonym białymi obłokami, niestety jego promienie nie dawały ciepła, a tylko połacie bladego cienia i blasku na niezadeptanym śniegu. Powietrze było tu równie chłodne jak nad rzeką. Amyrlin wprawdzie potrafiła ignorować zimno i nie dopuszczać go do swojego ciała, jednak tylko martwi są zupełnie nieświadomi chłodu, a ona wszak widziała parujące oddechy swoich towarzyszek. Zbliżała się pora południowego posiłku, tym niemniej nie istniała możliwość nakarmienia tych wszystkich licznych nowicjuszek jednocześnie, toteż Egwene i przedstawicielki jej eskorty przemierzały się wśród grupek ubranych na biało kobiet, które stale uskakiwały im z drogi i nisko się kłaniały. Amyrlin narzuciła takie tempo, że wraz ze swoim orszakiem mijała daną dygającą nowicjuszkę, jeszcze zanim rąbek białej sukni tamtej musnął powierzchnię drogi.

Do Komnaty nie było daleko, musiały przejść zaledwie kilka kroków błotnistymi ulicami. Wcześniej padały propozycje postawienia dla pieszych kilku drewnianych mostów, dostatecznie wysokich, ażeby można było pod nimi przejechać. Jednakże mosty zapewniałyby obozowisku przede wszystkim trwałość, której nikt nie potrzebował. Nawet siostry, które o nich wspominały, nigdy właściwie nie naciskały na ich budowę. Nadal więc wszystkie brnęły powoli przez rozdeptany śnieg, uważając na swoje spódnice i płaszcze, o ile nie chciały dotrzeć do celu ubłoczone po kolana. Na szczęście w miarę zbliżania się do Komnaty tłumy rzedniały. A Komnata wyglądała tak samo jak zwykle albo przynajmniej prawie tak samo.

Nisao i Carlinya czekały już przed dużym płóciennym namiotem o połatanych ścianach i klapach wejściowych. Niewysoka Żółta nerwowo zagryzała dolną wargę, a na Egwene popatrywała z niepokojem. Carlinya natomiast wydawała się uosobieniem opanowania; rękoma objęła się w talii i zimnym wzrokiem przyglądała się przybyłym. Tyle że zapomniała wziąć płaszcz, toteż błoto poplamilo intensywnie haftowany brzeg jej jasnej spódnicy, a masa ciemnych loków kobiety wręcz się domagała grzebienia. Obie siostry ukłoniły się Amyrlin, po czym dołączyły do Anaiyi i jej

towarzyszek, które szły w niewielkiej odległości za Egwene. Cała grupka rozmawiała bardzo cicho. Do uszu Amyrlin docierały urywki pogawędki, które wydawały się zupełnie nieszkodliwe; Aes Sedai gwarzyły o pogodzie oraz zastanawiały się, jak długo będą musiały czekać na rozpoczęcie zebrania. Żaden z tych tematów raczej nie dotyczył bezpośrednio Egwene.

W tym momencie nadbiegła Beonin, a ponieważ oddychała szybko, powietrze wydobywało się z jej ust w postaci pary. Zatrzymała się przed Amyrlin, popatrzyła na nią, a następnie przyłączyła się do pozostałych. Skóra wokół jej niebieskoszarych oczu była jeszcze bardziej napięta niż wcześniej. Może kobieta sądziła, że będzie miała jakiś wpływ na negocjacje. Egwene wiedziała wszak, że rozmowy z Elaidą będą udawane, stanowiąc jedynie fikcję, dzięki której Aes Sedai zyskają nieco na czasie. Amyrlin opanowała oddech i wykonała kilka oddechowych ćwiczeń nowicjuszki, nic wszakże jej nie pomagało w pozbyciu się bólu głowy. Nigdy nic nie pomagało.

Nigdzie między namiotami nie dostrzegła Sheriam, chociaż na alejce przed siedzibą Komnaty wcale nie znajdowały się same. Po drugiej stronie wejścia czekało tu bowiem jeszcze sześć kobiet – Akarrin i te Aes Sedai, które zawsze wraz z nią wyruszały na wyprawy: pięć sióstr reprezentujących pięć Ajah. Większość dygnęła przed Egwene z roztargnieniem, tym niemniej żadna się nie przybliżyła. Być może otrzymały zakaz rozmowy z kimkolwiek przed złożeniem sprawozdania Komnacie. Jako Amyrlin, Egwene mogłaby je oczywiście natychmiast skłonić do zdania raportu. I może nawet by jej go przedstawiły – jako Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Prawdopodobnie tak, prawdopodobnie otrzymałaby od nich sprawozdanie... Z drugiej strony, kontakty Amyrlin z Ajah zawsze były delikatne, często nawet kontakty z Ajah, z której dana Amyrlin została wyniesiona. Niemal tak delikatne jak jej relacje z Komnatą. Egwene zmusiła się do uśmiechu i łaskawie skłoniła głowę. Gdyby zazgrzytała zębami pod tym uśmiechem... no cóż, przynajmniej będzie wtedy trzymała język za zębami.

Nie wszystkie siostry wydawały się świadome jej obecności. Akarrin, smukła w prostej brązowej wełnie i płaszczu z zaskakująco wyszukany, zielonym haftem, gapiła się tępo przed siebie, co jakiś czas kiwając bezmyślnie głową. Najwidoczniej przygotowywała sobie mowę, którą wygłosi wewnątrz. Akarrin nie była silna we władaniu Mocą, niewiele silniejsza niż Siuan, jeśli w ogóle, choć dorównywała jej w tym tylko jedna Aes Sedai z towarzyszącej piątki – Therva, szczupła kobieta w jeździeckich spódnicach z żółtymi wstawkami i płaszczu obrzeżonym żółcią. Niepokojąca wydawała się potęga strachu, które siostry odczuwały przed tą straszliwą manifestacją przenieszonego *saidara*. Najsilniejsze z nich powinny wszak żywić chęć odkrycia prawdy i zmierzenia się z nią, jednak chyba tylko samej Akarrin nie brakowało w tej kwestii zapału; jej towarzyszki bynajmniej nie podchodziły do sprawy z entuzjazmem. Shana zazwyczaj zachowywała głęboką rezerwę, mimo iż oczy miała stale osobiwie przestraszone, a teraz ze zmartwienia otwierała je tak szeroko, że Egwene zaczęła się obawiać, czy za chwilę nie wyskoczą jej z orbit. Kobieta łypała ku wejściu do Komnaty, którego lekkie klapy pozostawały jeszcze zamknięte, a palcami stale miętosiła fałdy płaszcza, jakby nie potrafiła utrzymać rąk przy sobie. Błękitna Reiko, tęga Arafeliana, stała z wiecznie spuszczonego wzrokiem, jednakże srebrne dzwoneczki w jej długich, ciemnych włosach co chwilę słabo podzwaniały, toteż Amyrlin podejrzewała, że siostra potrząsa czasem głową wewnątrz kaptura. Tylko twarz Thervy – wyrazista dzięki długiemu nosowi – wyglądała jak maska absolutnego spokoju. Z drugiej strony, ten niezachwiany i niewzruszony spokój wydawał się w jej przypadku złym znakiem, ponieważ Żółta siostra z natury była pobudliwa. Co takiego te Aes Sedai widziały? I czego szukały Moria oraz inne dwie Zasiadające?

Egwene zapanowała nad zniecierpliwieniem. Najwyraźniej zebranie Komnaty jeszcze się nie zaczęło. Zasiadające właśnie się zbierały. Kilka z nich minęło Amyrlin i weszło do dużego namiotu

zupełnie bez pośpiechu. Salita zawahała się, jakby chciała coś powiedzieć, zrezygnowała wszakże – jedynie lekko się skłoniła, uginając kolana, po czym poprawiła na ramionach szal z żółtymi frędzlami i ruszyła ku wejściu do siedziby Komnaty. Kwamesa ledwie łypnęła na Egwene podczas dygnięcia, a następnie zmarszczyła ostry nos, studiując krótko Anaię i pozostałe. Tyle że ta szczupła Szara patrzyła tak na każdego. Nie była wysoka, lecz usiłowała sprawiać takie wrażenie. Berana, kobieta o minie pyszałkowej i dużych brązowych, ale zimnych jak śnieg oczach, zatrzymała się na chłodny ukłon przed Amyrlin, a potem zmarszczyła brwi, patrząc na Akarrin. Po długiej chwili, może rozumiejąc, że Akarrin wcale jej nie dostrzega, zupełnie niepotrzebnie wygładziła haftowane srebrną nicią białe spódnice i starannie ułożyła szal na ramionach, toteż tylko białe frędzle wisały luźno, po czym ruszyła ku wejściowym kłapom, prześlizgując się przez nie tak niedbale, jak gdyby całkiem przypadkowo się tu zabłąkała. Wszystkie te trzy Zasiadające Siuan uznała za zbyt młode. Podobnie jak Malind i Escaralde. Moria jednak była Aes Sedai od stu trzydziestu lat. O Światłości, Siuan jawnie doszukiwała się we wszystkim konspiracji!

W chwili gdy Egwene zaczęła podejrzewać, iż za moment jej głowa wybuchnie – jeśli nie od migreny, to przynajmniej z tłumionej frustracji – nagle pojawiła się Sheriam; przytrzymując sobie fałdy płaszcza i spódnic, na wpół pędziła po brudnym, rozdeptanym śniegu alejki.

– Ogromnie przepraszam, Matko – wyrzuciła z siebie zadyszana, pospiesznie przenosząc Moc, by oczyścić się z błota, którym się ochlapała. Gdy potrzasała spódnicami, drobiny brudnego śniegu spadały na alejkę w postaci suchego proszku. – Ja... Słyszałam, że rozpoczęło się posiedzenie Komnaty, wiedziałam więc, że będziesz mnie poszukiwała, dlatego przybiegłam najprędzej, jak mogłam. Bardzo mi przykro.

Czyli że Siuan wciąż jej szukała.

– Teraz jesteś tutaj – odparła stanowczo Amyrlin. Sheriam chyba była naprawdę zdenerwowana, skoro błagała ją o wybaczenie na oczach innych sióstr, nie tylko Anaiyi i reszty, ale także Akarrin i jej towarzyszek. Nawet osoby, które szanowały Egwene jako Zasiadającą na Tronie Amyrlin, nie mogły uznać takiego zachowania za właściwe, nikt bowiem nie powinien widzieć przeproszającej i błagającej o wybaczenie Opiekunki Kronik. Z czego Sheriam na pewno zdawała sobie sprawę. – Idź pierwsza i zapowiedz mnie.

Opiekunka wciągnęła głęboki wdech, odrzuciła kaptur płaszcza, poprawiła wąską, błękitną stułę i weszła między lekkie kłapy wejściowe. Jej głos zadźwięczał czysto w rytualnych frazach.

– Nadchodzi, ona nadchodzi...

Egwene ledwie mogła się doczekać, aż Sheriam dokończy zdanie. A gdy w końcu usłyszała: „... Płomień Tar Valon, Zasiadająca na Tronie Amyrlin”, ruszyła wielkimi krokami wśród koszy z płonącymi węglami i lamp stojących pod ścianami namiotu. Lampy dawały dobre światło, kosze zaś z płonącymi węglami wydzielały dziś zapach lawendy, równocześnie ogrzewając całą przestrzeń Komnaty. Nikt nie miał ochoty zmuszać się do ignorowania zimna, skoro mógł odczuwać rzeczywiste ciepło.

Namiot Komnaty urządzono zgodnie ze starożytnymi regułami, które tylko nieznacznie zmodyfikowano, ażeby uwzględnić fakt, iż posiedzenie nie odbywa się w wielkiej półokrągłej izbie zwanej Komnatą Wieży ani nigdzie w Białej Wieży. W najdalszym od wejścia końcu tutejszej siedziby na pudełkowym podwyższeniu stała prosta, lecz wypolerowana do połysku ława, przykryta pasiastym materiałem w siedmiu kolorach Ajah. Jedynie tam i na stule otaczającej szyję Egwene reprezentowane były w tej chwili Czerwone Ajah. Niektóre Błękitne chciały usunąć ten kolor, odkąd pochodząca z Czerwonych Elaida bezprawnie zasiadła na Tronie Amyrlin i poleciła utkać stułę bez niebieskiego pasa, Egwene jednakże zaparła się i na to nie pozwoliła. Miała być przedstawicielką

wszystkich Ajah i żadnej, toteż na jej stole musiało pozostać siedem kolorów siedmiu Ajah. Teraz Amyrlin przeszła po jaskrawych dywanach pokrywających podłogę namiotu, między dwoma rzędami ławek, ustawionych ukośnie w grupach po trzy, na kwadratach pomalowanych również w kolorach Ajah. Tym razem jednak sześciu Ajah. Zgodnie z tradycją, dwie najstarsze Zasiadające mogły żądać dla swoich Ajah miejsc najbliższej Zasiadającej na Tronie Amyrlin, toteż te miejsca tutaj zajmowały Żółte i Błękitne. Resztę miejsc wskazywały członkiniom danej Ajah ich Zasiadające w momencie przybycia, a zatem układ zależał od kolejności ich nadejścia.

Przybyło dopiero dziewięć Zasiadających, co według obowiązujących zasad stanowiło liczbę zbyt małą dla rozpoczęcia zebrania Komnaty, jednak gdy Egwene przyjrzała się siedzącym, bezzwłocznie uderzyła ją pewna dziwna rzecz. Nie, nie zaskoczył jej widok Romandy już zajmującej ławkę. Następna ławka była pusta, dalej siedziała Salita. Lelaine i Moria zajmowały miejsca dla Błękitnych. Romanda, kobieta ze zwartym kokiem na karku, była najstarszą Zasiadającą i prawie na wszystkie posiedzenia przychodziła jako pierwsza. Następna pod względem starszeństwa, Lelaine, mimo ciemnych, połyskujących włosów, wyraźnie nie zamierzała dać się wyprzedzić Romandzie nawet w takich drobiazgach. A przecież mężczyźni, którzy przestawiali pudła pod ściany, prawdopodobnie dopiero co wyszli przez tylne wyjście. Egwene zauważyła tylko jedną Szarą Zasiadającą – Kwamesę i tylko jedną Białą – nadchodzącą dopiero Beranę. Ale jedyna Zielona, Malind, Kandoryjka o okrągłej twarzy i dużych, przywodzących na myśl orle, oczach weszła oczywiście przed nimi, a jednak – co osobliwe – wybrała dla przedstawicielek swojej Ajah miejsca blisko wejścia do namiotu! Zazwyczaj wszak preferowano siedziska jak najbliższej Zasiadającej na Tronie Amyrlin! Z kolei bezpośrednio naprzeciwko niej przed pokrytymi brązowym materiałem pudłami stała Escaralde pogrążona w cichej kłótni z Takimą. Niemal tak niska jak Nisao, Takima była spokojną kobietą o nieco ptasim wyglądzie, choć – gdy chciała – potrafiła wykazać się siłą, teraz zaś, z rękoma na biodrach, przypominała rozżłoszczonego wróbelka, który dzięki nastroszonym piórkom wydaje się większy. Przy okazji rzucała ostre spojrzenia Beranie, jawnie zdenerwowana zebraniem lub miejscami zajmowanymi przez poszczególne grupy. Było już oczywiście zbyt późno na zmianę układu, tym niemniej Escaralde patrzyła na Takimę wzrokiem osoby, która zamierza walczyć o stan rzeczy osiągnięty dzięki dokonaniom przez siebie wyborom. Egwene zadziwiła ta myśl na temat Escaralde. I jej pewność siebie. Escaralde była bowiem kilka cali niższa nawet od Nisao i chyba chciała pokonać Takimę samą siłą swej woli. Z drugiej strony Escaralde nigdy się nie wycofywała, gdy uważała, że ma rację. A zazwyczaj tak uważała... Jeśli Moria rzeczywiście chciała dokonać natychmiastowego szturmu na Tar Valon, a Malind naprawdę zamierzała się wycofać... czego pragnęła Escaralde?

Chociaż Siuan wielokrotnie sugerowała, że Zasiadające wolą być ostrzegane o obecności Amyrlin, Egwene nie zauważyła, by jej wejście do Komnaty wywołało wśród nich jakiegokolwiek poruszenie. Niezależnie od powodów, dla których Malind i inne zawołały posiedzenie, na którym Aes Sedai miały wysłuchać sprawozdania Akarrin, najwyraźniej nie uznawały sprawy za kwestię drażliwą ani taką, którą mogą omawiać tylko same Zasiadające. Tak czy owak, za ławkami Zasiadających stało po cztery czy pięć sióstr reprezentujących Ajah danej Zasiadającej. Wszystkie kłaniały się Amyrlin, gdy przechodziła po pokrytej dywanami podłodze ku wyznaczonemu jej miejscu. Zasiadające natomiast ledwie na nią popatrywały lub krótko pochylały głowy. Lelaine przyjrzała jej się chłodno, lekko zmarszczyła brwi, po czym przeniosła wzrok na Morię, która wyglądała zupełnie przeciętnie w prostej sukni z niebieskiej wełny. Tak przeciętnie, w gruncie rzeczy, że na pierwszy rzut oka można by przeoczyć jej wiecznie młodą twarz. Kobieta siedziała nieruchomo, patrząc prosto przed siebie, całkowicie zatopiona we własnych myślach. Romanda

należała do tych Zasiadających, które leciutko skłoniły głowy na widok Egwene. Amyrlin zachowywała wewnątrz Komnaty swoje stanowisko, ale wydawała się tutaj osobą znacznie mniej ważną niż wszędzie poza tym pomieszczeniem. Jednym słowem – we wnętrzu Komnaty Zasiadające czuły swoją władzę. W pewnym sensie ich władczyni była tutaj jedynie pierwszą pośród równych sobie istot. No cóż, może jej znaczenie było nieco większe, lecz niewiele. Suan opowiadała jej o tych Amyrlin, które poniosły klęskę, ponieważ uważały się całkowicie równe Zasiadającym i o tych, które miały kłopoty właśnie z niejasnego przekonania, że różnica między nimi była większa niż w rzeczywistości. Stosunki Amyrlin z Zasiadającymi przypominały bieg po szczycie wąskiej skały urwiska, podczas gdy ze wszystkich stron otaczają cię wściekle zdziczałe mastify. Trzeba równocześnie utrzymywać ostrożną równowagę i patrzeć bardziej na swoje stopy niż na psy; tym niemniej nigdy nie przestajesz czuć towarzystwa rozżłoszczonych zwierząt.

Kiedy Egwene podeszła do pasiastego pudła, rozpięła płaszcz, zdjęła go i przerzuciła przez ławkę, w której usiadła. Ławki były twarde, toteż niektóre Zasiadające, spodziewając się długiego zebrania, przynosiły z sobą poduszki. Amyrlin nigdy wszakże tego nie robiła, wołała bowiem zachować dumę. Niestety, posiedzenia rzeczywiście często się przeciągały, gdyż niewiele zakazów mogło odwieść tę czy tamtą siostrę od wygłoszenia szczegółowego komentarza w danej sprawie. Jednakże twarda ławka pomagała zachowywać skupienie i bystry umysł, dzięki czemu Egwene nie umykały żadne wypowiedzi. A przecież powinna usłyszeć wszystkie, nawet najgorsze przemowy. Sheriam zajęła należne Opiekunce miejsce stojące po lewej stronie Amyrlin. Teraz mogły już tylko czekać. Wbrew swoim wcześniejszym przemyśleniom Egwene szybko doszła do wniosku, że może jednak należało wziąć z sobą poduszkę.

Inne ławki zaczynały się zapełniać, chociaż powoli. Do Berany dołączyły Aledrin i Saroiya. Pulchność Aledrin podkreślała szczupłą budowę jej towarzyszki. Zresztą Saroiyę wyszczuplały również dekoracyjne pionowe, białe pasy na spódnicy, Aledrin natomiast wydawała się grubsza dzięki szerokim, białym rękawom i śnieżnobiałej wstawce na przedzie jej sukni. Obie wyraźnie próbowały się dowiedzieć, czy inne Aes Sedai znają przyczyny zwołania zebrania, toteż rzuciły szybkie spojrzenia Błękitnym, Brązowym i Zielonym, po czym zerknęły na siebie i potrząsały głowami. Miejsce obok Kwamesy zajęła właśnie Varilin, rudowłosa kobieta, wyższa niż większość mężczyzn, a z figury i postawy przypominająca bociana. Niespokojnie wygładzając i poprawiając szal, przenosiła wzrok od Morii poprzez Escaralde do Malind i z powrotem. Egwene przyjrzała się wejściu. Do namiotu wkraczały akurat Magła, zaciskająca na obszernych ramionach mocno naciągnięty szal zakończony żółtymi frędzlami, oraz Faiselle – spowita w gęsto pokryte haftem jedwabie Domanka o kwadratowej twarzy. Obie jawnie się ignorowały, mimo iż ich szerokie spódnice niemal się o siebie ocierały. Magła z przekonaniem tkwiła w obozie Romandy, a Faiselle pozostawała zwolenniczką Lelaine, przedstawicielki tych dwóch grup zaś nigdy się nie przenikały. Na posiedzenie docierały także grupkami inne siostry, łącznie z Nisao i Myrelle, które w otoczeniu mniej więcej pół tuzina Aes Sedai szły za Magłą i Faiselle. Morvrin znajdowała się już wśród stojących za Takimą Brązowych, a Escaralde i Beonin stały przy Szarych, za Varilin i Kwamesą. W tym tempie wkrótce na namiotu trafi połowa tutejszych sióstr.

Magła nadal szła po dywanach, zmierzając do miejsc zajmowanych przez Żółte. Tymczasem Romanda zerwała się na równe nogi.

– Jest nas już ponad jednaście, możemy zatem zaczynać. – Głos miała zaskakująco wysoki. Można by myśleć, że potrafi pięknie śpiewać, choć trudno było sobie ją wyobrazić śpiewającą. Jej rysy zawsze wydawały się nachmurzone, a przynajmniej wyrażały nieznaczną dezaprobatę. – Moim zdaniem nie potrzebujemy ogłaszać oficjalnego rozpoczęcia posiedzenia – dodała na widok

wstającej Kwamesy. – W ogóle nie rozumiem, po co je zwołałyśmy, jeśli jednak już do niego doszło, przeprowadźmy je szybko i prędko zakończmy. Niektóre z nas mają ważniejsze zajęcia niż siedzenie i gadanie. Jestem pewna, że ty także, Matko.

Ostatniemu zdaniu towarzyszyło głębokie skłonienie głowy, z nieco może zbyt przesadnym szacunkiem, a zatem oczywiście ocierające się lekko o sarkazm. Romanda była zbyt inteligentna, ażeby się narażać na niebezpieczeństwo; wszak nierozgarnięte Aes Sedai rzadko osiągały krzesło Zasiadającej, a jeśli nawet – nie utrzymywały go zbyt długo, Romanda zaś pełniła swój urząd od prawie osiemdziesięciu lat. A była Zasiadającą już po raz drugi. Egwene kiwnęła jej nieznacznie głową, jej spojrzenie pozostało jednak chłodne. Po prostu potwierdziła fakt, że Romanda zwróciła się wprost do niej i dała tamtej do zrozumienia, że pojmuje jej ton. Tak, zachowywała bardzo ostrożną równowagę.

Kwamesa bezwiednie otworzyła usta i rozglądała się, niepewna, czy powinna wypowiedzieć typowe dla formalnego rozpoczęcia zebrania frazy, które zawsze wygłaszała najmłodsza obecna Zasiadająca. Miejsce Romandy dawało jej znaczny wpływ i swego rodzaju władzę, którą wszakże inne łatwo mogły unieważnić. Stąd się brało oczekiwanie Kwamesy. Kilka Zasiadających przybrało marsowe miny lub niespokojnie przesunęło się w ławkach, żadna się jednak nie odezwała.

Do namiotu wsunęła się Lyrelle i posuwistym krokiem dotarła do ławek zajmowanych przez Błękitne. Wysoka jak na Cairhieniankę, dzięki czemu w każdym kobiecym towarzystwie była co najmniej przeciętnego wzrostu, prezentowała się elegancko w jedwabnej sukni z niebieskimi wstawkami oraz czerwonymi i złotymi haftami na piersiach. Kiedy się poruszała, jej ruchy były osobliwie płynne. Niektóre siostry twierdziły, że Lyrelle, zanim przybyła do Wieży jako nowicjuszka, była tancerką. Dla porównania, Samalin, Zielona o lisiej twarzy, która weszła tuż za Błękitną, wydała się iść wielkimi, męskimi krokami, choć nie było to nietypowe zachowanie w przypadku Murandianki. Obie siostry zaskoczył widok stojącej Kwamesy, toteż natychmiast każda popędziła do swojej ławki. W tym momencie Varilin zaczęła Kwamesę ciągnąć za rękaw, aż Arafeliana w końcu usiadła. Twarz Kwamesy stanowiła teraz maskę zimnego spokoju, spod której wszakże zdawało się promieniować niezadowolenie. Ta siostra przykładała wielką wagę do ceremonialności.

– Może istnieje powód dla formalnego posiedzenia. – Po wypowiedzi Romandy głos Lelaine zabrzmiał szczególnie nisko. Aes Sedai poprawiła powoli szal, jakby miała do swojej dyspozycji cały czas tego świata, po czym uniosła się wdzięcznie, bardzo się starając nie spoglądać ku Egwene. Była piękną kobietą, a jednocześnie stanowiła niemal ucieleśnienie godności. – Słyszałam, że udzielono zgody na rozmowy z Elaidą – oświadczyła zimnym tonem. – Rozumiem, że zgodnie z Prawem Wojny nie trzeba się było z nami w tej kwestii konsultować, sądzę jednak, że powinnyśmy przedyskutować tę kwestię na zebraniu, zwłaszcza że, jeśli Elaida zachowa władzę, wiele z nas stanie wobec niebezpieczeństwa ujarzmienia.

To słowo – „ujarzmienie” – obecnie już nie powodowało takiego dreszczu, z jakim kojarzyło się w czasach przed Siuan (a Leane wszak nawet Uzdrowiono z ujarzmienia), tym niemniej wśród stłoczonych za ławkami obserwujących ją Aes Sedai podniosły się pomruki. Najwyraźniej wiadomość o negocjacjach nie rozprzestrzeniła się tak szybko, jak Egwene oczekiwała. Amyrlin nie potrafiła powiedzieć, czy siostry są podekscytowane, czy też skonsternowane, z pewnością jednak wyglądały na zaskoczone. Łącznie z niektórymi Zasiadającymi. Janya, który weszła podczas przemowy Lelaine, gwałtownie się teraz zatrzymała, toteż siostry z idącej za nią grupki o mało na nią nie powpadały. Lelaine zagapiła się najpierw na Błękitną, potem – dłużej i mocniej – na samą Egwene. Romanda najwidoczniej również o niczym nie słyszała, zacisnęła bowiem teraz szczęki,

zbyt młode Zasiadające zareagowały zaś rozmaitymi zdziwionymi minami, które sięgały od lodowatego spokoju Berany przez zdumienie Samalin po otwarte przerażenie Sality. W tejże chwili Sheriam na sekundę zakołysała się na nogach. Amyrlin miała nadzieję, że Opiekunka nie zemdleje na oczach całej Komnaty.

Bardziej interesujące wszakże były reakcje tych, które zdaniem Delany rozmawiały uprzednio o negocjacjach. Varilin siedziała kompletnie nieruchomo i – wpatrzona we własne spódnice – jawnie walczyła z uśmieszkiem, Magla natomiast z wahaniem oblizywała wargi i co rusz zerkała spod oka na Romandę. Saroiya zastygła z zamkniętymi oczyma, tylko jej usta się poruszały, może w jakiejś modlitwie. Faiselle i Takima przypatrywały się Amyrlin. Obie lekko i prawie identycznie marszczyły czoła, lecz wtem każda dostrzegła minę drugiej i wzdrygnęły się, następnie zaś szybko przybrały tak królewskie postawy, że zdawały się kpić z siebie nawzajem. Egwene uznała zachowanie tych wszystkich kobiet za bardzo dziwne. Pewnie do tej pory Beonin poinformowała je, co powiedziała Amyrlin, a jednak wszystkie z wyjątkiem Varilin były z pewnością zdenerwowane. Chyba nie sądziły, że naprawdę będą mogły pertraktować. Każda kobieta zasiadająca w tym namiocie samą swoją obecnością ryzykowała ujarzmienie lub gorszą karę. Jeśli kiedyś istniała inna droga odwrotu poza detronizacją Elaidy, zniknęła już wiele miesięcy temu, właśnie wówczas, gdy powołano do istnienia tę Komnatę. Od tej pory powrotu do dawnej sytuacji już nie było.

Lelaine jawnie usatysfakcjonowała reakcja na jej słowa – w gruncie rzeczy kobieta wyglądała na zadowoloną niczym kot w mleczarni – jednakże jeszcze zanim zdążyła usiąść w ławce, ze swego miejsca zerwała się Moria. Przyciągnęła wszystkie spojrzenia i wywołała kolejne pomruki wśród sióstr. Nikt nie uważał Morii za istotę szczególnie czarującą czy pełną wdzięku, Illianka wszakże nie należała do kobiet, które tak gwałtownie podskakują.

– Ta kwestia bez wątpienia wymaga dyskusji – oświadczyła – musimy ją jednak odłożyć na później. To posiedzenie Komnaty zwołały trzy Zasiadające, które pragną otrzymać odpowiedź na to samo pytanie. I problem ten musi zostać omówiony jako najważniejszy. Co znalazły Akarrin i jej grupa? Proszę, aby natychmiast stanęły przed Komnatą i zdały nam raport.

Lelaine rzuciła swojej Błękitnej towarzysze gniewne spojrzenie ostrych niczym szydła oczu, prawo Wieży wszakże wypowiadało się w tym temacie całkowicie jednoznacznie, o czym zresztą doskonale wiedziały wszystkie Aes Sedai. A prawo Wieży często bywało zupełnie wystarczające. W chwilę później więc Sheriam poleciała niepewnym głosem najmłodszej po Kwamesie Aledrin pójście po Akarrin i wraz z towarzyszkami sprowadzenie jej przed Komnatę. Egwene postanowiła, że od razu po zakończeniu posiedzenia Komnaty będzie musiała porozmawiać z tą ognistowłosą kobietą. Jeżeli bowiem Sheriam nie zmieni swojego postępowania, wkrótce stanie się bardziej niż bezużyteczna jako Opiekunka.

Delana wpadła właśnie do namiotu otoczona wianuszkami sióstr. Teraz wszystkie Zasiadające znajdowały się więc już w środku. Delana pospiesznie dopadła swojej ławki, a szal, który miała na ramionach, osunął się aż na łokcie. W tym czasie pulchna Zasiadająca w imię Białych poszła po sześć sióstr, które przyprowadziła przed oblicze Egwene. Prawdopodobnie wszystkie zostawiły swoje okrycia w alejce przed siedzibą Komnaty, ponieważ żadna z nich nie nosiła płaszcza. Delana popatrywała na nie z niepewną, lecz marsową miną. Wyglądała na zdyszana, jakby tu biegła, zamierzając zdążyć na zebranie.

Aledrin najwidoczniej uznała dzisiejsze posiedzenie za spotkanie absolutnie oficjalne, w każdym razie zachowywała się jak najbardziej formalnie.

– Zostałyście wezwane przed Komnatę Wieży, ażeby opowiedzieć o tym, co widziałyście – oznajmiła z mocnym taraboniańskim akcentem. Miała ciemnozłote włosy i brązowe oczy – połączenie

dość typowe dla mieszkańców Tarabonu – tym niemniej skrywała swe długie do ramion włosy w koronkowej białej siatce, zamiast splatać je w zdobione paciorkami warkocze. – Przypominam, że musicie zrelacjonować nam całą historię bez zatrzymywania dla siebie jakichkolwiek szczegółów, a następnie odpowiedzieć na zadane wam pytania bez uchylenia się od odpowiedzi, w pełni i zgodnie z prawdą, niczego nie opuszczając. Przysięgnijcie na Światłość i na waszą nadzieję powtórnego odrodzenia i zbawienia, a następnie potwierdźcie, że znacie i przyjmujecie grożące wam w przeciwnym razie konsekwencje.

Starożytne siostry, które wypowiadały tę część rytualnej przysięgi, były również zawsze świadome, jak duże pole manewru dają Trzy Przysięgi. Tu pominięcie drobnego szczegółu, tam nutka niejasności i cała opowieść zyskiwała zupełnie odwrotny do rzeczywistego wydźwięk, mimo iż została opowiedziana zgodnie z prawdą.

Akarrin wygłosiła przysięgę głośno i nieco niecierpliwie, pozostałe pięć kobiet zaś z różnym stopniem oficjalności i nieśmiałości. Wiele sióstr całe swoje życie przeżywało bez wezwania do złożenia sprawozdania przed Komnatą. Aledrin poczekała, aż ostatnia z przybyłych wypowie przysięgę, po czym pomaszerowała z powrotem do swojej ławki.

– Powiedz nam, Akarrin, co widziałyście – poleciła Moria, gdy tylko Biała Zasiadająca odwróciła się, aby odejść. Aledrin wyraźnie zeszywniała, a kiedy zajęła swoje miejsce, jej twarz była wprawdzie zupełnie pozbawiona wyrazu, lecz na policzkach widać było jaśniejsze rumieńce. Moria powinna wszak była na nią poczekać. Skoro nie poczekała, najprawdopodobniej była ogromnie zaniepokojona.

Zgodnie z tradycją... A światem Aes Sedai rządziło znacznie więcej tradycji i zwyczajów niż rzeczywistych zasad, przy czym Światłość jedna wie, że nikt nie znał nawet wszystkich licznych prawideł, zwłaszcza że nowe warstwy jednego prawa (często sprzeczne z poprzednimi) nakładały się przez stulecia na stare. Tym niemniej tradycja i zwyczaje rządziły światem Aes Sedai równie solidnie jak prawo Wieży, a może nawet bardziej...

Tak czy owak, zgodnie z tradycją Akarrin swoją odpowiedź skierowała do Zasiadającej na Tronie Amyrlin.

– To, co widziałyśmy, Matko, z grubsza wyglądało jak okrągła dziura w ziemi – odparła, niemal przy każdym słowie kiwając głową dla jego podkreślenia. Słowa dobierała jawnie ze sporą dozą ostrożności, starając się najwyraźniej zostać przez wszystkie słuchające jak najlepiej zrozumiana. – Pierwotnie mogła być ona idealnym okręgiem, jednakże w niektórych miejscach ścianki się osunęły. Otwór ma w przybliżeniu trzy mile średnicy i jakieś półtorej mili głębokości. – Któraś z sióstr głośno nabrała powietrza i Akarrin zmarszczyła brwi, jakby w obawie, że ktoś próbuje jej przerwać. W końcu podjęła opowieść: – Nie miałyśmy całkowitej pewności w kwestii głębokości tego otworu, gdyż jego dno jest przykryte wodą i lodem. Wierzymy, że ostatecznie może się przekształcić w jezioro. W każdym razie bez większych problemów mogłyśmy ustalić dokładną lokalizację tego miejsca, toteż nie mamy żadnych wątpliwości, że znajduje się ono na terenie, na którym stało kiedyś miasto Shadar Logoth.

Umilkła i przez długą chwilę słychać było jedynie szelest spódnic wiercących się niespokojnie w swoich ławkach Aes Sedai.

Egwene również miała ochotę poruszyć się na swoim siedzeniu. O Światłości, siostra mówiła o otworze, który potrafiłby pomieścić połowę Tar Valon!

– Masz jakiś pomysł co do... sposobu utworzenia tej... dziury, Akarrin? – spytała w końcu.

Poczuła dumę, że potrafi zachować mocny, równy głos. Przecież głos Sheriam straszliwie drżał! Amyrlin miała nadzieję, że nikt inny nie zauważył dziwnego zachowania stojącej obok niej

Opiekunki. Nieodpowiednie uczynki Opiekunki Kronik zawsze wszak stawiały każdą Amyrlin w złym świetle. Jeżeli Sheriam pokazywała po sobie strach, sporo siostr może pomyśleć, że także Egwene się czegoś boi. A ona wolałaby, ażeby żadna niczego takiego nawet nie podejrzewała.

– Każdą z nas wybrano do tego typu zadań, ponieważ posiadamy zdolność interpretowania takich znalezisk, Matko. Tak czy inaczej, taka interpretacja przychodzi nam łatwiej niż większości ludzi. – A zatem nie wybrano ich tylko dlatego, że żadna z silniejszych siostr nie była zainteresowana! Amyrlin postanowiła sobie ten fakt zapamiętać. Działania Aes Sedai naprawdę rzadko były tak proste, jak się wydawały na pierwszy rzut oka. Egwene już wcześniej odkryła ten fakt, a jednak stale o tej zasadzie zapominała. – Nisain jest z nas najlepsza w sprawie tego rodzaju pozostałości – dorzuciła Akarrin. – Za twoim pozwoleniem, Matko, poproszę ją o odpowiedź na twoje pytanie.

Nisain nerwowo wygładziła spódnicę z ciemnej wełny i odchrząknęła. Ta wysoka i chuda Szara o mocno zarysowanym podbródku i niepokojąco niebieskich oczach cieszyła się pewną renomą specjalistki w sprawach prawa i traktatów, czuła się wszakże wyraźnie nieswojo, przemawiając przed Komnatą. Spojrzała teraz wprost na Amyrlin jak ktoś, kto wybiera sobie na rozmówcę jedną osobę, nie chce bowiem pamiętać, że przemawia do wszystkich zebranych w sali Zasiadających.

– Biorąc pod uwagę użytą tam ilość *saidara*, Matko, nic dziwnego, że pozostałości znalazłyśmy w pobliżu tak grubej pokrywy śnieżnej. – Jej akcent był melodyjny i mocno murandiański. – Wiem, że może powinnam mieć jakieś pomysły w związku z tą sprawą, niestety jest mi ona zupełnie obca, więc niewiele mogę o niej powiedzieć. Udało mi się jedynie ustalić splot, lecz nie ma on w ogóle sensu. W ogóle! Naprawdę wydał mi się kompletnie nieznajomy, toteż nie mógł zostać utkany... – Znowu odchrząknęła, po czym przełknęła ślinę. Jej twarz stała się nieco bledsza. – ...Nie mógł zostać utkany przez kobietę. Sądziłyśmy zatem, że utkali go Przekłęci, toteż sprawdziłam rezonans. Wszystkie go sprawdziłyśmy. – Obróciła się nieco i wskazała na swoje towarzyszki, po czym pospiesznie wróciła wzrokiem do Egwene. Zdecydowanie wolała patrzeć na nią niż na pochylone ku niej i przypatrujące jej się bacznie Zasiadające. – Nie potrafię wyjaśnić, co się tam działo, wiem jedynie, że ktoś uszkodził powierzchnię na obszarze trzech mil. Nie wiem, jak tego dokonano, na pewno jednak użyto także *saidina*. Rezonans był tak silny, że każda z nas mogła go wyczuć. Właściwie użyto więcej *saidina* niż *saidara*, o wiele, wiele więcej. Jakby postawić Smoczą Górę przy byle wzgórzu. To absolutnie wszystko, co mogę powiedzieć z całym przekonaniem, Matko.

Przez namiot przebiegł cichy dźwięk, gdy większość siostr wypuściła wstrzymywany dotąd oddech. Najgłośniejszą sapnęła chyba Sheriam, lecz może tak się tylko wydało Egwene, gdyż Opiekunka znajdowała się najbliżej niej.

Amyrlin z trudem zachowała spokój. Przekłęci jednym splotem umieliby zniszczyć połowę Tar Valon. Jeśli Malind rzeczywiście zaproponuje ucieczkę, czy wtedy Egwene uda się próba namówienia siostr do pozostania i stawienia czoła niebezpieczeństwu? Ale czy mogłaby opuścić Tar Valon, Wieżę i Światłość jedna wie, jak wiele dziesiątek tysięcy osób?

– Czy ktoś inny ma jakieś pytania? – spytała.

– Ja mam jedno – odrzekła Romanda cierpkim tonem. Jak zwykle zachowywała absolutny spokój. – Choć nie do tych siostr. Jeżeli nikt nie ma do nich pytań, zapewne wolałyby się oddalić, a szczególnie zejść z oczu Komnacie.

Właściwie nie ona powinna coś takiego zasugerować, w sumie jednak miała do tego niejakię prawo, więc Egwene pominęła jej wypowiedź milczeniem. Okazało się, że rzeczywiście nikt nie ma pytań do Akarrin czy jej towarzyszek, więc Romanda w zaskakująco ciepły sposób podziękowała im za ich wysiłki. Chociaż i te podziękowania nie należały zasadniczo do jej zadań.

– Komu chcesz zadać swoje pytanie? – zainteresowała się Egwene, gdy Akarrin i pozostałe pięć kobiet rozeszło się z zamiarem dołączenia do stale rosnących grup Aes Sedai, które tłoczyły się pomiędzy stojącymi lampami i koszami z płonącymi węglami. Zgodnie z podejrzeniami Romandy cała szóstka chętnie zeszła Komnacie z oczu, tym niemniej pragnęły usłyszeć, co się mówi o ich misji. Amyrlin bardzo trudno było złagodzić ton. Romanda udawała, że nie słyszy jego oschłości. A może jej rzeczywiście nie zauważyła.

– Morii – odpowiedziała. – Od początku podejrzewałyśmy Przeklętych. Wiedziałyśmy, że cokolwiek się zdarzyło, czyn był potężny i odbywał się bardzo daleko stąd. Teraz dowiedziałyśmy się tak naprawdę jedynie, że wreszcie zniknęło Shadar Logoth. I powiem jedno: świat będzie lepszy bez tej sztolni Cienia! – Utkwiła w Błękitnej Zasiadającej ponure spojrzenie, pod wpływem którego wiele Aes Sedai zazwyczaj wiło się niczym nowicjuszeki. – Moje pytanie zatem brzmi: Czy coś się dla nas zmieniło?

– Powinno – odparła Moria, wytrzymując twarde spojrzenie Romandy. Może nie działała w Komnacie tak długo jak tamta, lecz Zasiadające miały w zasadzie mniej więcej równe prawa. – Od dawna jesteśmy przygotowane na wystąpienie Przeklętych przeciwko nam. Każda siostra potrafi utworzyć krąg, jeśli tylko posiada dostateczne do tego umiejętności, albo dołącza do już tworzonych, aż każdy krąg będzie się składał z trzynastki sióstr. Każdą kobietę można weń wprowadzić, nawet nowicjuszkę, nawet najnowszą z nowicjuszek.

Lelaine podniosła głowę i oszacowała Morię ostrym spojrzeniem, jednakże mimo chęci nie skarciła jej, wszak należały do tej samej Ajah, więc przynajmniej powinny udawać, że reprezentują wspólny front. Tym niemniej Lelaine zacisnęła wargi i widać było, że milczenie kosztuje ją nieco wysiłku.

Romanda z kolei nie czuła się niczym ograniczona.

– Czy musisz wyjaśniać detale, które zna każda przebywająca w tej chwili w Komnacie osoba? Przecież to my poczyniłyśmy te przygotowania. A może już o tym zapomniałaś?

Tym razem jej ton był kąśliwy. W Komnacie zabronione były otwarte manifestacje gniewu, choć nie drwina czy podjudzanie.

Jeśli Moria poczuła się urażona, nijak nie dała tego po sobie poznać. Przez moment poprawiała jedynie szal.

– Muszę wyjaśnić całą sprawę od początku, ponieważ nie doszliśmy jeszcze do konkretnych wniosków. Malind, czy nasze kręgi mogą przeciwstawić się zjawisku opisanemu przez Akarrin i Nisain?

Mimo dzikich oczu pełne usta Malind zawsze wyglądały na gotowe do uśmiechu. Jednak tym razem, gdy wstała, kobieta minę miała surową. Poważnie przyjrzała się każdej Zasiadającej po kolei, jakby pragnęła dosłownie odcisnąć na ich ciałach swoje słowa.

– Nie, nie mogą. Nawet jeśli zmienimy układ i wprowadzimy wszystkie najsilniejsze siostry w jeden krąg... co oznacza, że jeżeli mają się połączyć w danym momencie, będą musiały razem mieszkać, wspólnie jadać i sypiać... Nawet wówczas wszakże przypominałybyśmy jedynie myszy stojące wobec kota. Wystarczająca liczba myszy może prawdopodobnie obezwładnić nawet dużego głodnego kota, wcześniej jednak wiele myszy zginie. A jeśli zginie zbyt wiele Aes Sedai, wraz z nimi umrze Biała Wieża.

Znów po wnętrzu namiotu przesunęła się ta sama fala westchnień – niczym nagły podmuch wiatru.

Egwene zdołała zachować obojętne oblicze, zmusiła się jednak do rozwarcia palców, które zaciskała na fałdach spódnicy. Co zatem proponowały Aes Sedai: szturm czy ucieczkę? O Światłości,

jak miała im się przeciwstawić?

W tym samym momencie napięcia nie wytrzymała Lelaine i werbalnie zaatakowała Morię, nie dbając już dłużej o to, że siostra należy do tej samej Ajah.

– Co sugerujesz, Morio? – warknęła. – Nawet jeżeli ponownie scalimy Wieżę, nie zdołamy zmienić faktów.

Spytana uśmiechnęła się nieznacznie, jakby jej Błękitna towarzyszka wypowiedziała właśnie te słowa, których się spodziewała.

– Tyle że musimy zmienić fakty. Szczególnie fakt, że nasze obecnie najsilniejsze kręgi są zbyt słabe. Nie posiadamy żadnego *angreala*, a *sa'angreala* równie dobrze możemy zignorować. Nie jestem zresztą pewna, czy nawet w Wieży znajduje się przedmiot, który pomógłby nam w naszej sytuacji. W jaki sposób zatem wzmocnić nasze kręgi? Jak wzmocnić je na tyle, ażeby przydały nam się w walce ze zjawiskiem, które miało miejsce w Shadar Logoth, i aby pomogły nam je powstrzymać. Escaralde, co masz w tej sprawie do powiedzenia?

Zaskoczona Egwene pochyliła się do przodu. Najwyraźniej te Aes Sedai z sobą współpracowały. Jak blisko?

Nie tylko Amyrlin pojęła, że wszystkie trzy Zasiadające, które zwołały posiedzenie Komnaty, zdążyły wstać. W przypadku Morii i Malind zachowanie pozycji stojącej stanowiło wyraźną deklarację. Escaralde – niewysoka Brązowa – podniosła się dumnie niczym władczyni, a jednak natychmiast dostrzegła na sobie oczy wszystkich zgromadzonych; siostry przenosiły spojrzenia od niej, przez Malind do Morii i z powrotem. Zadumane spojrzenia, uniesione brwi, nieruchome oblicza... Zanim Escaralde się odezwała, dwukrotnie przesunęła szal na ramionach. W końcu przemówiła głosem nieco piskliwym, choć równocześnie bardzo skutecznym w tonie. Siostra ta skojarzyła się w tym momencie Egwene z osobą prowadzącą wykład.

– W starożytnych dziełach można znaleźć całkiem jasne wskazówki w tej kwestii, chociaż obawiam się, że zbyt niewiele ich przestudiowałam. Literatura ta gromadzi raczej kurz niż czytelników. Tak czy owak, pisma zebrane w najwcześniejszych latach istnienia Wieży twierdzą, że kręgów nie trzeba ograniczać do trzynastu osób. Nie przestrzegano tej zasady na przykład w Wieku Legend. Dokładny mechanizm... choć chyba powinnam użyć określenia „dokładna równowaga”... nie jest znany, sądzę wszakże, iż bez szczególnego trudu rozpracujemy ten... problem. Tym z was, które nie spędziły koniecznego czasu w bibliotece Wieży, powiem jedynie, że sposób powiększania wielkości kręgu pociąga za sobą... – Po raz pierwszy się zawahała i jawnie musiała się zmusić do dokończenia zdania: – ...Pociąga za sobą włączenie mężczyzn z umiejętnością przenoszenia Mocy.

Faiselle zerwała się na równe nogi.

– Co sugerujesz? – zawołała, po czym od razu usiadła, może w obawie, że stojąc, zostanie uznana za osobę popierającą tamte trzy.

– Proszę o opróżnienie Komnaty! – krzyknęła Magła, podnosząc się ze swego miejsca. Tak jak Moria pochodziła z Illian, a podniecenie znacznie pogłębiło jej akcent. – Taką sprawę można przedyskutować wyłącznie na zamkniętym posiedzeniu Komnaty.

Po tych słowach także osunęła się na swoją ławkę. Siedziała nieruchomo, popatrując na siostry wilkiem. Szerokie ramiona zgarbiła, pięści zaś to rozwierała, to zaciskała na spódnicach.

– Boję się, że jest już na to za późno – oświadczyła głośno Moria. Musiała mówić naprawdę głośno, jeśli chciała przekrzyczeć mamrotanie sióstr, które z ożywieniem gawędziły za ławkami. W Komnacie brzęczało jak w ogromnym ulu, a Moria pragnęła, żeby wszystkie Aes Sedai ją usłyszały. – Słowa padły i nie da się ich cofnąć. Wypowiedź Escaralde usłyszało zbyt wiele sióstr, a reszta za moment pozna od tamtych wszelkie szczegóły. – Gdy przerwała dla zaczerpnięcia potężnego

oddechu, jej pierś zafalowała. Po chwili podjęła, jeszcze trochę głośniejszą: – Stawiam przed Komnatą następującą propozycję. Wejdziemy z Czarną Wieżą w porozumienie, dzięki któremu w razie potrzeby będziemy mogły wprowadzić w nasze kręgi mężczyzn.

Nie byłoby dziwne, gdyby na końcu tej frazy zawiódł ją głos. Niewiele Aes Sedai potrafiło wypowiedzieć nazwę „Czarna Wieża” bez emocji, wstrętu czy nawet straszliwej nienawiści. W każdym razie pomruki i westchnienia ucichły i teraz w Komnacie panowała niemal zupełna cisza. Biły tylko serca zgromadzonych tu kobiet.

– To szaleństwo! – Wrzask Sheriam przerwał wreszcie milczenie.

Opiekunka nie miała prawa brać udziału w dyskusji Komnaty. Bez Amyrlin w ogóle nie mogłaby wejść na zebranie. Jej twarz zalała się szkarłatem. Sheriam wyprostowała się; może czekała na nieuniknione skarcenie, może chciała się bronić. Jednak członkinie Komnaty miały na głowie inne rzeczy niż strofowanie Opiekunki.

Zasiadające zaczęły się podrywać z ławek, wyrzucać z siebie potoki słów, przemawiać, dyskutować, krzyczeć. Niektóre nawet popychały swoje towarzyszki.

– Szaleństwo to beznadziejne niedopowiedzenie na określenie tej propozycji! – wrzasnęła Faiselle.

Zawtórował jej krzyk Varilin:

– W jaki sposób możemy się połączyć z mężczyznami, którzy umieją przenosić Moc?! – spytała.

– Ci tak zwani Asha’mani są przecież skażeni! – zawołała Saroiya bez śladu słynnej rezerwy typowej dla Białych Ajah. Ręce zacisnęła na szalu i drżała tak mocno, że kołysały się wszystkie jego śnieżnobiałe frędzle. – Skażeni przez dotknięcie Czarnego!

– Sama sugestia jest sprzeczna z zasadami Białej Wieży – zaperzyła się Takima. – Pogardałyby nami wszystkie kobiety, które nazywają siebie Aes Sedai i nie przestałyby nami pogardzać aż do swojej śmierci!

Magla nawet nie próbowała maskować wściekłości. Egwene podejrzewała, że Żółta za chwilę zacznie potrząsać pięścią.

– Tylko Sprzymierzeniec Ciemności mógłby podsunąć taki pomysł! Tylko Sprzymierzeniec Ciemności!

Moria zbladła pod wpływem oskarżenia, potem zarumieniła się z gniewu.

Egwene nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Czarna Wieża była tworem Randa al’Thora. Musiał ją zapewne powołać do życia, jeśli miał nadzieję na zwycięstwo w Ostatniej Bitwie, niemniej jednak Asha’mani rzeczywiście byli umięczeni przenosić Moc mężczyznami, czyli osobnikami, których obawiano się przez trzy tysiące lat. I naprawdę przynosili skażony przez Cień *saidin*. Rand również potrafił przenosić Moc, lecz bez niego Cień zwyciężyłby w Tarmon Gai’don. Niech Światłość jej dopomoże w zyskaniu chłodnego poglądu na całą sprawę...

Prawda niestety była brutalna. Niezależnie od decyzji Amyrlin, cała sprawa i tak wymknie jej się spod kontroli.

Rozejrzała się bacznie wokół siebie.

Escaralde i Faiselle obrzucały się obelgami; obie wrzeszczały z całych sił. Tak, tak, otwarcie ciskały w siebie obelgami! I to w Komnacie! Saroiya zupełnie przestała nad sobą panować, całkowicie porzucając słynny chłód Białych Ajah i krzyczała teraz na Malind, która odpowiadała jej pięknym za nadobne, nawet nie czekając, aż tamta skończy. Chyba tylko cudem jedna mogłaby zrozumieć drugą... Byłby to cud i może także błogosławieństwo. Egwene zaskoczył fakt, że ani Romanda, ani Lelaine od samego początku nie otworzyły ust. Siedziały i gapiły się na siebie bez emocji. Prawdopodobnie każda wyczekiwała na jakąś reakcję swej oponentki, zamierzając

natychmiast okazać sprzeciw. Magla wstała z ławki i ruszyła ku Morii z uniesionymi i gotowymi do ciosów pięściami. Nie szykowała dla tamtej słów, lecz pięści. Moria trzymała swoje ręce zaciśnięte na bokach. Nie zauważyła, że haftowany w pnącza winorośli szal zsunął jej się z ramion i spadł na pokrytą dywanami podłogę.

Wstając, Amyrlin objęła Źródło. Przenoszenie Mocy w Komnacie było zakazane – oprócz pewnych dokładnie opisanych okoliczności. Był to kolejny ze zwyczajów, które odnosiły się do bardziej ponurych i tajemniczych dni w historii Komnaty. Tym niemniej Egwene utkała prosty splot Powietrza i Ognia.

– Przedstawiono Komnacie propozycję – oświadczyła stanowczo i wypuściła *saidar*.

Decyzja nie była tak trudna jak kiedyś. A i samo utworzenie splotu – choć oczywiście niełatwe, nawet w przybliżeniu niełatwe – przyszło jej szybciej niż dawniej. Wspomnienie słodyczy Mocy pozostało teraz w Amyrlin i było na tyle mocne, że mogło ją podtrzymać na duchu do następnego przenoszenia.

Wzmocnione splotem słowa Egwene zahuczały w namiocie niczym grzmot. Aes Sedai wzdrygnęły się, skrzywiły i zakryły uszy. Cisza, która nastąpiła, wydawała im się niewiarygodnie głośna.

Magla otworzyła usta w zdziwieniu, potem – pojawiwszy, co się dzieje – zadrżała i zastygła w połowie drogi do ławek Błękitnych sióstr. Wreszcie rozluźniła pospiesznie pięści, schyliła się niespokojnie, podniosła z ziemi szal i szybko wróciła na swoje miejsce. Sheriam stała bez ruchu i otwarcie płakała. Na szczęście cicho.

– Przedstawiono Komnacie propozycję – powtórzyła Amyrlin, przerywając milczenie. Po zwiększonym Mocą huku własny głos wręcz zadźwięczał jej w uszach. Może zresztą odezwała się głośniej, niż zamierzała. Ten splot nie był przeznaczony do użytku w pomieszczeniu, nawet w płóciennym namiocie o połatanych ścianach. – Jakie masz argumenty na poparcie swej propozycji przymierza z Czarną Wieżą, Morio?

Po tym pytaniu natychmiast usiadła. Jak miała się zachować? Jakie czekają ją trudności? Czy znajdzie jakieś korzyści w tej sprawie? Niech Światłość jej dopomoże, naprawdę! Owładnęły ją wątpliwości i pytania. Żałowała, że Sheriam nie potrafi zapanować nad szlochem, wyprostować się i stanąć na wysokości zadania. Egwene była Zasiadającą na Tronie Amyrlin i potrzebowała prawdziwej Opiekunki, nie zaś miękkiej, zabezpieczanej baby o słabych nerwach.

Minęło dobrych kilka minut, zanim sytuacja wróciła do normy. Zasiadające niepotrzebnie wyglądały ubrania, obciągały spódnice, unikając przy tym oczu swych towarzyszek i specjalnie nie patrząc na obserwujące je siostry stłoczone za ławkami. Policzki niektórych Aes Sedai płonęły i to bynajmniej nie z gniewu. Zasiadające nie powinny wrzeszczeć na niebie niczym robotnicy rolni podczas strzyżenia owiec. Zwłaszcza nie w obliczu zwykłych sióstr.

– Stoimy wobec dwóch pozornie niemożliwych do przewyciężenia trudności – odezwała się w końcu Moria. Jej głos był znów opanowany i zimny, choć twarz kobiety jeszcze błyszczała od rumieńców. – Przekłęci odkryli broń... odkryli czy też odnaleźli, w każdym razie gdyby ją mieli wcześniej, zapewne już przedtem by jej użyli... Tak czy owak, tej broni nie potrafimy się przeciwstawić. Nie mamy niczego równie silnego, chociaż Światłość jedna wie, że posiadając ją, pewnie byśmy już tego pożałowały... Najważniejsze, że normalnymi sposobami nie pokonamy Przeklętych ani ich nie powstrzymamy. A ataku z ich strony po prostu nie przeżyjemy. Równocześnie ostatnio... Asha'mani... rozplenili się niczym chwasty. Wiarygodne sprawozdania wspominają o mężczyznach przenoszących Moc, którzy liczbą dorównują wszystkim żyjącym Aes Sedai! Nawet jeśli te szacunki są zawyżone, nie możemy ich zignorować, bo bez wątplenia raporty zawierają choć

cząstkę prawdy. W dodatku z każdym dniem jest takich mężczyzn coraz więcej. Nasze „oczy i uszy” pozostają w tej kwestii zgodne. Wiem, że powinniśmy się zająć tymi osobnikami i ich poskromić, jednak ignorujemy ich ze względu na Smoka Odrodzonego. Odsunęliśmy ten problem na później. A teraz gorzka prawda... Odsunęliśmy ten problem, a dziś na jego rozwiązanie jest już za późno, gdyż ci mężczyźni stali się zbyt liczni. Być może było już za późno, kiedy w ogóle się o nich dowiedziałyśmy... A skoro nie możemy ich poskromić, musimy ich tedy jakoś kontrolować. Proponuję zatem zawrzeć porozumienie z Czarną Wieżą... jako że „przymierze” wydaje mi się słowem zbyt mocnym. Tak, mówię o starannie przygotowanym porozumieniu, dzięki któremu podejmiemy pierwsze kroki mające na celu próbę ochrony świata przed Asha’manami. A wówczas możemy ich również wprowadzić w nasze kręgi. – Moria podniosła ostrzegawczo palec i przesunęła spojrzeniem wzdłuż ławek, jednakże jej głos pozostał chłodny i opanowany, ton zaś zdecydowany. – W tym porozumieniu musimy podkreślić, że to siostry zawsze będą mieszać przepływy... Nie sugeruję wszak bynajmniej, że mamy pozwolić mężczyznom na kontrolę połączonych kręgów! Jednak wprowadziwszy mężczyzn, możemy nasze kręgi rozszerzyć i powiększyć. Z błogosławieństwem Światłości może zdołamy je rozszerzyć do stopnia, dzięki któremu zyskamy szansę przeciwstawienia się nowej broni Przeklętych. Ubijemy w ten sposób dwa zające jednym kamieniem. Jeśli jednak zające są lwami, a my nie rzucimy tego kamienia, jedna z grup na pewno nas zabije. Cała sprawa dokładnie tak się przedstawia.

Zapadła cisza. Milczały przynajmniej wszystkie siostry poza Sheriam, która stała zgarbiona w odległości paru stóp od Egwene; Opiekunce trzęsły się ramiona i kobieta najwyraźniej nie potrafiła zapanować nad płaczem.

W tym momencie Romanda westchnęła ciężko.

– Może uda nam się rozszerzyć kręgi na tyle, ażeby sprzeciwić się Przekłętym – oznajmiła cicho. Jakimś sposobem dzięki spokojnej, niegłośnej wypowiedzi jej słowa zyskały większą wagę, niż gdyby je wykrzyczała. – I być może zdołamy zapanować nad Asha’manami. Ale nie zapomnijcie o małym słówku „może”. W obu kontekstach.

– Kiedy toniesz – odparowała Moria równie cicho – chwytasz się każdej płynącej w pobliżu gałęzi, nawet gdy nie masz pewności, czy jest wystarczająco gruba i utrzyma twój ciężar. Jednakże póki jej nie chwycisz, nie przekonasz się o tym. Mówiąc obrazowo, Romando, woda nie zalała nas jeszcze całkowicie, tym niemniej toniemy. Toniemy!

Znow zapadło milczenie, tylko Sheriam pochlipywała. Czyżby naprawdę nie potrafiła się opanować?! Żadna z Zasiadających nie przybrała uprzejmej miny, nawet Moria, Malind czy Escaralde. Nie czekała ich żadna miła perspektywa. Odcień twarzy Delany stał się zdecydowanie zielonkawy. Egwene zaczęła się zastanawiać, która zemdleje pierwsza: ona czy Sheriam.

Amyrlin wstała ponownie, zamierzając zadać wymagane w takiej sytuacji pytanie. Niezależnie od sensowności sugestii, nawet jeśli była ona nie do pomyślenia, Zasiadająca na Tronie Amyrlin powinna postępować zgodnie z rytuałem. Może właśnie wtedy bardziej niż kiedykolwiek.

– Kto chce się wypowiedzieć przeciwko tej propozycji?

Przez chwilę nikt się nie odzywał, chociaż Zasiadające zapanowały już nad sobą w stopniu dostatecznym i znowu potrafiły przestrzegać protokołu. Kilka z nich ruszyło się natychmiast, jednak jako pierwsza wstała Magla, wówczas wiele Aes Sedai rozsiadło się wygodniej i przysłuchiwało jej mowie, nie okazując najmniejszego zniecierpliwienia. W ślady Magli podążyła Faiselle, po niej podniosła się z miejsca Varilin. Wtedy wstała Saroiya, wreszcie przemówiła także Takima. Każda z tych sióstr wyluszczała swe argumenty długo i szczegółowo, Varilin i Saroiya o mało nie przekroczyły dopuszczalnego czasu. Każda użyła całej posiadanej elokwencji. A miały jej sporo, nikt

bowiem nie docierał do krzesła Zasiadającej, jeśli brakowało mu sugestywności lub nie opanował wystarczająco sztuki krasomówstwa. Mimo to wkrótce stało się jasne, że Zasiadające się powtarzają, choć używały innych słów.

Żadna nie wspomniała o Przeklętych czy ich broni. Tematem wszystkich wypowiedzi była jedynie Czarna Wieża. Czarna Wieża i Asha'mani. Czarną Wieżę Aes Sedai uważały za prawdziwe nieszczęście swego świata i określały ją mianem zagrożenia równie wielkiego jak Ostatnia Bitwa. Sama nazwa zasugerowała jednak związki z Cieniem, no i stanowiła drwinę z określenia „Biała Wieża”. A tak zwani Asha'mani? Żadna Zasiadająca nie użyła tego słowa bez dodania właśnie epitetu „tak zwani” lub bez szyderczego tonu. Słowo „Asha'man” oznaczało w Dawnej Mowie opiekuna albo obrońcę, a ci mężczyźni zdaniem wypowiadających się siostr bez wątpienia nie mieli prawa używać takiego miana. Tak zwani Asha'mani byli przecież mężczyznami posiadającymi zdolność przenoszenia Mocy! A zatem mężczyznami skazanymi na obłąd, o ile wcześniej nie zabije ich męska połowa Mocy. Byli szaleńcami władającymi tą Mocą! Od Magli po Takimę, kolejne przemawiające podkreślały ten fakt i nim straszyły. Przez trzy tysiące lat tacy mężczyźni budzili wszędzie przerażenie. A wcześniej jednak doprowadzili do Pęknięcia Świata. To oni zniszczyli świat, obrócili wniwecz zdobycze Wieku Legend i sprowadzili na ziemię pustkę i rozpacz. I z takimi mężczyznami Aes Sedai miały zawrzeć przymierze?! Takich ludzi miały do przymierza zaprosić?! Jeśli tak postąpią, wszystkie narody je przeklną i będą miały słuszość. Jeśli Aes Sedai tak postąpią, będą nimi pogardały wszystkie inne siostry i racja znajdzie się po ich stronie. Nie można do czegoś takiego doprowadzić. Po prostu nie można!

Kiedy Takima, ostatnia mówczyni, w końcu usiadła, układając starannie szal na ramionach, przybrała nieznaczny, choć całkiem spokojny uśmiech. Dzięki wszystkim przemowom Asha'mani wydawali się teraz jeszcze straszniejsi i jeszcze bardziej niebezpieczni niż Przekłeci i Ostatnia Bitwa razem wzięte. Może nawet stali się bardziej przerażający niż sam Czarny.

Ponieważ Egwene zadała rytualne pytanie, ona musiała teraz zamknąć ten temat, wstała więc i rzuciła:

– Kto jest za porozumieniem z Czarną Wieżą?

Jeśli wcześniej uważała, że w namiocie jest cicho, myliła się. Nawet Sheriam zdołała wreszcie zapanować nad płaczem, chociaż łzy ciągle błyszczały jej na policzkach, teraz jednak przełknęła ślinę i ten odgłos wypełnił namiot, niczym krzyk rozrywając milczenie zapadłe po pytaniu Amyrlin.

Uśmiech Takimy znacząco zbladł, gdy zobaczyła podnoszącą się Janyę, która zerwała się natychmiast po pytaniu Egwene.

– Kiedy toniesz, nawet najcieńsza gałązka jest lepsza niż żadna – oświadczyła Janya. – Wolałabym jej zaufać, niż czekać, aż się utopię.

Janya miała zwyczaj przemawiać wtedy, kiedy nikt jej o to nie prosił.

Po niej podniosła się Samalin i stanęła obok Malind, a następnie – pośpiesznie – ze swoich miejsc zerwały się równocześnie Salita, Berana i Aledrin; w ich ślady szybko podążyła Kwamesa. W końcu dziewięć Zasiadających stało w milczeniu i bez ruchu. Egwene uprzytomniła sobie, że zagryza wargę, szybko więc przybrała obojętną minę, mając nadzieję, że nikt niczego nie zauważył. Nadal czuła odcisk własnych zębów na ustach. Och, chyba nie ugryzła się do krwi. Na szczęście żadna z kobiet na nią nie patrzyła. Wszystkie Zasiadające znieruchomiały, wstrzymując oddech.

Romanda siedziała z zadartą głową i, marszcząc brwi, spoglądała na Salitę, która gapiała się prosto przed siebie z twarzą poszarzałą i drżącymi ustami. Taireniańska siostra nie potrafiła ukryć strachu, a jednak podniosła się ze swego miejsca. Romanda powoli kiwnęła głową, po czym – co zaszokowało Egwene – również wstała. Ona także zdecydowała się naruszyć zwyczaj!

– Czasami – oznajmiła, spoglądając wprost na Lelaine – trzeba dokonać czegoś, czego w normalnej sytuacji na pewno byśmy nie zrobiły.

Lelaine bez mrugnięcia okiem wytrzymała spojrzenie siwowłosej Żółtej. Jej twarz wyglądała jak porcelanowa. Kobieta nieco uniosła podbródek i nagle, zupełnie niespodziewanie wstała, zerkając niecierpliwie ku Lyrelle, która przez moment się w nią wpatrywała, po czym również się podniosła.

Wszystkie patrzyły przed siebie. Żadna się nie odzywała.

A zatem się dokonało.

W każdym razie, prawie się dokonało. Amyrlin odchrząknęła, starając się przyciągnąć uwagę Sheriam. Następny krok należał wprawdzie do Opiekunki, niestety Sheriam zajęta była ocieraniem łez z policzków. Robiła to palcami. Spoglądała przy tym wzdłuż ławek, jak gdyby rachowała liczbę stojących Zasiadających i miała nadzieję odkryć, że pomyliła się w obliczeniach. Egwene odchrząknęła głośniejsze i zielonooka kobieta wreszcie ją usłyszała. Wzdrygnęła się, obróciła i niemo zagapiła na Amyrlin. Minęła jeszcze bardzo długa chwila, która zdała się Egwene wiecznością, zanim Opiekunka Kronik przypomniała sobie o swoich obowiązkach.

– Niniejszym, zgodnie z wolą wyrażoną przez mniejszą zgodę – zawiadomiła niepewnym głosem – obwieszczam, że będziemy szukać porozumienia... z Czarną Wieżą. – Wzięła potężny wdech, wyprostowała się do swego pełnego wzrostu, a jej głos odzyskał siłę. Świetnie się wszak znała na swoim zadaniu. – W interesie jedności, proszę o wyrażenie większej zgody.

To wezwanie miało swoją siłę. Nawet w sprawach, które można było postanowić poprzez mniejszą zgodę, zawsze preferowana była jednomyślność, toteż za każdym razem do niej dążono. Osiągnięcie konsensusu mogło zająć godziny, a nawet dni, jednak Zasiadające nie ustawały w wysiłkach, aż każda z nich albo wyraziła zgodę, albo uzasadniła swoją odmowę w sposób jednoznacznie sugerujący, że tej zgody udzielić danej sprawie nie może. Było to zatem naprawdę potężne wezwanie – takie, które docierało do każdej dosłownie siostry.

Delana natychmiast się podniosła – niczym kukiełka szarpnięta przez kogoś w górę – i stanęła prosto, nie rozglądając się wokół siebie.

– Nie mogę wyrazić zgody – wtrąciła Takima, wbrew wszelkim dobrym obyczajom. – Niezależnie od wszystkich słów, które tu padną, obojętnie jak długo będziemy tu siedzieć, nie mogę wyrazić zgody i jej nie wyrażę! Nie zgadzam się!!

Nikt więcej nie wstał. Och, Faiselle przesunęła się w ławce, może nawet na wpół się podniosła, jednak tylko poprawiła szal, po czym znów lekko się poderwała, lecz nie wstała. Inne zachowywały się podobnie. Saroiya zagryzała kłykieć z wyrazem przerażenia na twarzy, Varilin zaś przybrała minę osoby, którą ktoś właśnie zdzielił młotkiem między oczy. Magła chwyciła końce swojej ławki, z całych sił starając się zachować pozycję siedzącą i wpatrzyła się posepnie w leżące przed nią dywany. Bezspornie zdawała sobie sprawę z płonących gniewem oczu, którymi Romanda wpijała jej się w kark, ale pod wpływem tego spojrzenia jedynie zgarbiła ramiona.

Takima powinna zakończyć tę sprawę. Nie było sensu szukać większej zgody, skoro siostry zapewniały, że nie przyjmą propozycji porozumienia. Egwene wszakże zdecydowała się odstąpić od protokołu i zadać niestereotypowe pytanie.

– Czy któraś z Zasiadających uważa, że z tego powodu musi porzucić swój urząd? – spytała głośno i wyraźnie. Namiot wypełniły odgłosy gwałtownego nabierania powietrza, natomiast sama Amyrlin wstrzymała oddech. Takie pytanie mogło rozbić tę Komnatę, Egwene uznała wszakże, iż woli mieć jasny obraz sytuacji. No i lepiej teraz niż później. Saroiya popatrzyła na nią wściekle, lecz się nie poruszyła. – Zatem kontynuujemy – podjęła Amyrlin. – Spokojnie i powoli. Zajmie nam nieco

czasu staranne ustalenie, kto ma wyruszyć do Czarnej Wieży i co powinien tam powiedzieć. – Pora, by Egwene zaplanowała odpowiednie zabezpieczenia. O Światłości, nieźle się będzie musiała namęczyć, jeśli chce sobie poradzić z tą sprawą. – Po pierwsze, macie jakieś propozycje co do naszej... delegacji?

Rozdział 6

W nocy

Na długo przed końcem zebrania pośladki Egwene – mimo iż podłożyła sobie pod nie w pewnym momencie złożony w kostkę płaszcz – całkiem zdrętwiały od siedzenia na twardej, drewnianej ławce. A od wysłuchiwania niekończących się argumentów podczas dyskusji dziewczynę aż rozboleły uszy. Sheriam, zmuszona stać, zaczęła się w pewnym momencie kręcić i wyraźnie rozglądała się za krzesłem. O mało nie usiadła gdzieś na dywanach. Decyzja należała do Egwene – gdyby postanowiła wyjść, uwolniłaby i siebie, i Opiekunkę. Nikt nie wymagał na zebraniu obecności Amyrlin, a jej komentarzy Zasiadające wysłuchiwały jedynie z uprzejmości, po czym i tak postępowały wedle własnych upodobań. Niezależnie od sytuacji i wagi problemów Komnata nigdy nie pozwoli Amyrlin przejąć kontroli i podejmować decyzji. Tak, tak, Egwene mogła wyjść w każdej chwili – najlepiej podczas najdrobniejszej choćby przerwy w dyskusji – wołała jednak tego nie robić. Bała się, że jeśli opuści posiedzenie, następnego ranka Zasiadające postawią ją przed faktem dokonanym, czyli przed szczegółowym planem i starannie spisany dokumentem, który będzie musiała przeczytać, jeśli zechce się dowiedzieć, co zaszło w dalszej części zebrania. Przynajmniej na początku się obawiała...

Już nie zaskakiwały jej długie przemowy. Gdy jedna Zasiadająca mówiła, pozostałe – zwłaszcza przeciwniczki propozycji, czyli Magla, Saroiya, Takima, Faiselle i Varilin – jawnie się denerwowały. Och, wszystkie przyjęły decyzję Komnaty, przynajmniej z pozoru ją przyjęły. Nie miały zresztą innego wyjścia, gdyż w przeciwnym razie musiałyby zrezygnować z pełnionej funkcji. Komnata czasem wymagała konsensusu, czasami natomiast – jeśli nie był możliwy do osiągnięcia – zadowalała się zgodą większości, od pozostałych Zasiadających zaś wymagała jedynie, aby nie przeszkadzały i nie utrudniały jej działalności. W tym sęk. Jak dokładnie mogły przeszkadzać Zasiadające? Żadna z pięciu przeciwniczek nie wypowiadała się oczywiście przeciwko Zasiadającej reprezentującej własną Ajah, jednak pozostałe cztery zrywały się, ilekroć jakaś Zasiadająca wracała do swojej ławki, a cała piątka robiła to, jeżeli Zasiadająca należała do Błękitnych. A każda, której udzielono głosu, przemawiała bardzo przekonująco, sugerując, że stwierdzenia poprzedniej mówczyni były zupełnie niewłaściwe i mogą nawet doprowadzić do katastrofy. Nie, zdaniem Egwene nie doszło do jawnej zмовy. Siostry przyglądały się sobie nawzajem tak ostrożnie jak zawsze, a patrząc na siebie, marszczyły brwi równie często, a może nawet częściej niż zazwyczaj. Najwyraźniej nic się nie zmieniło – jedna wciąż nie ufała drugiej.

Zasiadające nie potrafiły osiągnąć jednoznacznych ustaleń w żadnej szczegółowej kwestii. Spierały się co do liczby sióstr, którą należy wysłać do Czarnej Wieży, liczby reprezentantek każdej Ajah, a także tego, kiedy powinny te siostry wysłać, czego mają tam one zażądać, na co wolno im się będzie zgodzić, a jakie propozycje muszą bez wahania odrzucić. W sprawie tak delikatnej byle błąd mógł prowadzić do katastrofy. Na dodatek każda Ajah z wyjątkiem Żółtych uważała się za jedyną upoważnioną do poprowadzenia misji – od Kwamesy, która upierała się, że celem jest negocjacja traktatu (albo coś w tym rodzaju), po Escaralde twierdzącą, że wiedza historyczna jest w takim bezprecedensowym przedsięwzięciu koniecznością. Berana natomiast zauważyła, że porozumienie tej natury wymaga maksymalnie racjonalnego podejścia; kontakty z Asha'manami na pewno bowiem rozpalą namiętności, co bez wątpienia doprowadzi do katastrofy, gdyż Aes Sedai może uratować jedynie zimna logika. Mówiąc o tym, Berana w gruncie rzeczy sama coraz bardziej się gorączkowała. Romanda chciała powierzyć przywództwo wyprawy Żółtym, a ponieważ nikt nie podejrzewał

szczególnej potrzeby Uzdrawiania, uparcie twierdziła, że tylko one potrafią zachować konieczny w tej sytuacji spokój i nie zapomną o sensie i celu misji.

Zasiadające w imię tej samej Ajah popierały wzajemne stanowiska, a może raczej nie przeciwstawiały się sobie otwarcie, żadne dwie Ajah nie były zaś chętne zgodzić się w jakiegokolwiek kwestii poza stwierdzeniem, iż rzeczywiście należy wysłać ambasadorki do Czarnej Wieży. Siostry nie potrafiły nawet ustalić, czy nazwać przedstawicielki misji delegacją, choć początkowo większości to miano odpowiadało. Moria, która wszak sama przedstawiła propozycję nazwy, po jakimś czasie wyglądała na zaskoczoną, ilekroć padło to słowo.

Nie tylko Egwene szybko znużyły powtarzane w kółko argumenty i kontrargumenty, roztrząsane detale i odrzucanie kolejnych propozycji, aż nie zostawała żadna sensowna i trzeba było zacząć dyskusję od początku. Zwykłe Aes Sedai odchodziły od swoich miejsc za ławkami, gdzie zastępowały je inne siostry, które również po kilku godzinach odchodziły. Gdy Sheriam wypowiedziała w końcu rytualne stwierdzenie: „Teraz odejdźcie w Światłość”, zapadła już noc, a w namiocie oprócz Egwene i Zasiadających pozostało jedynie parę tuzinów sióstr, z których wiele wyglądało na tak zmęczone, jakby je ktoś przepuścił przez wyżymaczkę niczym mokre pościele. Mimo tych wielogodzinnych obrad Zasiadające niczego nie postanowiły, toteż żeby coś zdecydować, będą się musiały spotkać ponownie.

Amyrlin wyszła na zewnątrz. Błady półksiężyc wisiał na aksamitnie czarnym niebie upstrzonym lśniącymi gwiazdami, powietrze zaś było przenikliwie zimne, toteż Egwene podczas wydechów wyrzucała z ust słabe obłoki mgły. Opuszczała Komnatę, z lekkim uśmiechem słuchając rozpraszających się za nią Zasiadających; Aes Sedai nadal się sprzeczały. Komanda i Lelaine szły wprawdzie obok siebie, jednak Żółta podnosiła wysoki, dźwięczący głos niemal do krzyku, a Błękitna nie pozostawała jej dłużna. Skazane na swoje towarzystwo zazwyczaj się kłóciły, po raz pierwszy wszakże Amyrlin widziała je idące razem, mimo iż nie istniały ku tej bliskości żadne szczególne powody. Sheriam bez przekonania ofiarowała się pójść po raport w sprawie napraw wozów i paszy, o który Amyrlin prosiła tego ranka, lecz nie kryła ulgi, kiedy Egwene, popatrzwszy w zmęczone oczy Opiekunki, odesłała ją do łóżka. Kobieta pospiesznie więc dygnęła i pobiegła w noc, otulając się płaszczem. W większości namiotów panował mrok; wszystkie rzucały w świetle księżycy cienie. Niewiele sióstr kładło się spać późno po zmroku, zwłaszcza że obóz nigdy nie miał dużych zapasów nafty i świec.

Na razie zwłoka ogromnie odpowiadała Amyrlin, choć nie tylko z jej powodu dziewczyna błyskała wesołym uśmiechem. W którymś momencie całej tej kłótni całkowicie przeszedł jej bowiem ból głowy. Dziś w nocy na pewno nie będzie miała żadnych trudności z zaśnięciem. Masaże Halimy zawsze jej pomagały, a jednak po nich zwykle przytrafiały jej się niepokojące sny. No cóż, ogólnie rzecz biorąc, rzadko śniło jej się coś przyjemnego, lecz sny po masażach były mroczniejsze niż wszystkie inne. W dodatku, dziwnym trafem, Egwene nie potrafiła ich zapamiętać; po przebudzeniu towarzyszyła jej jedynie świadomość, że były ponure i przykre. Niewątpliwie wpływała na nie jakaś pozostałość przedtem odczuwanego bólu, którego palce Halimy nie dosięgły, więc nie mogły ukoić. Tyle że sam fakt ich zapomnienia niepokoił Egwene, która wcześniej nauczyła się pamiętać każdy sen. Musiała każdy pamiętać! Logicznym wydał jej się zatem wniosek, że dziś w nocy, ponieważ wcale nie odczuwa bólu, zaśnie bez najmniejszego trudu i nie przyśnią jej się koszmary, ale sny, które zapamięta.

Podobnie jak Komnata i gabinet Amyrlin, jej prywatny namiot stał na małej polanie, a prowadziło do niego osobne, drewniane przejście. Najbliższe namioty dzieliło od jej siedziby tuzin piędzi, dzięki czemu Egwene al'Vere zyskiwała nieco prywatności. Przynajmniej tak brzmiało

oficjalne uzasadnienie dla tej odległości. Amyrlin w nie wierzyła, zresztą nie przywiązywała do niego wagi. Jej namiot nie był duży, ściany boczne miały długość zaledwie czterech kroków, toteż wewnątrz panowała ciasnota. Pod jedną ze ścian stały cztery skrzynie z mosiężnymi okuciami, pełne ułożonych w stos części garderoby, dalej znajdowały się dwa wąskie łóżka i jeden niewielki okrągły stolik, jeszcze dalej spizowy kosz z płonącymi węglami, szafka z miednicą, stojące lustro i jedno z nielicznych prawdziwych krzesel w obozie. Ten zwyczajny mebel, ozdobiony małą prostą rzeźbą, zajmował oczywiście zbyt dużo miejsca, był wszakże bardzo wygodny i stanowił wielki luksus, ilekroć Egwene chciała usiąść z podkurczonymi nogami i poczytać, gdy znalazła czas na czytanie dla przyjemności. Na drugim łóżku sypiała zwykle Halima i Amyrlin zaskoczyło, że dzisiejszej nocy nie dostrzegła na nim kobiety; Halima nie czekała na nią. Namiot nie był jednakże pusty.

– Poza chlebem na śniadanie nic nie jadłaś, Matko – odezwała się Chesa łagodnie oskarżycielskim głosem, dostrzegłszy Egwene w progu. Nieco przytęgawa służąca Amyrlin w nijakiej szarej sukience siedziała na stołku i cerowała pończochy przy świetle olejowej lampy. Była ładną kobietą, bez jednego siwego włosa, tym niemniej Egwene czasem odnosiła wrażenie, że zatrudnia Chesę od zawsze, a nie tylko od Salidaru. Kobieta na pewno miała też wszystkie narowy starej służącej, łącznie z „prawem” do besztania swej pani. – O ile wiem, w południe nic kompletnie nie zjadłaś – kontynuowała Chesa, podnosząc śnieżnobiałą jedwabną pończochę i przypatrując się łacie, którą właśnie naszyła na pięcie. – Kolacja zaś stoi zimna na stole przynajmniej od godziny. Nikt mnie o to nie zagadnął, jednak gdyby mnie spytali, jako przyczynę twoich migren wskazałabym ciągle głodzenie się. Jesteś o wiele za chuda.

Po tych słowach w końcu odłożyła pończochę na wierzchołek sterty pocerowanych ubrań i podniosła się, aby wziąć od Egwene płaszcz. Natychmiast zawołała, że Amyrlin jest zimna jak lód, po czym dodała, że jej zdaniem także z tego powodu często boli ją głowa. Aes Sedai potrafiły wprawdzie ignorować przesadne zimno lub nieprzyjemne gorąco, ich ciała wszakże – niezależnie od tej umiejętności – na pewno doświadczały chłodu lub upału. W opinii służącej siostry powinny zatem ubierać się ciepłej. I nosić czerwone stroje. Wszyscy wiedzą, że czerwień jest kolorem najcieplejszym. Jedzenie miało również pomagać. Człowiek z pustym brzuchem zawsze drży. Tak mówiła, choć przecież nigdy nie widziała drżenia swej pani.

– Dziękuję ci, Matko – rzuciła Egwene lekko szyderczym tonem, za co otrzymała ciche parsknięcie śmiechu. I zaszokowane spojrzenie. Mimo wszystkich swoich przywar Chesa tak pedantycznie podchodziła do kwestii wszelkich stosowności, że Aledrin wydawała się przy niej osobą wręcz swobodną. W każdym razie duchowo, jeśli nie dosłownie. – Dzięki tej twojej herbacie nie cierpiałam dzisiejszego wieczoru z powodu bólu głowy. – Może rzeczywiście migrena jej minęła właśnie po wypiciu dziwnej mikstury. Choć płyn smakował podle, jako kuracja nie był gorszy niż siedzenie na trwającym ponad pół dnia zebraniu Komnaty. – I wcale nie jestem szczególnie głodna, naprawdę. Wystarczy bułka.

Niestety cała sytuacja nie była taka prosta. Relacje między panią i służącą rzadko zresztą bywają łatwe. Służąca żyje bardzo blisko swojej pani, więc widuje ją w jej najgorszych momentach, jest świadkiem większości jej błędów i zna wszystkie jej słabości. Nie sposób czegoś przed nią ukryć, nie sposób zachować prywatności.

Chesa mamrotała coś pod nosem i gderała przez cały czas, kiedy pomagała się Egwene rozebrać, aż w końcu Amyrlin – spowita w prezent od Anaiyi: szatę z czerwonego (oczywiście!) jedwabiu, obrzeżoną bujną murandiańską koronką i przyozdobioną haftami w kształcie letnich kwiatów – ustąpiła i zasiadła przed małym okrągłym stolikiem, a służąca zdjęła lniany obrusik przykrywający zawartość stojącej przed Egwene tacy.

Zimny gulasz z soczewicy miał postać zgęstniałej masy w misce, jednak choć nie wyglądał apetycznie, po zjedzeniu pierwszej łyżki Amyrlin odkryła, że rzeczywiście zgłodniała. Zjadła potrawę w całości, po czym ogołociła sąsiedni talerz z białego sera pleśniowego poprzerastanego błękitnymi żyłkami, nieco już wyschniętych oliwek i dwóch chrupiących, brązowych bułek (choć z obu musiała uprzednio wybrać martwe wołki zbożowe). Ponieważ nie chciała zbyt szybko zasnąć, wypła tylko jeden puchar przyprawionego wina, które także należałoby ponownie zagrzać i po którym pozostał jej w ustach nieco gorzki smak. Na widok oczyszczonej z jedzenia tacy Chesa wreszcie się rozpromieniła i kiwała z aprobatą głową. Sama Egwene zaś, oceniając spojrzeniem talerze, na których pozostały jedynie pestki po oliwkach i nieco okruszków, zrozumiała, że służąca miała rację, ona zaś naprawdę była głodna.

Kiedy znalazła się w swoim wąskim łóżku, przykryta aż po szyję dwoma miękkimi wełnianymi kocami i wypełnioną gęsim puchem kołdrą, Chesa zabrała tacę z kolacją, lecz zatrzymała się jeszcze w progu namiotu.

– Chcesz, żebym wróciła, Matko? Na wypadek, gdybyś dostała jednego ze swoich ataków migreny... No cóż, ta kobieta znalazła sobie zapewne towarzystwo, w przeciwnym razie byłaby tu do tej pory. – Określenie „ta kobieta” wypowiedziała tonem otwartej pogardy. – Mogłabym zaparzyć jeszcze jeden dzbanek herbaty. Kupiłam ją od domokrażcy, który twierdził, nie ma lepszego lekarstwa na ból głowy. A także na bóle stawów i rozstrój żołądka.

– Rzeczywiście uważasz ją za latawicę, Cheso? – wymruczała Egwene. Pod pościelą było jej ciepło i poczuła się senna. Pragnęła zasnąć, ale nie tak od razu. I migreny, i bóle stawów, i rozstrój żołądka...? Nynaeve śmiałyby się z tego do rozpuku. Może jednak ból głowy Amyrlin przegoniły te wszystkie paplające Zasiadające. – Halima czasem flirtuje, nie podejrzewam wszakże, by posuwała się dalej. Na pewno nie wychodzi poza flirt.

Przez chwilę Chesa milczała, wydymając wargi.

– Ona mnie... niepokoi, Matko – odrzekła w końcu. – Jest w niej coś... po prostu niewłaściwego. Czuję to zawsze, ilekroć ona... Halima jest w pobliżu. Mam wrażenie, że wiecznie czai się za mną. Dziwnie się wtedy czuję, naprawdę dziwnie... Z czym to porównać? O, na przykład jakbym nagle zdała sobie sprawę, że mojej kąpieli przypatruje się mężczyzna albo... – Roześmiała się, lecz odgłos był niewesoły. – Nie wiem, w jaki sposób opisać ci moje emocje. Tak czy owak, nie czuję się przy Halimie dobrze.

Egwene westchnęła i dokładniej opatulila się kołdrą.

– Dobranoc, Cheso. – Zgasila lampę, przenosząc na moment Moc, i namiot pograżył się w całkowitych ciemnościach. – Dzisiejszej nocy możesz spać we własnym łóżku.

Pomyślała bowiem, że gdyby Halima postanowiła jednak przyjść, mogłaby się zdenerwować, znajdując na swoim posłaniu inną kobietę. Czy rzeczywiście złamała rękę temu mężczyźnie?! Och, jeśli tak, bez wątpienia musiał ją jakoś sprowokować!

Amyrlin pragnęła tej nocy śnić, chciała jednak snów spokojnych, a w każdym razie takich, które zapamięta, gdyż jej sny rzadko były naprawdę przyjemne i niedenerwujące. Istniał też inny rodzaj snu, do którego zamierzała wejść. Potrafiła się do niego dostać i nie potrzebowała w tym celu używać jednego z *ter'angreali*, których Komnata tak pilnie strzegła. Najpierw jednak musiała się wprowadzić w lekki trans, co nie było trudniejsze niż sama decyzja, szczególnie gdy Egwene była tak zmęczona jak dziś i...

...Bezieleśnie wpłynęła w nieskończoną czerń otoczoną bezgranicznym morzem światła, przeogromnym wirym maleńkich punkcików, lśniących wyraźniej niż gwiazdy na bezchmurnym nocnym niebie i liczniejszych niż gwiazdy. Te punkciki były sennymi marzeniami wszystkich ludzi na

świecie, ludzi śniących na wszystkich istniejących i wszystkich potencjalnych światach, światach tak obcych, że Amyrlin nie potrafiłaby nawet spróbować objąć ich umysłem. Były dla niej widoczne tutaj, w tej niewielkiej szczelinie między *Tel'aran'rhiod* i krainą jawy, w tej niekończącej się przestrzeni pomiędzy rzeczywistością i marzeniem. Niektóre z tych snów Egwene rozpoznała na pierwszy rzut oka. Wszystkie wyglądały tak samo, tym niemniej umiała je od siebie odróżnić, niczym twarze własnych sióstr. Inne natomiast omijała z daleka.

Sny Randa zawsze wydawały się osobliwie osłonięte i Amyrlin obawiała się, że gdyby usiłowała w nie chociaż zerknąć, męczyzna natychmiast odkryłby jej ingerencję. Zresztą chroniąca je osłona i tak uniemożliwiała jej dostęp. Żałowała, że poprzez sen danej osoby nie potrafiła wskazać miejsca jej rzeczywistego pobytu. Nawet gdy dwa oznaczające sen świetliste punkty znajdowały się z pozoru obok siebie, śniących mogła dzielić odległość tysiąca mil. Dziewczynę przyciągały z kolei sny Gawyna, na szczęście przed nimi uciekła. W jego snach tkwiło jakieś niebezpieczeństwo, a jednak jakąś częścią siebie straszliwie chciała się w nich zatopić. Z kolei sny Nynaeve zaskoczyły ją. Znieruchomiła i zapragnęła obdarzyć tę głupią kobietę lękiem Światłości, wiedziała wszakże, iż Nynaeve zdoła jej przeszkodzić, nie zamierzała zaś topić w *Tel'aran'rhiod* ani siebie, ani jej. Tak postępowali jedynie Przeklęci. Tym niemniej odczuła pokusę i ją zapamiętała.

Poruszając się bez jakiegokolwiek rzeczywistego ruchu, szukała pewnego szczególnego śniącego. W każdym razie pragnęła znaleźć przynajmniej jedno z dwojga poszukiwanych śniących. Miała wrażenie, że światła wokół niej wirują, a następnie przemykają obok tak szybko, że rozmazują się w smugi, podczas gdy ona nieruchomo dryfuje w tym rozgwieżdżonym morzu. Żywiła nadzieję, że choćby jedna z dwóch osób, które tropiła, już śpi. Niech Światłość jej pomoże, pora była wszak wystarczająco późna. Niejasno świadoma swego ciała w świecie jawy, Amyrlin poczuła nagle, że ziewa, a następnie zgina pod kołdrą nogi w kolanach.

Później dostrzegła świetlisty punkt, którego wypatrywała, a on natychmiast rozrósł się na jej oczach, jakby niezwykle szybko się ku niej zbliżając i zwiększając swój kształt z gwiazdki na niebie, poprzez księżyc w pełni, aż do migoczącej ściany, która wypełniła pole widzenia Egwene, pulsując niczym coś żywego i oddychającego. Amyrlin, ma się rozumieć, nie dotknęła go. Jej dotknięcie mogłoby doprowadzić do rozmaitych komplikacji. Sięgnęła więc jedynie samą siłą woli przez cienką jak włos przestrzeń, która pozostała między nią i snem, po czym przemówiła ostrożnie, w obawie, czy jej głos nie przybierze postaci krzyku. Nie miała ciała, nie miała ust, a jednak przemówiła:

– *Elayne, tu Egwene. Spotkajmy się w zwykłym miejscu.*

Nie przypuszczała, by ktokolwiek mógł ją podsłuchać, nie bez jej wiedzy, lecz z drugiej strony nie widziała najmniejszego sensu w podejmowaniu niepotrzebnego ryzyka.

Światelko zamrugało. Elayne się obudziła. Na pewno jednak nie zapomni słów Amyrlin i będzie wiedziała, że nie stanowią po prostu części składowej jej snu.

Egwene przemieściła się... w bok. A może tylko dokończyła krok, który zatrzymała w połowie. Odnosiła wrażenie, że zrobiła... i jedno, i drugie. Tak czy inaczej, przemieściła się i...

...Stała w jakimś małym pomieszczeniu, pustym, wyjąwszy poprzecinany rysami drewniany stół i trzy krzesła o prostych oparciach. Dwa okna wychodziły na ciemną noc, tym niemniej pokój ożywiała niesamowita jasność – inna niż poświata księżycowa, światło lampy czy słoneczne. Amyrlin nie wiedziała, skąd ów blask pochodzi, tym niemniej był. I wystarczał dla wyraźnego dostrzeżenia szczegółów tego smutnego, pożałowania godnego, małego pomieszczenia. Zakurzone, drewniane panele ścienne podziurawione były przez korniki, przez rozbite szyby w oknach zaś wpadał śnieg, który osiadał na zaścielających podłogę stertach gałązek i martwych liści. W każdym razie czasami na podłodze leżał śnieg, a czasem gałązki i liście. Stół i krzesła pozostały na swoich

miejskach, jednakże ilekroć dziewczyna odwróciła wzrok, a potem wróciła spojrzeniem, śnieg zniknął, a gałązki i pobrązowiałe liście znajdowała w zupełnie innych punktach pomieszczenia, jak gdyby przesunął je podmuch wiatru; czasem nawet na jej oczach zmieniały swoje położenie, przelatując z jednego miejsca w inne. Nie dziwiło jej to wcale bardziej niż stale doświadczane uczucie, że przygląda jej się ktoś niewidoczny. Zresztą w *Tel'aran'rhiod* nic nie było prawdziwe – ani zdarzenia, ani emocje. Świat ten stanowił jedynie zmieszane z sobą odbicie rzeczywistości i snu.

Wszędzie w *Tel'aran'rhiod* śniący odczuwał pustkę, lecz panująca w tym pokoju głucha próżnia miała szczególne uzasadnienie, wiążąc się z faktem, iż pomieszczenie to w świecie jawy naprawdę zostało porzucone. Nie tak wiele miesięcy temu mieścił się w nim gabinet Amyrlin. Gospoda, w którym się znajdowało, nosiła nazwę Małej Wieży, wieś Salidar zaś – odebraną brutalnie rozrastającym się lasom – nazywano sercem ruchu oporu przeciwko Elaidzie. Gdyby w obecnej chwili Egwene wyszła na zewnątrz, dostrzegłaby młode drzewka wyrastające ze śniegu leżącego pośrodku tutejszych ulic, które niegdyś tak żmudnie oczyszczono. Siostry nadal Podróżują do Salidaru, aby sprawdzić gołębniki z pocztowymi ptakami, a każda z Aes Sedai jest ogromnie zazdrosna i bardzo się obawia, czy gołąb wysłany przez którąś z jej „oczu i uszu” nie trafi w inne ręce. Taka wyprawa sprawdzała się wszakże jedynie w świecie jawy. Przeglądanie gołębników w Świecie Snów miało równie mało sensu jak pragnienie, by jakimś cudownym trafem gołębie same odszukały w *Tel'aran'rhiod* śniącego. Oswojone zwierzęta i ptactwo najwyraźniej nie posiadały swoich odpowiedników w Świecie Snów, podobnie jak żaden dokonany w nim czyn nie mógł nijak „tknąć” krainy jawy. Natomiast siostry z dostępem do *ter'angreali* snu mogły odwiedzać inne miejsca niż opuszczona wioska w Altarze i na pewno żadna Aes Sedai poza Egwene nie miała powodów przybyć tutaj we śnie. Salidar należał do tych miejsc na ziemi, w których nikt Amyrlin nie zaskoczy, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. W zbyt wielu innych pomieszczeniach przyłapała zaś wścibskie osoby, chętne podsłuchać jej rozmowy. Albo znajdowała tam przeraźliwy smutek. Nie chciała na przykład sprawdzać, co się stało z Dwoma Rzekami od czasu jej odejścia...

Czekając na zjawienie się Elayne, Egwene starała się zapanować nad zniecierpliwieniem. Elayne nie była Spacerującą Po Snach, musiała więc użyć *ter'angreala*. I na pewno zapragnie poinformować Aviendhę, dokąd się wybiera. Tym niemniej, po kilku minutach, Amyrlin zdała sobie sprawę z tego, że kroczy po nierównych deskach podłogowych; była straszliwie poirytowana. W Świecie Snów czas płynął zupełnie inaczej. Godzina w *Tel'aran'rhiod* mogłaby oznaczać zaledwie parę minut w świecie jawy lub wręcz odwrotnie. Być może Elayne lada chwila wpadnie tu niczym wichura... Egwene obejrzała tymczasem swój strój: szarą, jeździecką suknię z wyszukany zielonym haftem przy staniku i na szerokich taśmach naszytych na rozcięte spódnice... Czyżby rzeczywiście uważała się za przedstawicielkę Zielonych Ajah? Włosy oplatała jej zwykła srebrna siatka. Ani chybi długa, wąska stuła Amyrlin wisiała jej na szyi. Egwene bezwiednie użyła siły woli i stuła zniknęła, jednakże po chwili zastanowienia odwołała polecenie i stuła wróciła. A raczej po prostu pozwoliła stule wrócić. Ten wąski pas materiału stanowił w jakimś sensie integralną część jej osobowości, a z Elayne musiała porozmawiać właśnie jako Amyrlin.

Kobietą, która w końcu nagle i zupełnie niespodziewanie pojawiła się w pokoju, nie była niestety Elayne, lecz Aviendha, o dziwo ubrana w błękitną suknię haftowaną srebrem oraz obszytą przy nadgarstkach i szyi jasną koronką. Aviendha nosiła ciężką bransoletkę z rzeźbionej kości słoniowej, która tak samo nie pasowała do sukni jak zawieszony na jej szyi skórzany rzemyk z *ter'angrealem* snu – osobliwie poskręcany kamiennym pierścieniem z kolorowymi cętkami.

– *Gdzie jest Elayne?* – spytała z niepokojem Egwene. – *Czy nic się jej nie stało?*

Kobieta Aiel obrzuciła siebie zdumionym spojrzeniem i nagle jej strój się zmienił: teraz miała

na sobie ciemną, szeroką spódnicę i białą bluzkę, na ramionach zaś udrapowany ciemny szal. Ciemna chustka otaczała jej głowę na wysokości skroni i przytrzymywała rudawe włosy, które obecnie sięgały jej aż do talii, czyli – jak podejrzewała Egwene – były dłuższe niż w rzeczywistości. W Świecie Snów wszystko było zmienne. Na szyi Aviendhy ukazały się nieoczekiwane srebrne naszyjniki, skomplikowane sznury zawile wypracowanych krążków, które Kandoryjczycy nazywali płatkami śniegu. Stanowiły prezent od samej Egwene. Dała go Aviendzie kiedyś, bardzo, bardzo dawno temu.

– *Nie mogłaby wykonać tej pracy* – wyjaśniła kobieta Aiel. Bransoletka z kości słoniowej przesunęła się po jej przegubie, gdy Aviendha dotknęła kamiennego pierścienia, który nadal wisiał na skórzanym rzemyku, teraz na naszyjnikach. – *Ostatnio przypląwy wciąż jej się wyslizgują z dłoni. To z powodu dzieci.* – Nagle się uśmiechnęła. Jej szmaragdowe oczy wydawały się niemal błyszczeć. – *Bywa czasami w cudownym nastroju. Zrzuciła pierścień i skakała po nim.*

Egwene pociągnęła nosem. Dzieci? Więc ma się urodzić więcej niż jedno. Dziwne, że Aviendha tak łatwo się pogodziła z ciążą Elayne, Amyrlin była bowiem przekonana, że kobieta Aiel także kocha Randa al'Thora. Aielowie zachowywali się wszakże po swojemu... mówiąc oględnie. Egwene nie pomyślałaby jednak, że Elayne...! I Rand! Nikt właściwie nie potwierdził, że al'Thor jest ojcem dzieci Elayne, lecz Amyrlin nie spytałaby o coś takiego, zresztą potrafiła liczyć dni, a w dodatku szczerze wątpiła, czy Elayne poszłaby do łóżka z innym mężczyzną. Zdała sobie sprawę, że nosi teraz mocne wełny, ciemne i ciężkie, a także szal znacznie grubszy niż Aviendhy. Dobre ubranie z Dwu Rzek. Strój, który się zakłada na posiedzenie Koła Kobiet. Na przykład gdy jakaś głupia kobieta pozwoli sobie na ciążę, a nie weźmie ślubu...

Amyrlin zrobiła głęboki, odprężający wdech i znów była w zielonej, haftowanej sukni do jazdy konnej. Reszta świata nie wyglądała podobnie do Dwu Rzek. O Światłości, Egwene doskonale już o tym wiedziała. Mogło jej się to nie podobać, ale musiała z tym żyć.

– *Póki ona i... dzieci... są zdrowe.* – O Światłości, ile tych dzieci Elayne nosi w łonie? Każda cyfra większa niż jeden oznaczała zapewne trudności. Nie, nie, Amyrlin postanowiła, że nie spyta. Elayne na pewno miała najlepszą akuszerkę w Caemlyn. Egwene zdecydowała się jak najszybciej zmienić temat. – *Miałas wiadomości od Randa? Albo od Nynaeve? Jak mogła z nim tak uciec? Powiedziałabym jej nieco do słuchu.*

– *Nie mamy żadnych wiadomości ani od niego, ani od niej* – odparła Aviendha, poprawiając szal ostrożnie niczym Aes Sedai unikająca oczu swojej Amyrlin. Czy jej ton również był ostrożny?

Egwene aż mlasnęła językiem, tak bardzo ją zirytowało własne zachowanie. Naprawdę wszędzie zaczynała dostrzegać spisek i wszystko wydawało jej się podejrzanym. Rand zaczął się ukrywać i tyle. A Nynaeve al'Maera wszak była Aes Sedai i mogła postępować wedle własnej woli. Mogła robić, co chciała, nawet mimo poleceń Amyrlin. Aes Sedai często znajdowały sposób obejścia rozkazów Amyrlin i przeprowadzenia własnego planu. Tym niemniej Egwene także miała swój plan wobec Nynaeve. Kiedy ją spotka... A co do Randa...

– *Obawiam się, że grożą wam kłopoty* – oświadczyła.

Na stole ukazała się taca z kutego srebra, a na niej piękny srebrny imbryczek oraz dwie zielone filiżanki z delikatnej porcelany. Z dzióbka imbryka wzniosła się smużka pary. Egwene potrafiłaby sprawić, aby herbata ukazała się od razu w filiżankach, a jednak nalewanie wydawało się częścią rytuału podawania napoju, nawet tej efemerycznej herbaty w pseudorzeczywistości Świata Snów. Można by umrzeć z pragnienia, próbując wypić płyn znaleziony w *Tel'aran'rhiod*, niezależnie od jego jakości czy ilości, w dodatku ta herbata smakowała obrzydliwie, więc Egwene osłodziła ją kilkoma łyżeczkami miodu. Zająwszy jedno z krzesel, popijała ciepły płyn i równocześnie

wyjaśniała, co się zdarzyło w Komnacie i dlaczego.

Po jej pierwszych słowach Aviendha zastygła z filiżanką, którą trzymała za uszko w koniuszkach palców. Nie piła, tylko przyglądała się Amyrlin bez mrugnięcia okiem. Jej ciemne spódnice i jasna bluzka zmieniły się teraz w *cadin'sor*: kaftan i spodnie w odcieniach szarości i brązu, które łatwo się wtapiały w zacienione otoczenie. Długie włosy kobiety Aiel skróciły się nagle i zniknęły pod *shoufa*, czarną zasłoną opadającą Aviendzie aż na piersi. Do całości nie pasowała bransoletka z kości słoniowej, która wciąż zdobiła jej nadgarstek, szczególnie że Panny Włóczni nie nosiły żadnej biżuterii.

– *Wszystko z powodu potężnej przenoszonej przez kogoś Mocy, którą wyczułyśmy* – szepnęła na wpół do siebie. Powiedziała to, gdy Egwene skończyła opowieść. – *Ponieważ sądzą, że Ci Którzy Dusze Oddali Cieniowi mają broń.*

Amyrlin pomyślała, że kobieta Aiel wyklada to w dziwny sposób.

– *A znasz inne wyjaśnienie?* – zaciekawiała się Egwene. – *Może któraś z Mądrych coś mówiła?*

Dawno temu już przestała wierzyć, że tylko Aes Sedai posiadają wszelką wiedzę, czasami bowiem Mądre ujawniały zasoby informacji, które zaszokowałyby najbardziej powściągliwą siostrę.

Aviendha zmarszczyła brwi i jej strój ponownie się przekształcił w spódnice, bluzkę i szal, a po chwili w suknię z błękitnego jedwabiu i koronki; wróciły też zarówno kandoryjskie naszyjniki, jak bransoletka z kości słoniowej. *Ter'angreal* snu, czyli kamienny pierścień, nadal oczywiście wisiał na rzemyku. Znow na ramionach kobiety Aiel ukazał się szal. W pokoju panował iście zimowy chłód, więc warstwa lekkiej jak mgiełka bladobłękitnej koronki prawdopodobnie zbytnio nie ogrzewała.

– *Mądre są w tej kwestii równie niepewne jak twoje Aes Sedai. Chociaż, jak sądzą, mniej przestraszone. Życie to sen, z którego każdy się w końcu obudzi. Tańczymy taniec włóczni z Tym Który Zabija Liść.* – To określenie Czarnej zawsze wydawało się Egwene dziwaczne, zwłaszcza że wymyślono je na bezdrzewnym Pustkowiu. – *Nikt wszakże nie zaczyna tego tańca z przekonaniem, że go przeżyje lub że zwycięży. Moim zdaniem Mądre nawet nie rozważą przymierza z Asha'manami. Ale czy jest to roztropne posunięcie?* – zastanowiła się z zadumą. – *Z tego, co powiedziałaś, nie wnioskuję, czy rzeczywiście jesteś zwolenniczką tegoż przymierza.*

– *Nie widzę innego wyjścia* – wyjaśniła niechętnie Amyrlin. – *Otwór w ziemi ma szerokość aż trzech mil! Nie widzę innego rozwiązania tej trudnej sytuacji. Cała nadzieja chyba w tym porozumieniu.*

Aviendha zapatrzyła się w swoją herbatę.

– *A jeśli Ci Którzy Dusze Oddali Cieniowi nie posiadają żadnej broni?*

Nagle Egwene zrozumiała zamysł swojej rozmówczyni. Aviendha szkolila się na Mądrą i niezależnie od swojego ubrania... była już Mądrą. Stąd prawdopodobnie jej szal. Amyrlin z trudem zapanowała nad chęcią uśmiechu. Jej przyjaciółka bardzo się zmieniła z niegdyś często zbyt raptownej Panny Włóczni, jaką była, gdy Egwene ją poznała. Amyrlin starała się jednak nie zapominać, że Mądre nie zawsze mają identyczne cele z zamiarami Aes Sedai. Sprawy, do których siostry przykładały wielką wagę, czasami nie znaczyły dla Mądrych zupełnie nic. Egwene smuciło, że myśli o Aviendzie jako o Mądrej, a nie po prostu jako o przyjaciółce. Szczególnie że Mądre każdą sprawę rozpatrywały pod kątem jej użyteczności dla Aielów, nie zaś dla Białej Wieży. Taka była niestety okrutna prawda.

– *Prędzej czy później musimy się jakoś uporać z Czarną Wieżą, Aviendho, a zgadzam się z opinią Morii, że po świecie chodzi już zbyt wielu Asha'manów, więc nie ma co nawet myśleć o poskromieniu ich wszystkich. Zastanawialiśmy się jednak nad poskromieniem ich przed Ostatnią Bitwą. Może któryś z moich snów wskaże mi jakiś inny sposób, chociaż dotychczas nic takiego się*

nie zdarzyło. – Szczerze mówiąc, w żadnym ze swoich snów nigdy nie znalazła niczego przydatnego. Chociaż... chyba za bardzo uogólniała. – A dzięki porozumieniu mamy szansę zastanowić się, co zrobić z Asha'manami. W każdym razie do porozumienia najprawdopodobniej dojdzie. O ile Zasiadające zdołają uzgodnić detale, na razie bowiem wiedzą jedynie, że chcą wystąpić z propozycją przymierza. Musimy zatem z tym żyć i może na dłuższą metę pomysł okaże się trafny.

Aviendha uśmiechnęła się, nadal nie odrywając wzroku od filiżanki z herbatą. Nie był to wesoły uśmiech, raczej oznaka ulgi, dla której jednakże Egwene nie znajdowała uzasadnienia. Tak czy owak kobieta Aiel przemówiła poważnym tonem:

– Wy, Aes Sedai, zawsze uważacie mężczyzn za głupców. A nierzadko wcale nimi nie są. Rządzciej, niż sądzicie, zapewniam cię. Bądźcie ostrożne z tymi Asha'manami. Mazrim Taim jest mądrym człowiekiem i moim zdaniem także bardzo niebezpiecznym.

– Komnata zdaje sobie z tego sprawę – odparła oschle Egwene. Wierzyła, że Taim jest niebezpieczny. Innym mężczyznom zapewne również warto się dokładniej przyjrzeć. – Nie wiem, po co w ogóle dyskutujemy tę kwestię. Ten problem i tak już mi się wymknął spod kontroli. Ważny jest wszakże pewien szczegół... Gdy w końcu siostry ustalą konieczność zawarcia przymierza, uznają też, że Czarna Wieża przestaje być przeszkodą wobec wizyty w Caemlyn i za tydzień, a może nawet jutro Aes Sedai zaczną się wyprawiać tam z zamiarem odwiedzin u Elayne lub oceny stanu obłączenia. Jeśli chcemy zachować dalej w tajemnicy nasze sekrety, musimy podjąć pewne decyzje na wypadek takiej ewentualności. Mam kilka sugestii, którymi chcę się z tobą podzielić. Żywię nadzieję, że i ty masz jakieś pomysły.

Myśl o obcej siostrze pojawiającej się znienacka w Królewskim Pałacu wyraźnie poruszyła Aviendhę – do tego stopnia, że podczas ich rozmowy jej strój zmieniał się z błękitnej jedwabnej sukni, przez *cadin'sor*, do wełnianej spódnicy i bluzki z *algode*, a później z powrotem; kobieta Aiel wydawała się zupełnie tych przemian nie zauważać. Jej twarz pozostała równie gładka jak u większości sióstr. Aviendha osobiście nie musiała się martwić, że przybyłe w gościnę Aes Sedai odkryją Kuzynki, pojmane *sul'dam* i *damane* czy też umowę z Ludem Morza, bez wątpienia wszakże niepokoiła się o następstwa tych wizyt dla Elayne.

Wzmianka o przedstawicielkach Ludu Morza nie tylko doprowadziła do pojawienia się *cadin'sor*, lecz wywołała także okrągłą tarczę z byczej skóry, która leżała teraz obok krzesła Aviendhy wraz z trzema krótkimi włóczniami Aielów. Egwene zadała sobie pytanie, czy z Poszukiwaczkami Wiatru wiąże się jakiś szczególny problem – oprócz zwyczajnych kłopotów – tym niemniej wołała się na ten temat nie odzywać. Skoro Aviendha o nich nie wspomniała, zatem najwyraźniej chodziło o sprawę, którą ona i Elayne pragnęły rozstrzygnąć same. Gdyby uważała, że Amyrlin powinna się czegoś na ten temat dowiedzieć, na pewno by ją powiadomiła. A może nie?

Westchnawszy, Egwene odstawiła na stół filiżankę, która natychmiast zniknęła. Amyrlin przetarła palcami oczy. Podejrzliwość naprawdę ostatnio stała się jej drugą naturą. Zresztą prawdopodobnie bez tej podejrzliwości nie pożyłaby długo. Tak czy inaczej, trzeba czasem dać spokój podejrzeniom, zwłaszcza w towarzystwie przyjaciółki.

– Jesteś zmęczona – zauważyła Aviendha, znów w białej bluzce, ciemnej spódnicy i szalu. Stanowiła teraz uosobienie zatroskanej Mądrej o ostrych zielonych oczach. – Nie sypiasz dobrze?

– Dobrze sypiam – skłamała Egwene, wymuszając uśmiech. Aviendha i Elayne miały dość własnych zmartwień bez jej bólów głowy. – Nie mogę nic więcej wymyślić – zdradziła przyjaciółce, wstając. – Ty potrafisz? Zatem skończyłyśmy – podsumowała, gdy kobieta Aiel potrząsnęła głową. – Przekaż Elayne, żeby o siebie dbała. I ty dbaj o nią. O nią i o jej dzieci.

– Będę – zapewniła ją Aviendha, ponownie w błękitnych jedwabkach. – Lecz i ty powinnaś o

siebie zadbać. Myślę, że zbyt ciężko pracujesz i zbyt wiele myślisz. Śpij dobrze i obudź się wypoczęta – oświadczyła łagodnie typowymi dla Aielów słowami na dobranoc, po czym zniknęła.

Amyrlin zmarszczyła brwi, patrząc w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała jej rozmówczyni. Wcale nie pracowała zbyt ciężko. Jedynie w granicach rozsądku i wytrzymałości. Wróciła do swego ciała i odkryła, że twardo spało.

Co nie znaczy, że sama Egwene także spała, w każdym razie nie do końca. Jej ciało spało, oddychając powoli i głęboko, więc Amyrlin wsunęła się w nie delikatnie, tuż pod warstwę snu. Mogłaby poczekać do przebudzenia, potem przypomnieć sobie sny i zapisać je w małej, oprawnej w skórę książeczce. Trzymała ją na dnie jednego z odzieżowych kufrów, przykrytą cienkimi lnianymi elementami bielizny pościelowej, których nikt nie będzie wyjmował aż do wiosny. Prościej i szybciej było wszakże obserwować sny wtedy, gdy się zdarzały. Może wówczas łatwiej by pojęła, co oznaczają. Przynajmniej stanowiły coś więcej niż nocne fantazje.

Było ich sporo, w wielu pojawiał się Gawyn, przystojny wysoki mężczyzna, który brał ją w ramiona, tańczył z nią i kochał się z nią. Pewnego razu – we śnie – spłoszyła się na myśl o uprawianiu z nim miłości. A gdy przypomniła sobie o tym po przebudzeniu, aż się zarumieniła. Teraz własne zachowanie wydawało jej się głupie i dziecinne. Pewnego dnia uczyni Gawyna swoim Strażnikiem, jakoś to zrobi... a następnie poślubi go i będzie się z nim kochała tak długo, aż jej mężczyzna zacznie błagać o litość. Wymyśliła to we śnie i zachichotała na tę myśl. Większość innych snów jednakże naprawdę nie była tak przyjemna. W jednym na przykład Egwene brnęła przez sięgający jej do pasa śnieg wśród gęsto rosnących drzew i wiedziała tylko jedno: że musi dotrzeć do krawędzi lasu. Ale nawet kiedy mignęła jej w przelocie polana, sekundę później oddaliła się w widoczny sposób i Amyrlin musiała grzęznąć dalej. I tak bez końca. W innym śnie z kolei pchała wielki młyński kamień, wtaczając go na strome wzgórze, lecz ilekroć prawie dochodziła do szczytu, potykała się i spadała, patrząc, jak ogromny kamień stacza się z powrotem na dół. Wzdychała, powoli i ostrożnie wycofywała się po niego i znów zaczynała go wtaczać; tyle że wzgórze za każdym razem było wyższe niż uprzednio. Dobrze się znała na snach, toteż wiedziała, skąd się brały takie męczące, nawet jeżeli nie miały żadnego szczególnego znaczenia. To znaczy żadnego poza faktem, że Egwene czuła się w nich wyczerpana i miała do wykonania z pozoru niekończące się zadanie. Wiedza ta niestety w niczym dziewczynie nie pomagała. W tych żmudnych snach jej ciało się szarpało i szamotało, a Egwene próbowała uspokoić mięśnie i jakoś się odprężyć. Ten rodzaj półsnu był niewiele lepszy niż pozbawiona snów noc, którą spędzała, wierząc się i kręcąc na łóżku. Przecież jej wysiłki dawały czasem efekt, jako taki efekt.

Pewnego razu cała drżała, gdyż śniło jej się, że została zmuszona do ciągnięcia błotnistą drogą olbrzymiego wozu, na którym tłoczyły się dziesiątki Aes Sedai.

Miała jeszcze wiele innych marzeń sennych, osobnych lub przemieszanych z tamtymi.

Czasami widywała w nich Mata Cauthona. W niektórych znajdował się na łące i grał w kule. Gdzieś niedaleko od niego majaczyły kryte strzechą domy widoczne w niewyraźny, typowy dla snów sposób... Nierzadko dachy były łupkowe, czasem domy wyglądały na kamienne, niekiedy na drewniane. Mata wszakże zawsze widziała ostro i wyraźnie. Zazwyczaj miał na sobie piękny, zielony płaszcz i czarny kapelusz z szerokim rondem, dokładnie jak owego dnia, gdy jechał do Salidaru. W takich snach w zasięgu wzroku Amyrlin niemal nigdy nie było nikogo innego. Mat pocierał kulę w dłoniach, potem brał krótki rozbieg i od niechcienia rzucał kulę, a ona toczyła się po gładkiej trawie. Strącał wszystkie dziewięć słupków, które upadały na bok, jakby je ktoś kopnął. Mat odwracał się wtedy i podnosił kolejną kulę, a słupki natychmiast wracały do pionu. Nie, może raczej pojawiał się nowy komplet słupków. Stare wciąż leżały tam, gdzie upadły. Mat znowu rzucał kulę, leniwie i

niedbale. A Egwene miała ochotę wrzasnąć, gdyż słupki zamiast kawałków drewna okazywały się... mężczyznami, którzy trwali w milczeniu, wpatrując się w pędzącą ku nim kulę. Żaden się nie poruszył, póki kula w niego nie trafiła... Mat zaś znów obracał się po kolejną kulę i wśród starych, leżących na ziemi pojawiały się nowsze słupki, nowi ludzie. Ci nowi stawali w równych rzędkach pomiędzy wcześniejszymi, którzy leżeli rozłożeni na ziemi i wyglądali na martwych. Ależ tak, oni byli martwi. Mat zaś, zupełnie się nimi nie przejmując, toczył kolejne kule.

Ten sen był prawdziwy. Egwene wiedziała o tym na długo przed przebudzeniem. Mignęła jej w nim przyszłość, która może się zdarzyć, choć nie musi. A może sen stanowił ostrzeżenie, wskazówkę, czego należy wypatrywać i na co należy uważać. Tak zwane prawdziwe sny zawsze stanowiły możliwość, potencjalność, a nie pewność, o czym Amyrlin często musiała sobie przypominać. Śnienie wszak nie równało się głoszeniu Przepowiedni... Tym niemniej sny owe stanowiły ewentualność straszliwą. Każdy z tych „ludzkich słupków” uosabiał tysiące osób. Egwene była co do tego absolutnie przekonana. W jednym śnie jako część tej możliwości pojawiała się jakaś Iluminatorka. Mat spotkał kiedyś pewną Iluminatorkę – raz, ale dawno temu, ten sen natomiast kojarzył się raczej z ostatnimi wydarzeniami. Obecnie Iluminatorzy rozproszyli się, a ich gildie zniknęły. Jedna z Iluminatorek współpracowała na przykład z podróżnym widowiskiem, z którym jechały przez jakiś czas Elayne i Nynaeve. Zresztą Mat mógł znaleźć Iluminatorkę gdziekolwiek. Poza tym, cały sen nadal reprezentował tylko potencjalną przyszłość. Ponurą i krwawą, lecz jedynie potencjalną. Tyle że Amyrlin śniła ów sen przynajmniej dwukrotnie. Nie, nie był to za każdym razem ten sam sen, nie dokładnie ten sam, choć jego wydźwięk stale pozostawał identyczny. Czy częstotliwość występowania tego snu zwiększała prawdopodobieństwo jego spełnienia się? Egwene musiałaby spytać o to Mądre, jej niechęć wobec takich działań rosła zaś coraz bardziej. Każdym pytaniem, które zadawała, ujawniała im wszak jakieś fakty, a ich dążenia nie zgadzały się z jej celami. Starając się zachować największe wartości Aielów, Mądre prawdopodobnie pozwoliłyby na całkowite zniszczenie Białej Wieży. Amyrlin natomiast musiała myśleć szerzej – nie tylko o jakimś jednym ludziku, nie tylko o jednym konkretnym narodzie.

Inne sny. Liczne sny...

Wspinała się wąską, skalistą ścieżką wzdłuż lica gigantycznego urwiska. Otoczyły ją chmury, skrywając przed nią leżącą pod nią ziemię i wznoszący się nad nią wierzchołek, tym niemniej Egwene wiedziała, że jedno i drugie znajduje się bardzo daleko od niej. Stopy musiała stawiać z wielką ostrożnością. Ścieżka była popękany skalnym występem, zaledwie na tyle szerokim, że Amyrlin mieściła się na nim, o ile przyłgnęła jednym ramieniem do ściany i zarzuconym kamieniami wielkości jej pięści – gdyby źle postawiła stopę lub się na którymś poślizgnęła, bez wątpienia runęłaby w przepaść. Ten sen przypominał noce, w których w snach pchała młyńskie kamienie bądź też ciągnęła wozy, istniała jednak drobna różnica: ten był prawdziwy, o czym doskonale wiedziała.

Nagle skalny występ rzeczywiście usunął jej się spod stóp. Usłyszała trzask kruszących się kamieni i zawisła na krawędzi urwiska, szaleńczo i po omacku szukając jakiegoś zaczepienia dla palców. Wreszcie natrafiła opuszkami na małą szczelinę, wsunęła w nią palce i zatrzymała się – jej upadek zakończył się szarpnięciem i gwałtownym bólem ramion. Wisząc ze stopami sięgającymi mglistych chmur, Egwene wsłuchiwała się w świst spadającego kamienia, a później w jego trzask o ścianę skalną. Później zapanowała cisza – tak długa, że Amyrlin zaczęła podejrzewać, iż kamień nigdy nie uderzy w ziemię. Nagle po swojej lewej stronie dostrzegła niewyraźnie pęknięcie w skalnym występie. Niestety, dzieliła ją od niego odległość dziesięciu stóp, czyli był równie niedostępny, jak gdyby znajdował się od niej o całą milę. Spojrzała zatem na prawo. Tu mgła ukryła wszelkie ewentualne pozostałości ścieżki, choć Egwene była przekonana, że trakt nie zniknął. Jej

ramiona słabły. Nie dała rady się podciągnąć, potrafiła jedynie wisieć w miejscu, zaczeplona koniuszkami palców. Gdy całkowicie straci siły, spadnie. Krawędź szczeliny pod palcami wydawała się ostra niczym nóż.

Nagle ukazała jej się obca kobieta. Po prostopadłej ścianie urwiska – niby z chmur – schodziła zwinnie jak po schodach. Do pleców miała przywiązany miecz. Jej twarz osobliwie migotała, rysy ani na moment nie pozostawały spokojne, broń wszakże wyglądała na równie solidną jak kamień. W końcu kobieta dotarła do Amyrlin i wyciągnęła do niej dłonie.

– *Możemy razem dojść do szczytu* – oświadczyła, cedząc słowa w znajomy sposób.

Egwene siłą woli odsunęła od siebie ten sen. Zrobiła to, jakby odrzucała od siebie groźną zmiję. Czując, że jej ciało tętni, słyszała własne senne jęki, w tej chwili jednak nic na to nie mogła poradzić. Już wcześniej śniła o Seanchanach, a dokładnie o jednej seanchańskiej kobiecie w jakiś sposób z nią związanej, lecz teraz po raz pierwszy Seanchanka usiłowała ją uratować. O nie, co to, to nie! Seanchanie wzięliby ją na smycz, czyniąc z niej *damane*. Uratowana przez Seanchankę Amyrlin wkrótce by umarła!

Minęło naprawdę sporo czasu, zanim zdołała uspokoić swoje uśpione ciało. Choć może ten czas tylko wydawał jej się długi. Nie Seanchanka, nie ona. Egwene nigdy na to nie pozwoli!

Sen powoli wrócił.

Wchodziła teraz inną ścieżką wzdłuż urwiska okrytego całunem chmur, w tej chwili wszakże przemieszczała się po znacznie obszerniejszym występie skalnym. Trakt był równy, biały i płaski, toteż jej stopy nie napotykały na żadne kamienie. Samo urwisko miało odcień kredowobiały i było gładkie niczym wypolerowane. Mimo chmur jasny kamień niemal błyszczał. Amyrlin wspinała się szybko i prędko zrozumiała, że ścieżka ma postać wznoszącej się spirali, a urwisko jest w rzeczywistości iglicą. Ledwie o tym pomyślała, stanęła na szczycie, który okazał się płaskim lśniącym dyskiem otoczonym przez ściany mgły. Właściwie nie był całkowicie płaski. W samym środku owego dysku stał mały biały postument, na nim zaś lampa olejowa wykonana z przezroczystego szkła. W lampie płonął ogień – jasno i mocno, bez migotania. Również był biały.

Nagle z mgły wyleciała para ptaków – dwa czarne jak noc kruki. Przeleciały nad wierzchołkiem iglicy, musnęły lampę i, nie zwalniając, pofrunęły dalej. Lampa zakręciła się i zatrzęsa pod wpływem dotknięcia, tańcząc na szczycie cokołu i rozrzucając wokół siebie kropelki oleju. Kilka tych kropli zapaliło się w powietrzu i natychmiast zniknęło, inne zaś opadły wokół niewysokiego postumentu, każda w postaci maleńkiego, migoczącego białego płomyka. Egwene ogarnął lęk, że lampa, która nie przestawała się trząść, przewróci się na postument.

Amyrlin obudziła się nagle w ciemnościach. Wiedziała! Pierwszy raz naprawdę dokładnie wiedziała, co oznacza ów sen. Dlaczego wszakże wcześniej śniła o seanchańskiej kobiecie, która ją ratuje, a potem o Seanchanach atakujących Białą Wieżę? O szturmie, który wstrząśnie podstawami świata Aes Sedai i zagrozi samej Wieży. Ten sen, ma się rozumieć, ukazywał tylko pewną ewentualność. Jednakże widziane w prawdziwych snach zdarzenia były bardziej prawdopodobne niż wszystkie inne możliwości.

Egwene sądziła, że rozważa tę kwestię na spokojnie, lecz na nieoczekiwany szelest płótna lekkich wejściowych klap z niepokoju o mało nie objęła Prawdziwego Źródła. Pospiesznie narzuciła sobie spokój, który zamierzała osiągnąć dzięki ćwiczeniom nowicjuszki – na przykład wyobrażeniom wody płynącej po gładkich kamieniach i podmuchów wiatru przesuwających wysoką trawę. O Światłości, naprawdę się przestraszyła. Potrzebowała aż dwóch ćwiczeń, aby osiągnąć jako taki spokój! Otworzyła usta, zamierzając spytać, kto przyszedł.

– Śpisz? – uprzedziła jej pytanie Halima cichym głosem. W tonie kobiety Amyrlin dosłyszała

niejakie napięcie, może nawet ekscytację. – No cóż, nie miałabym nic przeciwko jednej spokojnej nocy – dodała zrzędliwie.

Słuchając, jak Halima rozbiera się i kładzie w ciemnościach, Egwene leżała zupełnie nieruchomo. Gdyby w jakiś sposób zasugerowała tamtej, że nie śpi, musiałaby z nią porozmawiać, a w tej chwili taka rozmowa wydawała się jej zbyt krępująca. Była absolutnie przekonana, że Halima znalazła sobie towarzystwo, choć najwyraźniej nie na całą noc. Och, sekretarka Delany mogła oczywiście robić, co chciała... tym niemniej Amyrlin i tak poczuła rozczerowanie.

Zaprzęgnęła śnić dalej i szybko odkryła, że „zsuwa” się w kolejny sen. Tym razem nie próbowała się zatrzymać w połowie drogi. Pamiętała wszystkie swoje przeszłe sny i nie potrzebowała wybierać jakiegoś konkretnego.

Wcześniej rano weszła Chesa. Przyniosła tacę ze śniadaniem, miała też pomóc Egwene z suknią. Było bardzo wcześnie i jeszcze dość mrocznie. Słońce dopiero wstawało, toteż Chesa musiała zapalić lampę, jeśli chciała coś widzieć. Żar w koszu z płonącymi węglami zagasł w trakcie nocy, a wiszące w powietrzu zimno dodawało otoczeniu posępności. Prawdopodobnie podczas dnia znów spadnie śnieg. Halima zakładała jedwabną bieliznę i suknię, śmiejąc się oraz żartując na temat własnej potrzeby posiadania pokojówki, podczas gdy służąca Amyrlin zapinała rzędy guzików na plecach sukienki Egwene. Pulchna Chesa przybrała obojętną twarz, kompletnie ignorując Halimę. Amyrlin również nijak nie skomentowała zachowania trzpiotki. W każdym razie nie powiedziała niczego stanowczego. Halima nie była u niej na służbie i Amyrlin nie miała prawa jej pouczać.

Natychmiast gdy Chesa zapięła ostatni z małych guzików i poklepała swoją panią lekko po ramieniu, do namiotu wsunęła się Nisao, wpuszczając nową falę zimnego powietrza. Zerknąwszy między rozchylone na moment klapy, Egwene dostrzegła, że na dworze nadal jest szarawo. Tak, tak, na pewno dziś spadnie śnieg.

– Muszę porozmawiać z Matką sam na sam – oznajmiła Nisao, tak mocno otulając się płaszczem, jakby w powietrzu już unosił się zimny biały puch.

Taki stanowczy ton był u tej niewysokiej kobiety czymś kompletnie niezwykłym.

Amyrlin kiwnęła głową Chesie, która dygnęła, choć po drodze do wyjścia z namiotu nie potrafiła się powstrzymać przed uwagą: „Postaraj się zjeść, zanim śniadanie wystygnie”.

Halima znieruchomiała, przypatrując się najpierw Nisao, potem Egwene, w końcu podniosła płaszcz niedbale rzucony na stertę u stóp jej łóżka.

– Przypuszczam, że Delana ma dla mnie jakąś pracę – stwierdziła z lekką irytacją w głosie.

Popatrując na plecy wychodzącej Halimy, Nisao zmarszczyła brwi, nic jednak nie powiedziała. Po sekundzie objęła *saidar*, tkając wokół siebie i Amyrlin zabezpieczenie przed podsłuchem. Nawet nie spytała Egwene o pozwolenie w tej kwestii!

– Anaiya i jej Strażnik nie żyją – rzuciła od razu. – Kilku robotników wnoszących worki z węglem słyszało ubiegłej nocy hałas... coś w rodzaju szamotaniny... toteż pobiegli zobaczyć, co się dzieje. Znaleźli Anaiyę i Setaganę leżących na śniegu. Oboje byli martwi.

Amyrlin usiadła powoli na krześle, które nie wydało jej się w tej chwili szczególnie wygodne. Anaiya nie żyła! Anaiya... Piękny miała jedynie uśmiech, lecz kiedy się uśmiechała, całe otoczenie wokół niej jakoś się ogrzewało. Miała przeciętną twarz i uwielbiała się stroić w koronki. Egwene wiedziała, że powinna odczuwać smutek także z powodu śmierci Setagany, jednakże był on jedynie Strażnikiem. Gdyby przeżył swoją Aes Sedai, i tak bez wątplenia nie pożyłby długo.

– Jak to się stało? – spytała.

Wiedziała, że Nisao nie utkałaby zabezpieczenia przeciwpodsłuchowego jedynie dla przekazania informacji o śmierci Anaiyi.

Rysy Nisao stwardniały i mimo zabezpieczeń kobieta obejrzała się przez ramię, jakby w obawie, że ktoś stoi na progu i przysłuchuje się ich rozmowie.

– Robotnicy sądzili, że ci dwoje zjedli nieodpowiednio zamarynowane grzyby. Niektórzy farmerzy zbierają nam wszystko, byle się tylko tego pozbyć i oczywiście dla zarobku, a nieodpowiedni gatunek albo mieszanka grzybów może doprowadzić do zadławienia, zatrzymania oddechu lub opuchlizny gardła. A wtedy człowiek umiera, walcząc o powietrze. – Egwene niecierpliwie pokiwała głową. W końcu wychowała się w wiosce. – Początkowo wszyscy zaakceptowali takie wyjaśnienie – podjęła Nisao. Wyraźnie się nie spieszyła z opowieścią. W palcach zwijała i miętoszyła fałdy płaszcza. Jawnie nie miała ochoty wygłosić ostatecznych wniosków. – W każdym razie – podjęła – oboje nie mieli żadnych ran ani skaleczeń. Nie wydawał się istnieć powód do szukania innej przyczyny zgonu niż zatrucie grzybami nabytymi od chciwego farmera. Tym niemniej... – Westchnęła, ponownie zerknęła przez ramię, po czym jeszcze bardziej ściszyła głos: – Przypuszczam wszakże, iż ich śmierć ma związek z wczorajszą dyskusją w Komnacie... Dyskusją o Czarnej Wieży. Poszukałam bowiem rezonansu i odkryłam, że oboje zostali zabici przy użyciu *saidina*. – Grymas wstrętu wykrzywił jej twarz. – Myślę, że ktoś po prostu utkał mocne przepływy Powietrza wokół ich głów i obojgu pozwolił się udusić.

Zadrżała, po czym szczelniej otoczyła się płaszczem.

Egwene też miała ochotę zadrzeć. Była zaskoczona, że udało jej się pozostać w stanie nieruchomym. Anaiya nie żyła! Została uduszona! Tę umyślnie okrutną metodę morderstwa wybierały osoby, które starały się nie zostawiać żadnych śladów.

– Powiedziałaś już o tym komuś?

– Oczywiście, że nie – odparła z oburzeniem Nisao. – Przyszłam prosto do ciebie. W każdym razie... natychmiast, kiedy się dowiedziałam, że wstałaś.

– To niedobrze, Nisao. Będiesz musiała wyjaśnić wszystkim motywy swojej zwłoki. Nie możemy zatrzymać tego sekretu dla siebie. – Chociaż właściwie mogłyby. Wiele rządzących Amyrlin ukrywało przed resztą Aes Sedai co mroczniejsze tajemnice, jeśli uważały, że należy tak postąpić dla dobra Wieży. – Skoro jest wśród nas mężczyzna, który potrafi przenosić Moc, nie możemy pozostawić sióstr w nieświadomości. Muszą być przygotowane na najgorsze. – Ukrywający się między robotnikami czy żołnierzami osobnik z umiejętnością przenoszenia *saidina* wydawał się czymś nieprawdopodobnym, choć jeszcze dziwniejszy byłby ktoś obcy, specjalnie przybywający do obozu z zamiarem zabicia jednej konkretnej siostry i jej Strażnika. Tak czy owak, tu pojawiało się kolejne pytanie: – Dlaczego akurat Anaiya? Czyżby znalazła się tylko w niewłaściwym miejscu o nieodpowiedniej porze, Nisao? Gdzie oni umarli?

– Blisko wozów na południowej stronie obozowiska. Nie wiem, po co wybrali się tam w środku nocy. No chyba, że Anaiya szła do ustępu, a Setagana uznał, że nawet tam powinien jej pilnować.

– Będziesz się musiała tego dowiedzieć dla mnie, Nisao. Co porabiali Anaiya i Setagana, podczas gdy reszta z nas spała? Dlaczego ich zabito? Zarówno swoje śledztwo, jak i ewentualne odkrycia w tej kwestii zachowasz w całkowitym secrecie. Póki nie znajdziesz jednoznacznego wytłumaczenia, tylko my dwie będziemy wiedziały, że poszukujesz rozwiązania.

Nisao otworzyła usta, a następnie je zamknęła.

– Jeśli trzeba, to trzeba – mruknęła chwilę później, na wpół szepcząc. Właściwie nie była przyzwyczajona do zachowywania tajemnic i doskonale o tym wiedziała. Ostatnie sekrety doprowadziły ją do przysięgi wobec Zasiadającej na Tronie Amyrlin. – Czy morderstwo powstrzyma rozmowy o porozumieniu z Czarną Wieżą?

– Szczerze wątpię – odrzekła Egwene znużonym głosem. O Światłości, jak to możliwe, że o tak wczesnej porze już czuła zmęczenie? Słońce nawet nie wspięło się jeszcze w pełni nad horyzont. – Tak czy inaczej, sądzę, że czeka nas kolejny bardzo długi dzień.

I najlepsze, na co mogła mieć nadzieję, to następna noc bez bólu głowy.

Rozdział 7

Znak

Alviarin przeszła przez bramę, która zamknęła się za nią, powoli odcinając olśniewający błękit. Kobieta prawie natychmiast kichnęła od kurzu, który wznieciły jej buty. Po chwili kichnęła po raz drugi, przy trzecim kichnięciu zaś stanęły jej w oczach łzy. Oświetlony jedynie unoszącą się przed Alviarin rozjarzoną kulą magazyn o surowych ścianach, wyrąbany z podłoża skalnego trzy poziomy pod Biblioteką Wieży, był pusty z wyjątkiem warstw nagromadzonego przez stulecia kurzu. Kobieta wolałaby raczej wrócić prosto do swoich apartamentów w samej Wieży, niestety, zawsze istniało ryzyko natknięcia się na sprzątającą służącą, którą musiałaby zabić, a następnie pozbyć się ciała i wierzyć, że nikt nie zapamięta służebnej dziewczyny wchodzącej do jej pokojów. Wszak Mesaana rozkazała jej trzymać się w ukryciu i nie wzbudzać nawet najmniejszych podejrzeń. Alviarin uznała to polecenie za przesadną ostrożność, skoro Czarne Ajah bezkarnie chodziły po Wieży od momentu jej założenia, tyle że... gdy jedna z Wybranych wydawała jakieś polecenie, tylko głupiec był wobec niego nieposłuszny. Przynajmniej wtedy, kiedy Wybrana mogła się o jego niesubordynacji dowiedzieć.

Poirytowana Alviarin przenosiła przez moment Moc, starając się usunąć z powietrza drobinki kurzu i machając rękoma tak energicznie, że o mało nie zatrzęsła się kamienna podłoga. Nie musiałaby stale powtarzać tego rytuału, gdyby po prostu zmiotła cały kurz do kąta, zamiast przesuwając go z miejsca na miejsce. Sądziła, że od lat nikt inny nie zaszedł tak głęboko w sutereny Biblioteki, więc jej zdaniem nikt nie zauważyłby niespodziewanej czystości tego pomieszczenia. Chociaż... Zawsze znajdzie się ktoś, kto postępuje inaczej niż wszyscy. Sama Alviarin często wybierała działania niestandardowe i nie miała zamiaru dać się przyłapać przez własną durną pomyłkę czy niedopatrzanie. Tym niemniej gderała pod nosem, gdy przenosiła Jedyne Moc, usiłując także oczyścić z czerwonego błota buty, brzegi spódnic i płaszcza. Wydawało jej się nieprawdopodobne, że ktoś mógłby rozpoznać, iż błoto pochodzi z Tremalking, największej wyspy Ludu Morza, jednak potencjalnego obserwatora mógłby zastanowić fakt, gdzie kobieta się tak ubrudziła, skoro tereny wokół Wieży były zasypane śniegiem, z wyjątkiem miejsc, które odśnieżono, tam jednak ziemia była mocno zmrożona.

Wciąż mamrocząc coś do siebie, Alviarin znów przeniosła nieco *saidara*, tłumiąc za jego pomocą pisk zardzewiałych zawiasów wydawany podczas otwierania drzwi z niepolerowanego drewna. Istniał sposób wykonania splotu i ukrycia go, dzięki czemu nie musiałaby za każdym razem łagodzić tego skrzypienia – była co do tego przekonana – niestety Mesaana nie chciała go jej nauczyć.

Mesaana naprawdę ją drażniła. Nauczała ją tego, czego chciała i niczego więcej, wskazywała cuda, a potem zatrzymywała dla siebie swoją związaną z nimi wiedzę. W dodatku wykorzystywała Alviarin niczym zwykłą dziewczynę na posyłki. Alviarin siadywała w Najwyższej Radzie i знаła imię każdej Czarnej siostry w każdej jednostce zwanej sercem, czyli wiedziała więcej niż Mesaana. Tę Wybraną nie bardzo interesowało, kto wypełnia jej rozkazy, póki ktoś wypełniał je co do joty. Aż za często wydawała polecenia samej Alviarin, zmuszając ją do kontaktów z kobietami i mężczyznami, którzy uważali się za jej równych tylko dlatego, że także służyli Wielkiemu Władcy. Zbyt wielu Sprzymierzeńców Ciemności uważało się za równych Aes Sedai lub nawet lepszych od siostr. Co gorsza, Mesaana zabroniła jej ich pouczać czy strofować. Ech, te odpychające małe szczyry pozbawione zdolności przenoszenia Mocy... A Alviarin musiała być wobec nich grzeczna, jedynie z tego względu, że być może niektórzy spośród nich służyli innemu Wybranemu lub

Wybranej! Być może! Było oczywiste, że Mesaana nie ma co do tego pewności. Chociaż należała do Wybranych, Alviarin stale podśmiewała się z jej ciągłych wątpliwości.

Sunęła teraz korytarzem, między chropowatymi, kamiennymi ścianami, rozjaśniając sobie drogę za pomocą płynącej przed nią kuli bladego światła. Za sobą zaś ponownie wzniewała drobiny kurzu miękkimi jak puch musnięciami Powietrza, dzięki czemu znowu wyglądały na nienaruszone. Idąc, rozpatrywała rozmaite historie. Wybierze z nich jedną i opowie ją Mesaanie. Właściwie wiedziała, że żadnej nie opowie i myśl ta jeszcze bardziej ją zdenerwowała. Krytykując jedną z Wybranych nawet w najłagodniejszych słowach, człowiek ryzykował ból, a może i śmierć, niemal najpewniej zaś narażał się i na jedno, i na drugie. Chcąc zachować życie, należało się przed Wybranymi płaszczyć i okazywać im posłuszeństwo, przy czym pierwsze było równie ważne jak wtóre. Wprawdzie dla nagrody w postaci nieśmiertelności warto się było nieco poniżyć. Posiadając nieśmiertelność, Alviarin mogłaby zdobyć wszelką możliwą władzę, znacznie większą, niż kiedykolwiek miała jakakolwiek Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Najpierw wszakże musiała wystarczająco długo zachować życie.

Dotarwszy do szczytu pierwszej rampy prowadzącej w górę, przestała się martwić o ukrywanie własnych śladów. Kurzu było tutaj o niebo mniej, a podłogę znaczyły koła ręcznych wózków i posuwiste ślady butów, toteż na pewno nikt nie zauważy słabych odcisków dodatkowej pary stóp. Tym niemniej Alviarin nadal szła szybko. Zazwyczaj ożywiała ją myśl o życiu wiecznym, myśl o ostatecznym rządzeniu poprzez Mesaanę – tak jak teraz rządziła poprzez Elaide. No cóż, na pozór różnica nie była wielka, chociaż... Podporządkowanie sobie Mesaany do stanu uległości Elaidy wydawało się może zbyt ambitne, aczkolwiek Alviarin mogłaby dzięki Mesaanie naprawdę osiągnąć prawdziwą władzę.

Wróciła myślami do faktu, że prawie miesiąc przebywała poza Wieżą. Podczas jej nieobecności Mesaana zapewne nie trudziła się kontrolowaniem Elaidy, choć gdyby doszło do jakichś nieprzewidzianych wydarzeń, bez wątpienia obarczyłaby odpowiedzialnością za błąd właśnie nieobecną Alviarin. Na szczęście ostatnim razem Alviarin odpowiednio zastraszyła Elaide, która wręcz błagała o darowanie jej winy i wstrzymanie kary w postaci prywatnej pokuty u Mistrzynie Nowicjuszek. Tak, tak, obecna Amyrlin na pewno za bardzo się bała, aby wykonać jakiś niewłaściwy ruch. Alviarin była pewna, że Elaida nie zrobi niczego głupiego.

Druga rampa zaprowadziła ją do najwyższej położonej części sutereny, gdzie Alviarin zagasiła rozjarzoną kulę, po czym wypuściła *saidar*. Tutaj cienie były usiane niemal zlewającymi się z sobą plamami bladego światła, rzucanymi przez lampy umieszczone na kamiennych ścianach, starannie na tej kondygnacji otynkowanych. W polu widzenia kobiety nie poruszało się nic oprócz szczura, który przebiegł niedaleko, cicho drapiąc pazurkami kamień posadzki. Alviarin o mało się nie uśmiechnęła. Oczy Wielkiego Władcy Ciemności wprost przeszywały obecnie Wieżę, chociaż nikt chyba nie zauważył zniknięcia zabezpieczeń. Osobiście nie podejrzewała w tym ręki Mesaany. Po prostu zabezpieczenia nie działały już tak dobrze, jak powszechnie mniemano. Były w nich... szpary. Alviarin zupełnie nie dbała o to, czy zwierzę ją zobaczyło i czy w takim przypadku doniesie, co widziało, tym niemniej szybko weszła na stopnie wąskiej półkolistej klatki schodowej. Wiedziała, że gdzieś na tym poziomie sutereny może natrafić na ludzi, którym nie mogła ufać – tak jak nie ufała szczurom.

Podczas wspinaczki pomyślała, że może powinna wypytać Mesaanę w kwestii tego niemożliwego wybuchu Jedynej Mocy – właśnie teraz, póki Wybrana pozostawała... delikatna. Jeśli Alviarin nigdy o nim nie wspomni, Mesaana może uznać, że jej służebnica coś ukrywa. Każda umiejąca przenosić Moc kobieta na świecie niewątpliwie zapytywała siebie, co się zdarzyło. Po

prostu Alviarin musi zachować ostrożność i nawet najmniejszym słówkiem nie zasugerować, że niedawno odwiedziła to miejsce. Zjawiała się tam oczywiście na długo po zaniknięciu poświęty – nie była wszak na tyle głupia, by odwiedzać je zbyt wcześnie – jednakże Mesaana uważała najwyraźniej, że całe życie Alviarin ma się skupiać wyłącznie na wypełnianiu jej poleceń i ani chwili kobieta nie powinna poświęcać własnej osobie. Czy ta Wybrana naprawdę sądzi, że Alviarin nie ma żadnych swoich spraw?! Cóż, w takim razie należy dalej podtrzymywać Mesaanę w tym mniemaniu. W każdym razie jeszcze przez jakiś czas.

W cieniu na szczycie schodów kobieta zatrzymała się na moment przed niewielkimi, prostymi drzwiami, nieporządnie po tej stronie wykończonymi. Otrzeptała się i przełożyła przez ramię płaszcz. Mimo iż Mesaana należała do Wybranych, tym niemniej była istotą ludzką i również popełniała pomyłki. Chociaż swoją służebnicę w mgnieniu oka zabiłaby za byle błąd. Tak, tak, trzeba było się płaszczyć, być posłusznym i zachować życie. I nigdy nie zapominać o ostrożności. Alviarin wiedziała o tym zresztą na długo, zanim spotkała pierwszego spośród Wybranych. Wyjęła z woreczka przy pasie białą stułę Opiekunki, zarzuciła ją sobie na szyję, po czym otworzyła drzwi i wsłuchała się. Zgodnie z oczekiwaniami w jej uszy uderzyła wyłącznie cisza. Alviarin weszła do Dziewiątego Magazynu i zamknęła za sobą drzwi. Od strony wewnętrznej drzwi były nie mniej zwyczajne, choć wypolerowane do lekkiego połysku.

Bibliotekę Wieży podzielono na dwanaście Magazynów, przynajmniej o tylu wiedział świat, a Dziewiąty – przeznaczony na teksty poświęcone różnym formom arytmetyki – był z nich najmniejszy, choć i tak zajmował spore pomieszczenie, czyli wypełnioną rzędami wysokich, drewnianych półek długą, owalną izbę o suficie w postaci spłaszczonej kopuły. Przed każdym rzędem półek mieściła się wąska alejka wyłożona kaflami w siedmiu kolorach, obok półek zaś znajdowały się wysokie drabiny na kółkach, dzięki czemu można je było łatwo przesuwac po alejkach, oraz mosiężne stojące lampy z odbłaśnicami i o podstawach tak ciężkich, że ruszyć mogło je jedynie trzech lub czterech mężczyzn. Ogień stanowił stały problem i troskę Biblioteki; bardzo się go tu wszędzie obawiano. Wszystkie stojące lampy płonęły jasno, oświetlając wszelkie miejsca, w których siostry chciałyby poszukać jakiejś książki albo rękopisu w oprawie, tym niemniej ręczny wózek z półkami, na których leżały trzy grube oprawne w skórę tomy do odłożenia, stał wciąż pośrodku jednego rzędu, dokładnie w tym samym punkcie, w jakim kobieta go zapamiętała ze swojej ostatniej wizyty tutaj. Nie rozumiała, po co poszukiwano różnych form arytmetyki ani dlaczego napisano na ten temat tyle książek i była pewna, że choć Wieża zawsze się szczyciła posiadaniem największego na świecie zbioru woluminów dotyczących każdego możliwego tematu, większość Aes Sedai najprawdopodobniej zgodziłaby się z nią w tej kwestii. Alviarin nigdy nie widziała żadnej siostry w Dziewiątym Magazynie i właśnie z tej przyczyny go wybrała. W szerokich, zwieńczonych łukiem drzwiach, zapraszająco stojących otworem, wsłuchała się w ciszę, a gdy się upewniła, że korytarz jest całkowicie pusty, wsunęła się do środka. Gdyby ktoś ją tutaj zobaczył, mógłby uznać za dziwne jej zainteresowanie tekstami mieszczącymi się akurat w tym pomieszczeniu.

Kiedy pospiesznie szła głównymi korytarzami, których podłogę wyłożono kaflami pomalowanymi w powtarzające się pasy siedmiu barw oznaczających siedem Ajah, przyszło jej do głowy, że w Bibliotece jest ciszej niż zwykle, nawet jeśli wziąć pod uwagę, jak niewiele Aes Sedai pozostało obecnych w Tar Valon. Zawsze można było tutaj spotkać jedną czy dwie siostry, choćby tylko bibliotekarki – na przykład Brązowe, które miały w Bibliotece pokoje (oprócz swoich apartamentów w Wieży) – tym niemniej Alviarin widywała dziś jedynie ogromne płaskorzeźby na korytarzowych ścianach, przedstawiające ozdobnie odzianych ludzi i dziwaczne, wysokie na dziesięć albo więcej stóp zwierzęta. Od podmuchów wiatru wiszące dziesięć kroków nad jej głową zawile

rzeźbione lampy lekko skrzybiały na łańcuchach. A własne kroki wydawały jej się nienaturalnie głośne, szczególnie że wszelkie dźwięki odbijały się od kopulastego sufitu.

– Mogę ci w czymś pomóc? – spytała nagle za nią szeptem jakaś kobieta.

Zaskoczona Alviarin odwróciła się w kierunku głosu, o mało nie upuszczając przy tym swojego płaszcza. Na szczęście szybko zdążyła nad sobą zapanować.

– Chciałam po prostu pochodzić po terenach Biblioteki, Zemaille – wyjaśniła i natychmiast ogarnęła ją irytacja.

Skoro była tak zdenerwowana, że tłumaczyła się byle bibliotekarce, zatem naprawdę musiała się wziąć w garść, zanim stanie przed Mesaaną z raportem. Niemal pragnęła opowiedzieć Zemaille, co się zdarzyło na Tremalking – tylko po to, ażeby sprawdzić, czy kobieta się wzdrygnie.

Uprzejma mina na ciemnawej twarzy Brązowej siostry nie zmieniła się, choć w jej tonie pojawiła się osobliwa, niemożliwa do zinterpretowania emocja. Wysoka i bardzo szczupła Zemaille zawsze przybierała maskę pozornej rezerwy i dystansu, lecz Alviarin podejrzewała, że w rzeczywistości kobieta była znacznie mniej nieśmiała, niż udawała, a także o wiele mniej sympatyczna.

– Jest to całkowicie zrozumiałe – odparła teraz. – W Bibliotece można znaleźć ukojenie, a obecny czas smuci nas wszystkie. A jeszcze bardziej ciebie. Ma się rozumieć.

– Zgadza się – przytaknęła Alviarin zupełnie bez namysłu.

Czas smutku? Szczególnie dla niej?! Zastanowiła się, czy nie zaciągnąć Zemaille w jakiś odosobniony kąt, gdzie mogłaby ją przepytać, a później zabić, w tym momencie wszakże dostrzegła w korytarzu inną Brązową – krągłą kobietę o cerze nawet ciemniejszej niż karnacja Zemaille. Nowo przybyła przyglądała im się z pewnej odległości. Aiden i Zemaille nie były zbyt silne, jeśli chodzi o władanie Mocą, jednakże równoczesne pokonanie ich obu mogło być trudne, o ile w ogóle możliwe. W jakim celu zeszyły we dwie tutaj, na parter? Widywano je obie na wyższych piętrach, gdzie kursowały między dzielonym z Nyein (trzecią siostrą z Ludu Morza) apartamentem oraz tak zwanym Trzynastym Magazynem, siedzibą tajnych archiwów. Wszystkie trzy tam pracowały, z chęcią oddając się swoim obowiązkom. Rozmyślając o nich, Alviarin ruszyła niedbale dalej, wmawiając sobie, że niepokoi się zupełnie bez powodu. Niestety nic jej nie uspokajało i stale czuła ciarki przechodzące po plecach między łopatkami.

Brak bibliotekarek chroniących frontowe wejście tylko zwiększył w niej uczucie niepokoju. Bibliotekarki zawsze stały przy każdym dosłownie wejściu, starając się dopilnować, ażeby żaden kawałek papieru nie opuścił Biblioteki bez ich wiedzy. Alviarin przeniosła nieco Mocy, usiłując z pewnej odległości pchnąć i otworzyć jedno z wysokich wyrzeźbionych drzwi, które następnie pozostawiła uchylone na spiżowych zawiasach, sama zaś pospieszyła w dół szerokimi, marmurowymi schodami. Obszerną, otoczoną szpalerem dębów, kamienną ścieżkę prowadzącą do wysokiej, masywnej bryły Wieży odsnieżono – w przeciwnym razie Alviarin za pomocą Jedynej Mocy stopiłaby śnieg przed sobą. Niech sobie wszyscy myślą, co chcą. Mesaana dokładnie jej uzmysłowiła niebezpieczeństwo związane ze znajomością splotu używanego do Podróżowania, w przeciwnym razie Alviarin z miejsca przemieściłaby się w ten właśnie sposób. Teraz, ponieważ Wieża była w zasięgu wzroku, majacząc nad drzewami i błyszcząc w bladym porannym świetle słonecznym, kobieta mogłaby się dostać do niej jednym krokiem. Zamiast tego zwalczyła ochotę biegu.

Nie zaskoczyło jej, że szerokie i wysokie korytarze Wieży są puste. Przemknęło obok niej tylko kilku służących z białym Płomieniem Tar Valon na piersiach, pospiesznie się kłaniając lub dygając na jej widok. Nie byli dla niej ważni, nie bardziej niż podmuchy wiatru, od których płomienie

połączonych lamp stojących migotały, a ich cienie drgały na tle jasnych gobelinów wiszących na śnieżnobiałych ścianach. Obecnie siostry, jeśli tylko mogły, trzymały się naturalnie kwatery zajmowanych przez własne Ajah i póki Alviarin nie spotka pokrewnej duszy, bezużyteczna będzie dla niej każda napotkana Aes Sedai, nawet taka, która bez wątpienia przynależy do Czarnych Ajah. Alviarin знаła je, niestety one nic nie wiedziały o niej, toteż nie zamierzała ujawniać się komuś, komu nie musiała. Może pewnego dnia niektóre spośród tych uwodzicielskich instrumentów z Wieku Legend, o których opowiadała Mesaana, pozwolą jej natychmiast wypytać każdą siostrę – o ile Wybrana naprawdę je kiedyś skonstruuje. Na razie wszakże Mesaana nadal pozostawiała jej zaszyfrowane rozkazy na poduszkach bądź też w tajnych skrytkach. Odpowiedzi, które niegdyś wydawały się niemal natychmiastowe, teraz Alviarin uznawała za niesamowicie spóźnione.

Krępy, łysy służyący, wykonujący akurat ukłon, przełknął głośno ślinę na widok jej miny, więc opanowała się i wygładziła rysy. Szczyciła się swoją lodowatą obojętnością i obcym zawsze okazywała nieporuszoną maskę chłodu. W każdym razie przejście przez korytarze Wieży i rzucanie na boki groźnych spojrzeń prowadziło naprawdę donikąd.

W Wieży przebywała jedna osoba, której miejsce pobytu Alviarin znała dokładnie i którą mogła wypytać o wszystko, nie obawiając się, co ta kobieta sobie pomyśli. Nawet w takim przypadku potrzebna była – to zrozumiałe – niewielka rozwaga, gdyż nieostrożne pytania ujawniały więcej tajemnic, niż warta była większość odpowiedzi, jednakże Elaida na pewno rozwieje wszelkie jej wątpliwości. Tak, Elaida powie jej wszystko. Westchnąwszy, Alviarin zaczęła się wspinać po stopniach.

Przypomniała sobie, że Mesaana wspomniała jej także o innym cudzie z Wieku Legend, który Alviarin bardzo pragnęłaby zobaczyć. Chodziło o duże przedmioty służące do przenoszenia ludzi w szczególny sposób i nazywane „windami”. Różniły się od latających machin, gdyż były urządzeniami mechanicznymi, które przenosiły człowieka w górę i w dół, z piętra na piętro. Wybrana nie miała pewności, czy rzeczywiście istniały opisywane w wielu tekstach budynki kilka razy wyższe niż Biała Wieża – obecnie żaden gmach na całym świecie nie mógł z nią pod tym względem rywalizować, nawet Kamień Łzy – jednak na samą myśl o istnieniu „wind” Alviarin uznała wchodzenie spiralnymi korytarzami i wielkimi klatkami schodowymi za żmudne i męczące.

Zatrzymała się przy gabinecie Amyrlin, zaledwie trzy kondygnacje wyżej, lecz tak jak oczekiwała, oba pomieszczenia wydawały się kompletnie opustoszałe, a puste biurka i pulpity do pisania wypolerowane do połysku. Pokoje wyglądały nago, gdyż nie było w nich ściennych draperii, żadnych ozdób ani absolutnie niczego poza stołami, krzesłami i zgaszonymi lampami stojącymi. Elaida ostatnio rzadko schodziła ze swoich prywatnych apartamentów umieszczonych w pobliżu wierzchołka Wieży. Dodatkową korzyścią takiej decyzji była jeszcze większa izolacja Amyrlin od reszty Wieży. Niewiele sióstr dobrowolnie się do niej wspinało. Dzisiaj jednak Alviarin, gdy przeszła już niemal osiemdziesiąt piędzi, zaczęła poważnie rozważać skłonienie Elaidy do zajęcia kwatery gdzieś niżej.

Przedśionek apartamentów Amyrlin oczywiście także świecił pustkami, chociaż leżąca na pulpicie do pisania teczka z papierami sugerowała, że Elaida ma gościa. Sprawdzenie zawartości teczki i decyzja, czy Zasiadającą na Tronie Amyrlin należy ukarać za jej posiadanie, mogły jednak poczekać. Alviarin rzuciła swój płaszcz na pulpit, po czym podeszła do drzwi przyozdobionych czekającym na złocenie świeżym znakiem Płomienia Tar Valon. Drzwi prowadziły głębiej do apartamentów Elaidy. Otworzyła je jednym pchnięciem.

Zaskoczyła ją fala ulgi, którą poczuła na widok Amyrlin żywej i siedzącej za bogato rzeźbionym i złoconym pulpitem do pisania. Na szyi Elaidy wisiała pasiasta stuła, która obecnie zamiast siedmiu

pasów miała ich tylko sześć, natomiast nad głową kobiety tkwił osadzony na wysokim oparciu krzesła złoty łuk zwieńczony wyrzeźbionym z dużego kamienia księżycowego Płomieniem Tar Valon. Do tej pory Alviarin nie pozwalała sobie na próżne troski, teraz wszakże uprzytomniła sobie, że Elaida łatwo może stracić życie w jakimś głupim wypadku. Tak wyjaśniła sobie niezrozumiały komentarz Zemaille. A wybranie nowej Amyrlin może zająć kilka miesięcy, nawet w obliczu zagrożenia ze strony buntowniczek i innych problemów, natomiast dni Alviarin jako Opiekunki byłyby wówczas policzone. Bardziej niż własna ulga zdumiała ją jednak obecność ponad połowy Zasiadających w Komnacie, które stały przed pulpitem. Wszystkie Zasiadające miały na ramionach swoje szale z frędzlami. Elaida wiedziała, że nie powinna podejmować tego rodzaju delegacji bez obecności Opiekunki Kronik. Wiszący na ścianie ogromny pozłacany zegar szafkowy, przedmiot zbyt ozdobny i przesadnie wulgarny, zadzwonił dwukrotnie, obwieszczając godzinę i w tym samym momencie emaliowane figurki Aes Sedai wyskoczyły z małych przednich drzwiczek; akurat gdy Alviarin otwierała usta z zamiarem oświadczenia Zasiadającym, że musi porozmawiać z Amyrlin na osobności. Zasiadające na pewno odeszłyby, choć zapewne z głośnymi, dezaprobującymi westchnieniami. Opiekunki Kronik nie dysponowały władzą, pozwalającą wypraszać z pokoju Zasiadające, lecz te obecne tutaj wiedziały, że władza Alviarin wykracza poza pełnomocnictwa związane z jej stulą Opiekunki, nawet jeśli nie podejrzewały prawdy.

– Alviarin – odezwała się Elaida. Nie zdołała zapanować nad emocjami, więc jej głos pogrążył zaskoczeniem. Amyrlin uświadomiła sobie ten fakt natychmiast, toteż jej twarda mina szybko złagodniała. Mało tego, usta kobiety wykrzywiły się w uśmiechu. A przecież Elaida nie miała w ostatnich dniach żadnych powodów do zadowolenia. – Zostań na miejscu i poczekaj spokojnie, aż znajdę czas na rozmowę z tobą – dodała, władcym machnięciem dłoni wskazując kąt pokoju.

Zasiadające przestąpiły nerwowo z nogi na nogę i poprawiły szale. Suana, krępa, krzepka kobieta, posłała Alviarin ostre spojrzenie, Shevan zaś, wysoka jak mężczyzna i kanciasta, bez wyrazu wpatrzyła się prosto w nią. Pozostałe unikały jej oczu.

Ogłuszona Alviarin znieruchomiała na jedwabnym dywanie w jasne wzorki. Nawet lekko otworzyła usta. Czują, że ze strony Elaidy nie może być mowy o zwykłym buncie – ta kobieta musiałaby być przecież szalona! – cóż się jednak, w imię Wielkiego Władcy Ciemności, zdarzyło, że zyskała nagle taką odwagę? Co tu się stało?!

Amyrlin głośno poklepała blat pulpitu, aż zabrzęczała jedna z lakierowanych szkatulek.

– Kiedy ci każę stać w kącie, Córko – oznajmiła niskim, groźnym głosem – oczekuję, że będziesz mi posłuszna. – Jej oczy błyszczały. – W przeciwnym razie wezwę Mistrzynie Nowicjuszek. Chcesz, by te siostry przyjrzały się twojej „osobistej” pokucie?

Twarz Alviarin zalał gorący rumieniec, po części spowodowany upokorzeniem, po części – gniewem. Nie wierzyła własnym uszom. Ta kobieta mówiła jej w twarz takie rzeczy, w dodatku w obecności tylu Zasiadających! W jej ciele zagościł też strach, od którego poczuła ucisk w żołądku i kwaśny smak w ustach. A przecież wystarczyłoby kilka jej słów i Elaida zostałaby oskarżona o wysłanie sióstr na zatracenie i niewolę; i to nie raz, lecz dwa razy. O wydarzeniach w Cairhien już zaczęły krążyć pogłoski, które na razie pozostawały mętne i pozbawione dowodów, jednakże z każdym dniem tymi dowodami obrastały. Jeśli w dodatku rozejdzie się informacja, że Elaida wysłała pięćdziesiąt sióstr przeciwko setkom umięjących przenosić Moc mężczyznom, których miały pokonać, wtedy nawet nowina o siostrach buntowniczkach, wraz ze swoją armią zimujących w Murandy, nie pomoże jej zachować na ramionach stulę Amyrlin ani... głowy na karku. Elaida nie powinna ryzykować, nie powinna się ośmielić... No, chyba że... Chyba że potrafiłaby zdyskredytować Alviarin jako Czarną Ajah. W takim przypadku mogłaby nieco zyskać na czasie.

Zapewne zyskałaby tego czasu niezbyt dużo, skoro rozeszły się już wiadomości o Studniach Dumai i Czarnej Wieży, ale może była gotowa chwycić się wszelkich sposobów niczym tonący brzytwy. Nie, to było niemożliwe, to nie mogło być możliwe! Jednak ucieczka również bez wątpienia nie była możliwa. Po pierwsze, gdyby Elaida chciała postawić Alviarin w stan oskarżenia, jej zniknięcie tylko potwierdziłoby zarzuty. Po drugie, jeżeli Alviarin zbiegnie, Mesaana z pewnością ją odnajdzie i zabije. Wszystkie te myśli przemknęły jej przez głowę, gdy szła na ciężkich jak z ołowiu stopach do wskazanego narożnika. Niczym skruszona nowicjuszka! Musiał istnieć sposób wyrwania się z tej trudnej sytuacji, niezależnie od czekających ją nieprzyjemności. Zawsze wszak istniał jakiś sposób wyjścia... Alviarin pomyślała, że łatwiej go znajdzie, jeśli wsłucha się teraz w rozmowę Amyrlin z Zasiadającymi. Pomodliłaby się, gdyby Ciemny Władca miał zwyczaj wysłuchiwanie modlitw.

Elaida przypatrywała jej się przez moment, potem z zadowoleniem kiwnęła głową, choć oczy nadal jej lśniły, wyraźnie wskazując na doświadczane przez kobietę emocje. Po chwili Amyrlin podniosła wieczko jednej z trzech lakierowanych szkatulek stojących na pulpicie, a następnie wyjęła z niej małą figurkę żółwia wyrzeźbioną z pociemniałej od starości kości słoniowej i zaczęła ją gładzić w palcach. Alviarin wiedziała, że Elaida ma zwyczaj pieszczona rzeźb z tej szkatułki, ilekroć pragnie uspokoić nerwy.

– No – mruknęła. – Wyjaśnialiście mi powody, dla których powinnam wyrazić zgodę na negocjacje.

– Nie pytałyśmy o twoje pozwolenie, Matko – odburknęła napastliwie Suana, butnie wysuwając dolną szczękę. Nie miała szczególnie wydatnego podbródka, za to absolutnie kwadratowy w kształcie, więc gdy go wysuwała, zawsze wyglądała arogancko. – Tego rodzaju decyzja należy do Komnaty. Żółte Ajah są wielkimi zwolenniczkami negocjacji.

Co oznaczało, iż sama Suana jest wielką ich orędowniczką, była bowiem przywódczynią Żółtych Ajah, Pierwszą Tkaczką, o czym Alviarin wiedziała, ponieważ Czarne Ajah znały wszystkie... albo prawie wszystkie... sekrety wszystkich pozostałych Ajah. Dlatego Alviarin wiedziała też, że z punktu widzenia Suany przedstawicielki jej Ajah podzielały wszelkie jej opinie.

Doesine, inna obecna Żółta, przypatrywała się Suanie z ukosa, nic jednak nie powiedziała. Błada i szczupła jak chłopiec Doesine wyglądała, jakby wcale nie miała ochoty tu przebywać. Przypominała ładnego, nadąsanego młokosa, którego ktoś zaciągnął gdzieś za ucho. Większość Zasiadających zazwyczaj wzdrygała się przed naciskami ze strony przywódczyni własnej Ajah, istniała wszakże możliwość, że Suana znalazła na swoje Aes Sedai jakiś sposób.

– Wiele Białych także popiera rozmowy – oświadczyła Ferane, marszcząc brwi i przypatrując się w roztargnieniu plamie atramentu, którą dostrzegła na swoim pulchnym palcu. – To w obecnych okolicznościach jest jedyne logiczne posunięcie.

Ferane nazywano Pierwszą Analityczką i była ona przywódczynią Białych Ajah, chociaż rzadziej niż Suana narzucała swoje poglądy wszystkim członkiniom własnej Ajah. Tak, niewątpliwie robiła to znacznie rzadziej, jeśli w ogóle. Zresztą Ferane często zachowywała się tak niepewnie i niedbale jak najgorsze spośród Brązowych – długie, czarne włosy, które zdobiły jej okrągłą twarz domagały się dziś wyszczotkowania, część zaś stanowiących wykończenie szala frędzli najprawdopodobniej kobieta przypadkiem zamoczyła podczas śniadania herbatą – potrafiła jednakże dostrzec najsubtelniejszą nawet szczelinę w logice wyводу. Równie dobrze mogłaby przyjść tu zupełnie sama, ponieważ po prostu uważała, że nie potrzebuje pomocy żadnych innych Zasiadających w imię Białych.

Elaida, odchyliwszy się na wysokim krześle, zaczęła gniewnie popatrywać na boki, palcami zaś coraz szybciej gładziła żółwia. Teraz odezwała się Andaya. Mówiła głośno i prędko, niemal nie

spoglądając na Amyrlin i udając, że skupia się na wygładzeniu leżącego na jej ramionach szala z szarymi frędzlami.

– Chodzi o to, Matko, że musimy znaleźć pokojowy sposób wybrnięcia z naszego problemu – oświadczyła z silnym taraboniańskim akcentem, który zwykle pobrzmiwał w jej głosie, gdy czuła się wyjątkowo niepewnie. Często nieśmiała w obecności Elaidy, zerknęła teraz na Yukiri, jakby szukając u niej wsparcia, jednak ta wiotka, niewysoka kobieta odwróciła w tym momencie nieznacznie głowę. Jak na tak małą i kruchą istotę, Yukiri była osobą nadzwyczaj upartą i w przeciwieństwie do Doesine zapewne nie pozwoliłaby sobą kierować. Alviarin zadała sobie pytanie, dlaczego niektóre z tych Zasiadających przyszły tutaj, skoro z taką jawną niechęcią brały udział w rozmowie? Tak czy inaczej, Andaya zrozumiała, że jest skazana jedynie na siebie i kontynuowała wypowiedź: – Nie możemy doprowadzić do walk na ulicach Tar Valon. Ani w Wieży, szczególnie nie w Wieży... Nie znowu... Do tej pory buntowniczkę wydawały się usatysfakcjonowane siedzeniem pod miastem i przyglądaniem się Białej Wieży, sytuacja ta na pewno nie może wszak potrwać długo. Wiesz, Matko, że ponownie odkryły Podróżowanie i mogą tą metodą przenosić armię na setki lig. Powinniśmy rozpocząć negocjacje, zanim zdecydują się wykorzystać Podróżowanie do wprowadzenia armii na ulice Tar Valon, inaczej nawet w przypadku zwycięstwa stracimy wszystko.

Alviarin zacisnęła palce na fałdach spódnicy i z trudem przełknęła grudę, którą poczuła w gardle. Przemknęło jej też przez myśl, że jeszcze chwila i oczy wyskoczą jej z orbit. Buntowniczkę potrafiły Podróżować?! Buntowniczkę znajdowały się już tutaj, w Tar Valon? A te głupie pragnęły negocjować? Negocjować?! Wyobraziła sobie ostrożnie planowane projekty, starannie konstruowane plany, które dosłownie zmieniają się w parę, a następnie znikają niczym mgła w letnim słońcu. Być może Ciemny Władca jej wysłucha, jeśli będzie się modliła naprawdę żarliwie...

Nachmurzone rysy Elaidy bynajmniej się nie wygładziły, chociaż Amyrlin bardzo ostrożnie odłożyła nagle żółtawą z kości słoniowej i przemówiła prawie spokojnym głosem, przypominającym dawny ton, z czasów sprzed kontroli Alviarin. W jej słowach była równocześnie łagodność, jak i pewność siebie.

– Czy Brązowe i Zielone także popierają negocjacje?

– Brązowe... – zaczęła Shevan, po czym wyduła wargi w zadumie i jawnie zrezygnowała z zaplanowanej frazy. Na pozór wydawała się całkowicie opanowana, stale wszakże bezwiednie długimi kciukami pocierała sobie kościste palce wskazujące. – Stosunek Brązowych do historycznych precedensów jest zupełnie jasny. Znasz go na pewno, jeśli czytałaś sekretne historie, które zresztą powinnaś przeczytać... Tak czy inaczej, ilekroć w Wieży dochodziło do podziału, światem wstrząsała katastrofa. Obecnie zagraża nam Ostatnia Bitwa, a w dodatku żyjemy w świecie, w którym powstała Czarna Wieża, toteż bez wątpienia nie możemy sobie pozwolić na pozostanie w stanie podziału nawet jeden dzień dłużej niż trzeba.

Alviarin sądziła, że marsowa mina na twarzy Elaidy nie może się już pogłębić, a jednak na wzmiankę o Czarnej Wieży Amyrlin jeszcze bardziej sposepniała.

– A Zielone?

Elaida nadal panowała nad głosem.

W pomieszczeniu znajdowały się wszystkie trzy Zasiadające w imię Zielonych. Fakt ten wskazywał na istnienie ogromnie silnego poparcia w tej Ajah lub na wielką władzę jej przywódczyni. Na pytanie Amyrlin powinna odpowiedzieć Talene jako najstarsza, szczególnie że członkinie Zielonych we wszystkich sprawach zawsze przestrzegały hierarchiczności, ale wysoka, złotowłosa Talene zerknęła z jakiegoś powodu na Yukiri, następnie zaś – co jeszcze dziwniejsze – na Doesine, w końcu spuściła wzrok na dywan i prawie całkowicie znieruchomiała; jedynie jej palce

miętosiłły spódnice z zielonego jedwabiu. Z kolei Rina lekko uniosła czoło, po czym zmarszczyła nos, sugerując zakłopotanie, nie odezwała się wszakże, ponieważ nosiła swój szal krócej niż pięćdziesiąt lat. Odpowiedzieć na pytanie Elaidy musiała zatem Rubinde. Była to kobieta o mocnych kościach, która przy Talene wyglądała na niską i kręłą, jej twarz zaś wydawała się kompletnie nijaka mimo oczu w pięknym odcieniu szafirów.

– Poinstruowano mnie, że mam głosować identycznie jak Shevan – oświadczyła, ignorując zdumione spojrzenie, które posłała jej Rina. Instrukcje pochodziły najwyraźniej od Adelorny, Kapitan-Generał Zielonych, Rubinde zaś jawnie się z nimi nie zgadzała, choć nie ustosunkowała się do nich ani jednym słowem. – Zbliży się Tarmon Gai'don, Czarna Wieża stanowi równie wielkie zagrożenie, a Smok Odrodzony zaginął gdzieś, o ile w ogóle jeszcze żyje. Nie możemy sobie pozwolić na dalsze spory i podziały. Jeśli Andaya twierdzi, że potrafi skłonić buntowniczeki do powrotu do Wieży, musimy pozwolić jej spróbować.

– Rozumiem – oznajmiła Amyrlin tępo. Alviarin jednakże odkryła ze zdziwieniem, że twarz Elaidy osobliwie się rozjarzyła, a na jej ustach zagościł nawet nieznaczny uśmiezek. – Zatem... oczywiście... jak najbardziej... skłońcie je do powrotu, skoro umiecie. Tyle że moje edykty pozostają w mocy. Błękitne Ajah nadal nie istnieją, a każdej siostrze, która popiera to dziecko... czyli Egwene al'Vere... wyznaczę pokutę, którą będzie musiała odbyć pod moim okiem i dopiero później pozwolę jej wybrać nową Ajah. Zamierzam scalić Białą Wieżę, konstruując tym samym broń, której użyjemy podczas Ostatniej Bitwy. – Ferane i Suana otworzyły usta, na ich twarzach zaś pojawił się zdecydowany protest, Amyrlin jednakże groźnie pokiwała im palcem, po czym dorzuciła: – To moja ostateczna decyzja, Córci. Teraz mnie zostawcie. I dopilnujcie swoich... negocjacji.

Zasiadające nie mogły nic zrobić, może poza otwartym buntem. Jako członkinie Komnaty miały racje po swojej stronie, lecz Komnata rzadko ośmielała się naruszyć autorytet Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Do takiego przypadku dochodziło tylko wtedy, jeżeli cała Komnata zjednoczyła się przeciwko Amyrlin, ale tej Komnacie trudno było dostrzec zgodę jej przedstawioelek na jakikolwiek punkt. Alviarin miała zresztą w tym swój udział. Ferane i Suana odeszły, obie sztywno wyprostowane i z zaciętymi ustami, Andaya zaś prawie wybiegła. Każda z nich obrzuciła Opiekunkę zaledwie jednym spojrzeniem.

Alviarin niemal nie mogła się doczekać zamknięcia drzwi za ostatnią siostrą.

– Takie działanie naprawdę niczego nie zmieni, Elaido, na pewno to rozumiesz. Musisz myśleć długofalowo, nie zaś łapać byle nadarżającą się, pustą okazję. – Wiedziała, że papple, aby tylko paplać, nie potrafiła się wszakże powstrzymać. – Klęska pod Studniami Dumai, niewątpliwa katastrofa związana z Czarną Wieżą... z powodu tego typu spraw mogą cię zdetronizować. Jeśli chcesz zachować Laskę i Stułę, potrzebujesz mnie. Potrzebujesz mnie, Elaido, wierz mi. Ty...

Zamknęła usta i zacisnęła zęby, zanim wyrzuci z siebie wszystkie żale. Nadal musiał istnieć sposób wydobywania się z opresji.

– Jestem zaskoczona, że wróciłaś – odparowała Amyrlin, wstając i wygładzając spódnice z czerwonymi wstawkami. Nigdy nie przestała się ubierać w stylu Czerwonych. O dziwo, obchodząc biurko, uśmiechała się. Nie, nie błyskała nieznacznym uśmieczkiem, lecz prezentowała pełny, szeroki uśmiech zadowolenia. – Ukrywałaś się gdzieś w mieście, odkąd przybyły buntowniczeki? Sądziłam, że natychmiast gdy się o nich dowiesz, wsiądziesz na jakiś statek i odpłyniesz. Kto by pomyślał, że ponownie odkryją Podróżowanie? Wyobraź sobie, jak wspaniale możemy wykorzystać tę wiedzę. – Uśmiechając się, kroczyła po dywanie. – Cóż, pozwól, że ci wyjaśnię. Czego mam się obawiać z twojej strony? Opowieści z Cairhien wspominają o Wieży, lecz nawet jeżeli siostry rzeczywiście posłuchają tego młokosa al'Thora, w co obojście nie wierzę, wszyscy obwiniają o to Coiren. To ona

go tutaj sprowadziła, więc Aes Sedai ją obarczą odpowiedzialnością i ją skazą. – Elaida zatrzymała się przed Alviarin, która cofnęła się jeszcze głębiej w kąt. Nigdy wcześniej uśmiech Amyrlin nie sięgał jej spojrzenia, tym razem zaś, kiedy się uśmiechnęła, jej oczy aż zalśniły. Alviarin nie mogła oderwać od tych oczu wzroku. – W ubiegłym tygodniu także słyszałyśmy wiele szczegółów na temat tak zwanej Czarnej Wieży. – Przy tej nazwie Elaida wydeła usta z obrzydzeniem. – Wydaje mi się, że przebywa w niej więcej mężczyzn, niż przypuszczałaś. Wszyscy wszakże uważają, że Toveine wykazała się bystrością i poznała ich liczbę, zanim zdecydowała się na atak. Było sporo dyskusji w tej kwestii. A jeśli Toveine przybędzie tu pokonana, ją obarczą całą winą. Z tego też względu twoje pogrożki...

Alviarin zatoczyła się pod samą ścianę i stała przez chwilę, mrugając bezradnie, zanim pojęła, że Amyrlin uderzyła ją w twarz. Policzek powoli zaczynał jej puchnąć. Poświata *saidara* natychmiast otoczyła Elaide, odgradzając ją od Alviarin, zanim Opiekunka zdążyła się choćby ruszyć. Równocześnie sama Alviarin straciła dostęp do Mocy. Na szczęście Amyrlin nie zamierzała przenosić *saidara*. Wciąż z uśmiechem, cofnęła pięść, po czym powoli zrobiła głęboki wdech i opuściła rękę. Nie usunęła jednak utkanej tarczy.

– Naprawdę zrealizowałabyś swoje groźby? – spytała tonem niemal łagodnym.

Ręka Alviarin opadła na rękojęści noża za pasem. Był to raczej odruch, ponieważ nawet gdyby Elaida nie dzierżyła Mocy, Alviarin nie mogła jej zabić, skoro tak wiele Zasiadających wiedziało, że zostały same w pomieszczeniu. W tym przypadku morderstwo równałoby się samobójstwu. Jej twarz nadal płonęła, gdy Amyrlin prychnęła pogardliwie:

– Nie mogę się już doczekać, kiedy ujrzę twoją głowę na pieńku kata, Alviarin, lecz póki nie zdobędę jednoznacznych dowodów przeciwko tobie, niewiele mogę zrobić. Pamiętasz, ileż razy zlecałaś Silvianie wyznaczenie mi osobistej pokuty? Mam nadzieję, że pamiętasz, gdyż za każdy dzień mojej kary odcierpisz dziesięciokrotnie. A poza tym... – Jednym szarpnięciem ściągnęła z szyi Alviarin stulę Opiekunki. – Jako że nikt nie mógł cię znaleźć od przybycia buntowniczek, poprosiłam Komnatę o zgodę na usunięcie cię ze stanowiska Opiekunki. Naturalnie nie całą Komnatę... Nadal zapewne masz tam nieco wpływu... Chociaż zaskakująco łatwe okazało się uzyskanie poparcia sióstr, które zasiadały w niej tamtego dnia. Widzisz, Alviarin, Opiekunka Kronik powinna przebywać ze swoją Amyrlin, a nie wędrować gdzieś własnymi drogami. Chociaż... gdy się dłużej zastanowić... może nie masz zupełnie żadnych wpływów, skoro przez cały czas ukrywasz się w mieście. A może wróciłaś... przyплыnęłaś z powrotem, spodziewając się zobaczyć klęskę. Miałaś nadzieję, że znajdziesz w ruinach coś dla siebie?... Zresztą nic mnie to nie obchodzi. Tak czy owak, chyba powinnaś w pewnym momencie wsiąść na pierwszy lepszy odpływający z Tar Valon statek. Chociaż muszę ci się przyznać, że myśl o tobie przemykającej wstydliwie z wioski do wioski i skrywającej twarz przed każdą inną Aes Sedai błędnie w porównaniu z przyjemnością, jaką mi sprawi widok twojego cierpienia podczas pokuty. Teraz zejdź mi z oczu, zanim postanowię, co będzie dla ciebie lepsze: chłosta brzozową witką czy rzemienie Silviany.

Rzuciła białą stulę na podłogę, po czym odwróciła się do Alviarin plecami, wypuściła *saidar* i ruszyła ku swojemu krzesłu, jakby jej dawna Opiekunka nagle przestała dla niej istnieć.

Alviarin nie odeszła, lecz uciekła. Biegnąc, odnosiła wrażenie, że czuje na swoim karku oddechy Psów Czarnej. Wcześniej ledwie mogła się skupić, ponieważ usłyszała słowo „zdrada”. Słowo to odbijało się echem w jej głowie, aż miała ochotę zawyć. Zdrada mogła oznaczać tylko jedno! Elaida wiedziała, kim jest Alviarin, szukała jedynie dowodów na potwierdzenie swych domysłów. Ciemny Władca jest łaskawy, ale nigdy nie nadużywa swej łaski. Litość bowiem rezerwuje się dla tych, którzy obawiają się własnej siły. Alviarin zaś teraz po prostu się bała. A

raczej była do granic wypełniona przerażeniem!

Popędziła schodkami Wieży w dół. Jeśli w korytarzach przebywali akurat jacyś przedstawiciele służby, nie widziała ich. Panika oślepiła jej wzrok i kobieta dostrzegała jedynie podłogę pod stopami. Zbiegała aż do szóstego piętra, gdzie mieściły się jej apartamenty. W każdym razie przypuszczała, że nadal te pokoje do niej należą. Pomieszczenia z balkonem wychodzącym na wielki plac przed Wieżą, czyli biuro Opiekunki Kronik... Na razie wystarczała jej myśl, że wciąż posiada w Wieży mieszkanie. A zatem ma szansę przeżyć.

Tutejsze meble pochodziły z Arad Doman i pozostawiła je poprzednia mieszkanka. Wszystkie wykonano z jasnego drewna inkrustowanego masą perłową i bursztynami. W sypialni Alviarin gwałtownie otworzyła jedną z szaf i padła przed nią na kolana. Odepchnęła suknie i zaczęła szperać w głębi, w małej skrzyneczce, długiej zaledwie na dwie dłonie. Posiadała ją od wielu, wielu lat. Rzeźbienia na skrzynce były zawile, lecz jakby niezdarne i przedstawiały rzędy różnych węzłów jawnie skonstruowanych przez twórcę bardziej ambitnego niż utalentowanego. Kobiecie trzęsły się ręce, kiedy niosła skrzyneczkę na stół, gdzie ją postawiła, po czym wytarła wilgotne dłonie o suknię. Ażeby otworzyć skrzynkę, należało rozłożyć jak najszerzej palce, a następnie przycisnąć nimi jednocześnie cztery wyrzeźbione węzły, z których żaden nie wykazywał podobieństwa z pozostałymi trzema. Alviarin wybrała odpowiednie rzeźbienia i wcisnęła je, a wtedy wieczko nieznacznie się podniosło, ona zaś otworzyła je szerzej, ujawniając swój najcenniejszy dobytek, starannie owinięty w brązowy materiał, dzięki któremu zawartość skrzyneczki nie grzechotałaby, gdyby jakaś służąca przypadkowo odkryła pudełko i nim potrząsnęła. Większość służących Wieży nie zaryzykowałaby kradzieży, jednak słowo „większość” nie równało się słowu „wszyscy”.

Przez chwilę Alviarin tylko gapiała się na paczuszkę. Jej najcenniejszy dobytek, przedmiot z Wieku Legend, którego nigdy przedtem nie ośmieliła się użyć! „Użyj go jedynie w razie najgorszego niebezpieczeństwa” – powiedziała jej Mesaana. – „Jedynie w najbardziej desperackiej potrzebie”. Czyż mógł się Alviarin zdarzyć straszniejszy dzień niż dzisiejszy?! Mesaana twierdziła, że przedmiot potrafi znieca uderzyć, toteż Alviarin rozwijała materiał z ostrożnością, którą zwykle rezerwuje się dla delikatnego, dmuchanego szkła. W końcu przyjrzała się *ter'angrealowi*. Był to jaskrawoczerwony pręt, nie dłuższy niż jej palec wskazujący, zupełnie gładki z wyjątkiem kilku delikatnych kreserek wyrytych na powierzchni i tworzących wijący się, przeplatany wzór. Obejmując Źródło, Alviarin dotknęła tego wzoru w dwóch przecięciach cienkimi niczym włos przepływami Ognia i Ziemi. W Wieku Legend nie było to konieczne, jednak obecnie tak zwane „stałe przepływy” już nie istniały. Świat, w którym prawie każdego *ter'angreal*a mogli użyć ludzie bez umiejętności przenoszenia Mocy, wydawał jej się dziwny i niepojęty. Dlaczego na coś takiego zezwalano?

Przyciskając mocno jeden koniec pręta kciukiem – sama Jedyna Moc nie wystarczała – Alviarin usiadła ciężko na krześle i, oparłszy się o niskie oparcie, zagapiła się na trzymany w dłoni przedmiot. Tak, stało się! Tak, już było po wszystkim. Czowała się pusta, straszliwie pusta – teraz, gdy jej lęki zniknęły w ciemnościach niczym ogromne nietoperze.

Nie owinęła *ter'angreal*a w materiał, lecz schowała go do woreczka przy pasie, po czym wstała i odniosła skrzynkę z powrotem do szafy. Nie zamierzała wypuścić z dłoni czerwonego pręta, póki nie poczuje się całkowicie bezpieczna. W chwili obecnej wszakże nie mogła zrobić nic więcej, co najwyżej usiąść i czekać, kołysząc się w przód i w tył z rękoma splecionymi i wciśniętymi między kolana. Nie potrafiła się powstrzymać przed kołysaniem, podobnie jak przed wydawaniem cichych jęków przez zęby. Od dnia powstania Wieży żadnej siostry nigdy nie oskarżono wprost o przynależność do Czarnych Ajah. Och, krążyło sporo plotek, jedne siostry podejrzewały inne, a od

czasu do czasu jakaś Aes Sedai umarła i podejrzenia niespodziewanie się urywały... Nigdy wszakże nikt nikogo oficjalnie nie oskarżył. Jeśli Elaida otwarcie wspomniała o pieńku kata, prawdopodobnie brała pod uwagę możliwość oficjalnego oskarżenia swej właśnie zdymisjonowanej Opiekunki. A Czarne siostry miały zwyczaj znikać, gdy narastała wokół nich fala podejrzeń. Tak, tak, Czarne Ajah pozostawały w ukryciu, niezależnie od kosztów. Alviarin żałowała, że nie potrafi powstrzymać jęków.

Nagle światło w pokoju osłabło, spowijając izbę w ruchliwe cienie zmierzchu. Promienie słoneczne najwyraźniej nie mogły się już przebić przez szyby. Alviarin w jednej chwili znalazła się na kolanach i spuściła oczy. Zadrzała, walcząc z pragnieniem wyrzucenia z siebie strachu, jednak w obecności Wybranych trzeba było zachowywać odpowiednie formy.

– Żyję, aby służyć, Wielka Pani – oświadczyła. Tylko tyle.

Nie mogła marnować ani chwili, a co dopiero godziny na jęki i smutek. Zacisnęła dłonie, dzięki czemu nie drżały.

– Cóż straszego ci się przydarzyło, dziecko? – Był to głos kobiecy, a równocześnie odgłos kryształowych dzwonów. Alviarin dosłyszała w nim nutkę irytacji. Gdyby kobieta naprawdę się rozgniewała, Alviarin mogłaby zginąć na miejscu. – Jeśli sądzisz, że podniosę choćby palec, by pomóc ci w odzyskaniu stuły Opiekunki, bardzo się mylisz. Chociaż przy dodatkowej odrobinie wysiłku wciąż jeszcze możesz dokończyć zadanie zgodnie z moim życzeniem. Swoją pokutę z ręki Mistrzynie Nowicjuszek powinnaś zaś potraktować jako małą karę... ode mnie. Ostrzegałam cię przed Elaidą. Nie należy na nią naciskać, bo potrafi być niebezpieczna.

Alviarin chciała zaprotestować, lecz milczała. Na Elaidę bez wątpienia trzeba było naciskać, jeśli chciało się ją do czegoś nakłonić. Mesaana na pewno o tym wiedziała. Jednak protest w tym momencie nie wydawał się zbyt mądrym posunięciem. Nie można się kłócić z Wybranymi. W kontaktach z nimi wiele nieprzemyślanych posunięć kończyło się nieprzyjemnymi konsekwencjami. W każdym razie rzemienie Silviany stanowiły błahostkę w porównaniu z toporem kata.

– Elaida wie, Wielka Pani – wysapała, podnosząc oczy.

Przed nią stała kobieta ze światła i cienia, odziana w światło i cień, cała w intensywnych czerniach i srebrzystych bielach, które naprzemiennie się mieniły. Srebrne oczy lypały z twarzy o konsystencji dymu, srebrne wargi zaciskały się niemal w ciekłą kreskę. W sumie była to jedynie Iluzja, na dodatek sama Alviarin potrafiłaby utkać doskonalszą. Przemieszczający się błysk zielonej, jedwabnej spódnicy haftowanej wyszukanyimi, brązowymi paseczkami wskazywał miejsce, w którym przystawała sunąca po domąńskim dywanie Mesaana. Alviarin wszakże nie potrafiła już dostrzec tworzących Iluzję splotów, raczej wyczuwała te, których Wybrana użyła do przybycia tutaj bądź też skrycia pomieszczenia w cieniu. Alviarin zaczęła podejrzewać, że Mesaana w ogóle nie potrafi przynieść Mocy! Doskwierało jej zwykle pragnienie poznania tych dwóch sekretów, dziś jednak ledwie je zauważyła. – Elaida wie, że jestem Czarną Ajah, Wielka Pani – wyjaśniła. – Skoro mnie zdemaskowała, musi mieć naprawdę dobrego i skrupulatnego szpiega. Taki szpieg może stanowić zagrożenie dla tuzinów z nas, a może nawet dla nas wszystkich.

Wiedziała, że chcąc przyciągnąć uwagę Wybranej, powinna maksymalnie przejaskrawić niebezpieczeństwo. Tak, wtedy Mesaana na pewno odpowiednio zareaguje i udzieli jej rady.

Tyle że całą reakcję Wybranej stanowiło pogardliwe machnięcie srebrzystej obecnie dłoni. Twarz Mesaany jarzyła się niczym księżyc, otaczając teraz czarniejsze niż węgle oczy.

– To śmieszne, co mówisz. Elaida nie może postanowić z dnia na dzień, że wierzy w istnienie Czarnych Ajah. Po prostu starasz się mnie zwieść, a sobie zaoszczędzić bólu. Być może trzeba czegoś więcej dla pouczenia cię, w jakim jesteś błędzie.

Zaczęła się tłumaczyć Wybranej, usiłując obronić swoje stanowisko, podczas gdy Mesaana podnosiła coraz wyżej dłoń, tkając w powietrzu splot, który Alviarin aż zbyt dobrze pamiętała. Czują, że musi tę kobietę przekonać!

Nagle cienie w pokoju się zachwiały. Alviarin odniosła wrażenie, że wszystkie przedmioty rozstępują się na boki, ciemność zaś gęstniała w postaci coraz mroczniejszych brył. I nagle owe bryły zniknęły, a ciemność ustąpiła. Zaskoczona Alviarin odkryła, że błagalnie wznosząc i wyciągając ręce, klęczy przed niebieskooką kobietą z ciała i krwi, odzianą w zieloną suknię przyozdobioną brązowymi haftami. Zwodniczo znajomą kobietą, mniej więcej w średnim wieku... Od dawna miała świadomość, że Mesaana krąży po Wieży przebrana za jedną z sióstr, chociaż twarz żadnej Wybranej, którą Alviarin kiedykolwiek spotkała, nie była pozbawiona oznak wieku. Tak czy owak, teraz nie potrafiła sobie przypomnieć imienia tej nagle znajomej istoty. W jednej chwili dostrzegła wszakże jeszcze jeden szczegół. Na twarzy jej rozmówczyni gościł strach. Niewielki, ukryty, a jednak strach.

– Była bardzo przydatna – oświadczyła Mesaana wyraźnie zalęknionym głosem, który Alviarin mocno się z czymś kojarzył – a teraz będę ją musiała zabić.

– Zawsze byłaś... nadmiernie rozrzutna – odrzekł zgrzytliwy głos, przywodzący na myśl odgłos kruszenia pod stopami zmurszałych kości.

Alviarin padła na podłogę, zaszokowana widokiem wysokiego męskiego kształtu w osobliwej czarnej zbroi kojarzącej się ze skórą węża, gdyż złożona była z płytek, które zazębiały się niczym wężowe łuski. Osobnik stał przed jednym z okien. Nie był jednakże człowiekiem. Na jego bladej twarzy Alviarin nie dostrzegła oczu, tylko gładką, straszliwie białą skórę w ich miejscu. Służąc Ciemnemu Władcy, spotkała już wcześniej Myrddraali i nawet nauczyła się wytrzymywać ich bezokie spojrzenia, nie wzdrygając się przed nimi i nie uciekając w panice, tym niemniej ten konkretny Zaczajony straszliwie ją przeraził, toteż zaczęła się cofać, aż uderzyła plecami o nogę stołu. Zaczajeni byli do siebie podobni jak dwie krople deszczu, wszyscy wysocy, szczupli i o identycznych rysach, lecz ten był o głowę wyższy od wszystkich znanych Alviarin Myrddraali, a poza tym zdawał się promieniować władzą, która przepełniała jej ciało przerażeniem, przenikającym kobietę aż do kości. Alviarin bezmyślnie sięgnęła po Źródło. I prawie wrzasnęła. Źródło zniknęło! Nie miała już ochrony, po prostu nie istniało nic, co mogłaby objąć! Myrddraal przyjrzał jej się, po czym się uśmiechnął. A przecież Zaczajeni nigdy się nie uśmiechali! Nigdy, przenigdy. Jej oddech przybrał postać nierównych, chrapliwych sapnięć.

– Ona może nam się jeszcze przydać – oświadczył zgrzytliwie ogromny osobnik. – Nie chciałbym niszczyć Czarnych Ajah.

– Kim jesteś, że wyzywasz jedną z Wybranych? – spytała Mesaana tonem szyderstwa, udając odważną, jednak w chwilę później zniweczyła ten efekt, nerwowo oblizawszy wargi.

– Sądziłaś, że Ręka Cienia to tylko nic nie znacząca nazwa? – Głos Myrddraala zagubił gdzieś swą wcześniejszą zgrzytliwość. Brzmiał teraz głucho i wydawał się docierać z niewyobrażalnie oddalonego dna pieczary. Przemawiając, istota rosła jeszcze bardziej, z każdą minutą potężniejąc, aż musnęła czubkiem głowy znajdujący się dwie piędzi wyżej sufit. – Wezwano cię, a ty nie przybyłaś. Moja ręka sięga daleko, Mesaano.

Jawnie dygocząc na całym ciele, Wybrana otworzyła usta, może z zamiarem przedstawienia jakichś kontrargumentów, tyle że w tym samym momencie ogarnął ją czarny ogień. Mesaana wrzasnęła, gdy jej strój zaczął spadać i zmieniać się w pył. Wstęgi czarnego płomienia przywiązały jej ręce do boków i zacisnęły się mocno wokół jej nóg, a w ustach pojawiła się kotłująca, czarna kula, która zmusiła kobietę do rozwarcia szczęk. Wybrana zwijała się i skręcała, stojąc w miejscu

naga i bezradna. Przewracała oczyma, Alviarin zaś, widząc to, miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego trzeba ukarać jedną z Wybranych? – Głos znów zabrzmiał okropnie zgrzytliwie, ale Alviarin nie zamierzała dać się ogłupić temu pozornie zbyt wysokiemu Zaczejonemu. – Chcesz popatrzeć? – spytał Myrddraal.

Powinna teraz przylgnąć płasko do podłogi brzuchem, czołgać się i błagać o życie, jednak jakoś nie mogła się ruszyć. Nie mogła odwrócić wzroku od tego bezokiego spojrzenia.

– Nie, Wielki Władco – odparła z trudem, gdyż w ustach miała sucho jak podczas najgorętszych dni upalnego lata. Wiedziała! Choć prawda wydawała jej się niemożliwa, знаła ją. Sekundę później odkryła, że łzy toczą jej się po policzkach.

Potężna istota znowu się uśmiechnęła.

– Wielu upadło z ogromnej wysokości, ponieważ pragnęli zbyt dużo zobaczyć.

Bezoki podpłynął do niej... Nie, nie, raczej podpłynął do niej Wielki Władca Ciemności, spowity w skórę Myrddraala. Z pozoru szedł na własnych nogach, a równocześnie osobliwie sunął... Właściwie nie istniało słowo, którym Alviarin mogłaby opisać sposób, w jaki się przemieszczał. Błady, odziany w czerń kształt pochylał się nad nią. Zamierzała wrzasnąć, kiedy musnął palcem jej czoło. Krzyknęłaby, gdyby potrafiła wydobyć z gardła jakikolwiek dźwięk. Niestety, jej płuca stały się bowiem nagle pozbawionymi powietrza workami. Dotyk palił jak gorące żelazo. Ledwie przytomna, zastanowiła się, dlaczego nie czuje zapachu własnego przypalonego ciała. Wielki Władca wyprostował się i piekący ból zmałał, a potem zniknął. Jej przerażenie ani na jotę wszakże się nie zmniejszyło.

– Oznaczyłem cię jako swoją – wychrypiał Wielki Władca. – Mesaana cię teraz nie skrzywdzi, chyba że wydam jej pozwolenie. Mam dla ciebie zadanie. Dowiesz się, kto z tutejszych zagraża moim stworzeniom i przekazesz mi ich imiona. – Obrócił się od niej i ciemna zbroja spadła z jego ciała. Alviarin zaskoczył fakt, że zbroja nie zniknęła, lecz z głośnym łoskotem spadła na wyłożoną dywanami kaflową podłogę. Gość pozostał w czarnym odzieniu, a Alviarin nie umiała powiedzieć, z jakiego materiału jest jego ubranie – z jedwabiu, skóry czy czegoś zupełnie innego. Ciemny odcień stroju zdawał się spijać całe światło z pokoju. Mesaana zaczęła się rzucać w więzach, jęcząc przeraźliwie mimo knebla w ustach. – Teraz chodź – powiedział – jeśli chcesz przeżyć kolejną godzinę.

Dźwięki, które wydawała Wybrana, podniosły się do rozpaczliwego krzyku.

Alviarin nie wiedziała, w jaki sposób opuściła swoje pokoje – nie potrafiła pojąć, jak zdołała powstać, skoro nogi miała jak z waty – tym niemniej odkryła, że biegnie przez korytarze. Spódnice kleiły jej się do kolan, ona zaś pędziła najszybciej, jak mogła. Nagle pojawił się przed nią szczyt szerokich schodów. Na szczęście zdołała się w ostatniej chwili zatrzymać, w przeciwnym razem poleciałaby w dół. Roztrzęsiona, przylgnęła do ściany i zagapiła się na białe, kręte, marmurowe schody. Oczyma wyobraźni widziała swoje ciało spadające i obijające się na stopniach, a potem rozbite na dole.

Oddychając chrapliwie, nabierając powietrza w nieregularnych, gwałtownych haustach, podniosła drżącą dłoń do czoła. Jej myśli kłębiły się bezładnie, szczególnie ilekroć spojrzała w dół schodów. Wielki Władca Ciemności oznaczył ją jako swoją! Jej palce przesunęły się po gładkiej, nieskazitelnej skórze. Alviarin zawsze wysoce ceniła sobie wiedzę – wszak z niej brała się władza – tym razem wszakże wołała nie wiedzieć, co dzieje się w komnatach, które opuściła. Mało tego, żałowała, że stała się świadkiem upodlenia Wybranej. Wielki Władca wprowadził ją naznaczył, ale Mesaana i tak znajdzie sposób zabicia jej, ponieważ Alviarin zbyt wiele widziała. Cóż, może przeżyje, jeśli dowie się, kto poluje na Czarne Ajah.

Z wysiłkiem prostując plecy, grzbietami obu dłoni pospiesznie starła łzy z policzków. Nie mogła oderwać wzroku od opadających przed nią stopni. Elaida na pewno ją podejrzewała, a jeśli dysponowała jedynie podejrzeniami, mogła spróbować zastawić na nią pułapkę. Wtedy Amyrlin stanie się dla niej wyraźnym zagrożeniem i trzeba ją będzie powstrzymać. Na przykład przekazać jej imię Wielkiemu Władcy. Alviarin ponownie uniosła palce do czoła. Wśród Zasiadających, które spotkała dziś w pokojach Elaidy, była wszak jedna Czarna Ajah. Gładka, nieskalana skóra... Tak, tam, w kwaterze Elaidy była Talene. Dlaczego patrzyła w taki sposób na Yukiri i Doesine? Talene była Czarną, tyle że oczywiście nie wiedziała, iż Alviarin również przynależy do tajemnej Ajah. Czy te kobiety dawały sobie jakieś sekretne znaki? Czy istniało coś, co dostrzegały wszystkie? Jeśli Elaida wyznaczy „myśliwe”, być może zacznie od Talene. A nawet jeśli od niej nie zacznie, i tak w końcu wiadomość do Talene trafi. Alviarin usiłowała sobie wyobrazić potencjalną trasę przemieszczania się informacji, niestety nie potrafiła się powstrzymać przed równoczesną obserwacją stopni. A w wyobraźni widziała swoje ciało objijające się, podskakujące, spadające... aż na sam dół, aż do podstawy schodów...

Ale wszak nazaczył ją sam Wielki Władca Ciemności!

Rozdział 8

Jedna odpowiedź

Pevara czekała nieco zniecierpliwiona, kiedy szczupła, mała Przyjęta stawiała obrzeżoną srebrem tacę na bocznym stoliku, a następnie odkrywała talerz z ciastkami. Pedra – niska kobieta o poważnych rysach – wcale nie była guzdrałą, nie wydawała się też urażona, że musi spędzić rano na obsłudze Zasiadającej, po prostu zazwyczaj wszystko robiła dokładnie i starannie. Tym niemniej Pevara zapytana, czy nalać jej wina, odburknęła w końcu szorstko:

– Nalejemy sobie same, dziecko. Możesz czekać w przedsionku.

O mało nie kazała młodej Przyjętej wrócić do swoich nauk.

Pedra chwyciła białe spódnice zdobione paskami i wykonała wdzięczny ukłon bez śladu podenerwowania typowego dla Przyjętych, doświadczających zgryźliwości Zasiadających. Aż za często Przyjęte brały do siebie ich złośliwy ton, obawiając się aluzji co do ich postępowania bądź stroju... Jak gdyby Zasiadające nie miały większych zmartwień niż zachowanie Przyjętych!

Pevara poczekała, póki za Pedrą nie zamknęły się drzwi, a gdy wreszcie usłyszała kliknięcie klamki, z aprobatą pokiwała głową.

– Ta kobieta wkrótce zostanie Aes Sedai – oświadczyła.

Awans każdej kobiety na Aes Sedai był satysfakcjonujący, szczególną przyjemność jednakże sprawiało Zasiadającym, gdy szal zdobywały te Przyjęte, które początkowo nie zapowiadały się zbyt obiecująco. W obecnych czasach zaś cieszyły się nawet najmniejszymi przyjemnościami.

– Cóż, na pewno nie przyjmujemy jej do naszych, wierz mi. – Stwierdzenie padło z ust zadziwiającego gościa Pevary, kobiety, która odwróciła się teraz, porzucając obserwację stojących w idealnie równym szeregu na rzeźbionym w faliste ornamenty marmurowym gzymsie nad kominkiem malowanych miniatur nieżyjących członków rodziny Pevary. – Niepewnie się zachowuje przy mężczyznach. Obawiam się, że kontakty z nimi ją denerwują.

Tarnę na pewno nigdy nie peszyły kontakty z mężczyznami, podobnie zresztą jak nic innego, przynajmniej od dnia, kiedy zdobyła szal, czyli od nieco ponad dwudziestu lat. Pevara przypominała ją sobie jako nadpobudliwą nowicjuszkę, teraz jednak w niebieskich oczach tej jasnowłosej kobiety gościła wyłącznie przywodząca na myśl kamienie twardość. Były też równie ciepłe jak kamienie w zimie... Mimo to, akurat dziś w tej zimnej, dumnej twarzy o zaciśniętych ustach można było zauważyć dziwną niepewność. Pevara nie potrafiła sobie wyobrazić zdarzenia czy wiadomości, które wstrząsnęłyby Tarną Feir.

Podstawowe pytanie wszakże brzmiało: Po co ta kobieta przyszła się z nią zobaczyć? Prywatne odwiedziny Zasiadającej, szczególnie Czerwonej, ocierały się w jej przypadku o niestosowność. Tarna nadal utrzymała swoje pokoje tutaj, na piętrze Czerwonych, odkąd jednak zajęła swoje nowe stanowisko, przestała należeć do tej Ajah wbrew szkarłatnemu haftowi na ciemnoszarej sukni.

Ci, którzy jej nie znali, mogliby uznać zwłokę w przeprowadzce do nowych apartamentów za przejaw wrażliwości. Pevara wszakże podchodziła nieufnie do wszelkich niezwykłych sytuacji, odkąd Seaine wciągnęła ją w „polowanie” na Czarne Ajah. Elaida ufała Tarnie dokładnie tak samo jak Galinie, więc Pevara uważała za uzasadnioną ostrożność wobec osoby cieszącej się szczerym zaufaniem Amyrlin. Na samą myśl o Galinie – „A niech Światłość na zawsze spali tę kobietę!” – Pevara nadal zaciskała zęby. W dodatku istniał między nimi pewien związek. Galina bardzo się interesowała Tarną już w czasach, gdy tamta była dopiero nowicjuszką. Właściwie Galina interesowała się każdą nowicjuszką bądź też Przyjętą, którą uważała za dobrą kandydatkę dla

Czerwonych, tym niemniej był to dla Pevara kolejny powód do ostrożności.

Oczywiście mimo swych podejrzeń Pevara zachowała obojętne oblicze. Żadna myśl nie uwidaczniała się na jej twarzy. Zbyt długo już była Aes Sedai! Z uśmiechem sięgnęła więc po srebrny dzban z długą szyjką, który stał na tacy i wydierał słodki zapach przypraw.

– Napijesz się wina, Tarno, aby świętować swoje wyniesienie?

Ze srebrnymi pucharami w dłoniach obie kobiety zasiadły w zdobionych spiralami fotelach, które reprezentowały styl niemodny w Kandorze od blisko stu lat. Co z tego, skoro Pevara je lubiła i nie widziała żadnego powodu do wymiany swoich mebli czy czegokolwiek innego. Nie obchodziły ją przelotne mody. Fotele służyły jej od dnia, w którym je wykonano i były bardzo wygodne, szczególnie jeśli na siedzeniach ułożyła po kilka poduszek. Tarna jednakże usiadła sztywno wyprostowana i niemal na samej krawędzi. Nikt nigdy nie nazwałby jej leniwą lub ociężałą, wyraźnie wszakże wyglądała na zaniepokojoną.

– Nie jestem przekonana, czy powinnam świętować – oznajmiła, dotykając palcami wąskiej, szkarłatnej stuły, którą miała na szyi. Opiekunkom Kronik nie nakazywano konkretnego odcienia, po prostu każdy, kto spojrzał na stułę, musiał go określić mianem czerwieni, a Tarna zażyczyła sobie tak intensywny szkarłat, że materiał prawie się jarzył. – Elaida na mnie naciskała i nie mogłam odmówić. Sporo się zmieniło, odkąd opuściłam Wieżę, tak samo w niej, jak i na zewnątrz. Z powodu Alviarin siostry czujnie obserwują... Opiekunkę. Podejrzewam, że któraś Aes Sedai nakaże chłostę Alviarin, kiedy ta w końcu wróci. A Elaida... – Przerwała, napiła się wina, po czym kontynuowała zupełnie innym tonem: – Często słyszałam, że zdarza ci się postępować w sposób niekonwencjonalny. Pamiętam nawet, jak kiedyś wspomniałaś, że chciałbyś mieć Strażnika.

– Zarzucano mi gorsze rzeczy niż niekonwencjonalność – odparła cierpko Pevara.

Co ta kobieta pragnęła powiedzieć w związku z Elaidą? Sądząc po jej słowach, gdyby tylko mogła, nie przyjęłaby stuły Opiekunki. Dziwne. Tarna nigdy nie wydawała jej się nieśmiała czy bojaźliwa. Pevara uważała, że w tym momencie najlepiej zachować milczenie. Szczególnie na temat Strażników. Zbyt często wcześniej poruszała tę kwestię, aż jej opinia stała się ogólnie znaną plotką. Poza tym, jeśli wystarczająco długo pomilczy, jej rozmówcy zapewne się odezwie, choćby dla podtrzymania pogawędki. Dzięki ciszy także można się wiele dowiedzieć.

Pevara przez chwilę powoli sączyła wino. Jak na jej gust, było za mocno osłodzone miodem, zbyt mało zaś dodano do niego imbiru.

Tarna podniosła się nagle i nadal osobliwie sztywno wyprostowana ruszyła wielkimi krokami do kominka, a tam zastygła i znów się zagapiła na miniaturowe portrety ustawione na pokrytych białym lakierem stojakach. Podniosła rękę z zamiarem dotknięcia jednego z owali z kości słoniowej, Pevara zaś poczuła, że wbrew sobie napina mięśnie ramion. Georg, jej najmłodszy brat, miał zaledwie dwanaście lat w dniu śmierci, czyli gdy został zamordowany – podobnie jak wszystkie inne osoby na tych malowidłach – podczas powstania Sprzymierzeńców Ciemności. Nie byli bogatą rodziną, która mogłaby sobie pozwolić na miniatury oprawione w kość słoniową, jednak gdy Pevara zdobyła pieniądze, znalazła malarza, który odwzorował jej wspomnienia. A Georg był pięknym chłopcem, wysokim jak na swój wiek i absolutnie nieustraszonym. Dopiero długo po śmierci małego braciszka dowiedziała się, w jaki sposób umarł. Z nożem w ręku stał nad ciałem ich ojca i usiłował uchronić matkę przed tłumem. Od tej pory upłynęło już wiele, wiele lat. Jeśliby członkowie jej rodziny wtedy nie zmarli, i tak już by dziś nie żyli, podobnie jak ich dzieci oraz dzieci ich dzieci. Tyle że niektóre rodzaje nienawiści nigdy nie umierają...

– Smok Odrodzony jest *ta'veren*, tak w każdym razie słyszałam – odezwała się w końcu Tarna, nadal gapiąc się na portret Georga. – Sądziś, że on wszędzie odmienia los? A może sami zmieniamy

przyszłość, stawiając krok za krokiem, aż odkrywamy, że doszliśmy gdzieś, gdzie się dojść nie spodziewaliśmy?

– Co masz na myśli? – spytała Pevara, nieco bardziej szorstko, niż zamierzała.

Nie podobało jej się, że Tarna tak uważnie przygląda się wizerunkowi jej brata, a jednocześnie mówi o mężczyźnie, który potrafi przenosić Moc, nawet jeżeli chodziło o Smoka Odrodzonego. Zagryzała wargę, powstrzymując się przed poleceniem Tarnie, ażeby się odwróciła i spojrzała na nią. Z pleców nie da się wszak odczytać emocji tak łatwo jak z twarzy.

– Nie przewidywałam żadnych większych trudności w Salidarze. Zresztą żadnego wielkiego sukcesu także... Jednak to, czego się dowiedziałam... – Czy kobieta potrząsnęła głową, czy też tylko przekrzywiła ją, starając się spojrzeć na miniaturę pod innym kątem? Mówiła powoli, lecz z ukrytą nutą zapamiętanego pośpiechu. – Pewnego dnia zostawiłam strażniczkę gołębi o dzień drogi od osady, tym niemniej powrót do niej zajął mi mniej niż połowę dnia. Następnie rozesłałam ptaki z kopiami mojego sprawozdania i wyruszyłam w drogę. Musiałam spławić tę kobietę, ponieważ nie dotrzymywała mi kroku. Sama nie wiem, ile koni zmieniałam. Niektóre zwierzęta były tak zajeżdżone, że dopiero gdy okazałam pierścień, mogłam je wymienić na inne, dorzuciwszy przy tym kilka srebrnych monet. A jako że ogromnie się spieszyłam, przypadkiem dotarłam do pewnej wioski w Murandy, kiedy... przebywała tam... grupa werbunkowa. Gdybym nie bała się straszliwie o Wieżę z racji tego wszystkiego, co zobaczyłam w Salidarze, pojechałabym do Ebou Dar, wsiadła na statek do Illian i popłynęła w górę rzeki, jednakże na myśl o udaniu się na południe zamiast na północ... na myśl o czekaniu na statek... zrezygnowałam z tego pomysłu i jak strzała popędziłam do Tar Valon. Niemniej jednak byłam w tej wsi i ich widziałam.

– Kogo, Tarno?

– Asha'manów. – W tym momencie nowo powołana Opiekunka niespodziewanie się odwróciła. Jej niebieskie oczy nadal połyskiwały lodowato, Pevara dostrzegła w nich wszakże również napięcie i upór. Tarna trzymała puchar w obu dłoniach, jakby próbowała je ogrzać za pomocą jego zawartości. – Rzecz jasna, nie wiedziałam wówczas, że to oni, jednak ci mężczyźni otwarcie rekrutowali ludzi, którzy mieli pójść za Smokiem Odrodzonym i najmądrzejsze wydało mi się podsłuchanie, co mówią, zanim się do nich odezwę. I dobrze postąpiłam. Było ich sześciu, Pevaro, sześciu mężczyzn w czarnych kaftanach. Dwóch... z naszytymi na kołnierzach srebrnymi mieczami. Sprawdzali, czy zgłaszający się mężczyźni zdołają się nauczyć przenoszenia. Och, nie powiedzieli tego wprost, wspominali jedynie o „dzierzeniu błyskawic”. Tak, o dzierzeniu błyskawic i dosiadanu grzmotu. Ja jednak jednoznacznie zrozumiałam te określenia.

– Rzeczywiście, doskonale postąpiłaś, zachowując milczenie – zauważyła cicho Pevara. – Sześciu mężczyzn z umiejętnością przenoszenia Jedynej Mocy stanowi ogromne niebezpieczeństwo dla samotnej siostry. Nasze „oczy i uszy” stale opowiadają o tych grupach werbunkowych, które kręcą się już podobno wszędzie: od Saldaei po Łzę... Nikt najwyraźniej nie ma wszakże pojęcia, jak tych mężczyzn powstrzymać. O ile jeszcze nie jest za późno...

Znów o mało nie zagryzała wargi. Och, nie powinna tyle mówić. Zbyt często wymykało jej się więcej, niż chciała.

Dziwnym trafem, jej komentarz nieco rozluźnił Tarnę, która ponownie zajęła opuszczony niedawno fotel i rozparła się na nim. Oczywiście nie przestała zachowywać ostrożności, było to widać w jej zachowaniu. Kiedy mówiła, dobierała starannie słowa, przerywając na moment i podnosząc do ust kielich z winem, choć Pevara nie widziała, by jej rozmówczyni piła.

– Podczas rejsu rzeczonym statkiem na północ miałam sporo czasu na myślenie. Miałam go tym więcej, że głupi kapitan wpakował nas na mieliznę tak nieszczęśliwie, iż rozbił maszt, a w kadłubie

zrobiła się dziura. Spędziliśmy całe dni na próbach przyciągnięcia uwagi innego statku, a kiedy w końcu dotarłam na ląd, nie mogłam przez kilka dni znaleźć konia. No i ostatecznie doszłam do wniosku, że spotkałam wtedy Asha'manów. Przekonał mnie fakt, że do jednej wioski wysłano ich aż sześciu, a nie były to tereny zbyt gęsto zaludnione. A zatem... Osobiście sędzę, że naprawdę jest już za późno...

– Elaida uważa, że tych wszystkich mężczyzn można poskromić – oznajmiła oględnie Pevara. We własnym mniemaniu zbyt dużo szczegółów już zdradziła.

– Mimo iż stać ich na wysłanie aż sześciu ludzi do jednej małej wsi i że potrafią Podróżować? Widzę tylko jedną odpowiedź. My... – Tarna wzięła głęboki wdech i przesunęła w palcach intensywnie szkarłatną stułę. Tym razem jednak z pewnością nie grała na zwłokę. – Czerwone siostry, Pevaro – stwierdziła ostatecznie – muszą ich wziąć na swoich Strażników.

Oświadczenie to zabrzmiało tak zaskakująco, że Pevara aż zamrugnęła. Gdyby nie była doskonale opanowana, po prostu rozdziawiłaby w zdumieniu usta.

– Mówisz poważnie? – spytała.

Lodowatoniebieskie oczy dosłownie wpiły się w twarz Pevary. Najgorsze minęło, a niemożliwe do pomyślenia zostało wypowiedziane głośno, toteż Tarna na powrót mogła się zmienić w istotę twardą niczym kamień.

– Na pewno nie jest to temat do żartów. Jakie inne wyjście nam pozostaje? Mamy pozwolić im działać? Kto inny mógłby ich połączyć więzią? Czerwone siostry są przyzwyczajone do kontaktów z takimi mężczyznami i potrafią ponieść nieuniknione w tej sytuacji ryzyko. Wszystkie pozostałe Aes Sedai bez wątplenia się wycofają, a każda z naszych sióstr będzie zmuszona wziąć więcej niż jednego Strażnika, wiesz wszak, iż Zielone zupełnie nieźle sobie z tą kwestią radzą. Myślę, że Zielone pomdlałyby, gdyby im zasugerować więź z Asha'manami. My... Czerwone siostry... musimy zrobić to, co trzeba...

– Poruszyłaś ten temat w rozmowie z Elaidą? – zaciekała się Pevara.

Tarna niecierpliwie potrząsnęła głową.

– Elaida uważa, tak jak... wspomniałaś. Ona... – Blondwłosa kobieta zmarszczyła brwi i zapatrzyła się na moment w wino. – Elaida – podjęła w końcu – często wierzy w to, w co chce wierzyć i widzi to, co chce widzieć. Próbowалам poruszyć kwestię Asha'manów pierwszego dnia po moim powrocie. Nawet nie chciałam wzmiankować o więzi, nie naszej Amyrlin... Nie jestem taka głupia. W każdym razie zabroniła mi w ogóle wspominać o mężczyznach ze zdolnością do przenoszenia. Ty jednak wszak słyszysz ze swej... niekonwencjonalności.

– I wierzysz, że można ich poskromić po połączeniu się z nimi więzią? Nie mam pojęcia, cóż wtedy stałoby się z siostrą połączoną przez więź i po prawdzie bynajmniej nie chcę się tego dowiedzieć.

Pevara uświadomiła sobie, że teraz to ona gra na czas. Na początku nie miała pojęcia, dokąd prowadzi ta rozmowa, bez wątplenia nie podejrzewałaby jednak, że usłyszy taką propozycję.

– Może tak będzie wyglądać koniec... Albo nic z tego nie wyjdzie – odparowała chłodno Tarna. Ta kobieta chyba rzeczywiście była z kamienia. – W każdym razie nie widzę innego sposobu walki z Asha'manami. Czerwone siostry muszą ich połączyć więzią, czyniąc z nich swoich Strażników. Jeśli istnieje inny sposób, chętnie go przetestuję, lecz coś trzeba zrobić!

Zastygła w fotelu i przez długą chwilę siedziała niemal nieruchomo, spokojnie popijając wino, podczas gdy skonsternowana Pevara gapiła się na nią bez słowa. Potrafiła tylko patrzeć. Żadnym swoim stwierdzeniem Tarna nie udowodniła, że nie należy do Czarnych Ajah, jednak zaufanie Pevary do niej bynajmniej nie wzrosło. No cóż, Pevara właściwie uważała, że istnieje mnóstwo

ważniejszych spraw niż kwestia Czarnych Ajah, a ona była przecież Zasiadającą, nie zaś siostrzanym odpowiednikiem psa myśliwskiego, którego wyznaczono do polowania na Czarne. Musiała myśleć o Białej Wieży i o Aes Sedai, które przebywały poza Wieżą. A także o przyszłości.

Zanurzyła palce w haftowanym woreczku przy pasie i wyciągnęła zeń cienką rurkę, w którą wciśnięto zwinięty w rulon niewielki skrawek papieru. Odnosiła wrażenie, że papierek za chwilę rozjarzy się ognistymi literami. Do tej pory Pevara pozostawała jedną z dwóch kobiet w Wieży, które znały treść zapisaną na tym skrawku. A teraz, mimo iż już go wyjęła, nadal się wahała, czy go wręczyć Tarnie. W końcu wszakże podała go Opiekunce.

– Dostałam ten tekst od jednego z naszych agentów przebywających w Cairhien, ale wysłała go Toveine Gazal.

Na wzmiankę o Toveine Tarna nieoczekiwanie popatrzyła Pevarze w twarz, potem zaczęła czytać. Jej kamienne oblicze nie drgnęło, a kiedy skończyła, zwinęła papier w rulon i wsunęła go z powrotem do cienkiej rurki.

– To niczego nie zmienia – oznajmiła stanowczo. Jej ton wciąż pozostawał lodowaty. – Co najwyżej narzuca konieczność pośpiechu.

– Przeciwnie – odcięła się Pevara z westchnieniem. – To zmienia wszystko. Zmienia cały świat.

Rozdział 9

Ozdoby

Powietrze w pokoju było cieplejsze niż na zewnątrz jedynie na tyle, że grube szyby pomalowanych na czerwono okien z kwaterami od wewnętrznej strony pokryły się parą. Tym niemniej Cadsuane stała przy oknie i wyglądała na dwór, jakby zupełnie wyraźnie widziała posępny krajobraz, zresztą widziała wszystko, co chciała widzieć. Za jej oknem kręcili się tylko nieszczęśni ludzie opatuleni w płaszcze i skrywający twarze pod kapeluszami. Jedynie nieforemne spódnice lub workowate spodnie odróżniały od siebie mężczyzn i kobiety. Wszyscy z trudem brodzili przez otaczające dwór błotniste pole, czasami ktoś się pochylał i brał w dłoń garść ziemi. Już niedługo będą mogli zacząć orać i nawozić, na razie wszakże nic poza ich inspekcją nie sugerowało nadciągającej wiosny. Konary drzew w rozciągającym się za polami lesie wciąż były czarne i bezlistne, prezentując się ponuro na tle osobliwie spranej szarości porannego nieba. Przyzwoita warstwa śniegu nieco ożywiłaby okolicę, tyle że tutaj sypało minimalnie i rzadko, a spadły jednego dnia śnieg, następnego topniał. Cadsuane jednakże nie potrafiła wskazać zbyt wiele miejsc, które lepiej nadawałyby się dla jej celów, szczególnie że Grzbiet Świata znajdował się zaledwie nieco ponad dzień szybkiej jazdy stąd na wschód. Komu przysłoby do głowy penetrować przygraniczne tereny Łzy? Czy jednak przekonanie młokosa do pozostania tutaj nie poszło jej zbyt łatwo? Westchnąwszy, odwróciła się od okna, czując poruszenie złotych ozdób, które wisiały w jej włosach: maleńkich księżyców, gwiazdek, ptaków i rybek. Ostatnio była aż za bardzo świadoma ich istnienia. Świadoma? Też coś! Zastanawiała się, czy nie powinna zacząć pozostawiać ich na włosach na noc, na czas snu.

Salon był duży, lecz – jak cała rezydencja – nie przedstawiał się zbyt dekoracyjnie; jego ściany pomalowano na czerwono i przyozdobiono gzymsami z rzeźbionego drewna. Meble były nieco jaskrawe, choć nie tknięte złoceniami. W pomieszczeniu znajdowały się także dwa ładnie wykonane, wydłużone kominki z gładkiego kamienia, o rusztach z twardego, kutego żelaza, skonstruowanych raczej w sposób zapewniający długie użytkowanie niż w celu uzyskania ładnego wyglądu. Tak jak nalegała Cadsuane, ogień w paleniskach płonął słabo, płomienie migotały nisko na częściowo strawionych szczapach, dając ciepło, które wystarczało zaledwie na ogrzanie rąk, ona zaś nie potrzebowała więcej. Gdyby pozwoliła, Algarin otoczyłby ją gorącym i zasypał służącymi, oddając jej prawie wszystkich, których nadal zatrudniał. Był pomniejszym Lordem Prowincji i nie sposób go nazwać człowiekiem bogatym, wydawał się wszakże uczciwy i w przeciwieństwie do wielu innych spłacał wszystkie swoje długi w terminie.

Pozbawione ozdób drzwi do korytarza otworzyły się nagle ze skrzypnięciem. Większość służących Algarina stanowili ludzie niemal równie wiekowi jak on sam i chociaż stale sprząтали i odkurzali, w licznych lampach stał olej, knoty nie były odpowiednio przycięte, a zawiasów drzwi od dawna najprawdopodobniej nie oliwiono.

W drzwiach pojawiła się Verin, ciągle ubrana w podróżny strój, czyli prostą, brązową, wełnianą suknię z rozciętymi spódnicami i narzucony na ramiona płaszcz. Przez moment kobieta tkwiła w progu i przyglądała upstrzone siwizną włosy. Mina na kwadratowej twarzy tej niewysokiej i przytęgawej siostry sugerowała irytację.

– No cóż, przedstawicielki Ludu Morza dotarły do Łzy, Cadsuane – odezwała się wreszcie, potrząsając głową. – Nie podjechałam pod sam Kamień, słyszałam jednak, że Wysoki Lord Astoril przestał narzekać na doskwierający mu ból stawów i zebrał swoje wojska. Podobno przebywa w

twierdzy wraz z Darlinem. Kto by pomyślał, że Astoril zupełnie zmieni front i stanie z Darlinem po jednej stronie? Ulice miasta pełne są zbrojnych, choć większość się stale upija, a potem bije między sobą, no chyba że walczą z Atha'an Miere. W Łzie przebywa obecnie tyleż samo przedstawiciele Ludu Morza, co innych nacji. Przemieszczała się. Harine była przerażona. Uciekła na swój statek natychmiast, kiedy zdołała wynająć łódź. Spodziewa się nominacji na Mistrzynię Statków, dzięki czemu przywróci spokój. Nikt nie ma wątpliwości, że Nesta din Reas nie żyje.

Cadsuane chętnie pozwoliła paplać tej korpulentnej, małej kobietce. Verin nie była wcale taką roztargnioną osobką, jaką udawała. Niektóre Brażowe rzeczywiście niemal potykały się o własne stopy, Verin wszakże należała raczej do tych, które jedynie stwarzają wokół siebie pozory rozkojarzenia i tylko udają całkowite skupienie na własnych badaniach. Prawdopodobnie sądziła, że Cadsuane akceptuje jej zachowanie i swoje zdanie wyrażała bez wahania. Z kolei fakty, które pomijała, i opinie, które zachowywała dla siebie, również często okazywały się wiele mówiące. Zresztą Cadsuane wiedziała, że bynajmniej nie rozgryzła Verin i tak naprawdę nie mogła być jej pewna. Zbyt wielu zresztą rzeczy na tym świecie nie była pewna i owa niepewność nieco jej doskwierała.

Min niestety jawnie podsłuchiwała pod drzwiami. A młodziutka Min niewiele miała w sobie cierpliwości.

– Mówiłam Harine, że nie będzie łatwo – wtrąciła, wpadając do pokoju. – Ostrzegałam ją, że za umowę z Randem spotka ją kara. Natychmiast, gdy zostanie Mistrzynią Statków, a nie potrafię powiedzieć, czy będzie to za dziesięć dni, czy też dopiero za dziesięć lat... – Min była smukła, ładna, wysoka, w botkach na czerwonych obcasach, z ciemnymi lokami opadającymi na ramiona. Miała niski kobiecy głos, nosiła wszakże czerwony chłopięcy kaftan i niebieskie spodnie. Kaftan przyozdobiono wprawdzie haftowanymi, kolorowymi kwiatami na klapach i w górnej części rękawów, spodnie zaś miały pasy na zewnętrznej stronie, niemniej jednak wciąż pozostawały tylko spodniami i kaftanem.

– Możesz wejść, Min – rzuciła spokojnie Cadsuane. Na ten jej ton ludzie zwykle siadali prosto i natychmiast zwracali na nią uwagę. W każdym razie reagowali tak ci, którzy ją znali. Na policzkach Min zakwitły rumieńce. – Obawiam się, że Mistrzynie Fal już się tego wszystkiego dowiedziała sama. Może jednak zauważyłaś poświatę jakiejś innej osoby i pragniesz mi o niej opowiedzieć?

Ta szczególna zdolność dziewczyny w przeszłości bywała już pomocna i niewątpliwie mogłaby się przydać ponownie. Cadsuane uważała, że Min nie kłamie, opowiadając o widzianych obrazach i poświatach, które jej zdaniem otaczały ludzi, choć z drugiej strony dziewczyna nie zawsze chętnie rozmawiała na ten temat. Zwłaszcza kiedy chodziło o tego jednego konkretnego mężczyznę, którym zainteresowana była Cadsuane.

Mimo rumieńców na policzkach Min uniosła podbródek i przybrała hardą minę. Ta młodziutka kobieta zmieniała się od czasów Shadar Logoth czy też jeszcze wcześniejszego okresu i niestety nie zaszła w niej zmiana na lepsze.

– Rand chce, żebyś przyszła się z nim zobaczyć. Poleciał mi cię o to poprosić, więc nie musisz reagować tak opryskliwie.

Cadsuane ledwie na nią spojrzała. Przez kilka minut panowała cisza. Ona była opryskliwa?! Tak, tak, charakter Min zdecydowanie nie zmieniał się na lepsze.

– Odpowiedz mi, Min, że przyjdę, gdy będę mogła – odrzekła wreszcie. – I mocno zamknij za sobą drzwi.

Młoda kobieta otworzyła usta z jawnym zamiarem udzielenia jakiejś riposty, miała wszakże najwyraźniej dość rozumu, by milczeć. Mimo swoich śmiesznych butów wykonała nawet szybki,

niedbały ukłon w przelocie, po czym wyszła i głośno zamknęła za sobą drzwi. Ścisłe rzecz biorąc, niemal nimi trzasnęła.

Verin znowu potrząsnęła głową i wybuchnęła niegłośnym śmiechem, w którym trudno się było jednak dosłuchać szczerego rozbawienia.

– Min jest zakochana w tym młodzieńcu, Cadsuane. Oddała mu swe serce. Niezależnie od twoich słów albo tego, co zrobisz, postąpi zgodnie z nakazami swojego serca, nie zaś umysłu. Moim zdaniem dziewczyna uważa, że z powodu ich miłości on o mało nie umarł. Wiesz, jak taka myśl działa na niektóre kobiety.

Cadsuane zacisnęła wargi. Verin wiedziała więcej o tego rodzaju relacjach z mężczyznami niż ona, która nigdy nie pozwoliła sobie na własnych Strażników, jak to czyniły Zielone, inni mężczyźni zaś nie wchodzili w rachubę. Tym niemniej Brązowa przypadkiem trafiła w sedno. W każdym razie Cadsuane sądziła, że żadna inna siostra nie wie o więzi Min i młodego al'Thora. Sama odkryła prawdę tylko dlatego, że dziewczynie kilka razy wymknęło się nieostrożne słówko. Nawet najściślej przylegający do muszli małż w końcu się od niej odklei, jeśli zrobisz w niej pierwszą małą szczelinę. Czasami takie działanie może zaowocować również niespodziewaną perlą. Tak, Min na pewno chciałaby utrzymać tego młodzieńca przy życiu, czy go kochała czy też nie... Ale i Cadsuane z pewnością nie chciała przecież jego śmierci.

Verin zawiesiła płaszcz na wysokim oparciu krzesła, potem podeszła do najbliższego kominka i wyciągnęła ręce, usiłując ogrzać je nad niewysokim płomieniem. Nikt by nie powiedział, że Verin porusza się posuwistym krokiem, tym niemniej miała w sobie więcej wdzięku, niż wskazywała jej nieco przyciężkawa sylwetka. A może wcale nie była tęga? Każda Aes Sedai stale się ukrywała za jakąś maską. Po pewnym czasie niektórym wchodził ten zwyczaj w krew.

– Wierzę, że sytuację w Łzie wciąż jeszcze da się rozwiązać w sposób pokojowy – oświadczyła, wpatrzona w ogień. Zdawała się mówić sama do siebie. Lub chciała podsunąć Cadsuane tę kwestię do przemyślenia. – Desperacja Hearne'a i Simaana rośnie. Obaj się obawiają, że inni Wysocy Lordowie wrócą z Illian i rozprawią się z nimi w mieście. Być może są skłonni zaakceptować Darlina, szczególnie jeśli wezmą pod uwagę inne możliwości. Estanda wolałaby ostrzejszy ruch, ale pewnie da się przekonać, o ile dostrzeże korzyści dla siebie...

– Zakazałam ci się do nich zbliżać – przerwała jej surowym tonem Cadsuane.

Tęga siostra zamrugnęła, patrząc na nią w zdumieniu.

– Nie zbliżałam się do nich. Po ulicach wszakże stale krąży mnóstwo pogłosek, ja zaś umiem te pogłoski składać w całość, a później je przesiewać, pozostawiając wyłącznie prawdę. Widziałam Alannę i Rafełę, lecz skryłam się za sprzedawcą zachwalającym swoje paszteciki z mięsem, więc mnie nie zobaczyły. Tak, jestem stuprocentowo pewna, że mnie nie widziały.

Zamilkła, wyraźnie czekając na wyjaśnienia Cadsuane. Nie rozumiała, dlaczego powinna unikać także Aes Sedai.

– Teraz muszę pójść na spotkanie z młokosem, Verin – odparła tamta, zamiast się tłumaczyć.

Na tym polegał problem, kiedy człowiek zgodził się komuś doradzać. Mimo iż Cadsuane zdołała na samym początku ustalić wszystkie warunki, a przynajmniej ich większość, i tak teraz musiała się zjawiać na każde wezwanie Randa. Prędzej czy później, ale w końcu musiała się z nim spotkać. Chociaż akurat to wezwanie przyszło w odpowiednim momencie – dało jej pretekst, dzięki któremu mogła uniknąć natrętnej ciekawości Verin. Odpowiedź była bowiem prosta. Jeśli ktoś próbuje rozwiązać wszystkie problemy, ostatecznie nie rozwiązuje żadnego. A w przypadku niektórych kwestii na dłuższą metę naprawdę nie ma znaczenia sposób, w jaki zostały one rozwiązane. Nie odpowiadając Verin, Cadsuane pozostawiła ją z łamigłówką do rozwiązania, nad którą kobieta

zapewne strawi sporo czasu. Kiedy Cadsuane nie była kogoś pewna, wołała, ażeby ta osoba również nie miała pewności co do niej.

Verin wzięła płaszcz i wyszła z pokoju wraz z nią. Czyżby zamierzała jej towarzyszyć? Na szczęście przed salonem spotkały idącą energicznie korytarzem Nesune, która na ich widok nagle się zatrzymała. W sumie niewiele osób ignorowało Cadsuane, jednakże Nesune nieźle się to udało, natychmiast bowiem skupiła niemal czarne oczy na Verin.

– Wróciłaś zatem, nieprawdaż? – Nawet najlepsze z Brązowych miały osobliwy zwyczaj potwierdzania oczywistości. – To ty napisałaś tekst o zwierzętach Zatonionych Ziemi, o ile sobie dobrze przypominam. – Co oznaczało, że Verin na pewno napisała ten tekst, jako że Nesune zawsze zapamiętywała każdy fakt, o który się kiedykolwiek otarła. Umiejętność ta była oczywiście niezwykle przydatna i gdyby Cadsuane ufała Nesune, na pewno potrafiłaby ją jakoś wykorzystać. – Lord Algarin pokazał mi skórę wielkiego węża, która jego zdaniem pochodzi z Zatonionych Ziemi, ja wszakże jestem przekonana, że identyczną widziałam...

Verin rzuciła Cadsuane bezradne spojrzenie przez ramię, gdy wysoka Nesune ciągnęła ją za rękaw, ale zanim zrobiły trzy kroki, już pogrzyły się w poważnej dyskusji nad tym głupim wężem.

Cadsuane uznała to zdarzenie za nadzwyczajne, a równocześnie – w jakimś sensie – kłopotliwe. Nesune pozostawała lojalna wobec Elaidy, w każdym razie kiedyś była wobec niej lojalna, Verin natomiast należała do tych Aes Sedai, które pragnęły zdetronizować Amyrlin. Albo niegdyś do takich należała... A teraz sympatycznie gawędziły o wężach. Przyczyna, dla której obie przysięgły wierność młodemu al'Thorowi, wiązała się zapewne z faktem, że Rand był *ta'veren* i nieświadomie zmieniał wokół siebie Wzór. Czyż jednak ta przysięga wystarczyła obu kobietom do zapomnienia o odmiennych poglądach związanych z osobą, która powinna zostać Zasiadającą na Tronie Amyrlin? A może wielka bliskość tego *ta'veren* tak na nie wpłynęła? Cadsuane bardzo chciałaby poznać odpowiedzi na te pytania. Spośród jej ozdób żadna nie chroniła przed *ta'veren*. Wprawdzie nie znała w pełni możliwości dwóch ryb i jednego z księżyców, jednak szczególna moc tych błyskotek nie wydawała jej się prawdopodobna. Może po prostu Verin i Nesune dobrze się rozumiały, ponieważ obie należały do Brązowych Ajah? Brązowe potrafiły zapomnieć o całym świecie, ilekroć się skoncentrowały na swoich badaniach. Węże, też coś! Małe ozdoby zakołysały się, Cadsuane bowiem potrząsnęła głową, a następnie się obróciła, zostawiając za sobą dwie odchodzące Brązowe. Zastanowiła się, czego tym razem może chcieć od niej ten młody człowiek? Nigdy, niezależnie od sytuacji, nie podobała jej się rola doradczyń.

Podmuchy wiatru poruszały nielicznymi gobelinami zdobiącymi ściany korytarza – wszystkie były w starym stylu i nosiły widoczne ślady wskazujące jednoznacznie, że wielokrotnie je zdejmowano i ponownie zawieszano. Dworu najwyraźniej nie zbudowano od razu w kształcie, jaki miał dziś, lecz rozbudowywano go sukcesywnie niczym farmerskie domy – wraz z większymi zyskami lub w razie potrzeby, czyli gdy rozrastała się rodzina. Dynastia Pendaloan nigdy nie wydawała się szczególnie majątna, chociaż zdarzały się okresy, kiedy była rzeczywiście liczna. Efekty można było dostrzec na mocno zniszczonych, staromodnych draperiach ściennych. Wszystkie gzymsy pomalowano na jaskrawe kolory – czerwień, błękit bądź też żółć – choć korytarze różniły się od siebie szerokością i wysokością, a czasem też krzyżowały się pod osobliwym, ukośnym kątem. Z okien, które kiedyś wychodziły na pola, rozciągał się obecnie widok na dziedzińce. Przy oknach znajdowały się wysokie ławeczki, na których niczego nie stawiano, ażeby nie przesłaniać słońca. Z niektórych części dworu do innych prowadziły jedynie zadaszone kolumnady, z których widać było jeden z tych dziedzińców. Kolumny najczęściej wykonywano z drewna i również pokrywano farbą w wyrazistym kolorze, nielicznym zaś dodatkowo dodawano rzeźbienia.

Na jednym z tych przejść, przyozdobionym grubymi, zielonymi kolumnami, stały dwie siostry i wpatrywały się w dół, na ruchliwy dziedziniec. W każdym razie patrzyły nań w momencie, gdy Cadsuane otworzyła drzwi prowadzące na kolumnadę. Jedna z kobiet, Beldeine, podniosła na Cadsuane wzrok i zeszywniała, po czym poprawiła szal zakończony zielonymi frędzlami, który nosiła dopiero niecałe pięć lat. Była ładna, jej oblicze z wydatnymi kośćmi policzkowymi i nieco skośnymi brązowymi oczyma nie zyskało jeszcze typowej dla Aes Sedai bezwiekowości i wyglądała nawet na młodszą niż Min, zwłaszcza kiedy posłała wchodzącej szybkie, lodowate spojrzenie. Sekundę później odwróciła się i pospiesznie ruszyła w przeciwnym kierunku.

Jej towarzyszka, siostra imieniem Merise, uśmiechnęła się z kolei z rozbawieniem, nieznacznie przesuając na ramionach szal z zielonymi frędzlami. A przecież Merise, wysoka kobieta z włosami szczesanymi w tył z bladej twarzy, nie należała do osób, które często się uśmiechają.

– Beldeine zaczyna się martwić, że do tej pory nie połączyła jeszcze więzią żadnego Strażnika – zauważyła z wyraźnym taraboniańskim akcentem, kiedy Cadsuane zatrzymała się obok niej. Tym niemniej jej niebieskie oczy patrzyły teraz ponownie na dziedziniec. – Zastanawia się nad połączeniem więzią z Asha'manem, o ile jakiegoś znajdzie. Kazałam jej porozmawiać z Daigian. Jeśli rozmowa nie pomoże jej, pomoże przynajmniej Daigian.

Wszyscy Strażnicy, których przywiozły tu z sobą siostry, zebrali się obecnie na wyłożonym kamienną posadzką dziedzińcu. Wszyscy nosili – mimo zimna – tylko koszule z długim rękawem, większość siedziała na pomalowanych, drewnianych ławkach i przyglądała się, jak dwóch z nich ćwiczy z drewnianymi mieczami. Jahar, jeden z trzech Strażników Merise, był przystojnym młodzieńcem o przyciemnionej przez słońce cerze. Srebrne dzwoneczki przymocowane do końców jego dwóch długich warkoczy zabrzęczały, gdy mężczyzna z furią zaatakował swego przeciwnika. Jahar poruszał się w taki sposób, jakby walczył czarną laną. Nie było nawet śladu wiatru, a jednak ośmioramienna gwiazdka, którą Cadsuane miała we włosach, wyraźnie się poruszała. Niczym złoty kompas... Cadsuane podniosła rękę i zatrzymała ozdobę, gdyż wyraźnie czuła jej wibrowanie. Wtedy zrozumiała! Tak, tak, Jahar był Asha'manem. Cadsuane pojęła ten fakt, chociaż gwiazda nie wskazała jednoznacznie na niego, jedynie dała do zrozumienia, że w jej pobliżu znajduje się mężczyzna, który potrafi przenosić Moc. Cadsuane odkryła już wcześniej, że gwiazda drży tym silniej, im więcej jest w jej otoczeniu mężczyzn z umiejętnością przenoszenia. Przeciwnik Jahara, bardzo wysoki, barczysty osobnik cechujący się kamiennym obliczem i splecionym skórzanym rzemieniem na siwiejących skroniach, przytrzymującym długie do ramion włosy, nie był wprawdzie Asha'manem, lecz potrafił być nieubłagany. Lan niby nie poruszał się szybko, ale jakby... płynął. Zawsze zdążył odparować swoim ostrzem z powiązanych różg uderzenie miecza Jahara, który – choć młodszy – ani razu nie zdołał go dosięgnąć.

Nagle drewniane ostrze Lana trafiło bok Jahara z głośnym trzaskiem. Gdyby cios został zadany stałą, Asha'man padłby martwy. Jahar wciąż jeszcze cofał się przed siłą tego uderzenia, podczas gdy Lan płynnym ruchem wrócił do poprzedniej pozycji i trwał w gotowości z długim ostrzem uniesionym pionowo w rękach. W tym momencie wstał Nethan, inny Strażnik Merise. Szczupły mężczyzna, lekko posiwiały na skroniach, dość wysoki, chociaż i tak o dłoń lub więcej niższy od Lana. Jahar odprawił go jednak machnięciem ręki i znów podniósł ćwiczebne ostrze, głośno domagając się kolejnego ataku.

– Czy Daigian jakoś się trzyma? – spytała Cadsuane.

– Radzi sobie lepiej, niż się spodziewałam – przyznała Merise. – Dużo przebywa w swoim pokoju, a płacze jedynie w tajemnicy. – Przesunęła wzrok od mężczyzn z mieczami ku pomalowanej na zielono ławce, na której siedział Strażnik Verin – krępy, siwowłosy Tomas – obok osobnika

niemal łysego, z wyjątkiem kępki białych włosów. – Damer chciał spróbować ją Uzdrowić, jednakże Daigian odmówiła. Może nigdy wcześniej nie miała Strażnika, lecz wie, że żałoba po zmarłym stanowi część wspomnienia po nim. Jestem zaskoczona, że Corele w ogóle rozważała coś takiego.

Potrząsając głową, Tarabonianka wróciła do obserwacji Jahara. Strażnicy innych sióstr właściwie jej nie interesowali, przynajmniej nie w takim stopniu jak jej trzej.

– Asha'mani – o, ci to się smuć. Tak jak Strażnicy. Sądziłam, że Jahar i Damer może tylko poszli za przykładem innych, jednakże z tego, co mówił Jahar, wynika, że właśnie takie są ich zwyczaje. Nie wtrącałam się oczywiście, widziałam wszakże, że popijali, wspominając młodego Strażnika Daigian, Ebena. Ani razu nie wymienili jego imienia, ale na stole postawili na jego części puchar pełen wina. Bassane i Nethan wiedzą, że każdego dnia mogą umrzeć i godzą się z tym faktem. A Jahar wręcz wyczekuje śmierci, tak, tak, powiedziałabym, że codziennie jej wyczekuje. Każdą godzinę traktuje zapewne jako swoją ostatnią.

Cadsuane ledwie się powstrzymała przed zerknięciem na swoją towarzyszkę. Merise nieczęsto wygłaszała tak długie przemowy. Jej rysy były gładkie, postawa niewzruszona, tym niemniej coś w jej zachowaniu denerwowało.

– Wiem, że myślisz o więzi z nim – zauważyła łagodnie, wpatrując się w dziedziniec. Rozmowa z Aes Sedai o jej Strażniku wymagała delikatności. Z tego też względu Cadsuane patrzyła wyłącznie na dziedziniec i marszczyła brwi. – Uwierzyłaś już, że młody al'Thor odniósł sukces w Shadar Logoth? Twoim zdaniem naprawdę zdołał oczyścić ze skazy męską połowę Źródła?

Corele także się zastanawiała nad więzią z Damerem, jednak Żółte tak bardzo skupiały się na swoich daremnych wysiłkach zrozumienia, jak przy użyciu *saidara* dokonać tego, co Rand zrobił z *saidinem*, że Corele nie zauważyłaby skazy Czarnego, nawet gdyby ją połknęła. Szkoda, że sama Cadsuane nie otrzymała szala na przykład pięćdziesiąt lat później... Wówczas również związałyby jednego z tych mężczyzn i nie musiałyby nikogo wypytywać o takie rzeczy. Jednak różnica pięćdziesięciu lat wiele zmieniała. Nie doszłoby do śmierci Norii w jej małym domku na Czarnych Wzgórzach i Cadsuane Melaidhrin pewnie wcale nie trafiłaby do Białej Wieży. Jej historia potoczyłaby się zupełnie inaczej. Przede wszystkim bez wątpienia nie znalazłaby się w okolicznościach choćby przypominających obecne. Dlatego musiała zadawać takie pytania. Zadawała więc je delikatnie i spokojnie czekała na odpowiedź.

Merise pozostała opanowana i nieporuszona. Dopiero po długiej chwili westchnęła, po czym odparła:

– Nie wiem, Cadsuane. *Saidar* to spokojny ocean, który zabierze cię tam, dokąd się zechcesz udać, wystarczy znać jego prądy i pozwalać im się unosić. A *saidin*... *Saidin* jest w porównaniu z *saidarem* lawiną parzących kamieni. Przypomina załamujące się lodowe góry. Jahar wydaje mi się... czystszy niż wtedy, gdy połączyłam się z nim po raz pierwszy, jednakże w panującym chaosie można ukryć wszystko. Wszystko!

Cadsuane pokiwała głową. Nie była przekonana, czy spodziewała się innego wytłumaczenia. Czemuż niby miała otrzymać jednoznaczna odpowiedź na któreś z dwóch najważniejszych na świecie pytań, skoro nie potrafiła znaleźć wyjaśnienia szeregu innych dużo prostszych kwestii? Patrzyła na dziedziniec. Drewniane ostrze Lana zatrzymało się, choć tym razem nie z traskiem, lecz ledwie muskając gardło Jahara. Następnie – potężniejszy od swego przeciwnika – Lan znów spokojnie wrócił do swojej podstawowej, oczekującej pozycji. Nethan ponownie powstał, Jahar zaś po raz kolejny odprawił go machnięciem ręki, po czym gniewnie uniósł ćwiczebny miecz i przybrał waleczną postawę. Trzeci Strażnik Merise, mężczyzna imieniem Bassane – niski, szeroki w barach Cairhienianin o opalonej, niemal równie ciemnej jak Jahara cerze – roześmiał się i rzucił

nieuprzejmy komentarz na temat przesadnie ambitnych osobników, którzy potykają się o własne ostrza. Tomas i Damer wymienili spojrzenia i potrząsnęli głowami, mężczyźni w tym wieku zwykle bowiem już na długo wcześniej dali sobie spokój z szyderstwami. Znów rozległy się odgłosy drewna uderzającego o drewno.

Pozostali czterej Strażnicy nie stanowili jedynych widzów zmagania Lana i Jahara na dziedzińcu. Uwagę Cadsuane przyciągnęła siedząca na czerwonej ławce szczupła dziewczyna o ciemnych włosach splecionych w długi warkocz, która z niepokojem przyglądała się walczącym. Na jej widok Cadsuane zmarszczyła brwi. Ta młódka musiałaby zamachać pierścieniem w kształcie Wielkiego Węża przed nosami ludzi, ażeby im udowodnić, że mają do czynienia z Aes Sedai, którą rzeczywiście była, nawet jeśli tylko formalnie. Beldeine wciąż wyglądała jak dziecko, gdyż miała naprawdę młodą twarz, natomiast Nynaeve rzeczywiście była młodziutka. Teraz kręciła się na ławce, prawie się z niej zrywając. Czasami poruszała ustami, jakby milcząco wykrzykując słowa zachęty, innym razem wykonywała rękoma gesty, którymi pokazywała Lanowi skuteczniejszy sposób posługiwania się mieczem. Nynaeve była istotą nieco frywolną i pełną namiętności, na szczęście dzięki swej rozwadze rzadko te cechy demonstrowała. Nie tylko Min zatem oddała serce jakiemuś mężczyźnie i straciła dla niego głowę. Zgodnie ze zwyczajami dawnego Malkier, Nynaeve miała na czole wymalowaną czerwoną kropkę symbolizującą małżeństwo z Lanem, mimo iż Żółte rzadko poślubiały swoich Strażników. Nie tylko zresztą Żółte. Naprawdę bardzo niewiele sióstr wychodziło za mąż. W dodatku Lan nie był Strażnikiem Nynaeve, chociaż oboje udawali, że łączy ich więź. Nie wspominali o osobie, do której Lan w istocie należał, unikali imienia tej kobiety i zachowywali się czasem jak złodzieje umykający w noc.

Bardziej interesująca i niepokojąca wydała się Cadsuane biżuteria, którą nosiła Nynaeve: długi, złoty naszyjnik, cienki, złoty pas, a także dopasowane do nich bransoletki i pierścienie. A jej suknię z żółtymi wstawkami zdobiły jaskrawoczerwone, zielone i niebieskie klejnoty. Na lewej ręce Nynaeve nosiła również jeden dodatkowy przedmiot – złote pierścionki przymocowane spłaszczonymi łańcuszkami do złotej bransoletki. Był to *angreal*, znacznie potężniejszy niż ozdoba w kształcie dzierzby, którą miała we włosach Cadsuane. Inne ozdoby Nynaeve przypominały jej własne i prawdopodobnie zostały wykonane mniej więcej w tym samym czasie; te *ier'angreale* pochodziły z okresu Pęknięcia Świata, z czasów, gdy Aes Sedai zaczynały zyskiwać wrogów, szczególnie wśród umiejących przenosić Moc mężczyzn. Dziwna wydawała się teraz myśl, że tych mężczyzn również określano mianem Aes Sedai. Tak jakby Cadsuane spotkała nagle osobnika przeciwnej płci, który nosi jej imię!

Pytanie... Jej poranek najwyraźniej wypełniały pytania, a słońce wszak nie wspięło się jeszcze nawet do połowy osiąganego w południe wysokości... Pytanie zatem brzmiało, czy młodziutka Nynaeve nosi tę biżuterię z powodu chłopca nazwiskiem al'Thor, czy też z powodu Asha'manów? A może z jej powodu, z powodu Cadsuane Melaidhrin? Nynaeve manifestowała swoją lojalność wobec Randa, młodzieńca pochodzącego z tej samej wioski, choć nie zapominała także o ostrożności. Nie była zatem głupia i doskonale wiedziała, co robi. Póki jednak Cadsuane nie znajdzie odpowiedzi na nurtujące ją kwestie, nie może zaufać tej dziewczynie; byłoby to zbyt niebezpieczne. Kłopot w tym, że ostatnimi czasy wiele pomysłów wydawało się groźnymi.

– Jahar staje się silniejszy – oświadczyła niespodziewanie Merise. Cadsuane uniosła brwi i zerknęła na swoją Zieloną towarzyszkę. Silniejszy? Wilgotna koszula tego młodego człowieka przylgnęła mu już do pleców, podczas gdy Lan nawet nie zdążył się jeszcze spocić. Po chwili jednak zrozumiała, co ma na myśli jej rozmówczyni. Merise nie chodziło o zwyczajną siłę, lecz o kompetencję w posługiwaniu się Mocą. Tym niemniej Cadsuane zmarszczyła pytająco czoło. „Kiedy

ostatnim razem pozwoliłam sobie na ujawnienie takich emocji?” – zadumała się. Może wtedy, tak wiele lat temu, na Czarnych Wzgórzach, gdy zaczęła zdobywać ozdoby, które obecnie nosiła. – Najpierw sądziłam, że ten sposób treningu Asha’manów, to ciągle wymuszanie i przymuszanie, nauczy go wykorzystania pełnej siły w Mocy – ciągnęła Merise tonem wyjaśnienia, patrząc z niezadowoloną miną na dwóch osobników wymachujących ćwiczebnymi mieczami. Właściwie nie, Merise patrzyła z niezadowoleniem tylko na Jahara. O jej frustracji świadczyło zresztą jedynie lekkie zmrużenie oczu. – W Shadar Logoth pomyślałam, że chyba po prostu sobie to wyobraziłam. Trzy albo cztery dni temu byłam na wpół przekonana, że coś mi się pomyliło. Teraz jednak jestem pewna, że mam rację. Jeżeli mężczyźni zyskują siłę zrywami, trudno coś powiedzieć o ostatecznej sile, którą Jahar może zdobyć.

Merise naturalnie nie posunęłaby się do zwerbalizowania prawdziwego problemu, który ją dręczył. A przecież w gruncie rzeczy obawiała się, że Jahar stanie się silniejszy od niej. Wypowiedzenie takich słów wydawało się jednak wręcz niewiarygodne i chociaż Merise chyba już się przyzwyczała do niemożliwych do pomyślenia czynów – większość siostr wszak zemdlałaby na samą myśl o więzi z mężczyzną umiejącym przenosić Moc – na pewno nie czułaby się dobrze, rozprawiając o nich na głos. Cadsuane miała ochotę na absolutnie szczerą rozmowę, jednak nie naciskała i postanowiła zachować neutralny ton. O Światłości, jakżeż nienawidziła tej wymuszonej delikatności.

– Wygląda na zadowolonego, Merise.

Strażnicy Merise zawsze wyglądali na zadowolonych. Najwyraźniej kobieta dobrze ich traktowała.

– Wcale nie, jest wściekły na... – Dotknęła swoich skroni, jakby macała liczne uczucia, które docierały do niej poprzez więź. Naprawdę była zdenerwowana! – Choć może nie wściekły, a raczej rozżalony. – Sięgnęła do zielonego woreczka przy skórzanym pasku i wyjęła małą, emaliowaną szpilkę w postaci osobliwej, wijącej się figurki w kolorach czerwieni i złota. Figurka przypominała węża, tyle że z nogami i lwią grzywą. – Nie wiem, gdzie ją zdobył młody al’Thor, w każdym razie wręczył ją Jaharowi. Najwyraźniej dla Asha’manów ta szpila jest czymś w rodzaju naszego szala. Musiałam mu ją oczywiście zabrać. Jahar pozostaje wciąż na etapie, w którym dopiero uczy się akceptować moje polecenia. Odebranie tego przedmiotu bardzo nim wszakże wstrząsnęło... Czy powinnam mu go oddać? W jakimś sensie otrzymałby wtedy szpilę z mojej ręki.

Cadsuane coraz bardziej marszczyła czoło i powoli przestawała już panować nad swoją miną. Czyżby Merise pytała ją o radę w sprawie jednego ze swoich Strażników?! No cóż, wprawdzie Cadsuane sama zagaiła na ten temat, lecz ów stopień zażyłości był po prostu... niespotykany i niemożliwy do pomyślenia. Też coś!

– Jestem pewna, że cokolwiek zdecydujesz, twoja decyzja będzie właściwa.

Po tym stwierdzeniu rzuciła ostatnie spojrzenie na Nynaeve i odeszła, pozostawiając samą sobie wysoką Merise, która wciąż gładziła kciukiem emaliowaną szpilkę i z uniesionymi brwiami wpatrywała się w dziedziniec. Lan właśnie po raz nie wiadomo już który pokonał Jahara, tym niemniej młody człowiek znów się prostował, zachęcając przeciwnika do kolejnego pchnięcia. Cadsuane nie była właściwie zainteresowana potencjalną decyzją swojej Zielonej rozmówczyni w sprawie szpilki, jednak z tej pogawędki nauczyła się pewnej rzeczy, która jej się bardzo nie spodobała. Do tej pory granice między Aes Sedai i Strażnikami zawsze wydawały jej się jasne jak słońce. Aes Sedai rozkazywały, Strażnicy zaś wypełniali ich polecenia. Ale jeśli Merise – akurat ona, ta Zielona, która zawsze twardą ręką rządziła swoimi Strażnikami – wahała się w związku z czymś tak drobnym jak szpilka do kołnierza... Widać z tego, że trzeba wyznaczyć nowe granice w

kontaktach ze Strażnikami, przynajmniej z tymi, którzy posiadali zdolność przenoszenia Mocy. Nie ma co marzyć, że siostry przestaną się wiązać z umiemycami przenosić Strażnikami. Beldeine stanowiła jawny dowód na to, że tak się nie zdarzy. Ludzie wszak nigdy się nie zmieniają, chociaż świat wokół nich stale się zmienia – z niepokojącą regularnością. Trzeba się z tym faktem pogodzić i tyle. Nie warto się denerwować sprawami, na które nie ma się wpływu. A od czasu do czasu, przy odrobinie szczęścia, można wpłynąć jedynie na kierunek zmian, tyle że zazwyczaj jeśli jedną zmianę powstrzymasz, doprowadzisz do innej lub ją wręcz wywołasz...

Zgodnie z oczekiwaniami Cadsuane drzwi do pokojów młodego Randa al'Thora były strzeżone. Siedziała przy nich oczywiście Alivia, zajmując ławkę po jednej stronie wejścia, w cierpliwej pozycji, z rękoma ułożonymi na podolku. Ta jasnowłosa Seanchanka sama sobie wyznaczyła rolę obrończyni młodzieńca. Była wdzięczna Randowi za uwolnienie jej od kołnierza *damane*, tym niemniej najwyraźniej chodziło tu o coś więcej. Min nie lubiła Alivii i powodem jej niechęci nie była jedynie zwyczajna zazdrość, gdyż Seanchanka niewiele wiedziała o związkach mężczyzn z kobietami. Istniał jednakże między nią i al'Thorem jakiś związek, który ujawniał się w spojrzeniach – jej zdeterminowanych, jego pełnych nadziei. W ten układ trudno było uwierzyć, Cadsuane wszakże nie zamierzała go lekceważyć, zwłaszcza póki nie pozna jego szczegółów. Alivia obrzuciła ją teraz ostrym spojrzeniem błękitnych oczu. Patrzyła z szacunkiem, ale i ostrożnie, choć na szczęście bez wrogości. Seanchanka łatwo i szybko radziła sobie z osobami, które uważała za wrogów młodego Randa.

Na straży trwała tu też druga kobieta. Mimo iż była wzrostu Alivii, te dwie nie mogły się chyba bardziej od siebie różnić i to nie tylko dlatego, że Elza miała brązowe oczy i gładkie, wiecznie młode oblicze Aes Sedai, natomiast Alivia – drobne zmarszczki w kącikach oczu i nitki bieli we włosach. Elza, natychmiast gdy zobaczyła Cadsuane, skoczyła na równe nogi i podbiegła do drzwi, owijając się szczelnie szalem.

– Nie jest sam – oświadczyła lodowatym głosem.

– Chcesz powiedzieć, że stajesz mi na drodze? – odwarknęła Cadsuane z identycznym chłodem w głosie.

Zielona Andoranka powinna się w tym momencie usunąć. Wszak była znacznie od niej słabsza we władaniu Mocą, toteż nawet nie powinna się zawahać, a cóż dopiero czekać na jawny rozkaz. Tym niemniej Elza trwała twardo w miejscu i niechęć jej spojrzenia jeszcze bardziej się pogłębiała.

Sytuacja stała się kłopotliwa. Pięć innych przebywających w rezydencji sióstr przysięgało Randowi, te zaś, które pozostawały lojalne Elaidzie, gapiły się zazwyczaj na Cadsuane w taki sposób, jakby jawnie ją podejrzewały o złe zamiary wobec niego. I tu pojawiało się oczywiste pytanie, dlaczego Verin jej nie podejrzewała. W każdym razie, do tej pory tylko jedna Elza usiłowała ją utrzymać z dala od al'Thora. Nastawienie kobiety trąciło zazdrością, która nie miała zresztą najmniejszego sensu. Elza chyba wszak nie wierzyła, że bardziej od Cadsuane pasowałaby na doradczynię Randa, a gdyby kiedykolwiek choć zasugerowała, że pragnie tego młodzieńca – jako mężczyzny czy też jako Strażnika – Min z pewnością zareagowałaby atakiem szału. Min bacznie obserwowała wszystkie swoje potencjalne rywalki. Cadsuane miała teraz ochotę zazgrzytać zębami, na szczęście nie należała do osób w tak widoczny sposób okazujących swoje uczucia.

Akurat w chwili, kiedy zamierzała polecić Elzie ustąpienie jej z drogi, Alivia wychyliła się ze swego miejsca.

– On po nią posłał, Elzo – oświadczyła, powoli cedząc słowa. – Zdenerwuje się, jeśli jej do niego nie wpuszczymy. Wścieknie się na nas, nie na nią. Wpuść ją.

Elza zerknęła na Seanchankę spod oka, po czym wydeła w pogardzie wargi. Alivia była od niej

silniejsza, jeśli szło o władanie Mocą – dokładnie rzecz ujmując, Alivia była znacznie silniejsza nawet od Cadsuane – jednakże Elza uważała ją za kłamczuchę i w dodatku dzikuskę. Ciemnowłosa Elza ledwie zdawała się przyjmować fakt, że Alivia była wcześniej *damane*, nie mówiąc o pozostałych szczegółach jej historii. Tym niemniej jej posłuchała – obrzuciła spojrzeniem najpierw Cadsuane, potem drzwi, w końcu poprawiła szal. Najwidoczniej nie chciała, aby Rand się zdenerwował. W każdym razie nie na nią.

– Sprawdź, czy na ciebie czeka – oznajmiła ponuro. – Przetrzyj ją tutaj – poleciła Alivii ostrzejszym tonem, następnie zaś obróciła się do drzwi i lekko zastukała. Z wnętrza dał się słyszeć męski głos, więc Elza lekko uchyliła drzwi i przeslizgnęła się przez szczelinę, pociągając je za sobą.

– Będziesz jej musiała wybaczyć – stwierdziła Alivia z tym denerwująco powolnym, miękkim akcentem Seanchan. – Sądzę, że powodem takiego zachowania jest jedynie zbyt poważne podejście do złożonej przysięgi. Nie przyzwyczała się jeszcze do służenia komukolwiek.

– Aes Sedai dotrzymują słowa – odparła cierpko Cadsuane. Rozmawiając z Seanchanką, odnosiła wrażenie, że sama przemawia szybkim, szorstkim językiem Cairhienian! – My, Aes Sedai musimy dotrzymywać słowa.

– Myślę, że ty tak. Jak wiesz, ja również. Jestem mu coś winna, więc spełniam jego polecenia...

Cadsuane zastanowiła się nad tym osobliwym komentarzem, stanowiącym równocześnie wyraźny wstęp do dłuższej rozmowy, zanim jednak mogła podjąć temat lub zadać jakieś pytanie, z pokoju al'Thora wyszła Elza. Za nią kroczył Algarin, mężczyzna o rzadkich, siwych włosach i starannie przyciętej, białej brodzie. Ukłonił się Cadsuane z uśmiechem, który pogłębił zmarszczki na jego twarzy. Nosił prosty kaftan z ciemnej wełny, wyraźnie uszyty przed wieloma laty, gdyż teraz wisiał na jego ciele zbyt luźno. Cadsuane nie miała pojęcia, po co mężczyzna odwiedzał młodego Randa.

– Teraz się z tobą spotka – warknęła ostro Elza.

Cadsuane znów o mało nie zazgrzytała zębami. Sekret Alivii będzie musiał poczekać. Podobnie jak tajemnica Algarina.

Gdy weszła do pomieszczenia, młodzieniec stał. Niemal dorównywał wzrostem i szerokością ramion Lanowi. Miał na sobie czarny kaftan ze złotymi haftami na rękawach i wysokim kołnierzem. Cadsuane strój ów skojarzył się z odzieniem Asha'manów – z haftami dodanymi dla zmylenia jej – lecz nic nie powiedziała. Rand wykonał grzeczny ukłon, podprowadził ją do kominka, przed którym stało krzesło z ozdobioną chwostami poduszką, a następnie spytał uprzejmie, czy nie napiłaby się wina. Dodał, że trunek w dzbanie stojącym na bocznym stoliku wraz z dwoma pucharami nieco się już prawdopodobnie ochłodził, ale w każdej chwili można posłać po nowy. Cadsuane pracowała dla niego wystarczająco ciężko, dzięki czemu Rand zachowywał się wobec niej grzecznie. Mógł sobie nosić taki kaftan, jaki chciał, istniały bowiem ważniejsze sprawy, w których Cadsuane musiała mu doradzić. Czasem doradzić, a czasem – jeśli trzeba – odciągnąć go od czegoś albo zachęcić do jakiegoś ruchu. Postanowiła zatem, że nie będzie tracić czasu na pogawędkę o jego ubraniu.

Skłoniwszy dwornie głowę, podziękowała za wino. Puchar z napitkiem dawał wprawdzie różne sposobności – można było sączyć trunek, gdy trzeba było na moment skupić myśli lub wpatrywać się w zawartość pucharu, kiedy się chciało ukryć wzrok – Cadsuane odrzuciła jednakże te sposobności, uważała bowiem, że powinna poświęcić młodemu rozmówcy całą swoją uwagę. Z jego twarzy można było wyczytać niemal równie mało jak z twarzy sióstr. Ze swymi ciemnorudawymi włosami i szaroniebieskimi oczyma mógłby uchodzić za Aielą, tyle że naprawdę niewielu Aielów charakteryzowało się tak lodowatym spojrzeniem. Przy tych oczach poranne niebo, w które Cadsuane wpatrywała się przedtem, wydawało się wręcz gorące. Kobieta zauważyła też, że obecnie te oczy

stały się jeszcze zimniejsze niż wcześniej, przed Shadar Logoth. Zimniejsze i niestety twardsze. Poza tym Rand wyglądał też na... zmęczonego.

– Algarin miał brata, który potrafił przenosić Moc – wyjaśnił, odwracając się, ażeby stanąć przodem do jej krzesła.

A w połowie obrotu... zatoczył się. Złapał się poręczy krzesła z krótkim śmiechem, udając, że się potknął o własne buty, Cadsuane wszakże wiedziała, że było inaczej. Nie sięgnął też po *saidina* (widziała już uprzednio, jak się zataczał podczas przenoszenia), w przeciwnym razie jej ozdoby na pewno by ją ostrzegły. Corele twierdziła, że al'Thor musi tylko zażyć nieco snu i w ten sposób odzyska siły po Shadar Logoth. O Światłości, za wszelką cenę trzeba utrzymać tego chłopca przy życiu, bo jeśli umrze, wszystkie jej wysiłki okażą się daremne!

– Wiem – odparła. Doszła do wniosku, że Algarin powiedział mu wszystko, toteż dodała: – To właśnie ja schwytałam Emarina i zabrałam go do Tar Valon.

Niektórzy ludzie mogliby uznać za dziwne, że Algarin jest jej za coś takiego wdzięczny, jednakże jego młodszy brat przeżył jeszcze ponad dziesięć lat po poskromieniu, z którym Cadsuane pomogła mu się pogodzić. A bracia byli sobie bardzo bliscy.

Rand usiadł na krześle i uniósł brwi. Wyraźnie zatem nie znał dotąd tego szczegółu historii.

– Algarin chce się poddać testom – rzucił.

Spokojnie i bez słowa wytrzymała jego spojrzenie. Dzieci Algarina pożeniły się już, a niektóre nawet pomarły. Może ten mężczyzna był gotowy do zmiany stylu życia. Tak czy owak, Aes Sedai jeden osobnik więcej z umiejętnością przenoszenia Mocy czy jeden mniej nie sprawiał właściwie w tym momencie różnicy. Chyba że chodziło o młodzieńca, który w tej chwili się na nią gapił.

Sekundę później podbródek al'Thora poruszył się na znak czegoś w rodzaju kiwnięcia głową. Czy Rand ją sprawdzał?!

– Nie obawiaj się, chłopcze, nie zawaham się, gdy trzeba cię będzie wyzwać od głupców – oświadczyła.

Większość osób po jednym spotkaniu z nią zapamiętywała, że Cadsuane ma ostry język, jednakże temu młodemu mężczyźnie musiała od czasu do czasu o tym fackie przypominać. Teraz słysząc jej słowa, odchrząknął. Może wesoło, może ze smutkiem. Cadsuane pamiętała, że miała go czegoś nauczyć, choć chyba sam już nie wiedział, o co mu właściwie chodziło. Nieważne. Mogłaby wyliczyć wiele takich spraw.

Jego obojętna, zupełnie pozbawiona emocji twarz wyglądała jak wyrzeźbiona z kamienia, tym niemniej Rand zerwał się z miejsca i zaczął nerwowo chodzić od kominka do drzwi i z powrotem. Trzymane za plecami dłonie zaciskał w pięści.

– Rozmawiałem z Alivią o Seanchanach – oświadczył. – Z jakiegoś powodu nazywają swoje wojsko Wiecznie Zwycięską Armią. Twierdzą, że nigdy nie przegrali żadnej wojny. Owszem, ponosili klęski w bitwach, lecz nigdy w wojnach. Gdy przegrają bitwę, siadają bowiem i dumają, co zrobili źle, bądź też omawiają sposób, w jaki wróg zdołał ich przechytrzyć. Następnie zmieniają swój plan na taki, który pozwoli im zwyciężyć.

– Mądre podejście – oceniła Cadsuane, kiedy al'Thor przerwał długą wypowiedź. Wyraźnie oczekiwał na jakiś komentarz z jej strony, więc dodała: – Znam mężczyzn, którzy postępują tak samo. Na przykład Davram Bashere. A także Gareth Bryne, Rodel Ituralde czy Agelmar Jagad. Nawet Pedron Niall za życia szacował w ten sposób przeszłe potyczki. I wszyscy kapitanowie określani mianem wielkich.

– Właśnie – zgodził się młodzieniec, nie przestając chodzić po pomieszczeniu. Nie patrzył na Cadsuane, może w ogóle jej nie dostrzegął, bez wątpienia wszakże słuchał tego, co mówiła. –

Postępuje tak pięciu mężczyzn, sami wielcy kapitanowie. A Seanchanie? Wszyscy! Tak działają od tysiąca lat. Jeśli uznają, że trzeba coś zmienić, zmieniają to, lecz się nie poddają.

– Bierzesz pod uwagę możliwość, że nijak nie można ich pokonać? – spytała opanowanym tonem.

Spokój zawsze stanowił najlepszą strategię, póki nie poznało się faktów, a zwykle także później. Młodzieniec odwrócił się do niej i wyprostował. Oczy miał zimne niczym kostki lodu.

– W końcu zdołam ich pokonać – obwieścił, starając się panować nad głosem. Cadsuane była zadowolona z jego wymuszonej uprzejmości. Im rzadziej będzie musiała udowodniać, że potrafi i może go karać za odstępstwa od reguł, tym lepiej. – Tyle że... – zaczął, po czym gwałtownie przerwał, gdyż dobiegły go z korytarza przenikające przez drzwi odgłosy kłótni.

Chwilę później drzwi gwałtownie się otworzyły, a w progu pojawiła się Elza, a właściwie jej plecy. Kobieta wchodziła do pomieszczenia tyłem, wciąż krzycząc głośno i machając rękoma, gdyż usiłowała zapobiec wtargnięciu dwóch innych sióstr. Erian, bladolica, choć obecnie zarumieniona, praktycznie odpychała blokującą jej dostęp drugą Zieloną. Sarene, istota tak piękna, że niebrzydka Erian wyglądała przy niej niemal pospolicie, przybrała chłodniejszą minę, czego można się było spodziewać po Białej, tym niemniej potrząsała głową z rozdrażnieniem i na tyle mocno, że kolorowe paciorki w jej cienkich warkoczach uderzały o siebie ze stukotem. Cadsuane wiedziała, że Sarene posiada niezły temperament, chociaż zazwyczaj doskonale nad sobą panowała.

– Bartol i Rashan przybywają – obwieściła głośno Erian z mocniejszym z powodu wzburzenia illiańskim akcentem. Mówiła o swoich dwóch Strażnikach, których zostawiła w Cairhien. – Nie posłałam po żadnego z nich, ale ktoś z nimi Podróżuje. Godzinę temu poczułam nagle, że się zbliżają, a przed chwilą znów, jeszcze mocniej. Bez wątplenia przybywają do nas.

– Mój Vitalien również nadchodzi – dorzuciła Sarene. – Sądzę, że zjawi się tutaj za kilka godzin.

Elza opuściła ręce, chociaż pozostała sztywno wyprostowana i nadal przeszywała obie siostry przepelnionym furią wzrokiem.

– Mój Fearil także niedługo do nas dotrze – szepnęła.

Fearil był jej jedynym Strażnikiem. Podobno kiedyś się pobrali, a Zielone, które wychodziły za mąż za Strażników, rzadko wiązały się równocześnie z innymi.

Cadsuane zastanowiła się, czy Elza podzieliłaby się tą informacją z nią i Randem, gdyby inne Aes Sedai ich nie powiadomiły.

– Nie spodziewałem się ich tak szybko – zauważył al'Thor cicho, lecz zimnym jak stal głosem. – Nie powinienem był wszakże mieć nadziei, że zdarzenia na mnie poczekają, prawda, Cadsuane?

– Zdarzenia nigdy na nikogo nie czekają – przyznała, wstając.

Erian wzdrygnęła się, jak gdyby dopiero ją dostrzegła, mimo iż Cadsuane była pewna, że jej oblicze pozostaje równie obojętne jak twarz młodego Randa. Powody, dla których ci Strażnicy opuścili Cairhien i osoby, które z nimi Podróżowały, zapewne stanowiły wystarczająco duży kłopot, tym niemniej Cadsuane uprzytomniła sobie, że otrzymała właśnie kolejną odpowiedź od chłopca i bardzo starannie będzie musiała rozważyć, jak mu w tej kwestii doradzić. Czasami odpowiedzi sprawiały większe problemy niż pytania.

Rozdział 10

Burza narasta

Było późne popołudnie, toteż przez okna sypialni Randa powinny wpadać ukośnie promienie słońca, niestety na zewnątrz zacinął ostro deszcz, więc w pomieszczeniu zapalono wszystkie lampy, które miały rozproszyć zapadające ciemności. Grzmoty z trzaskiem uderzały w szyby okien. Burza była gwałtowna i nadchodziła od Muru Smoka szybciej niż pędzący koń, przynosząc z sobą chłód niemal wystarczający dla opadów śniegu. Zresztą krople spadające na dom były na wół zmrożonymi drobinkami gradu. A mimo płonących w kominku drewnianych kłód do pokoju wdzierало się zimno.

Al'Thor leżał na łóżku, z obutymi stopami ułożonymi jedna na drugiej na dekoracyjnej kapie i wpatrując się w baldachim, usiłował zebrać myśli. Potrafił zlekceważyć panującą na dworze burzę, trudniej jednak mu było zapomnieć o Min, która tuliła się do jego ramienia. Dziewczyna wcale nie starała się go rozproszyć, tym niemniej bezwiednie go rozpraszała. Co miał z nią zrobić? Z nią, z Elayne i z Aviendhą? Z tej odległości od Caemlyn obecność dwóch ostatnich wyczuwał w głowie jedynie niewyraźnie. Przynajmniej zakładał, że obie nadal przebywają w Caemlyn... Przyjmowanie jakichkolwiek założeń było w przypadku tych dwóch kobiet raczej niebezpieczne. Tak naprawdę bowiem w tym momencie Rand wiedział jedynie, że obie żyją i miał ogólne poczucie kierunku, w którym się znajdowały. Min przyciskała się całym ciałem do jego boku, a dzięki więzi czuł dziewczynę tak mocno wewnątrz swojego umysłu, jakby wtargnęła tam w sensie fizycznym. Czy było już za późno na zapewnienie jej bezpieczeństwa? Jej, a także Elayne i Aviendzie?

„Co każe ci sądzić, że potrafisz komukolwiek zapewnić bezpieczeństwo?” – zaszemrał mu w głowie Lews Therin. Ten nieżyjący szaleniec stał się już starym przyjacielem al'Thora. „Wszyscy umrą. Miej po prostu nadzieję, że nie ty ich pozabijasz”. Nie był to mile widziany przyjaciel, jedynie taki, od którego Rand nie umiał się uwolnić. Przestał się już bać, że zabije Min, Elayne czy Aviendhę – nie bardziej niż bał się, że sam popadnie w szaleństwo... Dokładniej mówiąc, nie bał się raczej, że oszaleje... jeszcze bardziej... Wszak skoro przemawiał w jego umyśle nieżyjący mężczyzna, którego mglistą sylwetkę w dodatku czasami niemal rozpoznawał. Czy ośmieliłby się zapytać swoją doradczynię Cadsuane o którąś z tych kwestii? „Nie ufaj nikomu” – wtrącił Lews Therin, po czym uśmiechnął się z lekką drwiną. „Nie ufaj nawet mnie”.

Nagle Min bez ostrzeżenia dźgnęła go palcami w żebra – tak mocno, że aż chrząknął.

– Popadasz w melancholię, pasterzu – mruknęła. – Jeśli znowu się o mnie martwisz, przysięgam, że będę... – Min potrafiła używać rozmaitych tonów głosu, a każdy pasował do innych emocji przenoszonych przez więź. Teraz al'Thor wyczuł w niej znów słabą irytację, choć tym razem zabarwioną troską. Czasami dziewczyna straszliwie się na niego wściekała i odnosił wrażenie, że zaraz wyrządzi mu jakąś krzywdę. Innymi razy jej pomruki wydawały mu się zabawne albo wręcz przyprawiały go o śmiech, a jej nieznaczne gardłowe mruczenie rozgrzałoby mu krew w żyłach nawet bez więzi. – Nic z tego... w tej chwili – oznajmiła mu ostrzegawczo, zanim zdołał poruszyć ułożoną na jej plecach ręką, po czym zsunęła się z łóżka, wstała i zaczęła wygładzać haftowany kaftan, posyłając równocześnie swemu mężczyźnie dezaprobujące spojrzenie. Odkąd połączyła go z sobą więzią, jeszcze doskonalej potrafiła mu czytać w myślach, chociaż i wcześniej przychodziło jej to całkiem łatwo. – Co z nimi zrobisz, Randzie? Co zamierza Cadsuane?

W oknach rozjarzyła się błyskawica i w pokoju zrobiło się prawie tak jasno, że można by wyłączyć lampy. Sekundę później dał się słyszeć odgłos grzmotu.

– Min, anirazu jeszcze nie miałem okazji się dowiedzieć, co Cadsuane zamierza zrobić, zanim

tego nie zrobiła. W czym dzisiejszy dzień miałby się różnić od poprzednich?

Gruby, wypełniony pierzem materac przesunął się pod nim, gdy mężczyzna spuścił nogi i usiadł naprzeciwko dziewczyny. O mało bezmyślnie nie przycisnął dłoni do starych ran w boku. Na szczęście powstrzymał się i zaczął zapinać guziki kaftana. Na wpół uzdrowione i niemożliwe do całkowitego uzdrowienia – te dwie zachodzące na siebie rany bolały go od czasu Shadar Logoth. A może po prostu był tylko bardziej świadom ich rwania, ich palącego gorąca? Może czuł jedynie odmienność tego mniejszego niż dłoń obszaru na swoim boku od reszty swojego ciała? A miał wszak nadzieję, że dzięki zniknięciu Shadar Logoth jedna z jego ran zacznie się goić. Może jednak nie upłynęło jeszcze dość czasu i dlatego nie dostrzegał żadnej różnicy. Min uderzyła go oczywiście w drugi bok (zawsze pamiętała o jego ranie i nigdy jej nie dotykała, choć reszty jego ciała bynajmniej nie traktowała w tak delikatny sposób), toteż sądził, że potrafił ukryć przed nią swój ból. Uznał, że nie ma sensu dodawać jej zmartwień. Docierająca do niego przez więź troska w jej oczach i w jej myślach powinna dotyczyć co najwyżej Cadsuane. Albo innych osób.

Dwór i wszystkie dalsze budynki były obecnie zatłoczone. Nieuniknione wydawało się, że – prędzej czy później – ktoś spróbuje wykorzystać pozostawionych w Cairhien Strażników. Ich Aes Sedai nie wykrzykiwały głośno, że ruszyli na poszukiwanie Smoka Odrodzonego, jednak nikt też nie trzymał żadnych informacji w tajemnicy. Mimo to Rand nigdy nie podejrzewał, że przybędą wraz z nimi tacy ludzie... A zjawił się Davram Bashere z setką konnych swojej lekkiej saldaeańskiej kawalerii, mężczyzn, którzy zeskakiwali z koni w wietrznej ulewie i marudzili z powodu zrujnowanych siodeł. No i ponad pół tuzina odzianych w czarne kaftany Asha'manów, którzy z jakiegoś powodu wcale się nie chronili przed ulewnym deszczem. Przyjechali wprawdzie z Bashere'em, lecz wyraźnie stanowili osobną grupkę. Zawsze trzymali się na lekki dystans i otaczała ich atmosfera czujnej ostrożności. W dodatku jednym z Asha'manów okazał się Logain Ablar. Sam Logain Ablar! Asha'man z Mieczem i Smokiem na kołnierzu! Obaj, Bashere i Logain, pragnęli natychmiast porozmawiać z Randem, każdy wszakże prywatnie i na osobności, a zwłaszcza nie w obecności drugiego. Tyle że – spodziewani czy niespodziewani – nie należeli wcale do najbardziej zaskakujących gości. Wcześniej al'Thor sądził, że osiem Aes Sedai to bardziej przyjaciółki Cadsuane, teraz jednak mógłby przysiąc, że Cadsuane na ich widok zareagowała zdumieniem dorównującym jego zdziwieniu. Uznał to zachowanie za osobliwe, jak zresztą niemal wszystko, co się wiązało z Asha'manami! Asha'mani nie wydawali się więźniami, nie byli też na pewno przedstawicielami straży... tym niemniej Logain wyraźnie nie miał ochoty niczego wyjaśniać w obecności Bashere'a, a Bashere jawnie starał się nie dopuścić, by Logain jako pierwszy pomówił z Randem sam na sam. W chwili obecnej wszyscy nowo przybyli osuszyli się już i rozeszli do swoich kwater, pozostawiając al'Thorowi tę tajemnicę, którą właśnie usiłował rozwiązać. Tyle że z powodu bliskości Min nie bardzo mógł się skupić. Co zamierzała zrobić Cadsuane? No cóż, usiłował poprosić ją o radę. Niestety, ostatnie wydarzenia wyprzedziły ich oboje. Decyzja została podjęta, niezależnie od zdania, jakie miała na ten temat Cadsuane.

W oknach znowu rozjarzyła się błyskawica, która skojarzyła się Randowi z Cadsuane. Nigdy nie wiadomo, gdzie któraś z nich uderzy.

„Alivia ją wykończy” – szepnął mu w głowie Lews Therin. „Ta kobieta pragnie naszej śmierci. Alivia ją usunie, jeśli tylko jej rozkażesz”.

„Nie chcę zabijać Cadsuane” – odpowiedział al'Thor w myślach nieżyjącemu mężczyźnie. „Nie mogę sobie pozwolić na zabicie jej”.

Lews Therin wiedział o tym równie dobrze jak sam Rand, tym niemniej wyszeptał mu tę propozycję w ucho. Od Shadar Logoth wydawał się nieco mniej szalony, przynajmniej od czasu do

czasu. A może to raczej stopień szaleństwa Randa obecnie niebezpiecznie wzrósł? Ostatecznie codziennie gawędził w swojej głowie z nieżyjącym człowiekiem, a nie jest to chyba typowe postępowanie ludzi zdrowych na umyśle.

– Musisz coś zrobić – oświadczyła mu cicho Min, składając ręce na piersiach. – Z poświęty Logaina, mocniejszej niż kiedykolwiek, wynika, że ten mężczyzna wciąż mówi o sławie. Może po cichu nadal się uważa za prawdziwego Smoka Odrodzonego. Dostrzegłam też coś... mrocznego... w wizjach związanych z Lordem Davramem. Jeśli Bashere zwróci się przeciwko tobie albo umrze... Słyszałam, jak jeden z żołnierzy mówił, że Lord Dobraine o mało nie umarł. Utrata nawet jednego z nich stanowiłaby potężny cios. A utrata wszystkich trzech mogłaby cię kosztować cały rok... zdrowienia.

– Skoro coś widziałaś, na pewno się to zdarzy. Zrobię, co w mojej mocy, Min, nie martw się jednak o sprawy, na które nie mamy wpływu.

Posłała mu jedno z tych swoich typowo kobiecych spojrzeń, tym razem sugerując wzrokiem, że Rand znowu zamierza się kłócić.

Na odgłos stukania w drzwi al'Thor podniósł głowę, a Min zmieniła pozycję. Rand podejrzewał, że dziewczyna wysunęła właśnie z rękawa nóż do rzucania i ukryła go pod nadgarstkiem. Min nosiła przy sobie więcej noży niż Thom Merrillin. Czy też Mat. W głowie zawirowały mu kolory, niemal układając się w... w co? W mężczyznę na siedzeniu woźnicy? Tak czy owak, mężczyzna ów nie miał tej twarzy, która czasem ukazywała się Randowi w myślach, poza tym obraz zniknął po chwili, jego znikaniu zaś nie towarzyszyły zawroty głowy, które zazwyczaj odczuwał na widok tamtej twarzy.

– Wejść – polecił, wstając.

Weszła Elza. Natychmiast rozłożyła w eleganckim dygnięciu ciemnozielone spódnice, następnie zaś utkwiała jasne oczy w obliczu Randa. Była kobietą niebrzydką i chłodno, niczym kotka, z siebie zadowolona. Ledwie zdawała się zauważać Min. Ze wszystkich sióstr, które złożyły mu przysięgę, Elza wyglądała na najbardziej chętną. Hm, właściwie ona jedna wyglądała na szczerze chętną, a przy tym bezinteresowną. Inne miały swoje powody do złożenia przysięgi, swoje wytłumaczenia, natomiast Verin i siostry, które poszły go szukać pod Studniami Dumai, tak naprawdę w kontakcie z *ta'veren* nie mogły postąpić inaczej. Nie miały wyboru... Elza zaś – mimo swego zewnętrznego chłodu – wydawała się płonąć wewnętrzną pasją i po prostu pragnęła, by al'Thor miał swój udział w Tarmon Gai'don.

– Mówiłeś, że mam ci dać znać, kiedy przyjdzie ogir – oznajmiła, nie spuszczać oczu z jego twarzy.

– Loial! – zawołała wesoło Min i popędziła do drzwi. Wsuwając na powrót nóż w rękaw, przebiegła obok Elzy, która na widok ostrza aż zamrugła powiekami. – Wiesz, Loialu – krzyczała – mogłabym zabić Randa za to, że pozwolił ci odejść do swojego pokoju, zanim się z tobą spotkałam!

Więź powiedziała mu, że Min wcale nie miała na myśli tego, co wykrzyczała.

– Dziękuję ci – powiedział al'Thor Elzie, wsłuchując się w docierające z salonu odgłosy radości: lekkiego śmiechu Min i ogirowej wesołości Loiala, gromkiej niczym śmiech samej ziemi.

Przez niebo tymczasem przetoczył się kolejny grzmot.

Być może uczucia tej Aes Sedai „rozciągały się” aż do pragnienia poznania szczegółów rozmowy Randa z Loialem, ponieważ Elza zacisnęła wargi i zawahała się, zanim wykonała powtórne dygnięcie i opuściła jego sypialnię. Krótka cisza w salonie obwieściła jej przejście przez pomieszczenie obok, a nowe odgłosy radości – jej zniknięcie. Dopiero wówczas al'Thor objął Moc. Nikt nigdy nie powinien widzieć, jak ją przenosi.

W ciało Randa wtargnął nagle ogień – gorętszy niż słońce, a jednocześnie tak zimny, że najpaskudniejsza zamieć zdawała się przy nim wiosennym deszczykiem, cała zaś wirująca wściekłość, która swą siłą znacząco umniejszała szalejącą na zewnątrz burzę, mogła zetrzeć na proch męzczyznę przy byle chwili nieuwagi. Sięganie po *saidina* równało się wojnie o przeżycie. Jednakże zielone gzymsy stały się nagle bardziej zielone, czarny kolor kaftana al'Thora mocno się pogłębił, a złoto jego haftu nabrało wyrazistości. Rand dostrzegał teraz wyraźnie słoje na drewnianych słupkach łóżka wyrzeźbionych w kształt winorośli i widział blade znaki pozostawione przez rzemieślnika szlifującego drewno tak wiele lat temu. Dzięki *saidinowi* al'Thor poczuł, że wcześniej, bez niego, był półślepy i odrętwiały. Odczuwał też dziesiątki innych emocji.

„Czysty” – szepnął Lews Therin. „Znów czysty i niewinny”.

Właśnie! Skaza, która znaczyła męską połówkę Mocy od czasu Pęknięcia Świata, teraz zniknęła. Jej brak nie był wprawdzie jednoznaczny z brakiem nudności, które niestety znowu podniosły się falą w ciele al'Thora. Rand poczuł gwałtowne pragnienie pochylenia się nad podłogą i zwymiotowania na nią. Przez chwilę odnosił wrażenie, że sypialnia wiruje i dla zachowania równowagi musiał położyć rękę na najbliższym słupku łóżka. Nie miał pojęcia, dlaczego wciąż tak źle się czuje, skoro skaza zniknęła. Lews Therin albo również tego nie wiedział, albo nie chciał mu tej kwestii wyjaśnić. Tym niemniej mdłości stanowiły przyczynę, dla której Rand – jeśli nie musiał – nie zamierzał nikomu pokazywać, jak dzierży *saidina*. Może Elza rzeczywiście pragnęła, ażeby dożył do Ostatniej Bitwy, jednak zbyt wiele innych osób chciało zobaczyć jego upadek. I nie wszystkie z tych osób były Sprzymierzeńcami Ciemności...

W tym momencie słabości al'Thora po *saidina* sięgnął także Lews Therin. Rand dosłownie czuł, jak nieżyjący mężczyzna chciwie wyciąga ręce, próbując pochwycić Moc. Czy odepchnięcie go przyszło mu trudniej niż przedtem? Od Shadar Logoth Lews Therin wydawał się w jakiś sposób mocniej z nim związany, stanowił solidniejszą część jego osoby. Fakt ten zresztą nie miał szczególnego znaczenia, gdyż al'Thor nie zamierzał z Lewsem walczyć. Musiał po prostu przetrwać. Wziął potężny wdech, po czym, ignorując uporczywe nudności, wielkimi krokami ruszył do salonu. Towarzyszył mu trzask kolejnego grzmotu za oknem.

Min stała pośrodku pokoju, trzymając jedną rękę Loiala w obu swoich, a i tak nie obejmowała jej w pełni. Zadarła głowę i uśmiechała się do gościa. Loial był istotą ogromną, czubek jego głowy od otynkowanego sufitu dzieliła zaledwie niewiele więcej niż stopa. Miał na sobie świeży kaftan z granatowej wełny, kończący się nad miejscem, w którym luźne spodnie wsuwały się w wysokie do kolan buty, tym razem jednak jego kieszenie nie wydymały się od kanciastych kształtów książek. Oczy stworzenia – wielkości filiżanek do herbaty – rozjaśniły się na widok Randa, a szeroki uśmiech na wielkich ustach wręcz rozdzielił mu twarz na dwoje. Zakończone pędzelkami uszy, sterczące wśród kudłatych włosów, zdrząły z przyjemności.

– Pan Algarin ma dla ogirów pokoje gościnne, Randzie – zagrzmiął głosem przypominającym niskie dudnienie. – Potrafisz to sobie wyobrazić? Ma ich aż sześć! Nikt ich oczywiście nie używał od jakiegoś czasu, są jednak co tydzień wietrzone, bynajmniej więc nie cuchną stęchlizną. Pościelenie zaś dostałem z bardzo dobrego lnu. A już się obawiałem, że będę musiał przemęczyć noc na małym, ludzkim łóżku. Hm... Nie pozostaniemy tu długo, prawda? – Długie uszy nieco mu w tym momencie opadły, potem zaczęły nerwowo drgać. – Sądzę, że nie powinniśmy zbyt długo tutaj zostawać. Chodzi mi o to, że mógłbym przywyknąć do myśli o prawdziwym łóżku, a jeśli mam ci towarzyszyć, lepiej się do takich wygod nie przyzwyczajać... To znaczy... No cóż, dobrze wiesz, o co mi chodzi...

– Wiem – odparł cicho al'Thor. Miał ochotę się roześmiać z konsternacji ogira. Ostatnio zbyt rzadko się chyba śmiał. Utknął się przeciwpodśluchową przy ścianach pomieszczenia, a następnie ją

związał, dzięki czemu mógł wypuścić *saidina*. Ostatnie ślady mdłości od razu zaczęły opuszczać jego żołądek. Zwykle umiał kontrolować napływające nudności, choć z wysiłkiem, po co jednak miał się torturować, skoro nie musiał. – Czy któraś z twoich ksiązek zamokła?

Loial najbardziej się zawsze troszczył o książki.

Nagle Randa uderzyła myśl, która przemknęła mu przez głowę już przed chwilą, gdy prządl sieć. Zastanawiał się, co powiedziałby Lews Therin. Tego rodzaju pytania ogarniały go wręcz za często, frazy używane przez nieżyjącego mężczyznę zapadały mu w umysł, a wspomnienia tamtego mieszały się z jego. A przecież był Randem al'Thorem, a nie Lewsem Therinem Telamonem! Stawiał ochronę przeciwko podsłuchowi i wiązał splot, a nie „tkał sieć i związywał ją”. Tyle że jedno zdanie przychodziło mu na myśl równie łatwo jak drugie.

– Moje *Eseje Willima Manechesa* zawilgotniały – powiedział Loial zdegustowanym tonem, ocierając przy tym górną wargę palcem grubości serdelka. Niedbale się ogolił czy też zapuszczał wąsy pod szerokim nosem? – Stronice na pewno się poplamily. Nie powinienem być tak nieostrożny wobec ksiązek. Mój notes również zamokł. Na szczęście atrament się nie rozpuścił. Nadal można odczytać wszystkie słowa, chociaż teraz muszę zdobyć dla niego jakieś etui, które ochroni... – Powoli jego twarz nabierała ponurej, marsowej miny, koniuszki długich brwi niemal dotykały policzków. – Wyglądasz na zmęczonego, Randzie. Min, on wygląda na zmęczonego.

– Bo zbyt wiele pracuje i działa, choć w chwili obecnej wypoczywa – odparła obronnym tonem dziewczyna, a al'Thor lekko się uśmiechnął. Min zawsze go będzie broniła, nawet przed jego przyjaciółmi. – Odpoczywasz, pasterzu, nieprawdaż? – dodała, wypuszczając z rąk ogromną dłoń Loiala i kładąc pięści na biodrach. – Usiądź sobie i odpocznij. Och, i ty, Loialu, usiądź... Błagam. Jeśli jeszcze przez jakiś czas będę tak zadzierać głowę, chwyci mnie skurcz karku.

Ogir obrzucił pełnym powątpiewania spojrzeniem jedno z krzeseł o prostym oparciu i zachichotał. Odgłos, który wydobył się z jego gardła, przypominał stłumione ryczenie byka. Krzesło wydawało się dla niego zdecydowanie zbyt małe, jakby przeznaczono je dla ogirskiego dziecka.

– „Pasterzu”... Nie masz pojęcia, Min, jak przyjemnie mi słyszeć, że nazywasz go pasterzem. – Ostrożnie usiadł. Proste, rzeźbione krzesło zaskrzypiało pod jego ciężarem. Siedział tak nisko, że ugięte kolana sięgały mu aż do połowy brzucha. – Przepraszam, Randzie, jednak to jest takie zabawne, a nie słyszałem wielu śmiesznych tekstów w ostatnich miesiącach. – Krzesło wytrzymało. Ogir łypnął na drzwi, po czym dodał nieco ciszej: – Karlidin nie cierpi na nadmiar poczucia humoru.

– Możesz mówić swobodnie – zapewnił go al'Thor. – Jesteśmy bezpieczni za... osłoną.

O mało nie użył słowa „ochrona”. Inni zapewne nie zwróciliby na tę różnicę uwagi, jednak określenie nie było charakterystyczne dla niego, lecz dla Lewsa Therina!

Odczuwał zbyt wielkie zmęczenie, aby usiąść, podobnie jak ze znużenia nie mógł łatwo odnaleźć snu w większość nocy – z wyczerpania aż bolały go kości – więc podszedł do kominka i stanął przed nim. Z powodu wiatru wiejącego na zewnątrz i wpadającego przez komin, płomienie tańczyły na kłodach i czasami do pokoju wdzierał się mały podmuch dymu. Rand słyszał odgłos kropli deszczu bębniących w okna, grzmot chyba jednak się oddalił. Być może burza się kończyła. Rand spiął dłonie za plecami i odwrócił się od ognia.

– Co powiedzieliby Starsi, Loialu?

Zamiast odpowiedzieć wprost, ogir spojrzał na Min, jakby szukał u niej zachęty czy też wsparcia. Dziewczyna, usadowiona na krawędzi niebieskiego fotela z nogami skrzyżowanymi w kolanach, uśmiechnęła się do niego i kiwnęła mu głową, więc Loial westchnął ciężko. Tym razem dźwięk skojarzył się al'Thorowi z odgłosem wiatru tłukącego się w głębokich pieczarach.

– Wraz z Karlidinem odwiedziliśmy wszystkie *stedding*, Randzie. Wszystkie z wyjątkiem

Stedding Shangtai, ma się rozumieć. Nie mógłbym tam pójść, jednak zostawiałem wiadomość wszędzie, dokąd zachodziliśmy, a Daiting wszak leży niedaleko od Shangtai. Ktoś przekaże im informację. W Shangtai zbiera się Wielkie Zgromadzenie. Spotkanie przyciągnie tłumy, zostaje bowiem zwołane po raz pierwszy od tysiąca lat, po raz pierwszy od Wojny Stu Lat, w której walczyliście wy, ludzie. No i teraz przyszła kolej na Shangtai. Muszą sądzić, że dzieje się coś naprawdę bardzo istotnego, ponieważ... Chociaż mnie osobiście nikt nie podał powodów, dla których zbiera się Wielkie Zgromadzenie. W ogóle nie informują o Zgromadzeniu ogirów, którzy nie mają jeszcze brody – szepnął, dotykając rzadkiej szczeciny na szerokim podbródku. Wyraźnie nie mógł się doczekać dorosłości.

Loial liczył sobie obecnie dziewięćdziesiąt lat i jak na ogira był wciąż chłopcem.

– Starsi? – spytał cierpliwie Rand.

Rozmowa z Loialem, tak jak z każdym ogirem, wymagała ogromnej cierpliwości. Te stworzenia nie postrzegały przecież czasu w sposób typowy dla istot ludzkich. Który człowiek na przykład zastanawiałby się, w kogo przyszła teraz kolej – teraz, po tysiącu lat?! A Loial jawnie miał ochotę opowiedzieć o wszystkim bardzo szczegółowo, skoro nadarzyła się okazja.

W tej chwili znów mu nieco zadrżały uszy, a on sam posłał Min kolejne spojrzenie, za które dostał następny zachęcający uśmiech.

– No cóż, jak wspomniałem – podjął powoli – odwiedziłem wszystkie *stedding* z wyjątkiem Shangtai. Karlidin nie wchodził do środka. Wolał spać każdej nocy pod krzakiem, niż dać się choćby na minutę odciąć od Źródła. – Al’Thor nie skomentował tego stwierdzenia, jednak sam Loial podniósł z kolan ręce i rozłożył je, pokazując dłonie. – Docieram do sedna, Randzie, docieram. Tak czy owak, zrobiłem, co mogłem, nie wiem wszakże, czy to wystarczy. Mieszkańcy *stedding* w Ziemiach Granicznych kazali mi wrócić do domu i zostawić sprawy osobnikom starszym i mądrzejszym ode mnie. Tak samo potraktowali mnie ogirowie w Shadoon i Mardoon, położonych w górach na Wybrzeżu Cienia. Inne *stedding* zgodziły się chronić Bram. Nie sądzę, aby rzeczywiście uwierzyli, że grozi im jakieś niebezpieczeństwo, tym niemniej zgodzili się, więc wiemy, że wystawią straż. I jestem pewien, że ktoś powiadomi Shangtai. Starszym z Shangtai nigdy się nie podobało, że Brama znajduje się na zewnątrz *stedding*. Chyba ze sto razy słyszałem, jak Starszy Haman wzmiankował o grożącym z tego powodu niebezpieczeństwie. Wierzę, że będą jej pilnować.

Rand powoli skinął głową. Ogirowie właściwie nigdy nie kłamali, a w nielicznych przypadkach próby kłamstwa wypadały tak nieprzekonująco, że rzadko pozwalali sobie po raz drugi na nieprawdziwą wypowiedź. Słowa każdego ogira traktowano więc z równą powagą jak przysięgę człowieka. Czyli że Bramy będą pilnie strzeżone. Z wyjątkiem tych w Ziemiach Granicznych i w górach leżących na południe od Amadicii i Tarabonu. A przecież przy użyciu Bram można by odbyć podróż od Grzbietu Świata aż po Ocean Aryth i z Ziemi Granicznych aż do Morza Sztormów, stale przemieszczając się w dziwnym świecie znajdującym się jakoś poza czasem bądź też może obok niego. Dwa dni chodzenia po Drogach i człowiek mógł się przenieść o sto mil lub o pięćset – zależnie od wybranych ścieżek. I zależnie od tego, czy był skłonny zaryzykować niebezpieczeństwo. W Drogach bowiem łatwo można umrzeć albo narazić się na coś gorszego. Już wszak dawno temu zapanowały na nich ciemności i doszło do ich częściowego rozkładu. Trolloków wprawdzie nie obchodziły, przynajmniej nie wtedy, gdy prowadzili ich Myrddraale. Trolloki zainteresowane były wyłącznie zabijaniem, szczególnie właśnie wtedy, gdy znajdowały się pod dowództwem Myrddraali. Jednakże dziewięć Bram pozostało niestrzeżonych, toteż istniało zagrożenie, że któraś z nich może się otworzyć i wypuścić dziesiątki tysięcy trolloków. Z kolei ustawienie straży jakiegokolwiek rodzaju nie było prawdopodobnie możliwe bez współpracy *stedding*. Wielu ludzi w ogóle wszak nie

wierzyło w istnienie ogirów, spośród tych wierzących zaś jedynie nieliczni mieli ochotę się w te sprawy mieszać. Może wtrąciliby się Asha'mani, gdyby Rand posiadał przy swoim boku wystarczająco dużo godnych zaufania tych przenoszących Moc mężczyzn.

Nagle zrozumiał, że nie on jeden odczuwa zmęczenie. Loial wyglądał na wyczerpanego i wymizerowanego. Jego kaftan był zmiętoszony i wisiał luźno na ciele. Dla ogira zbyt długie przebywanie na zewnątrz *stedding* było niebezpieczne, a Loial zostawił swój dom już dobre pięć lat temu. Może nie wystarczyły mu krótkie wizyty, które złożył podczas ubiegłych kilku miesięcy.

– Chyba powinieneś teraz wrócić do domu, Loialu. *Stedding Shangtai* znajduje się zaledwie o kilka dni stąd.

Krzesło pod ogirem zaskrzypiało zatrważająco, ponieważ Loial wyprostował się na siedzeniu, jakby kij połknął. Jego uszy także stanęły pionowo, sugerując niepokój.

– Moja matka tam będzie, Randzie. Jest sławnym Mówcą. Nigdy nie opuszcza Wielkiego Zgromadzenia.

– Do tej pory na pewno nie zdołała pokonać całej tej odległości od Dwu Rzek – wyjaśnił mu Rand.

Matka Loiala była także przypuszczalnie sławnym piechurem, istniały wszakże ograniczenia, nawet dla ogirów.

– Nie znasz mojej matki – mruknął Loial. Odgłos wypowiedzianego zdania przypominał posępne uderzanie w ogromny bęben. – Przyprowdzi jeszcze z sobą Erith. Bez wątpienia.

Min pochyliła się ku ogirowi, a w jej oczach zamigotały niebezpieczne światelka.

– Mówisz dobrze o Erith, którą... wiem to... pragniesz poślubić. Dlaczego więc stale od niej uciekasz?

Rand obserwował dziewczynę ze swego miejsca przy kominku. Małżeństwo... Aviendha zakładała, że al'Thor ją poślubi, podobnie sądziła Elayne, a także Min. W stylu Aielów. Dziwne, że Elayne tak uważała, lecz chyba tak było. Co myślała Min? Nigdy mu nic na ten temat nie powiedziała. Nie powinien był się z nimi wiązać. Gdy on umrze, wszystkie trzy oszaleją ze zgrzyoty.

Uszy Loiala zdrzżały teraz ostrzegawczo. Właśnie z powodu tych uszu ogirowie byli tak marnymi kłamcami. Loial zrobił kilka łagodnych gestów.

– No cóż, Min, chcę tego, oczywiście, że chcę. Erith jest piękna i bardzo spostrzegawcza. Opowiadałem ci kiedyś o uwadze, z jaką zawsze mnie słucha, a potem wyjaśnia mi, że... Och, oczywiście, że chcę ją poślubić. Mówię to każdemu, kogo spotykam. Tak, pragnę poślubić Erith! Tyle że... jeszcze nie teraz. Widzisz, Min, my nie jesteśmy tacy jak wy, ludzie. Ty zrobisz wszystko, o co Rand cię poprosi. Erith natomiast będzie oczekiwała, że osiedlę się w jednym *stedding* i pozostanę na zawsze w domu. Żony nigdy nie pozwalają ogirom nigdzie chodzić i nic robić, jeśli oznacza to opuszczenie *stedding* na okres dłuższy niż kilka dni. Mam moją książkę do skończenia, a jak miałbym ją skończyć, nie obserwując wszystkich poczynań Randa? Jestem przekonany, że on zrobił mnóstwo rzeczy, odkąd wyjechałem z Cairhien i wiem, że nigdy tych wszystkich szczegółów nie uzupełnię. A Erith po prostu nie zrozumiałaby mnie. Min, czy ty się na mnie gniewasz?

– Dlaczego sądzisz, że się na ciebie gniewam? – odparowała chłodno.

Loial westchnął ciężko i to z tak wyraźną ulgą, że Rand otworzył szeroko oczy. O Światłości, ten ogir naprawdę pomyślał, że Min mówi prawdę. Że wcale się na niego nie wścieka! Wiedział, że Loial zupełnie nie rozumie kobiet, nawet Min – może zwłaszcza Min... Powinien się zatem jeszcze sporo nauczyć o tych sprawach, zanim poślubi tę swoją Erith. W przeciwnym razie żona po prostu wejdzie mu na głowę. Al'Thor pomyślał, że najlepiej szybko wyciągnąć ogira z tego pokoju, bo niedługo Min wykona za Erith całą robotę. Odchrząknął.

– Zastanowisz się nad tym w nocy, Loialu – oznajmił. – Może do rana zmienisz zdanie. – W duszy rzeczywiście miał nadzieję, że Loial je zmieni. Ogir przebywał już zbyt długo z dala domu. Z drugiej strony wszakże... Rand mógłby użyć Loiala, jeśli informacje Alivii na temat Seanchan były prawdziwe. Och, czasami al'Thor sam się sobą brzydził! – W każdym razie teraz muszę porozmawiać z Bashere'em. I z Logainem.

Po wypowiedzeniu tego ostatniego imienia zacisnął usta. Co robił Logain w czarnym stroju Asha'mana?

Ogir nie wstał. Jego zmartwiona mina się pogłębiła, uszy znów mu opadły, a brwi się opuściły.

– Randzie, muszę ci coś powiedzieć. O Aes Sedai, które z nami przyszły.

Podczas jego opowieści za oknami ponownie rozjarzyły się błyskawice, a grzmot uderzył gwałtowniej niż przedtem. W przypadku niektórych burz okres ciszy oznaczał jedynie nadejście najgorszego.

„Kazałem ci pozabijać je wszystkie, kiedy miałeś szansę” – zaśmiał się w jego głowie Lews Therin. „Kazałem ci tak zrobić”.

– Jesteś pewna, że byli połączeni więzią, Samitsu? – spytała twardo Cadsuane. I na tyle głośno, ażeby przekrzyczeć grzmot uderzający w dach budynku rezydencji.

Grzmoty i błyskawice pasowały do jej nastroju. Cadsuane miała nawet ochotę warknąć. Jedynie dzięki wcześniejszemu szkoleniu i ogromnemu doświadczeniu potrafiła usiedzieć spokojnie, popijając gorącą herbatę imbirową. Od bardzo dawna nie ujawniała już swoich emocji, tym niemniej w tej chwili pragnęła kąsać. Coś lub kogoś.

Samitsu także trzymała w dłoniach porcelanową filiżankę z herbatą, tyle że miała jeszcze sporo do wypicia; nie przyjęła też propozycji Cadsuane i nie usiadła. W tym momencie smukła siostra odwróciła się od kominka po lewej stronie, w którego płomienie spoglądała, a gdy poruszyła głowę, dzwoneczki w jej ciemnych włosach zabrzęczały. Nie postarała się wysuszyć odpowiednio włosów, toteż wisały jej na plecach wilgotne i ciężkie. W jej leszczynowych oczach czaił się niepokój.

– Nie jest to pytanie tego rodzaju, które można zadać każdej siostrze, Cadsuane. I niewiele Aes Sedai by mi na takie odpowiedziało. A moja opinia? Cóż, najpierw sądziłam, że może po prostu polubili Merise i Corele. I biedną Daigian. – Na moment przybrała współczującą minę. Doskonale знаła ból, który targał Daigian z powodu jej straty. Znała go aż nazbyt dobrze każda siostra, która straciła swego pierwszego Strażnika. – Chodzi jednak o to, że obie, Toveine i Gabrelle, są bez wątpienia z Logainem. Myślę, że Gabrelle z nim sypia. Jeśli są między nimi wszystkimi więzi, utworzyli je mężczyźni.

– A zatem mamy do czynienia z absolutnym zwrotem sytuacji – mruknęła Cadsuane, wpatrując się w swoją herbatę. Niektórzy twierdzą, że zwroty o sto osiemdziesiąt stopni są uczciwe, tyle że Cadsuane nigdy nie wierzyła w uczciwą walkę. Albo się walczy, albo nie, a walka nie bywa raczej grą, uczciwą czy też nieuczciwą. Sprawiedliwość i uczciwa gra jest dla ludzi stojących bezpiecznie na boku i gadających, podczas gdy inni się wykrwawiają. Niestety, sama niewiele mogła zrobić poza szukaniem sposobu zrównowazenia wydarzeń. A równowaga bynajmniej nie była synonimem sprawiedliwości. Jednym słowem, sytuacja paskudnie się pogarszała. – Cieszę się, że mnie przynajmniej ostrzegłaś, zanim będę musiała stawić czoło Toveine i pozostałym, teraz chcę jednak, żebyś wróciła do Cairhien. Jutro wcześniej rano.

– Nic nie mogłam zrobić, Cadsuane – powiedziała z goryczą w głosie Samitsu. – Połowa ludzi, którym wydawałam rozkazy, zaczęła przed ich wypełnianiem wypytywać Sashalle o każdą kwestię, druga połowa natomiast mówiła mi prosto w twarz, że Sashalle już im poleciła coś innego. Lord

Bashere namówił ją do uwolnienia Strażników – nie mam pojęcia, jak się w ogóle o nich dowiedział – a ona nakłoniła do tego Sorileę. Wierz mi, w żaden sposób nie mogłam powstrzymać rozwoju wypadków. Sorilea zachowywała się tak, jak gdybym się właśnie zrzekła dowództwa! Sama niczego nie pojmuje, mnie zaś dała do zrozumienia, że jestem dla niej po prostu kompletną idiotką. Mój powrót tam nie ma żadnego sensu, chyba że polecisz mi chodzić za Sashalle i jej służyć...

– Polecę ci, żebyś się jej po prostu przyglądała, Samitsu. Tylko tyle, nic więcej. Chcę wiedzieć, co robi jedna z tych sióstr, które wybrały drogę Wyznawców Smoka, w czasie, gdy ani ja, ani Mądre nie zaglądamy im przez ramię, stojąc nad nimi z różgą w dłoni. Zawsze się wszak cechowałaś niezwykłą wnikliwością.

Cadsuane nie grzeszyła cierpliwością, w kontaktach z Żółtą siostrą musiała się jednak często na nią zdobywać. Samitsu rzeczywiście była osobą bardzo wnikliwą i inteligentną, nierzadko też wykazywała się silną wolą, a poza tym jak nikt z żyjących radziła sobie z Uzdrawianiem (przynajmniej do czasu pojawienia się Damera Flinna), choć zdarzało jej się doświadczać zadziwiających załamań i nierzadko cierpiała z powodu braku pewności siebie. Nie działały na nią groźby czy kary, znacznie więcej natomiast można z nią było osiągnąć uprzejmą zachętą, komplementem i wsparciem, którymi zresztą Cadsuane często się w kontaktach z nią posługiwała. Potrafiła zatem skłonić Samitsu do wielu rzeczy, jeśli tylko wspomniała o jej inteligencji i o wielkiej zdolności do Uzdrawiania. Tak trzeba było postępować z tą arafeliańską siostrą, która potrafiła popaść w straszliwą depresję na przykład po nieudanej próbie Uzdrawienia jakiegoś martwego człowieka. Dlatego teraz Cadsuane przypominała Żółtej o jej umiejętnościach, bystrości umysłu i pomysłowości, a kobieta w miarę rozmowy zaczynała odzyskiwać zimną krew. Oraz pewność siebie.

– Możesz być pewna, że Sashalle nie zmieni bez mojej wiedzy nawet pończoch – odparła poważnie. Po prawdzie Cadsuane mniej więcej tego się spodziewała. – Jeżeli jednak nie masz nic przeciwko temu, chciałabym ci zadać jedno czy dwa pytania. – Teraz, kiedy Samitsu odzyskała rezon, przemawiała zwyczajnym, grzecznym tonem i nie okazywała najmniejszej nieśmiałości. – Dlaczego jesteś tutaj, na najdalszym krańcu Łzy? Co planuje młody al’Thor? A może powinnam spytać, do jakiego działania ty pragniesz go skłonić?

– Rand al’Thor zamyśla coś bardzo niebezpiecznego – odrzekła jej Cadsuane.

Błyskawica rozjaśniła tereny za oknami. Niesamowicie wyglądały te jaskrawosrebrzyste widły na ciemnym niemal jak w nocy niebie. Cadsuane doskonale znała zamiary Randa. Nie wiedziała jedynie, czy powinna go powstrzymać.

– To się musi skończyć! – zagrział al’Thor. Uderzenia piorunów na niebie towarzyszyły jego wypowiedziom niczym echo. Przed tą rozmową Rand zdjął kaftan i podwinął rękawy koszuli tak wysoko, że doskonale było widać wizerunki splecionych wokół jego przedramion szkarłatno-złoty Smoków i głowy o złotych grzywach znaczące grzbiety jego rąk. Co chwilę miał ochotę stojącemu przed nim mężczyźnie przypominać głośno, kim jest. A był wszak Smokiem Odrodzonym. Jednakże palce zacisnął w pięści, starając się w ten sposób powstrzymać przed ustąpieniem namowom Lewsa Therina, który stale go zachęcał do uduszenia przeklętego Logaina Ablara. – Nie potrzebuję wojny z Białą Wieżą, a wy, przekłeci Asha’mani, cholernie dobrze wiecie, że pchacie mnie ku takiej wojnie! Nie dam się! Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

Logain stał z rękoma zaciśniętymi na wierzchołku długiej rękojeści swego miecza. Nawet się nie wzdrygnął po słowach al’Thora. Był potężnym mężczyzną, choć niższym od Randa, i rzucał często mocnymi i pewnymi siebie spojrzeniami, które nijak nie sugerowały, że ich właściciela dopiero co zbesztano lub pociągnięto za coś do odpowiedzialności. Srebrny miecz i czerwono-złoty Smok na

wysokim kołnierzu jego czarnego kaftana, który wyglądał na dopiero co wyprasowany, lśniły jasno w świetle lampy.

– Czy mówisz o uwolnieniu ich? – spytał spokojnie Logain. – Czy Aes Sedai uwolnią tych spośród naszych, których związały?

– Nie! – odparł szorstkim tonem Rand. – Co się stało, już się nie odstanie. – Merise wyglądała na niesamowicie wstrząśniętą jego propozycją uwolnienia Narishmy. Można by pomyśleć, że al'Thor poprosił ją o porzucenie jakiegoś szczeniaka przy drodze! Podejrzewał, że Flinn będzie walczył o pozostanie przy Corele równie gwałtownie, jak ona będzie walczyła o niego. Zresztą Rand żywił przekonanie, że tych dwoje łączy obecnie coś więcej niż tylko więź. No cóż, skoro niejedna Aes Sedai potrafi połączyć się więzią z mężczyzną umiejącym przenosić Moc, co powiedziec o ładnej kobiecie, która nie radzi sobie z chromym starcem? – Zdajesz sobie chyba sprawę z kłopotliwej sytuacji, do której doprowadziłeś, co? – spytał. – Ponieważ, Logainie, jedynym mężczyzną ze zdolnością do przenoszenia Mocy, którego Elaida pragnie zachować przy życiu, jestem ja! I to tylko do zakończenia Ostatniej Bitwy. Gdy dokona się Tarmon Gai'don, ta kobieta dwukrotnie bardziej zawzięcie niż teraz zapragnie zobaczyć was wszystkich martwych i dla osiągnięcia swojego celu wykorzysta każdą dostępną jej metodę. Nie wiem, jak zareaguje druga grupa, lecz Egwene zawsze się umiała ostro targować. Może będę musiał udzielić Asha'manom reprimendy za więź z Aes Sedai, które w każdej chwili mogą zdecydować o waszej śmierci i natychmiast zrealizować swoje plany. Co się stało, to się stało, lecz obecnie trzeba przerwać to błędne koło!

Z każdym zdaniem Randa Logain sztywniał coraz bardziej, choć nie spuszczał mocnego spojrzenia z jego twarzy. Było jasne jak słońce, że Ablar kompletnie ignoruje pozostałe osoby przebywające w salonie. Min nie miała najmniejszej ochoty brać udziału w tym spotkaniu, więc poszła poczytać. Rand zupełnie nie rozumiał filozoficznych książek Herida Pela, które tak bardzo ją fascynowały. Nalegał na pozostanie Loiala, ale ogir – choć tu przebywał – zdawał się całkowicie skupiony na obserwacji płomieni w kominku, czasem jedynie zerkał na drzwi, a wówczas jego zakończone pędzelkami uszy lekko drgały. Może w takich momentach Loial się zastanawiał, czy nie wysliznąć się niezauważenie pod osłoną burzy. Davram Bashere wyglądał przy ogirze na jeszcze niższego, niż był w rzeczywistości. Był siwym mężczyzną, o ciemnych, skośnych oczach, nosie przywodzącym na myśl dziób i gęstych wąsach opadających niemal do ust. On także nosił miecz, choć zakrzywiony i krótszy niż ostrze Logaina. Davram spędzał więcej czasu, spoglądając w swój puchar z winem niż patrząc gdziekolwiek indziej, ilekroć wszakże podnosił wzrok na Ablara, przesuwał kciukiem po rękojeści miecza. Rand sądził, że ten ruch jest nieświadomy.

– Taim wydał taki rozkaz – oświadczył Logain chłodno. Nie czuł się zbyt przyjemnie, zmuszony się tłumaczyć w obecności całej trójki. Nagła błyskawica nieopodal domu na moment rozświetliła mrok i rzuciła złowieszcze cienie na jego twarz, która teraz przypominała ponurą maskę ciemności. – Założyłem, że otrzymał go od ciebie. – Przesunął spojrzenie nieznacznie w kierunku Bashere'a i zacisnął wargi. – Taim robi bardzo wiele rzeczy, które ludzie uznają za twoje polecenia – kontynuował z niechęcią w głosie – chociaż ma własne plany. Flinn, Narishma i Manfor znajdują się na liście dezertków, jak zresztą wszyscy Asha'mani, których przywiodłeś z sobą. A sam Taim trzyma się w towarzystwie dwudziestu czy trzydziestu mężczyzn, z których nie spuszcza wzroku i których potajemnie szkoli. Każdy noszący Smoka osobnik należy do tej grupy... rzecz jasna, oprócz mnie. Niezależnie od tego, co już uczyniłeś, nadeszła pora zwrócić wzrok na Czarną Wieżę. Zanim Taim dokona w niej gorszego rozłamu, niż ten, do którego doszło w Białej Wieży. Jeśli bowiem go dokona, okaże się, że większość przenoszących Moc mężczyzn jest lojalna wobec niego, a nie wobec ciebie. Asha'mani go znają, ciebie natomiast większość nie widziała na oczy.

Poirytowany Rand spuścił rękawy i bezradnie opadł na krzesło. Jego dokonania najwyraźniej nie miały dla Logaina najmniejszego znaczenia. Ten człowiek wiedział, że *saidin* jest czysty, jednak nie potrafił uwierzyć, że oczyścił go Rand czy jakiś inny mężczyzna. Czyżby sądził, że Stwórca po trzech tysiącach lat ich cierpienia postanowił wyciągnąć ku nim miłosierną rękę? A przecież Stwórca skonstruował jedynie świat, a później zostawił rodzaj ludzki samemu sobie, pozwolił ludziom zrobić z tym światem, co zechcą. Mogli zmienić go w niebo lub w... Szczelinę Zagłady. Stwórca powołał do życia wiele takich światów, każdemu z nich przypatrywał się przez chwilę, następnie zaś ruszał dalej i materializował kolejne ze swych nieskończonych marzeń. Ogrodnik też nie płacze po każdym zwiędłym kwiecie.

W tym momencie Randowi przemknęło przez głowę, że są to chyba refleksje Lewsa Therina. On sam, o ile dobrze pamiętał, nigdy nie myślał w taki sposób ani o Stwórcy, ani o niczym podobnie abstrakcyjnym. A może wyczuwał Lewsa Therina kiwającego głową z aprobatą i słuchającego wypowiedzi jeszcze kogoś innego. Tym niemniej on sam na pewno nie dumał o takich kwestiach przed pojawieniem się Lewsa Therina. Ile pozostało między nimi dwoma wolnej przestrzeni?

– Taim będzie musiał poczekać – oświadczył straszliwie znużonym tonem. Jak długo może czekać Taim? Zaskoczyła go niespodziewana cisza, Lews Therin nie krzyczał, nie wściekał się na niego i nie kazał mu natychmiast zabić tego człowieka... Szkoda, że Rand nie poczuł się dzięki tej ciszy nieco swobodniej. – A ty, Bashere? Przyszedłeś tu sprawdzić, czy Logain dotarł do mnie cały i zdrowy, czy też chciałeś mnie poinformować, że ktoś zadźgał Dobraine'a? A może także masz dla mnie jakieś pilne zadanie?

Bashere uniósł brwi, słysząc ton al'Thora, po czym zacisnął szczęki i zerknął na Logaina, w końcu wszakże prychnął tak krewko, że aż mu się zatrzęsły gęste wąsiska.

– Mój namiot przeszukało dwóch mężczyzn – odparł, odstawiając puchar z winem na rzeźbiony niebieski stół stojący pod ścianą. – Jeden z nich przyniósł z sobą notatkę napisaną... moim pismem. Mógłbym przysiąc, że napisałem ją sam. Gdybym oczywiście nie znał prawdy... Notatka owa zawierała polecenie wyniesienia z mojego namiotu „pewnych przedmiotów”. Loial twierdzi, że jeden z ludzi, którzy pchnęli nożem Dobraine'a, miał przy sobie identyczną notatkę napisaną z pozoru ręką Dobraine'a. Nawet ślepiec po chwili zastanowienia odkryłby, czego mogli szukać. Dobraine i ja jesteśmy wszak najbardziej prawdopodobnymi kandydatami spośród wszystkich osób, którym mógłbyś powierzyć ochronę pieczęci. Masz trzy i mówisz, że wszystkie są pęknięte. Może Cień wie, gdzie znajduje się ostatnia.

Podczas opowieści Saldaeańczyka ogir odwrócił się nagle od kominka, potem uszy stanęły mu sztywno, w końcu wybuchł:

– To poważna sprawa, Randzie! Jeśli ktoś porozbija wszystkie pieczęcie nałożone na Szyb stanowiący więzienie Czarnego albo chociaż jedną jeszcze czy dwie... Wtedy Czarny może się uwolnić. Nawet ty nie dasz rady się z nim zmierzyć! Och, wiem, że Proroctwa mówią inaczej, ale może niezbyt dokładnie rozumiemy ich wymowę.

Nawet Logain popatrzył na nich z zainteresowaniem. Obserwował al'Thora z uwagą, jakby mierzył jego szanse przeciwko Czarnemu.

Rand odchylił się na krześle, starając się nie pokazywać po sobie zmęczenia. Pieczęcie nałożone na więzienie Czarnego to jedna rzecz, a próba dokonania podziału wśród Asha'manów przez Taima to zupełnie inna. Czy siódma pieczęć już pękła? Czy Cień zrobił pierwsze kroki zmierzające do Ostatniej Bitwy?

– Kiedyś mi coś powiedziałaś, Bashere – odezwał się. – Że jeśli twój wróg podsuwa ci dwa cele...

– ...uderz w trzeci – natychmiast dokończył Davram Bashere, a al’Thor kiwnął głową. I tak już się zdecydował.

Grzmot przetoczył się gdzieś niedaleko. Od huku aż się zatrzęsły okna z kwaterami. Burza się nasilała.

– Nie mogę walczyć równocześnie z Cieniem i Seanchanami. Do tych ostatnich wysyłam więc was trzech. Spróbujecie uzyskać rozejm.

Bashere i Logain wydawali się kompletnie ogłuszeni. Przez długi moment panowała cisza. Potem mężczyźni zaczęli się sprzeczać, mówiąc jeden przez drugiego. Loial wyglądał, jakby za chwilę miał zemdleć.

Elza wierciła się, słuchając sprawozdania Fearila na temat zdarzeń w Cairhien, do których doszło, odkąd opuściła miasto. To nie zgrzytliwy głos własnego Strażnika ją zirytował. Elza nienawidziła błyskawic i żałowała, że nie potrafi utworzyć bariery przeciwko tym gwałtownym wybuchom światła, tak jak stawiała ją przeciwko podsłuchowi. Nikt nie uważał jej pragnienia prywatności za dziwne, ponieważ spędziła ostatnie dwadzieścia lat na przekonywaniu wszystkich wokół, że wyszła za tego jasnowłosego człowieka za męża. Wbrew swemu ostremu głosowi Fearil wyglądał na mężczyznę, którego wiele kobiet chętnie by poślubiło – był wysoki, szczupły i całkiem przystojny. Jego wąskie, nieco zacięte usta dodawały mu jedynie uroku. Niektórzy oczywiście – gdyby się nad tym zastanowili – mogliby uznać za szczególny fakt, że Elza nigdy nie miała jednocześnie więcej niż jednego Strażnika. Wprawdzie trudno było znaleźć mężczyznę z kwalifikacjami, jakich wymagała, może jednak powinna się zacząć rozglądać...

Błyskawica znów rozświetliła teren za oknami.

– Tak, tak, wystarczy – przerwała w końcu Elza swemu Strażnikowi. – Dobrze postąpiłeś, Fearilu. Wielu pewnie by się zdziwiło, gdybyś jako jedyny odmówił odszukania swojej Aes Sedai. – Przez więź dotarła do kobiety ogromna ulga mężczyzny. Elza bywała surowa, gdy chodziło o posłuszeństwo i wypełnianie jej rozkazów, a chociaż Fearil wiedział, że nie mogła go zabić, karała go, maskując więź i nie dzielając jego bólu. No i postawiła osłonę przeciw podsłuchowi, która stłumiłaby jego ewentualne wrzaski. Tyle że Elza nie lubiła krzyczeć niemal tak bardzo, jak nie lubiła burzy z błyskawicami. – No cóż, dobrze, że jesteś ze mną – ciągnęła. Szkoda, że ci dzicy Aielowie wciąż przetrzymywali Ferę, chociaż pomyślała, że będzie musiała starannie wypytać tę Białą o powody, dla których złożyła przysięgę. Dopiero wtedy może zdoła jej zaufać. Aż do czasu podróży do Cairhien nie miała pojęcia, że łączy ją coś z Ferą. I wielka szkoda, że nie towarzyszył jej nikt z członków jej serca, po prostu wysłano ją do Cairhien, a ona nie kwestionowała otrzymywanych rozkazów. – Myślę, że wkrótce będzie musiało umrzeć kilku ludzi. – Natychmiast, gdy ona sama zdecyduje którzy. Strażnik pochylił głowę i do kobiety przez więź dotarła jego ogromna przyjemność. Fearil lubił zabijać. – Tymczasem usuniesz wszystkich, którzy zagrażają Smokowi Odrodzonemu. Wszystkich – dodała twardo.

Zrozumiała coś w okresie, kiedy sama pozostawała więźniem tych dzikusów. Tak, tak, Smok Odrodzony musi dożyć do Tarmon Gai’don, w przeciwnym razie w jaki sposób mógłby go wówczas pokonać Wielki Władca Ciemności?!

Rozdział 11

Kiedy zakładać klejnoty

Perrin niecierpliwie chodził wielkimi krokami w tę i z powrotem po kwiecistych dywanach ułożonych na podłodze namiotu i co rusz wzruszał ramionami na niewygodę ciemnozielonego jedwabnego kaftana, który rzadko nosił, odkąd dostał go od Faile. Żona twierdziła, że wyszukany, srebrny haft pasuje do jego ramion, on jednak uważał, że szeroki, skórzany pas przytrzymujący topór u jego boku sugeruje tylko, iż Perrin jest głupcem, udającym kogoś lepszego, niż był w rzeczywistości. Czasami naciągał mocniej rękawice albo spoglądał z furią na swój obszyty futrem płaszcz, który – gotów do założenia – leżał na oparciu krzesła. Dwukrotnie mężczyzna wyjmował z rękawa arkusz papieru i rozwijał go, po czym, nawet nie zwalniając kroku, przez chwilę studiował szkic mapy Malden. W tym mieście Shaido Aiel więzili Faile.

Chociaż Jondyn, Get i Hu dogonili uciekających mieszkańców Malden, jedyną przydatną rzeczą, jaką przynieśli, była ta mapa. Udało im się także zatrzymać niektóre osoby i porozmawiać z nimi, proponując wykonanie zadania. Niestety, ludzie silni, którzy nadawaliby się do walki, nie żyli już lub w białych strojach służyli Shaido Aiel jako *gai'shain*, natomiast w grupie zbiegów pozostali jedynie starcy, osoby bardzo młode lub chore czy kalekie. Według Jondyna na samą myśl, że ktoś chciałby ich zmusić do powrotu i walki z Shaido, większość uciekinierów przyspieszała tylko kroku, kierując się na północ, do Andoru, gdzie powinni znaleźć bezpieczeństwo. Mapa z kolei stanowiła swego rodzaju łamigłówkę, niezrozumiałą układankę złożoną z labiryntu ulic, fortecy i wielkiego rezerwuaru zajmującego północno-wschodni skraj Malden. Zwodziła Perrina rozmaitością możliwości. Wiedział wszakże, że są to tylko możliwości, chyba że poradzi sobie z poważniejszą łamigłówką, której nie uwzględniono na mapie, czyli ogromną masą Shaido Aiel, którzy rozłożyli się wokół otoczonego murami miasta. W dodatku wśród tych rzesz Aielów znajdowało się czterysta bądź też pięćset Mądrych Shaido, a zatem kobiet z umiejętnością przenoszenia Mocy. Z tego też względu mapa ponownie wróciła do jego rękawa, Perrin zaś nie przestawał chodzić w tę i z powrotem po pomieszczeniu.

Namiot w czerwone pasy irytował zresztą mężczyznę równie mocno jak mapa, podobnie wyposażenie siedziby – zdobione złoceniami krzesła, które przechowywano złożone, stół z mozaikowym blatem, stojące zwierciadło, umywalnia z lustrem, nawet ustawione w szeregu pod zewnętrzną ścianą okute mosiądzem kufry. Na dworze było jeszcze ciemnowo, więc zapalono wszystkie dwanaście lamp; ich blask odbijały zwierciadła. W dających ciepło, zabijające nocne lodowate zimno, koszach z płonącymi węglami nadal tlił się żar. Perrin miał nawet dwa jedwabne gobeliny Faile, przyozdobione rzędami ptaków i kwiatów. Wyjął je i powiesił na tyczkach wspierających dach. Pozwolił Lamgwinowi przyciąć swoją brodę, a także zgolić zarost sięgający wyżej, aż do policzków, i podgolić sobie kark. Umył się i włożył czyste ubranie. Już wcześniej przygotował namiot na przybycie żony. Wszystko czekało tu na nią, jakby wybrała się jedynie na przejażdżkę konną. Perrin postępował tak nie dla siebie, lecz dla tych, którzy dotąd widzieli w nim jedynie „cholernego lorda”. Teraz patrzyli na niego i nabierali pewności siebie. Tyle że jemu rozmaite drobiazgi stale przypomniały, że Faile nie pojechała wcale na żadną jeździecką wycieczkę.

Zdjął jedną z rękawic, pomacał w kieszeni kaftana i przesunął palcami po schowanym tam rzemieniu. Były na nim już trzydzieści dwa węzły! Pamiętał o tym doskonale, choć czasami, gdy przez całą noc leżał rozbudzony w łóżku, w którym od dawna nie było Faile, po raz kolejny liczył te węzły. W jakiś sposób kojarzyły mu się z żoną. A bezsenność i tak wydawała się lepsza niż koszmary.

– Jeśli nie usiądziesz, będziesz zbyt zmęczony na jazdę do So Habor. Nawet z pomocą Nealda – zauważyła Berelain z lekka rozbawionym tonem. – Mnie wyczerpuje już samo patrzenie na ciebie.

Zapanował nad sobą i nie obrzucił jej piorunującym spojrzeniem, na które miał ochotę. W granatowej, jedwabnej sukni do jazdy konnej, ze ściśle przylegającymi do szyi szerokimi, złotymi naszyjnikami nabijanymi łzami ognia oraz diademem z symbolizującym Mayene Złotym Jastrzębiem w locie, Pierwsza siedziała na swoim szkarłatnym płaszczu ułożonym na jednym ze składanych krzeseł. Ręce, w których zaciskała czerwone rękawiczki, trzymała na kolanach. Wydawała się opanowana jak Aes Sedai, a pachniała... cierpliwością. Nie rozumiał, dlaczego nagle zmienił się jej zapach, lecz nieoczekiwanie Perrin przestał się przy niej czuć niczym tłuste jagnię duszone w jeżynach, które ma być jej posiłkiem. I niemal był jej za tę zmianę wdzięczny. Dobrze móc z kimś porozmawiać o tęsknocie za Faile. A Berelain słuchała go i pachniała współczuciem.

– Chcę być tutaj, jeśli... kiedy Gaul i Panny Włóczni sprowadzą jakichś więźniów. – Na własne słówko „jeśli” i pauzę skrzywił się równie mocno, jak na myśl o koniecznej zwłoce. A przecież ani na chwilę nie zaczął wątpić. Prędzej czy później schwytają wszak kilku Shaido... chociaż najwyraźniej nie była to bynajmniej łatwa sprawa. Branie jeńców nie było bezpieczne, choć konieczne, szczególnie że Shaido postępowali znacznie ostrożniej w porównaniu z resztą Aielów. Sulin wyjaśniła mu tę kwestię powoli i cierpliwie. On zaś niecierpliwił się coraz bardziej. – Co zatrzymuje Argandę? – warknął.

Ghealdanin, odrzuciwszy lekkie klapy, wszedł akurat do namiotu, jakby Perrin wezwał mężczyznę poprzez wypowiedzenie jego imienia. Pierwszy Kapitan miał twarz pobladłą, a oczy zapadnięte. Wnosząc z jego wyglądu, sypiał równie mało co Aybara. Ten niski osobnik nosił dziś srebrzysty napierśnik, ale nie wziął hełmu. Nie ogolił się jeszcze tego ranka, toteż jego podbródek zaciaśniała siwiejąca szczecina. W odzianej w rękawicę dłoni trzymał grubą, skórzaną sakiewkę, którą z brzękiem rzucił na stół obok dwóch już tam leżących.

– Ze skarbca Królowej – oświadczył cierpko. W ostatnich dziesięciu dniach przemawiał niemal wyłącznie kwaśnym tonem. – Aż nadto starczy jako nasz udział. Musiałem roztrzaskać zamek i postawić trzech ludzi do ochrony kufra. Rozbity zamek to pokusa nawet dla najlepszego z nich.

– Dobrze, już dobrze – przerwał mu Perrin, nie umiejąc powstrzymać własnego zniecierpliwienia.

W ogóle go nie obchodziło, czy Arganda musi ustawić dziesięciu czy stu mężczyzn do ochrony skarbca swojej królowej. Własna sakiewka Aybary była najmniejsza z tych trzech, a włożył do niej wszak całe złoto i srebro, jakie zdołał znaleźć. Zarzuciwszy płaszcz na ramiona, zabrał wszystkie sakiewki i ruszył do wyjścia. Minął Pierwszego Kapitana i wyszedł na szary świt.

Ze wstrętem odkrył, że w obozowisku nie pachnie najlepiej, chociaż nie była to niczyja wina i nic nie można było poradzić na zastale powietrze. Wielu mężczyzn z Dwu Rzek sypiało obecnie pod namiotami, raczej pod płóciennymi, połatany, jasnobrązowymi niż pod takimi jak jego – w czerwone pasy – w każdym mieściło się jednakże bez problemów ośmiu czy dziesięciu ludzi. Przed wieloma namiotami stały niedopasowane halabardy ich mieszkańców, inni mężczyźni zaś przykryli ściany od zewnątrz wiecznie zielonymi gałęzmi, zmieniając swe tymczasowe siedziby w ciepłe, małe chatki. Namioty i szałas tworzyły kręte – w najlepszym razie – rzędy, które bez wątplenia nie przypominały sztywnych linii, jakie Perrin widział w częściach obozu zamieszkałych przez Ghealdan i Mayenian, całość nadal wszakże wyglądała trochę jak wioska ze ścieżkami i alejkami, na których śnieg udeptano aż do nagiej, zmarzniętej ziemi. Schludnie ułożone kamienne kręgi otaczały każde z palenisk, przy których grupki ludzi stały (z powodu chłodu w płaszczach i kapturach), czekając na poranny posiłek.

Również Perrin przyszedł tu dzisiejszego ranka właśnie ze względu na zawartość czarnych, żelaznych rondli. Wielu mężczyzn polowało, jednak na okolicznych terenach zwierzyny było z każdym dniem coraz mniej. Wyprawiali się też na poszukiwanie wiewiórczych zapasów żołądki, które mieli i dodawali do owsianki, z racji późnej zimy znajdowali wszakże przede wszystkim jedynie stare i wyschnięte. Ta kwaśna mieszanka tylko do pewnego stopnia zresztą napełniała im żołądki, nie była też smaczna, więc jedynie człowiek naprawdę głodny miał ochotę ją przełknąć. Większość twarzy, które dostrzegł Aybara, niecierpliwie skupiała się na rondlach. Ostatnie z wozów przejeżdżały z klekotem przez szczelinę w kręgu zaostrzonych palików otaczających obóz. Cairhieniańscy woźnice opatulali się aż po same uszy i garbili na siedzeniach, nieruchomi niczym worki z ciemnej wełny. Cały towar, który przywoziły wozy, składowano pośrodku obozu. Puste, jeden za drugim, wozy odjeżdżały ku pobliskiemu lasowi, przechylając się w koleinach utworzonych przez poprzednie pojazdy.

Perrin wzbudził niejake poruszenie, pojawiając się wraz z Berelain i niemal depreczającym mu po piętach Argandą, chociaż wyraźnie głodni ludzie z Dwu Rzek nieszczerze się akurat nimi zainteresowali. Och, kilku nieznacznie kiwnęło głowami w jego kierunku, jeden czy drugi błazen wykonał nawet pobieżny ukłon, jednak większość nadal starała się nie podnosić wzroku, gdy Berelain była w pobliżu. Głupcy! Durnie o skamieniałych mózgzach! Znajdowało się tu także sporo innych osób zebranych w niewielkiej odległości od namiotu w czerwone pasy i tłoczących się na alejkach między pozostałymi namiotami. Jakiś żołnierz mayenieński w szarym płaszczu, lecz bez zbroi, przybiegł z białą klaczą Berelain. Kłaniał się i pochylał, równocześnie usiłując przytrzymać strzemię swojej pani. Annoura dosiadała już gładkiej klaczy, bardzo ciemnej, zwłaszcza przez kontrast z klaczą Berelain. Aes Sedai nosiła płaszcz z kapturem, z którego wylaniały się przyozdobione paciorkami warkocze opadające jej aż na piersi. Ledwie zdawała się zauważać kobietę, której miała doradzać. Siedząc z wyprostowanymi plecami, nie przestawała się wpatrywać w niskie namioty Aielów, gdzie nie poruszało się nic z wyjątkiem drżących smużek dymu, wznoszących się z rzadkich otworów kominowych. Zupełnie inaczej niż obojętna taraboniańska siostra zachował się natomiast jednooki Gallenne w czerwonym hełmie, pancerzu i skórzanej przepasce na oku, który widząc Berelain, natychmiast wykrzyczał rozkaz, a wówczas cała pięćdziesiątka członków Skrzydlatej Gwardii wyprostowała się sztywno i zastygła w tej posągowej postawie z ustawionymi pionowo przy bokach długimi lancami, zakończonymi stalowymi czubeczkami i przyozdobionymi czerwonymi wstążkami. Kiedy zaś Pierwsza z Mayene dosiadła klaczy, Gallenne wyszczerzył kolejny rozkaz, po którym żołnierze równocześnie przyłgnęli do końskich grzbietów tak nisko, że wydawali się stanowić z nimi jedność.

Arganda przybrał marsową minę, gniewnym spojrzeniem obrzucił najpierw namioty Shaido Aiel, a następnie Mayenian, po czym ruszył do miejsca, gdzie czekało wielu ghealdańskich lansjerów w lśniących zbrojach i zielonych, stożkowych hełmach. Powiedział coś cicho dowodzącemu lansjerami szczupłemu mężczyźnie imieniem Kireyin, którego Perrin podejrzewał o szlachetne urodzenie, sądząc po hardym spojrzeniu, jakim ów człowiek błyskał zza prętów srebrzystego hełmu. Arganda był tak niski, że Kireyin musiał się zgarbić, jeśli chciał posłuchać, co tamten ma mu do powiedzenia i ten przymus jeszcze bardziej zmroził rysy twarzy wysokiego osobnika. Jeden ze stojących za Kireyinem mężczyzn dzierżył zamiast lancy z cienkimi zielonymi wstążkami drzewce z czerwonym sztandarem, na którym widniał symbol Ghealdan, czyli trzy sześcioramienne Srebrne Gwiazdy, jeden zaś przedstawiciel Skrzydlatej Gwardii niósł niebieski sztandar ze Złotym Jastrzębiem Mayene.

Był tu także Aram, chociaż trzymał się z dala i nie wyglądał na gotowego do jazdy. Opatulony

płaszczem w odcieniu zgniłej zieleni, z mieczem umieszczonym na plecach w taki sposób, że rękojeść wystawała nad ramię, dawny Druciarz dzielił zazdrosne nachmurzone spojrzenia między Mayenian i Ghealdan. Na widok Perrina marsowa mina mężczyzny zmieniła się w ponurą i Aram pospiesznie odszedł, przepychając się między oczekującymi na śniadanie ludźmi z Dwu Rzek. Ani razu nie zatrzymał się, aby przeprosić człowieka, na którego wpadł. Ostatnimi czasy stawał się coraz bardziej drażliwy, toteż stale się denerwował na wszystkich poza Aybarą, pokrzykując na nich warkliwie i jawnie z nich drwiąc. Powodem jego zniecierpliwienia było siedzenie w miejscu i przedłużające się czekanie. Wczoraj o mało nie pobił się z dwoma Ghealdanami. Kiedy zostali rozdzieleni, żaden z tych trzech nie potrafił podać powodów kłótni – podobno Aram zarzucił obu Ghealdanom brak szacunku, a oni jemu złośliwość, pogardę i wieczne krytykanctwo. Z tego też względu były Druciarz zostawał dzisiejszego ranka w obozowisku. W So Habor sytuacja będzie prawdopodobnie wystarczająco napięta i trudna – i bez mężczyzny prowokującego do bitki, ilekroć Perrin się odwróci.

– Pilnuj Arama – oświadczył szeptem Aybara, kiedy Dannil przyprowadził jego gniadosza. – I nie spuszczaaj wzroku z Argandy – dorzucił, wpychając sakiewki do wiszących po bokach siodła sakw, których rzemienie mocno zaciągnął i zapiął. Z jednej strony włożył sakiewkę z wkładem Berelain, która niemal idealnie zrównoważyła dwie pozostałe – jego i Argandy. No cóż, Pierwsza z Mayene potrafiła skłaniać do hojnych datków, choć jej ludzie tak samo głodowali jak wszyscy inni. – Arganda wygląda mi na gotowego popełnić jakiś głupi błąd.

Gdy Perrin chwycił wodze Stayera, wierzchowiec brykał nieco i odrzucał głowę, jednak pod mocną, lecz delikatną ręką swego pana zwierzę szybko się uspokoiło.

Dannil otarł swoje przywodzące na myśl kły wąsiska poczerwieniałym od zimna kłykiem, po czym przypatrzył się Pierwszemu Kapitanowi z ukosa. W końcu westchnął, a z jego ust wydobył się wielki kłab pary.

– Będę mu się przyglądał, Lordzie Perrin – odszepnął, zaciągając szczelniej płaszcz – tyle że... Wiem, że kiedy odjedziesz, ten człowiek natychmiast przestanie mnie słuchać, choć powierzyłeś mi dowództwo.

Niestety, tak wyglądała prawda. Aybara wolałby wziąć z sobą Argandę, a Gallenne'a zostawić tutaj, nikt się wszakże nie chciał zgodzić na ten pomysł. Ghealdanin zaakceptował fakt, że ludzie i konie zaczną głodować, jeśli ktoś gdzieś nie znajdzie dla nich jedzenia i paszy, nie wyobrażał sobie jednak spędzenia nawet dnia z dala od swojej królowej. W pewnym sensie wydawał się nawet bardziej rozgorączkowany niż Perrin, a może tylko bardziej skłonny poddać się szaleństwu. Pozostawiony sam sobie, Pierwszy Kapitan z każdym dniem podchodziłby bliżej Shaido, aż w końcu znalazłby się tuż przed ich nosami. Perrin był gotów umrzeć za wolność Faile, Arganda natomiast wydawał się gotów po prostu umrzeć.

– Z całych sił postaraj się powstrzymać go przed zrobieniem czegoś głupiego, Dannilu – oświadczył. Chwilę się zastanawiał, po czym dodał: – Nie dopuść jednak do rękoczynów.

Miał wszakże szczerą nadzieję, że Dannilowi uda się powstrzymać Pierwszego Kapitana. Na każdego człowieka z Dwu Rzek przypadało wprawdzie trzech Ghealdan, jednak nigdy nie uwolnią Faile, jeśli zaczną się między sobą zabijać.

W tym momencie Perrin o mało nie przyłożył głowy do boku Stayera. O Światłości, ależ był zmęczony. Z tego znużenia niewiele przed sobą widział.

Powolny stukot kopyt obwieścił przyjazd Masuri i Seonid wraz z trzema Strażnikami, trzymającymi się tuż za swoimi Aes Sedai. Mężczyźni mieli na sobie długie płaszcze, dzięki którym stąpiali się z otoczeniem zarówno oni sami, jak i – częściowo – ich konie. Obie siostry włożyły

okrycia z migotliwego jedwabiu i ciężkie, złote naszyjniki. Spod ciemnego płaszcza Masuri wylaniały się warstwy grubej wełny. Seonid nosiła na czole mały, biały klejnot zawieszony na delikatnym, złotym łańcuszku zapiętym gdzieś w jej włosach. Na widok Aes Sedai Annoura odprężyla się w siodle i rozparła wygodniej. Wśród namiotów Aielów stały w rzędzie Mądre. Obserwowały. Sześć wysokich kobiet z ciemnymi szalami okrywającymi głowy. Być może mieszkańcy So Habor będą dla Shaido równie mało serdeczni jak maldeńscy, lecz Aybara nie był pewien, czy Mądre pozwoliłyby pójść którejś z Aes Sedai samej. Tak czy owak, właśnie z ich powodu czekali. Słońce przybrało postać czerwono-złotej obwódki zawieszanej tuż nad wierzchołkami drzew.

– Im szybciej wyruszymy, tym prędzej będziemy z powrotem – oznajmił, dosiadając gniadosza.

Natychmiast gdy wyjechał przez utworzoną dla wozów szczelinę, mężczyźni z Dwu Rzek zaczęli przywracać brakujące paliki. Kiedy w pobliżu znajdowali się ludzie Masemy, nikomu nie można było zarzucić braku ostrożności.

Odległość do linii drzew wynosiła jeszcze około stu kroków, ale oko Perrina już przyciągnął jakiś ruch. Ktoś na koniu przesuwiał się w głębszy cień pod wielkimi drzewami. Niewątpliwie był to jeden z wartowników Masemy, który spieszył się przekazać Prorokowi, że Aybara i Berelain opuścili obóz. Niezależnie wszakże od tego, jak szybko pojedzie, nie uda mu się przybyć na czas. Jeśli zatem Masema pragnie śmierci Pierwszej z Mayene lub Perrina, co się wydawało całkiem prawdopodobne, musi poczekać na inną okazję.

Gallenne jednak nie zamierzał ryzykować. Nikt nie widział ani Santesa, ani Gendara, dwóch łowców złodziei Berelain, od dnia, w którym nie udało im się powrócić z obozu Masemy i dla Gallenne'a ten brak wiadomości równał się informacji o ich śmierci.

Jeszcze zanim dotarli do drzew, Lord Kapitan rozciągnął swoich bystrookich lansjerów w kręgu wokół Pierwszej. Otoczył także kręgiem Aybarę, choć Perrinowi fakt ten nie wydawał się istotny. Gdyby Gallenne mógł sam decydować, ściągnąłby wszystkich członków swej Skrzydlatej Gwardii – mniej więcej dziewięciuset – najchętniej wszakże po prostu wyperswadowałby Berelain jazdę. Zresztą i Perrin tego próbował. Z równie mizernym skutkiem. Ta kobieta umiała wspaniale słuchać, po czym i tak robiła dokładnie to, co chciała. Były w tej kwestii bardzo do siebie podobne z Faile. Mężczyźni niestety muszą się godzić z uporem kobiet. Zazwyczaj nie mają bowiem wyboru.

Teren znaczyły ogromne drzewa i kamienne odkrywki wystające spod śniegu, niemniej jednak otoczenie prezentowało się barwnie, nawet w przyćmionym leśnym świetle – w ukośnych promieniach słońca błyszczały poruszające się w lekkim wietrze czerwone sztandary, jeźdźcy w czerwonych zbrojach to się pojawiali, to znikali na moment za masywnymi dębami i zielonymi mahoniowcami. Trzy Aes Sedai jechały za Perrinem i Pierwszą, za siostrami z kolei ich Strażnicy, zamykał zaś tę grupkę mężczyzna ze sztandarem Berelain. Wszyscy rozglądali się bacznie po lesie. Sztandar Ghealdan powiewał nieco dalej. Kireyin i jego ludzie w lśniących zbrojach tworzyli szereg tak równy, że niemal w tych okolicznościach idealny. Rozległość widoków była zwodnicza, a w dostrzeżeniu szczegółów przeszkadzały też równe rzędy żołnierzy i jaskrawe sztandary, zaś haftowane jedwabie, klejnoty, diadem Pierwszej i mieniące się kolorami płaszcze Strażników naprawdę stanowiły imponującą całość. Aybara miał się ochotę roześmiać, śmiech ten wszakże nie byłby szczególnie radosny.

Berelain najwyraźniej wyczuła jego nastrój.

– Kiedy idziesz kupić worek mąki – zagaiła – wdziejaj proste wełny. Niech przekupka pomyśli, że nie możesz sobie pozwolić na wyższą cenę niż konieczna. Jeśli jednak pragniesz nabyć wóz pełen mąki, włóż klejnoty, a wtedy przekupka dojdzie do wniosku, że może zdoła ci sprzedać

wszystko, co posiada.

Perrin mimo woli parsknął śmiechem. Stwierdzenie Pierwszej z Mayene bardzo przypominało łamigłówniki, które podsuwał mu kiedyś pan Luhhan, dając mu przy tym kuksańca pod żebra i mówiąc, że chodzi o żart, lecz jego spojrzenie sugerowało, iż miał na myśli coś więcej... Co chciała powiedzieć Berelain? Ubierz się biednie, gdy pragniesz małej korzyści, a pięknie, jeśli pragniesz większej? Aybara był zadowolony, że Pierwsza z Mayene nie pachnie już jak wilk na polowaniu. Przynajmniej zniknęło mu jedno zmartwienie.

Wkrótce dopędzili ostatnie wozy, a następnie dotarli do miejsca Podróżowania. Wcześniej mężczyźni wycięli toporkami drzewa przy bramie, tworząc niewielką polanę, jednak panował na niej tłok, jeszcze zanim Gallenne rozstawił w kręgu swoich lansjerów, każąc im stanąć plecami do środka. Na miejscu był już Fager Neald, ten wymuskany Murandianin, który usztywniał sobie woskiem końcówki wąsów. Siedział na pstrokatym wałachu w typowym dla Asha'manów kaftanie; miał takie odzienia tylko dwa, oba czarne. Na szczęście w jego kołnierzu nie tkwiła charakterystyczna szpilka. Śnieg nie był tu głęboki, lecz dwudziestu prowadzonych przez Wila al'Seena ludzi z Dwu Rzek również dosiadało koni. Woleli siedzieć, niż stać i czekać, aż stopy zamrzną im w butach. Cała dwudziestka mężczyzn wyglądała na twardszych niż wtedy, gdy opuszczali wraz z Perrinem Dwie Rzeki. Na plecach mieli długie łuki, przy pasie najeżone strzałami kołczany i różnego rodzaju miecze. Aybara żywił nadzieję, że wkrótce będzie mógł ich odesłać do domu albo – jeszcze lepiej – ich tam zabrać.

Większość balansowała halabardami przy siodłach, ale Tod al'Caar i Flann Barstere nieśli sztandary: Czerwony Wilczy Łeb Perrina i Czerwonego Orła Manetheren. Tod wysunął uparcie wydatną dolną szczękę, a Flann, wysoki chudy mężczyzna ze Wzgórza Czat, łypał posepnie na boki. Prawdopodobnie nie miał ochoty na wykonanie czekającego go zadania. Być może Tod również. Wil posłał Aybarze jedno z tych otwartych, niewinnych spojrzeń, którymi w Dwu Rzekach zwodził tak wiele dziewcząt – zwłaszcza w dni świąteczne, gdy lubił wkładać bogato haftowane kaftany i wprost uwielbiał jeździć przed tymi sztandarami, prawdopodobnie w nadziei, że jakaś kobieta uzna je za jego – jednak Perrin go zignorował. Wystarczyły mu sztandary i nie oczekiwał pozostałych trzech mężczyzn na polanie.

Balwer otulił się płaszczem, jakby łagodny wietrzyk zmienił się nagle w gwałtowną wichurę, po czym niezdarnie uderzył obcasami swego deresza o tępy pysku, popędzając go ku Aybarze. Ciągnęło za nim dwoje faworytów Faile, oboje z wyzywającymi minami. Niebieskie oczy Medore osobiście wyglądały na jej ciemnej twarzy Tairenianki, podobnie jak kaftan z bufiastymi rękawami w zielone pasy wyglądał dziwacznie na jej pełnym łonie. Ta córka Wysokiego Lorda była w każdym calu arystokratką i męski ubiór po prostu do niej nie pasował. Z kolei Cairhienianin Latian, błydy osobnik w kaftanie niemal tak ciemnym jak ten Nealda, chociaż oznaczonym czterema czerwonymi i niebieskimi wstawkami na piersiach, nie był dużo wyższy od swej towarzyszki, zaś sposób, w jaki stale siąkał z zimna i pocierał ostry nos, nadawał mu wygląd człowieka znacznie mniej od niej kompetentnego. Żadne z dwojga nie nosiło miecza, co stanowiło dla Aybary kolejne zaskoczenie.

– Mój panie, moja pani Pierwsza – zagaił Balwer typowym dla siebie oschłym tonem, następnie wykonał w siodle ukłon niczym huśtający się na gałęzi wróbel. Zerknął na jadące za nimi Aes Sedai, był to wszakże jedyny znak, że mężczyzna jest świadom obecności sióstr. – Mój panie, przypomniałem sobie, że mam dość bliskiego znajomego w tym So Habor. To sprzedawca noży, który stale podróżuje ze swoimi wyrobami, może jednak będzie akurat w domu, a nie widziałem go kilka lat.

Aybara uprzytomnił sobie, że po raz pierwszy ten mężczyzna wspomina o posiadaniu

jakiegokolwiek przyjaciela, zagrzebane zaś na północy Altary miasto wydawało się wyjątkowo szczególnym miejscem w takiej sytuacji, tym niemniej skinął głową. Podejrzał, że historia związana z tym przyjacielem ma głębszy wymiar, niż Balwer przyznawał. Mało tego, zaczynał podejrzewać, że sekretarz skrywa wiele rozmaitych tajemnic.

– A twoi towarzysze, panie Balwer? – spytała Berelain.

Twarz Pierwszej z Mayene pozostała gładka wewnątrz obszytego futrem kaptura, jednak w jej zapachu Aybara zauważył rozbawienie. Berelain bardzo dobrze wiedziała, że Faile używała swoich młodych faworytów jako szpiegów i żywiła przekonanie, że Perrin wykorzysta ich dokładnie w ten sam sposób.

– Chcieli się wyrwać i trochę przewietrzyć, moja pani Pierwsza – odparł uprzejmie kościsty mały sekretarz. – Ręczę za nich, mój panie – dodał, patrząc na Aybarę. – Obiecali, że nie spowodują żadnych kłopotów, a może się tu czegoś nauczą.

Od niego także bił zapach rozbawienia, który w jego przypadku miał dodatkową, nieco spleśniałą nutę. Perrin wyczuł też lekkie rozdrażnienie. Balwer wiedział, że Berelain zna jego słabostki i zdaje sobie sprawę z żywionych przez niego niechęci, choć nigdy dotąd nie dała mu jawnie odczuć swojej wiedzy. Tak, tak, Aybara bez wątpienia nie znał dobrze tego mężczyzny. Sekretarz wszak wziął z sobą tę parę z jakichś konkretnych powodów. Najwyraźniej w taki czy inny sposób protegował wszystkich młodych faworytów Faile, kazał im też podsłuchiwać i podglądać Ghealdan, Mayenian, a nawet Aielów. Według niego to, co powiedzą i zrobią przyjaciele, może być równie interesujące jak plany wrogów; nawet jeżeli człowiek był stuprocentowo pewny, że owi przyjaciele rzeczywiście są przyjaciółmi. Ma się rozumieć, Berelain wiedziała, że jej ludzie są szpiegowani. A Balwer wiedział, że ona o tym wie. Ona zaś wiedziała, że on wie, iż ona... Nie, nie, dla prostego wiejskiego kowala ta gra była zbyt wyrafinowana.

– Tracimy czas – oświadczył Perrin. – Otwórz bramę, Nealdzie.

Asha'man uśmiechnął się do niego, po czym pogładził sztywne od wosku wąsy. Aybara zauważył, że odkąd znaleźli Shaido, Neald robił to aż za często. Może miał ochotę na potyczkę z nimi... Teraz także uśmiechnął się i wykonał jedną ręką uroczysty gest.

– Jak rozkażesz – odrzekł radosnym głosem.

W powietrzu pojawiła się znajoma już kreska srebrzystego światła, która rozszerzyła się w otwór.

Perrin, nie czekając na resztę grupy, przejechał na drugą stronę i znalazł się na pokrytym śniegiem polu otoczonym niskim kamiennym murem, wśród falistego terenu. Teren wydawał się prawie bezdrzewny w porównaniu z lasem, który Aybara zostawił za sobą. O ile Neald nie popełnił jakiegoś poważnego błędu, dzieliło ich obecnie od So Habor zaledwie kilka mil. Perrin pomyślał, że jeżeli Asha'man jednak się pomylił, osobiście wyrwie mu te nawoskowane wąsiska z nad wargi. Jak ten mężczyzna mógł być taki radosny?!

Wkrótce wszakże Aybara jechał już na zachód zaśnieżoną drogą pod szarym zachmurzonym niebem. Wozy na wysokich kołach toczyły się za nim w szeregu, przed nim natomiast rozciągały się cienie utworzone przez wczesnoporanne słońce. Stayer szarpał się w cuglach, pragnąc przyspieszyć do galopu, Perrin jednakże powstrzymywał go do szybkiego stępa, któremu potrafiły dotrzymać kroku zaprzęgowe konie ciągnące wozy. Mayenianie Gallenne'a pędzili polem po bokach drogi, a starając się otoczyć kręgiem Perrina i Berelain, musieli omijać niskie murki z surowego kamienia, które stanowiły granice poszczególnych poletek. Czasem kawalerzyści mogli korzystać z bram, którymi niektórzy farmerzy połączyli sąsiednie posiadłości, dzięki czemu pożyczali sobie prawdopodobnie konne zaprzęgi z pługiem, innymi razy ekstrawagancko przeskakiwali murki. Wstążki na lancach

pływały za konnymi, oni sami zaś ryzykowali nogi własnych wierzchowców i własne karki. Tymi ostatnimi Aybara niewiele się zresztą przejmował.

Wil i dwaj mężczyźni niosący Wilczy Łeb i Czerwonego Orła przyłączyli się do mayenińskiego chorążego za Aes Sedai i Strażnikami, jednakże inni ludzie z Dwu Rzek utworzyli dwa oskrzydlające linię wozów szeregi. Tych kilku wozów mogłoby wprawdzie pilnować mniej niż dwudziestu ludzi, tym niemniej woźnicom widok tak licznej ochrony dodawał pewności siebie. Nikt się tu raczej nie spodziewał rozbójników ani Shaido Aiel, chodziło po prostu o uspokojenie zwyczajnego lęku związanego z opuszczeniem dobrze strzeżonego obozu. W każdym razie żołnierze na pewno dostrzegą wszelkie niebezpieczeństwo, na długo zanim zagrozi ono wozom.

Niskie, faliste wzgórza nie pozwalały na szczególnie rozległe widoki, była to zresztą kraina farm, zabudowana solidnymi, kamiennymi domami o krytych strzechą dachach oraz stodołami rozproszonymi wśród wypielęgnowanych poletek. Nigdzie nie sposób się było dopatrzeć zaniedbania czy dziczy. Nawet większość niskich zarośli porastających zbocza wyraźnie wykorzystywano jako źródło drzewa opałowego. Perrina nagle wszak uderzyło spostrzeżenie, że śnieg na drodze przed nim wcale nie wygląda na świeży i nietknięty ludzką stopą. Chwilę później uświadomił sobie jednak, iż jedyne ślady pozostawili na niej zwiadowcy Gallenge'a. W pobliżu tych licznych, lecz zaciemnionych domów i stodół nikt się nie kręcił, z dużych kominów nie wznosił się też dym. Okolica wydawała się całkowicie nieruchoma i kompletnie opustoszała. Na tę myśl Aybara poczuł, jak włosy na jego karku poruszają się i unoszą.

Krzyk jednej z Aes Sedai skłonił go do obejrzenia się przez ramię. Spojrzał na Masuri, po czym podążył wzrokiem za jej wskazującym na północ palcem. Jakiś kształt leciał w powietrzu. Na pierwszy rzut oka można by go wziąć za wielkiego nietoperza pędzącego ku wschodowi na długich, żebrowanych skrzydłach, dziwnego nietoperza o wydłużonej szyi i długim, cienkim ogonie. Gallenge wykrzyczał przekleństwo, a następnie przycisnął do oka lunetę. Aybara wystarczająco wyraźnie widział stworzenie bez szkła powiększającego, potrafił nawet dostrzec rysy istoty ludzkiej dosiadającej grzbietu zwierzęcia.

– Seanchanie – wydyszała Berelain.

Zarówno w jej głosie, jak i w zapachu czaiło się jawne zmartwienie.

Perrin kręcił się w siodle, obserwując lot wielkiej istoty, aż w końcu blask świtu zmusił go do odwrócenia wzroku.

– Nic ich nie obchodzimy – ocenił ostatecznie.

Gdyby Neald popełnił pomyłkę, bez wahania by go udusił.

Rozdział 12

W So Habor

Podczas gdy Perrin obserwował lecącego Seanchanina, Neald, który musiał pozostać w miejscu Podróżowania i utrzymać otwartą bramę do czasu, aż przejadą przez nią Kireyin i Ghealdanie, oznaczył wreszcie otwór w powietrzu, po czym wraz z Kireyinem ruszyli galopem, dopędzając Perrina na wzgórzu. Tu ściągnęli wodze i zapatrzyli się na leżące przed nimi miasto So Habor, od którego dzieliła ich tylko wąska rzeka przecięta parą łukowatych drewnianych mostów. Aybara nie był wprawdzie żołnierzem, lecz bezzwłocznie zrozumiał, dlaczego Masema opuścił to miejsce. Być może z racji bliskości rzeki, miasto otoczono dwoma pasami muru z solidnego kamienia, na których znajdowały się regularnie rozmieszczone wieże; wewnętrzny krąg był wyższy niż zewnętrzny. Wprawdzie do długiego, biegnącego od mostu do mostu wzdłuż zewnętrznego muru, nabrzeża przywiązano kilka barek, tym niemniej wielkie okute żelazem i zamknięte na głucho bramy na mostach wydawały się stanowić jedyne wejścia do miasta na tym obszarze surowego, szarego kamienia zwieńczonego licznymi blankami, które ciągnęły się przez całą długość murów. So Habor, zbudowane w celu powstrzymania chciwych okolicznych panów wielkich rodów, chyba nieszczęśliwie obawiałoby się motłochu Proroka, nawet gdyby przybyły tu tysiące jego zwolenników. Każdy, kto chciałby wtargnąć do miasta, potrzebowałby machin oblężniczych i mnóstwa cierpliwości, Masema zaś wolał terroryzować wioski oraz pozbawione murów i obrońców miasta.

– No cóż, cieszy mnie widok ludzi tam, na murach – oznajmił Neald. – Już zacząłem podejrzewać, że wszyscy w tym kraju wymarli, a ich ciała ktoś pogrzebał.

Parsknął, tylko w połowie wesoło, jego szeroki uśmiech zaś wyglądał na wymuszony.

– Dla nas ważne, żeby sprzedali nam ziarno – mruknął Kireyin nosowym, znudzonym głosem. Odpiął srebrzysty hełm z białym pióropuszem, zdjął go i umieścił na wysokim łęku siodła. Nie popatrzył na Perrina, przesunął spojrzeniem obok niego, na krótko zatrzymał wzrok na Berelain, po czym się obrócił i zwrócił do Aes Sedai, przemawiając tym samym zmęczonym tonem: – Będziemy tu tkwić czy zjedziemy?

Berelain zmarszczyła brwi i obrzuciła go groźnym spojrzeniem, które powinien zrozumieć każdy człowiek z odrobiną oleju w głowie. Kireyin jednakże go nie zrozumiał.

Aybarze nadal jeżyły się włoski na karku, tym mocniej, odkąd patrzył na miasto. Być może po prostu wilcza część jego osobowości nie lubiła murów. Chociaż chyba nie tylko o to chodziło. Mężczyźni na murach jawnie na nich wskazywali, a niektórzy przyglądali im się przez lunety. Ci ostatni przynajmniej powinni wyraźnie dojrzeć sztandary. Wszyscy zaś na pewno mogli zobaczyć żołnierzy i ich lance z wstążkami unoszącymi się na porannym wietrze. A także rząd wozów, które sunęły drogą w dół, gdzie znikaly im z pola widzenia. Czyżby wszyscy mieszkańcy farm przenieśli się nagle do miasta?

– Nie przyszliśmy tutaj siedzieć – odparował.

Berelain i Annoura spierały się w kwestii najlepszego sposobu dotarcia do So Habor. Miejscowy lord (albo lady) pewnie słyszał o rabunkach, których Shaido Aiel dokonywali niedaleko stąd – zaledwie w odległości kilku mil na północ od miasta; może słyszał też o obecności Proroka w Altarze. Każda z takich wiadomości wystarczy dla wzbudzenia ostrożności, obie zaś łatwo mogą skłonić ludzi do wypuszczenia strzał z łuków; dopiero później będą pytać, kogo trafili. W każdym razie najprawdopodobniej w chwili obecnej nie powitają z zadowoleniem cudzoziemskich żołnierzy przy bramach. Lansjerzy pozostali zatem rozstawieni wzdłuż wzgórza. Była to z ich strony

demonstracja siły wobec tutejszych mieszkańców – pokazywali, że mają broń, nie sugerowali jednak zamiaru jej użycia. W So Habor na nikim zapewne nie robiła chyba wrażenia setka mężczyzn, chociaż wypolerowana zbroja Ghealdan i czerwona zbroja żołnierzy Skrzydlatej Gwardii potwierdzała, że gościom daleko do wędrownych oszustów. Z kolei ludzie z Dwu Rzek nie mogą nikomu zaimponować, póki nie użyją swoich łuków, więc wszyscy pozostali z tyłu, wśród wozów, gdzie podtrzymywali na duchu woźniców. W tych wszystkich decyzjach Perrin niewiele widział sensu, więcej zaś nadęcia i pozorantwa, ale niezależnie od tego, ile osób nazywało go lordem, był wszak tylko wiejskim kowalem. Pierwsza z Mayene i Aes Sedai bez wątpienia lepiej od niego znały się na tych sprawach.

Gallenne powoli zjechał ku rzece. Wyprostował grzbiet, jasnoczerwony hełm ułożył na siodle. Aybara i Berelain ruszyli nieco za nim. Rozdzielała ich Seonid, po lewej i po prawej stronie zaś towarzyszyły im Masuri i Annoura. Wszystkie Aes Sedai odrzuciły kaptury, ażeby osoby na murach mogły dostrzec i skojarzyć ich wiecznie młode twarze. Siostry przyjmowano dobrze w większości miejsc, nawet tam, gdzie ludzie tak naprawdę woleliby się z nimi nie stykać. Z tyłu jechali wszyscy czterej chorążowie, przemieszani ze Strażnikami, błyskającymi rażącymi oko wielobarwnymi płaszczami. Kireyin zaś, ułożywszy lśniący hełm na udzie, krzywił się z powodu przydzielonego mu miejsca, nie miał bowiem ochoty na taką bliskość ze Strażnikami, a co jakiś czas posyłał lodowate spojrzenia Balwerowi, który włókł się na samym końcu wraz z dwojgiem towarzyszy. Nikt nie powiedział sekretarzowi, że może z nimi wyruszyć, nikt też wszakże mu tego nie zabronił. Ilekroć Kireyin na niego zerknął, Balwer kłaniał się w siodle, po czym wracał do studiowania ciągnących się przed nimi murów miejskich.

Byli coraz bliżej, lecz Perrin nie mógł się otrząsnąć z uczucia niepokoju. Wkrótce końskie kopyta zastukotały głucho na południowym moście, szerokiej konstrukcji wzniesionej tak wysoko nad rwącą rzeką, że z łatwością przepływały tędy barki podobne do tych przywiązanych do nabrzeża; nawet przy wywołanych wiatrem falach. Żadna z cumujących tu dużych, pełnodziobych barek nie została wyposażona w maszt. Jedna z nich osiadła głęboko w wodzie, pochylona ukośnie na napiętych linach, wszystkie natomiast wyglądały na opuszczone. Aybara potarł nos, gdyż poczuł w powietrzu nieprzyjemny, kwaśny zapach. Nikt inny nie wydawał się tego smrodu zauważać.

Gdy znajdowali się blisko zjazdu z mostu, Gallenne się zatrzymał. Dostępu do miasta i tak broniły tu zamknięte bramy zbudowane z okutych sztabami z czarnego żelaza grubych na stopę pali.

– Słyszeliśmy o kłopotach nękających tę ziemię – ryknął do ludzi ustawionych na murach. Mimo iż krzyczał, udało mu się zachować ton uprzejmy i oficjalny równocześnie. – My wszakże jedynie tędy przejeżdżamy i nie zamierzamy sprawiać wam problemów, a zajechaliśmy do was wyłącznie w celach handlowych. Nie chcemy z wami walczyć, tylko kupić od was ziarno i inne potrzebne nam produkty. Mam honor obwieścić, że Berelain sur Paendrag Paeron, Pierwsza z Mayene, Błogosławiona przez Światłość Obrończyni Muru Garena, Głowa Dynastii Paeron, przybyła, ażeby porozmawiać z lordem lub lady tej ziemi. Mam honor obwieścić też przybycie Perrina t’Bashere Aybary...

Nazwał Perrina Lordem Dwu Rzek, dodał mu również parę innych tytułów, do których Aybara nigdy nie miał najmniejszego prawa i o których nigdy nawet nie słyszał, po czym przedstawił wszystkie Aes Sedai, określając Ajah każdej z nich i o każdej mówiąc z szacunkiem. Całość zabrzmiała naprawdę imponująco.

Gdy Lord Kapitan umilkł, zapanowała kompletna cisza.

Na blankach powyżej mężczyźni o brudnych twarzach wymienili ponure spojrzenia i dzikie szepty, nerwowo przesuwając kusze i halabardy. Zaledwie nieliczni nosili hełmy lub jakąś część

zbroi. Większość miała na sobie złachmanione kaftany, choć Perrinowi zdało się, że u jednego człowieka widzi pod warstwą brudu błysk jedwabiu. Ze względu na ów brud nie był wszakże swego spostrzeżenia pewien. Mimo doskonałego słuchu nie potrafił też zrozumieć, o czym mieszkańcy So Habor w tej chwili szepczą.

– Skąd mamy wiedzieć, że jesteście żywi? – wrzasnął w końcu ktoś ochryłym głosem.

Berelain zamrugła zaskoczona, nikt się jednak nie roześmiał. Pytanie było niby niemądre i nonsensowne, lecz Aybarze włoski na karku stanęły naprawdę na sztorc. Coś mu tutaj nie pasowało. Odnosił wrażenie, że Aes Sedai również wyczuwają niezwykłość sytuacji, choć z drugiej strony, siostry pod gładkimi maskami chłodnego spokoju zawsze potrafiły ukryć wszelkie emocje. Annoura potrząsnęła głową i paciorki w jej cienkich warkoczykach lekko zaklekotały. Masuri przesuwiała zimne spojrzenie po stojących na murach ludziach.

– Jeżeli będę musiała udowodnić, że żyję, wszyscy tego pożałujecie – oświadczyła Seonid głośno z szorstkim cairhieniańskim akcentem. Jej głos był niewiele cieplejszy niż rysy twarzy. – A jeśli nadal będziecie celować we mnie z kusz, pożałujecie tego jeszcze bardziej.

Wiele osób pospiesznie podniosło kusze, celując teraz w niebo. Jednak nie wszyscy.

Z murów dały się słyszeć kolejne szepty, ostatecznie wszakże ktoś chyba wreszcie rozpoznał Aes Sedai i w końcu bramy zaczęły się otwierać. Masywne, lecz wyraźnie zardzewiałe zawiasy głośno skrzypiały. Przez otwarte bramy buchał z miasta duszący odór, ten sam, który wyczuł wcześniej Perrin, tylko silniejszy. Śmierdziało starym brudem i wielodniowym potem, rozkładającymi się odpadkami i zbyt długo nie mytymi naczyniami. Skrzypienie drażniło czułe uszy Aybary. Gallenne na wpół uniósł czerwony hełm, jakby zamierzał włożyć go na głowę, jednak zrezygnował i popędził swego bułanka ku wejściu. Perrin uderzył Stayera obcasami i ruszył za Lordem Kapitanem, równocześnie wyciągając z pętli przy pasie topór.

Tuż za bramą jakiś brudny mężczyzna w podartym płaszczu wyciągnął rękę z widocznym zamiarem uszczypnięcia Perrina w nogę, odskoczył wszakże, gdy Stayer na niego parsknął. Człowiek ten był kiedyś prawdopodobnie tęgi, gdyż teraz nadmiar skóry wisiał na jego ciele w pomarszczonych fałdach, a płaszcz zdawał się być na niego o wiele za duży.

– Po prostu chciałem się upewnić – szepnął, drapiąc się bezwiednie drugą ręką po boku. – Mój panie – dodał, o sekundę za późno.

Jego oczy po raz pierwszy chyba skoncentrowały się na twarzy Aybary, a wycofujące się palce zastygły. Żółtożółte oczy nie wydawały się jednak skupione.

– Widzieliście wielu zmarłych przejeżdżających? – spytał go Perrin z lekką drwiną, usiłując nadać pytaniu żartobliwy ton.

Jednocześnie poklepał gniadosza po szyi. Dobrze wyćwiczony bojowy rumak powinien otrzymać nagrodę za obronę swego jeźdźca.

Mężczyzna cofnął się, jakby koń znów obnażył na niego zęby, przez jego twarz na moment przemknął jednakże dziwaczny grymas uśmiechu. Przesuwał się przez chwilę w bok, aż boleśnie wpadł na klacz Berelain. Stojący tuż za nią Gallenne wciąż wyraźnie zamierzał nałożyć na głowę hełm, wydawał się też pragnąć patrzeć w sześć kierunków jednocześnie.

– Gdzie mogę znaleźć waszego lorda lub lady? – spytała niecierpliwie Berelain. Mayene było małym narodem, lecz jego Pierwsza nigdy nie przyzwyczaiła się do ignorowania jej osoby. – Wszyscy pozostali wyglądają na niemowy, słyszałam jednak, że ty wypowiedziałeś kilka słów. Więc jak, człowieku? Odpowiedz mi czy nie?!

Mężczyzna podniósł na nią wzrok i skoncentrował spojrzenie na jej twarzy, oblizując przy tym wargi.

– Lord Cowlin... Lord Cowlin jest... daleko. Moja pani. – Zerknął teraz na Perrina, po czym się wzdrygnął. – Sprzedawcy ziarna... To ich bardziej potrzebujecie. Można ich zawsze znaleźć w Złotej Barce. W tamtym kierunku.

Machnął ręką, wskazując nią na jakiś nieokreślony punkt w głębi miasta, potem nagle uciekł, oglądając się na nich przez ramię. Może obawiał się z ich strony pościgu.

– Sądzę, że powinniśmy poszukać gdzie indziej – ocenił Aybara.

Zdziwiły go nie tylko żółte oczy mężczyzny. Ogólnie rzecz biorąc, czuł się w tym mieście jakoś osobliwie i nieswojo.

– Skoro już tu przybyliśmy, tu poszukamy. A poza tym nie ma w pobliżu żadnej innej osady – odparowała bardzo rzeczowym tonem Berelain. Z powodu wszechobecnego smrodu Perrin nie potrafił wyłapać zapachu Pierwszej z Mayene. Musiał się kierować jedynie słuchem i wzrokiem, tyle że jej twarz pozostawała tak spokojna jak u Aes Sedai. – Byłam w miastach, w których gorzej pachniało, Perrinie. A jeżeli ten ich Lord Cowlin rzeczywiście zniknął, nie po raz pierwszy trzeba będzie prowadzić negocjacje z kupcami. Tak naprawdę chyba nie wierzysz, że widzieli w pobliżu poruszające się trupy, co?

Cóż na takie pytania ma odpowiedzieć mężczyzna, który nie chce wyjść na tchórza i wariata?

Pozostali już w każdym razie przeszli przez bramy, chociaż bynajmniej nie w równym szeregu. Wynter i Alharra deptali po piętach Seonid niczym dwa bardzo różniące się od siebie psy stróżujące – jeden jasny, drugi ciemny; obaj gotowi byli w mgnieniu oka rozpruć komuś gardło. Na pewno docierał do nich obrzydliwy zapach So Habor. Jadący obok Masuri jej Strażnik, Kirklin, popatrywał niechętnie na boki. On również trwał w gotowości z dłonią na rękojeści miecza. Kireyin przyłożył dłoń do nosa, a piorunujące spojrzenie jego oczu jawnie mówiło, że ktoś mu zapłaci za ten drażniący go smród. Sądząc po wyglądzie Medore i Latiana, ci dwoje także nie czuli się najlepiej, Balwer natomiast ledwie się rozejrzał na boki, przekrzywiając głowę, po czym zaciągnął parę faworytów w wąską boczną uliczkę wiodącą na północ. Jak powiedziała Berelain, skoro już tu przybyli, tu poszukają.

Kolorowe sztandary wyglądały w So Habor zdecydowanie nie na miejscu. Tak pomyślał Perrin, jadąc ciasnymi, krętymi miejskimi uliczkami. Niektóre z nich były właściwie całkiem szerokie jak na osadę wielkości So Habor, tym niemniej wydawały się dziwnie węższe, a kamienne budynki po obu stronach osobliwie górowały nad jadącymi, jakby zaprzeczając swoim dwóm czy trzem kondygnacjom i sprawiając wrażenie, że za moment runą im wszystkim na głowy. W dodatku jeźdźców zwodziła wyobraźnia i ulice zdawały im się niesamowicie przyćmione, choć niebo nad ich głowami nie było aż tak szare. Po brudnych ulicach o kamiennych nawierzchniach kręcili się ludzie, lecz wcale nie tak liczni, jak można by się spodziewać po prawdopodobnie wszystkich opuszczonych w tej okolicy farmach. Przechodnie zresztą pędzili szybko, ze spuszczonej głowami. Raczej nie spieszyli się ku czemuś, po prostu umykali, na nikogo nie patrząc. Dziwne, że byli tacy brudni. Mimo iż rzeka płynęła praktycznie u ich stóp, najwyraźniej od wielu dni zapominali się umyć. Perrin nie widział ani jednej nieoblepionej warstwą brudu twarzy, ani jednej części garderoby, która nie wyglądałaby na noszoną przez tydzień i używaną do pracy w gnoju. Im głębiej do miasta wjeżdżała cała grupka, tym smród był gorszy. Aybara przypuszczał, że do wszystkiego można się w końcu przyzwyczaić. Najgorsza była jednakże cisza. Wsie bywają czasem milczące, mimo iż nie tak ciche jak las, lecz w miastach zawsze wszak panuje choćby niegłośny gwar, jakieś szemranie, odgłosy handlowych negocjacji sklepikarzy i inne charakterystyczne dla żyjących swoim życiem ludzi. W So Habor nie było słychać nawet niczyich szepków. Nawet oddechów.

Uzyskanie wskazówek związanych z usytuowaniem lokalu okazało się trudne, ponieważ

większość osób uciekała, jeśli się do nich odezwali, w końcu jednak dotarli na miejsce i zsiadli z koni pod całkiem nieźle wyglądającą gospodą: trzypiętrowym budynkiem ze starannie otynkowanego szarego kamienia pod łupkowym dachem, z zawieszonym nad drzwiami napisem „Złota Barka”. Do wykonania liter użyto nawet złotej farby, podobnie jak do wymalowania znaku przedstawiającego barkę, a na niej niczym nieprzykrytą stertę ziarna wyraźnie gotowego do wywozu. Ponieważ z pobliskiej stajni nie wyszli żadni stajenni, ich rolę musieli przejąć chorążowie. Zadanie to jawnie ich nie uszczęśliwiło. Tod tak bardzo się skupił na strumieniu przemykających obok brudnych ludzi i pieszczocie rękojeści własnego krótkiego miecza, że gdy chwycił cugle Stayera, o mało nie wysunęły mu się z palców. Mayenianin i Ghealdanin najwyraźniej żalowali, że niosą sztandary, nie zaś lance. Flann błyskał tylko wokół dzikimi spojrzeniami. Mimo porannego słońca światło wydawało się zacienione. A wejście do środka nikomu nie poprawiło nastrojów.

Na pierwszy rzut oka główna sala potwierdziła zewnętrzne bogactwo gospody, szczególnie wypolerowane, okrągłe stoliki, prawdziwe krzesła zamiast ławek, wysoki sufit z solidnych belek. Ściany pomieszczenia pokryto wizerunkami dojrzewających pod intensywnym słońcem pół jęczmienia, owsa i prosa, a na rzeźbionym obramowaniu nad wielkim kominkiem z białego kamienia stał malowany, kolorowy zegar. W kominku się wszakże nie paliło, powietrze w sali było zaś niemal równie lodowate jak na ulicy. Zegar nie chodził i wyglądał na zakurzony. Kurz zresztą pokrywał wszystkie możliwe powierzchnie. W całym pomieszczeniu znajdowało się tylko sześciu mężczyzn i pięć kobiet zgromadzonych nad swoimi napitkami wokół ustawionego pośrodku sali owalnego stołu, większego niż pozostałe.

Na widok Perrina i reszty przybyłych jeden z mężczyzn zerwał się na równe nogi, wykrzyczał głośne przekleństwo, a twarz pod warstwą brudu wyraźnie mu pobladła. Pulchna kobieta o rzadkich, tłustych włosach podniosła do ust cynowy puchar i próbowała wypić pozostałe w nim wino tak szybko, że aż jej pociekło po brodzie. Być może przerażały ich wszystkich jego oczy.

– Co się zdarzyło w tym mieście? – spytała twardo Annoura, zrzuciwszy płaszcz, jakby w palenisku płonął ogień. Zupełnie opanowane spojrzenie, jakim przesunęła po uczestnikach biesiady, zmroziło całą jedenastkę. Nagle Aybara uświadomił sobie, że ani Masuri, ani Seonid nie weszły za nim do środka. Bardzo wątpił, czy czekają na ulicy z końmi. Nie potrafił zgadnąć, co w tej chwili robiły one same albo ich Strażnicy.

Mężczyzna, który wcześniej zerwał się z miejsca, szarpał teraz nerwowo w palcach kołnierza kaftana. Kaftan uszyto kiedyś z pięknej niebieskiej wełny i przyozdobiono rzędem pozłaczanych guzików aż do szyi, sądząc jednak po plamach, jego właściciel miał najwyraźniej zwyczaj ochlapywania stroju podczas jedzenia. On także wychudł ostatnio, o czym świadczyły wymowne, zwisające na jego ciele fałdy skóry.

– Co... co się zdarzyło, Aes Sedai? – zająknął się.

– Cicho bądź, Mycalu! – przerwała mu szybko jakaś wymizerowana kobieta. Wysoki kołnierz jej ciemnej sukni i rękawy były bogato haftowane, z powodu brudu ubioru kolory wydawały się wszakże niewyraźne. Zapadnięte oczy kobiety wyglądały jak czarne doły. – Dlaczego sądzisz, Aes Sedai, że coś się zdarzyło? – spytała.

Annoura zamierzała jej odpowiedzieć, jednak gdy otworzyła usta, wtrąciła się Berelain.

– Szukamy sprzedawców ziarna – oświadczyła.

Mina Annoury ani trochę się nie zmieniła, choć kobieta zamknęła usta z wyraźnie słyszalnym mlaśnięciem.

Przez minutę ludzie siedzący wokół stołu wymieniali długie milczące spojrzenia. Potem wymizerowana dobrą chwilę studiowała Annourę, w końcu przeniosła wzrok na Berelain, oceniając

jej jedwabie i lży ognia. A także diadem. Wreszcie wstała, chwyciła spódnice i dygnęła.

– Jesteśmy przedstawicielami cechu kupców So Habor, moja pani. Tego, co z niego pozostało... – dodała, po czym chyba ugryzła się w język, następnie zaś wzięła głęboki, drżący wdech. – Jestem Rahema Arnon, moja pani. W jaki sposób możemy ci służyć?

Kupcy wyraźnie się odprężali, słysząc, że ich goście przybyli jedynie po ziarno i inne produkty, które mogli im dostarczyć: takie jak oliwa do lamp i gotowania, fasola, igły, podkowy dla koni, materiał, świece i tuzin innych, potrzebnych w obozie rzeczy. W każdym razie ich przerażenie nieco osłabło. Niewielu typowych kupców słuchających listy produktów, które wymieniała Berelain, nie skrywałoby chciwego uśmiechu, jednakże ta grupka...

Pani Arnon głośno poleciła właścicielce gospody przyniesienie wina („najlepsze wino, szybko, jak najszybciej”), lecz kiedy jakaś kobieta o długim nosie z wahaniem wsunęła głowę do głównej sali gospody, Arnon musiała do niej podbiec, złapać jej brudny rękaw i wciągnąć ją do pomieszczenia, gdyż właścicielka wyraźnie zamierzała natychmiast się wycofać. Mężczyzna w poplamionym jedzeniem kaftanie wołał kogoś imieniem Sperial, każąc mu przynieść puchary, a kiedy nikt nie odpowiedział na jego trzykrotne wołanie, nerwowo się zaśmiał i sam się rzucił do tylnej sali. Wyłonił się moment później, niosąc w dłoniach trzy duże, cylindryczne, drewniane naczynia, które postawił na stole, nie przestając wydawać nerwowych chichotów. Pozostali również się uśmiechali, kłaniali i dygali Berelain, robiąc jej miejsce z przodu owalnego stołu. Mężczyźni i kobiety o tłustych twarzach bezwiednie i bezmyślnie drapali się w różnych miejscach, najwyraźniej nie panując nad tym odruchem. Perrin wcisnął rękawice za pas, stanął przy malowanej ścianie i obserwował.

Zgodzili się pozostawić handlowe negocjacje Berelain. Pierwsza z Mayene przyznawała niechętnie, że Aybara wie więcej o koniach niż ona, jednakże to ona wszak niegdyś negocjowała traktaty w sprawie sprzedaży rocznego połowu olejowych ryb. Annoura uśmiechnęła się nieznacznie na sugestię, że pyszałkowaty wiejski chłopak potrafi dawać dobre rady. Nigdy go wprawdzie nie nazwała takim określeniem – słowa „mój panie” przychodziły jej równie łatwo jak Masuri i Seonid – tym niemniej jasne było, że uważa go za tępego i do wielu rzeczy niezdolnego. Po chwili jej uśmiech zbladł i Annoura stanęła za Berelain, z uwagą studiując kupców, jakby pragnęła na zawsze zapamiętać ich twarze.

Właścicielka gospody przyniosła wino w cynowych pucharach, które ostatnio widziały szmatkę do polerowania dobre kilka tygodni, jeśli nie miesięcy, temu, więc Perrin tylko zajrzał do środka i zawirował naczyniem, mieszając trunek. Właścicielka gospody nazywała się Vadere, miała brud pod paznokciami i w zmarszczkach kłykci, gdzie wydawał się stanowić nieusuwalną część jej skóry. Aybara zauważył, że Gallenne, który – z jedną dłonią na rękojeści miecza – stał oparty plecami o przeciwległą ścianę, także jedynie trzymał puchar w drugiej dłoni. Berelain również nie tknęła swojego wina. Kireyin przez moment nieufnie obwąchiwał napitek, po czym wziął wielki łyk i zamówił u pani Vadere cały dzban.

– Cienkusz z tego twojego najlepszego – oświadczył kobiecie przez nos, ponownie oceniając wprawnym okiem wygląd wina – ale może zmyje otaczający nas smród.

Właścicielka zagapiła się na niego ponuro, potem poszła po wysoki, cynowy dzban, który bez słowa przyniosła i postawiła na stole. Kireyin widocznie uznał jej milczenie za oznakę szacunku.

Pan Crossin, mężczyzna w kaftanie poplamionym jedzeniem, odśrubował tymczasem pokrywki drewnianych pojemników i wysypał próbki łuskanego ziarna, które kupcy mieli do zaoferowania. Utworzył na stole trzy stosiki: żółtego prosa, brązowego owsa i nieco bardziej brunatnego jęczmienia. Ziarno było suche, najwyraźniej przed żniwami nie padało.

– Jak widzicie, jest najprzedniejszej jakości – oznajmił.

– Tak, naprawdę najprzedniejszej. – Usta pani Arnon wykrzywiły się w uśmiechu, nad którym szybko zapanowała. – Sprzedajemy tylko najlepsze ziarno.

Jak na ludzi reklamujących swój „najprzedniejszy” produkt, nieszczególnie zawzięcie się targowali. Gdy kiedyś, jeszcze w rodzinnej miejscowości Perrin przyglądał się mężczyznom i kobietom sprzedającym kupcom z Baerlon bele wełny i tytoń, zauważył, że handlarze zawsze podważali oferty kupujących, czasami wręcz się skarżąc, że tamci próbują ich puścić z torbami, chociaż zaczynali od kwoty dwukrotnie wyższej niż przed rokiem; sugerowali nawet, że wolą poczekać ze sprzedażą do przyszłego roku, niż oddać produkty poniżej kosztów. Aybara pamiętał, że transakcje te wydawały mu się wówczas niezrozumiałe i skomplikowane niczym tańce w dni świąteczne.

– Przypuszczam, że przy tak dużej ilości moglibyśmy obniżyć cenę jeszcze bardziej – powiedział Berelain łysiejący osobnik, drapiąc się po porośniętej siwym zarostem brodzie. Jego bródka była tak krótka i tak tłusta, że całkowicie przylegała mu do podbródka.

Patrząc na tego mężczyznę, Perrin sam miał ochotę podrapać się po brodzie.

– Ubiegła zima była ciężka – mruknęła kobieta o okrągłej twarzy.

Tylko dwoje innych kupców podniosło wzrok i popatrzyło na nią z marsową miną.

Aybara odstawił puchar z winem na pobliską ławę i podszedł do osób zgromadzonych przy głównym stole. Annoura posłała mu jedno szybkie, ostrzegawcze spojrzenie, natomiast kilku kupców popatrzyło na niego z zaciekawieniem, chociaż ostrożnie. Gallenne wprawdzie przedstawił swoich towarzyszy, lecz kupcy najprawdopodobniej nie mieli pewności, gdzie dokładnie leży Mayene i jak potężnym jest krajem, a Dwie Rzeki oznaczały dla nich zapewne jedynie dobry tytoń. Tytoń z Dwu Rzek był bowiem znany wszędzie. Gdyby nie obecność Aes Sedai, Perrin samym spojrzeniem mógłby ich wszystkich skłonić do ucieczki. Wszyscy umilkli, gdy zaczerpnął garść prosa i zagapił się na wypełniające mu dłoń małe gładkie i intensywnie żółte kuleczki. To ziarno było pierwszą czystą rzeczą, jaką widział w So Habor. Zacisnął rękę w pięść, po czym otworzył ją nad stołem, wysypując ziarno, po czym podniósł wieko jednego z pojemników. Gwint w drewnie był ostry i niewytarty. Wieko pasowało idealnie. Pani Arnon uciekła spojrzeniem przed jego wzrokiem i oblizła usta.

– Chcę zobaczyć ziarno w magazynach – oświadczył Perrin.

Połowa osób przy stole wyraźnie się skrzywiła.

Pani Arnon hałaśliwie przysunęła krzesło do stołu.

– Nie sprzedajemy tego, czego nie mamy. Możecie się przyglądać, jak nasi robotnicy będą ładować kolejne worki na wasze wozy. O ile chcecie spędzić na zimnie całe godziny.

– Właśnie miałam zaproponować wizytę w magazynie – przerwała jej Berelain. Wstała, wyjęła zza paska czerwone rękawiczki i zaczęła je nakładać. – Nigdy nie kupiłabym ziarna, nie obejrzawszy uprzednio spichlerza.

Pani Arnon pobladła, jakby miała za chwilę zemdleć. Łysy mężczyzna położył głowę na stole. Nikt jednak nic nie powiedział.

Zniechęceni kupcy nawet nie wzięli płaszczy, jedynie bez słowa wyprowadzili gości na ulicę. Wiatr nabrał siły i był zimny, tnąc do żywego, jak potrafi tylko późnozimowy wichur – wtedy gdy ludzie już myślą o wiośnie. Kupcy zupełnie nie zwracali uwagi na chłód, a ich zgarbione ramiona nie miały nic wspólnego z pogodą.

– Możemy już iść, Lordzie Perrin? – spytał Flann z niepokojem, kiedy Aybara i pozostali do niego podeszli. – Stojąc tutaj, nie mogę przestać myśleć o wypełnionej wodą wannie.

Annoura spojrzała na niego w przelocie, gniewnie marszcząc czoło, a Flann wzdrygnął się pod wpływem tego spojrzenia niczym któryś z przedstawicieli tutejszych kupców. Starał się popatrzeć na

nią z dobrotliwym uśmiechem, jednakże jego wysiłki poszły na marne, gdyż siostra zdążyła się już do niego odwrócić plecami.

– Natychmiast, gdy załatwię tę sprawę – odparł Perrin.

Kupcy już pędzili ulicą – z pochylonymi głowami i na nikogo się nie oglądając. Berelain i Annoura podążały za nimi bez pośpiechu. Obie sunęły posuwistymi krokami, jedna równie opanowana jak druga i wyglądały razem jak dwie piękne panie, które wyszły na przechadzkę. Nie przeszkadzało im ani błoto pod stopami, ani smród w powietrzu, ani brudni ludzie, wzdrygający się na ich widok, a czasem umykający przed nimi, ile sił w nogach. Gallenne założył w końcu hełm i otwarcie trzymał obie dłonie na rękojeści miecza, gotów go w każdej chwili użyć. Kireyin niósł swój hełm przy biodrze, drugą ręką zaś obejmował puchar z winem. Pogardliwie przypatrywał się brudnym twarzom mijających go pospiesznie mieszkańców i co chwilę usiłował zabić odór So Habor, podnosząc puchar i wdychając zapach wina niczym zapachowe kulki.

Magazyny postawiono między dwoma kręgami miejskich murów, na wyłożonej kamieniem ulicy zaledwie szerszej niż wóz. Ze względu na bliskość rzeki pachniało tu lepiej, jednak smagana wiatrem ulica była pusta, wyjąwszy Perrina i jego towarzyszy. Nigdzie nie kręciły się nawet bezpańskie psy. Zwierzęta zapewne wybito, gdy w mieście zapanował głód, tyle że... Dlaczego w So Habor panował głód, skoro mieli tu dość ziarna, aby je sprzedawać? Aybara wskazał na dwupiętrowy spichlerz, który wybrał na chybił trafił i który w żaden sposób nie różnił się od pozostałych. Był to pozbawiony okien budynek z parą wielkich drewnianych drzwi zamkniętych drewnianą sztabą, przypominającą jedną z belek sufitowych w Złotej Barce.

Kupcy przypomnieli sobie nagle, że zapomnieli przyprowadzić z sobą osiłeków, którzy zdejmą sztaby i zaoferowali, że wrócą po nich. Zanim robotnicy się zjawią, Lady Berelain i Annoura Sedai mogłyby odpocząć przy ogniu w Złotej Barce. Byli pewni, że pani Vadere napali dla nich w kominku. Mówili i mówili, tymczasem Perrin położył rękę pod grubą sztabę i podważył ją z drewnianych podpórek. Belka była ciężka, tym niemniej zdołał wycofać się wraz z nią, a następnie się obrócił i rzucił ją na ulicę. Upadła z łoskotem, a kupcy bezmyślnie się na nią zagapili. Być może po raz pierwszy widzieli mężczyznę w jedwabnym kaftanie podczas czynności, którą można uznać za pracę. Kireyin potoczył oczyma i wypił kolejny łyk wina.

– Latarnie – szepnęła słabo pani Arnon. – Będziemy potrzebowali latarni albo pochodni. Chyba że...

Nad wzniesioną ręką Annoury pojawiła się świetlista kula, która wystarczająco rozjaśniła szary poranek, na chodniku i kamiennych ścianach zaś pojawiły się cienie rzucane przez wszystkie osoby. Niektórzy spośród kupców podnieśli ręce, zamierzając chronić oczy przed blaskiem. Po chwili pan Crossin szarpnął jedne drzwi za żelazne kółko i je otworzył.

Z wnętrza uniósł się znajomy ostry aromat jęczmienia, niemal tak silny, że przytłaczał zarówno smród miasta, jak i wszystkie inne zapachy. W cień uciekły małe, ledwie widoczne kształty, umykając przed światłem Aes Sedai. Aybara lepiej widziałby bez niego, wolałby się po prostu zagłębić w ciemność. Rozjarzona kula rzucała duży krąg światła, za którym mrok wydawał się tylko intensywniejszy. Perrin wyczuł zapach kota, raczej zdiczatego niż udomowionego. Wyczuł także szczury. Nagły pisk w czarnych głębinach magazynu, sekundę później urwany, sugerował, że szczur natknął się na kota. W spichlerzach i stodołach z ziarnem zawsze grasowały szczury, zawsze też zjawiały się polujące na nie koty. Było to i normalne, i pocieszające. Prawie wystarczyło dla złagodzenia jego niepokoju. Prawie! Mężczyzna wyczuł bowiem coś jeszcze – jakąś woń, którą powinien znać. Po chwili dzikie wycie gdzieś w głębi magazynu zmieniło się w coraz głośniejsze krzyki bólu, które nagle umilkły. Widocznie szczury So Habor również potrafiły się odgryźć. Aybarze

znów uniosły się włoski na karku, chociaż prawdopodobnie jego grupie nie groziło tu żadne niebezpieczeństwo. Czarny nie miał powodów do szpiegowania akurat w tym miejscu, toteż większość szcurów była na pewno zwyczajnymi gryzoniami.

Nie istniał powód, ażeby wchodzić głębiej. Ciemność wypełniały jutowe worki ułożone w wysokich, pochyłych stosach na niskich, drewnianych podwyższeniach, dzięki czemu nie dotykały kamiennej podłogi. Kolejne rzędy stosów sięgały niemal sufitu, prawdopodobnie tak samo było piętro wyżej. Ziarno zajmujące ten magazyn wyżywiłoby zatem sporo osób przez dobre kilka tygodni. Perrin podszedł do najbliższego stosu, wyjął nóż zza pasa, przyłożył ostry czubek do jasnobrązowego worka i przebił się przez twardą jutę. Z worka wysypał się strumień jęczmienia. W łunie olśniewającego światła Annoury pojawiły się też ruchliwe, czarne plamki. Wołków zbożowych było niemal tak samo dużo jak ziaren. Teraz zapach robaków był ostrzejszy niż aromat jęczmienia. Wołki zbożowe! Aybara pożałował, że włoski na jego karku przestały się podnosić. Zimno powinno wystarczyć do zabicia robactwa.

Ten jeden worek stanowił dostateczny dowód, a nos Perrina znał woń wołków, tym niemniej mężczyzna podszedł do kolejnego stosu i rozciął następny worek, a potem jeszcze kilka. Z każdego sypała się dwubarwna kaskada jasnobrązowego jęczmienia i czarnych robaków.

Kupcy stali stłoczeni w wejściu, zasłaniając ciałami światło dzienne, jednak kula Annoury dokładnie ukazywała rysy ich twarzy. Na tych obliczach widniał niepokój. Mężczyźni i kobiety byli zaniepokojeni i zatroskani.

– Bylibyśmy najszcześliwsi, gdybyśmy mogli przesiewać każdy sprzedawany worek – oświadczyła niepewnie pani Arnon. – Za lekki dodatek...

– Za pół ostatniej ceny, którą zaoferowałam – wtrąciła ostro Berelain. Marszcząc nos ze wstrętem, przegoniła wołki spomiędzy ziarna na podłodze. – Nigdy ich wszystkich nie wyłapiecie.

– A prosa w ogóle nie bierzemy – dodał ponuro Perrin. Jego ludzie naprawdę potrzebowali jedzenia, podobnie żołnierze, jednakże ziarna prosa były niewiele większe od wołków zbożowych. Przesiewanie ich nie miało zatem najmniejszego sensu. – Weźmiemy zamiast niego więcej fasoli. Którą także przesiejecie.

Nagle na ulicy ktoś wrzasnął. Na pewno nie kot czy szcur, lecz przerażony człowiek. Aybara nie zdawał sobie sprawy, że wyciągnął topór, aż odkrył w dłoni jego rękojeść. Z bronią w rękę przepchał się między przesłaniającymi wejście kupcami, którzy stłoczyli się tam, nerwowo oblizując usta. Nawet nie próbowali sprawdzić, kto wrzasnął.

Kireyin opierał się o ścianę magazynu po drugiej stronie ulicy. Jego lśniący hełm z białym pióropuszem leżał na chodniku obok pucharu. Miecz mężczyzny znieruchomiał w połowie wysuwania z pochwy, sam Kireyin natomiast wyglądał na zmrożonego i bezmyślnie się wpatrywał szeroko otwartymi oczyma w ścianę budynku, z którego Perrin właśnie wyszedł. Aybara dotknął ręki Ghealdanina, a ten aż podskoczył.

– To był człowiek – powiedział, choć niezdecydowanym tonem. – Był dokładnie tam. Przyjrzał mi się i... – Mężczyzna przetarł ręką twarz. Mimo zimnego poranka na jego czole błyszczał pot. – Przeszedł przez ścianę. Naprawdę! Musisz mi uwierzyć.

Ktoś jęknął, a Perrin pomyślał, że chyba jeden z kupców.

– Ja również widziałam tego człowieka – powiedziała stojąca za Aybarą Seonid i teraz Perrin się wzdrygnął.

Jego nos okazywał się w mieście kompletnie bezużyteczny!

Aes Sedai po raz ostatni rzuciła okiem na ścianę, którą wskazał Kireyin, po czym odeszła z jawną niechęcią. Jej Strażnicy byli wysokimi mężczyznami, górującymi nad nią, stali blisko siebie –

na tyle jednak daleko, ażeby każdy z nich bez problemów mógł wyciągnąć z pochwy miecz.

Tyle że... Jeżeli Seonid mówiła poważnie, Perrin nie potrafił sobie wyobrazić istoty, z którą mieliby walczyć ci Strażnicy o surowych spojrzeniach.

– Tak niestety wygląda prawda, Lordzie Perrin – oświadczyła Seonid szorstko, gdy Aybara wyraził wątpliwość. Jej ton szybko stał się równie poważny jak jej twarz, a oczy tak intensywnie wwiercały się w Perrina, że ten aż zaczął się czuć nieswojo. – Umarli chodzą po So Habor. Lord Cowlin uciekł z miasta, przerażony przez ducha swojej żony. Podobno przyczyny jej śmierci pozostają do dziś niejasne. Niewielu jest w So Habor mężczyzn czy kobiet, którzy nie widzieli przynajmniej jednego umarłego, a sporo z nich spotkało więcej niż jednego. Niektórzy twierdzą, że po dotknięciu przez umarłego również się umiera. Nie potrafię tego zweryfikować, ale przecież można umrzeć ze strachu, więc zapewne niektórzy doświadczyli ataku serca. Nikt w tym mieście nie wychodzi z domu po zmroku ani nie wkracza niezapowiedziany do żadnego pomieszczenia. W byle cień czy dziwny kształt ludzie rzucają pierwszym przedmiotem, który znajdą pod ręką i czasami po takim wybuchu paniki odkrywają u swoich stóp zabitego męża, żonę czy sąsiada. Nie mamy tu, lordzie, do czynienia ani ze zbiorową histerią, ani z opowieściami, którymi straszy się dzieci. Nigdy nie słyszałam o podobnym przypadku, lecz ten tutaj to rzeczywistość! Musisz zostawić w mieście jedną z nas, może coś poradzimy.

Aybara powoli potrząsnął głową. Jeśli chciał uwolnić Faile, nie mógł sobie pozwolić na utratę nawet jednej Aes Sedai. Widząc jego reakcję, pani Arnon zaczęła płakać, choć nie zdążył się jeszcze odezwać.

– So Habor będzie musiało samo stawić czoło swoim zmarłym – powiedział.

Jednak lęk przed umarłymi nie wszystko wyjaśniał. Czyżby tutejszych ludzi tak bardzo przerażali chodzący ulicami umarli, że wszyscy zapominali o praniu? Wydawało się też nieprawdopodobne, że strach w identyczny sposób zawładnął wszystkimi mieszkańcami. W każdym razie przedstawiciele So Habor wyraźnie do niczego nie przywiązywali już wagi. A jak wytłumaczyć istnienie wołków zbożowych, żyjących tu mimo zimy, mimo lodowatego, zimowego chłodu? Oprócz chodzących ulicami duchów w tym mieście działało się coś jeszcze. I to znacznie gorszego! Instynkt i intuicja kazały Perrinowi zarządzić natychmiastowy odwrót. Powinni stąd uciekać – galopem i nie oglądając się za siebie. Bardzo żałował, że nie może wydać takiego rozkazu.

Rozdział 13

To, co trzeba zrobić

Na miejsce przesiewu wyznaczono zaśniewony wschodni brzeg rzeki, gdzie nie było żadnej osłony przed ostrym, północnym wiatrem. Mężczyźni i kobiety ładowali worki z ziarnem na wozy zaprzężone w cztery konie lub ciągnięte przez jednego konia furmanki, które przewoziły ziarno przez mosty; niektórzy pchali też worki na taczkach. Zazwyczaj to kupujący dostarczał własne wozy pod magazyny, w najgorszym razie ziarno i suszoną fasolę trzeba było zanieść jedynie na nabrzeże, Perrin wszakże nie zamierzał wysłać swoich woźniców ani nikogo innego do So Habor. Zło, które opętało to miasto, mogło być zaraźliwe. W każdym razie woźnice i tak wyglądali na straszliwie zaniepokojonych i z marsowymi minami przyglądali się brudnym mieszkańcom, którzy w ogóle się nie odzywali, za to chichotali nerwowo, ilekroć napotkali czyjeś przypadkowe spojrzenie. Nie bardziej normalnie zachowywali się doglądający pracy kupcy o upakowanych brudem twarzach. W rodzimym Cairhien woźniców kupcy byli czystymi, przyzwoitymi ludźmi (przynajmniej pozornie), którzy bardzo rzadko się wzdragali tylko dlatego, że kątem oka dostrzegli czyjś ruch. Woźniców wystarczająco denerwował widok kupców, zerkających podejrzliwie na każdego, kogo nie znali, i mieszkańców miasta, którzy ociągali się, przekraczając mosty w drodze powrotnej, gdyż z jawną niechęcią wracali do własnego miasta. Furmani zbierali się więc w małych grupkach – błądzi mężczyźni i kobiety w ciemnych strojach nie spuszczały rąk z rękojeści noży przy paskach i przyglądali się wyższym od nich tubylcom niczym morderczym szaleńcom.

Perrin objeżdżał powoli teren, przypatrując się procesowi przesiewu, badając rząd oczekujących na załadunek wozów i furmanek, który ciągnął się w górę wzgórza i tam zniknął mu z oczu. Obserwował też toczące się po mostach miejskie wozy, furmanki i taczki. Starał się być dobrze widoczny dla wszystkich i chociaż nie wiedział, dlaczego jego udawany spokój miałby łagodzić zdenerwowanie innych, rzeczywiście działał na nich uspokajająco. To między innymi dzięki jego obecności nikt przynajmniej nie uciekał, mimo iż woźnice popatrywali z ukosa na mieszkańców So Habor. I trzymali się od nich z dala. Być może w głowie niejednego Cairhienianina zaświtała myśl, że któraś z tutejszych osób jest martwa; najchętniej smagnęliby konie i od razu stąd uciekli, jednak tego nie robili. Spośród pozostałych większość oczywiście wolałaby nie pozostawać tu po zapadnięciu ciemności. Tego rodzaju przerażające opowieści nocą osobliwie się rozrastały. Mizerne słońce, niemal całkowicie ukryte za szarymi chmurami, miało wprawdzie do południowego szczytu jeszcze połowę drogi, tym niemniej coraz bardziej oczywisty stawał się fakt, że trzeba będzie spędzić na tym nabrzeżu noc. Może nawet więcej niż jedną. Perrin starał się ze złości nie zgrzytać zębami, aż od wysiłku rozbolała go szczeka i nawet Neald zaczął unikać jego nachmurzonych spojrzeń. Aybara na szczęście na nikogo nie warczał. Choć miał ochotę.

Przesiewanie okazało się procesem niezwykle zmudnym i czasochłonnym. Każdy worek trzeba było otworzyć, a jego zawartość opróżnić do wielkich płaskich koszy wiklinowych, po czym dwaj ludzie zaczynali podrzucać ziarno lub fasolę. Zimny wiatr przeganiał wołki zbożowe w prysznicu czarnych plamek, mężczyźni i kobiety zaś zwiększali siłę podmuchów, machając tkanymi, oburęcznymi wachlarzami. Strumień robaków zwiewało do rzeki, wkrótce jednak śnieg na jej brzegu został zdeptany, a szara breja pokryła martwe lub umierające z zimna owady wraz z warstwami owsa i jęczmienia wymieszanego z czerwoną fasolą. Zdeptaną warstwę stale pokrywała nowa. Ziarna, które pozostały w koszach, wydawały się jednak czystsze, jeśli nie zupełnie czyste, co można było zauważyć, gdy przesytywano je z powrotem w worki z grubej juty, uprzednio wywrócone na

drugą stroną i zawzięcie przetrzepane różgami przez dzieci starające się wytrząsnąć resztki robactwa. Napełnione na nowo i związane worki trafiały na wozy Cairhienian, stos pustych worków rósł wszakże w zawrotnym tempie.

Perrin opierał się na łęku siodła Stayera, próbując obliczyć, czy na jeden z jego wozów trafia ziarno choćby z dwóch pełnych wozów przybywających z magazynów, kiedy Berelain podjechała do niego na białej klaczy. Jedną ręką w czerwonej rękawiczce kobieta przytrzymywała sobie poły szkarłatnego płaszcza, chroniąc się przed wiatrem. Annoura zatrzymała swoją ciemną klacz kilka kroków dalej. Wiecznie młoda i gładka twarz Aes Sedai jak zwykle nie sugerowała żadnych emocji. Dzięki jej obecności Aybara i Pierwsza otrzymali więcej prywatności, jednakże Annoura znajdowała się na tyle blisko nich, że i bez użycia Mocy mogła dosłyszeć nawet głośniejszy szept. Mimo gładkich, obojętnych rysów wyglądała drapieżnie z powodu haczykowatego nosa, a głowa okolona zdobnymi w paciorki warkoczami przywodziła na myśl łeb jakiegoś dziwnego orła.

– Nie możesz uratować wszystkich – oświadczyła spokojnie Berelain. Z dala od smrodu miasta jej zapach był mocny i ostry. Perrin wyczuł w nim pośpiech, niepokój i gniew. – Czasami trzeba wybierać. Za So Habor odpowiedzialny jest Lord Cowlin, nie ty. Ich pan nie miał prawa opuścić własnych ludzi.

Czyli że Pierwsza z Mayene nie gniewała się na niego.

Aybara zmarszczył brwi. Czy Berelain sądziła, że on czuje się winny? W porównaniu z troską o życie Faile problemy So Habor nie miały dla niego szczególnego znaczenia. Tym niemniej Perrin zwrócił swego gniadosza i zapatrzył się za rzekę, na szare miejskie mury, zamiast na układające opróżnione worki dzieci o zapadniętych, pustych oczach. Człowiek robi tyle, ile może. I robi to, co musi.

– Annoura ma jakąś opinię na temat tutejszych zdarzeń? – spytał cicho opryskliwym tonem, lecz jakoś nie miał wątpliwości, że Aes Sedai go słyszy.

– Niewielkie mam pojęcie co do poglądów Annoury – odparła Berelain, nawet nie starając się obniżyć głosu. Nie dbała, czy ktoś ją podsłucha, wręcz pragnęła, by jej słowa usłyszano. – Nie jest obecnie tak rozmowna jak kiedyś. Nic nie możemy zrobić, gdyż to ona musi podjąć decyzję.

Nawet nie spojrzawszy na Aes Sedai, obróciła klacz i odjechała.

Annoura pozostała w miejscu i bez zmruczenia oka przypatrywała się twarzy Perrina.

– Tak, jesteś *ta'veren* – oświadczyła – ale nadal pozostajesz jedynie wątkiem we Wzorze, tak jak i ja. Sam Smok Odrodzony jest wszak tylko jednym z wątków, z których składa się Wzór. Nawet taki wątek jak *ta'veren* nie decyduje, w jaki sposób zostanie wpleciony we Wzór.

– Te wątki to ludzie – odrzekł jej Perrin znużonym głosem. – Może czasami ludzie nie chcą zostać wpleceni we Wzór, nawet jeśli tego nie mówią.

– I uważasz, że ich chęci czy niechęci coś zmieniają?

Nie poczekała na jego odpowiedź. Uniosła cugle, uderzyła obcasami swoją ciemnokasztanową klacz o smukłych pęcinach i galopem ruszyła za Berelain. Jej płaszcz powiewał za nią.

Nie była jedyną Aes Sedai, która pragnęła zamienić słowo z Perrinem.

– Nie – odpowiedział stanowczo, gdy wysłuchał Seonid. Poklepał kark Stayera, lecz to raczej on sam potrzebował uspokojenia. Miał ochotę znaleźć się jak najdalej od So Habor. – Powiedziałem „nie” i to jest moja ostateczna odpowiedź.

Błada, niewysoka kobieta wyprostowała się sztywno w siodle. Wyglądała teraz jak wyrzeźbiona z lodu figurka. Tylko jej ciemne oczy przypominały płonące węgle, a w jej zapachu tliła się nutka obrażonej furii, nad którą ledwie panowała. Seonid była łagodna niczym mleko z wodą – jak Mądre, choć nie była Mądrą. Ciemne oblicze stojącego za Aes Sedai Alharry wydawało się

kamienne, a siwe smugi wśród falujących, czarnych włosów przypominały mróz. Policzki Wyntera ponad zakręconymi wąsami mężczyzny były czerwone. Strażnicy musieli akceptować wszystko, co zaszło między ich Aes Sedai i Mądrymi, Perrin jednak nie musiał... Wiatr smagał płaszcami Strażników, którzy ręce mieli wolne na wypadek, gdyby musieli użyć mieczy. Kolor marszczących się na wietrze płaszczy zmieniał się z szarego w brązowy, z niebieskiego w biały. W porównaniu z innymi widokami ten nie był najgorszy dla żołądka. Było wiele innych, gorszych.

– Jeśli będę musiał, wyślę po ciebie Edarrę – ostrzegł.

Twarz Seonid pozostała zimna, a oczy gorące, przez ciało kobiety wszakże przebiegło drżenie, aż zakołysał się mały biały klejnot, który miała zawieszony na czole. Na pewno się nie bała tego, co mogą jej uczynić Mądre, jeśli będzie musiała wrócić; raczej zadrżała z samej odczuwanej do Perrina urazy, od której zaczęła wydzielać zdecydowanie ostrzejszy zapach. Aybara powoli się przyzwyczajał do obrażania Aes Sedai. Wiedział, że nie postępuje w ten sposób mądrze, uważał jednak, że nie ma innego wyjścia.

– A ty? – spytał Masuri. – Również pragniesz pozostać w So Habor?

Ta szczupła kobieta była znana z tego, że zawsze odpowiadała wprost, a w rozmowie szybko przechodziła do rzeczy. Choć była Brązową, wydawała się raczej równie bezpośrednia jak Zielone. Tym razem wszakże odparła spokojnie:

– Po mnie także wysłałbyś Edarrę? Można służyć na wiele sposobów i nie zawsze możemy wybrać ten, który najbardziej nam się podoba.

Może jej słowa były znaczące i wiele wyjaśniały, jednak Perrin nie do końca je zrozumiał. I wciąż nie miał pojęcia, w jakim celu Masuri potajemnie odwiedziła Masemę. Czy choćby podejrzewała, że on wie o tej wizycie? Jej twarz pozostawała maską uprzejmości. Kirklin z kolei miał znudzoną minę, odkąd znaleźli się za murami So Habor. Choć siedział sztywno wyprostowany na koniu, jego ciało zdawało się osobliwie zwisać, a on sam wyglądał na roztargnionego – jakby nie martwił się o nic na świecie i nie miał w głowie ani jednej myśli. Tyle że człowiek, który oceniłby Kirklina po pozorach, zdziwiłby się bardzo szybko i nieprzyjemnie.

Podczas gdy słońce wznosiło się coraz wyżej, mieszkańcy miasta pracowali mechanicznie, jakby chcieli się kompletnie zatracić w wykonywanym zadaniu i jakby się bali, że jeśli je przerwą, powrócą dręczące ich wspomnienia. Perrin nie miał ochoty w ogóle myśleć o So Habor, tym niemniej uważał, że dobrze postąpił. Powietrze za murami nadal wydawało się osobliwie przyćmione, mimo iż nad miastem nie wisały żadne duże chmury.

W południe woźnice oczyścili ze śniegu kilka zagonów ziemi na zboczu wznoszącym się od rzeki i rozpalili tam niewielkie ogniska. Zaparzyli słabą herbatę z już dwukrotnie albo i trzykrotnie wykorzystanych liści. W So Habor nie było herbaty. Niektórzy spośród furmanów patrzyli na mosty głodnym wzrokiem osób, które planują wkroczenie do miasta i poszukanie czegoś do zjedzenia. Po chwili wszakże zerkali na oblepionych brudem mieszkańców metodycznie przesiewających kosze, a wtedy porzucali ten pomysł i wracali do dotychczasowych posiłków – owsianki z mielonymi żołądziami. Przynajmniej wiedzieli, że ta potrawa jest całkowicie czysta. Nieliczni przypatrywali się workom już załadowanym na wozy, jednak fasola wymagała wielogodzinnego moczenia, ziarno zaś trzeba by zemleć w dużych, ręcznych młynkach, które zostały w obozie. Wcześniej zresztą kucharze będą musieli wybrać większość wołków zbożowych pozostałych mimo przesiewu, w przeciwnym razie nie wytrzymają żołądki jedzących.

Perrin nie miał apetytu nawet na najczystszy chleb, popijał wszakże słabiutką herbatę z pociętego cynowego pucharu. Wtedy odnalazł go Latian. Ten niski Cairhienianin w ciemnym, pasiastym kaftanie z pozoru nie przybył do niego, lecz przejechał powoli obok małego ogniska, przy

którym stał Aybara i tutaj nagle ściągnął cugle, z marsową miną obserwując niewysokie wzniesienie. Nieoczekiwanie zeskoczył z siodła, po czym podniósł jedną z nóg swojego wałacha i marszcząc czoło, zagapił się na kopyto konia. Dwa razy oczywiście łytał w górę, sprawdzając, czy Perrin do niego podchodzi.

Aybara westchnął i oddał pogięty puchar kobiecie, od której go pożyczył. Kobieta była tęga, choć nieduża, siwiejąca i powoziła jednym z wozów. Przyjęła puchar, po czym uniosła skraj ciemnych spódnic i dygnęła, w końcu zaś uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, patrząc na Latiana. Prawdopodobnie wykonałaby to zadanie dziesięć razy lepiej od tamtego. Z kolei kucający przy ogniu z rękoma zaciśniętymi na innym cynowym pucharze Neald roześmiał się tak głośno i mocno, że aż musiał wytrzeć łzy z oczu. Może zaczynał popadać w obłęd? Na Światłość, ależ radosne myśli mieli w tym miejscu ludzie!

Latian prostował się tak długo, aż w końcu Perrin ruszył ku niemu.

– Widzę cię, mój panie – rzucił mężczyzna Aybarze, po czym znów się pochylił i ponownie złapał przednią nogę swego konia.

Perrin uważał zachowanie Latiana za głupie. Nie chwyta się końskiej nogi w ten sposób, chyba że się chce skłonić rumaka do wierzgnięcia. W gruncie rzeczy jednakże nie spodziewał się po tym osobniku mądrego postępowania. Denerwował go już sam fakt, że Latian bez szczególnych rezultatów usiłował udawać Aiela, więc zwyczajem przedstawicieli tego narodu wiązał długie do ramion włosy w kitę na karku; teraz zaś w dodatku zabawiał się w szpiega. Perrin poklepał szyję wałacha, starając się uspokoić podenerwowane szarpaniem jego nogi zwierzę, a następnie przybrał na twarz wyraz zainteresowania i obejrzał kopyto, na którym nie dostrzegł nawet śladu jakichkolwiek problemów. No, może z wyjątkiem nieznacznego draśnięcia, które trzeba będzie wygładzić w przeciągu kilku najbliższych dni. Na myśl o narzędziach kowalskich aż zaświerzbiałły go ręce. Odnosił wrażenie, że minęły lata, odkąd ostatnim razem zmieniał koniowi kopyto podczas pracy w kuźni.

– Pan Balwer przesyła informację, mój panie – oświadczył Latian cicho i ze spuszczoną głową. – Jego przyjaciel domokrażca jest niestety w podróży, spodziewają się go jednakże z powrotem nazajutrz albo pojutrze. Polecił, żebym cię, panie, spytał, czy możemy cię wtedy dogonić. – Zerkając pod końskim brzuchem na przesiewaczy za rzeką, dorzucił: – Chociaż trudno mi uwierzyć, że zdołasz do tego czasu wyjechać.

Perrin obrzucił niechętnym spojrzeniem przesiewających ziarno mieszkańców So Habor, potem rząd wozów czekających w kolejce na załadunek, w końcu kilka już obładowanych furmanek ze spuszczoymi, płóciennymi budami. Na jednej z nich znajdowała się także skóra do łątania butów, świece i inne zakupione od mieszkańców produkty. Nie nabyli wszakże oleju. Od tutejszych lamp olejowych bił zapach tak zjełczały jak od starego tłuszczu do smażenia.

Głowę Aybary uderzył nagle grad wątpliwości. Może Gaul i Panny Włóczni już wrócili z wiadomościami o Faile? Może nawet już ją widzieli? Oddałby wszystko za możliwość porozmawiania z człowiekiem, który spotkał jego żonę i potrafiłby go zapewnić, że Faile jest cała i zdrowa. Co się stanie, jeżeli Shaido nagle wyruszą?

– Powiedz Balwerowi, żeby nie czekał zbyt długo – mruknął. – Co do mnie, wyjeżdżam w ciągu godziny.

Dotrzymał słowa. Większość wozów i woźniców trzeba było zostawić, żeby następnego dnia sami wrócili do obozowiska. Miał ich pilnować Kireyin wraz ze swoimi żołnierzami w zielonych hełmach. Perrin wydał wszystkim zakaz przekraczania miejskich mostów. Ghealdanin o lodowatych oczach całkowicie się już chyba otrząsnął z wcześniejszego załamania, w każdym razie zapewnił Aybarę o własnej sprawności i gotowości. Istniała niestety możliwość, że wbrew rozkazom Perrina

Kireyin wróci do So Habor – ot, choćby dla udowodnienia sobie samemu, że jest nieustraszony. Aybara nie zamierzał tracić czasu na próby wyperswadowania mężczyźnie tego pomysłu. Przede wszystkim musiał poszukać Seonid. Właściwie się nie schowała, tym niemniej dowiedziawszy się o jego odjeździe, zupełnie otwarcie zostawiła konia swoim Strażnikom i umykała mu piechotą, kryjąc się za wozami. Na szczęście bladolica Aes Sedai nie potrafiła ukryć przed nim swojego zapachu, a może po prostu go przed nim nie ukrywała, gdyż nie widziała takiej potrzeby. Była zaskoczona, kiedy Perrin tak szybko ją wyśledził i oburzona, że poprowadził ją przed Stayerem do jej konia.

Mimo to w niecałą godzinę później bardzo się już oddalili od So Habor. Perrinowi towarzyszyli ubrani w czerwone zbroje żołnierze ze Skrzydlatej Gwardii, którzy otaczali kręgiem Berelain, ludzie z Dwu Rzek, jadący wokół ośmiu w pełni załadowanych wozów toczących się za trzema pozostałymi sztandarami oraz dumny z siebie Neald, błyskający stale wielkim uśmiechem i usiłujący sobie przygadać Aes Sedai... Cóż, Aybara nie wiedział, co robi, jeśli ten mężczyzna naprawdę zacznie popadać w szaleństwo. Gdy tylko So Habor schowało się za wzgórzem, Perrin poczuł, że rozluźnia ramiona. Nawet sobie nie uświadamiał, jak strasznie był wcześniej spięty. Teraz tylko niecierpliwość skręcała mu żołądek. Nie pomagała mu nawet wyraźna sympatia Berelain.

Przez bramę Nealda przedostali się z zaśnieżonego pola na okoloną drzewami małą polanę, z której rozpoczęli Podróżowanie. Pokonali jednym krokiem cztery ligi, lecz Perrin nie czekał na przejazd wszystkich wozów. Wydało mu się, że słyszy poirytowane prychnięcie Pierwszej z Mayene, mimo to jednak uderzył obcasami boki Stayera i pogonił szybkim kłusem z powrotem do obozu. Może zresztą prychnęła nie Berelain, ale któraś z Aes Sedai, co było dużo bardziej prawdopodobne.

Kiedy wjeżdżał między szałas i namioty ludzi z Dwu Rzek, otaczała go cisza. Słońce nadal wisiało na szarym niebie, lecz nigdzie nie gotowało się na ogniu jedzenie i jedynie nieliczne osoby zebrały się wokół ognisk, zaciskając szczelnie poły płaszczy i bacznie się wpatrując w płomienie. Garstka mężczyzn siedziała na prostych stołkach, które potrafił konstruować Ban Crawe, reszta zaś stała lub kuciała. Prawie nikt nie podnosił wzroku. W każdym razie nikt nie przybiegł po jego wierzchowca. Perrin uprzytomnił sobie, że nie ciszę wyczuwał w powietrzu, ale napięcie. Zapach, który kojarzył mu się z maksymalnie naciągniętym łukiem. Niemal słyszał jego skrzyknięcie.

Zsiadł przed namiotem w czerwone pasy, a wówczas od strony niskich siedzib Aielów nadszedł Dannil. Kroczył szybko. Podążały za nim Sulin i Edarra, jedna z Mądrych. Z łatwością dotrzymywały mu kroku, choć żadna nie wydawała się spieszyć. Opalona twarz Sulin przypominała maskę z ciemnej skóry. Oblicze Edarry, ledwie widoczne pod ciemnym szalem owijającym jej głowę, stanowiło istny obraz opanowania. Mimo licznych spódnic kobieta robiłaby tak niewiele hałasu jak siwowłosa Panna Włóczni, gdyby nie słabe brzęczenie jej bransoletek ze złota i kości słoniowej oraz naszyjników. Dannil żuł koniuszek gęstego węża, nieobecny ruchem wyciągał z wykonanej z surowej skóry pochwy swój miecz o cal, po czym mocno wsuwał go z powrotem. Zanim się odezwał, zaczerpnął głęboki wdech.

– Panny Włóczni przyprowadziły pięciu Shaido, Lordzie Perrin. Arganda zabrał ich do namiotów Ghealdan na przesłuchanie. Jest z nimi Masema.

Aybara zignorował wiadomość o pobycie Masemy wewnątrz obozowiska.

– Dlaczego pozwoliłaś Argandzie ich zabrać? – spytał Edarrę.

Dannil nie potrafiłby powstrzymać Pierwszego Kapitana, Mądre wszakże powinny dać mężczyźnie radę.

Edarra wyglądała na niewiele starszą od Perrina, chociaż jej chłodne, niebieskie oczy zdradzały, że widziała w życiu znacznie więcej niż on. Teraz założyła ręce na piersiach, powodując głośny grzechot bransoletek. Była chyba lekko zniecierpliwiona.

– Shaido świetnie umieją panować nad bólem, Perrinie Aybara. Skłonienie ich do mówienia zajmie dni, a ja nie widzę powodu, ażeby czekać.

Jeśli oczy Edarry były chłodne, oczy Sulin miały postać niebieskiego lodu.

– Moja siostra włóczy i ja mogłybyśmy same szybciej osiągnąć skutek... przynajmniej trochę szybciej, jednak Dannil Lewin przekazał nam, że nie zyczysz sobie z naszej strony... użycia przemocy. A Gerard Arganda jest człowiekiem niecierpliwym i nam nie ufa. – Gdyby nie była kobietą Aiel, można by odnieść wrażenie, że nie mówi, lecz wypluwa z ust słowa. – Zresztą i tak może niewiele się od nich dowiedzieć – dodała. – To Kamienne Psy. Ustępują powoli i powiedzą najmniej, jak tylko można. Dla pełnego obrazu zwykle trzeba połączyć szczegóły uzyskane od jednego z detalami otrzymanymi od innego.

„Umieją panować nad bólem”. Czyli że przesłuchanie musiało się równać zadawaniu bólu. Wcześniej Perrin nie dopuszczał do siebie myśli o torturach. Jednakże dla odzyskania Faile...

– Każ komuś wytrzeć Stayera – oznajmił szorstko, ciskając lejcami w Dannila.

Ghealdańska część obozu nie mogła się chyba bardziej różnić od prymitywnych szałasów i rozmieszczonych na chybił trafił namiotów ludzi z Dwu Rzek. Tutaj płócienne, spiczaste namioty stały w idealnych rzędach, przed większością o wejściowe klapy oparto lance ze stalowymi czubkami, po bokach siedzib zaś przywiązano osiodłane i gotowe do jazdy konie. Doskonały, nieruchomy spokój burzyły tutaj jedynie machnięcia końskich ogonów i trzepotanie długich wstążek na lancach. Wszystkie ścieżki między namiotami miały tę samą szerokość, a rzędy ognisk po połączeniu bez wątpienia utworzyłyby linię prostą. Nawet fałdy w płótnie, znaczące miejsca złożenia namiotów na czas przewozu furmankami, wyglądały podobnie. Wszędzie wokół panował porządek i schludność.

W powietrzu wisiał aromat owsianki i gotowanych żołędzi. Nieznani Perrinowi mężczyźni w zielonych strojach zeskrobywali palcami resztki południowego posiłku z cynowych talerzy. Inni już czyścili rondle i garnki. Nikt nie okazywał śladu napięcia. Po prostu jedli i wykonywali różne prace, a wszystko robili mniej więcej z tą samą przyjemnością. Codzienne zadania trzeba wykonać, nie ma na to rady.

Wielka grupa mężczyzn zgromadziła się w kręgu w pobliżu naostrzonych palików, które znaczyły zewnętrzny kraniec obozowiska. Najwyżej połowa z nich nosiła zielone płaszcze i wypolerowane napierśniki ghealdańskich lansjerów. Niektórzy z pozostałych trzymali lance lub mieli miecze przy pasach na zmiętoszonych kaftanach. Ich stroje uszyte były z rozmaitych materiałów: od delikatnych jedwabi, przez dobre wełny po mieszanki różnych resztek, jednak żaden nie był czysty... no chyba że w porównaniu z odzieniem mieszkańców So Habor. Zawsze można było rozróżnić ludzi Masemy, nawet z tyłu.

Kiedy Aybara zbliżył się do kręgu mężczyzn, dotarł do niego inny zapach. Zapach przypiekanego mięsa! Usłyszał też stłumione dźwięki, o których natychmiast starał się zapomnieć. Zaczął się przepychać, a żołnierze zerkali na niego z ukosa i niechętnie ustępowali mu miejsca. Ludzie Masemy wzdragali się, mamrocząc o żółtych oczach i Pomioście Cienia.

Tak czy owak, Perrinowi udało się w końcu przejść.

Czterej wysocy mężczyźni, rudawi lub jasnowłosi, odziani w szaro-brązowe ubrania zwane *cadin'sor*, leżeli z przegubami przywiązanymi do kostek na wysokości krzyża i grubymi, długimi konarami przymocowanymi za kolanami i łokciami. Ich twarze były zmaltretowane i posiniaczone, do ust wciśnięto im skręcone szmaty. Piątego mężczyznę ułożono nagiego między czterema grubymi wbitymi z ziemię kołkami, rozciągając jego ciało tak mocno, że można było mu policzyć wszystkie napięte ścięgna. Nieszczęśnik wiercił się na tyle, na ile pozwalały mu więzy i wył w knebel

wciśnięty w usta, wydając stłumiony ryk trudnej do zniesienia udręki. W dodatku na jego brzuchu piętrzyła się kupka gorących węgli, które wydzielały słaby dym. Nos Aybary wychwycił swąd palonego ciała tego właśnie osobnika. Węgłe ściśle przylegały do napiętej skóry rozciągniętego mężczyzny, a za każdym razem, gdy wijąca się ofiara zdołała zrzucić jeden z nich, przykucnięty obok uśmiechnięty osobnik w brudnym kaftanie z zielonego jedwabiu za pomocą szczypców podnosił następne rozżarzone grudy z wielkiej misy ustawionej na ziemi i roztopiającej leżący wokół śnieg. Perrin poznał kucającego. Na imię miał Hari i kolekcjonował ludzkie uszy, które zawieszał na grubym rzemieniu. Zbierał wszystkie uszy – mężczyzn, kobiet i dzieci; nigdy nie wybrzydział.

Aybara podszedł bez zastanowienia do leżącego, podniósł nogę i kopniakiem usunął mały stos węgli z jego brzucha. Niektóre kawałki trafiły w Harięgo, ten zaś natychmiast odskoczył z piskiem przestrachu, który szybko zmienił się w krzyk, gdyż mężczyzna przypadkowo włożył rękę do gorącego naczynia. Dręczyciel przewrócił się na bok i zwinąwszy się nad przypaloną ręką, obrzucił piorunującym spojrzeniem Perrina, po czym nazwał go łasicą w ludzkiej skórze.

– Okrucieństwo pomaga, Aybara – oznajmił Masema. Wcześniej Perrin nawet nie zauważył, że ten człowiek tam stoi. Ogolona czaszka, wykrzywiona twarz. Ciemne, gorące oczy patrzyły z pogardą. Przez odór przypalonego ciała przebijał zapach jego szaleństwa. – Znam ich. Udają, że odczuwają ból, choć wcale go nie czują. Nie doświadczają go w sposób typowy dla innych ludzi. Jeśli chcesz ich skłonić do mówienia, musisz mieć nerwy jak postronki i posiadać umiejętność zranienia nawet kamienia.

Arganda, który stał obok Masemy sztywno wyprostowany, zaciskał palce na rękojeści miecza tak mocno, że aż mu się trzęsła ręka.

– Może ty zamierzasz zgubić swoją żonę, Aybara – wychrypiał – ja wszakże na pewno nie stracę mojej królowej!

– Trzeba to było zrobić – zapewnił Perrina Aram, tonem ni to przeprosin, ni to żądania. Stał po drugiej stronie Masemy, zaciskając poły zielonego płaszcza, jakby usiłował zająć czymś ręce, które ciągnęło do miecza na plecach. Oczy miał prawie tak rozpalone jak Masema. – Sam mnie uczyłeś, że człowiek robi to, co zrobić musi.

Aybara nakazał sobie w myślach rozplecenie pięści i otwarcie palców. Tak, istniała konieczność zrobienia pewnych rzeczy dla Faile.

Przez tłum przepchnęły się Berelain i trzy Aes Sedai. Pierwsza z Mayene nieznacznie zmarszczyła nos na widok mężczyzny rozciągniętego pomiędzy kołkami. Gdyby zaś oceniać siostry po ich minach, Aes Sedai równie dobrze mogłyby spoglądać na kawałek drewna. Były z nimi Edarra i Sulin, obie wyglądały na równie mało wzruszone. Niektórzy z ghealdańskich żołnierzy posłali dwóm kobietom Aiel spojrzenia z ukosa i wymienili szept, natomiast ludzie Masemy – o znużonych, brudnych twarzach – przeszywali wzrokiem pełnym nienawiści zarówno kobiety Aiel, jak i Aes Sedai, jednak najgorzej zareagowali na widok trzech Strażników: niektórzy mężczyźni sami się usunęli, innych pociągnęli za sobą towarzysze. Są głupcy, którzy znają granice głupoty.

Masema utkwiał w Berelain rozgorączkowane oczy, po czym spojrzał w dal, traktując Pierwszą jak powietrze. Istnieją głupcy, którzy nie znają żadnych granic.

Perrin pochylił się i rozwiązał materiał wokół ust przywiązanego do kołków mężczyzny, po czym wyciągnął mu spomiędzy zębów knebel. Ledwie zdołał uchronić dłoń przed ugryzieniem tak niebezpiecznym jak potencjalne chapnięcie Stayera.

Aiel natychmiast odrzucił w tył głowę i zaczął śpiewać głębokim, czystym głosem:

Czyśmy włócznie, kiedy słońce wysoko stoi.

Czyścimy włócznie i gdy zachodzi nam.

Czyścimy włócznie. Kto śmierci się boi?

Czyścimy włócznie. Nikt, kogo znam!

W połowie strofy rozległ się śmiech Masemy. Aybarze znów się zjeżyły wszystkie włoski na karku. Nigdy przedtem nie usłyszał śmiechu Proroka. A nie był to dźwięk przyjemny.

Nie miał ochoty stracić palca, więc wyciągnął z pętli przy pasie topór i ostrożnie przyłożył trzonek do podbródka Shaido, po czym go przycisnął, zamykając mężczyźnie usta. Z ogorzałej twarzy uniosły się na niego oczy koloru nieba. Nie było w nich strachu. Aiel uśmiechnął się.

– Nie proszę cię o zdradę twoich ludzi – oświadczył Perrin. Gardło natychmiast go zablokowało od wysiłku przemawiania mocnym, pewnym głosem. – Wy, Shaido Aiel, schwytaliście pewne kobiety. Chcę się jedynie dowiedzieć, jak je odzyskać. Jedna z nich nosi imię Faile. Jest równie wysoka jak przedstawicielki waszej nacji, ma ciemne, nieco skośne oczy, wydatny nos i ładne usta. To piękna kobieta. Zapamiętałbyś ją, gdybyś ją zobaczył. Czy ją widziałeś?

Odsunął topór i wyprostował się.

Shaido gapił się na niego przez chwilę bez słowa, potem poderwał głowę i podjął śpiew, ani na moment nie spuszczać wzroku z Aybary. Piosenka okazała się wesoła, pełna swawolnych, tanecznych nut.

Spotkałem raz gościa, co z dala od domu żył.

Oczy miał żółte, dowcip jego zaś drętwy strasznie był.

„Potrzymaj w ręku dym” – rzekł ni z tego, ni z owego,

i obiecał pokazać kawał gruntu mokrego.

Stanął na głowie, stopy wyrzucił w górę

i zapewnił, że czasem jak kobieta tańczy.

Mówił, że może tak stać, aż się w kamień obróci.

Lecz gdy zamrugąłem, zniknął i pewnie nie wróci.

Skończywszy, opuścił głowę i zachichotał, nisko i głośno. Wyglądał na zadowolonego i zachowywał się jak ktoś, kto się wygodnie rozpiera na puchowym materacu.

– Jeśli... jeśli nie potrafisz tego zrobić – oświadczył desperacko Aram – zatem odejdz. Sam ich dopilnuję.

Co trzeba zrobić, to trzeba! Perrin rozejrzał się po otaczających go twarzach. Arganda patrzył teraz wrogo i spode łba, zarówno na niego, jak na jeńca. Masema wydzieliał zapach obłędu, a przepełniała go pogarda i nienawiść. „Musisz mieć nerwy jak postronki i posiadać umiejętność zranienia nawet kamienia”. Edarra stała z rękoma założonymi na piersiach, a jej mina była równie niemożliwa do odczytania jak beznamiętne oblicza Aes Sedai. „Shaido świetnie umieją panować nad bólem. Skłonienie ich do mówienia zajmie dni”. Sulin, z bliźną przecinającą policzek, nadal bladą na twardej skórze jej twarzy, spoglądała spokojnie przed siebie, pachniała zaś jednoznacznie zawziętością. „Ustępują powoli i powiedzą najmniej, jak tylko można”. W zapachu Berelain wyczuł konieczność kary. Była wszak władczynią, która skazywała ludzi na śmierć i nigdy z tego powodu nie przeżywała bezsennych nocy. Trzeba zrobić to, co konieczne. Mieć nerwy jak postronki i umieć zranić nawet kamień. Panowanie nad bólem... O Światłości, och Faile...

Topór wydawał się lekki jak piórko, kiedy Perrin unosił go w dłoni, a następnie opuszczał niczym młot na kowadło. W końcu ciężki topór odciął Shaido Aiel lewą dłoń.

Mężczyzna chrząknął z bólu, później szarpnął się konwulsyjnie, z warkotem, w końcu począł się wiercić, umyślnie rozpryskując tryskającą z przegubu krew, która ochlapała Aybarze twarz.

– Uzdrówcie go – polecił Perrin Aes Sedai, po czym zrobił kilka kroków wstecz. Nie próbował wytrzeć sobie twarzy, więc krew wsączała mu się w brodę. Czuł się pusty, wydrążony. Chyba nie zdoła już nigdy podnieść swojego topora, o ile nie będzie musiał walczyć o życie.

– Oszalałeś? – odburknęła gniewnie Masuri. – Nie potrafimy oddać człowiekowi odciętej ręki!

– Kazałem go wam uzdrowić! – ryknął.

Seonid już się jednak ruszyła, unosząc spódnicę. Posuwistym krokiem dotarła do nieszczęśnika i uklękła przy jego głowie. Mężczyzna gryzł zębami przegub pozbawionej dłoni ręki, nadaremnie starając się powstrzymać strumień krwi. W jego oczach wszakże, jak i w zapachu, nie było lęku. Po prostu Shaido się nie bał!

Seonid chwyciła głowę leżącego i nagle jego ciało znów się skrzywiło konwulsyjnie, a on sam zamachał dziko ramieniem. Ilość rozpryskującej się krwi zmalała, gdy mężczyzna wykonał nagły ruch, następnie zaś krew całkowicie zniknęła, a Shaido osunął się na ziemię z poszarzałą twarzą. Sekundę później jeniec podniósł niepewnie lewą rękę i popatrzył na gładką skórę pokrywającą teraz koniec kikuta. Jeśli była tam blizna, Perrin jej nie widział. Mężczyzna popatrzył na niego, obnażając zęby. Nadal nie wydzielał zapachu strachu. Seonid niespodziewanie także osunęła się na ziemię, jakby wyczerpała wszystkie siły. Alharra i Wynter zrobili krok ku niej, lecz odprawiła ich machnięciem dłoni, następnie zaś wstała sama, ciężko wzdychając.

– Powiedziano mi, że mogą minąć dni, a wy nadal nic nam nie zdradzicie – oznajmił Aybara. Własny głos zabrzmiał mu w uszach wręcz zbyt głośno. – Nie mam czasu sprawdzać, jak twardzi jesteście albo jacy odważni. Wiem, że jesteście dzielni i wytrzymali. Jednakże moja żona już zbyt długo pozostaje w waszych rękach. Zostaniecie zatem rozdzieleni i wypytamy was o kilka interesujących nas kobiet. Zapytamy, czy je widzieliście i gdzie to było. Nic więcej mnie nie ciekawi. Nie będzie gorących węgli ani innych tortur. Jedynie pytania. Tyle że... jeżeli któryś z was odmówi odpowiedzi lub jeżeli wasze odpowiedzi będą się za bardzo różnić, wówczas każdy z was straci jakąś część ciała. – Zaskoczyło go, że wbrew wcześniejszym obawom jednak może unieść topór. Ostrze było umazane krwią. – Człowiek posiada dwie dłonie i dwie stopy – podjął zimno. O Światłości, jego głos brzmiał wręcz lodowato. Perrin czuł się, jakby lód wsączał się w jego kości. – Dzięki nim otrzymacie cztery szanse na udzielenie odpowiedzi. A jeśli nie zadowolili mnie żadna z nich, nie zabiję was. Znajdę wioski, w których zostawię po jednym osobniku pozbawionym dłoni i stóp, miejsce, w którym będzie mógł zebrać, gdzie chłopcy może rzucą mu monetę... dziakiemu Aielowi bez rąk i nóg. Zastanówcie się wszyscy nad moją propozycją i zdecydujcie, czy warto nadal mnie pozbawiać widoku mojej żony.

Nawet Masema gapił się na niego niczym na kogoś, kogo widzi po raz pierwszy. Gdy Perrin odwrócił się, aby odejść, ludzie Proroka, a także Ghealdanie rozstąpili się przed nim tak szeroko, że zdołałby się między nimi przesunąć cały taran trolloków.

Aybara szedł i szedł, aż dotarł do rzędu naostrzonych palików. Mniej więcej sto kroków dalej rozciągał się las, mężczyzna nie zmienił wszakże kierunku ani się nie zatrzymał. Z toporem w dłoni kontynuował równomierny marsz i w końcu otoczyły go ogromne drzewa, a zapach obozowiska pozostał daleko za nim. Smród juchy, który niósł z sobą, stał się ostry i metaliczny. Nie było od niego ucieczki.

Perrin nie miał pojęcia, jak długo brnął przez śnieg. Ledwie zauważył ostre, ukośne promienie słońca, tnące cienie pod leśnym baldachimem. Gruba warstwa krwi pokrywała jego twarz i sklejała mu brodę. Krew zaczynała powoli przysychać. Ileż razy wcześniej mówił, że zrobi wszystko, byleby

tylko odzyskać Faile? Wszystko, co człowiek musi w takiej sytuacji zrobić.

Nagle podniósł topór za głowę w obu rękach i cisnął nim przed siebie tak mocno, jak potrafił. Broń zawirowała i z głośnym łoskotem trzasnęła w masywny pień dębu.

Aybara wypuścił zbyt długo przetrzymywane w płucach powietrze, po czym opadł na nierówną kamienną odkrywkę, która sterczała, swą wysokością i szerokością przywodząc na myśl ławkę. Położył sobie łokcie na kolanach.

– Teraz możesz się pokazać, Elyasie – powiedział ze zmęczeniem w głosie. – Wyjdź, przecież cię wyczuwam.

Z cienia lekko wyłonił się wezwany mężczyzna. Jego żółte oczy jarzyły się słabo pod szerokim rondem kapelusza. W porównaniu z nim Aielowie zachowywali się wręcz hałaśliwie. Elyas, z długim nożem w ręku, zajął na odkrywce miejsce obok Perrina, przez jakiś czas wszakże tylko siedział bez słowa, przeczesując sobie palcami upstrzoną siwizną brodę, która sięgała mu aż do piersi. Wreszcie skinął głową ku toporowi wbitemu w bok dębu.

– Pamiętasz, mówiłem ci kiedyś, żebyś go zatrzymał do czasu, aż go polubisz? Czy już zacząłeś lubić go używać? Właśnie tam?

Aybara szybko potrząsnął głową.

– Nie, nie! Na pewno nie! Tyle że...

– Tyle że co, chłopcze? Sądzę, że niemal udało ci się przerazić Masemę. Chociaż sam również pachniesz strachem.

– Najwyższa pora, żeby go coś przeraziło – odciął się Perrin, niespokojnie wrzuszając ramionami. O niektórych sprawach trudno mu było mówić. Może jednak rzeczywiście nadeszła już pora. – Topór... Nie zauważyłem go, ten pierwszy raz... tylko się przyglądałem. Chodzi o tę noc, kiedy spotkałem Gaula, a Białe Płaszczki próbowały nas zabić. Później, podczas walki z trollokami w Dwu Rzekach, nie miałem jeszcze pewności. Ale potem, pod Studniami Dumai, już tę pewność zdobyłem. Ilekroć muszę walczyć, boję się, Elyasie, boję się i jestem smutny, ponieważ być może nigdy więcej nie zobaczę Faile. – Poczul w piersi ucisk. „Faile!”. – Tyle że... Słyszałem rozmowę Grady’ego z Nealdem. Gawędzili o odczuciach, których doznaje mężczyzna, gdy dzierży Jedyną Moc. Twierdzili, że czują się wówczas bardziej żywi! W chwili obecnej, po walce, zbyt jestem przerażony, by spluć... tym niemniej także czuję się bardziej żywy niż w każdej innej sytuacji z wyjątkiem chwil, w których tuliłem Faile. Chyba nie potrafiłbym znieść, jeślibym się zaczął tak czuć po tym, co właśnie zrobiłem. A gdybym zaczął się w ten sposób czuć, nie mógłbym dalej żyć z Faile. Nie tak, jak żyłem dotąd.

W odpowiedzi Elyas parsknął, a potem rzucił:

– Moim zdaniem nie masz w sobie Mocy, chłopcze. Posłuchaj mnie, niebezpieczeństwo oddziaływa na różnych ludzi w różny sposób. Niektórzy pozostają zimni i funkcjonują automatycznie niczym mechanizm zegara, ty wszakże nigdy nie wydawałeś mi się człowiekiem... chłodnym. Kiedy serce zaczyna walić, rozgrzewa ci krew, logiczne jest zatem, że wyostrza ci również zmysły. Stajesz się bardziej świadom swego otoczenia, więcej wokół siebie postrzegasz. Być może umrzesz za kilka minut, może w mgnieniu oka, teraz jednak nie jesteś martwy i doskonale o tym wiesz, bo czujesz życie w każdej części swojego ciała. Taka jest prawda. Co bynajmniej nie oznacza, że lubisz przemoc.

– Chciałbym w to wierzyć – odrzekł mu po prostu Perrin.

– Pożyj tak długo jak ja – odparował cierpkim tonem Elyas – a wtedy uwierzysz. Na razie jednak wmów sobie wprost, że żyłem dłużej niż ty i doświadczyłem tych wszystkich doznań przed tobą.

Przez chwilę siedzieli i wpatrywali się w topór. Aybara pragnął wierzyć swemu towarzyszowi. Krew na jego toporze wydawała mu się teraz czarna. Jak długo tu tkwił? Sądząc po kącie, pod jakim promienie przenikały przez gałęzie drzew, słońce właśnie zachodziło.

Jego uszy wychwyciły chrzęst powoli zbliżających się w śniegu kopyt. Kilka minut później zjawili się Neald i Aram. Były Druciarz wskazywał ślady, Asha'man zaś potrząsał niecierpliwie głową. Tropy były wyraźne, choć po prawdzie Perrin nie postawiłby nawet miedziaka, że Neald potrafiłby za nimi pójść. Prawdopodobnie pochodził z miasta.

– Arganda powiedział, że powinniśmy poczekać, aż twoja krew się ochłodzi – oświadczył właśnie Asha'man, rozpierając się w siodle i pilnie przypatrując się Aybarze. – Osobiście uważam, że dostatecznie już chyba ochłonałeś.

Skinął głową. Mina tamtego sugerowała satysfakcję. Neald był przyzwyczajony do ludzkiego strachu – ludzie bali się go choćby z powodu czarnego kaftana i wszystkiego, co ów strój reprezentował.

– Odbyło się przesłuchanie – wtrącił Aram. – Wszyscy Shaido udzielili takich samych odpowiedzi. – Nachmurzoną miną dawał do zrozumienia, że te odpowiedzi mu się nie spodobały. – Myślę, że groźba czekającego żebractwa przeraziła ich bardziej niż twój topór. W każdym razie twierdzą, że nigdy nie widzieli Lady Faile. Ani żadnych innych kobiet, o które pytaliśmy. Moglibyśmy znów spróbować gorących węgli. Może wtedy by sobie coś przypomnieli.

Perrin zastanowił się, czy dawny Druciarz nie wydaje mu się nadgorliwy. Jeśli tak, do czego się palił – do użycia gorących węgli czy do odszukania Faile?

W tym momencie Elyas się skrzywił.

– Ponownie udzielą wam identycznych odpowiedzi – powiedział. – Pomyślcie, jak mała jest szansa, że któryś z nich rzeczywiście spotkał Lady Faile. Są tysiące Shaido Aiel i tysiące więźniów. Człowiek może przeżyć całe swoje życie w tym obozowisku i spotkać co najwyżej setkę osób, a jeszcze mniej z nich zapamiętać.

– W takim razie musimy ich pozabijać – oświadczył ponuro Aram. – Sulin poleciła Pannom Włóczni sprowadzić na przesłuchanie jedynie bezbronnych. Ci Shaido nie popełnią zatem samobójstwa, a nie zechcą skończyć jako *gai'shain*. Jeżeli zaś któryś ucieknie, może dać znać pozostałym Aielom, że tu jesteśmy. Wówczas przyjdą po nas.

Perrin wstał, odnosząc wrażenie, że stawy mu zardzewiały i sprawiają ból. Nie mógł dopuścić do ataku ze strony Shaido Aiel.

– Można ich strzec, Aramie. – Z powodu zbytniego pośpiechu już raz o mało bezpowrotnie nie stracił Faile, a potem znów postąpił zbyt pochopnie. „Zbyt pochopnie”. Jakie łagodne słówka na określenie odcięcia człowiekowi ręki. Na określenie bezcelowego okrucieństwa... Perrin zawsze starał się myśleć ostrożnie i tak samo postępować. Teraz powinien dobrze rozważyć całą sytuację, tyle że myślenie sprawiało mu prawdziwe cierpienie. Faile przepadła w morzu ubranych na biało jeńców. – Może inne *gai'shain* znają miejsce jej pobytu – szepnął, ruszając z powrotem ku obozowisku.

Jak jednak złapać kilka *gai'shain* któregoś z Shaido Aiel? Wszak niewolnikom nie wolno było wychodzić poza obóz, chyba że pod ochroną.

– A co z tym, chłopcze? – spytał Elyas.

Nawet nie patrząc, Perrin wiedział, co mężczyzna ma myśli. Topór!

– Zostaw go. Niech ktoś go sobie weźmie. – Jego głos zabrzmiał zgrzytliwie. – Być może jakiś durny bard opíše go w swojej pieśni.

Aybara szedł wielkimi krokami w stronę obozowiska, ani razu nie obejrząwszy się za siebie. Ze

względu na pustą pętlę grubego pasa wokół talii wydawał mu się zbyt lekki.

Nagle wszystko straciło dla niego sens.

Trzy dni później z So Habor wróciły ciężko obciążone wozy, a do namiotu Perrina wszedł Balwer wraz z wysokim, nieogolonym człowiekiem ubranym w brudny, wełniany kaftan. Gość miał też miecz, o który najwyraźniej dbał dużo bardziej niż o samego siebie. Początkowo Aybara nie rozpoznał mężczyzny z powodu jego nieprzycinanej od miesiąca brody. Potem wszakże wyczuł jego zapach.

– Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś cię zobaczę – oznajmił.

Balwer zamrugnął. W jego przypadku mruganie oznaczało tak wielkie zaskoczenie, jak w przypadku innych osób głośny jęk zdumienia. Niewątpliwie mały sekretarz o nieco ptasim wyglądzie oczekiwał wyjaśnienia.

– Szukam... poszukuję Maighdin – powiedział chrypliwie Tallanvor. – Jednakże Shaido przemieszczają się szybciej niż ja. Pan Balwer twierdzi, że wiesz, gdzie ona jest.

Sekretarz posłał gościowi ostre spojrzenie, lecz jego głos pozostał tak suchy i równie pozbawiony emocji jak jego zapach.

– Pan Tallanvor dotarł do So Habor tuż przed moim wyjazdem, mój panie. Miałem naprawdę niewielkie szanse spotkania go. Najwyraźniej jednak dopisało mi szczęście. Pan Tallanvor może zdobyć dla ciebie odpowiednich sojuszników. Niech sam ci o nich opowie.

Mężczyzna zmarszczył czoło, obrzucając wzrokiem własne buty, ale się nie odezwał.

– Sojuszników? – spytał Perrin. – Szczerze mówiąc, na niewiele zda mi się coś mniejszego od armii, lecz przyjmę każdą ofiarowaną przez ciebie pomoc.

Tallanvor popatrzył na Balwera, który kiwnął mu głową i posłał słaby uśmiech zachęty. Nieogolony osobnik wziął głęboki wdech.

– Piętnaście tysięcy Seanchan, w każdym razie prawie tyle. W gruncie rzeczy większość to Tarabonianie, jadą wszakże pod seanchańskimi sztandarami. No i... posiadają przynajmniej tuzin *damane*. – W jego tonie pojawił się pośpiech, najwyraźniej Tallanvor starał się dokończyć myśl, zanim Aybara mu przerwie. – Wiem, że to może przypominać przyjęcie wsparcia od samego Czarnego, jednak ci Seanchanie także polują na Shaido, a ja pragnę uwolnić Maighdin, więc interesuje mnie każda pomoc, nawet ze strony Cienia.

Przez długi moment Perrin gapił się na dwóch mężczyzn. Tallanvor nerwowo stukał w rękojęć miecza, Balwer zaś przypominał wróbla czekającego, w którą stronę skoczy świerszcz. Seanchanie! I *damane*! Tak, rzeczywiście skojarzyło mu się wsparcie oferowane przez Czarnego.

– Siadaj i opowiedz mi o tych Seanchanach – polecił w końcu.

Rozdział 14

Pęczek róż

Od dnia, w którym opuścili Ebou Dar, podróżując wraz z Wielkim Wędrownym Widowiskiem i Wspaniałą Wystawą Cudów oraz Dziwów Świata Valana Luki, sytuacja przedstawiała się równie paskudnie, jak przewidywał Mat w swych najmroczniejszych myślach. Przede wszystkim niemal codziennie padało po kilka godzin, a raz nawet przez trzy dni bez przerwy. Dokuczał im ten gwałtowny, bardzo chłodny, zimowy deszcz ze śniegiem, który czasem przybierał postać lodowatych mżawek powoli przesączających się przez materiał płaszczy i przyprawiał ich wszystkich o drzenie, jeszcze nim zdążyli sobie uświadomić, że przemokli. Woda uciekała z mocno ubitych dróg, jakby spływała po kamiennych nawierzchniach, w najgorszym razie zostawiając cienką warstwę błota, którą – gdy świeciło słońce – ponownie ubijały koła, kopyta i obute stopy długiego rzędu wozów, koni i ludzi. Początkowo artyści widowiska Luki starali się jak najszybciej opuścić miasto, gdzie nocami pioruny zatapiały statki, a na nieostrożnych przechodniów zewsząd czyhali zabójcy. Chcieli też uciec przed zazdrosnym, seanchańskim arystokratą, który jakoby zawzięcie polował na swą zbiegłą żonę i mógłby zapragnąć wyładować gniew na osobach ją przed nim ukrywających. Na początku rzeczywiście pędzili przed siebie z maksymalną prędkością, jaką mogły osiągnąć konie ciągnące wozy. Stale poganiali zwierzęta do szybszego kroku, starając się oddalić od miasta o kolejną milę. Jednak powoli, wraz z każdą następną milą, czuli się coraz bardziej oddaleni od niebezpieczeństwa, coraz bezpieczniejsi, zatem pewnego popołudnia...

– Musimy się bardziej troszczyć o konie – wyjaśnił Luca, oglądając zaprzęg odczepiony od jego śmiesznie pomalowanego wozu. Przez lekką mżawkę mężczyzna prowadził pociągowe zwierzęta ku prowizorycznym boksom. Słońce wciąż jeszcze nie pokonało nawet połowy drogi w dół, ku horyzontowi, a z dymników w dachach namiotów i metalowych kominów na pudełkowych wozach mieszkalnych wznosiły się już szare smugi dymu. – Nikt nas nie ściga, droga do Lugard zaś jest długa. Dobre konie trudno zastąpić i sporo kosztują. – Luca silnie zmarszczył czoło i potrząsnął głową. Wzmianka o potencjalnych wydatkach zawsze kwasiała mu minę. Niechętnie rozstawał się z każdym pensum, chyba że sprawa wiązała się z jego żoną. – Niewiele znajdziemy po drodze miejsc, gdzie warto byłoby się zatrzymać na dłużej niż na jednodniowy spektakl. Większość wiosek nie wyżywi całej naszej grupki, choćby wszyscy mieszkańcy się dla nas złożyli, natomiast co do miast nigdy nie można mieć pewności. A przecież nie płacisz mi tak dużo, żebym mógł zrezygnować z dodatkowego zarobku. – Czując wilgoć w powietrzu, otulił się szczelniej haftowanym, szkarłatnym płaszczem, po czym zerknął przez ramię na swój wóz. W siąpiącym deszczu unosił się jakiś gorzki zapach. Mat nie był pewien, czy zechce zjeść posiłek, który ugotowała dziś żona Luki. – Jesteś absolutnie pewien, że nikt nas już nie ściga, prawda, Cauthon?

Mat naciągnął niżej na uszy wełnianą czapkę, następnie zaś, zgrzytając zębami, odszedł między kolorowe namioty i jaskrawo pomalowane wozy. Nie płacił Luce wystarczająco dużo?! Za uzgodnioną sumę ten pazerny skąpiec powinien wręcz ochoczo pędzić swoje zwierzęta przez całą drogę do Lugard!

W niewielkiej odległości od wozu właściciela widowiska siedział Chel Vanin – na trójnożnym stołku, na którym ledwo się mieścił. Mężczyzna mieszał ciemny gulasz w niewielkim garnku wiszącym nad małym ogniem. Deszcz z brzegu kapelusza Vanina skapywał wprost do garnka, jednakże grubas zdawał się tego nie zauważać albo nie przywiązywał do tego wagi. Gorderan i Fergin, dwaj Czerwonoręcy, przeklinali pod nosem, wbijając w błotnistą ziemię kołki szaro-

brązowego płóciennego namiotu, który dzielili z Harnanem i Metwynem. A także z Chelem Vaninem, lecz ten posiadał umiejętności, dzięki którym we własnej opinii nie musiał się zniżać do takich zajęć jak na przykład rozbijanie namiotów, Czerwonoręcy zaś bez przesadnego marudzenia zgodzili się z nim w tej kwestii. Vanin był doświadczonym kowalem, jednak – co ważniejsze – był też najlepszym tropicielem śladów i najlepszym koniokrądem w kraju, choć patrząc na niego, trudno było w to uwierzyć. Mało tego, przy jego tuszy taka profesja wydawała się zaiste nieprawdopodobna.

Fergin złapał spojrzenie Mata i wycedził kolejne przekleństwo, gdyż młotek zsunął mu się akurat z kołka i mężczyzna uderzył się w kciuk. Upuścił młotek, włożył sobie kciuk do ust i, wciąż kucając, przez chwilę skarżył się przeraźliwie na paskudny los.

– Mój panie, mamy wszak całą noc spędzić na dworze, aby strzec tych kobiet. Nie moglibyśmy przynajmniej do rozstawienia namiotów wynająć paru spośród tych woźniców? Za moment wszyscy przemokniemy, a czeka nas jeszcze wiele godzin pracy.

Gorderan grubym palcem szturchnął go w ramię. Ten barczysty mężczyzna stanowił całkowite przeciwieństwo swego chudego towarzysza i wbrew szarym oczom był Tairenianinem.

– Woźnice rozstawią ci namiot, ale ukradną wszystko, co znajdą w pobliżu, Ferginie. – Kolejne szturchnięcie. – Chcesz, żeby jeden z tych osobników o lepkich łapach zwinął mi kuszę albo siodło? Mam dobre siodło, wierz mi. – Pod wpływem trzeciego szturchnięcia Fergin niemalże przewrócił się na bok. – Jeśli zaraz nie postawimy tego namiotu, Harnan rzeczywiście każe nam pełnić wartę przez całą noc.

Fergin popatrzył na niego wilkiem. Przez chwilę jeszcze gderał, tym niemniej podniósł młotek, równocześnie ścierając błoto z płaszcza. Mimo iż nie grzeszył bystrością, był naprawdę niezłym żołnierzem.

Vanin splunął przez szparę w zębach, o mało nie trafiając w garnek. Gulasz pachniał cudownie – szczególnie po wszystkich, co przyrządzała Latelle – Mat jednak zdecydował, że i tutaj się nie posili. Tłuscioch stuknął przez chwilę w obrzeże garnka drewnianą łyżką, oczyszczając ją w ten sposób z przyłgniętych drobin, wreszcie jednak podniósł na Cauthona oczy skryte częściowo pod ciężkimi powiekami. Okrągła twarz mężczyzny często wydawała się sugerować, że jej właściciel jest na wpół zaspany, jednak tylko głupiec uwierzyłby w te pozory.

– W tym tempie dotrzemy do Lugard pod koniec lata – mruknął. – O ile kiedykolwiek.

– Dotrzemy tam wcześniej, Vaninie – zapewnił go Mat z przekonaniem, którego wcale w tej chwili nie odczuwał. Szorstki wełniany płaszcz, który założył suchy kilka godzin temu, zamókł już w wielu miejscach i deszcz ściekał mu po plecach. A gdy po kręgosłupie spływa lodowata woda, trudno wierzyć w nadzieję na odmianę losu. – Zima zbliża się już ku końcowi. Wraz z nadejściem wiosny natychmiast przyspieszymy, wierz mi. Zobaczysz, że dojedziemy do Lugard w samym środku wiosny.

Tego również wcale nie był pewien. Pierwszego dnia przebyli nie więcej niż dwie ligi, w następne zaś rzadko im się udawało pokonać więcej niż dwie i pół. Przy Wielkiej Drodze Północnej niewiele znajdowało się miejscowości, które można by nazwać miastami. Zresztą, w miarę jazdy na północ, zmieniała się też nazwa samego traktu. Ludzie zaczęli go określać mianem „Drogi do Ebou Dar”, „Drogi ku Przystani”, a czasem po prostu nazywali ją „drogą”, jak gdyby istniała tylko jedna. Tak czy inaczej, Luca zatrzymywał się w każdej miejscinie, niezależnie od jej wielkości. Interesowały go zarówno otoczone murem miasta, jak i osady z sześcioma ulicami i brukowanym kwadratem, szumnie nazywanym miejskim placem. Blisko pół dnia zajmowały im wówczas przygotowania do pokazu, rozbijanie namiotów i rozwieszanie nad wejściem ogromnego błękitnego transparentu z czerwonym napisem: „Wielkie Wędrownie Widowisko Valana Luki”. Luca nie przepuszczał

dosłownie żadnej okazji do zarobku, stale żywiąc nadzieję na przyciągnięcie tłumów. Interesowały go pieniądze, lecz lubił także sławę, więc zakładał jeden ze swoich jaskrawoczerwonych płaszczy i pławiał się w podziwie widzów. Ludzki podziw cieszył go prawie równie mocno jak zarobek. Z naciskiem na „prawie”.

Osobliwość wykonawców i niezwykłość zamkniętych w klatkach zwierząt z dalekich stron rzeczywiście wystarczały, by zaciekać mieszkańców. Szczególnie przyciągały ludzi egzotyczne zwierzęta. Niewielu spośród tutejszych kiedykolwiek uczestniczyło w wyprawach, które umożliwiłyby im zobaczenie na własne oczy dzikiego niedźwiedzia, nie mówiąc o lwie. Jedynie podczas straszliwej ulewy przychodziło na widowisko mniej widzów, zresztą kiedy deszcz mocno zacinał, żonglerzy czy akrobaci i tak odmawiali występu na otwartym terenie. W takich momentach Luca chodził ponury i podenerwowany, gadając szaleńczo o konieczności znalezienia wielkiej ilości nieprzemakalnego płótna, które pozwoliłoby na skonstruowanie dachu chroniącego pokazy. Wspominał nawet o nabyciu obszernego namiotu, w którym odbywałby się cały spektakl. Marzył mu się jeden ogromny namiot! Dla ambicji tego człowieka naprawdę nie istniały żadne granice! Może od razu powinien zdobyć sobie prawdziwy pałac na kółkach?!

Cauthon byłby wszakże niemal szczęśliwy, gdyby musiał się martwić jedynie Lucą i ślamazarnym tempem, w jakim przemieszczał się pokaz. Czasami bowiem mijały ich grupki posuwających się nieznacznie szybciej wozów seanchańskich osadników. Wozy cechowały się osobliwymi kształtami i spiczastymi dachami, a ludziom towarzyszyło bydło, owce i kozy o równie dziwnym wyglądzie. Innymi razy wyprzedzały ich kolumny seanchańskich żołnierzy – szeregi żwawo maszerujących mężczyzn w hełmach przywodzących na myśl głowy ogromnych owadów oraz rzędy kawalerzystów w zbrojach z pomalowanymi w paski, nakładającymi się na siebie płytkami. Raz Mat dostrzegł jeźdźców na *tormach* – pokrytych brązowymi łuskami stworzeniach przypominających koty, lecz wielkości koni i posiadających troje oczu. W pewnej chwili około dwudziestki tych zwierząt przesunęło się niespodziewanie obok płynnym, posuwistym truchtem, szybszym niż koński kłus. Ani żołnierze, ani ich wierzchowce nie przyglądali się uważniej przedstawicielom widowiska, chociaż na widok *tormów* konie artystów zaczęły szaleć, narowiąc się, parskając i stając dęba. Lwy, lamparty i niedźwiedzie ryczały wówczas w klatkach, a obdarzone najdziwniejszymi porożami jelenie rzucały się ku kratom, próbując uciec. Dopiero po kilku godzinach zdołali uspokoić wszystkie stworzenia i wozy mogły ruszyć dalej. Luca starał się jak najlepiej dbać o swoje zwierzęta, zwłaszcza te najbardziej egzotyczne, zamknięte w klatkach. Sporo go kosztowały, a jednocześnie stanowiły dla niego inwestycję. Dwukrotnie oficerowie w hełmach ozdobionych cienkimi pióropuszcami postanowili sprawdzić dokumenty związane z prawem właściciela widowiska do koni. Mat oblewał się wówczas zimnym potem, który spływał po jego ciele w kroplach wielkości winogron, i nie uspokajał się, póki nie wyruszyli w dalszą drogę. Ponieważ widowisko posuwało się w kierunku północnym, po pewnym czasie liczba Seanchan na drodze wyraźnie zmalała, jednak Cauthon nadal się pocił na widok każdej grupki ludzi – czy to żołnierzy, czy to osadników. Może Suroth naprawdę zachowała w sekrecie fakt zniknięcia Tuon? W przeciwnym razie Seanchanie na pewno by jej szukali. Choć wystarczyłby jeden wyjątkowo wścibski oficer, który zapragnąłby porównać liczbę koni w dokumentach z rzeczywistą liczbą tych zwierząt. Z pewnością bardzo dokładnie przeszukałby później wozy. Podobnie zaszkodzić im mogła jedna nadgorliwa *sul'dam*, podejrzewająca, że wśród żonglerek, akrobatek i innych członkiń widowiska może się znajdować kobieta z umiejętnością przenoszenia Mocy. Na tę myśl po plecach zaczął Matowi ściekać pot w kroplach już wielkości śliwek! Zwłaszcza że wielu ludzi nie baczyło na inne osoby i nie potrafiło zachować ostrożności.

Tuż za jakąś maleńką wioską o nazwie Weesin, na którą składało się niewielkie zbiorowisko krytych strzechą domów, gdzie nawet Luca nie brał pod uwagę zarobienia choćby miedziaka, Cauthon zatrzymał się, z powodu ulewy otulił ciężkim, wełnianym płaszczem i zapatrzył na trzy Aes Sedai, jak gdyby nigdy nic powracające po zachodzie słońca na teren widowiska. W oddali trzasnął grzmot. Wszystkie trzy kobiety nosiły ciemne płaszcze z kapturami, tym niemniej Mat nie miał wątpliwości, kim były. W zacinającym deszczu przeszły w odległości zaledwie dziesięciu stóp od niego. Nie widziały go, jednak Cauthon poczuł chłód srebrnego medalionu wiszącego na jego piersiach pod koszulą. Przynajmniej zatem jedna z nich przenosiła właśnie lub czerpała Moc. Niech szeszna, wszystkie trzy były szalone jak postrzałki.

Aes Sedai jeszcze nie zniknęły na dobre między wozami i namiotami, gdy ukazały się trzy kolejne, okryte płaszczami kobiece kształty i pospieszyły za tamtymi. Jedna z tych kobiet miała bystrzejszy wzrok, toteż zauważyła Mata, podniosła rękę i wskazała na niego, jej towarzyszki jednakże zatrzymały się zaledwie na moment, po czym popędziły naprzód. Cauthon zaczął przeklinać, lecz się powstrzymał. Wolał nie krzyżeć na Aes Sedai i *sul'dam*, nawet jeśli wychodziły poza siedzibę widowiska, choć mogły je tam przecież przyuważyć seanchańskie patrole. Postanowił jednak, że dowie się, które z nich postępują wbrew jego rozkazom i je pouczy. Nie myślał przy tym oczywiście o Tuon i Selucii.

– Zastanawiam się, czego szukają? – zadumał się stojący za nim Noal.

Mat drgnął, a pod wpływem tego ruchu strumyczek deszczówki spłynął mu pod kaptur i skapał w dół po szyi. Miał dość tego sękatego starca, który stale za nim chodził.

– Zamierzam się tego dowiedzieć – odparł szeptem, wygładzając płaszcz. Nie miał pojęcia, dlaczego przejmuje się w tej chwili okryciem. Płaszcz był mokry, wilgoć przesączyła się już nawet do lnianej koszuli.

Zastanowiło go, że gdy dotarł do brudnobiałego wozu w szare pasy, w którym sypiały Aes Sedai i *sul'dam*, Noala już przy nim nie było. Nieobecność starca wydawała mu się tym dziwniejsza, że Noal lubił wszędzie wtykać nos. Może uznał, że dość już przemókł i poszedł się schować przed ulewą. Pod wozem leżeli zawinięci w kocy Blaeric i Fen, wyraźnie nie bacząc na deszcz czy błoto, jednakże Mat nie założyłby się, że któryś z nich śpi. I miał rację, ponieważ na odgłos jego kroków jeden z wartowników natychmiast usiadł. Cauthon nie wiedział, który to z nich, a mężczyzna się nie odezwał, jednakże Mat poczuł na sobie jego wzrok. Nie zawahał się wszakże i otworzył drzwi wozu, nie kłopotząc się pukaniem.

Wewnątrz tłoczyło się wszystkie sześć kobiet. Stały, w rękach nadal trzymając ociekające wodą płaszcze. Dwie lampy w zawieszonych na ścianach specjalnych przegubach dawały dobre światło, w pewnym sensie lepsze, niżby Cauthon sobie życzył. Kiedy wszedł, zwróciło się ku niemu sześć twarzy i cała szóstka kobiet posłała mu spojrzenia zarezerwowane dla mężczyzn, którzy stawiają stopy tam, gdzie nie powinni. Powietrze w wozie pachniało wilgotną wełną, atmosfera zaś zdawała się iskrzyć niczym po przejściu błyskawicy lub tuż przed jej pojawieniem. Deszcz bębnił o dach, gdzieś niedaleko uderzył grzmot, jednak medalion z godłem lisiego łba nie dawał obecnie żadnych znaków, jakby był jedynie zwyczajnym kawałkiem srebra. Może Blaeric i Fen bez przeszkód pozwolili Matowi wejść do środka, gdyż sądzili, że Aes Sedai pozbawią go tu głowy. A może po prostu woleli się trzymać z dala od całej sprawy. Każdy Strażnik był gotów umrzeć, jeśli jego Aes Sedai uznała taką śmierć za konieczną. Ale nie on, nie Mat Cauthon. Pchnął wciąż otwarte drzwi biodrem, zatraskując je. Jego ból pogłębił się jedynie odrobinę. Ostatnio na szczęście rzadziej mu się dawał we znaki.

Kiedy wypomniał siostronom ich zachowanie, Edesina zareagowała wściekle, odrzuciwszy czarne

włosy, które spływały jej kaskadą na plecy.

– Jestem wdzięczna, że uratowałeś mnie z rąk Seanchan, panie Cauthon, i okażę ci swoją wdzięczność, wierz mi, istnieją jednak granice wdzięczności. Nie jestem twoją służącą i nie będziesz mi rozkazywał. We wsi nie spotkałyśmy ani jednego Seanchanina, a poza tym ukryłyśmy twarze. Nie musiałeś wysyłać po nas swoich... suk. – Gorącym spojrzeniem, którym obrzuciła trzy Seanchanki, mogłaby niemal usmażyć jajka. Edesinę drażniły dosłownie wszystkie osoby mówiące z seanchańskim akcentem. Potrzebowała towarzystwa kobiet przenoszących Moc, a *sul'dam* były pod ręką. Cauthon liczył na słynne opanowanie Aes Sedai, jako że nie chciał być świadkiem przemocy. Miał nadzieję, że sprawy nie zaszły już za daleko. Słyszał, że kiedyś Aes Sedai wybuchały niczym cudeńka Iluminatorów.

Na ciemnej twarzy Bethamin nie pojawił się żaden ślad trwogi. Podczas gdy Edesina mówiła, Bethamin skończyła otrząsać płaszcz i zawiesiła go na kołku, potem wygładziła sukienkę na biodrach. Dzisiejszego wieczoru nosiła wyblakłe, zielone halki. Skarżyła się, że ta eboudariańska część garderoby jest nieprzyzwoita i Mat przypuszczał, że teraz, kiedy oddalili się od wybrzeża, będzie musiał znaleźć jej coś innego. Miała całkiem ładne ciało, co widać było w bardzo długim, lecz wąskim dekolcie. Chociaż, jak na gust Cauthona, Bethamin przemawiała w sposób zbyt matczyń.

– Rzeczywiście ukrywały twarze, mój panie – wycedziła – i trzymały się razem. Nie zauważyłam nikogo podejrzanego. Ogólnie rzecz biorąc, zachowywały się bardzo dobrze.

Matka wychwalająca dzieci! Albo może treserka chwaląca psy.

Jasnowłosa Seta pokiwała głową na potwierdzenie słów tamtej.

„Tak, tak” – pomyślał Mat. „Zdecydowanie treserka psów”.

– Jeśli życzysz sobie, mój panie, mogą pozostawać związane – oświadczyła Renna przesadnie pochlebczym tonem. – Użyjemy po prostu *a'dam*. Naprawdę nie powinniśmy im ufać i dawać im zbyt dużo wolności.

Nawet mu się ukloniła, choć na modłę Seanchan, czyli pochylając się ostro w prawo. Jej duże brązowe oczy wydawały się przepełnione nadzieją.

Teslyn straciła oddech i przycisnęła mokry płaszcz do piersi. Bez wątpienia nie przezwyciężyła jeszcze swego lęku przed *sul'dam*, w każdym razie wyglądała na zdenerwowaną. W tym momencie podeszła harda jak zawsze Joline. Z typowej dla Aes Sedai spokojnej twarzy jej oczy strzelały błyskawicami. Jak to się zresztą często zdarza w przypadku ładnych kobiet...

– Nie – odparł pospiesznie Mat. – Nie ma potrzeby. Najlepiej oddajcie mi te przedmioty, a ja się ich pozbędę. – O Światłości, po co w ogóle obarczał się tymi kobietami? Pomysł, który kiedyś wydawał się wspaniały, z obecnej perspektywy wyglądał kompletnie bezsensownie. – Musicie po prostu wszystkie zachować ostrożność. Dopiero oddaliliśmy się od Ebou Dar zaledwie o niecałe trzydzieści mil. Drogi są pełne cholernych Seanchan.

Posłał przepaszające spojrzenie trzem Seanchankom. Stały przecież mimo wszystko po jego stronie. Poniekąd. Nie miały dokąd pójść (z wyjątkiem Egeanin), doskonale też wiedziały, kto tutaj dysponuje funduszami. Brwi zaskoczony Bethamin uniosły się i wygięły łukowato. Mat wiedział, że seanchańscy arystokraci nie przepaszają, nawet wzrokiem.

– Żołnierze Seanchan przeszli przez wieś wczoraj – powiedziała Teslyn. Jej illiański akcent zabrzmiał wyjątkowo wyraźnie. Joline przeniosła na nią błyszczące oczy, jednak Teslyn, nie zwracając na nią uwagi, obróciła się i zawiesiła płaszcz. – Rzeczywiście wypytywali mieszkańców o podróżujących obcych. A niektórzy narzekali, że wysyłają ich na północ. – Teslyn spojrzała przez ramię na *sul'dam*, po czym odwróciła do niej wzrok i wzięła głęboki wdech. – Wydaje się, że celem Powrotu jest wschód. Żołnierze mieli nadzieję, że Wiecznie Zwycięska Armia przed końcem wiosny

sprezentuje swojej cesarzowej Illian. Miasto i całą resztę.

Z pozoru Aes Sedai, trafiwszy do Białej Wieży, zapomniały o miejscu swego pochodzenia, jednak każdy Illiańczyk stolicę swego kraju zawsze nazywał „Miastem”.

– To dobrze – stwierdził w zadumie Cauthon, po części do siebie. Żołnierze przez cały czas mówili o zwrocie, z tego powodu do ostatniej minuty nie powierzali swoich planów każdemu konnemu. Na widok unoszących się cienkich brwi Teslyn dodał: – Oznacza to bowiem, że droga do Lugard będzie przeważnie pusta.

Teslyn kiwnęła mocno głową. Nie wyglądała na szczególnie zadowoloną. Powinności Aes Sedai i ich rzeczywiste działania często bardzo się od siebie różniły.

– Z nikim nie rozmawiałyśmy, mój panie, tylko obserwowałyśmy dziewczęta – powiedziała Bethamin jeszcze wolniej niż zwykle, a cedzone zdania wymawiane przez Seanchan zazwyczaj kojarzyły się Matowi z czynnością przelewania miodu w śnieżycę. Bethamin najwyraźniej miała najwięcej spośród *sul'dam* do powiedzenia, chociaż zanim podjęła wypowiedź, zerknęła na obie pozostałe. – W Ebou Dar wszystkie rozmowy w kwaterach *sul'dam* dotyczyły Illian. Żyzna ziemia i bogate Miasto, w którym wielu zdobędzie sławę. I bogactwo. – Ostatnie słowo dorzuciła niedbałym tonem. Jak gdyby majątek liczył się znacznie mniej od reputacji. – Powinniśmy były się domyślić, że zechcesz wiedzieć o takich kwestiach. – Przy kolejnym potężnym wdechu o mało nie pękła na niej sukienka. – Jeśli masz jakieś pytania, mój panie, pytaj. Powiemy ci wszystko, co wiemy.

Renna wykonała jeszcze jeden ukłon. Jej mina wyrażała wyłącznie gorliwość.

– Mogłybyśmy także podsłuchać, o czym się mówi w miastach i wsiach, w których się zatrzymujemy, mój panie – dodała piskliwie Seta. – Dziewczęta potrafią być przebiegłe, nam wszakże możesz zaufać.

Dlaczego, kiedy kobiety oferują swą pomoc, zawsze dokonują tego w tak dziwny sposób? Rysy Joline ułożyły się w maskę lodowatej pogardy. Ta kobieta najwidoczniej nie zamierzała się zniżyć do obserwacji Seanchanek. Po prostu dla niej nie istniały, co było jasno widać na pierwszy rzut oka. Stąd odbiorcą jej pogardliwych, mrozących krew w żyłach spojrzeń stał się on, cholerny Mat Cauthon. Edesina zacisnęła usta i patrzyła takim wzrokiem, jakby chciała nim przewiercić na wylot zarówno Mata, jak i *sul'dam*. Nawet Teslyn opanowała oburzenie. Również czuła wdzięczność za ratunek, lecz była przecież Aes Sedai. I ona spoglądała na Cauthona z marsową miną. Mat podejrzewał, że jeżeli któraś z *sul'dam* nagle klaśnie w dłonie, Teslyn podskoczy niczym przestraszona żaba.

– Chcę jedynie – wyjaśnił cierpliwie – żebyście wszystkie pozostały w pobliżu wozów. – Wobec kobiet należało wykazywać cierpliwość, także wobec Aes Sedai. Odkrył tę prawdę już dawno temu. – Wystarczy plotka, że wśród członków widowiska znajduje się choćby jedna siostra i zaczną na nas polować Seanchanie. A z kolei pogłoski o przebywających w wozach i namiotach widowiska Seanchanek też nam się w żaden sposób nie przysłużą. Każdą tego typu wiadomość prędzej czy później przyjdzie ktoś sprawdzić i nagle nasza sytuacja zrobi się trudna i nieprzyjemna. Nie afiszujcie się więc, tylko tego żądam! Do czasu aż zbliżymy się do Lugard, nie oddalajcie się od wozów. Nie proszę chyba o zbyt wiele, prawda?

Widok za oknem wozu rozświetliła nagle błyskawica, gdzieś w pobliżu trzasnął też grzmot. Dźwięk przeciągnął się, odbijając się echem od ścian wozów.

Jak pokazały upływające dni, najwyraźniej Mat prosił jednak te kobiety o zbyt wiele. Na szczęście wychodzące poza teren obozowiska Aes Sedai skrywały twarze pod kapturami – wystarczająco je usprawiedliwiał stale padający deszcz oraz panujące zimno – jednak co jakiś czas

któraś z nich upierała się przy jeździe na koźle, a żadna nie starała się szczególnie uchodzić za służącą pracowników widowiska. Na szczęście nie przyznawały się, kim są, nikomu nie rozkazywały, nie pomiatały innymi, z nikim nie rozmawiały, jedynie między sobą, jednakże... jaka służąca jawnie czeka, aż ludzie zejdą jej z drogi? Nadal wyprawiały się również do wiosek, a czasami nawet do miast, jeśli tylko miały pewność, że nie spotkają tam żadnych Seanchan. A kiedy Aes Sedai były czegoś pewne, nie mogły się mylić. Dwukrotnie pospiesznie wróciły, gdyż w mieście dostrzegły mnóstwo wędrujących na północ osadników.

Za każdym razem opowiadały mu o wszystkim, czego się dowiedziały podczas swoich wycieczek. To znaczy... Mat tak sądził. Teslyn okazywała mu wdzięczność, chociaż w typowy dla Aes Sedai sposób. Podobnie Edesina.

Wbrew dzielącym je różnicom Joline, Teslyn i Edesina trzymały się razem niczym stadko gęsi. Gdy Cauthon dostrzegał jedną, w pobliżu zawsze kręciły się dwie pozostałe. A ilekroć widział, jak wychodzą na przechadzkę, starannie okryte płaszczami i w głęboko nasuniętych na czoło kapturach, mógłby się założyć, że minutę później zauważy depczące im po piętach Bethamin, Rennę i Setę, które udawały swobodę, niemniej jednak ani na chwilę nie spuszczały wzroku z „dziewcząt”. Prawdziwe dwa odrębne stadka. Ślepiec wychwyciłby panujące między dwiema grupkami kobiet napięcie. I nawet ślepiec bez najmniejszych wątpliwości wiedziałby, że żadna z nich nie jest służącą. *Sul'dam* także rzucały wokół dumne, władcze spojrzenia, domagały się szacunku i poruszały niemal z równą arogancją co Aes Sedai. Mat jednak nie potrafił sobie z nimi poradzić.

Bethamin i jej dwie towarzyszki zachowywały ostrożność i unikały Seanchan, tym niemniej podążały tuż za Aes Sedai, wchodząc za nimi do wiosek czy miast. Bethamin zawsze przekazywała Cauthonowi ciekawe informacje, które we trzy podsłuchały, Renna uśmiechała się przymilnie, Seta zaś ćwierkała, że „dziewczęta” przegapiły to czy tamto, bądź też twierdziła, że niczego nie słyszała. Nigdy nie można być pewnym kobiety, która ma czelność nazywać siebie Aes Sedai. Wszystkie trzy sugerowały Matowi, że może powinien ponownie rozważyć wzięcie tamtych na smycz, choćby do czasu, póki sytuacja nie stanie się bezpieczniejsza.

W sumie opowieści tych trzech kobiet wcale tak bardzo nie różniły się od historii, które opowiadały Cauthonowi siostry. Jedne i drugie wspominały mu podsłuchane rozmowy mieszkańców na temat przemierzających się przez miasto Seanchan. Wielu osadników zachowywało się nerwowo i mówiło o dzikich Aielach, którzy siali spustoszenie w Altarze, chociaż miejscowi zgodnie twierdzili, że Aielowie są raczej gdzieś dalej na północy. Chyba ważniejsi i wyżej postawieni myśleli jednak tak samo, ponieważ wielu osadników kierowało się na wschód, do Illian. Najwyraźniej zawarte zostało przymierze z kimś potężnym, kimś, kto mógłby dać Wysokiej Lady Suroth dostęp do licznych ziem. Seanchanki nie dawały się przekonać, że nie muszą słuchać pogłosek. Nigdy też nie przekazały Matowi *a'dam*. Po prawdzie, te srebrzyste smycze i trzy *sul'dam* stanowiły jedyne prawdziwy środek nacisku, jakiego mógłby użyć wobec Aes Sedai.

A wdzięczność? Wdzięczność ze strony Aes Sedai?! Ha! Nie, nie, tak naprawdę Cauthon ani przez chwilę nie myślał o ponownym nałożeniu siostrom metalowych kołnierzy. Nie chciał zmieniać obecnego stanu rzeczy.

Właściwie nie potrzebował informacji, które przekazywały mu *sul'dam* i Aes Sedai. Miał lepsze źródła, ludzi, którym ufał. No cóż, ufał Thomowi i wierzył w nowiny, które siwowłosa bard zdobywał podczas gry wraz z Olverem w Węże i Lisy. Albo gdy oddawał się marzeniom nad mocno pogniecionym listem, który nosił pod kaftanem na piersi. Thom potrafił wejść do głównej sali gospody, opowiedzieć historię, może trochę poząnglować, a po wyjściu znał myśli wszystkich swoich towarzyszy. Mat ufał także Juilinowi, który działał podobnie jak Thom, tyle że bez zonglerki

czy opowieści, jednakże Juilin zawsze się upierał, by wszędzie zabierać z sobą Therę, skromnie trzymającą swego mężczyznę pod ramię podczas spaceru do miasta. Juilin twierdził, że próbuje swoją kobietę ponownie przyzwycząić do wolności, ona zaś, słysząc te słowa, podnosiła na niego duże, połyskujące tajemniczo oczy i uśmiechała się pełnymi ustami, które niemal domagały się pocałunku. Czyżby, jak twierdzili Juilin i Thom, Thera rzeczywiście była kiedyś Panarch Tarabonu? Cauthon powoli zaczynał w to wątpić. Słyszał, jak niektórzy akrobaci żartowali sobie, że taraboniańska dziewczyna służebna używa sobie z taireniańskim łowcą złodziei, aż mężczyzna prawie nie może chodzić. Panarch czy służąca jednak, Thera wciąż usiłowała klękać, ilekroć usłyszała słowa wypowiedane z „cedzącym” akcentem. Matowi przeniknęło przez myśl, że każdy Seanchanin, który zada jej jakiegokolwiek pytanie, dowie się od niej wszystkiego, co dziewczyna wie, poczynając od informacji na temat Juilina Sandara, a kończąc na lokalizacji wozu, w którym znajdowały się Aes Sedai. W dodatku wszystkich tych odpowiedzi Thera udzieli przedstawicielowi narodu najeźdźców, nie podnosząc się z kolan. Z tego też względu w opinii Cauthona kobieta Juilina stanowiła dla nich większe niebezpieczeństwo niż Aes Sedai i *sul'dam* razem wzięte. Sam Juilin wszakże obruszał się na najdrobniejszą nawet sugestię związaną z potencjalną nieodpowiedzialnością i niesolidnością Thery i natychmiast zaczynał wymachiwać swoją bambusową pałką z wyraźnym zamiarem roztrzaskania nią Matowi głowy. Nic nie można było poradzić na zaślepienie Tairenianina, na szczęście Cauthon znalazł przynajmniej tymczasowe rozwiązanie – coś w rodzaju ostrzeżenia na wypadek najgorszego.

– Oczywiście, że mogę za nimi chodzić. – Noal zgodził się bez wahania, błyskając szerokim, szczerbatym uśmiechem, którym poświadczał, że sprawa wydaje mu się dziecinnie prosta. Następnie przyłożył zdeformowany palec do boku złamanego nosa, drugą sękatą rękę zaś wsunął sobie pod płaszcz i dotknął trzymany tam noży. – Jesteś pewien, że nie byłoby lepiej po prostu dopilnować, aby dziewczyna z nikim nie rozmawiała? To tylko sugestia, chłopcze. Jeśli mówisz „nie”, to znaczy „nie”.

Mat powiedział „nie” z maksymalnym naciskiem. Zabił już w swoim życiu jedną kobietę, a inną pozostawił na pewną śmierć. Nie zamierzał brać na swoje sumienie trzeciej.

– Wydaje mi się, że Suroth mogła zawrzeć przymierze z jakimś królem – zakomunikował Juilin, uśmiechając się nad pucharem grzanego wina. Dzięki Therze przynajmniej częściej się uśmiechał. Kobieta kuliła się obok stołka swego mężczyzny w ich ciasnym namiocie, jej głowa spoczywała na kolanach Juilina, który gładził lekko jej włosy wolną ręką. – Przynajmniej sporo się mówi o potężnym nowym sojuszniku. A ci osadnicy... wszyscy jak jeden... wydają się śmiertelnie przerażeni wszelkimi wzmiankami o Aielach.

– Większość osadników wysłano najwyraźniej na wschód – dodał Thom, zerkając ze smutkiem w swój puchar. Tak jak Juilin codziennie był szczęśliwszy, tak on z każdym dniem wyglądał na smutniejszego. Noal był wprawdzie na dworze, czekając na wyjście Juilina i Thery, jednak na tyłach namiotu siedzieli po turecku Lopin i Nerim, a dwóch cairhieniańskich służących z przyborami do szycia przeglądało dobre kaftany Mata z Ebou Dar, szukając na nich miejsc, które ich zdaniem koniecznie wymagały zacerowania, z tego też względu mały namiot i tak wydawał się zatłoczony. – A także wielu żołnierzy – kontynuował Thom. – Wszystko przemawia za tym, że spadną na Illian niczym młot na kowadło.

No cóż, przynajmniej Cauthon wiedział, że słyszy od nich nietuszowaną prawdę. Z mężczyznami rozmawiało się zupełnie inaczej niż z używającymi niedomówień Aes Sedai czy z *sul'dam*, które stale się podlizywały i wdzięczyły. Bethamin i Seta nauczyły się nawet dygnić i ukłonów. Jednakże Mat lepiej czuł się z Renną, choć ta kłaniała się jeszcze niżej. W niej była jakaś szczerłość. Dziwne,

lecz właśnie ona wydawała mu się najuczciwsza.

Cauthon nie zwracał szczególnej uwagi na mijane miejscowości – miasto czy wieś, przez chwilę jedynie obrzucał okolicę szybkim spojrzeniem, stojąc w oddali z podniesionym kołnierzem i w nisko naciągniętej na oczy czapce, po czym obracał się i ruszał z powrotem do siedziby widowiska. Rzadko nosił płaszcz, gdyż takie okrycie utrudniało używanie noży, które trzymał blisko ciała. Nie znaczy to oczywiście, że stale w obawie wypatrywał konieczności użycia któregoś z nich. Po prostu zachowywał roztropność i ostrożność. Nie pijał alkoholu, nie uczestniczył też ani w tańcach, ani w hazardzie. Zakazywał sobie właśnie zwłaszcza hazardu. Pociągał go wprawdzie grzechot kości turlającej się po stole w głównej sali gospody, wiedział jednak, iż jego wyjątkowe szczęście w grze nie pozostałoby niezauważone, a odkrywszy je, ktoś mógłby wyciągnąć przeciwko niemu swoje ostrze. W tej części Altary zarówno mężczyźni, jak i kobiety nosili noże schowane za pasami i w każdym momencie byli gotowi ich użyć. Mat zaś nie chciał przyciągać niczyjej uwagi, obchodził więc z dala stoły, przy których grano, kiwał chłodno głową uśmiechającym się do niego tawernianym dziewczętom i nigdy nie wypijał więcej niż puchar wina, a zazwyczaj nawet tego jednego nie zamawiał. Ostatecznie, miał przecież w siedzibie widowiska do wykonania pracę, a może raczej zadanie. Rozpoczął je już pierwszej nocy po opuszczeniu Ebou Dar. Nie było ani lekkie, ani przyjemne.

– Musicie pójść ze mną – oznajmił wówczas, otwierając drzwi szafki wbudowanej w ściankę wozu pod jego łóżkiem.

Trzymał tam swój kuferek ze złotem, które zdobył uczciwą grą hazardową. Większą część zyskał podczas jednego wyścigu konnego, gdy nie miał bynajmniej więcej szczęścia niż wielu innych stawiających. Co do reszty sumy... Każdy, kto postanawiał rzucać kośćmi lub monetami, czy też zagrać w karty, powinien brać pod uwagę przegraną.

Siedzący na drugim łóżku Domon pocierał ręką szczecinkę na ogolonym skalpie i słuchał tej lekcji. Ten mężczyzna – jako dobry *so'jhin* – z chęcią sypiałby na podłodze, początkowo jednak co noc pragnął namówić Cauthona na grę w monety. Grali o drugie łóżko; pierwsze, ma się rozumieć, zajmowała Egeanin. Rzucanie monetami było równie łatwe jak gra w kości. Matowi zdarzało się często, że jego moneta lądowała na samej krawędzi. Ale wszak to Domon zaproponował grę, nie on. Tak czy owak, Cauthon wygrywał łóżko podczas czterech kolejnych nocy, a potem, w piątą, rzucona przez niego moneta zatrzymała się na krawędzi trzy razy z rzędu. Domon nie miał takiego szczęścia. Także dzisiejszej nocy spał na podłodze.

Mat znalazł małą skórzaną sakiewkę, po czym wepchnął ją do kieszeni kaftana i wyprostował się, zamykając stopą szafkę.

– Kiedyś musisz stawić jej czoło – powiedział do Egeanin. – I powinnaś załagodzić sytuację. – Pragnął, ażeby ktoś przyciągnął gniew Tuon, dzięki czemu on sam, poprzez porównanie, wydawałby się Córce Dziewięciu Księżyców bardziej możliwy do zaakceptowania, jednakże uważał, że nie może powiedzieć tego kobiecie wprost. – Jesteś seanchańską arystokratką i możesz mnie uchronić przed kłopotliwą sytuacją.

– Dlaczego musisz ją łagodzić... tę sytuację? – wycodziła powoli Egeanin. Stała przy drzwiach wozu z pięściami zaciśniętymi na biodrach. Jej niebieskie oczy łypały spod długiej, czarnej peruki, niemal świdrując jego twarz. – Po co się musisz z nią widywać? Czy nie zrobiłeś dość?

– Nie mów mi, że się jej obawiasz – zadrwił Cauthon, uchylając się od odpowiedzi na jej pytania. Jakich odpowiedzi miałby jej udzielić? Wszystkie, które przychodziły mu do głowy, brzmiały szaleńczo. – Możesz sobie z nią poradzić prawie tak łatwo jak ja. Obiecuję, że nie pozwolę, aby ci zrobiła krzywdę.

– Egeanin nikogo się nie obawia, chłopcze – warknął Domon zaczepnym tonem. – Gdy nie zechce pójść, będziesz musiał sam nadskakiwać dziewczynie. Zostań nawet u niej na noc, jeśli chcesz.

Seanchanka nadal wpijała się wzrokiem w twarz Mata. Jeszcze przez chwilę patrzyła na niego z furją, potem zerknęła na Domona, a wtedy ramiona jej opadły. W końcu nieoczekiwanie wstała i szarpnęła swój płaszcz z kołka na ścianie.

– Ruszamy, Cauthon – rzuciła ostro. – Skoro trzeba coś zrobić, najlepiej od razu sprawę zakończyć i mieć ją z głowy.

Szybko wyskoczyła z wozu, a Mat pospiesznie podążył w jej ślady, starając się ją dogonić. Pomyślał, że może nie chciała zostać sam na sam z Domonem, choć myśl ta nie miała zbytniego sensu.

Wśród czarnej nocy przed pozbawionym okien purpurowym wozem jakiś cień skrył się głębiej w ciemności. Sierp księżyca wysunął się akurat zza chmur na tak długą chwilę, że Cauthon rozpoznał kwadratową szczękę Harnana.

– Wszędzie spokój, mój panie – oświadczył dowódca roty.

Mat kiwnął głową i wziął głęboki wdech, którym poruszył skrywaną w kieszeni skórzaną sakiewkę. Powietrze po deszczu było czyste i Cauthon nie wyczuł w nim nawet śladu zapachu koni. Tuon na pewno była zadowolona, że nie dociera do niej ani smród łajna, ani nieprzyjemny fetor ze zwierzęcych klatek. W wozach członków widowiska po lewej stronie panował identyczny mrok jak w przykrytych płótnem wozach towarowych po prawej. Nie było sensu czekać dłużej. Mat popchnął Egeanin, która zaczęła się wspinać po stopniach purpurowej siedziby Tuon.

W środku znajdowało się więcej osób, niż Mat przypuszczał. Na jednym z łóżek siedziała Setalle, haftując znów na tamborku, przy drugim końcu stała Selucia, obrzucając gniewnym spojrzeniem chustę, którą zazwyczaj obwiązywała sobie głowę, na innym łóżku przysiadł Noal, jawnie zatopiony w myślach, Tuon natomiast siedziała po turecku na podłodze i grała z Olverem w Węże i Lisy.

Kiedy Cauthon wszedł, chłopiec obrócił się do niego z uśmiechem tak szerokim, że niemal sięgającym od ucha do ucha.

– Noal opowiadał nam o Co'dansin, Macie – krzyknął. – To inna nazwa krainy zwanej Shara. Wiedziałaś, że Ayyadki tatuują sobie twarze? Właśnie tak nazywa się w Sharze kobiety, które potrafią przenosić Moc.

– Nie, nie wiedziałem – przyznał Cauthon, popatrując srogo na Noala. I tak źle, że Vanin i Czerwonorecy uczyli Olvera swych paskudnych nałogów, nie wspominając o nawykach, którymi dzieciak zarażał się od Juilina i Thoma. Po co jeszcze Noal napełniał mu głowę zmyślonymi bzdurami?

Nagle starzec klepnął się w udo, zerwał się z miejsca i stanął prosto.

– Teraz sobie przypominam – oznajmił.

Po czym stary głupiec zaczął recytować:

Fortuna się toczy niczym słońce w codziennej potrzebie.

Trzyma z lisem – dzięki niemu kruki kołują po niebie.

Szczęście w jego duszy, w oku błyskawice,

sam zaś strąca z nieba rozliczne księżyce.

To powiedziawszy, Noal – ów mężczyzna ze złamanym nosem – rozejrzał się wokół siebie, jakby dopiero teraz sobie uprzytomnił, że nie jest sam w wozie.

– Próbuję pamiętać tę strofkę. Stanowi część Proroctw Smoka.

– Bardzo interesujące, Noalu – szepnął Mat. Kolory zawirowały w jego głowie dokładnie w taki sam sposób, w jaki wirowały tamtego ranka, kiedy Aes Sedai o władnęła panika. Tym razem wprawdzie barwy zniknęły, zanim ułożyły się w konkretny obraz, jednakże Cauthon poczuł takie zimno, jakby przespał noc pod krzakiem. Ostatnią rzeczą na ziemi, jakiej potrzebował, było łączenie go z Proroctwami. – Może kiedyś wyrecytujesz nam cały tekst. Ale nie dzisiejszego wieczoru. Rozumiesz?

Tuon podniosła głowę i popatrzyła na niego przez zmrużone rzęsy. Przypominała lalkę z czarnej porcelany ubraną w zbyt dużą sukienkę. O Światłości, ależ ta dziewczyna miała długie rzęsy! Zignorowała Egeanin, wyraźnie udając, że druga kobieta w ogóle nie istnieje i po prawdzie Egeanin ze wszystkich sił starała się zniknąć, na przykład wtopić się w szafę wbudowaną w ściankę wozu. I najwidoczniej doskonale jej się to udawało.

– Nie musisz być niegrzeczny, Zabawko – mruknęła Tuon z typowym dla siebie powolnym „miodnym” cedzeniem. – Po prostu nie uczono go manier. Jest już wszakże późno, panie Charin. Olver powinien położyć się do łóżka. Może odprowadzisz go do jego namiotu? Zagramy ponownie innym razem, Olverze. Chciałbyś, żebym cię nauczyła grać w kamienie?

Chłopiec przytaknął z wielką ochotą, wierząc się i nie mogąc usiedzieć w miejscu. Temu dzieciakowi podobało się wszystko, co dawało szansę posłania uśmiechu jakiejś kobiecie, nie mówiąc o możliwości wypowiedzenia słów, za które ktoś powinien natrzeć mu uszu. Jeśli Mat kiedykolwiek odkryje, który z „dobrych wujaszków” uczy Olvera tego wszystkiego... Teraz jednak chłopiec posłusznie zebrał pionki i ostrożnie zwinął pełniącą funkcję planszy szmatkę. Nie trzeba mu było drugi raz powtarzać polecenia. Zanim pozwolił się Noalowi wyprowadzić z wozu, wykonał nawet przyzwoity ukłon i kurtuazyjnie podziękował Wysokiej Lady. Cauthon pokiwał głową z aprobatą. Sam nauczył malca tego ukłonu, zazwyczaj jednak Olver przy okazji obrzucał ładną kobietę pożądanym spojrzeniem.

– Masz powód, że mi przeszkadzasz, Zabawko? – spytała chłodnym tonem Tuon. – Jest późno i chciałam się już położyć.

Uklonił się i dodał swój najlepszy uśmiech. Potrafił być dla niej uprzejmy, nawet jeżeli jej brakowało grzeczności.

– Chciałem jedynie sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku. W tych wozach jeździ się bardzo niewygodnie. I wiem, że nie czujesz się dobrze w ubraniu, które dla ciebie znalazłem. Pomyślałem, że może poprawi ci humor coś takiego.

Wyłowił z kieszeni skórzaną sakiewkę i z rozmachem pokazał ją dziewczynie. Uważał, że kobietom podoba się rozmach.

Selucia napięła mięśnie i bystrzej spojrzęła niebieskimi oczyma, jednak Tuon dała tylko lekki znak szczupłymi palcami i służąca o pełnym łonie natychmiast nad sobą zapanowała. Ogólnie rzecz ujmując, Cauthon lubił zadziorne kobiety, jeśli jednak Selucia przeszkodzi mu w jego zamierzeniach, ostro ją skarci. Zmusił się do utrzymania uśmiechu na twarzy, a nawet zdołał go nieco rozszerzyć.

Tuon obróciła sakiewkę w dłoniach kilka razy, po czym rozwiązała sznurki i wysypała sobie zawartość na kolana. Ciężki, złoty naszyjnik z rzeźbionymi bursztynami. Kosztowny przedmiot, robota Seanchan. Mat był dumny, że coś takiego znalazł. Cacko stanowiło własność pewnej akrobatki, a ta otrzymała je od seanchańskiego oficera, któremu przypadła do gustu, teraz wszakże, gdy oficer pozostał daleko za nimi, skłonna była sprzedać błyskotkę. Twierdziła, że nie pasuje do jej skóry, cokolwiek to znaczyło... Cauthon uśmiechnął się i czekał. Na widok klejnotów kobietom zawsze wszak miękła serca.

Nikt jednakże nie zareagował zgodnie z jego przewidywaniami. Tuon podniosła naszyjnik w obu rękach do oczu i studiowała go z taką uwagą, jak gdyby nigdy wcześniej niczego takiego nie widziała. Selucia wydeła wargi z szyderstwem. Setalle odłożyła robótkę na kolana i przyglądała się Matowi. Gdy potrząsnęła głową, zakolysały się wielkie złote koła, które nosiła w uszach.

Sekundę później Tuon niespodziewanie rzuciła naszyjnikiem w Selucię.

– Nie pasuje mi – oświadczyła. – A tobie się podoba, moja droga?

Uśmiech Cauthona nieco osłabł.

Służąca o kremowej skórze niechętnie chwyciła naszyjnik między kciuk i palec wskazujący. Wydawała się trzymać martwego szczura za ogon.

– To cacko dla tancerki *shea*, która może je sobie nosić pod welonem – odparowała z lekką drwiną. Obróciła nieco nadgarstek i cisnęła błyskotką w Egeanin, warcząc: – Włóż!

Egeanin złapała przedmiot w ostatniej sekundzie, gdyż jeszcze chwila, a dostałaby nim w twarz. Uśmiech Mata zupełnie zniknął.

Oczekiwał na wybuch, lecz Seanchanka bez wahania i szybko rozpięła zatrzask, a następnie odgarnęła włosy ciężkiej peruki, umieściła sobie błyskotkę na szyi i zapięła. Na jej twarzy nie pojawiły się żadne emocje; równie dobrze jej rysy mogły być ukształtowane ze śniegu.

– Obróć się – poleciła Selucia. Bez wątpienia był to rozkaz. – Pokaż mi się.

Egeanin wykonała polecenie. Jej ciało wydawało się sztywne jak kołek w płocie, tym niemniej się obróciła.

Setalle przyjrzała się uważnie Seanchance, wyraźnie zaintrygowana, po czym potrząsnęła głową, spojrzała na Cauthona, ponownie potrząsnęła głową i w końcu wróciła do swojego haftu. Kobiety potrafiły potrząsać głowami na setki sposobów, podobnie jak umiały posyłać setki rozmaitych spojrzeń. Z tej miny Mat wywnioskował, że Setalle uważa go za błazna. Był zadowolony, że nie pojął subtelniej szych niuansów, gdyż nie sądził, ażeby mu się spodobały. Niech szczęście, kupił ten naszyjnik dla Tuon, a ta oddała go Selucii, która z kolei wręczyła go Egeanin!

– Ta kobieta ma nowe imię – oświadczyła Tuon z zadumą. – Jak ono brzmi?

– Leilwin – odparła Selucia. – Odpowiednie imię dla tancerki *shea*. Może Leilwin Pozbawiona Statku?

Tuon pokiwała głową.

– Tak, Leilwin Pozbawiona Statku.

Egeanin wykonała nagły ruch, jakby każde ich słowo stanowiło dla niej cios w twarz.

– Mogę odejść? – spytała sztywno, pochylając się w gwałtownym ukłonie.

– Jeśli chcesz odejść, odejdz – odburknął Cauthon. Przyrowadzenie jej tutaj nie było z pewnością najlepszym z jego pomysłów, może wszakże jej nieobecność pomoże nieco naprawić sytuację.

Egeanin padła na kolana, wbijając wzrok w deski podłogowe.

– Proszę, czy mogę odejść?

Tuon wyprostowała się i wpatrzyła w wysoką Seanchankę niewidzącym wzrokiem. Selucia z kolei oceniła Egeanin spojrzeniem od stóp do głów i jeszcze bardziej wydeła wargi. Setalle przepchnęła igłę przez materiał rozciągnięty na tamborku. Żadna nie patrzyła na Mata.

Egeanin całym ciałem upadła na podłogę, a kiedy pocałowała deski, zaskoczony Cauthon zdusił przekleństwo.

– Proszę – dodała chrapliwym głosem. – Błagam o pozwolenie odejścia.

– Odejdiesz, Leilwin – stwierdziła Selucia zimnym tonem, jaki królowa rezerwuje do rozmów ze złodziejami kur – i nie pokażesz mi więcej swojej twarzy, chyba że skryjesz ją pod welonem

tancerki *shea*.

Egeanin podniosła się na czworaki i szybko ruszyła do drzwi. Mat gapił się na nią bez słowa.

Z wysiłkiem zdołał przywrócić uśmiech na twarz. Czuł, że jego pozostanie tutaj nie ma szczególnego sensu, chciał jednak opuścić wóz z jako takim wdziękiem.

– No cóż, przypuszczam, że...

Tuon znowu wykonała ruch palcami, wciąż na niego nie patrząc, jednak to Selucia mu przerwała.

– Wysoka Lady jest zmęczona, Zabawko. Masz jej pozwolenie do odejścia.

– Słuchajcie, nazywam się Mat – odwarknął. – Łatwe imię. Proste imię. Mat!

Tuon pozostała nieporuszona, jeszcze bardziej przypominając porcelanową lalkę.

Setalle wszakże odłożyła robótkę i wstała. Jedna jej ręka spoczywała teraz lekko na rękojęści zakrzywionego sztyletu, który nosiła wsunięty za pas.

– Młody człowieku, jeśli myślisz, że będziesz się kręcił po wozie i obserwował, jak się przygotowujemy do snu, jesteś niespełna rozumu. – Mówiąc to, uśmiechała się, nadal jednak trzymała dłoń na rękojęści swego noża i najwidoczniej na tyle się czuła eboudarianką, że bez wahania mogłaby go wbić mężczyźnie w pierś przy lada kaprysie. Tuon siedziała nieruchomo jak kukielka albo usadzona na tronie królowa, którą przez pomyłkę ubrano w źle dopasowane ubranie.

Cauthon wyszedł.

Egeanin stała ze spuszczoną głową przy ścianie wozu, opierając się o nią jedną ręką. Drugą zaś dłoń zaciskała na wiszącym wokół szyi naszyjniku. Harnan nieznacznie poruszył się w ciemnościach, po prostu dając do zrozumienia Matowi, że trwa na posterunku. Jako mądry człowiek wiedział, że nie należy się teraz zbliżać do Egeanin. Cauthon jednakże był zbyt poirytowany, aby zachowywać się rozsądnie.

– Co to był za popis? – spytał ostro. – Nie musisz podchodzić do Tuon na kolanach. A kim jest Selucia? To tylko cholerna służąca! Nie znam nikogo, kto okazuje królowej takie posłuszeństwo, jakie ty okazałaś jej.

Nadal nie widział twarzy Egeanin, jednakże usłyszał jej słaby głos.

– Wysoka Lady jest... kim jest. Selucia zaś to jej *so'jhin*. Żaden przedstawiciel pomniejszej Krwi nigdy nie ośmieliłby się patrzeć w oczy *so'jhin* Tuon, może nie odważyłby się tego zrobić nawet nikt ze Szlachetnej Krwi. – Rozległ się metaliczny trzask, gdy odpięła naszyjnik. – Z drugiej strony, nie jestem obecnie przedstawicielką Krwi.

Wyprostowała się, zrobiła potężny zamach i wyrzuciła naszyjnik w noc tak daleko, jak potrafiła.

Mat rozdziawił usta. Pieniądze, które wydał na tę błyskotkę, wystarczyłyby na zakup tuzina pierwszorzędných koni i jeszcze by mu pewnie nieco zostało. Zamknął usta, nie wypowiedziawszy słowa. Może nie zawsze postępował mądrze, zdawał sobie jednak sprawę, kiedy jakaś kobieta naprawdę ma ochotę wbić mu w serce nóż. Uprzytomnił sobie jeszcze jedno. Skoro Egeanin w taki sposób zachowała się w towarzystwie Tuon i Selucii, powinien dopilnować, żeby *sul'dam* trzymano od nich z daleka. Światłość jedna wie, co zrobią *sul'dam*, jeżeli Tuon zacznie przy nich pstrykać palcami.

Miał zatem przed sobą zadanie do wykonania. No cóż, nienawidził takiego działania, ale te stare wspomnienia zapychały mu głowę szeregiem bitew. Bitew również nienawidził – w bitwie można przecież stracić życie! – lecz i tak wołał je od takiej pracy. Strategia i taktyka. Naucz się podstaw, poznaj swojego wroga i jeśli nie zdołasz wygrać w jeden sposób, znajdź inny.

Następnej nocy wrócił do purpurowego wozu sam, a kiedy Tuon zakończyła lekcję uczenia Olvera gry w kamienie, Cauthon namówił dziewczynę na partyjkę. Początkowo gdy usiadł na

podłódze po drugiej stronie planszy, naprzeciw tejciemnoskórej, małej kobietki, nie miał pewności, czy powinien z nią wygrać czy przegrać. Wiedział, że niektóre kobiety lubią przez cały czas wygrywać, jednak tylko dzięki staraniom mężczyzny zwycięstwo wydaje im się zasłużone. Inne lubią kiedy wygrywa mężczyzna. Żadna z tych sytuacji nie miała dla Mata sensu, ponieważ osobiście zawsze uwielbiał wygrywać, a im łatwiej przychodziła mu wygrana, tym większe sprawiała zadowolenie. Nadal się wahał, aż nagle Tuon zdecydowała za niego. W połowie gry uświadomił sobie niespodziewanie, że właśnie zapędziła go w kozi róg i schwytała w pułapkę, z której nie potrafił wyjść. Jej białe kamienie wszędzie zbijały jego czarne. Dziewczyna wygrała czysto i efektownie.

– Nie grasz zbyt dobrze, Zabawko – powiedziała kpiąco.

Mimo drwiącego tonu jej duże, mokre oczy szacowały go chłodno, ważąc i mierząc jego osobę. W takich oczach bez trudu można było utonąć.

Uśmiechnął się i pożegnał, zanim komuś przyszło na myśl go wyprosić. Strategia. Myśl o przyszłości. Niespodziewane działania. Następnej nocy przyniósł mały kwiat wykonany z czerwonego papieru przez jedną ze szwaczek współpracujących z widowiskiem. Kwiat wręczył zaskoczonej Selucii. Setalle uniosła brwi, zdumiona była nawet Tuon. Taktyka. Pozbawił przeciwnika równowagi. W sumie, kiedy się nad tym skupić, kobiety i bitwy wcale aż tak bardzo się od siebie nie różniły. Jedne i drugie dziwiły człowieka i w każdej chwili groziła mu wtedy śmierć. O ile zachowywał się nieostrożnie.

Każdej nocy Cauthon odwiedzał purpurowy wóz i grał z Tuon w kamienie pod czujnym okiem Setalle i Selucii. Koncentrował się wyłącznie na kratkowanej planszy. Dziewczyna grała doskonale i nieraz przyłapywał się na obserwacji, jak układała kamienie dwoma palcami, z osobliwym wdziękiem odginając w tył pozostałe. Przyzwyczaiła się do długich na cal paznokci i bardzo uważała, by ich sobie nie połamać. Jej oczy w pewnym sensie również stanowiły niebezpieczeństwo. Mat starał się nie planować wcześniej swoich posunięć, ponieważ odnosił irracjonalne wrażenie, iż Tuon sięga wzrokiem do wnętrza jego czaszki. Równocześnie usiłował się bardzo przykładać do gry i udało mu się wygrać cztery partie z następnych siedmiu. Tuon była usatysfakcjonowana, ilekroć wygrała i zdeterminowana, gdy przegrała, lecz nigdy nie wpadała w złość (czego się obawiał). Oszczędzała mu też zjadliwych komentarzy, upierając się jedynie przy nazywaniu go Zabawką; rzadko również obnosiła się z typową dla siebie lodowatą, królewską dumą – przynajmniej, póki grali. Gra po prostu sprawiała jej przyjemność i cieszyła się nią. Śmiała się radośnie, jeśli zdołała wciągnąć Cauthona w zasadzkę, a kiedy wykazał się bystrością i dał radę uciec, jej śmiech był jeszcze serdeczniejszy. W trakcie gry wydawała się Matowi zupełnie inną osobą.

Za czerwonym kwiatem podążył kolejny, tym razem uszyty z niebieskiego lnu, a w dwa dni później jeszcze jeden, z różowego jedwabiu; główka tego ostatniego była wielkości kobiecej dłoni. Oba kwiaty Cauthon również wręczył Selucii. Niebieskie oczy służącej przyglądały mu się coraz bardziej podejrzliwie, jednakże Tuon pozwoliła Selucii zatrzymać wszystkie kwiaty, które tamta starannie zawijała w lnianą szmatkę. Przez następne trzy dni Mat nie przynosił prezentów, potem zaś zjawił się z małym pęczkiem róż z czerwonego jedwabiu, kwiatków na krótkich łodygach z błyszczącymi liśćmi, które wyglądały jak naturalne, tyle że były... jeszcze bardziej od naturalnych doskonałe. O ich wykonanie Cauthon poprosił szwaczkę w dniu, w którym kupił pierwszy papierowy kwiat.

Selucia już zrobiła krok i sięgnęła po róże, wydymając wargi, Mat wszakże usiadł i położył kwiaty obok planszy, bardziej od strony Tuon. Nic nie powiedział, jedynie pozostawił leżący pęczek. Dziewczyna ani razu nawet nie zerknęła na róże. Cauthon włożył dłonie do małych skórzanych

woreczków zawierających kamienie, wyjął z każdego po jednym i przesuwał je w palcach tak długo, aż stracił pewność, który jest biały, a który czarny, dopiero wówczas w każdej pięści zamknął jeden z nich i wysunął przed siebie zaciśnięte ręce. Tuon wahała się przez moment, bez wyrazu obserwując jego twarz, po czym poklepała jego lewą rękę. Mat otworzył dłoń i pokazał jej błyszczący biały kamień.

– Zmieniłam zdanie, Zabawko – mruknęła dziewczyna, układając kamień starannie na przecięciu dwóch linii blisko środka planszy. – Grasz bardzo dobrze.

Cauthon zamrugał powiekami. Czyżby wiedziała, co zamyślał? Selucia stała za plecami swojej pani, z pozoru skupiona na prawie pustej planszy. Setaile odwróciła stronicę w książce i nieco się przesunęła, aby zyskać lepsze światło. Nie, nie, oczywiście, że Tuon niczego się nie domyślała. Mówiła o grze w kamienie. Gdyby chociaż podejrzewała jego prawdziwą grę, natychmiast nieźle dałaby mu popalić. Żadna kobieta nie postąpiłaby inaczej.

Tej nocy grali do remisu. Każde z nich z uwagą kontrolowało swoją połowę planszy. W sumie jednak to Tuon odniosła zwycięstwo.

– Dotrzymałam słowa, Zabawko – wycedziła na koniec, kiedy Mat chował kamienie do woreczków. – Nie próbowałam uciekać i nawet nie pomyślałam o zdradzie. Ale duszę się tutaj. – Rozłożyła ręce. – Chcę czasem pospacerować. Po zmroku. Możesz mi towarzyszyć. – Jej oczy spoczęły na pęku róż, potem dziewczyna przeniosła spojrzenie na twarz Cauthona. – Dopilnujesz, żebym nie zbiegła.

Setaile szczerpłym palcem zaznaczyła miejsce w książce, następnie podniosła wzrok na Mata. Stojąca za swoją młodą panią Selucia również się w niego wpatrywała. Tuon rzeczywiście dotrzymała słowa, chociaż takie jej zachowanie ktoś mógłby uznać za szaleństwo. Spacerować po zmroku, kiedy większość członków widowiska już spała, nie powinny nikomu zaszkodzić. Zwłaszcza jeśli dziewczynie będzie towarzyszył on sam. Hmm... dlaczego zatem czuł, że przestaje panować nad sytuacją?

Tuon zgodziła się wyjść na przechadzkę otulona płaszczem i z głową skrytą pod kapturem. Cauthon odetchnął z ulgą, słysząc z jej ust potwierdzenie. Czarne włosy już jej odrosły na ogolonej czaszce, choć na razie miały dopiero postać wyraźnego puchu i w przeciwieństwie do Selucii, która najprawdopodobniej nawet sypiała z głową szczelnie okrytą chustą, Tuon nie wykazywała potrzeby przykrywania tych krótkich włosków. A kobieta o wroście dziecka i włosach krótszych, niż nosiła większość mężczyzn, zapewne przyciągnęłaby niewiele spojrzeń – nawet w nocy.

Setalle i Selucia zawsze postępowały za nią w ciemnościach w niewielkiej odległości; służąca obserwowała swoją panią, Setalle zaś pilnowała służącej. Tak przynajmniej sądził Mat, choć czasami wydawało mu się, że obie przyglądają się jemu. Jak na więźnia i wartowniczkę te dwie kobiety były niesamowicie zaprzyjaźnione. Cauthon podsłuchiwał kiedyś Setalle ostrzegającą Selucię, że Matowi zdarza się wykorzystywać kobiety. Też coś! W każdym razie Selucia odpowiedziała wtedy spokojnie, że jej pani połamie Cauthonowi ręce, jeśli ten okaże jej brak szacunku. Zachowywała się, jakby ona i Tuon wcale nie były jeńcami!

Matowi przemknęło przez myśl, że mógłby na tych spacerach dowiedzieć się nieco więcej o Tuon, która podczas gry nie mówiła zbyt dużo. Ilekroć ją o coś pytał, dziewczyna jawnie go ignorowała lub zmieniała temat, preferując rozmowę o nim.

– Dwie Rzeki to wyłącznie lasy i farmy – wyjaśniał, kiedy spacerowali główną ulicą siedziby widowiska. Księżyc schował się za chmurami i w mroku wszystkie kolorowe wozy wyglądały jak identyczne ciemne plamy, zaś ustawione z boków platformy do skoków wydawały się zaledwie cieniami. – Każdy farmer uprawia tytoń i hoduje owce. Mój ojciec hoduje także krowy i handluje

końmi, najwięcej jednak mamy w naszej prowincji tytoniu i owiec.

– Twój ojciec handluje końmi – zadumała się Tuon. – A czym ty się zajmujesz, Zabawko?

Spojrzał przez ramię na dwie kobiety, milcząco sunące za nimi w odległości dziesięciu kroków. Setalle na pewno nie była na tyle blisko, ażeby mogła cokolwiek usłyszeć, o ile Cauthon nie podniesie zbyt wysoko głosu, tym niemniej postanowił odpowiedzieć szczerze. Poza tym siedziba widowiska stanowiła w tej chwili ciemną oazę ciszy i spokoju. Może zresztą dziewczyna słyszała, co robił w Ebou Dar...

– Jestem hazardzistą – odparł.

– Mój ojciec nazwał siebie hazardzistą – stwierdziła cicho. – Umarł z powodu złego zakładu.

Skąd miał wiedzieć, co to znaczy?!

Innej nocy, kiedy szli wzdłuż rzędu wagonów ze zwierzęcymi klatkami, Mat spytał:

– Powiedz mi, co robisz dla przyjemności, Tuon? Dla samej rozrywki? Jakie zajęcie sprawia ci radość? Oprócz gry w kamienie.

Niemal czuł, jak oddalona o trzydzieści stóp Selucia jeży się, słysząc, że Cauthon używa imienia jej pani, sama Tuon wszakże chyba nie miała nic przeciwko temu. Tak w każdym razie sądził.

– Szkolę konie i *damane* – odrzekła, zaglądając do klatki ze śpiącym lwem. Zwierzę widoczne było tylko w postaci dużego kształtu zalegającego słomę za grubymi kratami. – Czy naprawdę ma czarną grzywę? W całym Seanchan nie ma ani jednego lwa z czarną grzywą.

Ta dziewczyna szkoliła *damane*?! Dla przyjemności?! O Światłości!

– Konie? Jakiego rodzaju konie?

Może chodziło jej o bojowe rumaki, które przygotowywała do udziału w bitwach? No bo skoro szkoliła cholerne *damane*...

– Pani Anan twierdzi, że jesteś łajdakiem, Zabawko. – Przemawiała głosem chłodnym, opanowanym. Obróciła się nagle do niego, jej twarz wciąż ginęła w cieniu kaptura. – Ile kobiet całowałeś?

Lew zbudził się i zawarczał. Ten głęboki dźwięk powinien każdego przyprawić o gęsią skórę. Tuon jednakże nie cofnęła się nawet o krok.

– Chyba znowu zaczyna padać – odparował słabo. – Selucia mi nie daruje, jeśli z powodu spaceru przemokniesz.

Usłyszał cichy śmiech dziewczyny. Czyżby powiedział coś zabawnego?

Istniała oczywiście cena, którą musiał zapłacić. Być może sytuacja zmieniła się na jego korzyść, a może i nie, jeśli jednak sytuacja zmienia się, zawsze trzeba płacić...

– Stadko paplających srok – poskarżył się później Egeanin. Na horyzoncie tkwiło popołudniowe słońce w kształcie czerwono-złotej półkuli, częściowo przysłoniętej chmurami. Teren widowiska tonął w długich cieniach. Jeszcze nie spadł deszcz, a oni oboje mimo zimna siedzieli zgarbieni przy zielonym wozie, który dzielili. Udawali, że grają w kamienie, tak przynajmniej musieli sądzić mijający ich ludzie. A sporo osób kręciło się po siedzibie widowiska Luki. Dorośli pospiesznie wykonywali swoje przedwieczorne obowiązki, dzieci łapały ostatnią przed zapadnięciem nocy szansę na zabawę, tocząc koła przez płytkie kałuże lub grając w piłkę. Mijające ich kobiety unosiły spódnice i zerkwały na wóz, lecz nawet gdy skrywały twarze pod kapturami, Mat domyślał się ich min. Niewiele kobiet z widowiska z nim rozmawiało. Poirytowany głośno zagrzechotał czarnymi kamieniami, które trzymał w lewej ręce. – Dostaną swoje złoto, kiedy dotrzemy do Lugard. Tylko o to powinni się troszczyć. Niech nie wtykają nosa w moje sprawy.

– Nie możesz ich za to winić – Egeanin wycodziła odpowiedź, wpatrując się w planszę. – Mieliśmy udawać parę zbiegłych kochanków, a ty więcej czasu spędzasz z... nią niż ze mną. –

Egeanin ciągle musiała nad sobą panować, aby nie nazywać Tuon Wysoką Lady. – Zachowujesz się przy niej jak mężczyzna, który zaleca się do kobiety. – Wyciągnęła rękę z zamiarem umieszczenia kamienia na kratce, jej dłoń wszakże zawisła nad planszą. – Nie sądzisz chyba, że ona dopełni rytuału, prawda? Nie możesz być aż tak wielkim głupcem!

– Jakiego rytuału? O czym ty mówisz?

– Trzy razy tamtej nocy w Ebou Dar nazwałeś ją swoją żoną – odparła powoli. – Naprawdę nie wiesz?! Kiedy kobieta powtórzy trzykrotnie, że dany mężczyzna jest jej mężem, a on trzykrotnie nazwie ją swoją żoną, zostają sobie poślubieni. Zwykle potrzebne są również błogosławieństwa, jeśli jednak oboje oświadczą swoją wolę zgodnie i w obliczu świadków, po prostu zostają małżeństwem. Naprawdę o tym nie wiedziałeś?

Cauthon roześmiał się i wzruszył ramionami. Odniósł nagle wrażenie, że ktoś przysuwa mu nóż do karku. Czasami jednak dobry nóż paradoksalnie daje mężczyźnie poczucie komfortu. Tym niemniej jego śmiech zabrzmiał ochryple.

– Tyle że Tuon niczego takiego nie powiedziała. – Szczególnie że cholernie skutecznie wypchał jej w tamtej chwili knebel w usta! – A więc wszystkie moje słowa z tamtego dnia zupełnie nic nie znaczą – dorzucił.

Rozumiał jednak, co Egeanin zamierzała mu powiedzieć. Wiedział, co usiłowała wyjaśnić... Zwłaszcza, że już mu powiedziano, kogo poślubi!

– W przypadku przedstawicieli Krwi istnieje niewielka różnica. Czasami pan wielkiego rodu z jednego końca Imperium poślubia arystokratkę z drugiego końca kraju. Dochodzi wówczas do tak zwanego małżeństwa ułożonego. W przypadku rodziny cesarskiej nie istnieją zresztą małżeństwa innego rodzaju. Czasami nawet para nie czeka, aż się połączy, lecz każde potwierdza fakt ślubu w miejscu, w którym się w danej chwili znajduje. Jeśli oboje złożą swoje oświadczenie głośno, wobec świadków, w okresie nie dłuższym niż rok i dzień, małżeństwo zostaje prawnie uznane. Naprawdę o tym nie wiedziałeś?!

Mat zadumał się i kamienie wypadły mu z dłoni na planszę, od której się odbiły, odskakując na wszystkie strony. Może on nie znał tych seanchańskich zasad, jednak cholerna mała Tuon znała je wszak doskonale! Może uważała całą rzecz za przygodę albo za jakiś rodzaj gry. Może uznała porwanie za rozrywkę podobną do szkolenia koni czy przeklętych *damane*! A Cauthon czuł, że jest pstrągiem czekającym na jej haczyk.

Przez dwa dni trzymał się z dala od purpurowego wozu. Żadne działanie nie miało sensu, gdyż cholerny symboliczny haczyk od dawna tkwił w jego ustach. Mat wprowadził sam go sobie tam włożył, nie musiał wszakże paskudztwa połykać. Chociaż... z drugiej strony wiedział, że oczekuje jedynie na moment, w którym dziewczyna postanowi szarpnąć żyłkę.

Mimo iż wozy widowiska przemieszczały się niezwykle powoli, w końcu dotarły do przystani promu przewożącego ludzi przez Eldar: z Alkindaru na zachodnim brzegu do Coramenu na brzegu wschodnim. Zarówno Alkindar, jak i Coramen były schludnymi, małymi miastami otoczonymi murem i zabudowanymi kamiennymi gmachami krytymi dachówkami. W każdej z dwóch miejscowości można było naliczyć pół tuzina doków.

Słońce wspinało się coraz wyżej, niewiele obłoków przerywało błękit nieba, a te nieliczne kojarzyły się ze świeżo wypraną białą wełną. Cauthon pomyślał, że tego dnia chyba również nie spadnie deszcz. Miejsce przeprawy wyglądało na ważny punkt, w dokach cumowało sporo statków towarowych, które przyplęły z górnej partii rzeki; duże promy przypominające z wyglądu barki płynęły powoli z jednego miasta do drugiego. Seanchanie najwidoczniej myśleli podobnie jak Mat, w każdym razie rozbili obozy wojskowe w pobliżu obu miejscowości, a wnosząc po kamiennych

murach rosnących wokół obozowisk i kamiennych budowli wznoszących się wewnątrz, nie mieli zamiaru zbyt szybko odejść.

Cauthon na Oczku przeprowił się promem wraz z pierwszymi wozami. Kasztanowy wałach wyglądał na tyle przeciętnie dla niewprawnego oka, że zupełnie dobrze pasował do mężczyzny w prostym płaszczu z szorstkiej wełny i naciągniętej na uszy ze względu na zimno wełnianej czapce. Tak naprawdę Mat nie rozważał szybkiej ucieczki na lesiste pasmo pagórków rozciągających się za Coramenem. Owszem, pomyślał o tej możliwości, lecz praktycznie nie brał jej pod uwagę. Wiedział, że Tuon i tak nie da mu spokoju. Z tego też powodu siedział na koniu przy końcu jednej z kamiennych przystani i obserwował, jak członkowie widowiska najpierw przeprowiają się przez rzekę, a później powoli przejeżdżają przez miasto. Na przystani dostrzegł Seanchan – oddział silnych, muskularnych mężczyzn odzianych w złożone z segmentów zbroje pomalowane na niebieskie i ciemnozłote pasy; żołnierzami dowodził szczupły, młody oficer z jednym cienkim, niebieskim piórem na dziwnym hełmie. Wydawało się, że ich jedynym zadaniem jest utrzymanie porządku, jednakże oficer sprawdził dokumenty Luki dotyczące koni, Luca zaś zapytał „szlachetnego pana”, czy zna jakieś miejsce idealne dla siedziby widowiska i na pokaz. Cauthon miał ochotę rozplakać się z rozpaczy. Na ulicy za sobą widział żołnierzy w pasiastych zbrojach. Wchodzili do sklepów i tawern lub z nich wychodzili. Dostrzegł *rakena* o długich, żebrowanych skrzydłach, który opadł z nieba i osiadł nad rzeką przy jednym z obozów. Trzy bądź cztery inne *rakeny* o węzowatych szyjach stały już na ziemi. W tych obozach stacjonowały zapewne setki Seanchan, a może i tysiąc. A Luca jak gdyby nigdy nic postanowił dać tu przedstawienie.

Nagle w wyściełany linami koniec przystani uderzył jeden z promów, z którego opuszczono trap. Po trapie zaś na kamienną drogę zaczął zjeżdżać purpurowy wóz. Na koźle siedziała Setalle z cugłami w dłoniach. Po jednej jej stronie tkwiła Selucia, zerkając spod kaptura płaszcz w kolorze wyblakłej czerwieni. Po drugiej stronie Setalle zaś siedziała Tuon owinięta w ciemny płaszcz, nie ukazujący ani cała jej ciała.

Mat odniósł wrażenie, że za moment oczy wyskoczą mu z orbit. Albo że łomoczące serce wyrwie mu się lada chwila z piersi. W głowie zagrzecotały mu znowu przetaczające się po stole wyobrażone kości do gry. Skojarzyły mu się z oczyma Czarnego, tak po prostu.

Nic nie mógł zrobić, jedynie podjechać do purpurowego wozu i ruszyć obok niego swobodnie, jakby jego życie było cudowne i łatwe. I tak się przemieszczali szeroką, główną ulicą, wśród krzykaczy reklamujących sklepy i straganiarzy sprzedających przedmioty na tacach. No i wśród seanchańskich żołnierzy, którzy teraz nie maszerowali w szeregu, lecz przypatrywali się z zainteresowaniem jaskrawo pomalowanym wozom. Cauthon jechał więc i tylko czekał, aż Tuon zacznie krzyczeć. Dała mu niby słowo, wiadomo jednak, że każdy więzień robi wszystko, co w jego mocy, jeśli tylko dostrzeże szansę na uwolnienie. Wystarczy, że dziewczyna podniesie głos i wezwie na pomoc tysiąc seanchańskich żołnierzy. Wyobrażone kości podskoczyły w głowie Mata i zawirowały. Jechał i czekał na oczy Czarnego.

Tuon wszakże nie powiedziała ani słowa. Zerkała jedynie spod krawędzi głębokiego kaptura – z ciekawością, lecz ostrożnie, gdyż nie tylko twarz przez cały czas miała schowaną, ale nawet ręce. Cała była spowita w ciemny płaszcz. A czasem Ignęła do Setalle niczym dziecko lękające się tłumy obcych i szukające ochrony u swej matki. Nie odezwała się aż do bram Coramenu, które minęli, po czym wytoczyli się na drogę i ruszyli ku podstawie wznoszącego się nad miastem pasma wzgórz, gdzie Luca ustawiał już wozy i przygotowywał się do przedstawienia. Wówczas właśnie Cauthon uprzytomnił sobie w sposób ostateczny, że nie ma dla niego ucieczki. Tuon zarzuciła już na niego haczyk i po prostu czekała na odpowiedni moment.

Tej nocy dopilnował, aby wszystkie Seanchanki i wszystkie Aes Sedai pozostały w wozach. Nikt wprawdzie nie widział wcześniej ani znanych mu *sul'dam*, ani *damane*, jednak Aes Sedai tym razem się z nim nie spierały. Tuon także się nie kłóciła. Tym niemniej wysunęła żądanie, po którym brwi Setalle uniosły jej się niemal do linii włosów. Dziewczyna wypowiedziała to żądanie z pozoru tonem prośby, przypominając jednak, że złożył jej kiedyś taką obietnicę, zresztą Mat znał różnicę między żądaniem i prośbą, szczególnie gdy padały z kobiecych ust. No cóż, mężczyzna musi ufać kobiecie, którą ma poślubić. Odparł zatem Tuon, że musi się nad sprawą zastanowić. Powiedział tak głównie po to, ażeby nie zaczęła sobie wyobrażać, iż może dostać od niego wszystko, czego zapragnie. Poświęcił na rozmyślenia cały dzień, w którym Luca organizował pokaz. Dumał i pocił się też wieczorem, gdy sporo Seanchan przyszło popatrzeć na przedstawienie. Rozmyślał nawet później, kiedy wozy ruszyły na wschód, przez wzgórza, posuwając się jeszcze wolniej niż dotąd. Myślał i myślał, od początku wszakże wiedział, jaką musi dać odpowiedź.

Trzeciego dnia po opuszczeniu rzeki dotarli do miasta soli o nazwie Jurador, a wtedy Mat oświadczył dziewczynie, że się zgadza. Tuon uśmiechnęła się do niego i przetaczające się w jego głowie kości znieruchomiały. Czuł, że zapamięta ten moment na zawsze. Tuon się uśmiechnęła i właśnie wtedy kości się zatrzymały! Naprawdę miał ochotę się rozplakać!

Rozdział 15

Coś migocze

— To szaleństwo – zagrzmiął Domon z miejsca, w którym stał z założonymi rękoma, jakby blokował wyjście z wozu.

Mężczyzna wojowniczo wysunął do przodu szczękę, podobnie brodę, której zarost nosił krótko przycięty, choć i tak dłuższy niż włosy na głowie. Przez moment poruszał rękoma, być może z zamiarem zaciśnięcia ich w pięści lub pochwycenia w nie czegoś. Domon był barczysty i wcale nie tak gruby, jak wyglądał na pierwszy rzut oka. Tak czy owak, Mat w miarę możliwości wolałby uniknąć zarówno zapasów z tym osobnikiem, jak i jego pięści.

Cauthon skończył zawiązywać wokół szyi ukrywający bliznę czarny, jedwabny szalik, po czym wetknął jego długie końce w kaftan. Niebezpieczeństwo, że w Juradorze znajduje się ktoś, kto słyszał o mężczyźnie, noszącym w Ebou Dar czarny szalik... No cóż, niebezpieczeństwo wydawało się niewielkie, nawet gdyby Mat nie brał pod uwagę swojego szczęścia. Oczywiście, musiał pamiętać o tym, że jest *ta'veren*, jeśli jednak przyjdzie mu stanąć twarzą w twarz z Suroth albo garstką służących z Pałacu Tarasin, najwyżej pozostanie w łóżku, przykrywając się kocem aż po same uszy. Czasem wystarczy zaufać szczęściu. Niestety, gdy zbudził się tego ranka, wyobrażone kości znów grzechotały mu w czaszce. Jeszcze w tej chwili czuł, że podskakują mu w głowie.

– Obiecałem – przypomniał.

Och, jak dobrze było wrócić do przyzwoitego ubrania.

Jego zielony kaftan uszyto z pięknej wełny. Był dobrze skrojony, sięgał mu niemal do kolan i zawiniętych cholew butów. Stroju nie przyozdobiono haftem – a szkoda – do mankietów przszyto wszakże pasek koronki. Pod kaftanem Cauthon miał koszulę z dobrego jedwabiu. Żałował, że nie może się przejrzeć w lustrze. W takim dniu człowiek powinien wyglądać jak najlepiej. Podniósł z łóżka płaszcz i narzucił go sobie na ramiona. Płaszcz nie był barwny i nie mógł się równać ze strojami Luki. Ciemnoszary, prawie tak mroczny jak noc. Tylko podszewka była czerwona. Spinająca płaszcz szpilka, niewiele większa niż kciuk, miała postać prostych, srebrnych supłów.

– Ona dała słowo, Bayle – dodała Egeanin. – Zagwarantowała swoim słowem. Nigdy go nie złamię, nigdy!

Mówiła z absolutnym przekonaniem. Wydawała się w każdym razie bardziej przekonana niż Mat.

Bywają wszak sytuacje, w których trzeba zaryzykować. Nawet jeśli stawką było własne życie. Obiecał jej! No i miał swoje słynne szczęście!

– I tak uważam, że to szaleństwo – upierał się gderliwie Domon. Jednakże kiedy Mat nałożył na głowę czarny kapelusz z szerokim rondem, ruszył się niechętnie od drzwi. No cóż, usunął się w każdym razie, gdy Egeanin dała mu znak szybkim szarpnięciem głowy. Wciąż wszakże popatrywał wilkiem.

Egeanin wyszła za Cauthonem z wozu. Również miała nachmurzoną minę i mimowolnie dotykała palcami długiej, czarnej peruki. Może nadal czuła się w niej niepewnie, a może po prostu teraz, po miesiącu od ogolenia głowy, peruka nie przylegała jej już tak doskonale jak na początku, gdyż kobiecie nieco odrosły własne włosy. Choć nie były jeszcze na tyle długie, ażeby mogła chodzić z gołą głową. Będzie mogła odrzucić perukę, kiedy oddała się od Ebou Dar przynajmniej o sto mil. A może poczują się bezpieczne dopiero po przekroczeniu Gór Damona i znalezieniu się w Murandy?

Niebo było bezchmurne, tyle że niewidoczne jeszcze za płócienną ścianą siedziby widowiska, słońce dopiero się wspinało nad horyzont, a poranek mógł się wydawać ciepły jedynie w porównaniu z zimowymi śnieżycami. Wokół nie panowała zatem rzeźkość typowa dla późnozimowego ranka w Dwu Rzekach, lecz raczej chłód, który męczył ludzi i zmieniał ich oddechy w lekką mgiełkę. Wykonawcy kręcili się po terenach niczym mrówki w rozkopanym przez kogoś mrowisku, wypełniając powietrze głośnymi wrzaskami; pytali, kto zabrał koła do żonglowania, pożyczył sobie parę spodni z czerwonego brokatu albo nieco przesunął platformę do występów. Otoczenie wyglądało (i brzmiało) jak na początku jakichś zamieszek, aczkolwiek w głosach członków widowiska nie było przecież wcale prawdziwego gniewu. Wszyscy wprawdzie stale coś wykrzykiwali i przez cały czas wymachiwali rękoma, nigdy wszakże nie posuwając się do agresji. Denerwowali się po prostu zbliżającym się przedstawieniem, ale zanim zjawią się goście, każdy z wykonawców znajdzie się już na swoim miejscu i będzie gotów do występu. Może ociągali się podczas pakowania przed wyjazdem, jednak występy oznaczały zarobek i myśl o pieniądzach wyraźnie wszystkich mobilizowała.

– Naprawdę sądzisz, że możesz ją poślubić? – szepnęła Egeanin, krocząc u jego boku tak szybko, że aż wirowały jej znoszone spódnice z brązowej wełny. W tej kobiecie zupełnie nie było delikatności. Stawiała wielkie kroki i z łatwością dotrzymywała Matowi kroku. Nawet gdy zakładała sukienkę, najchętniej nosiłaby miecz przy pasie. – Nie istnieje żadne inne wytłumaczenie dla twojej decyzji. Bayle ma rację. Rzeczywiście jesteś szalony!

Cauthon uśmiechnął się.

– Pytanie brzmi: Czy Tuon rzeczywiście zamysła mnie poślubić? Najdziwniejsi ludzie stają czasem razem na ślubnym kobiercu.

Kiedy człowiek nie ma już żadnych wątpliwości, że zawiśnie, na widok pętli może jedynie wyszczerzyć zęby. Więc Mat znów się uśmiechnął i nic więcej nie dodał, pozostawiając kobietę z marsową miną na srogiej twarzy. Wydało mu się, że Egeanin mamrocze pod nosem przekleństwa, choć nie rozumiał powodów jej zdenerwowania. Nie ona wszakże musiała poślubić najmniej upragnioną na ziemi osobę. Powściągliwą arystokratkę, która traktowała Mata z chłodną rezerwą i wciąż zadzierała nosa... podczas gdy on lubił zawsze wesołe barmanki o ciepłych oczach. Spadkobierczynię tronu i to nie byle jakiego stolca, lecz Kryształowego Tronu, monarszego symbolu seanchańskiego Imperium. Kobietę, która na jego widok natychmiast odwracała głowę, a wtedy Mat zaczynał mieć wątpliwości, kto kogo trzyma w niewoli – on ją czy ona jego. Tak, tak, kiedy przeznaczenie chwyta cię za gardło, możesz już tylko się uśmiechać.

Utrzymywał różne tempo, póki nie dostrzegł pozbawionego okien purpurowego wozu, wówczas bowiem zgubił krok. Grupa akrobatów, czterech gibkich mężczyzn, którzy zwali się braćmi Chavana, chociaż było jasne jak słońce, że pochodzą nie tylko od różnych matek, ale także z zupełnie innych krajów, wybiegła właśnie z sąsiedniego zielonego wozu, pokrzykując na siebie i dziko wymachując rękoma. Obrzucili krótkimi spojrzeniami purpurowy wóz, a potem Mata, zdawali się jednak tak pochłonięci własną kłótnią, że szybko skupili się ponownie na sobie i prędko gdzieś pobiegli. O jedno z purpurowych kół wozu opierał się Gorderan, drapiąc się po głowie i ze zmarszczonym czołem obserwując dwie kobiety, stojące u stóp prowadzących do wozu drewnianych schodków. Dwie kobiety... Obie owinęły się ciemnymi płaszczami, a twarze ukryły, nie sposób jednak było z niczym pomylić dużej, kwiecistej chusty zwisającej spod kaptura wysokiej Selucii. No cóż. Cauthon powinien był wiedzieć, że Tuon nigdzie nie ruszy się bez służącej. Kobiety wielkiego rodu nie miały zwyczaju chodzić gdziekolwiek bez swoich służących. I tak wszak od początku wiedział, że decyduje się na ogromne ryzyko, we dwie zaś miały potężną szansę go zdradzić. Zresztą

wszystkie kobiety zdawały mu się istotami nieprzewidywalnymi, które potrafiły w identycznych sytuacjach postąpić zupełnie odmiennie. Szczególnie gdy były we dwie. Tylko głupiec próbowałby przewidzieć ich zachowanie. Niestety Cauthon nie miał wyjścia i musiał to ryzyko podjąć. Mówiąc obrazowo, musiał rzucić kośćmi. Tyle że owe kości już się toczyły.

Z uśmiechem wytrzymał spojrzenie zimnych, niebieskich oczu Selucii, po czym zdjął kapelusz i wykonał elegancki ukłon w stronę Tuon. Ukłon nie był przesadnie ostentacyjny, Mat lekko tylko zawinął płaszczem.

– Jesteś gotowa pójść na zakupy?

O mało nie zwrócił się do niej „moja pani”, jednak się powstrzymał. Skoro ona nie miała ochoty zwracać się do niego po imieniu...

– Od godziny jestem gotowa, Zabawko – wycodziła dziewczyna chłodno. Niedbałym ruchem uniosła krawędź jego okrycia i zerknęła na podszewkę z czerwonego jedwabiu, po czym oszacowała wzrokiem jego płaszcz, zanim opuściła poję. – Pasują ci koronki. Może dodam je do twoich szat, gdy uczynię cię swoim podczaszym.

Jego uśmiech na moment przygasł. Czy kiedy Tuon go poślubi, zechce go uczynić swoim *da'covale*? Będzie musiał spytać o to Egeanin. O Światłości, dlaczego kobiety zawsze wszystko utrudniają?

– Mam pójść z wami, mój panie? – spytał powoli Gorderan, nie patrząc już na dziewczynę i jej służącą. Nie patrzył też na Cauthona, raczej gdzieś w dal. Kciuki wcisnął sobie za pasek. – Ot, tak, dla towarzystwa, być może?

Tuon się nie odezwała. Stała tylko nieruchomo i bez słowa wpatrywała w Mata, wyraźnie na coś czekając. Jej duże oczy z każdą upływającą sekundą stawały się zimniejsze. Wewnątrz jego czaszki wyobrażone kości podskakiwały i grzechotały. No cóż, może zawahał się na chwilę, ale już w następnym momencie gwałtownie potrząsnął głową i odesłał Czerwonorękiego. Nie, nie, musi zaufać swemu szczęściu. I danemu przez nią słowu. „Zaufanie ma smak śmierci” – przypomniał sobie. Zdenerwowała go ta myśl. Nie mógł się kierować jakąś pieśnią ani starym wspomnieniem! Toczące się w jego głowie kości nagle się zatrzymały.

Wykonał kolejny lekki ukłon, a następnie zaoferował swoje ramię Tuon, która przyjrzała mu się takim wzrokiem, jakby nigdy wcześniej nie widziała ludzkiej ręki. Wydęła pełne wargi, a następnie zebrała poły płaszcza i ruszyła szybko przed siebie, Selucia zaś niemal deptała jej po piętach. Cauthon pozostał w tyle i musiał za nimi pospieszyć. Tak, tak, kobiety nigdy niczego nie ułatwiają.

Mimo wczesnej godziny wejścia pilnowało już dwóch krzepkich osobników z pałkami, trzeci zaś trzymał w dłoniach dzban z przezroczystego szkła na monety, które później przesypywano przez otwór w wieku okutej żelazem szkatuły ustawionej na ziemi. Wszyscy trzej wyglądali potężnie i na pewno żaden z nich nie przepuści niechętnego do poniesienia opłaty widza. Luca był dusigroszem i wolał nie ryzykować utraty nawet miedziaka. Dwudziestu czy trzydziestu ludzi zdążyło już wejść między grube sznury, w pasaż prowadzący do dużego, niebieskiego transparentu reklamującego widowisko Luki i była wśród nich niestety także Latelle, kobieta o srogiej twarzy, ubrana w suknię obszytą czerwonymi cekinami i płaszcz przyozdobiony niebieskimi. Żona Luki tresowała niedźwiedzie, a później z nimi występowała. Mat pomyślał kiedyś złośliwie, że zwierzęta wykonują nakazane im sztuczki ze strachu, że jeśli jej odmówią, Latelle może je pogryźć.

– Całkowicie panuję nad sytuacją – zapewnił ją. – Wierz mi, że nie ma się o co martwić.

Mógł sobie zaoszczędzić tych zapewnień, gdyż Latelle kompletnie go zignorowała, za to z niepokojem i marsową miną przyglądała się to Tuon, to Selucii. Spośród wszystkich wykonawców tylko Latelle i jej mąż wiedzieli, kim jest dziewczyna i jej służąca. Wcześniej Cauthon nie widział

powodu, aby mówić im o dzisiejszej porannej wyprawie. Luca dostałby zapewne szału. Latelle przeniosła teraz spojrzenie na niego. Nie patrzyła z niepokojem, raczej groźnie i zdecydowanie.

– Pamiętaj – oznajmiła mu cicho – jeżeli wyślesz nas na szubienicę, wyślesz tam i samego siebie.

To powiedziawszy, pociągnęła nosem i wróciła do obserwacji czekających na wejście widzów. Latelle okazywała się nawet lepszą specjalistką niż Luca, gdy trzeba było ocenić czyjaś sakiewkę, zanim jej właściciel w ogóle rozwiązał rzemyki. Ta kobieta była w dodatku dziesięciokrotnie twardsza od swego męża.

Wyobrazone kości znów się toczyły. Cokolwiek je powodowało, najwyraźniej Mat nie osiągnął jeszcze brzemiennego w skutki decydującego punktu.

– Ona jest dobrą żoną dla pana Luki – mruknęła Tuon, kiedy uszli nieco dalej.

Cauthon popatrzał na nią z ukosa, a następnie poprawił kapelusz na głowie. W tonie dziewczyny nie dosłyszał szyderstwa. Czyżby Tuon aż tak bardzo nienawidziła Luki?! A może dumiała, jakiego rodzaju żoną będzie ona sama? Albo...? „Niech szczeżnę” – pomyślał. „Nie posunę się tak daleko jak Domon w próbie zrozumienia tej kobiety”. Powodem wrażenia przemieszczających się w jego czaszce kości musiała być przecież właśnie ona, cholerna Córka Dziewięciu Księżyców. Co zamierzała zrobić?

Do miasta nie było daleko. Ze wschodzącym słońcem za plecami szli mocno ubitą drogą przez wzgórza, które były tutaj bezdrzewne. Sporo innych osób kroczyło traktem. Z daleka wyglądali jak małe kropeczki, podobnie jak wiatraki i panwie solne na wzgórzach. Patrzący prosto przed siebie ludzie ci poruszali się tak celowo, że wydawali się nie dostrzegać nikogo przed sobą. Mat uchylił się przed jakimś mężczyzną o okrągłej twarzy, który prawie wszedł wprost w niego, a następnie musiał uskoczyć, jeśli nie chciał wpaść na siwowłosego starca, pędzącego szybko mimo chudych, wrzecionowatych nóg; wtedy z kolei znalazł się tuż przed pulchną dziewczyną, która wbiegłaby na niego, gdyby znów nie wykonał uniku.

– Ćwiczysz jakiś taniec, Zabawko? – spytała Tuon, zerkając na niego przez szczupłe ramię. Jej oddech tworzył lekką białą mgiełkę przed kapturem. – Niewiele w tym wdzięku...

Otworzył usta, zamierzając powiedzieć jej o panującym na drodze tłoku, gdy nagle uprzytomnił sobie, że nie widzi już tutaj nikogo poza nią i Selucią. Pędzący drogą ludzie zniknęli gdzieś i trakt był teraz zupełnie pusty, przynajmniej do zakrętu. Powoli Cauthon odwrócił głowę. Za sobą nie zauważył nawet żywej duszy – aż do siedziby widowiska, czyli do miejsca, w którym widzowie trwali przed sznurami, czekając na możliwość wejścia. Za terenem pokazu droga – również kompletnie pusta – wiała się dalej, ku odległemu lasowi. Jednym słowem jedyni ludzie w zasięgu wzroku Mata znajdowali się w siedzibie widowiska. Cauthon przycisnął palce do piersi, wyczuwając pod płaszczem medalion z godłem lisiego łba. Medalion nijak nie reagował, był w tej chwili jedynie zwyczajnym kawałkiem srebra zawieszonym na rzemieniu. Mat żałował, że nie czuje jego lodowatego zimna. Tuon uniosła brwi. Ze spojrzenia Selucii wnosił, że służąca ma go za głupca.

– Nie mogę ci kupić sukienki, stercząc tutaj – oświadczył.

Na tym właśnie miał polegać sens tej wyprawy. Cauthon obiecał Tuon, że znajdzie dla niej coś lepszego od sukien, które wisały na niej jak na wieszaku i w których wyglądała jak dziecko przebrane za dorosłą kobietę. Przynajmniej wydawało mu się, że złożył dziewczynie taką obietnicę, Tuon natomiast zdawała się nie mieć co do tego nawet cienia wątpliwości. Z aprobatą dziewczyny spotkały się bowiem wprawdzie robótki szwaczek współpracujących z widowiskiem, choć nie dostępne materiały. Stroje wykonawców lśniły od cekinów i paciorków, a ich kolory bywały bardzo jaskrawe, jednak zazwyczaj szyto je z najtańszych materiałów. Lepsze ubrania artyści zachowywali

na ważniejsze wyjścia i używali ich tak długo, aż się podarły. W Juradorze jednak sporo pieniędzy zarabiano na handlu solą, więc mieszkańcy byli majątni. Tuon doszła zatem do wniosku, że tutejsze sklepy powinny oferować wszelkie materiały, jakie zapragnie nabyć.

Tym razem dziewczyna nie zamachała ręką, wymieniła jedynie spojrzenie z Selucią. Służąca potrząsnęła głową, skrzywiła się i przybrała smutną minę. Tuon również potrząsnęła głową. Po chwili obie otuliły się szczelniej płaszczami i ruszyły ku obitym żelazem bramom miasta. Ach te kobiety! Mat pospieszył za nimi. Musiał ich pilnować, wszak były jego jeńcami. Szły, a wyprzedzały je ich długie cienie. Cauthon zadał sobie pytanie, czy wszyscy ci tajemniczy ludzie, którzy nagle zniknęli, rzucali takie cienie? Nie pamiętał tego, podobnie jak chyba nie widział ich mglistych oddechów. Uznał, że sprawa ta nie ma dla niego w tej chwili najmniejszego znaczenia i nie będzie jej roztrząsał. Ludzie zniknęli, a on nie zamierzał się zastanawiać, ani dokąd się udali, ani skąd przybyli. Prawdopodobnie dostrzegał ich dlatego, że był *ta'veren*. Nie powinien się nimi przejmować. Musi ich wyrzucić z myśli. Szczególnie że grzechoczące w jego głowie wyobrażone kości nie pozostawiały miejsca na próżne rozważania.

Strażnicy przy bramach najwyraźniej nieszczególnie interesowali się obcymi, w każdym razie oni – mężczyzna przechodzący wraz z dwiema kobietami – nie wzbudzili zbytnio ich ciekawości. Byli osobnikami o surowych rysach, na piersiach nosili pomalowane na biało napierśniki, na głowach zaś stożkowe hełmy z kitami z włosia końskiego na czubku. Obrzucili beznamiętnym spojrzeniem okryte płaszczami Tuon i Selucię, na moment utkwili podejrzliwie wzrok w Macie, po czym oparli się na swoich halabardach i ponownie ponuro wpatrzyli się gdzieś przed siebie, na drogę. Najprawdopodobniej byli to miejscowi, w każdym razie nie wyglądali na Seanchan. Mieszkający w mieście kupcy solni oraz tutejsza lady imieniem Aethelaine, która widocznie uzgadniała wszystkie posunięcia z kupcami, bez wahania przysięgli na Różdżki Powrotu i – nawet zanim ich o to poproszono – zaoferowali się płacić podatek od soli. Zapewne w końcu Seanchanie przyślą do Juradora jakiegoś urzędnika, który będzie pilnował handlu i porządku, na razie wszakże zdobywcy potrzebowali swoich żołnierzy do innych zadań. Zanim Cauthon zgodził się na wyprawę do miasta, Thom i Juilin starannie dla niego sprawdzili, czy w Juradorze nie ma żadnych Seanchan. Mat doskonale wiedział, że nieostrożny głupiec może się potknąć o własne szczęście.

Mieszkańcom miasta wyraźnie dobrze się powodziło. Panował tu spory ruch. Ulice wybrukowano kamieniem, większość ich była szeroka, a na wszystkich pobudowano gmachy kryte czerwoną dachówką. Domy i gospody stykały się ze stajniami i tawernami, powietrze wypełniała mieszanina hałaśliwych dźwięków – tu słychać było brzęk młota, którym kowal uderzał w kowadło, tam szum krosien z warsztatów tkackich, wszędzie zaś (tak się przynajmniej zdawało Cauthonowi) bednarskie odgłosy przybijania obręczy do beczek służących do transportu soli. Straganiarze głośno zachwalali szpilki i wstążki, wyłożone na tacach placki mięsne i prażone orzechy, a także pomarszczone po zimowemu rzepy i nie najlepiej wyglądające śliwki na wózkach. Na każdej ulicy mężczyźni i kobiety stali przy wąskich stolikach, na których prezentowali towary sprzedawane w sklepach i wykrzykiwali nazwy poszczególnych elementów swego asortymentu.

Domy solnych kupców łatwo było wskazać, gdyż miały trzy kamienne kondygnacje zamiast dwóch i zajmowały osiem razy większy teren niż pozostałe. Każdy taki budynek pysznił się górującym nad ulicą kolumnowym krużgankiem, zakrytym osłonami z kutego, pomalowanego na biało metalu, które ciągnęły się od kolumny do kolumny. Także większość niższych okien tych domów wyposażono w podobne przesłony, chociaż nie zawsze pokrywano je farbą. Pod tym względem Jurador kojarzył się z Ebou Dar, choć nic więcej tamtego miasta nie przypominało, może poza oliwkową cerą mieszkańców. Tutaj kobiety nie nosiły na przykład eksponujących spórą część biustu

głębokich dekoltów ani spódnic uszytych w sposób ukazujący kolorowe halki. Wiele zakładało haftowane suknie z wysokimi, sięgającymi im aż do podbródków, kołnierzami. Hafty były tym okazalsze, im ich właścicielka bogatsza, a najbogatsze ubierały dodatkowo kolorowe płaszcze haftowane od góry do dołu, na twarzach zaś nosiły zwyczajne zasłony zawieszane na wsuniętych w ciemne zwoje warkoczy grzebieniach ze złota lub rzeźbionej kości słoniowej. Mężczyźni chodzili w krótkich kaftanach, także intensywnie haftowanych i w równie jaskrawych kolorach, większość – niezależnie od statusu – miała także przy pasie długie noże z ostrzami niewiele mniej zakrzywionymi niż noże mieszkańców Ebou Dar. Bogaci czy biedni, tutejsi mężczyźni mieli zwyczaj pieścić rękojeść noża, jakby w każdej chwili spodziewali się walki, w czym również kojarzyli się z eboudarianami.

Pałac Lady Aethelaine na pierwszy rzut oka nie różnił się od rezydencji kupców solnych, tyle że mieścił się na głównym placu miasta, pokrytym polerowanym kamieniem rozległym kwadracie, którego środek zajmowała duża, okrągła, marmurowa fontanna z rozpryskującą się wodą. Ludzie stale napełniali wiadra i duże, ceramiczne pojemniki wodą z rur łączących fontannę z kamiennymi basenami w narożnikach. Woda pachniała tu solą. Fontanna i baseny stanowiły symbol bogactwa Juradoru, wodę bowiem pobierano z tego samego ujęcia, co solankowe studnie na otaczających wzgórzach.

Zanim słońce pokonało połowę drogi do południowego szczytu, Mat zobaczył już sporą część miasta.

Tuon i Selucia, ilekroć dostrzegły sklep z jedwabiami wyłożonymi na długim, wąskim stole przed wejściem, zatrzymywały się, gładziły bele materiału i szeptały do siebie, odprawiając machnięciami dłoni czujnych sklepikarzy. A sklepikarze bacznie im się przyglądali – do czasu, aż odkryli, że dwóm kobietom towarzyszy Cauthon. Dziewczyna i jej służąca, spowite w grube wełny, mocno wytarte i źle dopasowane, zupełnie nie wyglądały na klientki pragnące nabyć jedwab. Mat natomiast wręcz przeciwnie, szczególnie że rozpiął płaszcz, ukazując czerwoną podszewkę. Jeśli jednak usiłował okazać zainteresowanie i zbliżał się do nich za bardzo, Tuon i Selucia milkły i wpatrywały się w niego wrogo, łypiąc spod głębokich kapturów – jedna chłodnymi, ciemnymi oczyma, druga chłodnymi, niebieskimi; patrzyły tak, dopóki nie cofnął się o krok lub dwa. Wtedy służąca znów pochylała głowę ku swej pani i szeptem podejmowały rozmowę, a także muskanie jedwabiu: czerwonego, niebieskiego, zielonego, gładkiego i migotliwego lub brokatowego. Tak, tak, Jurador okazał się miastem zaiste niezwykle bogatym. Na szczęście Cauthon schował grubą sakiewkę ze złotem do kieszeni płaszcza.

Niestety Tuon nic się tutaj nie podobało. Przed każdym sklepem dziewczyna po chwili wybrednie potrząsała głową, po czym wraz z Selucią ruszały dalej, pomiędzy rzesze mieszkańców, Mat natomiast pędził za nimi, starając się dotrzymać im kroku, aż do kolejnego sklepu z wyłożonymi na straganie jedwabiami. A wyobrażone kości wciąż grzechotały mu wewnątrz czaszki.

Szybko odkrył, że nie oni jedni wyprawili się z siedziby widowiska do miasta. Zauważył Aludrę, której twarz okalały ozdobione paciorkami warkocze. Kobieta szła wśród tłumu w towarzystwie siwowłosego osobnika, który prawdopodobnie był kupcem solnym – wnosząc z liczby pokrywających jego jedwabny kaftan jaskrawych haftów przedstawiających kwiaty i kolibry. Jakie sprawy mogły łączyć Iluminatorkę z kupcem solnym? Cokolwiek do niego mówiła, mężczyzna reagował zadowolonym uśmiechem i stale jej przytakiwał.

Tuon potrząsnęła nagle głową, po czym wraz ze służącą podeszły do następnego sklepu, ignorując głębokie ukłony właściciela. No cóż, adresatem tych ukłonów był zresztą w większej mierze Mat. Być może ten chudy głupiec sądził, że Cauthon zamierza kupić materiał dla siebie. Hm... pewnie Mat chętnie przepuściłby nieco złota na nowy jedwabny kaftan albo i trzy kaftany, ale jak

miał myśleć o strojach, skoro czekał, aż te cholernekości w jego czaszce znieruchomieją? Ale jeden kaftan... z maleńkim haftem na rękawach i na wysokości łopatek...

W tym momencie podszedł Thom, zaciskając kurczowo poły brązowego płaszcza, gładząc kciukiem długie, białe wąsy i ziewając szeroko, jakby całą noc nie spał. Może i tak było. Bard wprawdzie nie popijał, jednak Lopin i Nerim narzekali, że stary nie kładzie się do późna i przez całą noc pali lampę, w kółko czytając swój cenny list. Cóż mogło być tak fascynującego w liście od nieżyjącej kobiety? Nieżyjącej?! O Światłości, może ci ludzie na drodze także...! Nie, nie, nie! Cauthon w ogóle nie zamierzał o nich myśleć.

Tuon podniosła kawałek jedwabiu, opuściła go i odwróciła się na pięcie, nie sprawdzając innych tkanin. Selucia przed odejściem posłała korpulentnej kramarce takie spojrzenie, że znieważona kobieta aż się wzdrygnęła. Mat z kolei posłał właścicielce kramu uśmiech. Obrażeni sklepikarze mogliby powiadomić straże miejskie, a strażnicy zechcieliby na pewno zadać kilka pytań. Kto wie, do czego taka sytuacja mogłaby doprowadzić? Cauthon wiedział, że swoim uśmiechem potrafi uspokoić wiele kobiet. Kramarka o okrągłej twarzy, patrząc na niego, pociągnęła nosem, po czym pochyliła się nad belą jedwabiu i zaczęła wygładzać materiał czułymi ruchami, jakimi niewiasty często tulą niemowlęta. „To znaczy – cierpko poprawił się w myślach Mat – jakimi większość niewiast tuli niemowlęta”.

Chwilę później stracił oddech na widok idącej ulicą kobiety w gładkim płaszczu, która akurat odrzuciła kaptur. Była to Edesina. Po sekundzie ponownie skryła twarz pod kapturem, choć bez pośpiechu. Och, jeśli ktoś oprócz Mata zauważył jej wiecznie młodą twarz Aes Sedai...! Rozejrzał się wokół siebie. Nikt na ulicy nie wydawał się dostrzegać siostry, jednak Cauthon nie widział wszak min wszystkich osób w tłumie. Czy ktoś już myślał o czekającej go nagrodzie za wskazanie Aes Sedai? Może obecnie w Juradorze nie było żadnych Seanchan, na pewno jednak niedawno tędy przechodzili.

Edesina doszła posuwistym krokiem do narożnika i zniknęła za rogiem. W ślad za nią skręciły dwie postaci okryte ciemnymi płaszczami. Dwie! Czyżby tylko jedna *sul'dam* pozostała w obozie, zajmując się dwiema Aes Sedai? A może Joline albo Teslyn kręciły się gdzieś w pobliżu i Mat po prostu je przeoczył? Wyciągnął szyję i przeszukał wzrokiem ludzką masę, wypatrując innych gładkich płaszczy, jednak wszystkie, które widział, miały przynajmniej mały haft.

Myśl ta uderzyła go nieoczekiwanie i poczuł się tak, jakby dostał kamieniem między oczy. Dosłownie wszystkie płaszcze, jakie widział, miały przynajmniej drobny haft! Gdzie zatem się podziały cholerna Tuon i cholerna Selucia?! I czyżby grzechoczące w jego czaszce kości przyspieszyły?

Oddychając ciężko, wspiął się na palce, jednakże wszędzie otaczały go jedynie strumienie haftowanych płaszczy, haftowanych kaftanów i haftowanych sukien. Fakt ten oczywiście nie oznaczał, że dwie kobiety próbowały uciec. Wszak Tuon dała słowo! Już wcześniej przecież przepuściła wyśmienitą okazję do zdrady. Tym niemniej wystarczy, że któraś z nich wypowie głośniejszy choćby trzy słowa i każdy słuchacz zapewne bez trudu rozpozna seanchański akcent. A wówczas być może Cauthonowi zaczęliby deptać po piętach tutejsi strażnicy. Rozejrzał się i dostrzegł przed sobą dwa sklepy oferujące tkaniny; jeden po jednej, drugi po drugiej stronie ulicy. Przy żadnym ze straganów nie stały jednak dwie kobiety w ciemnych płaszczach. Może Tuon i Selucia już skręciły za róg? Mat postanowił w tym momencie zaufać swojemu szczęściu. Wiedział, że jego szczęście zazwyczaj rośnie wprost proporcjonalnie do przypadkowości gry, w której brał udział. Cholerna dziewczyna i jej służąca prawdopodobnie się z nim po prostu zabawiały! Niech szejnie, jeśli pozwoli im się wykiwać.

Zamknął oczy i obrócił się wokół własnej osi pośrodku ulicy, po czym zrobił krok. Na chybił trafił. Niech zadecyduje jego szczęście! Wpadł na jakiegoś masywnego osobnika; uderzyli się tak mocno, że obaj chrząknęli. Gdy Cauthon otworzył oczy, zobaczył przed sobą potężnie zbudowanego mężczyznę o wąskich ustach i rzadkich, kiepsko wykonanych haftowanych zakrętach na ramionach ciężkiego płaszcza. Osobnik przez długą chwilę wgapił się w niego i obrzucał go piorunującymi spojrzeniami; dłoń trzymał na rękojeści zakrzywionego noża. Mata nic teraz jednak nie obchodziło. Odkrył, że stoi przed jednym z dwóch sklepów. Naciągnął kapelusz niżej na oczy i wbiegł do wnętrza. Kości w jego głowie toczyły się coraz szybciej i coraz głośniej.

Półki stojących pod ścianami, wysokich od podłogi po sufit regałów aż się uginały od licznych bel z różnymi materiałami, sporo tkanin leżało też w stosach na długich ławach ustawionych na środku sklepu. Sprzedawczyni okazała się kościstą kobietą z dużym pieprzykiem na podbródku, jej asystentka zaś była szczupła, ładna i rozgniewana. Cauthon wpadł do środka w samą porę, gdyż sklepikarka akurat powiedziała:

– Pytam po raz ostatni. Jeśli nie odpowiecie mi, czego tu szukacie, wyślę Nelsę po strażę.

Tuon i Selucia, nadal skrywając twarze w kapturach, szły powoli wzdłuż regału ściennego wypełnionego materiałami. Co jakiś czas zatrzymywały się i dotykały jednej z bel, nie zwracając najmniejszej uwagi na wściekłość sklepikarki.

– One są ze mną – wysapał zdyszany Mat. Wyjął sakiewkę z kieszeni i rzucił ją na najbliższy pusty stół. Ciężki brzęk złota wywołał u sklepikarki o wąskiej twarzy szeroki uśmiech. – Daj im, co zechcą – dodał, po czym zwrócił się do Tuon i powiedział twardo: – Jeśli zamierzasz coś kupić, to tylko tutaj. Nie poświęcę dziś więcej czasu na twoje zakupy.

Jeszcze zanim słowa opuściły jego usta, pożałował ich. Cofnąłby je, gdyby mógł, natychmiast bowiem sobie uświadomił, że z kobietami nie należy tak rozmawiać. Każda może mu w takiej chwili wybuchnąć w twarz niczym jeden z ognistych patyczków Aludry. Tym niemniej duże oczy Tuon jedynie podniosły się na niego ze środka kaptura, a pełne usta wykrzywiły się nieznacznie w uśmiechu. Był to jakiś sekretny uśmieszek do siebie, nie do niego. Światłość jedna wie, co miał oznaczać. Cauthon wprost nienawidził, kiedy kobiety uśmiechały się w taki sposób. Kości w jego głowie nadal grzechotały, jednak Mat uznał uśmiech dziewczyny raczej za dobry znak.

Tuon nie potrzebowała się odzywać, ażeby wskazać wybrane tkaniny. Wyciągała palec, celując w kolejne bele, po czym rozkładała małe, ciemne dłonie i pokazywała, jak duży kawałek sklepikarka ma odciąć nożycami. Właścicielka sklepu sama wykonała całą pracę, zamiast zlecić ją asystentce. Pracowała szybko. Dziewczyna wybrała kilka odcieni czerwonego jedwabiu, kilka zielonego, a najwięcej błękitnego. Mat nie wiedział, że aż tyle odcieni tego ostatniego istnieje! Tuon zapragnęła nabyć także kawałki pięknego lnu w paru grubościach i jasną wełnę o długim włosiu – radziła się Selucii stłumionym szeptem – głównie jednak kupowała jedwab. Cauthon wydał w tym sklepie dużo więcej pieniędzy, niż przewidywał.

Wszystkie tkaniny zostały złożone, starannie związane, a następnie – bez żadnej opłaty, co podkreśliła sklepikarka – zawinięte dodatkowo w grube płótno. Powstała paczka wielkości tłumoka domokrążcy. Mata bynajmniej nie zaskoczyła nowina, że będzie musiał na własnych ramionach zanieść pakunek do siedziby widowiska. Ruszył więc, w jednej ręce trzymając także kapelusz. Zakładasz najlepsze ubranie, kupujesz kobiecie jedwab, a ona i tak znajdzie ci coś do roboty! I żadnego podziękowania.

Kiedy wyruszył w drogę z pakunkiem za dwiema kobietami, otrzymał sporo zaskoczonych spojrzeń ze strony jawnie się na niego gapiących mieszkańców. Tuon i jej służąca sunęły wśród tłumy, zadowolone jak koty w mleczarni. Widział to po ich ruchach, mimo iż obie były szczelnie

otulone płaszczami i nakryte kapturami. Dochodziło dopiero południe, jednakże kolejka ludzi czekających na wejście do siedziby widowiska ciągnęła się niemal do samego miasta. Większość osób stała z rozdziawionymi buziami i wskazywała na Cauthona niczym na pokrytego makijażem klauna. Jeden z rosnących furmanów strzegących szkatuły z monetami posłał mu również szczerbaty uśmiezek i otworzył usta, wyraźnie zamierzając coś powiedzieć, Mat wszakże przystopował go groźnym spojrzeniem i mężczyzna spuścił wzrok na monety, które mieszkańcy Juradoru wrzucali do szklanego dzbana. Cauthon wszedł na teren i wtedy przemknęło mu przez myśl, że nigdy chyba jeszcze nie czuł takiej ulgi, że znajduje się tu, w środku.

Zanim jednak on i obie kobiety zdołali zrobić trzy kroki, podszedł do nich Juilin – co dziwne, bez Thery i bez swojej czerwonej czapki. Twarz łowcy złodziei wyglądała jak wyrzeźbiona ze starego drewna dębowego. Juilin przypatrzył się szybko ludziom wchodzącym na teren widowiska, po czym odezwał się do Mata cicho, lecz natarczywie:

– Szukałem cię. Chodzi o Egeanin, która została... ranna. Chodź szybko.

Ton męczyzny był wystarczająco niepokojący, co gorsza jednak Cauthon poczuł, że toczące się w jego głowie wyobrażenia jeszcze przyspieszyły. Cisnął pakunek z tkaninami furmanom, krzyknął im pospiesznie, że mają go chronić tak samo starannie jak szkatułę na monety, w przeciwnym razie ostro się z nimi policzy, nie zamierzał jednak patrzeć, czy mężczyźni poważnie potraktują jego polecenie. Juilin biegiem rzucił się drogą, którą przyszedł, a Mat pogonił za nim, pędząc szeroką główną ulicą widowiska. Mijał hałaśliwe tłumy przyglądające się piramidzie tworzonej przez czterech braci Chavana o nagich torsach, stojącym na głowach giętkim akrobatom w cieniutkich spodniach i krótkich, lśniących kaftanach, a także występującej na linie dziewczynie, która w błyszczących, niebieskich spodniach wspinała się właśnie po długiej, drewnianej drabinie, ażeby rozpocząć swój popis. Tuż obok tej drabiny Juilin skręcił w jedną z węższych alejek, gdzie wisiało pranie na sznurach rozciągniętych między namiotami i wozami; czekający na spektakl wykonawcy siedzieli na stołkach i stopniach wozów, zaś dzieci członków widowiska grały w piłkę lub biegały z kołami. Cauthon wiedział już, dokąd prowadzi go Juilin, jednakże łowca złodziei biegł tak szybko, że Mat nie mógł go dogonić.

W końcu zobaczył przed sobą swój zielony wóz. Latelle zerknęła pod spód, a odziany w jeden ze swoich jasnoczerwonych płaszczy Luca usiłował przegonić stąd parę żonglerek. Obie kobiety, w workowatych spodniach i z twarzami pomalowanymi na biało niczym błazny pana wielkiego rodu, zanim posłuchały polecenia, przez dobrą chwilę zaglądały pod wóz. Kiedy Mat podszedł bliżej, zobaczył, na co wszyscy się gapią. Domon – bez kaftana – siedział na ziemi przy ścianie wozu i przyciskał do piersi bezwładną Egeanin. Kobieta oczy miała zamknięte, a z kącika ust ciekła jej strużka krwi. Peruka jej się przekrzywiła i z jakiegoś powodu dziwnie sterczała. A przecież Egeanin zawsze się starała trzymać perukę prosto. Kości w czasie Mata grzechotały niczym grzmoty.

– Mogło dojść do katastrofy – warknął Luca, obdarzając srogimi spojrzeniami to Cauthona, to Juilina. Patrzył na nich wilkiem, lecz w jego wzroku nie było strachu. – Mogliście mnie doprowadzić do kompletnej klęski!

Przepłoszył grupkę stojących z szeroko otwartymi oczyma dzieci i obsztorcował pulchną kobietę w lśniących od srebrzystych cekinów spódnicach. Miyora wymagała od lampartów sztuczek, których Latelle nawet nie próbowała by nauczyć swoich zwierząt, teraz wszakże tylko odrzuciła głowę i odeszła. Nikt nie traktował Luki tak poważnie jak on sam siebie.

Właściciel widowiska zerwał się na widok nadchodzących pospiesznie Tuon i Selucii. Chciał je odgonić, ale się powstrzymał. Nawet na krótko popadł w zadumę i zaczął marszczyć brwi. Wyraźnie się niepokoił. Prawdopodobnie wcześniej żona nie powiedziała mu, że Mat wraz z

kobietami opuścił siedzibę widowiska, teraz jednak zrozumiał, że cała trójka dopiero co wróciła z jakiejś wyprawy. Szczególnie że niebieskooka służąca miała obecnie na plecach ogromny pakunek zwiniętych tkanin, który podtrzymywała obiema rękoma. Tym niemniej, mimo wielkiego ciężaru, stała prosto. Gdyby nie sugerujący frustrację i rozdrażnienie wyraz jej twarzy, można by pomyśleć, że Selucia przyzwyczajona jest do noszenia takich ciężarów. Latelle zmierzyła ją wzrokiem od góry do dołu, a następnie uśmiechnęła się szyderczo do Cauthona, wyraźnie uważając go za przyczynę niezadowolenia służącej o wydatnym biuście. Żona Luki nieźle potrafiła szydzić, jednak przy srogiej minie Tuon, Latelle spoglądała niemal łagodnie. Dziewczyna bowiem, chociaż nie zdjęła kaptura, wydawała się sędzią gotowym wydać natychmiastowy wyrok.

W obecnej chwili Mata nie obchodziło jednak, co myślą wszystkie te kobiety. Przejmował się jedynie cholernymi kośćmi z hałasem toczącymi się w jego głowie. Zrzucił płaszcz, ukląkł na jedno kolano i przyłożył palce do szyi Egeanin. Uderzenia pulsu były słabe, rzadkie i nieregularne.

– Co się stało? – spytał. – Posłaliście po którąś z sióstr?

Nie wiedział, czy Egeanin przeżyłaby przeniesienie w inne miejsce, toteż może jedyną szansą dla niej było Uzdrawienie, o ile Aes Sedai się pospieszą. Cauthon nie wypowiedział oczywiście głośno nazwy „Aes Sedai”, zwłaszcza że tak wiele osób ich mijalo, zatrzymując się i rzucając ciekawskie spojrzenia, póki Luca albo Latelle ich nie przegonili. Jej ponaglenia działały na gapiów skuteczniej niż jego. Luki właściwie słuchała chyba tylko jego żona.

– To Renna! – Domon niemal wypluł to imię. Mimo bardzo krótkich włosów i osobliwego illiańskiego zarostu, czyli bródce przy całkowitym braku wąsów, nie wyglądał obecnie śmiesznie. Wydawał się raczej przestraszony, a równocześnie miał jawnie mordercze myśli, co stanowiło połączenie iście niebezpieczne. – Widziałem, jak dźgnęła Egeanin w plecy, a następnie uciekła. Gdybym ją złapał, skrzyłbym jej kark, przede wszystkim jednak musiałem powstrzymać palcami krew upływającą z Egeanin. Gdzie te cholerne Aes Sedai? – warknął, zupełnie nie panując już nad językiem.

– Jestem tutaj, Bayle’u Domon – odparła zimno Teslyn, przybywając wraz z Therą, która jednym przerażonym spojrzeniem obrzuciła Tuon i Selucię, po czym z piskiem przyłgnęła do ramienia Juilina i wpatrzyła się w ziemię. Zaczęła drżeć tak straszliwie, że o mało sama nie straciła przytomności.

Aes Sedai o srogim spojrzeniu spojrzęła na leżącą raną kobietę i zrobiła taką minę, jakby ktoś włożył jej w usta bukiet kolczastych róż, tym niemniej szybko ukucnęła przy wozie obok Domona i ścisnęła w kościstych rękach głowę Egeanin.

– Jeśli chodzi o Uzdrawianie, Joline jest lepsza ode mnie – szepnęła, częściowo do siebie – ale może mi się uda...

Mat poczuł na piersi zimny dotyk i wiedział, że srebrny medalion z lisim łbem nagle ochłódł. Ranna szarpała się tak gwałtownie, że aż spadła jej peruka. Kobieta o mało nie wyrwała się z uścisku Domona, lecz nagle jej oczy otworzyły się szeroko. Konwulsje trwały na tyle długo, że zdołała się podnieść i na wpół usiąść; przez moment z jej ust wydobywał się mroźny oddech, po czym Egeanin nagle ponownie opadła na pierś mężczyzny, ciężko sapiąc, a wówczas medalion Cauthona zmienił się znów w zwyczajny kawałek rzeźbionego srebra. Mat już się prawie do tego przyzwyczaił, choć nienawidził zimna medalionu.

Teslyn również zaczęła się osuwać i prawie się przewróciła, Domon wszakże oderwał od Egeanin jedną rękę i podtrzymał nią Aes Sedai.

– Dziękuję ci – powiedziała Teslyn po chwili, z trudem sylabizując słowa – lecz nie potrzebuję pomocy. – Ażeby wstać, oparła się wprawdzie o bok wozu, jednak jej lodowate, typowe dla Aes Sedai spojrzenie onieśmiało, toteż nikt tego nie skomentował. – Ostrze przesunęło się po żebrze –

wyjaśniła – i musnęło jej serce. Teraz ranna potrzebuje tylko odpoczynku i jedzenia.

Cauthon zauważył, że Aes Sedai przybyła bez okrycia; najwyraźniej szkoda jej było czasu na ubieranie. Rozejrzał się. Z jednej strony wąskiej alejki, sprzed namiotu w zielone paski obserwowawała ich grupka stojących tam kobiet w połyskliwych płaszczach. Ich spojrzenia były uważne i skupione. Na drugim końcu alei dostrzegł natomiast pół tuzina mężczyzn i kobiet w kaftanach w białe pasy i obcisłych spodniach – akrobatów, którzy na co dzień wykonywali konne ewolucje. Wszyscy albo przypatrywali się Teslyn, albo pochylali ku sobie głowy i coś do siebie szeptali. Mat wiedział, że już za późno na zamartwianie się, czy ktoś rozpozna młodą twarz Aes Sedai. Za późno się martwić, czy ktoś z nich słyszał o Uzdrawianiu i czy na widok czynności Teslyn domyśli się, co kobieta zrobiła. W jego głowie nadal grzechotały kości. Nie zatrzymały się, zatem gra jeszcze się nie skończyła.

– Kto jej szuka, Juilinie? – spytał. – Juilin?

Łowca złodziei przestał przeszywać przepęnlionymi wściekłością spojrzeniami Tuon i Selucię, porzucił też mamrotanie do Thery, chociaż wciąż czule poklepywał dłonią swoją drżącą niczym osika kobietę.

– Vanin i Czerwonorecy, Lopin i Nerim. Także Olver. Mały pojechał, zanim zdążyłem go powstrzymać. Jednak w tym tłumie... – Przestał uspokajać Therę, podniósł rękę i wskazał ku głównej ulicy. Nawet z tej odległości docierał do nich gwar i hałasy. – Wystarczy, że Renna założy jeden z tych fantazyjnych płaszczy i wymknie się wraz z pierwszymi wychodzącymi widzami. Jeśli spróbujemy zatrzymać każdą kobietę w kapturze albo zaczniemy chociaż im pod te kaptury zaglądać, doprowadzimy do zamieszek. Tutejsi ludzie są strasznie drażliwi.

– Katastrofa – jęknął Luca, owijając się ciaśniej płaszczem. Latelle otoczyła go ramieniem. Być może Luca odniósł wrażenie, że pociesza go... na przykład lampart, w każdym razie nie wyglądał na pokrzepionego.

– Niech szczenę... ale dlaczego? – wyrwało się Matowi. – Renna zawsze była gotowa całować mnie po rękach! Sądziłem, że jest po naszej stronie...!

Nawet nie zerknął na Therę, lecz Juilin ciągle ponuro na niego łypał.

Domon wstał, trzymając w ramionach Egeanin, która słabo mu się wyrывała, nie należała bowiem do kobiet pozwalających mężczyznom nosić się jak lalki, w końcu wszakże chyba sobie uświadomiła, że jeśli stanie na własnych nogach, natychmiast się przewróci, zawisła więc przy piersi Illiańczyka i tylko popatrywała wokół z urazą. Domon pewnie odkrył w tym momencie nową rzecz. Nawet jeśli kobieta potrzebuje pomocy, udaje, że jej nie chce, a mężczyzna musi się bardzo wysilić, by jej tej pomocy udzielić.

– Tylko ja jedna znam jej sekret – wycedziła powoli cichym głosem. – W każdym razie tylko ja jedna mogłabym go wydać. Może uważała, że jeśli mnie zabije, będzie mogła bezpiecznie wrócić do domu.

– Jaki sekret? – spytał Mat.

Egeanin z jakiegoś powodu się zawahała i z marsową miną wpatrzyła się w pierś Domona. Wreszcie westchnęła.

– Rennę wzięto raz na smycz. Podobnie jak Bethamin i Setę. Wszystkie trzy umieją przenosić Moc. A może potrafią się tego nauczyć... Dokładnie nie wiem. Jednakże *a'dam* reagowała przy wszystkich trzech. Tyle że... Może urządzenie to reaguje na każdą *sul'dam*.

Cauthon gwizdnął przez zęby. Tak, to była niezwykła informacja.

Luca i jego żona wymienili zaintrygowane spojrzenia, najwyraźniej nie rozumiejąc ani słowa. Teslyn otworzyła usta i tak zastygła, jej typowy dla Aes Sedai spokój zupełnie roztopił się w szoku.

Selucia jednakże wydała gniewne prychnięcie, a jej niebieskie oczy zapłonęły. Zrzuciła z pleców tobolek z tkaninami i zrobiła krok ku Domonowi. Tuon natychmiast strzeliła palcami i służąca stanęła, chociaż cała się trzęsła. Ciemna twarz Tuon wyglądała jak maska, z której nie sposób było wyczytać odczuwane przez dziewczynę emocje. Bez wątplenia wszakże nie podobały się jej słowa, które usłyszała. Mat przypomniał sobie, z czego mu się niedawno zwierzyła. Wszak szkoliła *damane*! Och, niech szcześnie, na domiar złego ma w dodatku poślubić kobietę z umiejętnością przenoszenia Mocy?!

Dźwięk końskich kopyt obwieścił przybycie Harnana i innych trzech Czerwonorękich, którzy szybkim kłusem przyjechali wąską drogą między namiotami i wozami. Miecze mężczyźni przypasali sobie pod płaszczami, Metwyn miał też sztylet o długości prawie równej krótkim mieczom, a Gorderan wiózł przy siodle swoją ciężką kuszę, już naciągniętą i zablokowaną. Korbka przy jego pasie zazwyczaj pełną minutę naciągała grubą linkę, teraz natomiast mężczyzna musiał myśleć jedynie o zapadce. Harnan wiózł krótki, przystosowany do strzelania z końskiego grzbietu łuk, a przy biodrze trzymał kołczan ze strzałami. Fergin prowadził Oczko.

Harnan nie tracił czasu na zsiadanie. Przypatrzył się podejrzliwie Tuon i Selucii, obrzucił pełnym wątpliwości spojrzeniem Lucę i Latelle, po czym pochylił się w siodle, ukazując przy tym szczegóły prymitywnie wytatuowanego jastrzębia, którego miał na policzku.

– Renna ukradła konia, mój panie – oznajmił cicho. – Galopując, stratowała jednego z furmanów stojących w wejściu. Podąża za nią Vanin. Podobno kobieta może dotrzeć do Coramenu jeszcze dzisiejszego wieczoru. W każdym razie w tamtą stronę się skierowała. Pędzi znacznie szybciej niż nasze wozy, zwłaszcza że jedzie na oklep. Mamy szansę ją złapać. O ile dopisze nam szczęście.

Sądząc po jego tonie, Harnan był owego szczęścia absolutnie pewien. Czerwonoręcy bardziej ufali w słynne szczęście Mata Cauthona niż on sam.

Tyle że w sumie niestety nie mieli wyboru. Wyobrażone kości nadal uderzały z grzechotem o ścianki jego czaszki. Ciągłe istniała szansa, którą musieli wykorzystać. Mała szansa, która nazywała się „szczęście Mata Cauthona”.

– Luca, każ jak najszybciej spakować się swoim ludziom, a później natychmiast wyślij ich w drogę – polecił, dosiadając Oczka. – Zostawcie wszystkie ciężkie przedmioty i takie, które trzeba długo ładować na wozy. Po prostu się spakujcie i stąd odjedźcie.

– Czyś ty zwariował? – Luca aż się opluł śliną. – Jeśli spróbuję usunąć z terenu pokazu widzów, dojdzie do zamieszek! Wszyscy zechcą odzyskać pieniądze, które wydali na bilety!

O Światłości, ten człowiek nawet kładąc głowę na katowskim pniu, marzyłby o zarobku.

– Pomyśl tylko, co się stanie, jeżeli jutro znajdzie was tutaj tysiąc seanchańskich żołnierzy. – Mat przemawiał najbardziej lodowatym tonem, na jaki potrafił się zdobyć. Wiedział, że jeśli szczęście go zawiedzie, Seanchanie wyśledzą widowisko Luki, zanim wykonawcy zdążą odjechać. Luca również o tym wiedział, wnosząc po jego skrzywionej minie. Patrząc na niego, można by mniemać, że właśnie rozgryzł zgniłą śliwkę. Cauthon zmusił się do zignorowania mężczyzny. Wyobrażone kości głośno bębniły i jeszcze się nie zatrzymały. – Julinie, zostaw Luce całe nasze złoto, z wyjątkiem jednej ciężkiej sakiewki. – Przemknęło mu przez głowę, że może właścicielowi widowiska uda się przekupić Seanchan, jeśli ustalą, że Luca nie przetrzymuje ich Córki Dziewięciu cholernych Księżyców. – Zbierz wszystkich i odjeżdżajcie natychmiast, gdy będziecie gotowi. Kiedy staniecie się niewidoczni z miasta, skierujcie się do lasu. Tam was znajdzie.

– Wszystkich? – Julin, osłaniając Therę swoim ciałem, ostro odwrócił głowę ku Tuon i Selucii. – Zostaw te dwie w Juradorze. Jeśli Seanchanie je odzyskają, może dadzą nam spokój. W każdym

razie może zatrzymają się przy nich na jakiś czas. Stale powtarzasz, że prędzej czy później trzeba je będzie uwolnić.

Cauthon wytrzymał spojrzenie Tuon, patrząc w jej duże, ciemne, wilgotne oczy błyskające z gładkiej, pozbawionej wyrazu twarzy. Dziewczyna częściowo odrzuciła kaptur, więc mógł wyraźnie widzieć jej twarz. Jeżeli pozostawi ją w Juradorze, Tuon nigdy nie wypowie słów, na które czekał, a jeśli je wypowie, Mat będzie zbyt daleko od niej, ażeby słowa te miały dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Jeśli zostawi ją tutaj, nigdy nie dowie się, dlaczego uśmiechała się do niego w ten tajemniczy sposób, nigdy nie pozna jej tajemnicy... O Światłości, ależ był z niego głupiec! Oczko niecierpliwie odtańczył kilka kroków.

– Wszystkich – potwierdził. Tuon nieznacznie pokiwała głową, jak gdyby nad czymś dumiała. „Dlaczego pokiwała głową?!” – zapytał siebie Mat. – Ruszamy – polecił Harnanowi.

Musieli przejechać między tłumami, lecz gdy tylko opuścili tereny pokazu i dotarli do drogi, Cauthon popędził Oczko do galopu. Poły płaszcz płynęły za nim, on zaś skupiał się jedynie na jeździe i ochronie dłonią kapelusza przed zwianiem. Takiego tempa nie mógł utrzymać przed dłuższy czas, o ile nie chciał zajeździć swojego konia na śmierć. Droga wiała się wśród wzgórz, przecinała wyższe partie pasma, od czasu do czasu wspinając się na niższe pagórki. Konie przebiegały głębokie do kostek strumienie i z łoskotem pędziły po niskich, drewnianych mostach pobudowanych nad głębszymi wodami. Na zboczach znów pojawiły się drzewa – sosny i mahoniowce, których zieleń odznaczała się wyraźnie na tle po zimowemu nagich gałęzi drzew liściastych. Na niektórych wzgórzach znajdowały się farmy, wraz z niskimi, krytymi dachówką kamiennymi budynkami mieszkalnymi oraz wyższymi od nich stodołami. Tu i ówdzie jeźdźcy mijali sioło złożone z ośmiu lub dziesięciu domostw.

Kilka mil od siedziby widowiska Mat zauważył przed sobą barczystego tłuściocha siedzącego na siodle niezdarnie niczym worek z łojem. Jego koń był długonogim kasztankiem, który z łatwością przemierzał teren mocnym klusem. Najwyraźniej Renna знаła się na koniach i ukradła jeszcze szybsze zwierzę. Słyszając za sobą tętent kopyt, Vanin obrócił się, zwolnił wszakże jedynie do stępa. Był wyraźnie niezadowolony.

Kiedy Mat zwalniając, podjechał do kasztanka, grubas splunął w bok.

– Największa nasza szansa tkwi w tym, że kobieta zajeździ swojego rumaka na śmierć, a wtedy wyśledzimy ją nawet na piechotę – mruknął. – Gna prędzej, niż się spodziewałem, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że jedzie na oklep. Jeśli pogonimy konie, może złapiemy ją przed zachodem słońca. O ile bowiem jej koń nie utonie gdzieś ani nie padnie, kobieta będzie się prawdopodobnie o tej porze zbliżać do Coramenu.

Cauthon odrzucił głowę i zerknął na słońce, które znajdowało się niemal dokładnie nad nimi. Do zachodu pozostało niecałe pół dnia, a w tym czasie można pokonać naprawdę sporą przestrzeń. Gdyby teraz zawrócili, do wieczora znaleźliby się w znacznej odległości za Juradorem – w towarzystwie Thoma, Juilina i innych. I Tuon! Tyle że mieliby na głowie Seanchan, którzy poznaliby do tej pory powody, dla których powinni wyśledzić Mata Cauthona. Człowiek, który porwał Córkę Dziewięciu Księżyców, nawet największy szczęściarz, nie mógłby liczyć na zachowanie życia i utratę jedynie wolności. Taki ktoś na pewno nie zostanie *da'covale*. W dodatku jutro czy pojutrze Seanchanie złapią Luce, który również skończy nabity na pal. Luca, Latelle, Petra, Clarine i pozostali. Cały rząd pali... Kości grzechotały i podskakiwały Matowi w czaszce.

– Zdołamy ją schwytać – oświadczył z przekonaniem.

Nie mieli innego wyboru.

Vanin znowu splunął.

Jeśli chciało się oszczędzić konia, istniał tylko jeden sposób pokonania wielkich przestrzeni. Pół mili jechali zatem stępa, potem kolejne pół mili przyspieszali do kłusa. Następnie trucht, cwał i znów powrót do stępa. Słońce rozpoczęło swoją drogę w dół, a wyobrażone kości wciąż wirowały. Objężdżali rzadko zalesione wzgórza lub przecinali porośnięte drzewami grzbiety. Strumyki, które można było pokonać w trzech wielkich krokach, konie przeskakiwały, ledwie mocząc kopyta. Przez większe strumienie, nawet szerokości trzydziestu kroków, przejeżdżali po płaskich, drewnianych lub czasem kamiennych mostach. Słońce opuszczało się coraz niżej, wyobrażone kości zaś wirowały coraz szybciej. Zawrócili prawie do rzeki Elbar i nie dostrzegli żadnego śladu Renny, może oprócz wskazanych przez Vanina znaków końskich kopyt odcisniętych w twardo ubitej ziemi na drodze; ślady wyglądały jak wymalowane.

– Zbliżamy się – szepnął grubas. Jego głos nie brzmiał jednakże szczególnie wesoło.

Nieco później okrążyli wzgórze i znaleźli przed sobą kolejny niski most. Droga skręcała tu na północ i przecinała następne pasmo wzgórz przez antyklinę. Siedzące na czubku jednego z wyższych wzgórz słońce raziło ich w oczy. Po drugiej stronie tegoż grzbietu leżało miasto Coramen. Mat opuścił rondo kapelusza, by przesłonić oczy, i przeszkukał wzrokiem drogę, szukając uciekinierki lub kogokolwiek – konnego czy pieszego. Nagle serce w nim zamarło.

Równocześnie Vanin zaklął i wskazał palcem przed siebie.

Spiniony gniadosz wspinał się po zboczu po drugiej stronie rzeki. Renna szaleńczo kopała boki wierzchowca, popędzając go do jeszcze szybszej wspinaczki. Kobiecie wyraźnie ogromnie zależało na dotarciu do Seanchan, bo nie trzymała się drogi. Dzieliło ich od niej może dwieście kroków, choć równie dobrze mogła się znajdować od nich o całe mile. Jej rumak powoli tracił siły, lecz nawet pieszo, biegiem, Renna dotarłaby ze swojego miejsca do garnizonów, zanim Cauthon i jego towarzysze zdążyliby ją dopaść. Musiała jedynie dojechać do wierzchołka, do którego pozostało jej zaledwie pięćdziesiąt stóp.

– Mój panie? – spytał Harnan.

Mężczyzna przyłożył już strzałę do cięciwy i częściowo naciągnął łuk. Gorderan trzymał przy ramieniu ciężką kuszę, gruby spiczasty bełt był na swoim miejscu.

Mat poczuł, jak coś w nim migocze i zamiera. Nie miał pojęcia, co to takiego. Kości toczyły się jak grzmoty.

– Strzelać – rozkazał.

Miał ochotę zamknąć oczy. Kusza trzasnęła, bełt pofrunął przez powietrze w postaci czarnej smugi. Trafiona w plecy Renna osunęła się na kark gniadosza, a gdy w chwilę później zaczęła się podnosić, dosięgła ją strzała Harnana.

Ciało kobiety zsunęło się powoli z konia i zaczęło spadać po zboczu, tocząc się, turlając i odbijając od młodych drzewek. Spadało coraz szybciej, aż z rozbryzgiem wpadło do rzeki, później przez chwilę płynęło przy brzegu twarzą do dołu, po czym nagle pochwycił je główny nurt i pociągnął ku środkowi topieli. Spódnice Renny falowały na wodzie. Zwłoki wolno podryfowały ku rzece Elbar. Może kiedyś dotrą nawet do morza. Sprawa była załatwiona. Mat Cauthon zabił trzecią kobietę. Niemal mu umknęło, że grzechoczące w jego czaszce wyobrażone kości wreszcie się zatrzymały. Myślał tylko o trzech istotach, które zabił. „Nigdy więcej” – przemknęło mu przez głowę, gdy ciało Renny zniknęło z pola widzenia za zakrętem. „Choćbym miał za to umrzeć, nigdy więcej”.

Wracając na wschód, jechali powoli. Nie było sensu się spieszyć, a Cauthon czuł teraz straszliwe zmęczenie. Tym niemniej nie zatrzymywali się dłużej po drodze, co najwyżej ażeby odetchnąć i napoić konie. Żaden z mężczyzn nie miał ochoty na rozmowę.

Do Juradoru dotarli późnym wieczorem. Przesłonięte murami miasto wyglądało jak jedna

ciemna bryła, a jego bramy zamknięto na cztery spusty. Chmury przykryły księżyc. Mat zdziwił się, widząc na dotychczasowym miejscu płócienne ściany siedziby widowiska Luki. Dwóch potężnych, owiniętych w koce furmanów chrapało pod wielkim transparentem, pilnując wejścia. Nawet z drogi, w mroku, było widać, że wozy i namioty nadal wypełniają przestrzeń za ścianą.

– Przynajmniej mogę powiedzieć Luce, że jednak nie musi uciekać – oświadczył Cauthon znużonym głosem, skręcając Oczko ku transparentowi. – Może pozwoli nam się u siebie przespaciać kilka godzin.

Za całe złoto, które otrzymał, właściciel widowiska powinien im nawet oddać własny wóz, znając wszakże pazerność tego człowieka, Mat miał nadzieję chociaż na trochę czystej słomy... Gdziekolwiek. Jutro będą mogli wyruszyć na poszukiwanie Thoma i pozostałych. I Tuon. Jutro, kiedy odpocznie.

Jeszcze większy szok czekał ich jednakże w ogromnym wozie Luki. Pośrodku znajdował się wąski stół, wokół którego pozostało sporo przestrzeni do chodzenia. Stół, kredensy i półki zostały tak wypolerowane, że aż świeciły. Na połączanym krześle siedziała Tuon – Luca posiadał zatem krzesło i to złoczone, podczas gdy wszystkim innym musiały wystarczyć zwyczajne stołki! Za plecami dziewczyny stała Selucia. Rozpromieniony Luca przyglądał się Latelle, podsuwającej Tuon talerz z parującymi pasztecikami, które jak na wytwór jego żony wyglądały całkiem przyzwoicie.

Tuon nie okazała najmniejszego zdziwienia na widok wchodzącego do wozu Mata.

– Schwytaliście ją czy zabiliście? – spytała, podnosząc pasztecik w dwóch palcach, a pozostałe wyginając w ten swój interesująco wdzięczny sposób.

– Zabiliśmy – odparł stanowczo, następnie zaś ryknął: – Luca, co, na Światłość...

– Zabraniam ci, Zabawko! – przerwała mu dziewczyna, gwałtownie wycelowując w niego palec. – Zabraniam ci oplakiwać zdrajczynię! – Jej ton nieco złagodniał, tym niemniej nadal pozostał twardy. – Zasłużyła sobie na śmierć, zdradzając Imperium, a i ciebie bez trudu by zdradziła. Mało tego, naprawdę próbowała cię zdradzić. Wykonałeś po prostu wyrok i sprawiedliwości stało się zadość.

Słyszając jej głos, nie można było wątpić, że Tuon naprawdę uważa to zabójstwo za „sprawiedliwy wyrok”.

Cauthon zamknął oczy i zacisnął na moment powieki.

– Wszyscy inni także są na terenie widowiska? – spytał.

– Oczywiście – odparł Luca, nadal się uśmiechając jak wioskowy głupek. – Lady... to znaczy Wysoka Lady... Wybacz mi, Wysoka Lady... – Ukłonił się głęboko. – Wysoka Lady rozmawiała z Merrilinem, Sandarem i... No cóż, widzisz, co osiągnęła. Ta kobieta ma wielki dar przekonywania. Lady, to znaczy... Wysoka Lady. Teraz, Cauthon, co do kwestii mojego złota. Kazałeś im przekazać mi je, Merrilin jednak powiedział, że prędzej poderżnie mi gardło, a Sandar odgrażał się, że roztrzaska mi głowę, toteż... – Urwał na widok spojrzenia Mata, po czym nieoczekiwanie znów się rozpromienił. – Tylko zobacz, co lady mi dała! – Szarpnął drzwiczki jednego z kredensów i wyjął złożony papier, który z wielkim szacunkiem podniósł w obu rękach. Papier był gruby i biały jak śnieg, a zatem zapewne drogi. – Gwarancja. Nie ma oczywiście na niej pieczęci, ale jest podpisana. Wielkie Wędrowne Widowisko oraz Wspaniała Wystawa Cudów i Dziwów Świata Valana Luki znajduje się zatem obecnie pod osobistą ochroną Wysokiej Lady Tuon Athaem Kore Paendrag. Ma się rozumieć, że każdy wie, kim jest Wysoka Lady. Z taką gwarancją mógłbym występować dla Seanchan. Mógłbym przedstawić mój pokaz samej Cesarzowej! Niech nam żyje wiecznie! – dodał pospiesznie, znów się kłaniając Tuon.

„Wszystko na próżno” – pomyślał ponuro Cauthon. Usiadł ciężko na jednym z łóżek, łokcie

oparł na kolanach, zarabiając bardzo ostre spojrzenie od Latelle. Prawdopodobnie tylko obecność Tuon powstrzymała tę kobietę przed spoliczkowaniem go!

Tuon podnosiła właśnie rękę w nieznośnym sprzeciwu gości. Znowu wyglądała jak lalka z czarnej porcelany, a równocześnie – mimo zniszczonej i zbyt dużej sukienki – pozostała w każdym calu królową.

– Wolno ci użyć tego poręczenia jedynie w potrzebie, panie Luca. Jedynie w wielkiej potrzebie!

– Oczywiście, Wysoka Lady, oczywiście.

Właściciel widowiska wykonał kilka tak głębokich ukłonów, że jeszcze chwila, a zaczęłby całować deski podłogowe.

Wszystko, cholera, na darmo!

– Zrobiłam dodatkową wzmiankę na temat osób, które nie znajdują się pod moją ochroną, Zabawko. – Dziewczyna ugryzła pasztecik, podniosła palec do ust i delikatnie starła okruszki z wargi. – Domyślasz się, czyje imię znajduje się na początku tej listy?

Uśmiechnęła się. Nie dostrzegł w tym uśmiechu złości. Był to kolejny z tych jej uśmiechów jakby do samej siebie, z rozbawienia lub zadowolenia czymś, czego Cauthon nie rozumiał. Nagle coś zauważył. Tuon przypięła sobie do ramienia mały pęczek jedwabnych róż, które kiedyś jej wręczył.

Wbrew sobie się roześmiał. Rzucił na podłogę kapelusz i śmiał się. Mimo wszystkich wysiłków zrozumienia jej kompletnie nie znał tej młodziutkiej kobiety! Śmiał się i śmiał, aż rozbolały go zębra.

Rozdział 16

Co potrafi różdżka przysiąc

Słońce tkwiło na horyzoncie, idealnie podkreślając górujący w oddali kształt Białej Wieży, tym niemniej panujące poprzedniej nocy zimno chyba jeszcze bardziej się pogłębiło, a z przesuwających się po niebie ciemnostalowych chmur w każdej chwili mógł spaść śnieg. Zima ustępowała powoli, kurczowo trzymając się świata i niechętnie oddając pole czekającej na swoją kolejkę wiosnie. Przez ścianki namiotu Egwene, z pozoru odizolowanego od wszystkiego wokół, przeniknęły poranne hałasy. Całe obozowisko zdawało się wibrować. Robotnicy przywozili na wózkach wodę ze studni, dodatkowe stopy drewna opałowego i węgla drzewnego. Kobiety służebne roznosiły śniadania dla siostr, a nowicjuszek przygotowywały się do zajęć w Familiach. To był ważny dzień, chociaż nikt poza Egwene o tym nie wiedział. Prawdopodobnie właśnie dzisiaj zostaną zerwane fałszywe negocjacje, które odbywały się w Darein przy stole ustawionym w wielkim namiocie u stóp mostu prowadzącego ku Tar Valon. A negocjacje były fałszywe z obu stron. Wynajęci przez Elaidę rabusie nadal panoszyli się bezkarnie po drugiej stronie rzeki. Tak czy owak, dzisiejsze zebranie będzie ostatnim – na jakiś czas.

Zerkając na własne śniadanie, Egwene westchnęła i wyjęła małą, czarną kropeczkę z parującej owsianki, po czym wytarła palce w lnianą serwetkę, nie upewniwszy się wcale, czy rzeczywiście znowu znalazła w jedzeniu wołka zbożowego. Jeśli człowiek nie miał pewności, czy znalazł robaka, wtedy mniej się o martwił o te, które pozostały w misce. Egwene włożyła łyżkę do ust i próbowała skoncentrować się na słodkich paseczkach suszonej moreli, wmieszanych przez Chesę w owsiankę. Czyżby jednak ponownie rozgryzła w zębach coś twardego?!

– Jak mawiała moja matka, wszystko, co jesz, wypełnia brzuch, więc staraj się nie zwracać uwagi na drobiazgi – mruknęła Chesa, jakby mówiła do siebie. W ten sposób udzielała Egwene rad, nie przekraczając granicy istniejącej między panią i jej służącą. Przynajmniej udzielała takich rad, kiedy w namiocie nie było Halimy, a dziś rano Halima odeszła bardzo wcześnie.

Chesa siedziała na jednej ze skrzyń z odzieżą, na wypadek gdyby Egwene czegoś pragnęła albo miała dla niej jakieś zlecenie, co jakiś czas wszakże jej oczy błędziły tęsknie ku stercie ubrań, które miała dziś zanieść praczkom. Nigdy nie krępowała się w obecności Egwene cerować lub naprawiać jakiejś części garderoby, jednak sortować odzież wołała w samotności.

Egwene wygładziła rysy twarzy i już miała odesłać służącą do własnego śniadania – Chesa uważała jedzenie, zanim jej pani skończy, za kolejne naruszenie dobrych obyczajów – nie zdążyła wszakże otworzyć ust, gdy do namiotu wbiegła otoczona poświatą *saidara* Nisao. Kiedy opadały lekkie kłapy, Amyrlin ujrzała w przelocie czekającego na zewnątrz Sarina: łysego, czarnobrodego, niezbyt wysokiego, lecz mocno zbudowanego Strażnika Nisao. Mała siostra nie założyła wprawdzie kaptura, który leżał starannie rozłożony na jej ramionach, uwidaczniając w całej okazałości podszewkę z żółtego aksamitu, jednak otaczała się szczelnie płaszczem, jak gdyby odczuwała dotkliwy chłód. Nic nie mówiła, obrzuciła jedynie Chesę ostrym spojrzeniem. Służąca poczekała na kiwnięcie Egwene, po czym wzięła swoje okrycie i wybiegła. Może nie mogła zobaczyć poświaty Mocy, doskonale jednak wiedziała, kiedy jej pani potrzebuje prywatności.

– Kairen Stang nie żyje – oświadczyła bez zbędnych wstępów Nisao. Na jej twarzy nie było emocji, głos pozostawał mocny i chłodny. Tak niska, że Egwene czuła się przy niej wysoka, Żółta siostra prostowała się dziś niczym struna, jakby chciała zyskać każdy możliwy dodatkowy cal. Zwykle się w ten sposób nie zachowywała. – Zanim dotarłam do zwłok, siedem siostr zdążyło już

sprawdzić rezonans. Nie ma wątpliwości, że Kairen zabito przy użyciu *saidina*. Ktoś skrzył jej kark. Miała pogruchothane wszystkie kręgi szyjne. Wyglądało na to, że gwałtownie obrócono jej głowę o sto osiemdziesiąt stopni. W każdym razie morderca zrobił to szybko. – Wzięła głęboki, niepewny oddech, a gdy to sobie uświadomiła, wyprostowała się jeszcze bardziej. – Jej Strażnika oskarżono o morderstwo. Na razie jest nieprzytomny, najprawdopodobniej ktoś mu podał jakąś miksturę ziołową, która go uspiła, ale gdy się obudzi, będzie miał kłopoty.

Mówiąc o ziołach, nie skrzywiła się lekceważąco, jak to miały w zwyczaju Żółte, co tym bardziej świadczyło o jej zdenerwowaniu (mimo iż jej twarz pozostała spokojna).

Amyrlin odłożyła łyżkę na mały stolik i odchyliła się na siedzeniu. Nagle krzesło przestało jej się wydawać wygodne. Teraz najlepszą następną po Leane była Bode Cauthon. Nowicjuszka! Egwene starała się nie myśleć o innych kwestiach wiążących się z osobą Bode. Jeżeli dziewczyna sporo poćwiczy, może osiągnie stadium podobne do poziomu Kairen. Nie powiedziała jednak o tym głośno. Nisao znała wiele sekretów, lecz nie wszystkie.

– Najpierw Anaiya, a teraz Kairen. Obie z Błękitnych Ajah. Wiesz jeszcze o jakichś sprawach, które je łączyły?

Nisao potrząsnęła głową.

– Anaiya była Aes Sedai już od pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu lat, gdy Kairen przybyła do Wieży, o ile sobie dobrze przypominam. Może miały wspólnych znajomych... Po prostu nie wiem, Matko. – Teraz w jej głosie dała się słyszeć nuta zmęczenia i ramiona kobiety nagle nieco opadły. Jej sekretne śledztwo po zabójstwie Anaiyi nie doprowadziło do żadnych efektów, lecz na pewno była świadoma, że obecnie Amyrlin zleci jej także wyjaśnienie śmierci Kairen.

– Dowiedz się – rzeczywiście poleciła Egwene. – Dyskretnie. – Drugie morderstwo i bez rozgłosu wywoła panikę. Przez chwilę Amyrlin przyglądała się swej rozmówczyni. Nisao mogła się usprawiedliwiać po fakcie albo twierdzić, że od początku miała wątpliwości, jednakże aż do tej pory stanowiła modelowy wręcz przykład pewnej siebie i swoich racji Żółtej. Tym razem wszakże sytuacja wyglądała inaczej. – Wiele sióstr spaceruje, obejmując *saidara*?

– Zauważyłam kilka, Matko – przyznała sztywno Nisao, unosząc nieco wyzywająco podbródek. Po chwili jednak otaczająca ją poświata zamigotała. Kobieta otuliła się ściślej płaszczem, jakby nagle znów poczuła zimno. – Wątpię, żeby mogło to pomóc Kairen. Jej śmierć była zbyt nagła. Jednak obejmując *saidara*... czujemy się... bezpieczniejsze.

Gdy niska siostra wyszła, Egwene siedziała przez moment, mieszając łyżką owsiankę. Nie dostrzegła żadnych nowych ciemnych kropeczek, tyle że straciła apetyt. W końcu wstała i zawiesiła sobie na szyi stulę z siedmioma paskami, po czym zarzuciła na ramiona płaszcz. Akurat dzisiaj nie zamierzała siedzieć samotnie w ciemnościach. Akurat dzisiaj musiała postępować zgodnie ze swoim rozkładem zajęć i obowiązków.

Na dworze wozy na wysokich kołach toczyły się zmrożonymi koleinami ulic obozowiska. Wozy wypełnione były dużymi beczkami z wodą, stertami porąbanego drewna opałowego lub workami z węglem drzewnym. Woźnice i pomocnicy jechali z tyłu, z powodu chłodu wszyscy podobnie owinięci płaszczami. Drewnianymi pasażami jak zwykle spieszyły Familie nowicjuszek, zazwyczaj bez zwalniania wykonujących szybki ukłon na widok przechodzącej Aes Sedai. Nieokazanie stosownego szacunku siostrze mogło się dla każdej skończyć chłostą, podobna kara czekała je wszakże za spóźnienie, a w dodatku nauczycielki cechowały się – ogólnie rzecz biorąc – mniejszą tolerancją niż mijane po drodze Aes Sedai, które przynajmniej mogły wziąć poprawkę na powody, dla których nowicjuszka tak pędzi.

Odziane na biało kobiety wciąż oczywiście uskakiwały z drogi, widząc pasiastą stulę zwisającą

spod kaptura Egwene, ona jednakże nie zamierzała dać sobie popsuć nastroju jeszcze bardziej próżnymi myślami na temat nowicjuszek dygających na ulicy i ślizgających się po twardej jak lód powierzchni. Niektóre tak pędziły, że co rusz któraś się potykała i pewnie upadłaby na twarz, gdyby nie podtrzymały jej Krewne. Same członkinie jednej Familii także nazywały siebie Krewnymi i rzeczywiście kobiety wydawały się sobie ogromnie bliskie, może nawet bliższe, niż gdyby naprawdę łączyło je bliskie pokrewieństwo. Bardziej niż nowicjuszki denerwowały Egwene nieliczne Aes Sedai, które widywała wokół siebie – siostry sunęły po pasażach, wśród szumu ukłonów. Między swoim namiotem i gabinetem Amyrlin nie spotkała ich więcej niż tuzin, lecz trzy czy cztery z tychże szły, otaczając się nie tylko płaszczami, ale także poświatą *saidara*. W dodatku najczęściej chodziły parami, za nimi zaś ciągnęli ich Strażnicy, o ile dane Aes Sedai takowych posiadały. Wszystkie siostry – zarówno te niespowite w *saidar*, jak i te otoczone jego poświatą – stale rozglądały się czujnie, obserwując uważnie spod kapturów wszystkie osoby, które dostrzegły w zasięgu wzroku.

Egwene przypomniawszy sobie o zarazie gorączki plamistej, która dotknęła niegdyś Pole Emonda. Wówczas wszyscy chodzili po wiosce z przytkniętymi do nosa chusteczkami nasączonymi brandy (Doral Barran, która była wówczas Wiedzącą, twierdziła, że opary tego alkoholu zapobiegają zakażeniu), przyciskając je do twarzy i przyglądając się swoim współmieszkańcom; szukali u nich śladów pojawiającej się wysypki i słabości, która skończy się potknięciem i upadkiem. Zanim powstrzymano zarazę, zmarło jedenaście osób, a dopiero po miesiącu od śmierci ostatniej ofiary ludzie zaczęli wychodzić z domu bez tych chusteczek. Przez długi czas później Egwene kojarzyła zapach brandy ze strachem. Teraz niemal wyczuwała w powietrzu podobny lęk. W obozowisku zamordowano już dwie siostry, przy czym obie zginęły z ręki potrafiącego przenosić Moc mężczyzny, który najwidoczniej bez problemów kręcił się po obozie lub wchodził do niego i z niego wychodził, kiedy tylko chciał. A panika wyraźnie ogarniała szeregi Aes Sedai szybciej, niż zdołałaby się rozprzestrzenić jakakolwiek zaraza.

Kiedy Amyrlin weszła do namiotu, którego używała jako swojego gabinetu, odkryła, że panuje już w nim ciepło. Kosz z płonącymi węglami wydzieliał aromat róż. Zapalono też stojące lampy z odblasznicami oraz lampę na biurku. Rozkład dnia Egwene był powszechnie znany. Amyrlin zawiesiła płaszcz na stojaku w narożniku, po czym zajęła miejsce za pulpitem do pisania, mechanicznie chwytając niestabilną nogę krzesła, która zawsze w takim momencie próbowała się składać. Całe jej postępowanie było rutynowe. A jutro będzie mogła ogłosić, czego dokonała.

Pierwszy gość, który się zjawił, zaszokował ją. W każdym razie przed oczyma Egwene stała chyba ostatnia kobieta, jakiej spodziewałaby się w tym miejscu. Theodrin była smukłą Brązową o zaokrąglonych policzkach, miała typową dla Domanek miedzianą karnację i zwyczaj upartego zaciskania ust. A kiedyś zawsze wyglądała na gotową do uśmiechu. Teraz sunęła po zniszczonych dywanach, aż dotarła tak blisko pulpitu, że frędzle jej szala o mało nie wytarły blatu. Gdy wykonała bardzo uroczyście i głęboki ukłon, Amyrlin wyciągnęła ku niej lewą rękę i kobieta ucałowała pierścień w kształcie Wielkiego Węża. Na oficjalność należało reagować oficjalnie.

– Matko, Romanda pragnie spytać, czy może się dziś z tobą spotkać – oświadczyła szczupła przybyła.

Mówiła cicho, a jednocześnie twardym tonem.

– Odpowiedz jej, Córkko, że spotkam się z nią w każdej chwili, którą wybierze – odparła ostrożnie Egwene.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, Theodrin znowu wykonała formalny ukłon. Kiedy ruszyła do wyjścia, do namiotu wkroczyła Przyjęta imieniem Emara, odrzucając obszyty lamówką biały kaptur. Emara była kobietką chudą i równie małą jak Nisao. Wyglądała na osóbkę, którą może przewrócić

silniejszy wiatr, tym niemniej kierowała powierzonymi jej opiece nowicjuszkami twardą ręką i traktowała je ostrzej niż wiele innych siostr. Życie nowicjuszek powinno być wszakże surowe, zresztą Emara była surowa również dla samej siebie. Teraz obrzuciła szarymi oczyma brązowe frędzle szala Theodrin i wargi tej niewysokiej Przyjętej wykrzywiły się w pogardliwym uśmiechu, nad którym wszakże szybko zapanowała. Sekundę później uniosła i rozłożyła śnieżnobiałe, obrzeżone paskami przy rąbkach spódnice, kłaniając się Egwene. Policzki Theodrin spłonęły jaskrawym rumieńcem.

Amyrlin uderzyła pięścią w blat pulpitu na tyle mocno, że kamienny kałamarz i słoiczek z piaskiem niebezpiecznie się zatrzęsły.

– Zapomniałaś o stosownej uprzejmości wobec Aes Sedai, dziecko? – warknęła ostro.

Emara pobladła – Egwene wszak zdążyła już sobie wyrobić odpowiednią reputację – i pospiesznie wykonała jeszcze głębszy ukłon przed Theodrin, która przyjęła go, bez wyrazu kiwnąwszy głową, po czym umknęła z namiotu znacznie szybciej, niż wpadła do niego Emara czy wcześniej ona sama.

Przyjęta zaś wyjąkała z wydatnym, wzmocnionym przez nerwy illiańskim akcentem prośbę Lelaine o spotkanie z Amyrlin. Dawniej zarówno Romanda, jak i Lelaine zachowywały się o wiele mniej formalnie, wchodząc do gabinetu Egwene niezapowiedziane i kiedy tylko miały ochotę, jednakże wypowiedzenie wojny Elaidzie zmieniło mnóstwo spraw. Nie wszystkie, ale wystarczająco wiele, ażeby można było te zmiany dostrzec. Amyrlin poleciła przekazać Lelaine identyczną odpowiedź jak ta, której udzieliła poprzez Theodrin Romandzie, chociaż Emarze przekazała ją dużo mocniejszym tonem. Podczas ukłonu Przyjęta niemal się przewróciła, po czym właściwie wybiegła z namiotu. Zapewne opowieść o tej krótkiej rozmowie potwierdzi legendę Egwene al’Vere jako tak ostrej Zasiadającej na Tronie Amyrlin, że przy niej Sereille Bagand zaczęła się wszystkim wydawać istotą delikatną niczym gęsi puch.

Natychmiast po wyjściu Emary Egwene podniosła rękę znad blatu i zmarszczyła brwi, patrząc na papier, który wcześniej bezwiednie przykrywała dłonią. Była to złożona karteczka, którą Theodrin zdążyła położyć na pulpicie do pisania, podczas gdy całowała pierścień Amyrlin. Egwene rozłożyła niewielką kartkę i jej marsowa mina się pogłębiła. Pismo pokrywające papier było płynne, a równocześnie bardzo staranne, choć przy jednej z krawędzi dostrzegła małego kleksa. A przecież Theodrin słynęła z wielkiej schludności, także w posługiwaniu się atramentem. Cóż, może próbowała się dopasować do powszechnego obrazu Brązowych.

Romanda wysłała dwie siostry w Podróż do Cairhien, gdzie mają zbadać pewną opowieść, która zdenerwowała Żółte Zasiadające. Nie wiem nic na temat szczegółów tej pogłoski, Matko, ale na pewno je poznam. Słyszałam, jak jedna z Zasiadających wspomniała o Nynaeve. Nie sugerowała przy tym, że Nynaeve przebywa w Cairhien, lecz owa plotka na pewno się z nią jakoś wiąże.

Głupia kobieta nawet podpisała się pod tym swoim imieniem!

– O co chodzi, Matko?

Egwene drgnęła z zaskoczenia i w ostatniej chwili przed własnym upadkiem na dywan złapała składaną nogę krzesła. Nadal z marsową miną skupiała wzrok na Suan, która stała w progu namiotu, tuż przy wejściowych kłapach. Dawna Amyrlin miała na ramionach przyozdobiony błękitnymi frędzlami szal, do piersi zaś przyciskała skórzane teczki. Na widok zaskoczenia Egwene niebieskooka kobieta uniosła nieznacznie brwi.

– Zobacz – odrzekła Amyrlin z irytacją, ciskając w nowo przybyłą papierem i besztając się w myślach za własne zachowanie. Pora nie była odpowiednia na podskoki i wzdrygnięcia! – Słyszałaś o Kairen? – spytała. Była pewna, że do Siuan dotarła już nieszczęsna nowina, niemniej jednak dodała: – Poczyłaś konieczne zmiany?

„Konieczne zmiany” – powtórzyła w myślach. O Światłości, przemawiała równie pompatycznie jak Romanda. Bez dwóch zdań, była straszliwie zdenerwowana. Dopiero w ostatniej chwili pomyślała o objęciu *saidara* i utkaniu osłony chroniącej przed podsłuchem. Kiedy zaś ją utkała, od razu uświadomiła sobie, że dzisiejszy dzień to nie najlepszy moment na stawianie zabezpieczeń przeciw podsłuchowych. Akurat dziś nikt nie powinien myśleć, że aktualna władczyni omawia jakieś sekretne sprawy z byłą Amyrlin.

Siuan nie wyglądała na zdenerwowaną. Przetrwiała w swoim życiu już gorsze burze. Można by powiedzieć, że choć tonęła, przeżyła. Obrazowo mówiąc, na tle jej wcześniejszych kataklizmów dziś dla niej wiał zaledwie słaby wietrzyk.

– Nie trzeba niczego zmieniać, Matko, póki nie zyskamy pewności w kwestii łodzi – odpowiedziała opanowanym głosem, kładąc na pulpicie teczki i starannie wpasowując je między kałamarz i słoiczek z piaskiem. – Im mniej czasu Bode poświęci na myślenie o czekającym ją zadaniu, tym mniejsze ryzyko, że dziewczyna spanikuje.

Tak, tak, Siuan była spokojna niczym woda stawu w bezwietrzny dzień. Dwa morderstwa dokonane na siostrach nie mogły zburzyć jej opanowania. Ani przekazanie rozkazu zajęcia miejsca jednej z nich nowicjusze, która dopiero od kilku miesięcy pobierała nauki.

Jednakże kiedy Siuan przeczytała notatkę, zmarszczyła czoło.

– Najpierw Faolain zaczyna się ukrywać – ryknęła w papier – a teraz Theodrin przynosi coś takiego tobie, zamiast mnie. Ta głupia dziewczucha ma mniejszy mózdzek niż rybołów! Myślałby ktoś, iż jej pragnieniem jest powiadomienie całego świata, że dla ciebie ma na oku Romandę.

„Mieć na oku” – pomyślała Egwene. „Kulturalne określenie szpiegowania”. Najwyraźniej obie dziś lubowały się w eufemizmach. Och, wszak Aes Sedai zawsze posługiwały się eufemizmami. Tyle że dzisiaj tego typu niedomówienia działały Amyrlin na nerwy.

– Może rzeczywiście pragnie, ażeby wykryto jej działalność. Może jest zmęczona poleceniami Romandy. Chce, by Romanda przestała jej mówić, co ma zrobić, powiedzieć albo pomyśleć. Wyobraź sobie, Siuan, że była u mnie Przyjęta, która jawnie sobie drwiła z szala Theodrin.

Eks-Amyrlin wykonała pogardliwy gest.

– Romanda próbuje wszystkim narzucać, co mają robić. I co mają myśleć. Jeśli zaś chodzi o resztę, sytuacja zmieni się natychmiast, gdy Theodrin i Faolain będą mogły złożyć przysięgę przy użyciu Różdżki Przysięg. Moim zdaniem, w chwili obecnej nikt nie będzie nalegał na poddanie ich sprawdzianom prowadzącym do szala. Aż do tego czasu obie muszą się poddać biegowi zdarzeń.

– To nie wystarczy, Siuan. – Egwene starała się przemawiać opanowanym głosem, jednak zachowanie spokojnego tonu wymagało od niej sporego wysiłku. W każdym razie brała pod uwagę, na co naraża dwie kobiety, kiedy polecała jednej z nich dołączenie do grupki sióstr otaczających Romandę, drugiej do grupki Lelaine. W tamtym czasie wszakże musiała przecież wiedzieć, o czym potajemnie dyskutują Zasiadające. Ta wiedza nadal była jej potrzebna, tym niemniej Amyrlin miała obowiązki wobec obu kobiet, które jako pierwsze przysięgły jej wierność, w dodatku z własnej i nieprzymuszonej woli. A poza tym... – Dużo z tego, co powiedziano na temat Theodrin i Faolain, można by powiedzieć także o mnie. Skoro byle Przyjęta może im jawnie okazywać brak szacunku... – No cóż, Egwene wcale się tego nie obawiała. Siostry jednak stanowiły inną kwestię. Szczególnie Zasiadające. – Siuan, jeśli Aes Sedai we mnie zwątpią, stracę wszelkie szanse na ponowne scalenie

Wieży, wszelkie!

Dawna Amyrlin gwałtownie parsknęła:

– Matko, w chwili obecnej już nawet Lelaine i Romanda wiedzą, że jesteś prawdziwą Zasiadającą na Tronie Amyrlin i że naprawdę rządysz. Czy się do tego przyznają czy nie... Żadna z tych dwóch nie jest kolejną Deane Aryman. Myślę, że zaczynają cię raczej postrzegać jako wcielenie Edarny Noregovny.

– Jest to możliwe – zgodziła się cierpko Egwene. Deane nazywano zbawicielką Białej Wieży. Wzięła sprawy w swoje ręce po detronizacji Bonwhin za próbę manipulowania Arturem Jastrzębie Skrzydło, ażeby poprzez niego kontrolować świat. Edarnę z kolei uważano za najbardziej utalentowaną w sensie politycznym kobietę, jaka kiedykolwiek dostąpiła Laski i Stuły. Obie były bardzo silnymi Zasiadającymi na Tronie Amyrlin. – Jednak... tak jak mi przypominałaś... muszę się pilnować, w przeciwnym razie skończę jak Shein Chunla. – Shein również była początkowo silną Amyrlin, twardo kierującą Wieżą i Komnatą, niestety pod koniec swoich rządów stała się marionetką, która robiła dokładnie to, co jej kazały Zasiadające.

Siuan kiwnęła głową z aprobatą i zrozumieniem. Sama wszak uczyła Egwene historii Wieży i często powoływała się na te Amyrlin, które podczas swoich rządów popełniły jakiś straszliwy błąd i zapłaciły zań własnym życiem lub przynajmniej detronizacją. Tak jak ona.

– To jednak jest zupełnie inna sprawa – mruknęła, stukając palcami w notatkę. – Kiedy dopadnę tę Theodrin, pożałuje, że nie jest już nowicjuszka! A Faolain! Jeśli się okaże, że obie próbują się teraz wykręcić od odpowiedzialności, przysięgam, że wypatroszę je jak świnię w rzeźni!

– Kogo wypatroszysz? – spytała Sheriam, wpadając do pomieszczenia wraz z podmuchem zimnego powietrza.

Krzesło pod Egwene o mało znów się nie złożyło. Jeszcze jedna taka sytuacja i Amyrlin naprawdę znajdzie się na dywanie. Musiała zdobyć siedzisko, które nie będzie jej zawodzić przy każdym poruszeniu. Byłaby skłonna się założyć, iż Edarna nigdy nie podskakiwała, jakby miała na grzbiecie świerzbacza.

– Nikogo, kto mógłby ciebie interesować – odparła opanowanym głosem Siuan, przysuwając papier do płomieni jednej z biurkowych lamp. Karteczka płonęła szybko, a gdy ogień dotarł aż do koniuszków palca byłej Amyrlin, Siuan zdusiła resztki, po czym wytarła dłonie z popiołu. Tylko Egwene, Siuan i Leane wiedziały o misji Faolain i Theodrin. No i oczywiście same dwie zainteresowane. Chociaż wielu szczegółów nie znała żadna z nich.

Sheriam przyjęła odpowiedź ze spokojem. Ognistowłosa Opiekunka prawdopodobnie już całkowicie wróciła do siebie po swoim załamaniu w Komnacie. Przynajmniej odzyskała swą zewnętrzną godność albo przeważającą jej część. Choć kiedy patrzyła, jak Siuan spala notatkę, chyba nieco zmrużyła skośne, zielone oczy i musnęła ułożoną na ramionach wąską, błękitną stułę, jakby chciała się upewnić, czy tkanina nadal tkwi na swoim miejscu. Sheriam nie musiała akceptować rozkazów Siuan – w każdym razie Egwene na pewno by jej tego nie zleciła – jednak Opiekunka doskonale wiedziała, że Siuan również nie musi jej słuchać, co być może ją drażniło, ponieważ obecnie dawna Amyrlin posiadała znacznie mniej od samej Sheriam siły we władaniu Mocą. Denerwowało ją zapewne także własne przekonanie o istnieniu sekretów, w które jej nie wtajemniczano. Niestety, będzie musiała z tą świadomością żyć.

Opiekunka również zresztą przyniosła z sobą jakiś papier, który teraz położyła na stole przed Egwene.

– W drodze tutaj spotkałam Tianę, Matko – oświadczyła. – Powiedziała mi, że mam ci to przekazać.

„To” okazało się dziennym raportem dotyczącym uciekinierek. Raporty te, wciąż nazywane dziennymi, obecnie nie przychodziły już każdego dnia ani nawet raz w tygodniu. Działo się tak, odkąd nowicjuszki zorganizowano w Familie. Krewne wspierały się teraz nawzajem, pocieszały wśród frustracji i łez, a także perswadowały sobie wzajemnie najgorsze możliwe błędy, takie jak właśnie ucieczka. Z tego też względu również dzisiejszy raport składał się jedynie z jednej kartki, na której widniało samotne nazwisko: Nicola Treehill.

Egwene westchnęła i odłożyła notkę. Sądziła, że pragnienie pobierania nauk zatrzyma Nicolę w obozie, niezależnie od desperacji dziewczyny. Tym niemniej nie mogła powiedzieć, że martwi się jej ucieczką. Nicola była osobą przebiegłą i pozbawioną skrupułów, chętnie próbującą szantażu oraz wszelkich innych metod, które w jej opinii ułatwiały drogę do celu. Bardzo prawdopodobne, że znalazła sobie kogoś do pomocy. Areina nie miałaby oporów przed kradzieżą koni, które posłużyłyby im do ucieczki.

Nagle wzrok Amyrlin przyciągnęła widniejąca obok imienia data. A właściwie dwie daty, oznaczone znakami zapytania. Chociaż dni numerowano, niezwykle rzadko używano nazw miesięcy – z wyjątkiem oficjalnych dokumentów i traktatów (na przykład: „Podpisano, opieczęto i poświadczono w mieście Illian dwunastego dnia Saven, w Roku Stwórcy...”), a także sprawozdań o tym charakterze i wpisów nazwisk kobiet w księdze nowicjuszek. Na co dzień wystarczyło wskazać, ile dni minęło od jakiegoś święta albo ile pozostało do innego. Napisane daty zawsze wyglądały dla Egwene dziwnie. Musiała policzyć na palcach, jeśli chciała mieć pewność co do opisywanego dnia.

– Sheriam, Nicola uciekła trzy lub cztery dni temu? Tiana ot tak sobie o tym pisze? I nie jest nawet pewna, kiedy to się stało... trzy dni temu czy też może cztery?

– Krewne Nicoli ją kryły, Matko – wyjaśniła Opiekunka, potrząsając ze smutkiem głową. Co dziwne przy tym, jej mały uśmiech wyglądał na rozbawiony. Albo zdawał się nawet pełen podziwu. – Nie z miłości. Najwyraźniej cieszyły się, że dziewczyna zniknęła i obawiały się jej powrotu. Nicola była okropnie apodyktyczna, gdy chodziło o jej Talent do głoszenia Przepowiedni. Zdaje mi się, że Tiana bardzo się zdenerwowała zachowaniem Krewnych dziewczyny. Boję się, że żadna nie posiedzi sobie wygodnie na zajęciach ani dziś, ani w najbliższych dniach. Tiana mówiła mi, że zamierza codziennie rano zamiast śniadania dawać im porcję różg... do czasu, aż Nicola się znajdzie. Sądzę, że może jednak ustąpi. Skoro Nicola zniknęła już tyle dni przed odkryciem jej ucieczki, może minąć sporo czasu, zanim ustalimy miejsce jej pobytu.

Egwene lekko się skrzywiła. Nadal miała w pamięci własne wizyty w gabinecie Mistrzynie Nowicjuszek, wtedy zajmowanym właśnie przez kobietę siedzącą w tej chwili przed nią. Sheriam cechowała się wówczas silną ręką. Nikt chyba nie zniósłby codziennej chłosty z jej dłoni. Jednakże ukrywanie zniknięcia uciekinierki stanowiło wykroczenie poważniejsze niż wykradanie się po godzinach lub płatanie psikusów. Amyrlin odsunęła raport na bok.

– Tiana poradzi sobie z tą sprawą tak, jak uzna za stosowne – podsumowała. – Sheriam, zaszła jakaś zmiana w rozmowach sióstr o moim śnie?

Egwene ujawniła sen o ataku Seanchan od razu rano, po nocy, w której jej się przyśnił, a słuchaczki zagapiły się na nią apatycznie, najpewniej z powodu świeżej jeszcze nowiny o śmierci Anaiyi. To morderstwo zaszokowało wszystkie Aes Sedai.

Opiekunka zamiast odpowiedzieć, odchrząknęła i wygładziła spódnice z błękitnymi wstawkami. – Może nie jesteś tego świadoma, Matko, ale jedną z Krewnych Nicoli jest Larine Ayellin. Z Pola Emonda – dodała, jakby Amyrlin tego nie wiedziała. – Nikt nie będzie uważać, że kogoś faworyzujesz, jeśli ulaskawisz całą Familę. Tak czy owak, Tiana, do czasu aż ustąpi, nie zamierza traktować ich szczególnie ostro. Ale trochę sobie pocierpią.

Egwene rozsiadła się wygodniej, choć ostrożnie z powodu chwiejnej nogi krzesła, po czym zmarszczyła brwi i przypatrzyła się swej rozmówczyni. Larine była prawie jej rówieśnicą i niegdyś bliską przyjaciółką. Razem dorastały, spędzały we dwie całe godziny, plotkując, ćwicząc splatanie włosów w warkocze i czekając na moment, w którym Koło Kobiet uzna, że już dorosły do noszenia owych warkoczy. Mimo to Larine należała do tych nielicznych dziewcząt z Pola Emonda, które rzeczywiście zaakceptowały Egwene na stanowisku Zasiadającej na Tronie Amyrlin, chociaż swą akceptację potwierdzała głównie poprzez zachowywanie dystansu. Wyraźnie trzymała się z dala od przyjaciółki z dzieciństwa. Czyżby jednak Sheriam sądziła, iż Egwene faworyzuje kogokolwiek? Nawet Suan wyglądała na zaskoczoną tym podejrzeniem.

– Sheriam, lepiej niż ktokolwiek powinnaś wiedzieć, że dyscyplina obowiązująca dla nowicjuszek oraz ewentualne kary należą do kompetencji Mistrzynie Nowicjuszek – oświadczyła Amyrlin. – Mogę się wtrącić dopiero, kiedy Mistrzynie zaczną się nad jakąś dziewczyną wyjątkowo okrutnie znęcać, a przecież niczego takiego nie zasugerowałaś. Poza tym, jeśli Larine dojdzie do wniosku, że ominie ją dziś kara za pomoc uciekinierce... powtarzam, Sheriam, za pomoc uciekinierce...! Jeśli tak pomyśli dziś, zastanów się, jakie wykroczenia mogą jej przemknąć przez myśl jutro? Jeżeli będzie miała dość oleju w głowie, by nad sobą zapanować, może zdobyć szal, lecz tylko wtedy. A ja nie zamierzam pokazywać jej drogi, która może ją doprowadzić do odesłania za złe zachowanie. Zmieńmy temat. Co zatem mówią o moim śnie?

Opiekunka zamrugała skośnymi zielonymi oczyma, a następnie zerknęła na Suan. O Światłości, czyż ta kobieta sądziła, iż Egwene jest wobec niej taka twarda z powodu obecności Suan? Ponieważ Suan mogłaby rozpowiadać o tej rozmowie?! Och, Sheriam nie powinna tak myśleć, była wszak kiedyś Mistrznią Nowicjuszek.

– Jeśli chodzi o nastawienie sióstr, Matko – odparła w końcu Opiekunka – większość nadal uważa, że Seanchanie znajdują się w odległości tysiąca mil, że nie potrafią Podróżować i że gdy wyruszą na Tar Valon, dowiemy się o tym wcześniej, niż zdołają podejść na dwieście lig.

Suan wymamrotała pod nosem jakieś przekleństwo, tak naprawdę nie wydawała się wszakże zaskoczona. Egwene również miała ochotę zakląć. Niepokój związany z morderstwem Anaiyi nie miał najwyraźniej nic wspólnego z apatią sióstr. Zasiadające po prostu nie uwierzyły, że Egwene może być Śniącą. Anaiya miała co do tego pewność, lecz Anaiya już nie żyła. W Talent Amyrlin wierzyły także Suan i Leane, tym niemniej żadna z nich nie stała obecnie wystarczająco wysoko w hierarchii, ażeby ich opinii wysłuchano z czymś więcej niż ledwie niecierpliwą grzecznością, jeśli w ogóle. Egwene pojęła, że Opiekunka także nie bierze pod uwagę jej potencjalnego Talentu. Och, Sheriam przestrzegała przysięgi wierności najściślej, jak Amyrlin mogłaby sobie życzyć, tyle że nikomu nie można właściwie rozkazać, w co ma wierzyć. Ludzie powtórzą twoje słowa, może nawet je zapamiętają, nie zmienią jednakże bynajmniej swojego podejścia.

Po wyjściu Opiekunki Egwene przyłapała się na rozważaniu prawdziwych powodów, które sprowadziły do niej Sheriam. Czy chciała jej tylko powiedzieć o konieczności ukarania Larine? Pewnie nie. A jednak Opiekunka nie mówiła o niczym innym, co najwyżej odpowiadała na pytania Amyrlin.

Wkrótce do pomieszczenia wkroczyła Myrelle, za którą podążała Morvrin. Egwene odkryła, że obie przed wejściem do namiotu wypuściły Źródło i kazały poczekać na zewnątrz swoim Strażnikom. Mężczyźni, których Amyrlin widziała jedynie przez krótką chwilę w rozsuniętych wejściowych klapach, wyglądali na ostrożnych i nieufnych, nawet jak na Strażników.

Na widok Suan duże ciemne oczy Myrelle zabłyszczały, a jej nozdrza się rozszerzyły. Okrągła twarz Morvrin pozostała natomiast gładka niczym wypolerowany kamień, chociaż kobieta

przesuwając palcami obu rąk po ciemnobrązowych spódnicach, jakby coś z nich ścierała. Może jej ruchy były bezwiedne. W przeciwieństwie do Sheriam obie siostry musiały akceptować polecenia Siuan, choć żadnej fakt ten się nie podobał. Egwene nie chciała im bynajmniej utrzyć nosa, jednakże absolutnie ufała Siuan, im obu natomiast nie do końca, niezależnie od złożonych przez nie przysięg. Poza tym, istniały momenty, w których kłopotliwe, o ile nie niemożliwe, wydawało się powiedzenie zaprzysiężonym jej siostrze, czego od nich wymaga. Siuan natomiast bez problemów przekazywała jej polecenia, a Egwene miała wówczas pewność, że siostry się im podporządkują.

Spytała więc wprost o rozmowę na temat jej snu, niestety – co jej już nie zaskoczyło – obie potwierdziły słowa Opiekunki. Seanchanie znajdowali się w ich opinii daleko stąd. Jeśli się zbliżą, siostry zostaną ostrzeżone. Mówiły to samo, co półtora tygodnia temu. Najgorzej, że...

– Gdyby żyła Anaiya, sytuacja może wyglądałaby inaczej – oznajmiła Morvrin, dla zachowania równowagi balansując na jednym z rachitycznych stołków przed pulpitem do pisania. Mimo swej tuszy utrzymywała się na siedzisku z łatwością i wdziękiem. – Anaiya miała reputację osoby, której nieobca jest wiedza tajemna. Zawsze sądziłam, że powinna wybrać Brązową Ajah. Skoro twierdziła, że jesteś Śniąca...

Pod wpływem ostrego spojrzenia Amyrlin kobieta przerwała i gwałtownie zacisnęła zęby.

Myrelle z kolei postanowiła nagle ogrzać dłonie nad koszem z płonącymi węglami.

Zatem żadna z nich również nie wierzyła w Talent Egwene. W całym obozie w prawdziwość jej snu wierzyły jedynie Siuan i Leane. Varilin przejęła rozmowy w Darein, zręcznie spychając Beonin na drugi plan i stale znajdowała jakieś wymówki, z powodu których nie mogła akurat w tym momencie przekazać ostrzeżenia. Może za kilka dni, gdy rozmowy staną się łatwiejsze... Jak gdyby siostry w ogóle potrafiły rozmawiać wprost, zamiast używać eufemizmów i niedopowiedzeń, starając się nie wymówić najmniejszego nawet słówka, którym mogłyby obrazić drugą stronę. Tak postępowały wszystkie, oprócz Siuan i Leane. I tylko one dwie wierzyły w Talent Egwene. Tak przynajmniej sądziła.

Myrelle nieoczekiwanie odwróciła się od kosza z płonącymi węglami. Miała pewną siebie minę, jakby zahartowało ją ciepło gorących węgli.

– Matko, myślę o dniu, w którym zostało zniszczone Shadar Logoth...

Przerwała, po czym znów się odwróciła do kosza.

Równocześnie do namiotu wkroczyła odziana w intensywny błękit kobieta o pociągłej twarzy. Przybyła niosła w dłoniach trójnożny stołek pomalowany jaskrawymi spiralami.

Maigan była piękna, miała wielkie oczy i pełne wargi, choć wszystko w niej wydawało się osobliwie wydłużone. Nie grzeszyła wprawdzie przesadnym wzrostem, a jednak nawet jej ręce wyglądały na zbyt długie. Chłodno kiwnęła głową Morvrin i jawnie zignorowała Myrelle.

– Przyniosłam dziś własne siedzisko, Matko – oznajmiła, wykonując nierówne dygnięcie, utrudnione przez trzymany w jednej ręce stołek. – Twoje są raczej niepewne, jeśli mogę tak je określić.

Amyrlin rzecz jasna nie zdziwiła się, że po śmierci Anaiyi Błękitne Ajah przysłały zastępczynię do jej „rady doradczej”, jednakże nie ucieszyła się, widząc, kogo do tej roli wyznaczyły. Mimo iż podczas rządów Siuan Maigan należała do jej sojuszniczek.

– Masz coś przeciwko temu, żebym wysłała Siuan po herbatę, Matko? – spytała Maigan, kiedy usiadła na swoim stołku. – Naprawdę powinnaś mieć tu jakąś nowicjuszkę albo Przyjętą, która załatwiałaby różne sprawy, herbatę wszakże może nam przynieść Siuan.

– Nowicjuszki mają sporo zajęć, Córko – odparła Egwene – a Przyjęte, mimo istnienia Familii, ledwie mają czas na własne studia. – Poza tym musiałyby wysyłać „swoją” nowicjuszkę lub Przyjętą

na dwór, ilekroć zapragnęłyby porozmawiać z kimś na osobności. Decyzja odesłania przed namiot wydawała jej się tym trudniejsza, że dziewczęta te i kobiety nie nauczyły się jeszcze wszak ignorować gorąca czy zimna. W dodatku obecność takiej osoby przed namiotem jednoznacznie sugerowałaby, że w gabinecie Amyrlin rozprawia się o czymś, co warto podsłuchać. – Suan, proszę, przynieś nam herbaty, dobrze? Jestem pewna, że każda z nas chętnie wypije po filiżance gorącego napoju.

Kiedy była Amyrlin ruszyła ku wyjściu, Maigan podniosła dłoń o długich palcach.

– Mam w swoim namiocie słoiczek miodu miętowego – dorzuciła władczy tonem. – Przynieś go. I postaraj się przy okazji niczego nie zwędzić. Pamiętam, że zawsze lubiłaś słodczyce. No, pospiesz się.

Kiedyś Maigan była jej sojuszniczką, teraz zaś stanęła po stronie tych licznych sióstr, które obwiniały Suan o rozbicie Białej Wieży.

– Jak sobie życzysz, Maigan – odrzekła Suan łagodnym głosem, a zanim pospiesznie odeszła, ugięła nawet nieznacznie kolano. Naprawdę się spieszyła. Maigan zajmowała w hierarchii miejsce równie wysokie jak Myrelle bądź też Morvrin, dawną Amyrlin zaś przed karą za nieposłuszeństwo nie chroniły ani przysięgi wierności, ani inne nakazy czy zakazy. Kobieta o pociągłej twarzy lekko pokiwała głową z zadowoleniem. Suan musiała wszak niedawno błagać o ponowne przyjęcie do Błękitnych Ajah, a plotki głosiły, że najdłużej musiała namawiać Maigan.

Morvrin przeprosiła i szybko wyszła za Suan, być może pragnąc ją z jakiegoś powodu dogonić, Myrelle natomiast wybrała jeden ze stołków, usadowiła się na nim i zapatrzyła przed siebie. Ona i Maigan kompletnie się ignorowały, wręcz konkurowały z sobą w kwestii obojętności. Egwene zupełnie nie rozumiała ich wzajemnych animozji. Cóż, czasami ludzie po prostu się nie lubią. Zresztą sprawa ich niechęci nie stanowiła tematu czekającej je wszystkie rozmowy. Amyrlin skorzystała z chwili ciszy, usiłując przejrzeć przyniesione przez Suan teczki, niestety nie mogła się skoncentrować ani na pogłoskach z Illian, ani na docierających z Cairhien insynuacjach. W dokumentach nie znalazła w każdym razie żadnego potwierdzenia opowieści Theodrin o historii, która jakoby wstrząsnęła Żółtymi Zasiadającymi. A gdyby Suan o czymś takim wiedziała, bez wątplenia by jej o tym wspomniała.

Maigan i Myrelle gapiły się na nią, jakby obserwacja przewracającej stronie władczyni stanowiła najbardziej interesujące zajęcie na świecie. Egwene najchętniej obie by odesłała, pragnęła się wszakże dowiedzieć, co Myrelle myśli o dniu, w którym Shadar Logoth usunięto z powierzchni ziemi. A nie mogła odesłać jednej, nie odsyłając drugiej. Niech szczezną, i to obie!

Suan wróciła z drewnianą tacą, na której niosła srebrny imbryczek, porcelanowe filiżanki oraz pokryty białą glazurą słoiczek z miodem Maigan. Za dawną Amyrlin wszedł żołnierz w składającej się z pancerza i kolczugi zbroi. Był to młody Shienaranin o ogolonej głowie, z wyjątkiem kępki włosów na czubku. To znaczy... Wydawał się młody, a równocześnie niemłody. Na ogorzałym policzku Ragana znajdowała się pomarszczona biała blizna od strzały, twarz mężczyzna miał zaś twardą w sposób typowy dla osób, które na co dzień żyją ze śmiercią za pan brat. Kiedy Suan rozstawiała filiżanki do herbaty, Shienaranin skłonił się, jedną ręką przytrzymując przy biodrze hełm z czubem, drugą dotykając rękojeści miecza. Nic w jego minie nie sugerowało, że spotkał Egwene kiedykolwiek wcześniej.

– To zaszczyt ci służyć, Matko – zagaił formalnie. – Przysłała mnie Lord Bryne. Kazał ci przekazać, że łupieżcy prawdopodobnie przekroczyli ubiegłej nocy rzekę. Wraz z Aes Sedai. Lord Bryne podwaja patrole. Radzi, ażeby siostry nie oddalały się zbyt od obozu. Dzięki temu unikną incydentów.

– Wybaczysz mi, Matko? – spytała nagle Siuan, nieznacznie speszonym tonem kobiety, która pilnie musi się udać do wychodka.

– Tak, tak – odparła Egwene, ledwie kryjąc niecierpliwość. Poczekała, aż Siuan wybiegnie z namiotu, po czym zwróciła się do Shienaranina: – Powiedz Lordowi Bryne’owi, że Aes Sedai chadzają, dokąd zechcą i kiedy zechcą.

Zamknęła gwałtownie usta, w ostatniej chwili powstrzymując się przed nazwaniem mężczyzny „Raganem”. Jej nagłe milczenie zapewne dodało słowom surowości. Przynajmniej taką miała nadzieję.

– Powiem mu, Matko – odrzekł żołnierz, ponownie jej się kłaniając. – Służę ci, Matko, całym sercem.

Gdy mężczyzna wyszedł, Maigan uśmiechnęła się lekko. Ogólnie rzecz biorąc, pogardzała żołnierzami (Strażników ceniła i uważała za ludzi potrzebnych, żołnierze natomiast jej zdaniem sprawiali jedynie kłopoty, które musieli za nich później rozwiązywać inni), jednakże najwyraźniej przyjemność sprawiało jej dostrzeżenie choćby załóżka kłótni między Egwene i Garethem Bryne. A może raczej z takich potencjalnych niesnasek między nimi cieszyła się Lelaine. Maigan wszak popierała Lelaine we wszystkim i bez żadnych wątpliwości. Myrelle z kolei wyglądała na nieco zaintrygowaną. Wiedziała przecież, że Amyrlin pozostaje w jak najlepszych układach z Lordem Garethem.

Egwene wstała, wzięła filiżankę i nalała sobie herbaty, do której dodała łyżeczkę miodu Maigan. Zupełnie nie trzęsły jej się ręce. Wiedziała, że łodzie znajdują się na swoim miejscu. Za kilka godzin Leane weźmie Bode i wyjedzie wraz z nią z obozu, nie tłumacząc się nikomu ze swej decyzji. Larine musi odbyć karę, na którą sobie zasłużyła, Bode natomiast musi wypełnić konieczne zadanie. Egwene była młodsza od Bode, gdy wyznaczono ją do polowania na Czarne siostry. A Shienaranie rzeczywiście całym sercem służyli tym, którzy toczyli w Ugorze wojnę przeciwko Cieniowi. Aes Sedai i kandydatki na Aes Sedai w ten sam zaś sposób służyły Wieży. Stanowiły przeciwko Cieniowi broń silniejszą niż jakikolwiek miecz i nie mniej ostrą dla nieostrożnej ręki.

Przybyła Romanda – wraz z Theodrin, która przytrzymała dla niej klapy wejściowe namiotu. Siwowłosa przedstawicielka Żółtych wykonała bardzo przyzwoity ukłon, który nawet o włos nie był ani zbyt głęboki, ani zbyt płytki, niż to nakazywały stosowne zasady określające zachowanie Zasiadającej wobec Amyrlin. Nie przebywały przecież w Komnacie, gdzie Amyrlin traktowano jedynie jak pierwszą pomiędzy równymi. Tutaj, w swoim gabinecie, Egwene miała najwięcej praw, co pojmowała nawet Romanda. Tym niemniej Zasiadająca nie zamierzała pocałować pierścionka Amyrlin. Jej uprzejmość nie była wszak bezgraniczna.

Romanda obrzuciła Myrelle i Maigan takim wzrokiem, jakby chciała poprosić, aby wyszły. A może raczej chciała po prostu je wyrzucić. Kwestia była drażliwa. Zasiadające zawsze oczekiwały posłuszeństwa, tyle że ten przypadek wydawał się nieco inny, gdyż Myrelle i Maigan nie pochodziły z Ajah Romandy. No i wszystkie znajdowały się w gabinecie Amyrlin.

W końcu Romanda nic nie zrobiła, ledwie pozwoliła Theodrin odebrać od siebie przyozdobiony haftem w postaci rabatek żółtych kwiatów płaszcz i nalać sobie filiżankę herbaty. Gdy w końcu Zasiadająca w imię Żółtych zajęła pusty stół, Theodrin wycofała się w kąt, gdzie stała, szarpiąc szal i zaciskając usta. Mimo nierównych nóg stołka Romanda siedziała na nim tak samo dostojnie jak na krześle w Komnacie Wieży – a może nawet jak na tronie. Rozsiadła się wygodnie i poprawiła zakończony żółtymi frędzlami szal, który nosiła pod płaszczem.

– Rozmowy idą źle – przemówiła wreszcie typowym dla siebie wysokim i melodyjnym głosem. Zdanie to zabrzmiało w jej ustach niczym proklamacja. – Varilin zagryza wargi z frustracji. Magla

także ma poczucie daremności tej sprawy, podobnie Saroiya. Tak, tak, nawet Saroiya, która zwykle zaczyna cicho zgrzytać zębami, dopiero kiedy większość sióstr już wrzeszczy.

Wyjawszy Janyę, każda Zasiadająca, która reprezentowała swoją Ajah jeszcze przed podziałem Wieży, pragnęła wziąć udział w negocjacjach. Miały wszak rozmawiać z kobietami, które znały jeszcze w Komnacie. W tej sytuacji Beonin niemal zredukowano do pozycji chłopca na posyłki.

Romanda umoczyła wargi w herbacie, po czym bez słowa wyciągnęła dłoń z filiżanką na spodku przed siebie i nieco z boku. Theodrin od razu rzuciła się ze swojego kąta i wzięła od Żółtej Zasiadającej filiżankę, z którą szybko skierowała się do tacy. Posłodziła herbatę miodem, a następnie oddała napój Romandzie i wróciła do tego samego kąta. Zasiadająca ponownie skosztowała ciepłej herbaty i tym razem kiwnęła głową z aprobatą. Theodrin aż się zarumieniła.

– Rozmowy potoczą się swoim torem – stwierdziła ostrożnie Egwene.

Romanda sprzeciwiała się wcześniej wszelkim negocjacjom, fałszywym czy prawdziwym. Zdawała też sobie sprawę z tego, co miało się zdarzyć dzisiejszego wieczoru, zamierzała jednak utrzymać Komnatę w niewiedzy wobec czegoś, co jeszcze niedawno wydawało się nikomu niepotrzebną obrazą.

Teraz pokiwała głową, aż podskoczył zwarty koczek z tyłu jej głowy.

– Już nam pokazały jedną rzecz, a mianowicie, że Elaída nie pozwoli przemawiającym w jej imieniu Zasiadającym ustąpić ani o cal. Zagrzebała się w Wieży niczym szczur w ścianie. Jedyny sposób, by ją wypłoszyć, to napuścić za nią fretki.

Słyszając to osobliwe stwierdzenie, Myrelle aż chrząknęła, zyskując natychmiast zaskoczone spojrzenie Maigan. Wzrok Romandy pozostał utkwiony w Amyrlin.

– Elaide, tak czy inaczej, usuniemy – oświadczyła spokojnie Egwene, odstawiając swoją filiżankę z herbatą na spodek. Ręka nadal jej się na szczęście nie trzęsła. Czego te kobiety się dowiedziały? I jak?

Romanda, patrząc na swoją herbatę, skrzywiła się lekko, jakby nagle odkryła, że Theodrin dodała do niej jednak zbyt mało miodu. A może Żółtą Zasiadającą rozczarował fakt, że Amyrlin nie powiedziała nic więcej. Nagle przesunęła się na stołku ruchem mistrzyni fechtunku, która podnosi ostrze, szykując się do kolejnego ataku.

– To, co powiedziałaś o Rodzinie, Matko... – zaczęła. – Że jej przedstawicielek jest raczej tysiąc niż kilka tuzinów. Że niektóre liczą sobie pięćset czy sześćset lat. – Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – Jak one wszystkie mogły uciec z Wieży?

Właściwie nie pytała, ale rzucała wyzwanie.

– Całkiem niedawno odkryłyśmy, jak wiele jest dzikusów wśród Ludu Morza – odrzekła łagodnie Amyrlin. – A nadal nie jesteśmy pewne, ile ich jest tam naprawdę.

Grymas Romandy jeszcze bardziej się pogłębił. Właśnie Żółte jako pierwsze potwierdziły fakt istnienia w samym Illian setek dzikusów wśród kobiet należących do Ludu Morza. Egwene uświadomiła sobie, że właśnie zdobyła w tej rozmowie pierwszy punkt.

Tyle że tak nieznaczna przewaga nie mogła jej zapewnić zwycięstwa nad Romandą. Musiała zdobyć kolejne punkty.

– Trzeba je będzie wyśledzić, gdy tylko zakończymy nasze sprawy tutaj – oznajmiła ponuro. – Owszem, możemy kilku tuzinom udzielić pozwolenia na pozostanie w Ebou Dar i Tar Valon. Pomogą nam wytropić zbiegów. Nie wolno wszakże dopuścić, żeby tysiąc dzikusów działało w grupach... zorganizowanych.

Ostatnie dwa słowa wypowiedziała z jeszcze większą pogardą niż wszystkie wcześniejsze zdania. Myrelle i Maigan patrzyły na nią z uwagą i przysłuchiwały się. Maigan zainteresowała się tak

bardzo, że aż cała pochyliła się mocno do przodu. Żadna nie знаła dokładniejszych szczegółów niż te, które rozpowszechniała sama Egwene, otrzymawszy je – jak mniemały wszystkie siostry – od „oczu i uszu” Siuan.

– Dobrze ponad tysiąc – poprawiła Romandę Amyrlin – i ani jedna nie jest dzikuską. Niemal wszystkie te kobiety odesłano kiedyś z Wieży. Wyjątkiem jest kilka uciekinierek, którym udało się uniknąć ujęcia. – Nie podniosła głosu, choć każdą kwestię wypowiadała stanowczo. I przez cały czas wytrzymywała spojrzenie Zasiadającej. – Tak czy owak... jak proponujesz je wyśledzić? Mieszkają we wszystkich krajach i uprawiają najrozmaitsze zawody. Jedynie w Ebou Dar zbierały się... czy też może spotykały przez przypadek, lecz wszystkie umknęły z miasta, kiedy wkroczyli tam Seanchanie. Od czasu Wojen z Trollokami przedstawicielki Rodziny powiadamiały Białą Wieżę jedynie o tym, o czym chciały ją poinformować. Przez dwa tysiące lat ukrywały się tuż pod jej nosem. Podczas gdy liczba sióstr w Wieży malała, liczba Kuzynek rosła. Jak proponujesz je teraz znaleźć wśród wszystkich tych dzikuszek, które Wieża zawsze ignorowała, ponieważ oceniała je jako kobiety „zbyt stare” na nowicjuszki? Członkinie Rodziny w żaden sposób nie wyróżniają się z tłumu, Romando. Używają Mocy niemal równie często jak Aes Sedai, lecz ich twarze pokazują rzeczywisty wiek, dokładnie tak jak w przypadku wszystkich innych istot ludzkich, choć może Kuzynki starzeją się nieco wolniej. Jeśli zechcą pozostać w ukryciu, nigdy nie zdołamy ich znaleźć.

W ten sposób Amyrlin zdobyła kolejne punkty, nie tracąc przy tym żadnego. Romandzie wystąpiły na czoło kropelki potu, który u Aes Sedai był swoistą oznaką desperacji. Myrelle siedziała całkowicie nieruchomo, jednak maksymalnie wychylona Maigan o mało nie spadła na twarz ze swego stołka, choć rzeczywiście wyglądał on na siedzisko znacznie stabilniejsze niż wszystkie należące do Egwene.

Żółta Zasiadająca oblizwała usta.

– Jeśli przenoszą Moc, przyciągają ludzkie spojrzenia. Jeśli się starzeją, nie mogą przenosić zbyt często, o ile w ogóle to robią. I w żadnym razie nie mogą żyć pięćset czy sześćset lat!

Amyrlin doszła do wniosku, że czas na ostateczne rewelacje.

– Istnieje tylko jedna prawdziwa różnica między Aes Sedai i Kuzynkami – obwieściła dobitnie. Choć mówiła cicho, każde jej słowo było doskonale słyszalne. Chyba nawet Romanda w tym momencie wstrzymała oddech. – Opuściły Białą Wieżę, zanim zdążyły złożyć przysięgę na Różdżkę Przysięg.

Tak, teraz, w końcu wszystko stało się jasne.

Romanda wykonała niespodziewany ruch. Wyglądała jak po otrzymaniu straszliwego ciosu.

– Ty też jeszcze nie złożyłaś Przysięg – zauważyła chrapliwie. – Czy to znaczy, że je odrzucasz? Będziesz skłaniać siostry do ich odrzucania?

Któraś – Myrelle lub Maigan – głośno chwytła powietrze. A może obie.

– Nie! – odrzekła ostro Egwene. – Właśnie dzięki Trzem Przysięgom jesteśmy Aes Sedai, a ja złożę swoje na Różdżkę Przysięg, natychmiast kiedy ją odzyskamy! – Zaczepnęła wielki haust powietrza, po czym nieco się uspokoiła. Równocześnie wszakże pochyliła się ku Zasiadającej, próbując do niej przemówić. Dotrzeć do niej. Przekonać ją! Prawie wyciągnęła ku tamtej dłoń. – W obecnej chwili, Romando, starsze siostry odchodzą od nas i spędzają swoje ostatnie lata w spokoju. Czy nie byłoby lepiej, gdyby te lata nie były ich ostatnimi? Gdyby siostry wycofywały się do Rodziny, mogłyby w ten sposób związać Kuzynki z Wieżą. Wówczas ustałoby bezsensowne i daremne polowanie. – Skoro zaszła już tak daleko, mogła zrobić także ostateczny krok. – Różdżka Przysięg może tak samo rozwiązywać, jak zobowiązywała.

Maigan opadła na kolana, mimo dywanu z głośnym łoskotem, jednak równie szybko się

podniosła, otrzepując spódnice z takim oburzeniem, jak gdyby upadła, ponieważ ktoś ją pchnął. A oliwkowa twarz Myrelle wydawała się teraz nieco pobladła.

Romanda bardzo powoli odstawiła filiżankę z herbatą na krawędź biurka i wstała, otaczając się szalem. Przez moment stała, wpatrując się w Amyrlin z twarzą kompletnie pozbawioną wyrazu, podczas gdy Theodrin, niczym służąca wielkiej pani, układała jej żółty, haftowany płaszcz na ramionach, mocowała złotą szpilkę i starannie wygładzała fałdy. W końcu Zasiadająca przemówiła. Jej głos był twardy jak kamień.

– Kiedy byłam małą dziewczynką, marzyłam o tym, żeby zostać Aes Sedai. Od dnia, gdy dotarłam do Białej Wieży, starałam się żyć jako Aes Sedai. Żyłam jako Aes Sedai i umrę jako Aes Sedai. Nie może być inaczej!

Chociaż obróciła się płynnym ruchem do wyjścia, przewróciła stołek, na którym siedziała, najwyraźniej mimowolnie. Theodrin pospiesznie wyszła za nią. Dziwnym trafem, jej twarz wyrażała troskę.

– Matko? – Myrelle wciągnęła potężny wdech. Jej palce skubały intensywnie zielone spódnice. – Matko, czy naprawdę sugerujesz, że...?

Zamilkła, widocznie niezdolna wymówić pomyślane słowa. Maigan siedziała na stołku sztywno wyprostowana, być może powstrzymując się przed kolejnym pochyleniem się do przodu.

– Wyłożyłam jedynie fakty – odparła spokojnie Egwene. – Decyzje podejmie Komnata. Ale powiedz mi coś, Córko. Wolałabyś umrzeć, skoro mogłabyś wciąż żyć i dalej służyć Wieży?

Dwie siostry, Zielona i Błękitna, wymieniły spojrzenia, potem uświadomiły sobie, co zrobiły i natychmiast ponownie zaczęły się ignorować. Żadna nie odpowiedziała Amyrlin na jej pytanie, lecz młoda władczyni niemalże widziała myśli, które szalały im w głowach.

Po kilku chwilach Egwene wstała i odstawiła stołek. Nawet jej ruch zdołał w obu Aes Sedai wzbudzić zaledwie pobieżne przeprosiny za to, że same nie zerwały się z miejsc wystarczająco prędko. Potem obie popadły w milczącą zadumę.

Amyrlin spróbowała wrócić do kartek w teczkach Sivan – sytuacja patowa w Kamieniu Łzy przeciągała się i nikt nie miał żadnego pomysłu, w jaki sposób się zakończy – jednak nie zdążyła się skupić na tekście, gdyż niedługo po odejściu Romandy do namiotu weszła Lelaine.

W przeciwieństwie do Żółtej, smukła Błękitna Zasiadająca przybyła sama i sama sobie nałóżła herbaty. Usiadła na pustym stołku, zdjęła obity futrem płaszcz i zarzuciła go sobie na ramiona, skąd zwiisał spięty srebrną szpilą wysadzaną dużymi szafirami. Miała również szal z frędzlami; Zasiadające rzadko wychodziły bez tego symbolu swojej Ajah. Lelaine była bardziej bezpośrednia od Romandy, a przynajmniej takie na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie. Jej bystre oczy połyskiwały intensywnie.

– Śmierć Kairen stanowi kolejną przeszkodę, oddalającą szansę osiągnięcia jakiegokolwiek porozumienia z Czarną Wieżą – mruknęła znad filiżanki z herbatą, wdychając parę. – No i trzeba się zająć biednym Llywem. Może przejmie go Myrelle. Dwóch spośród jej trzech należało wcześniej do innej siostry. Nikt nigdy nie uratował dwóch Strażników, których Aes Sedai umarły.

Nie tylko Egwene dosłyszała szczególną emfazę, z jaką Zasiadająca mówiła o Llywie. Myrelle straszliwie pobladła twarz. Kobieta skrywała bowiem przed światem dwa sekrety i jednym z nich był fakt, że posiadała już nie trzech, lecz czterech Strażników. Przejście Lana Mandragorana od Moiraine do niej było zdarzeniem, jakiego nikt nie pamiętał od bardzo dawna. W dodatku przywodziło na myśl wiązanie mężczyzny wbrew jego woli, a czegoś takiego Aes Sedai nie robiły nawet przed setkami lat.

– Trzech to dla mnie dość – odrzekła bez tchu. – Wybaczysz mi, Matko?

Maigan zaśmiała się cicho, gdy Myrelle wyszła z namiotu szybkim krokiem, ale zanim opadły wejściowe klapy, zdążyła jeszcze objąć *saidara*.

– Oczywiście – zadrwiła Lelaine, wymieniając rozbawione spojrzenie z drugą Błękitną. – Mówi się, że Myrelle poślubia swoich Strażników. Wszystkich. Może po prostu nieszczęsny Llyw nie nadaje się na męża.

– Llyw jest wielki jak koń – wtrąciła Maigan. Mimo rozbawienia, z jakim zareagowała na pospieszne odejście Myrelle, w jej tonie nie można się było doszukać złośliwości. Po prostu stwierdziła fakt, Llyw bowiem rzeczywiście był ogromnym człowiekiem. – Sądzę, że znam pewną młodą Błękitną, która zechce się zaopiekować owym Strażnikiem. Osóbka ta nie interesuje się mężczyznami w taki sposób jak Myrelle.

Lelaine pokiwała głową, sugerując zrozumienie i aprobatę dla więzi młodej Błękitnej i Strażnika.

– Zielone potrafią się zachowywać bardzo dziwacznie. Weźmy na przykład Elayne Trakand. Nigdy właściwie nie myślałam, że Elayne zechce zostać Zieloną. Uważałam, że wybierze Błękitne Ajah. Ta dziewczyna ma wszak wielki dryg do polityki. Chociaż cechuje się też skłonnością do wchodzenia w głębszą niż bezpieczna wodę. Nie powiedziałabyś tak, Matko?

Uśmiechnęła się, po czym wypila łyk herbaty.

Pogawędka z nią bynajmniej nie przypominała rozmowy z Romandą. Romanda raczej sondowała opinie, Lelaine zaś po prostu – mówiąc obrazowo – cięła, waląc na prawo i lewo ostrzem, które wydawała się brać z powietrza. Czyżby wiedziała o Myrelle i Lanie? Czyżby wysłała kogoś do Caemlyn? A jeśli tak, ile odkryła? Egwene zastanowiła się, czy Romanda również czuła się zbita z tropu i oszołomiona.

– Sądziś, że morderstwo Kairen wystarczy dla powstrzymania porozumienia? – spytała. – Może to Logain powrócił, ażeby dokonać jakiejś szalonej zemsty? – Dlaczego, na Światłość, powiedziała coś takiego? Musiała bardziej panować nad językiem i powstrzymywać się przed tego typu dowcipami. – Albo, co bardziej prawdopodobne, zrobił to jakiś biedny głupiec z okolicznej farmy czy też mieszkaniec którejś z miejscowości po drugiej stronie mostów.

Uśmiech Lelaine jeszcze bardziej się rozszerzył i teraz był szyderczy, nie zaś rozbawiony. O Światłości, ta kobieta od miesięcy nie okazywała nikomu tak wielkiego lekceważenia.

– Gdyby Logain zapragnął się zemścić, Matko, podejrzewam, że szalałby po Białej Wieży i zabijał Czerwone. – Wbrew uśmiechowi przemawiała głosem uprzejmym i wyważonym. „Niepokojący kontrast” – pomyślała Egwene. Ale może takie właśnie były zamiary Lelaine. – W sumie szkoda, że to tylko marzenia – ciągnęła Błękitna Zasiadająca. – Logain mógłby usunąć Elaidę. Chociaż właściwie nie zasłużyła sobie na szybką śmierć. Nie, morderstwo Kairen nie powstrzyma porozumienia, nie bardziej niż zgon Anaiyi, jednakże po tych dwóch zabójstwach siostry zaczęły się straszliwie martwić o swoje bezpieczeństwo i wszelkie naruszenia zakazów. Może rzeczywiście potrzebujemy tych mężczyzn, musimy wszakże mieć pewność, że to my, a nie oni, sprawujemy kontrolę nad sytuacją. Całkowitą kontrolę.

Egwene skinęła lekko głową. Zgadzała się, tym niemniej...

– Możemy mieć trudności w skłonieniu ich do zaakceptowania naszej kontroli – zauważyła.

„Trudności?!”. Zaczynała dziś wykazywać prawdziwy talent do niedopowiedzeń.

– Wiąż ze Strażnikiem można nieznacznie zmodyfikować – oznajmiła Maigan. – Mężczyznę można nakłonić do wypełniania rozkazów poprzez niewielki nacisk, jednak gdy trzeba, całkiem łatwo możemy ten nacisk zwiększyć.

– Za bardzo mi się to kojarzy z Przymusem – oświadczyła dobitnie Amyrlin.

Nauczyła się od Moghedien tego splotu, lecz jedynie w celu wypracowania metody przeciwdziałania jego skutkom. Uważała Przymus za coś obrzydliwego. Jak można „ukraść” inną osobę, pozbawić ją woli, osobowości? Człowiek, którego poddano Przymusowi, zrobi wszystko, co mu polecisz. Wszystko! Mało tego, człowiek ten będzie wierzyć, że wykonał całe zadanie z własnej i nieprzymuszonej woli. Tak, tak, na samą myśl o Przymusie Egwene czuła się po prostu brudna.

Podobnie jak Lelaine, Maigan wytrzymała wszakże wzrok Amyrlin niemal bez trudu, a głos zachowała równie spokojny jak twarz. Na pewno nie myślała o niczym tak odpychającym.

– Przymusu użyto na siostrach w Cairhien. Jestem co do tego w tej chwili pewna. Ja jednak mówiłam o więzi, czyli o czymś całkowicie innym.

– Myślisz, że zdołasz namówić Asha’manów na przyjęcie więzi? – Amyrlin nie potrafiła zapanować nad niedowierzaniem, co uwidoczniło się w jej głosie. – Poza tym... Kto stworzy tę więź? Nawet gdyby wszystkie siostry, które nigdy nie posiadały Strażnika, wzięły sobie Asha’manów, a każda Zielona związała dwóch czy nawet trzech, nie starczy nam sióstr. Zresztą, ile znajdziesz chętnych związać się z mężczyzną, który lada chwila może oszaleć?

Maigan kiwała głową przy każdym zdaniu, jakby w pełni zgadzała się z Egwene. Z drugiej strony wszak stale wygładzała spódnice i zdawała się w ogóle nie słuchać. Kiedy Egwene skończyła, natychmiast rzuciła:

– Jeśli więź można zmienić w jeden sposób, można go zmienić także w inny. Może na przykład istnieje sposób usunięcia współodczuwania lub przynajmniej częściowego osłabienia go. Wtedy ich szaleństwo przestałoby stanowić dla nas problem. Byłby to wprawdzie wówczas odmienny rodzaj połączenia, w ogóle niepodobny do zwyczajnej więzi Strażnika z Aes Sedai. Jestem jednak przekonana, że większość sióstr dostrzeże tę różnicę, dzięki której każda z nich będzie mogła związać taką liczbę Asha’manów, jaką uzna za konieczną.

Nagle Egwene pojęła, z czym ma do czynienia. Lelaine siedziała nieruchomo, z pozoru wpatrzona w swoją filiżankę z herbatą, tak naprawdę wszakże spod zmrużonych powiek obserwowała Amyrlin. A Maigan Zasiadająca najwyraźniej używała jako swojej rzeczniczki. Egwene zdławiła gniew.

– Ale brzmi dokładnie jak Przymus, Lelaine! – oświadczyła. Nawet nie musiała się zmuszać do zimnego tonu. – Taka jest prawda, mówicie o Przymusie i wasze tłumaczenia na nic się tu zdadzą. Zwrócę na to podobieństwo uwagę każdemu, kto mi podda taki pomysł. A te, które będą nie tylko sugerować, lecz także spróbują mnie przekonać do swoich racji, ukazę różgami. Przymus jest zakazany i takim pozostanie.

– Jak sobie życzysz – odparła Lelaine, co mogło znaczyć wszystko lub nic. Natychmiast jednak dodała uszczypliwe wytłumaczenie: – Białej Wieży też czasami zdarzają się pomyłki. Nie sposób żyć bądź też działać bez popełniania błędów. A jednak żyjemy i działamy dalej. Jeśli czasem musimy ukrywać nasze pomyłki, później, ilekroć to tylko możliwe, naprawiamy je. Nawet kiedy naprawa bywa bolesna.

Odstawiła filiżankę na tacę i wyszła. Maigan deptała jej prawie po piętach, a zanim opuściła namiot, objęła Źródło. Lelaine tego nie zrobiła.

Przez jakiś czas Amyrlin koncentrowała się na uspokojeniu oddechu. Wyobraziła sobie, że jest rzeką ograniczoną przez brzegi. Lelaine przecież wcale nie nazwała wyboru Egwene al’Vere na Tron Amyrlin pomyłką, którą można naprawić, choć... nie była od tego daleka.

Po południu Chesa przyniosła na kolejnej drewnianej tacy kolejny posiłek: ciepły, chrupiący chleb, na którym Egwene zauważyła zaledwie jeden czy dwa podejrzanie ciemne punkciki, oraz gulasz z soczewicy z twardymi paseczkami rzepy, starej, zdrewniałej marchwi i kawałkami mięsa,

które wyglądało na kozie. Amyrlin zdołała przełknąć jedynie łyżkę potrawy. Nie Lelaine ją niepokoiła. Lelaine groziła jej już wcześniej, przynajmniej zanim Egwene dała wszystkim do zrozumienia, że jest prawdziwą władczynią, nie zaś bierną marionetką. Nie, nie o nią chodziło. Zamiast jeść, zagapiła się w leżący z boku stołu raport Tiany. Nicola – mimo swego wielkiego potencjału – chyba jednak nie zdobędzie szala, chociaż Wieża miała spore i długoletnie doświadczenie w prostowaniu charakterów upartych jak oślice, skłonnych do błędów kobiet i potrafiła je przemienić w godne zaufania Aes Sedai. Larine miała przed sobą jasną przyszłość, musiała się jeszcze wszakże nauczyć posłuszeństwa wobec reguł, zanim odkryje, które z tych reguł można złamać i kiedy. W Białej Wieży bez trudu można się było dowiedzieć wszystkich tych kwestii, lecz posłuszeństwo zawsze było najważniejsze, znacznie ważniejsze niż umiejętność lawirowania. Bode z kolei czekała naprawdę wspaniała przyszłość. Zdolnościami dziewczyna prawie dorównywała talentom Egwene. Od każdej wszakże kobiety – czy była Aes Sedai, Przyjętą, czy też nowicjuską – Wieża wymagała przede wszystkim działalności na swoją rzecz, również od Zasiadającej na Tronie Amyrlin!

Po powrocie Chesa okazała Egwene swe ogromne rozczarowanie z powodu niemal nietkniętego posiłku na tacy, szczególnie że wcześniej tego dnia znalazła już praktycznie nieruszone śniadanie. Amyrlin rozważyła wykręcenie się bólem żołądka, natychmiast jednak odrzuciła ten pomysł. Wciąż pamiętała przecież straszliwą herbatkę Chesy, która miała uleczyć jej migreny – i uleczyła przynajmniej na kilka dni, tyle że później bóle powróciły gwałtowniejsze niż kiedykolwiek wcześniej i teraz jako takie powtarzały się każdej nocy. Pulchna służąca posiadała najwyraźniej niezły zbiór ziołowych środków na każdą dolegliwość; nabywała je od każdego domokrażcy, który potrafił elokwentnie namawiać. Każda następna mikstura smakowała gorzej niż poprzednia. A jeśli Egwene którejś nie wypila, Chesa potrafiła spojrzeć na swoją panią z takim smutkiem, że Amyrlin miała ochotę przełknąć wszystko, byleby tylko nie przysparzać służącej więcej zmartwień. Czasami, co zaskakujące, owe mikstury działały, choć nigdy nie smakowały przyjemnie, a Egwene zawsze brzydziła się przed wypiciem choćby łyku. Tym razem więc tylko odesłała Chesę z tacą i obietnicą, że zje później. Za kilka godzin kobieta przyniesie bez wątpienia kolację tak wielką, że jej zawartością można by utuczyć niejedną gęś.

Amyrlin poczuła, że uśmiecha się na myśl o Chesie stojącej jej nad głową, patrzącej groźnie, wypychającej w nią posiłek i czekającej, aż jej pani przełknie wszystko aż do ostatniego kęsa, w końcu jednak spoważniała i skupiła się na raporcie Tiany. Nicola, Larine i Bode. Biała Wieża była surową nadzorczynią i wymagającą przełożoną. Chyba że dzięki konsensusowi Komnaty znajdowała się w stanie wojny, wtedy Zasiadająca na Tronie Amyrlin nie będzie... Tyle że Wieża naprawdę była w stanie wojny.

Egwene nie wiedziała, jak długo przesiedziała samotnie, wpatrując się w kawałek papieru z zapisanym na nim jednym imieniem, jednak gdy wróciła Siuan, już podjęła decyzję. Surowa przełożona, która nigdy nikogo nie faworyzowała...

– Leane i Bode odjechały? – spytała.

– Przynajmniej dwie godziny temu, Matko. Leane odwiozła Bode, a potem miała się skierować w dół rzeki.

Egwene pokiwała głową.

– Proszę, każ osiodłać Daishara... – „Nie” – pomyślała natychmiast. Ludzie od razu rozpoznają konia Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Zna go zbyt wiele osób. Pora nie była odpowiednia na spory i tłumaczenia, na podkreślanie swej władzy i wydawanie poleceń. – Osiodłaj nie Daishara, ale Belę. Spotkajmy się na najbardziej północnym przecięciu dwóch ulic.

Prawie wszyscy znali również Belę. Mało kto nie wiedział, że jest to klacz Siuan.

– Co zamierzasz zrobić, Matko? – spytała zaniepokojonym głosem była Amyrlin.

– Zamierzam się przejechać. Ale, Siuan, proszę, nikomu o tym nie mów. – Złapała spojrzenie swej rozmówczyni i przez chwilę je wytrzymała. Gdy Siuan była Amyrlin, nawet najtwardszego człowieka potrafiła zmusić do odwrócenia wzroku. Teraz wszakże na Tronie Amyrlin zasiadała Egwene. – Nikomu, Siuan. No, już idź. Idź i się pospiesz.

Siuan nadal marszczyła czoło, tym niemniej szybko odeszła.

Kiedy Egwene znów została sama, zdjęła z szyi stulę, złożyła ją ostrożnie i schowała do woreczka przy pasie. Jej płaszcz był z dobrej, grubej wełny, choć krój miał całkiem prosty. Bez stulę zwisającej spod kaptura Egwene niczym się nie wyróżniała.

Przed jej gabinetem panowała oczywiście pustka, jednak kiedy przeszła uliczkę o zamarzniętej powierzchni, znalazła się wśród zwyczajnych strumieni ubranych na biało nowicjuszek, rzadszych Przyjętych i zupełnie sporadycznych Aes Sedai. Nowicjuszki dygały przed nią, nie zwalniając, Przyjęte lekko się kłaniały, gdy zauważyły, że spódnice wystające spod jej płaszcza nie są białe, Aes Sedai natomiast przemieszczały się obojętnie typowym dla siebie posuwistym krokiem, całkowicie skrywając twarze pod kapturami. Jeśli któraś zaobserwowała, że za Egwene nie podąża jej Strażnik, nijak na to nie reagowała. Cóż... niektóre siostry nie posiadały wszak Strażników.

Amyrlin zauważyła, że nie wszystkie siostry otacza jarząca się poświata *saidara*. Chociaż takich była większość.

Dwie ulice od swojego gabinetu zatrzymała się na krawędzi drewnianego pasażu oddalonego nieco od rzesz spieszących się kobiet. Próbowwała się niczym nie martwić. Słońce tkwiło w połowie drogi ku zachodniemu horyzontowi, przybrawszy postać złotej kuli częściowo przesłoniętej przez ścięty wierzchołek Smoczej Góry. Cień góry już padał na obozowisko, spowijając namioty w wieczornym mroku.

W końcu pojawiła się Siuan na Beli. Niewielka, kudłata klacz szła pewnie po śliskiej ulicy, Siuan wszakże kurczowo trzymała wodze i przylegała do siodła, jakby się obawiała, że z niego spadnie. Może naprawdę się tego obawiała. Należała do najgorszych jeźdźców, jakich Egwene kiedykolwiek widziała. Kiedy dawna Amyrlin zsunęła się w końcu z siodła, przez chwilę wygładzała spódnice i mamrotała przekleństwa. Wyglądała na osobę, która czuje ulgę, że udało jej się zachować życie. Bela rozpoznała Egwene i zarżała. Siuan naciągnęła mocniej kaptur, który nieco jej opadł, po czym otworzyła usta, usiłując coś powiedzieć, lecz Amyrlin powstrzymała ją ostrzegawczym ruchem ręki, więc kobieta zachowała milczenie. Na szczęście, gdyż Egwene już widziała, że wargi Siuan układały się w słowo „Matko”, które najprawdopodobniej wypowiedziałyby na tyle głośno, że dotarłoby do uszu wszystkich osób znajdujących się w odległości pięćdziesięciu kroków od nich.

– Nikomu nie mów – powtórzyła Amyrlin cicho swoje wcześniejsze polecenie. – Nie rób też żadnych notatek i nikomu niczego nie sugeruj. – Tak, chyba wymieniła wszystkie możliwości. – Aż do mojego powrotu dotrzymuj towarzystwa Chesie. Nie chcę, żeby się niepokoiła.

Siuan niechętnie kiwnęła głową. Minę miała niemal ponurą. Egwene podejrzewała, że wzmianka o „notatkach” i „sugestiach” była z jej strony naprawdę mądrym posunięciem. Zostawiła dawną władczynię, która wyglądała teraz jak nadąsana dziewczynka, a następnie łatwo dosiadła Beli.

Początkowo musiała zachęcać przyciężkawą klacz do stępa – z powodu zamarzniętych kolein na ulicach obozu. Nie chciała zresztą, by ktokolwiek spytał, jak to możliwe, że Siuan jedzie na Beli w szybszym tempie. Starła się nawet jechać na sposób Siuan, kołysząc się niepewnie i przywierając niespokojnie do wysokiego łęku siodła, trzymając go jedną ręką, a czasami obiema. W tej

niewygodnej pozycji rzeczywiście co chwilę odnosiła wrażenie, iż za chwilę się zsunie. Klacz obracała łeb, usiłując na nią popatrzeć, wiedziała bowiem, kto siedzi na jej grzbiecie i pamiętała, że Egwene zwykle potrafiła ją prowadzić znacznie lepiej niż dziś. Amyrlin wciąż jednak próbowała naśladować Siuan, starając się przy tym nie myśleć o niskiej pozycji słońca. Tak przejechała obozowisko i minęła ostatnie rzędy wozów, aż w końcu pierwsze drzewa skryły ją przed wzrokiem potencjalnych obserwatorów.

Tutaj pochyliła się nad łękiem i przycisnęła twarz do grzywy Beli.

– Pamiętasz, jak mnie wywiozłaś z Dwu Rzek? – szepnęła. – Możesz teraz pobiec jak najprędzej?

Wyprostowała się i wbiła pięty w boki klaczy.

Bela nie potrafiła galopować tak szybko jak Daishar, jednak jej silne nogi bez trudu przedzierały się przez śnieg. Była kiedyś koniem pociągowym, nie zaś wyścigowym czy bojowym, ale w tym momencie dawała z siebie wszystko, wyciągając szyję równie dzielnie, jak robił to zazwyczaj Daishar. Klacz pędziła zatem, słońce zaś zsuwało się coraz niżej, ślizgając się po jakby nagle natłuszczonym czymś nieboskłonie. Egwene leżała nisko w siodle i ponaglała Belę do szybszego biegu. Obie brały udział w swoistym wyścigu ze słońcem, którego – co Amyrlin doskonale wiedziała – nie mogły oczywiście w żaden sposób wygrać. Czuła, że chociaż nie uda jej się pokonać słońca, ma jeszcze trochę czasu. Uderzała piętami w odpowiednim momencie i klacz wciąż przyspieszała kroku.

W końcu otoczył je zmierzch, a później ciemność, po chwili Egwene zobaczyła odbijający się od wód Erinin księżyc. Tak, zostało jej jeszcze trochę czasu. Dotarła już prawie do miejsca, w którym wcześniej siedziała na Daisharze i wraz z Garethem przyglądała się rzeczonym statkom płynącym ku Tar Valon. Ściągnęła wodze Beli i wsłuchała się w ciszę.

Czekała. I nagle przez milczenie przebiło się czyjeś stłumione przekleństwo. Potem do uszu Amyrlin dotarły ciche chrząknięcia i odgłosy szurania mężczyzn ciągnących przez śnieg wielki ciężar, usiłujących się przy tym zachowywać jak najciszej. Egwene zwróciła Belę między drzewa, w stronę dźwięków. Tam poruszyły się jakieś cienie i Amyrlin usłyszała cichy poświst stali wysuwanej z pochwy.

Później męski głos coś wymamrotał. Odgłos był niewiele głośniejszy od szeptu.

– Znam tego kuca – powiedział mężczyzna. – Należy do jednej z sióstr. Tej, która podobno była kiedyś ich władczynią. Chociaż ta amazonka nie wygląda mi na tamtą. Nie jest starsza od dziewczyny, która obecnie zasiada na Tronie Amyrlin.

– Bela nie jest kucem – odparowała Egwene. – Zabierz mnie do Bode Cauthon.

Spomiędzy ocienionych po nocnemu drzew wyszło kilkunastu mężczyzn. Otoczyli ją i Belę. Wszyscy uważali ją za Siuan, ale Amyrlin to nie przeszkadzało. Dla nich Aes Sedai to Aes Sedai. Tak czy owak, poprowadzili ją do miejsca, gdzie Bode siedziała na koniu niewiele wyższym od Beli. Dziewczyna otaczała się ciemnym płaszczem, pod którym nosiła również ciemną suknię. Dzisiejszego wieczoru biel za bardzo by się wyróżniała.

Kiedy Egwene podjechała, Bode rozpoznała Belę i wyciągnęła dłoń z zamiarem podrapania jej czule za uchem.

– Pozostajesz na łądzie – oświadczyła cicho Amyrlin. – Możesz wrócić ze mną, gdy wszystko się skończy.

Dziewczyna cofnęła rękę, jakby głos Egwene ją oparzył.

– Dlaczego? – spytała. W jej tonie nie było wyzwania. Najwyraźniej sporo się już nauczyła. – Mogę to zrobić. Leane Sedai mi wszystko dokładnie wyjaśniła i wiem, że potrafię wykonać zadanie.

– Wiem, że potrafisz. Jednakże nie wykonasz go tak dobrze jak ja. Jeszcze nie. – Jej słowa zabrzmiały jak krytyka, na którą Bode sobie nie zasłużyła, więc Egwene dodała: – Zrozum, jestem Zasiadającą na Tronie Amyrlin i niektóre decyzje mogę podjąć tylko ja. Natomiast o wykonanie pewnych zadań nie powinnam prosić nowicjuszkę, skoro sama mogę wykonać je lepiej.

Może te frazy nie zabrzmiały szczególnie łagodnie, Egwene nie mogła wszakże wyjaśnić Bode kwestii związanych z Larine i Nicolą ani wspomnieć o cenie, której Biała Wieża żądała od wszystkich swoich córek. Tego pierwszego Amyrlin nie mogła wytłumaczyć nowicjuszcze, tego drugiego zaś nowicjuszka nie była gotowa się dowiedzieć.

Z powodu ciemności widziała jedynie zarys pochylonych ramion Bode, lecz nawet po samej postawie dziewczyny wiedziała, że tamta nie rozumiała jej wyjaśnień, nauczyła się już wszakże nie polemizować z Aes Sedai. Wiedziała tylko jedno: że Egwene jest Aes Sedai i nie należy z nią dyskutować. Reszty nauczy się później. Wieża poświęci jej tyle czasu, ile potrzeba na nauczenie wszystkich niuansów.

Amyrlin zsiadła z Beli i wręczyła wodze jednemu z żołnierzy, po czym uniosła spódnicę i ruszyła przez śnieg ku dźwiękom sugerującym zmaganie się z czymś bardzo ciężkim. Mężczyźni ciągnęli po śniegu dużą łódź wiosłową, a dokładniej – jedni ją pchali, drudzy ciągnęli niczym wielkie sanki. Łodzią trudno było manewrować pomiędzy drzewami, jednak ciągnący i pchający mężczyźni przeklinali rzadziej i ciszej – teraz, gdy Egwene się do nich zbliżyła. Większość mężczyzn starała się panować nad językiem w towarzystwie każdej Aes Sedai. Nawet jeśli ze względu na jej kaptur i panujące wokół ciemności nie widzieli jej twarzy, zdawali sobie sprawę, że tu – nad rzeką – może się kręcić jedynie siostra. Czy wiedzieli, że Egwene nie jest tą samą kobietą, która początkowo miała im towarzyszyć? Jeśli wiedzieli, któż by się ośmielił wypytywać Aes Sedai?

Wreszcie z cichym pluskiem opuścili łódź na wodę. Sześciu mężczyzn weszło na pokład i wsunęło wiosła w obite materiałem dulki. Mężczyźni byli boso, ażeby uniknąć odgłosów butów szurających na deskach pokładu. Zazwyczaj nawet mniejsze łodzie z łatwością kursowały po tych wodach, jednak dzisiejszego wieczoru prąd był bystry. Jeden z pozostałych na brzegu mężczyzn podał Amyrlin rękę, pomagając jej zachować równowagę podczas wsiadania i Egwene szybko zajęła miejsce wyznaczone jej na dziobie. Szczelnie otoczyła się płaszczem. Łódź zaczęła się oddalać od brzegu. Panowała niemal całkowita cisza, którą przerywały jedynie ledwie słyszalne odgłosy muskania wiosła o wodę.

Amyrlin popatrzyła przed siebie, na południe, ku Tar Valon. Białe ściany błyszczały w świetle jeszcze dużego, lecz już ubywającego księżyca, zaś oświetlone lampami okna spowijały miasto przytłumioną łuną, toteż cała wyspa zdawała się obejmować *saidara*. Biała Wieża rzucała się w oczy nawet w mroku, a ponieważ wszystkie jej okna płonęły światłem, wyglądała jak jednolita, lśniąca pod księżycem bryła. Nagle na tle księżyca przesunął się jakiś cień i Egwene wstrzymała oddech. Przez chwilę sądziła, że dostrzegła draghkara, który akurat tej nocy stanowiłby naprawdę paskudny omen. Na szczęście szybko doszła do wniosku, że widziała jedynie nietoperza. A skoro nietoperze zaczęły powoli wylatywać ze swoich zimowych kryjówek, zapewne wielkimi krokami zbliżała się wiosna. Amyrlin zaciągnęła mocniej płaszcz i przyjrzała się potężniejszemu przed nią miastu. Było już niedaleko.

Kiedy przed łodzią wynurzyła się wysoka ściana Północnej Przystani, wiosłarze wyhamowali, toteż dziób lekko otarł się o mur obok wejścia do przystani. Egwene właśnie wyciągała rękę, zamierzając dotknąć jasnego kamienia, zanim łódź wpadnie w ścianę. Uderzenie łodzi o mur bez wątplenia usłyszeliby żołnierze na warcie. Jednakże rozległ się jedynie cichy bulgot wiosła, które wiosłarze wycofali, po czym łódź całkowicie się zatrzymała przy masywnym, żelaznym łańcuchu

opasującym przystań. Pokryte olejem ogromne ogniwa łańcucha lekko błyszcząły.

Mężczyźni zatem wykonali swoje zadanie idealnie. Amyrlin nie miała już na co czekać. Objęła *saidara* i ledwie świadoma wypełniającego ją dreszczu życia, utkała odpowiednie sploty. Ziemia, Ogień i Powietrze otoczyły łańcuch, Ziemia i Ogień go musnęły. Czarny metal zaiskrzył się biało na całej szerokości wejścia do przystani.

Czasu starczyło Egwene jedynie na zrozumienie, że w tym samym momencie ktoś inny również objął Źródło – ktoś, gdzieś niedaleko, ponad nią, na murze. W następnej sekundzie coś uderzyło w łódź, potem coś trafiło w jej ciało i Amyrlin poczuła zimną wodę – przykrywającą ją, wypełniającą, wdzierającą jej się w nos i usta. A później ogarnęła ją ciemność.

Poczuła pod sobą twardą powierzchnię. Usłyszała kobiece głosy. Były podekscytowane.

– Wiesz, kto to jest?

– No cóż, wiem, że bez wątplenia dostałyśmy dziś lepszy kąsek, niż ten, na który liczyłyśmy.

Ktoś wcisnął coś Egwene w usta i gardłem dziewczyny spłynął nieoczekiwanie jakiś ciepły płyn, który lekko smakował miętą. Amyrlin przełknęła go spazmatycznie i nagle uprzytomniła sobie z drżeniem, jak bardzo było jej dotąd zimno. Zamrugła powiekami i otworzyła oczy, natychmiast koncentrując się na twarzy kobiety, która jedną ręką przytrzymała jej głowę, drugą zaś obejmowała filiżankę. W świetle latarni, ściskanych przez tłoczących się wokół żołnierzy, twarz tej kobiety widziała zupełnie wyraźnie. Była to twarz wiecznie młoda. Egwene zaś znajdowała się wewnątrz Północnej Przystani.

– Pij, dziewczyno – powiedziała Aes Sedai tonem zachęty. – Wypij wszystko, aż do dna. To silna dawka, akurat odpowiednia.

Amyrlin usiłowała odepchnąć od siebie filiżankę, jednocześnie próbując ponownie objąć *saidara*, niestety słabła coraz bardziej i czuła, jak zapada się w mrok. Czekali tu na nią. Ktoś ją zdradził. Lecz kto?

Epilog

Odpowiedź

Rand wyjrzał przez okno na deszcz bezustannie padający z szarego nieba. Nadciągała kolejna burza. Z Grzbietu Świata. Z Muru Smoka. Pomyślał, że pewnie wkrótce zjawi się wiosna. Wiosna zawsze wszak w końcu przychodzi. Wcześniej nadchodziła tutaj, w Łzie, niż w Dwu Rzekach, w każdym razie powinna tu przyjść szybciej, choć jak na razie niewiele było znaków na potwierdzenie końca zimy. Srebrzyście niebieska błyskawica rozwidliła się znów na nieboskłonie, a po kilku długich chwilach rozległo się uderzenie pioruna. Czyli że burza była jeszcze daleko. Randa zabolowały rany w boku. O Światłości, zabolowały go miejsca na dłoniach, gdzie miał wypalony znak czapli. Mimo iż od tamtej chwili upłynęło już tak dużo czasu...

„Czasami ból stanowi jedyne potwierdzenie, że żyjesz” – szepnął Lews Therin, jednak Al’Thor zignorował głos w swojej głowie.

Drzwi za nim otworzyły się ze skrzypieniem. Rand obejrzał się przez ramię i przypatrzył mężczyźnie, który wszedł do salonu. Bashere nosił krótki, szary kaftan z jedwabiu, migoczący bogato płaszcz, za pasem zaś, obok pochwy z mieczem, miał wetkniętą buławę Marszałka-Generała Saldae, zakończoną złotym wilczym łbem laskę z kości słoniowej. Jego buty z wywiniętymi cholewami były tak wypolerowane, że aż połyskiwały. Al’Thor starał się nie pokazać po sobie ulgi. Wystarczająco długo czekał.

– No więc? – spytał.

– Seanchanie wyrazili zgodę – odparł Bashere. – Straszliwie się wściekli, lecz się zgodzili. Chcą się jednak spotkać z tobą osobiście. Marszałek-Generał Saldae to nie Smok Odrodzony.

– Mam się spotkać z Lady Suroth?

Bashere potrząsnął głową.

– Najwyraźniej przybył jakiś członek ich rodziny królewskiej. Suroth chce, żebyś się spotkał z kimś o tytule Córka Dziewięciu Księżyców.

Na niebie znów błysnęło, po długiej chwili zaś przetoczył się gdzieś odległy grzmot.

*Gnaliśmy na wichrach wzbierającej burzy,
Pędziliśmy ku echem rosnącego grzmotu.
Tańczyliśmy wśród błyskawic splotów,
Świat na strzępy rozdzierając w furii.*

Fragment anonimowego wiersza
podobno napisanego pod koniec
ubiegłego Wieku, znanego
niektórym jako Trzeci Wiek.
Słowa te czasami przypisuje się
Smokowi Odrodzonemu.

Glosariusz

Nota o datach w poniższym glosariuszu

Kalendarz Tomański (opracowany przez Tomędur Ahmida) został przyjęty około dwa stulecia po śmierci ostatniego mężczyzny Aes Sedai i rejestrował lata, które upłynęły Od Pęknięcia Świata (OP). Wiele z jego zapisów uległo zniszczeniu podczas Wojen z Trollokami i pod ich koniec wybuchł spór o poszczególne daty liczone według starego systemu. Tiam z Gazar opracował zatem nowy kalendarz, którego początkiem był koniec Wojen, i który uświetniał wyzwolenie spod zagrożenia ze strony trolloków. Każdy odnotowany w nim rok określano jako Wolny Rok (WR). Kalendarz Gazarański wszedł do powszechnego użytku w ciągu dwudziestu lat od zakończenia Wojen. Artur Jastrzębie Skrzydło starał się wprowadzić kolejny kalendarz, datujący swój początek od ufundowania jego imperium (OU), ale dzisiaj znany jest on jedynie historykom. Po ogólnej destrukcji, śmierci i zniszczeniach, które przyniosła z sobą Wojna Stu Lat, pojawił się następny kalendarz, opracowany przez Uren din Jubai Szybującą Mewę, uczoną Ludu Morza, i upowszechniony przez Faredę, Panarch Tarabonu. Kalendarz Faredański, zapisujący lata Nowej Ery (NE), liczone od arbitralnie przyjętego końca Wojny Stu Lat, pozostaje obecnie w powszechnym użyciu.

Arad Doman: Naród mieszkający na wybrzeżu Oceanu Aryth. Obecnie rozrywany wojną domową oraz walkami z osobami, które opowiedziały się po stronie Smoka Odrodzonego. Stolicą kraju jest Bandar Eban. W Arad Doman władcę (króla albo królową) wybiera rada przedstawicieli cechów kupieckich (Rada Kupców), która prawie zawsze składa się wyłącznie z kobiet. Król lub królowa musi pochodzić z arystokracji, nie zaś z warstwy kupieckiej i potencjalnie rządzi dożywotnio. Oficjalnie król lub królowa posiada władzę absolutną, chociaż Rada może go (albo ją) usunąć trzema czwartymi głosów swoich członków. Obecnym władcą jest Król Alsalam Saeed Almadar, Lord Almadar, Głowa Dynastii Almadar. Jego aktualne miejsce pobytu okryte jest tajemnicą.

Asha'man: (1) W Dawnej Mowie „opiekun” albo „obrońca”, z dodatkowym zaznaczeniem, iż jest to obrońca prawdy i sprawiedliwości. (2) Miano oznaczające zarówno zbiorowość, jak i rangę, nadawane mężczyznom, którzy przybyli do Czarnej Wieży, położonej koło Caemlyn w Andorze, aby tam uczyć się przenoszenia Mocy. Ich szkolenie skupia się na metodach wykorzystania Jedynej Mocy w charakterze broni, a kiedy już nauczą się obejmować *saidina*, czyli męską połowę Prawdziwego Źródła, to wówczas wymaga się od nich wykonywania wszystkich obowiązków z użyciem Mocy, co stanowi kolejne odejście od zasad przestrzeganych w Białej Wieży. Nowo przyjęty mężczyzna otrzymuje tytuł Żołnierza; nosi prosty, skrojony na andorańską modłę, czarny kaftan z wysokim kołnierzem. Po wyniesieniu do rangi Oddanego uzyskuje prawo do wpinania w kołnierz kaftana srebrnej szpili zwanej Mieczem. Awans do rangi Asha'mana równa się prawu do wpinania Smoka – wykonanej ze złota i czerwonej emalii broszy. Mimo iż wiele kobiet, w tym również żony, ucieka, gdy odkrywają, że ich mężczyźni potrafią przenosić Moc, to jednak całkiem sporo mieszkańców Czarnej Wieży jest żonatych i tacy stosują własną odmianę więzi Strażnika, za której pomocą łączą się z żonami. Ta sama więź, przekształcona tak, by narzucać posłuszeństwo, jest ostatnimi czasy wykorzystywana do wiązania pojmanych do niewoli Aes Sedai.

Balwer, Sebban: Oficjalnie były sekretarz Pedrona Nialla (Lord Kapitan Komandor Synów Światłości), potajemnie jego mistrz szpiegów. Z sobie tylko wiadomych powodów pomógł Morgase

(kiedyś Królowej Andoru) w ucieczce przed Seanchanami z Amadoru; obecnie zatrudniony na posadzie sekretarza Perrina t'Bashere Aybary i Faile ni Bashere t'Aybara. Perrin zaczyna podejrzewać, że Balwer jest kimś więcej niż tylko sekretarzem.

Cha Faile: (1) W Dawnej Mowie „Szpon Sokoła”. (2) Nazwa przyjęta przez młodych Cairhienian i Tairenian, rzekomych wyznawców *ji'e'toh*, którzy przysięgli lojalność Faile ni Bashere t'Aybara. Działają potajemnie jako jej osobista służba zwiadowczo-szpiegowska. Od czasu porwania Faile przez Shaido Aiel *Cha Faile* kontynuuje swoją działalność pod kierownictwem Sebbana Balwera.

Corenne: W Dawnej Mowie „Powrót”. Termin, jakim Seanchanie określają zarówno flotę złożoną z tysięcy statków, jak i setki tysięcy żołnierzy, rzemieślników i innych przewożonych przez te statki osób, które przybędą śladem Zwiastunów, by na powrót przejąć ziemie ukradzione potomkom Artura Jastrzębie Skrzydło. Patrz również: *Hailene*.

Córy Milczenia: W trwającej trzy tysiące lat historii Białej Wieży zdarzało się, że usunięte z niej kobiety nie chciały się pogodzić ze swym losem i próbowały się zrzeszać. Ugrupowania takie – a w każdym razie ich większość – Wieża rozpędzała natychmiast, gdy się o nich dowiedziała, a ich członkinie surowo karała i to publicznie, by posłużyły za przykład. Ostatnia z takich rozwiązanych grup przyjęła nazwę Cór Milczenia (794-798 NE). W jej skład wchodziły dwie usunięte z Wieży Przyjęte oraz dwadzieścia trzy kobiety, które owe Przyjęte zebrały przy sobie i wyszkoliły. Wszystkie zostały zabrane do Tar Valon, gdzie je ukarano, z tym że owe dwadzieścia trzy wpisano do księgi nowicjuszek. Jedynie jednej z nich, Saerin Asnobar, udało się dojsć do szala. Patrz również: Rodzina.

cuendillar: Przypuszczalnie niezniszczalna substancja stworzona podczas Wieku Legend. Wszelka znana energia użyta podczas próby rozbicia go zostaje wchłonięta, sprawiając, że *cuendillar* staje się jeszcze mocniejszy. Chociaż tajemnica związana ze stworzeniem *cuendillara* uważana jest za bezpowrotnie zaginioną, ostatnio pojawiły się pogłoski o nowych przedmiotach z niego wykonanych. *Cuendillar* jest również znany jako prakamień.

Czerwonoręcy: Żołnierze Legionu Czerwonej Ręki, których wybrano do tymczasowych obowiązków typu policyjnego, pilnowali zatem, czy inni żołnierze Legionu nie powodują kłopotów lub szkód w jakimś mieście albo wsi. Nazwani tak ze względu na noszone podczas służby szerokie czerwone opaski naramienne, które przykrywają im prawie całe rękawy. Zwykle wybierani spośród mężczyzn doświadczonych i godnych zaufania. Odkąd za wszelkie szkody muszą płacić sami, Czerwonoręcy z całych sił starają się dopilnować spokoju i porządku. Pewna liczba byłych Czerwonorękich udała się za Matem Cauthonem do Ebou Dar. Patrz również: Legion Czerwonej Ręki.

da'covale: (1) W Dawnej Mowie termin oznaczał dosłownie „tego, kogo się posiada”, względnie „osobę, która stanowi własność”. (2) U Seanchan słowem tym często określa się niewolników. Niewolnictwo ma w przypadku tego narodu długą i niezwykłą historię, tym bardziej, że niewolnicy mieli u Seanchan prawo do zajmowania wysokich stanowisk i sprawowania władzy także nad ludźmi wolnymi. Patrz również: *so'jhin*.

der'morat: (1) W Dawnej Mowie „mistrz tresury” (2). U Seanchan przyrostek dodawany w celu wyróżnienia doświadczonego, obdarzonego wysokimi umiejętnościami tresera egzotycznych istot, osobę, która szkoli innych treserów, np. *der'morat'raken*. *Der'morat* mogą się cieszyć stosunkowo wysoką pozycją społeczną, przy czym najwyższą zajmują *der'suldam* (treserzy *sul'dam*) zaliczający się do relatywnie wysokich rangą oficerów wojskowych. Patrz również: *morat*.

Dziki Gon: Wielu ludzi wierzy, że Czarny (często nazywany Okrutnikiem albo – jak w Łzie, Illian, Murandy, Altarze oraz Ghealdan – Starym Okrutnikiem) przemierza noc, polując na dusze, w towarzystwie „czarnych psów”, zwanych też Psami Czarne. To właśnie jest Dziki Gon. Wierzy się ponadto, że sam widok Dzikiego Gonu oznacza bliską śmierć: dla obserwatora bądź też dla bliskiej mu osoby. Podobno szczególnie niebezpieczne jest spotkanie Dzikiego Gonu na skrzyżowaniu, tuż przed świtem albo zaraz po zachodzie słońca. Patrz również: Psy Czarne.

Erith: Córka Ivy córki Alar. Atrakcyjna młoda kobieta ogirska, którą Loial zamierza kiedyś poślubić, chociaż obecnie raczej przed nią ucieka.

Fain, Padan: Były Sprzymierzeniec Ciemności, obecnie ktoś jeszcze gorszy niż Sprzymierzeniec i w takim samym stopniu wróg Przeklętych, jak i Randa al'Thora, którego nienawidzi całą duszą. Ostatnio widziany w Far Madding z Toramem Riatinem.

Fel, Herid: Autor dzieła *Rozum i nierozum*, a także innych książek. Fel był studentem (i nauczycielem) historii i filozofii w Akademii Cairhien. Znalaziono go w gabinecie z oderwanymi od ciała kończynami.

Główna Urzędniczka: Tytuł przywódczyni Szarych Ajah. Stanowisko to aktualnie sprawuje w Wieży Serancha Corvine, kobieta rzekomo niezwykle drobiazgowa.

Gregorin: Pełne imię Gregorin Panar de Lushenos. Członek Rady Dziewięciu w Illian, który obecnie służy jako Zarządca Smoka Odrodzonego w Illian.

Gwardia Królowej: Elitarna formacja militarna w Andorze. W okresie pokoju Gwardia odpowiada za przestrzeganie praw Królowej i utrzymanie porządku. Gwardziści noszą czerwone kaftany, składające się z pancerza i kolczugi błyszczące zbroje, olśniewające czerwone płaszcze i stożkowe hełmy z kratowaną przyłbicą. Oficerowie wysokiej rangi noszą na ramieniu węzły rangi, na buty zaś mają prawo zakładać złote ostrogi zakończone lwimi głowami. Ostatnio Gwardię Królowej zasilila osobista straż przyboczna Dziedziczki Tronu, którą tworzą prawie wyłącznie kobiety – z wyjątkiem ich kapitana, Doilina Mellara.

Hailene: W Dawnej Mowie „Zwiastuni” albo „Ci, Którzy Przybyli Wcześniej”. Miano, jakie Seanchanie nadali wielkiemu korpusowi ekspedycyjnemu wysłanemu na drugi brzeg Oceanu Aryth w celu przeprowadzenia rekonesansu na ziemiach, którymi niegdyś władał Artur Jastrzębie Skrzydło. Obecnie *Hailene*, którymi dowodzi Wysoka Lady Suroth i których szeregi, dzięki wcieleniu rekrutów z podbitych ziem, uległy znacznemu zwielokrotnieniu, dalece powiększyli zakres swych zadań, które teraz znacznie wykraczają poza pierwotny cel. Właściwie ich rolę przejął Powrót. Patrz: *Corenne*.

Hanlon, Daved: Sprzymierzeniec Ciemności, były dowódca Białych Lwów na służbie u Przeklętego Rahvina, gdy ten, jako lord Gaebril, władał Caemlyn. Stamtąd Hanlon zabrał Białe Lwy do Cairhien z rozkazem poparcia rebelii przeciwko Smokowi Odrodzonemu. Białe Lwy rozbiła „bańka zła”, a Hanlonowi kazano wrócić do Caemlyn, gdzie jako Doilin Mellar wkradł się w łaski Elayne, Dziedziczki Tronu, a zgodnie z pogłoskami zrobił znacznie więcej, niż tylko jej się przypochlebiał.

Hierarchia Ludu Morza: Atha'an Miere, czyli Lud Morza, podlegają władzy Mistrzynie Statków Atha'an Miere, której asystują: Poszukiwaczka Wiatru Mistrzynie Statków oraz Mistrz Ostrzy. Niżej od nich stoją klanowe Mistrzynie Fal, którym również asystują Poszukiwaczki Wiatru oraz Mistrzowie Miecza. Podlegają im Mistrzynie Żagli (które są kapitanami statków) ich klanów, z których każda ma pod sobą swoją Poszukiwaczkę Wiatru i Mistrza Cargo. Poszukiwaczka Wiatru Mistrzynie Statków stoi ponad Poszukiwaczkami Wiatru Mistrzyń Fal, które z kolei mają władzę nad Poszukiwaczkami Wiatru Mistrzyń Żagli swoich klanów. Podobnie Mistrz Ostrzy pełni władzę nad

wszystkimi Mistrzami Mieczy, a ci z kolei nad Mistrzami Cargo swoich klanów. Rangi wśród Ludu Morza nie są dziedziczne. Mistrzini Statków jest wybierana dożywotnio przez Dwanaście Pierwszych Atha'an Miere, czyli dwanaście najstarszych klanowych Mistrzyń Fal. Z kolei klanowa Mistrzini Fal jest wybierana przez dwanaście najstarszych Mistrzyń Żagli swego klanu, zwanych po prostu Dwunastoma Pierwszymi, którym to terminem wyróżnia się również najstarsze Mistrzynie Żagli. Taką przywódczynią może usunąć ze stanowiska drogą głosowania te same Dwanaście Pierwszych. Właściwie każdego oprócz Mistrzini Statków można zdegradować, nawet do stanowiska majtka pokładowego, za nadużycie władzy, tchórzostwo albo inne przewinienia. Ponadto Poszukiwaczka Wiatru pod Mistrzinią Fal względnie Mistrzinią Statków, która umrze, musi przejść na służbę u kobiety niższej rangą i tym samym sama przechodzi na niższe stanowisko.

Iluminatorów, Gildia: Społeczność, która przechowuje tajemnicę wytwarzania fajerwerków. Tajemnica strzeżona jest tak ściśle, że jej zdrajca może nawet zostać zabity. Iluminatorzy przyjęli swe miano od wielkich przedstawień zwanych Iluminacjami, które przygotowują dla władców lub najznacześniejszych arystokratów. Mniej okazałe fajerwerki sprzedawane są na wolnym rynku, zawsze jednak z dołączeniem ścisłej instrukcji i ostrzeżenia przed nieszczęściem, jakie może wyniknąć z próby zbadania, co znajduje się w środku. Kiedyś Gildia posiadała kapitularze w Cairhien i Tanchico, jednak obecnie oba zostały zniszczone. W dodatku członkowie Gildii w Tanchico zbuntowali się przeciwko najazdowi Seanchan. Tych, którzy przeżyli, Seanchanie zmienili w *da'covale*, toteż Gildia jako taka już nie istnieje. Poszczególni Iluminatorzy jednakże uciekli spod seanchańskich rządów, więc może w niezbyt odległej przyszłości odbędą się jednak większe pokazy. Patrz również: *da'covale*.

Ishara: Pierwsza Królowa Andoru (około 994-1020 WR). Tuż po śmierci Artura Jastrzębie Skrzydło przekonała swego męża, jednego z najwybitniejszych generałów Jastrzębiego Skrzydła, ażeby przerwał oblężenie Tar Valon i towarzyszył jej do Caemlyn z tyłoma żołnierzami, ilu zdoła oderwać od armii. Tak więc w czasach, gdy inni usiłowali przejąć całe imperium Artura Jastrzębie Skrzydło i oczywiście przegrywali, Ishara ujęła żelazną dłońią niewielką część i odniosła zwycięstwo. Obecnie niemal wszyscy przedstawiciele arystokratycznych Domów Andoru mają w sobie jakąś domieszkę krwi Ishary i prawo do zasiadania na Tronie Lwa zależy zarówno od tego, czy w danym Domu jest jej bezpośredni potomek, jak i od liczby łączących z nią więzi pokrewieństwa, jakie da się ustalić.

Kaensada: Obszar wzgórz w Imperium Seanchan, zamieszkały przez barbarzyńskie plemiona, które nieustannie toczą z sobą wojny. Stale walczą z sobą także poszczególne rodziny. Plemiona różnią się obyczajami oraz tabu, które dla osób spoza plemienia często nie mają najmniejszego sensu. Większość barbarzyńców unika bardziej cywilizowanych mieszkańców seanchańskiego Imperium.

kalendarz: Tydzień składa się z dziesięciu dni, miesiąc z dwudziestu ośmiu dni, a rok z trzynastu miesięcy. Kilka świąt nie należy do żadnego z miesięcy; są to Niedziela (najdłuższy dzień w roku), Święto Dziękczynienia (przypada raz na cztery lata podczas wiosennego zrównania dnia z nocą) oraz Święto Zbawienia Wszystkich Dusz, zwane również Dniem Wszystkich Dusz (przypada raz na dziesięć lat podczas jesienno-zimowego zrównania dnia z nocą). Chociaż miesiące posiadają nazwy – Taisham, Jumara, Saban, Aine, Adar, Saven, Amadaine, Tammaz, Maigdhall, Choren, Shaldine, Nesan i Danu – używa się ich rzadko oprócz oficjalnych dokumentów i wypowiedzi urzędników. Większości ludziom wystarczą nazwy pór roku.

Kapitan-General: (1) Wojskowy stopień przywódcy Gwardii Królowej w Andorze. Funkcję tę pełni obecnie Lady Birgitte Trahelion. (2) Tytuł przywódczyni Zielonych Ajah, chociaż znany tylko członkiniom Zielonych. Stanowisko to aktualnie pełni Adelorna Bastine w Wieży, zaś wśród

buntowniczek Aes Sedai skupionych wokół Egwene al'Vere – Myrelle Berengan.

Kapitan Lansjerów: W większości krajów w normalnych okolicznościach szlachcianki nie prowadzą osobiście swych zbrojnych do bitwy. Zamiast tego najmują zawodowego, niemal zawsze wywodzącego się z gminu, żołnierza, który jest odpowiedzialny za szkolenie zbrojnych i jednocześnie nimi dowodzi. W zależności od danego kraju człowiek taki nosi tytuł Kapitana Lansjerów, Kapitana Miecza, Mistrza Koni, względnie Mistrza Lanc. Niejednokrotnie, być może nieuchronnie, rodzą się w związku z tym pogłoski o związkach bliższych niż między lady a sługą. Niekiedy te pogłoski są prawdziwe.

Kapitan Miecza: Patrz: Kapitan Lansjerów.

Katar: Miasto w Arad Doman znane ze swoich kopalń i kuźni. Katar jest na tyle bogaty, że jego Lordom czasami trzeba przypominać, że miasto stanowi część Arad Doman.

Konsolidacja: Kiedy armie wysłane przez Artura Jastrzębie Skrzydło pod dowództwem jego syna Luthaira wylądowały w Seanchan, odkryły tam wielki tygiel narodów, często pozostających z sobą w stanie wojny, toteż często stery rządów przejmowały tam Aes Sedai. Aes Sedai, którym brakowało odpowiednika Białej Wieży, dążąc do zdobycia indywidualnej władzy, wykorzystywały Moc. Siostry te tworzyły niewielkie ugrupowania, które bezustannie przeciwko sobie knuły. W większej części to właśnie owe nieustanne spiski, mające na celu osiągnięcie osobistych korzyści i wynikłe z nich, angażujące niezliczoną liczbę państw, wojny pozwoliły armiom ze wschodniego wybrzeża Oceanu Aryth rozpocząć podbój całego kontynentu, dokończony przez ich potomków. Podbój ten, podczas którego potomkowie pierwotnych armii – w miarę, jak podbijali Seanchan – sami stawali się Seanchanami, trwał ponad dziewięćset lat i ostatecznie nazwano go Konsolidacją.

Kółko Dziewiarskie: Zrzesza przywódczyni Rodziny. Żadna z członkiń Rodziny nigdy nie poznała zasady, na bazie której Aes Sedai tworzą swoją hierarchię – ta wiedza jest przekazywana dalej dopiero wtedy, gdy dana Przyjęta zda swoje sprawdziany do szala – dlatego więc zupełnie nie interesuje ich siła w posługiwaniu się Mocą, przykładają za to wielką wagę do wieku, przy czym starsze kobiety zawsze stoją ponad młodszymi. Kółko Dziewiarskie (wybrano taką nazwę, bo podobnie jak Rodzina brzmi niewinnie) składa się z trzynastu najstarszych Kuzynek mieszkających w Ebou Dar, na ich czele zaś stoi Najstarsza. Zgodnie z przyjętymi zasadami wszystkie będą musiały ustąpić ze stanowisk, gdy nadejdzie pora na zmianę miejsca pobytu, dopóki jednak są mieszkankami Ebou Dar, dopóty sprawują nadrzędną władzę nad Rodziną, w stopniu, którego mogłaby im pozazdrościć dowolna Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Patrz również: Rodzina.

Krew: Termin, którym Seanchanie określają swoją arystokrację. Istnieją stopnie szlachetności wśród członków Krwi. Przedstawiciele Szlachetnej Krwi gołą sobie boki głów i malują paznokcie – im lepiej ktoś urodzony, tym więcej paznokci ma pomalowanych – jednak członkom mniej znaczącej szlachty, zwanej pomniejszą Krwią, wolno sobie malować tylko paznokcie małych palców. Można należeć do Krwi z urodzenia, ale także zostać do niej wyniesionym, co często stanowi nagrodę za wybitne osiągnięcia bądź też zasługi dla Imperium.

Legion Czerwonej Ręki: Patrz: Shen an Calhar.

Legion Smoka: Duża formacja militarna złożona wyłącznie z przedstawicieli piechoty, którzy poprzysięgli lojalność Smokowi Odrodzonemu i których szkoli Davram Bashere zgodnie z opracowanymi przez niego i Mata Cauthona założeniami. Rola Legionu mocno odbiega od tej, jaką zazwyczaj przypisuje się piechocie. Choć sporo mężczyzn zwyczajnie zgłasza się na ochotnika, wielkie rzesze kandydatów zgarniają grupy werbunkowe z Czarnej Wieży, które najpierw gromadzą wszystkich pragnących się przyłączyć do Smoka Odrodzonego mężczyzn z danego obszaru, a potem przenoszą ich przez bramy w okolice Cairhien, gdzie z kolei z ich grupy wyławiają tych, których

można uczyć przenoszenia Mocy. Pozostałych, których jest zresztą znacznie więcej, odsyła się do obozów szkoleniowych Bashere'a.

Magazyn: Dział Biblioteki Wieży. Powszechnie znanych jest dwanaście Magazynów, w każdym znajdują się książki i zapiski odnoszące się do jakiegoś szczególnego tematu albo do dziedzin sobie pokrewnych. Trzynasty Magazyn, znany tylko Aes Sedai, zawiera tajne dokumenty, zapiski i historie, które mogą przeglądać jedynie Zasiadająca na Tronie Amyrlin, Opiekunka Kronik, Zasiadająca w Komnacie Wieży, no i oczywiście garść bibliotekarek, które opiekują się Trzynastym Magazynem.

marath'damane: W Dawnej Mowie „te które trzeba wziąć na smycz”. Termin stosowany przez Seanchan wobec wszystkich kobiet zdolnych do przenoszenia Mocy, którym jeszcze nie założono obroży *damane*.

Mądra: Tytuł nadawany w Ebou Dar kobietom słynącym z niezwykłych umiejętności uzdrawiania niemal każdej dolegliwości. Zgodnie z tradycją Mądre wyróżniają się czerwonymi pasami. Mimo iż już zauważono, że wiele czy wręcz większość Mądrych eboudarianek nawet nie pochodzi z Altary, a tym bardziej z Ebou Dar (który to fakt jeszcze do niedawna pozostawał nieznanym), to jednak zaledwie nieliczni wiedzą, że wszystkie Mądre są w rzeczywistości członkiniami Rodziny, praktykującymi rozmaite odmiany Uzdrawiania, a swe zioła i maści rozdają jedynie dla pozorów. Od czasu ucieczki Rodziny z Ebou Dar, gdy Seanchanie zajęli miasto, nie ma tam żadnej Mądrej. Patrz również: Rodzina.

Mera'din: W Dawnej Mowie „Pozbawieni Braci”. Nazwa przyjęta przez tych Aielów, którzy porzucili swój klan i szcep, po czym przyłączyli się do Shaido, ponieważ albo nie potrafili zaakceptować Randa al'Thora, człowieka z bagien, jako *Car'a'carna*, albo dlatego, że nie chcieli uznać rewelacji dotyczących historii i pochodzenia Aielów. Opuszczenie klanu i szczepu z dowolnego powodu jest u Aielów występkiem zasługującym na potępienie, z tego też względu odrzuceni przez społeczności wojowników Shaido zorganizowali się w społeczność „Pozbawionych Braci”.

miary odległości: 10 cali = 1 stopa; 3 stopy = 1 krok; 2 kroki = 1 piędź; 1000 piędzi = 1 mila; 4 mile = 1 liga.

miary wag: 10 uncji = 1 funt; 10 funtów = 1 kamień; 10 kamieni = 1 cetnar; 10 cetnarów = 1 tona.

Młodzi: Pierwsi z nich, chłopcy i młodzi mężczyźni, przybyli do Białej Wieży szkolić się u Strażników. Później walczyli ze swoimi nauczycielami, którzy usiłowali uwolnić usuniętą z Tronu Amyrlin Siuan Sanche. Pozostali lojalni wobec Białej Wieży i pod kierownictwem Gawyna Trakanda toczyli bitwy przeciwko Białym Płaszczom dowodzonym przez Eamona Valde, a także towarzyszyli delegacji Elaidy do Smoka Odrodzonego w Cairhien i brali udział w akcji przeciwko Aielom i Asha'manom pod Studniami Dumai. Po swoim powrocie do Tar Valon odkryli, że nie mają już wstępu do miasta.

Młodzi noszą zielone kaftany z Białym Niedźwiedziem, godłem Gawyna. Ci, którzy walczyli ze swoimi nauczycielami w Tar Valon, wpinają w kołnierze małą srebrną wieżę. Gdziekolwiek się znajdują, chętnie przyjmują rekrutów, nie są jednak zainteresowani weteranami ani ludźmi starszymi. Stawiają tylko jeden warunek – rekrut musi zapomnieć o lojalności wobec wszystkich, z wyjątkiem Młodych. Odkąd Strażnicy przestali im udzielać rad, starsi członkowie grupy uczą nowych techniki i strategii. Kilku Młodych odmówiło Aes Sedai propozycji połączenia się więzią. W pewnym sensie wydają się ledwie związani z Wieżą i Aes Sedai. Jest to częściowo efekt ich podejrzeń, że mieli w ogóle nie przeżyć wyprawy do Cairhien.

Mistrz Koni: Patrz: Kapitan Lansjerów.

Mistrz Lanc: Patrz: Kapitan Lansjerów.

morat: W Dawnej Mowie „treser”. Wśród Seanchan używa się tego terminu na określenie osób ujeżdżających egzotyczne stworzenia, na przykład potocznie zwanych awiatorami *morat'raken*, dosiadających *rakenów*. Patrz również: *der'morat*.

Niebiańskie Pięści: Lekko uzbrojona i odziana w lekkie zbroje piechota seanchańska, którą do bitwy dowożą na grzbietach latające stwory zwane *to'rakenami*. Przedstawiciele Niebiańskich Pięści to mężczyźni lub kobiety niskiego wzrostu, wybierani głównie ze względu na ograniczenie ciężaru, jaki *to'raken* może przenieść na daną odległość. Uważani za najbardziej wytrzymałych żołnierzy, są wykorzystywani głównie podczas najazdów, ataków z zaskoczenia na tyły wroga, a także w sytuacjach, gdy trzeba jak najprędzej dostarczyć gdzieś żołnierzy.

Obrońcy Kamienia: Elitarna formacja wojskowa z Łzy. Obecny Kapitan Kamienia (dowódcą Obrońców) jest Rodrivar Tihera. W szeregi Obrońców przyjmowani są jedynie Tairenianie, przy czym ich kadra oficerska wywodzi się zazwyczaj ze szlachty, aczkolwiek często są to przedstawiciele ostatnich Domów, względnie bocznych gałęzi Domów najznamienitszych. Do zadań Obrońców należy utrzymywanie Kamienia Łzy, ogromnej fortecy usytuowanej w samym sercu miasta Łza, ochrona całego miasta oraz pełnienie funkcji właściwych policji w zastępstwie Straży Miejskiej i innych tego typu formacji. Obowiązki rzadko kiedy odciągają ich daleko od miasta, z wyjątkiem okresu wojny. Wówczas to razem z innymi elitarnymi jednostkami Obrońcy Kamienia stanowią swoisty rdzeń, wokół którego tworzy się armię. Ich uniformy składają się z czarnych kaftanów z zakończonymi czarnymi mankietami, watowanymi rękawami w czarno-złote paski, polerowanych napierśników oraz hełmów z wygiętym brzeżkiem i stalową kratownicą. Kapitan Kamienia nosi trzy krótkie białe pióra przy hełmie, a przy mankietach trzy splecione złote warkoczki na białym pasku. Kapitanowie wyróżniają się dwoma białymi piórami i pojedynczym złotym warkoczkiem na białych mankietach, porucznicy – jednym białym piórem i pojedynczym czarnym warkoczkiem na białych mankietach, podporucznicy zaś jednym krótkim piórem czarnej barwy i zwykłymi białymi mankietami. Chorążowie mają złote mankiety, a dowódcy oddziałów mankiety w czarno-złote paski.

osa wodna: Mały wodny owad. Wygląda jak stworzony z galaretki, lecz jego użądlenia bywają bardzo dokuczliwe.

Pani Cieni: Seanchańskie określenie śmierci.

Pierwsza Analizatorka: Tytuł przywódczyni Białych Ajah. Stanowisko to w Białej Wieży piastuje aktualnie Ferane Neheran. Ferane Sedai jest jedną z dwóch przywódczyń Ajah, które zasiadają obecnie w Komnacie Wieży.

Pierwsza Tkaczka: Tytuł przywódczyni Żółtych Ajah. Stanowisko to w Białej Wieży zajmuje aktualnie Suana Dragand. Suana Sedai jest jedną z dwóch przywódczyń Ajah, które zasiadają obecnie w Komnacie Wieży.

Poszukujący: Mniej formalna nazwa Poszukujących Prawdy, policyjno-spiegowskiej organizacji Imperialnego Tronu Seanchan. Chociaż większość Poszukujących jest *da'covale* i stanowi własność rodziny cesarskiej, posiadają oni wielką władzę. Nawet przedstawiciel Krwi może zostać aresztowany za odmowę udzielenia odpowiedzi na pytanie Poszukującego lub pełnej współpracy z nim; zakres tej ostatniej definiowany jest przez samych Poszukujących i podlega wyłącznie kontroli Cesarzowej. Ci Poszukujący, którzy są *da'covale*, mają na obu ramionach wytatuowanego kruka i wieżę. W przeciwieństwie do Straży Skazańców, Poszukujący rzadko

wykazują chęć pokazywania swoich tatuaży, po części dlatego, że muszą w ten sposób ujawnić, kim i czym są.

Powrót: Patrz: *Corenne*.

Prorok: Bardziej rozbudowana forma tego miana to Prorok Lorda Smoka. Tytuł, jaki przypisał sobie Masema Dagar, były shienarański żołnierz, który doznał objawienia i stwierdził, że został powołany do szerzenia na świecie nauk o Smoku Odrodzonym i jego Powtórnych Narodzinach. Wierzy, że nic – absolutnie nic – nie jest ważniejsze od uznania Smoka Odrodzonego za ucieleśnienie Światłości i gotowości do odpowiedzi na jego wezwanie. Głosi ponadto, że on sam i jego wyznawcy użyją wszelkich dostępnych środków, starając się zmusić innych do opiewania chwały Smoka Odrodzonego. Wyrzekłszy się wszelkich innych imion oprócz „Proroka”, Masema sprowadził chaos na Ghealdan i Amadicię, których spore obszary znalazły się pod jego kontrolą. W pewnym momencie Prorok połączył się z Perrinem Aybarą, którego wysłano, ażeby zaprowadził go do Randa, i z niewiadomych przyczyn pozostał z nim, chociaż z tego powodu opóźnia swoje pójście do Smoka Odrodzonego.

Przekłęci: Przydomek nadany trzynastu najpotężniejszym mężczyznom i kobietom Aes Sedai, którzy przeszli na stronę Cienia podczas Wieku Legend i dali się schwytać w pułapkę, kiedy na mury więzienia Czarnego nałożono pieczęcie. Mimo iż od dawna uważani są za jedynych, którzy wyparli się Światłości podczas Wojny z Cieniem, w rzeczywistości byli też inni; tych trzynastu to jedynie najwyżsi rangą wśród wszystkich. Przekłęci (którzy sami siebie nazywają Wybranymi) zostali od czasu swego przebudzenia zredukowani liczebnie. Wiadomo, że przy życiu pozostali Demandred, Semirhage, Graendal, Mesaana, Moghedien oraz dwoje takich, którzy otrzymali nowe ciała i nowe imiona: Osan’gar i Aran’gar, chociaż nie ma pewności, czy Osan’gar nadal żyje. Zresztą w przypadku Przeklętych także stuprocentowa pewność w tej kwestii nie istnieje. Ostatnimi czasy ujawnił się również mężczyzna imieniem Moridin i niewykluczone, że jest on kolejnym Przeklętym, przywołanym z grobu przez Czarnego. To samo być może dotyczy kobiety, która przedstawia się jako Cyndane, ale w związku z tym, że Aran’gar to dawniej mężczyzna obecnie wskrzeszony jako kobieta, wszelkie spekulacje odnośnie tożsamości Moridina i Cyndane mogą się okazać jałowe, dopóki nie wyjdą na jaw jakieś bliższe szczegóły.

Psy Czarnego: Pomiot Cienia utworzony na bazie genów psich, zniekształconych przez Czarnego. Mimo iż w swoim podstawowym kształcie przypominają zwykłe psy, są ciemniejsze niż noc i wielkie niczym kuce, a ważą po kilkaset funtów każdy. Zwykle biegają w stadach po dziesięć czy dwanaście osobników, chociaż widywano ślady większych grup. Nie zostawiają wprawdzie odcisków na miękkim gruncie, jednak pozostawiają je na kamieniu. Śladom tym często towarzyszy zapach spalonej siarki. Psy Czarnego zwykle nie ryzykują wyjścia w deszcz, lecz gdy już biegną, nic nie może ich zatrzymać. Kiedy raz podążą tropem jakiejś ofiary, nie spoczną, póki jej nie zabiją, chyba że zostaną wcześniej pokonane i wybite. Ścigany może im umknąć tylko w jeden sposób, a mianowicie pokonując rzekę lub szeroki strumień, ponieważ Psy Czarnego nigdy nie wchodzi do płynącej wody. Tak się w każdym razie przypuszcza. Ich krew i ślina stanowią truciznę, która po zetknięciu ze skórą powoduje u ofiary powolną i niezwykle bolesną śmierć. Patrz również: *Dziki Gon*.

Rodzina: Nawet podczas Wojen z Trollokami, przed ponad dwoma tysiącami lat (ok. 1000-1350 OP), Biała Wieża w dalszym ciągu przestrzegała swoich standardów, usuwając kobiety, którym nie udało się ich wypełnić. Grupa takich właśnie kobiet, które bały się wrócić do domu w samym środku wojen, uciekła do Barashty (w pobliżu obecnego Ebou Dar), miejsca w owych czasach najbardziej oddalonego od pola walk. Nazwały swe ugrupowanie Rodziną, a siebie Kuzynkami i

pozostały w ukryciu, oferując usuniętym z Wieży bezpieczną przystań. Z czasem za sprawą związków z kobietami, którym nakazano opuszczenie Wieży, Rodzina zaczęła nawiązywać kontakty z uciekinierkami i z sobie tylko znanych powodów przyjmować je w swoje szeregi. Dokładały przy tym wielkich starań, by te kobiety nie dowiadywały się niczego na temat Rodziny, póki nie istniała pewność, że Aes Sedai nie zechcą ich odebrać. Jakby nie było, powszechnie wiadano, że uciekinierki są prędzej czy później wyłapywane, Rodzina zaś zdawała sobie sprawę, że musi utrzymywać fakt swego istnienia w sekrecie, bo inaczej spotka jej członkinie sroga kara.

Nieznane Rodzinie Aes Sedai z Wieży wiedziały o jej istnieniu niemal od samego początku, niemniej ciąg wojen nie pozwalał siostronom na zajęcie się nią. Pod koniec wojen Wieża zrozumiała, że zniszczenie Rodziny nie leży w jej interesie. Tuż przedtem – wbrew oficjalnie rozgłaszanym twierdzeniom Wieży – większości uciekinierek rzeczywiście udało się zbiec, ale odkąd Rodzina zaczęła im pomagać, przedstawicielki Wieży wiedziały dokładnie, dokąd kieruje się zbiegła kobieta i zaczęły przechwytywać dziewięć kobiet na każde dziesięć. Jako że Kuzynki wyprowadzały się i wprowadzały do Barashty (a później z i do Ebou Dar), starając się ukryć swoje istnienie oraz dokładną liczbę i nigdy nie pozostając w jednym miejscu dłużej niż dziesięć lat (o ile ktoś wcześniej nie zauważył, że nie starzeją się w normalnym tempie), Wieża sądziła, że jest ich niewiele, a one starały się nie rzucać w oczy. Pragnąc wykorzystać Rodzinę do chwywania uciekinierek w swego rodzaju pułapkę, Wieża postanowiła zostawić je w spokoju – w odróżnieniu od innych istniejących w danym momencie historii tego typu ugrupowań – a także utrzymywać fakt istnienia Rodziny w sekrecie, znanym jedynie pełnym Aes Sedai.

Seandar: Stolica Imperium Seanchan, ulokowana na północnym wschodzie seanchańskiego kontynentu. Jest to również największe miasto w Imperium.

sei'mosiev: W Dawnej Mowie „spuszczony wzrok”. Wśród Seanchan powiedzenie o kimś, że „stał się *sei'mosiev*”, oznacza, że „stracił twarz”. Patrz również: *sei'taer*.

sei'taer: W Dawnej Mowie „szczyry wzrok” albo „równy wzrok”. U Seanchan określenie to odnosi się do honoru albo twarzy, a także do zdolności spojrzenia komuś w oczy. Można „być” albo „mieć” *sei'taer*, co oznacza, że ktoś ma honor i zachowuje twarz, można też „zyskać” albo „stracić” *sei'taer*. Patrz również: *sei'mosiev*.

serce: Podstawowa jednostka organizacyjna u Czarnych Ajah, inaczej mówiąc – komórka. Serce składa się z trzech sióstr, które znają tylko dwie pozostałe; każda członkini serca zna jeszcze dodatkowo jedną inną Czarną siostrę.

Shara: Tajemnicza kraina, leżąca na wschód od Pustkowia Aiel. Dostęp do niej utrudniony jest zarówno z powodu niegościnnego ukształtowania terenu, jak i przez warowne mury przybrzeżnych miast. Niewiele o niej wiadomo, gdyż jej mieszkańcy całkowicie chronią swoją ziemię i kulturę przed wszelkimi ewentualnymi kontaktami z obcymi. Sharianie powtarzają często, że nawet Wojny z Trollokami bezpośrednio ich nie dotknęły, z czym nie zgadzają się Aielowie. Mieszkańcy Shary konsekwentnie wypierają się też wszelkiej wiedzy o ataku floty Artura Jastrzębie Skrzydło, wbrew relacjom naocznych świadków spośród Ludu Morza. Według ostatnio zdobytych informacji krajem rządzi jeden monarcha absolutny, zwany Sh'boan (jeśli jest kobietą) bądź Sh'botay (jeśli jest mężczyzną). Monarcha ów sprawuje rządy przez siedem lat, przy końcu siódmego roku zaś umiera, a władza przechodzi wówczas na jego współmałżonka, który wybiera sobie nowego partnera i rządzi przez następne siedem lat, aż do swojej śmierci. Wzorec ten najwyraźniej przetrwał bez zmian od czasu Pęknięcia Świata. Sharianie wierzą, że śmierć władcy odbywa się z „Woli Wzoru”.

W Sharze mieszkają osoby ze zdolnością do przenoszenia Mocy, nazywane Ayyadami, którzy tuż po urodzeniu mają tatuowane twarze. Kobiety w tej społeczności posiadają znacznie więcej praw niż

mężczyźni. Kontakty seksualne Ayyadów z osobami nie potrafiącymi przenosić Mocy są karane śmiercią nie-Ayyada, ale także Ayyada, jeśli udowodni się mu (czy jej), że zmusił partnera (lub partnerkę) do zbliżenia. Dzieci zrodzone z takich związków są zabijane poprzez wystawienie na działanie żywiołów. Mężczyzn traktuje się przede wszystkim jako reproduktorów dla obdarzonych Mocą kobiet. Kiedy młodzieniec osiąga dwudziesty pierwszy rok życia – lub wcześniej, jeśli zaczyna wykazywać zdolności do przenoszenia Mocy – zostaje zabity, a jego ciało poddane kremacji. Ayyadowie najprawdopodobniej przenoszą Jedyne Moc tylko na rozkaz Sh'boan lub Sh'botay. Władcę zawsze otaczają Ayyadki.

„Shara” to tylko jedna z licznych nazw tej krainy. Wiadomo, że jej mieszkańcy określają ją także licznymi innymi mianami, takimi jak Shamara, Co'dansin, Tomaka, Kigali i Shibouya.

Shen an Calhar: W Dawnej Mowie „Legion Czerwonej Ręki”. (1) Legendarna grupa bohaterów, którzy po dokonaniu wielu bohaterskich wyczynów polegli w obronie Manetheren, kiedy owa kraina została zniszczona podczas Wojen z Trollokami. (2) Formacja militarna założona niemal przypadkiem przez Mata Cauthona i zorganizowana zgodnie z założeniami dla formacji wojskowych, przyjętymi w okresie uznanym za szczyt rozkwitu sztuki militarnej, to znaczy w czasach panowania Artura Jastrzębie Skrzydło i poprzedzających je wiekach. Patrz również: Czerwonoręcy.

Sisnera, Darlin: Wysoki Lord Łzy, który dawniej buntował się przeciwko Smokowi Odrodzonemu, teraz jednak służy jako Zarządca Smoka Odrodzonego w Łzie.

Skrzydłata Gwardia: Osobista ochrona Pierwszych z Mayene i elitarna formacja militarna Mayene. Członkowie Skrzydlatej Gwardii noszą polakierowane na czerwono napierśniki, czerwone hełmy w kształcie przypominającym garnki z wywiniętymi krawędziami i okapami zakrywającymi cały kark oraz lance z czerwonymi wstążkami. Na bokach hełmów oficerów znajdują się skrzydełka, a na ich stopień wojskowy wskazują smukłe pióra.

so'jhin: Najbliższym tłumaczeniem tego terminu z Dawnej Mowy będzie „szczyt pośród nizin”, aczkolwiek niektórzy przekładają ów termin także jako „zarówno niebo, jak i dolina” lub jeszcze inaczej. Słowem *so'jhin* w Seanchan określa się dziedzicznych służących pełniących ważne funkcje. Są to *da'covale*, czyli niewolnicy, aczkolwiek zajmują wysokie stanowiska, dzięki którym sprawują władzę nad innymi. Nawet Krew stąpa ostrożnie przy *so'jhin* przedstawicieli rodziny cesarskiej, a *so'jhin* Cesarzowej traktuje jak sobie równych. Patrz również: Krew; *da'covale*.

Sondowanie: (1) Umiejętność wykorzystywania Jedynej Mocy w diagnozowaniu stanu fizycznego oraz choroby. (2) Umiejętność korzystania z Jedynej Mocy do wyszukiwania rud metali. Aes Sedai dawno temu zatraciły tę ostatnią umiejętność i być może tym należy tłumaczyć fakt, iż jej nazwę przeniesiono na inną.

Straż Skazańców: Elitarna formacja militarna Imperium Seanchańskiego, w której służą zarówno ludzie, jak i ogirowie. Wszyscy ludzie służący w Straży są *da'covale*, urodzeni jako czyjaś własność i za młodu wybrani do służby na rzecz Cesarzowej, w której posiadanie od tego momentu przechodzą. Fanatycznie lojalni i bezprzykładnie dumni, często chełpią się wytatuowanymi na ramionach krukami, czyli znakiem *da'covale* Cesarzowej. Ogirowie ze Straży są znani jako Ogrodnicy i ci nie są *da'covale*. Ogródniccy są tak samo niezłomnie lojalni jak ludzie ze Straży Skazańców, a budzą lęk jeszcze większy niż jej ludzcy przedstawiciele. Zarówno ludzie, jak i ogirowie ze Straży Skazańców nie tylko są gotowi umrzeć za Cesarzową i przedstawicieli rodziny cesarskiej, ale także wierzą, że ich życie stanowi własność Cesarzowej, która może się ich pozbyć, jeśli tylko zechce. Ich hełmy i zbroje są lakierowane na kolory ciemnozielony i krwiście czerwony, tarcze zaś na czarno; włócznie i miecze zdobione są czarnymi chwostami. Patrz również: *da'covale*.

Synowie Światłości: Społeczność wyznająca surowe, ascetyczne reguły, powstała w celu

pokonania Czarnego i zniszczenia wszystkich Sprzymierzeńców Ciemności. Grupa założona podczas Wojny Stu Lat przez Lothaira Mantelara w celu nawracania rosnących rzesz Sprzymierzeńców Ciemności, podczas wojny przekształciła się w organizację całkowicie militarną, nadzwyczaj sztywno trzymającą się swych reguł oraz zrzeszającą ludzi absolutnie przekonanych, że tylko oni znają prawdę i prawo. Synowie Światłości nienawidzą Aes Sedai, uważając je i wszystkich, którzy je popierają albo się z nimi przyjaźnią, za Sprzymierzeńców Ciemności. Pogardliwie nazywani Białymi Płaszczami, mieli niegdyś siedzibę w Amadorze (Amadicia), skąd zostali wyrzuceni, gdy miasto zdobyli Seanchanie. Ich godłem jest promieniste słońce na białym tle. Patrz również: Śledczy.

Śledczy: Społeczność należąca do Synów Światłości. Sami określają się mianem Ręki Światłości, a ich celami, na które składają przysięgę, jest odkrywanie prawdy na drodze dysput oraz demaskowanie Sprzymierzeńców Ciemności. W poszukiwaniu prawdy i Światłości ich normalną metodą prowadzenia śledztwa jest stosowanie tortur. Zazwyczaj z góry znają prawdę, więc usiłują jedynie zmusić przesłuchiwanego nieszczęśnika do jej wyznania. Czasami zachowują się tak, jakby działali całkowicie niezależnie od Synów Światłości i Rady Namaszczonych, która przewodzi Synom. Przywódcą Śledczych jest Czcigodny Inkwizytor, obecnie Rhadam Asunawa, który zasiada w Radzie Namaszczonych, natomiast ich godłem kij pasterski barwy krwi.

Taborwin, Breane: Kiedyś znudzona arystokratka z Cairhien. Później straciła bogactwo i pozycję, toteż obecnie jest jedynie służącą. Pozostaje w poważnym związku z mężczyzną, którym kiedyś gardziła.

Taborwin, Dobraine: Lord z Cairhien. Obecnie służy jako Zarządca Smoka Odrodzonego w Cairhien.

Tarabon: Duży kraj nad Oceanem Aryth. Niegdyś wielki naród handlowy, główny dostawca pięknych pledów, barwników, fajerwerków dla Gildii Iluminatorów i innych luksusowych towarów, który jednak ostatnimi czasy przeżywa trudny okres. Kraj ten, nękany przez anarchię i wojnę domową, spowodowane równoczesną batalią przeciwko Arad Doman i Wyznawcom Smoka, bez trudu przejęli Seanchanie, którzy obecnie rządzą Tarabonem mocną ręką. Zniszczona została kapituła Gildii Iluminatorów, a większość samych Iluminatorów Seanchanie uczynili swoimi *da'covale*. Przeważająca część Tarabonian wydaje się odczuwać wdzięczność wobec najeźdźców za przywrócenie porządku, a ponieważ Seanchanie pozwalają im żyć tak jak dotąd i ich ingerencja jest jedynie minimalna, mieszkańcy tej krainy nie wydają się pragnąć kolejnej wojny, mającej na celu próbę usunięcia agresorów ze swojego państwa. Niektórzy taraboniańscy lordowie i żołnierze pozostają jednakże poza strefą wpływów Seanchan i mają nadzieję odzyskać kiedyś swoje ziemie.

Towarzysze: Elitarna formacja wojskowa z Illian, którą obecnie dowodzi Pierwszy Kapitan Demetre Marcolin. Towarzysze pełnią straż przyboczną przy Królu Illian oraz strzegą strategicznych punktów na terenie całego kraju. Ponadto, zgodnie z tradycją, podczas bitwy atakują najsilniejsze pozycje wroga, szukają jego słabych stron, a także – w razie konieczności – osłaniają ewentualny odwrót Króla. W odróżnieniu od innych tego typu elitarnych formacji, w tej cudzoziemcy sanie tylko mile widziani (tzn. z wyjątkiem Tairenian, Altaran i Murandian), ale mogą nawet awansować i zdobywać wysokie rangi, podobnie zresztą jak ludzie z gminu, co również jest niezwykle. Uniformy noszone przez Towarzyszy składają się z zielonych kaftanów, napierśników ozdobionych Dziewięcioma Pszczołami Illian oraz stożkowatymi hełmami. Pierwszy Kapitan nosi na mankietach kaftana po cztery pierścienie ze złotej plecionki i trzy cienkie złote pióra przy hełmie. Drugi Kapitan wyróżnia się trzema pierścieniami ze złotej plecionki oraz trzema złotymi piórami o zielonych czubkach. Mankiety poruczników zdobią dwa złote pierścienie, ich hełmy zaś dwa cienkie zielone pióra, podporucznicy otrzymują jeden złoty pierścień i jedno zielone pióro. Chorążowie noszą dwa

przecięte żółte pierścienie i jedno żółte pióro, dowódcy oddziałów natomiast jeden przecięty żółty pierścień.

waluta: Po wielu wiekach handlu standardowe terminy dla monet ujednoliciły się we wszystkich krajach: używa się zatem koron (największych monet pod względem wielkości), marek i pensów. Korony i marki są bite ze złota lub srebra, podczas gdy pensy mogą być srebrne bądź miedziane; te ostatnie często nazywa się po prostu miedziakami. Na różnych ziemiach jednakże wielkość i waga monet może znacznie odbiegać od siebie, nawet w jednym państwie zresztą różni władcy bili monety o różnych rozmiarach i ciężarze. Dzięki handlowi monety wielu narodów można znaleźć prawie na całym świecie. Z tego też względu bankierzy, lichwiarze oraz kupcy ważą je i w ten sposób określają ich wartość; waży się nawet duże ilości monet. Jediną papierową walutę stanowią „listy kredytowe”, które wydają bankierzy i które przedstawiają sobą pewną gwarantowaną ilość złota albo srebra. Z powodu wielkich odległości między miastami, długość czasu potrzebną na podróż z jednej miejscowości do innej oraz trudności związane z transakcjami na tak wielki dystans, listy kredytowe są akceptowane w pełnej wartości jedynie w mieście blisko banku, który je wydał, natomiast w dalej położonych miejscowościach przyjmowane są w niższej wartości niż rzeczywista. Ogólnie rzecz biorąc, osobnik zamyślający dłuższą podróż powinien wziąć z sobą jeden albo więcej listów kredytowych i w razie potrzeby wymienić je na monety. Listy kredytowe przyjmują zazwyczaj bankierzy bądź też kupcy, nigdy zaś sklepikarze.

zbrojni: Żołnierze, którzy poprzysięgli wierność lub złożyli hołd lenny jakiemuś lordowi albo lady.

Zgromadzenie: Publiczne zebranie ogirów, które może się odbywać wewnątrz któregoś ze *stedding* albo gdzieś pomiędzy nimi. Wielkiemu Zgromadzeniu przewodniczy Rada Starszych *stedding*, ale każdy dorosły ogir ma prawo w nim przemówić; może też sobie wybrać przedstawiciela, który wypowie się w jego imieniu. Zgromadzenie często odbywa się w największym pniaku drzewa w *stedding* i może trwać nawet kilka lat. Zwołuje się je, ilekroć pojawi się jakaś sprawa niepokojąca ogół ogirów i ciągnie się ono tak długo, aż nie wypowiedzą się wszyscy chętni. Kolejne Wielkie Zgromadzenia odbywają się w coraz to innych *stedding*.

Zwiastuni: Patrz: *Hailene*.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Rozdział 1 Zapadające ciemności	4
Rozdział 2 Przedmiot negocjacji	32
Rozdział 3 Sekrety.	48
Rozdział 4 Pogawędka z Siuan.	72
Rozdział 5 Niespodzianki	88
Rozdział 6 W nocy.	111
Rozdział 7 Znak.	129
Rozdział 8 Jedna odpowiedź.	147
Rozdział 9 Ozdoby.	153
Rozdział 10 Burza narasta.	169
Rozdział 11 Kiedy zakładać klejnoty.	185
Rozdział 12 W So Habor	195
Rozdział 13 To, co trzeba zrobić.	208
Rozdział 14 Pęczek róż.	223
Rozdział 15 Coś migocze.	246
Rozdział 16 Co potrafi różdżka przysiąc.	266
Epilog Odpowiedź.	292
Glosariusz.	294